



Jacquelyn
Mitchard

GŁĘBIA
&
OCEANU

Prószyński i S-ka

Mitchard Jacquelyn

Głębia oceanu

Na nie więcej niż pięć minut zostawiła Beth Cappadora swego trzyletniego synka Bena pod opieką starszego brata, siedmioletniego Vincenta. W ciągu tych pięciu minut Ben zniknął bez śladu. Mimo wysiłków policji przez następne dziewięć lat nie udało się rozwiązać tej ponurej zagadki, która zrujnowała rodzinne życie Beth, jej męża i drugiego syna. I nagle, po owych tragicznych dziewięciu latach, zdarzyło się coś, co wprowadziło do ich mrocznego, lodowatego świata bólu i poczucia winy nikły promyk nadziei...

Prolog

Listopad 1995

Dziesięć lat. Upłynęło ponad dziesięć lat od owego gorącego sierpniowego poranka, kiedy to Beth włożyła do szuflady kopertę pełną fotografii, aż do chłodnego jesiennego popołudnia, gdy wydobyła ją na światło dzienne, wyjęła ze środka zdjęcia i rozłożyła - jedno obok drugiego - na blacie biurka.

Dziesięć lat i wielka odmiana losu. Lato, jakże niedawno minione, wyznaczyło pełen rok od chwili, gdy Beth dowiedziała się, co właściwie spotkało jej syna, Bena. Jeżeli uwzględnić ten rok, wówczas ów niezwykle spektakl, spirala emocji - trwały dla Beth niemal jedenaście lat. A tymczasem, zaledwie parę tygodni temu, w październiku, magazyn „USA Today” zamieścił na pierwszej stronie artykuł zatytułowany „Ben - Epilog” - podjętą poniewczasie próbę podsumowania faktów, opartą na kilku przebrzmiałych wypowiedziach tych nielicznych osób, którym jeszcze chciało się rozmawiać z prasą. Ale to nie ów artykuł przypominał Beth o fotografiach.

Po prostu obudziła się pewnego ranka ogarnięta wewnętrznym przekonaniem - dzisiaj obejrzy zdjęcia.

Tego dnia padało. Świat spowijała przejmująca chłodem, listopadowa szaruga. Od lat deszcz wzbudzał w Beth nieokreślony lęk, który tłumiała, rzucając się w wir najbardziej przyziemnych prac domowych. Ale tego dnia nawet deszcz nie mógł jej powstrzymać. Coś ją nagliło, jakby rzut oka na fotografie był niby postawienie kropki po żmudnym, ciągnącym się przez całą stronicę, zdaniu.

Beth rozłożyła zdjęcia - jedynie szesnaście, bo Pat używał wówczas idiotycznego miniaturowego istmatica na małe rolki filmu - aparatu

wprawiającego Beth w zakłopotanie. Teraz rozłożyła fotografie na biurku, obrazem na dół, niczym stara kobieta układająca pasjansa.

Po chwili zamknęła oczy i dotknęła jednego ze zdjęć.

Nie poczuła nic - żadnych wibracji, żadnego fluidu. Pod palcami czuła standardowy papier Kodaka, lekko zamszowy w dotyku z powodu powlekającej go cienkiej warstewki kurzu. Nic mistycznego. Beth wydała westchnienie ulgi. Przez te wszystkie lata pieczęć pozostała nienaruszona, niczym spazmatycznie zaciśnięte papierowe usta, naznaczone rozmazanym tuszem datownika - jakże niezwykłym proroctwem. Trzeci czerwca i rok. Trzeci czerwca, sobota, dzień, gdy wyruszała na spotkanie absolwentów - to właśnie wtedy Pat oddał zdjęcia do wywołania w jednym z boksów centrum handlowego. Przypomniawszy sobie o nich dopiero pod koniec owego pierwszego, odrealnionego lata. Przyniósł je do domu i ze szlochem wręczył Beth, oczekując, że znajdzie ukojenie w jej ramionach i odwadze, z jaką ona stawi czoło ikonograficznemu świadectwu.

Beth jednak ujęła jedynie kopertę ze zdjęciami w obie płasko złożone dłonie i stanowczym ruchem schowała do szuflady biurka. Wówczas wydawało się jej to szalenie ważne - chociaż w zasadzie nie rozumiała dlaczego - by zawsze wiedzieć, gdzie znajdują się te fotografie, nie bacząc na fakt, że niekiedy świadomość ich istnienia wzbudzała w niej niepokój. Na przykład wtedy, gdy sięgała do szuflady po spinacze czy nalepki listowe ze swoim adresem i jej wzrok padał na kopertę. W takich chwilach jej ruchy nabierały przyspieszenia, jak w dzieciństwie, kiedy przemykała obok reprodukcji obrazu Goi, przedstawiającej Kronosa pożerającego dziecko, którą jej babka Kerry, z zupełnie niewyjaśnionych przyczyn, trzymała zawieszoną na zakręcie schodów. Gdy zamykała szufladę, odczuwała taki sam brak tchu jak wówczas, gdy pozostawiała odrażający obraz za plecami.

Tak czy owak, niekiedy jej wzrok prześlizgiwał się po kopercie, a nawet parę razy Beth musnęła ją palcami. A kiedy przeprowadzali się do Chicago, podeszła stanowczym krokiem do biurka i stojąc przed szufladą, wydawała się bliska obejrzenia fotografii.

Ale wtedy jeszcze się na to nie zdobyła. Wszystko było zbyt świeże. Za mało czasu upłynęło, by mogła spojrzeć na zdjęcia czy przerzucać je między palcami.

Po Benie pozostały również inne przedmioty. Z czasem Beth nabrała dostatecznie wiele odwagi, aby je oddać lub spakować. W pewne deszczowe dni, dni depresyjnie przytłaczające, zniszczyła nawet parę z nich: pozytywkę czy ceramiczną ramkę do zdjęć ozdobioną dziecinnymi klocuszkami.

Jednak nigdy nie przyszłoby jej do głowy, by na podobny los skazać fotografie. Przede wszystkim dlatego, że Beth sama była fotografikiem - obrazy utrwalone na kliszy stanowiły dla niej niejako talizmany. Poza tym drzemało w niej przecucie, że może nadejść taki dzień, gdy te fotografie staną się bliskie jej sercu, szczególnie ostatnie ujęcie - to na ganku. Zwyczajne przemijanie czasu albo uniesienie religijne czy zobojętnienie sprawią, że ogarnie ją uczucie melancholijnej radości, gdy ujrzy Bena takim, jakim widziała go po raz ostatni - nie ostatni raz w życiu, ale ostatni raz jako swego słonecznego, nieskomplikowanego synka, który nigdy nie nawiedził jej w snach, choć go tak zaklinała, by jej się objawił, szlochając, pocieszając się myślą, że przynajmniej w nocy nie będzie się bala jego obrazu. Więc, być może, pewnego dnia, gdy będzie już umierać i perspektywa wkroczenia do świata prawdziwego zapomnienia stanie się realna, kiedy już nabierze pewności, że nie będzie musiała brnąć dłużej przez życie, wówczas, być może, zechce często oglądać te fotografie - może nawet codziennie.

Dlatego zawsze musiały być pod ręką. Inaczej na pewno by zaginęły. Beth zrozumiała to z całą wyrazistością, gdy powróciła do domu, wiele tygodni po zjeździe absolwentów. Wtedy właśnie zauważyła, że wszystko z niezwykłą łatwością gdzieś się jej zapodziewa - klucze, czek, banknoty znikają jej spod dłoni, jakby wiedzione własną, kinetyczną mocą. Zdarzało się, że Beth, stojąc na środku kuchni z nie rozpakowaną torbą zakupów w ręku bądź upraną bielizną w ramionach, w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, gdzie powinna postawić płatki śniadaniowe, a gdzie położyć prześcieradła. Ale szybko nauczyła się żyć z ową przypadłością, jak z chroniczną chorobą czy kalectwem w następstwie nagłego wypadku.

Patrząc na rozwój wydarzeń z perspektywy czasu, Beth zrozumiała, że owa ułomność była jej własnym, świadomym wyborem, nie chwilowym zaćmieniem zmysłów, ustępującym w momencie, gdy jest się gotowym na przyjęcie realiów życia. Jej ułomność była rezultatem treningu. Beth nauczyła się zapadać w gąszcz myśli o zagubionych formularzach szkolnych czy sposobach nadziewania papryki, wraz z pierwszymi oznakami, że wspomnienia o Benie czy owym dniu mogą przebić się na powierzchnię jej świadomości.

Beth miała pewność, że nie zdołałaby żyć z tymi wspomnieniami; bez nich jednak rany nie mogły się zabliznić. Teraz zrozumiała, że sama zdecydowała, by cierpienie trwało. W zamian usiłowała egzystować na spopielałych obrzeżach krateru, stąpać ostrożnie, by nie wzbudzić -jak często o tym myślała - potężnej, śmiertelnej lawiny.

Próbowała wyjaśnić swojemu mężowi, Patowi, teorię lawiny i konieczność jej powstrzymania - jednak bez rezultatu.

Niemniej próbowała, mimo iż czuła się głupio, opowiedzieć mu o ludziach cierpiących na pewną chorobę - syndrom Korsakowa - szatku-jącą ich pamięć na oddzielne plastry. Cierpiący na taką dolegliwość - głównie alkoholicy - mogą rozmawiać z lekarzem czy pracownikiem socjalnym przez długie chwile, rozprawiając inteligentnie o pogodzie, własnym zdrowiu czy bieżących wydarzeniach, jeżeli ich wzrok padnie właśnie na rozpostartą gazetę. Jednak gdy ich interlokutor opuści pomieszczenie, choćby na krótki moment, ofiary syndromu Korsakowa nie będą pamiętać, że kiedykolwiek spotkały tę osobę. Trzeba będzie od nowa przeprowadzić prezentację.

Beth starała się wytłumaczyć mężowi, że ona czuje mniej więcej to samo - a może raczej, że tak właśnie chciałaby się czuć. Być doskonale funkcjonującą kobietą, uznaną za całkowicie normalną osobę przez wszystkich, którzy nie dostrzegą, że na plecach ma kluczyk do nakręcania mechanizmu. Jednak Pat, obserwujący, jak przeistacza się w zrobotyzowaną matkę i żonę, uważał, że jej rozpacz jest irracjonalna. Pat opłakiwał Bena tak, jak opłakują swoich bliskich wszyscy normalni ludzie, których dziecko pada ofiarą nowotworu lub niespodziewanej epidemii jakiejś dawno zapomnianej choroby - polio czy dyfterytu. Wraz z upływem czasu Pat przechodził po kolei wszystkie stadia żałoby - niemal dokładnie według schematu opisanego w broszurach kół wzajemnego wsparcia.

Beth jednak tak nie mogła. Przechodzenie przez podobny proces wydawało jej się równie niedorzeczne, jak obcinanie prostych włosów w nadziei, że odrosną kręcone.

Próbowała wyjaśnić Patowi, że jej emocje związane z Benem mają się tak do tego rodzaju żałoby, jak dwupłatowiec do ważki.

Rozpacz - Beth wiedziała, czym są rozpacz i żałoba. Gdy miała osiemnaście lat, jej matka zmarła na skutek złożonego ciągu niewydolności kolejnych organów, kataklizmu zapoczątkowanego cystą nerki, w szaleńczym tempie spychającego ją ku śmierci - kataklizmu, który zakończył się w dniu, kiedy rano karetka przywiozła ją do domu, a po południu zabrał samochód zakładu pogrzebowego. Była to przerażająco brutalna inwazja w życie Beth, czuła się wówczas jak wrak pociągu po katastrofie kolejowej.

Ale nie gnębiło jej poczucie winy.

Beth w żaden sposób nie przyczyniła się do śmiertelnośnego rozrostu narośli na matczynej nerce. Żadne z jej słów czy działań nie przeistoczyło się w zarazę, która ostatecznie doprowadziła do zgonu matki.

Jej utrata była cierpieniem strasznym, lecz normalnym - nie przypominała wyprawy w obszar nieustannie zagrożony zejściem lawiny. Gdyby Beth ośmieliła się poddać temu, co naprawdę czuła w związku z utratą Bena - gdyby odważyła się rozplątać kłęb, w którym głupota i poczucie braku mieszały się ze świadomością, że wszystkie najistotniejsze wydarzenia w naszym życiu rozgrywają się nieodwracalnie w ciągu zaledwie paru sekund - wówczas, była tego pewna, stałoby się z nią coś strasznego. Jej mózg mógłby nagle przestać funkcjonować, a przecież wciąż musiała podejmować decyzje, snuć plany pomimo swej rozpacz - na myśl o tym Beth ogarniało przerażenie.

Miewała już przedsmak podobnego uczucia, słyszała turkot pierwszych osuwających się kamieni - groźbę nadchodzącej lawiny - w chwilach, gdy była na to najmniej przygotowana. Wtedy, zgięta w pół, chodziła po całym domu, a panika groźnymi pomrukami wypierała z jej serca tęsknotę. Widziała Bena zamkniętego w jakimś ciemnym pomieszczeniu bądź w grobie. Wszystko się w niej przewracało, gdy w jej głowie nagle zadźwięczało jego imię: Ben - jak pojedyncze uderzenie dzwonu.

W takich chwilach, jeżeli nie zjawił się ktoś o dużej sile perswazji - ktoś taki jak Ellen czy Candy, zdolny do wepchnięcia jej z powrotem na właściwy tor - Beth zaczynała gorączkowo układać nowy scenariusz owego czerwcowego dnia, reżyserować wejścia i zejścia ze sceny kolejnych postaci, przetwarzać akcję, budować nowe dialogi - niczym autor komiksu wypełniający tekstem chmurki wychodzące z ust kreskowych bohaterów. A ponad sobą Beth nieustannie słyszała złowieszczy łoskot, trzask przesuwających się lodowych mas. To zmuszało ją do szybszego przemieszczania się po domu, kazało zastanawiać się, jak wyblagać cofnięcie czasu o dziesięć minut, może nawet cztery minuty - tylko tyle, żeby zdążyła wrócić do wózka z bagażami, przy którym tkwił rozmarudzony, zniecierpliwiony Vincent, tylko tyle, by zdążyła wrócić po Bena i zabrać go ze sobą do hotelowej recepcji. Ostatecznie zgadzała się, by przeżyć jeszcze raz owe straszne, dławiące chwile, jeżeli taką właśnie musiała odbyć pokutę, ale by potem wydarzenia można było cofnąć, jak cofa się taśmę magnetowidu na szybkim przewijaniu, ujrzeć Bena wracającego do niej tyłem, od strony stoiska z czasopismami czy obrotowych drzwi, skądkolwiek, gdzie najpierw skierował swe kroki - teorie na ten temat były sprzeczne. Zobaczyć Bena cofającego się w jej kierunku, w jej rozpostarte ramiona, poczuć okrągły brzusek pulsujący w jej dłoniach, przyspieszone bicie małego serduszka - jak zawsze, gdy go coś prze

straszyło czy gdy się bał - bicie tak silne, że niemal mogła wyczuć jego kształt. Poczuć Bena - pachnącego wiśniową lemoniadą, a gdy był zgrzany - wydzielającego jakąś specyficzną woń, przypominającą zapach gumowych nakładek na kierownicę roweru; Ben przecież był za mały, aby te zapachy miały cokolwiek wspólnego z hormonami. Chciałaby poczuć pod ręką szorstki jeans jego ulubionych szortów, w chwili gdy wymierzałaby mu jednego silnego klapsa. Bo, jak przyznawała w owych chwilach osuwania się skalnych odłamków, dałaby mu lanie. Uderzyłaby go w jego drobną, krągłą pupę, tak jędrną, jakby pod skórą tkwiły pokłady wody. Poczuć Bena. Bena bezpiecznego.

Niemal namacalne wrażenie jego obecności, ścierające się z rzeczywistością naznaczoną jego nieobecnością, jak zetknięcie mas gorąca i zimna, zagrażało jej osobistej integralności. W takich momentach Beth musiała bardzo się starać, by przestać o tym wszystkim myśleć.

W rezultacie, na ludziach, z którymi pracowała, a nawet na członkach rodziny sprawiała wrażenie osoby idącej przez życie ze stoickim spokojem. Beth rozumiała, że jej ułomność, jak i odwaga są aktem swoistej łaski. Jednak tylko ona była w stanie oszacować spowodowane tym straty. Zdawała sobie sprawę, że od dłuższego czasu nie „kochała” dzieci, chociaż dokładała wiele starań, by je dostrzegać i być dla nich miłą. Zapewne dla Kerry, która nigdy nie знаła innej matki, jej zachowanie nie stanowiło żadnej różnicy.

Ale nie dla Vincenta. On odczuwał zmianę. Szczególnie w takie popołudnia, gdy Beth, jadąc po niego do szkoły, zapominała nagle, gdzie jest i dlaczego. Kiedy w końcu, złana potem, docierała na miejsce, Vincent, odbijający o bruk piłkę koszykową w zapadającym zmroku, patrzył na nią z tak jawną pogardą, że gdyby była zdolna cokolwiek wobec niego odczuwać, wpadłaby w furję.

Ale, ogólnie rzecz biorąc, funkcjonowała w miarę sprawnie. Cóż ostatecznie poświęciła, by uchronić siebie i pozostałe dzieci od okrucieństwa lawiny? Parę lat życia ograniczonych ścisłą samokontrolą?

Uważała, że to całkiem niezła cena.

Tak więc, gdy odwróciła pierwszą fotografię - pomimo pełnej świadomości, że te obrazy nie są już w stanie jej przerazić - poczuła nieznaczną, tektoniczną wstrząs; w pierwszym odruchu chciała uciec przed napierającymi, lodowymi masami.

Jednak zwalczyła w sobie ten odruch i w tej samej chwili zrozumiała, co naprawdę chciałaby odnaleźć w tych zdjęciach, szczególnie w ostatnim z nich, zrobionym tuż przed tym, zanim wyruszyli na zjazd.

Odkryła prawdziwą przyczynę, dla której nigdy nie chciała pozbyć się fotografii.

Zdała sobie sprawę, czego szuka, i zauważyła, że tego tam nie ma.

Na żadnym ze zdjęć - ani tam, gdzie Vincent łowi ryby w Terriad-ne, ani gdzie Ben karmi Kerry z butelki. A już na pewno nie w ujęciu na ganku, w efekcie najgorszym z całego filmu, zrobionym tylko po to, by uwiecznić bzy Pata. Ona i dzieci stanowiły nieistotny rekwizyt w scenie mającej upamiętnić ogrodniczy triumf jej męża. A mimo to, pamięta, że ustawianie do zdjęcia trwało wieki. Pat nieustannie strofował Vincenta za to, że się kręci.

Ale w rzeczywistości, jak Beth teraz spostrzegła, to Ben się wówczas poruszył.

Nie rozpoznałaby go. Beth od bardzo dawna nie widziała podobizny swojego trzyletniego synka. Tak naprawdę był to wizerunek dziecka, którego nigdy nie знаła. Bliski jej był Ben-maluch. Bena-chłopca spotkała dopiero teraz.

Wpatrywała się w zdjęcie, żałując, że nie ma pod ręką swojej fotograficznej lupy. W grupie stała Jill - dziewiętnastoletnia kuzynka Pata, wówczas mieszkająca w ich domu i pomagająca przy dzieciach w chwilach wolnych od szkoły - objuczona walizkami i sprzętem fotograficznym Beth. Długowłosa Jill wyglądająca jak złocisty, mały hippis. Obok Kerry - drobniutka, niemowlęca twarzyczka, wyłaniająca się z fałd sukienki obramowanej czerwono-niebiesko-żółtymi łódeczkami. Na zdjęciu włosy Vincenta wciąż jeszcze były blond. Beth zupełnie zapomniała, że Vincent, obnoszący teraz brązową, matową - gęstą niczym niedźwiedzie futro - czuprynę, kiedyś miał jasne włosy.

Twarz Bena natomiast była zamazaną plamą.

Przygotowana na przyjęcie tej twarzy niczym sakramentu, Beth ujrzała w zamian... właściwie prawie nic nie ujrzała. Zaledwie kilka detali: ramiona gęsto usiane piegami, niezwykle długie i doskonale umięśnione nogi. Ale twarz... widać było jedynie, że ma otwarte usta. Coś mówił. Ale jego rysy się rozmyły. Nie niosły żadnego przesłania. Nawet teraz, gdy tak bardzo się zmieniła, gdy przeobrażeniu uległa każda jej cząstka - gdy odrzuciła swoje wszystkie dawne wierzenia - nawet teraz, uświadomiła to sobie nagle, czuła się tym faktem zawiedziona.

Od czasu ukończenia college'u Beth zajmowała się fotografowaniem. Również robiła na zamówienie zdjęcia dla różnych agencji, chociaż na stałe nie była związana z żadną z nich. W swojej pracy widziała wiele obrazów, portretów ludzi żyjących współcześnie i dawniej, których nie oszczędziło życie. Żołnierzy w nowych mundurach, ze świeżo

ogolonymi głowami. Rodziny imigrantów przy metalowych relingach statków, grubo odziane, ze zniszczonymi walizkami na pokładzie u ich stóp. Oglądała twarze kowbojów. Oczy pierwszych lotników.

Często wydawało się jej, że w owych zmatowiałych obrazach jest w stanie dostrzec jakiś znak, zapowiedź nieszczęścia, które miało nastąpić. Sądziła, że kluczem jest wyraz ludzkiej twarzy. Swoista wrażliwość? Przesłanie pożegnania z tym światem zamknięte w ziarninie kliszy? Kiedyś chciała sprawdzić swoją teorię i pokazała Patowi jedno ze zdjęć. Była to stara fotografia, przedstawiająca pilota łodzi latającej, człowieka, który zatonął w przepiękną pogodę, w czasie rutynowego lotu, po kilku latach spektakularnych sukcesów. Pokazała jego wizerunek Patowi i zapytała:

- Czy doprawdy nie widzisz, że on został naznaczony?

Ale Pat zaczął jej cierpliwie tłumaczyć, że musi być szalona, że ludziom wydaje się, iż otrzymali jakiś znak dopiero po tym, gdy nieszczęście się już wydarzy; te historie o przecuciach stanowiły jedynie balsam dla ograniczonych umysłów, bzdury, którymi chętnie karmiła się jego ciotka Angela, typ urodzonej wdowy, doszukująca się ukrytego sensu w fakcie, że dziecko urodziło się pośladkami do przodu bądź telefon zadzwonił tylko dwa razy.

- Czy z twarzy młodego prawnika, Abrahama Lincolna, jesteś w stanie wyczytać, że zostanie prezydentem? I że go zamordują?

- Tak - odparła wówczas z przekonaniem.

- Czy w gazetowym zdjęciu Eryka, tego dzieciaka, którego moja siostra uczyła muzyki, widzisz zapowiedź śmierci pod gruzami? Czy możesz wyczytać, że zginie w dzień rozdania świadectw maturalnych?

- Oczywiście - upierała się, zdziwiona, że Pat jest tak mało spostrzegawczy. Ale on jedynie westchnął głęboko, nazywając ją „kasan-dryczną Irlandką”, domowym barometrem nieszczęść o zbyt czulej skali.

Jednak Beth wierzyła niegdyś w takie rzeczy. W proroctwa i znaki, jak spływanie wody w zlewie odwrotnie do ruchu wskazówek zegara tuż przed niespodziewanym trzęsieniem ziemi. Kiedy miała siedemnaście lat, wierzyła niezachwianie, że gdy uda się jej przejechać od Wolf Road do Mannheim bez zatrzymywania na czerwonych światłach, w domu dowie się, że dzwonił do niej Nick Palladino. Wierzyła, jeżeli nie w Boga, to w rozmaitych świętych, którzy wcześniej byli prawdziwymi ludźmi, istotami z krwi i kości. Jej całe życie, cała struktura jej jestestwa opierała się na szczęśliwych przypadkach, snach i przecuciach.

I ten świat, na którym z taką pewnością budowała swoją egzystencję, runął, niczym kostki domina trącone gwałtownym podmuchem wiatru, w dniu, kiedy zniknął Ben.

Nie otrzymała żadnego przesłania. Żadnego ostrzeżenia. Nigdy, przenigdy. Nawet najdrobniejszego.

CZĘŚĆ 1

Beth

Rozdział 1

Czerwiec 1985

- Tak naprawdę lubię tylko maleństwo - Beth oznajmiła mężowi, gdy wspólnie ułożyli w holu stos z plastikowych worków, paczek pieluch, toreb podróżnych i sprzętu fotograficznego, zwieńczając wszystko starym, rozkładanym reflektorem Beth.

Zdumiała się, gdy Pat posłał jej pełne niesmaku spojrzenie; wiedziała, że on nie ma teraz ochoty na kłótnię, nie chce żadnych kłopotów tuż przed wyprawieniem całej hałastry z domu na weekend.

To była niewątpliwie najwyższa głupota - pomysł zabrania wszystkich dzieci na zjazd absolwentów szkoły Immaculata z okazji piętnastej rocznicy matury i, dodatkowo, połączenia tego z sesją zdjęciową na zamówienie jednej z agencji - tak przynajmniej utrzymywał Pat.

Beth jednak nalegała, więc Pat, z natury samotnik, pozwolił sobie w końcu na radość z perspektywy spędzenia czterdziestu ośmiu godzin w roli słomianego wdowca - jak za kawalerskich czasów: późnego wstawania i wielu godzin bilardu w barze u Michkiego po zamknięciu restauracji. Nie ośmielił się sprzeczać z Beth, bo ona w końcu obarczyłaby go towarzystwem Vincenta czy Bena. Niemniej teraz posłał jej szpetne spojrzenie, a ona jak zwykle zdumiała się, że wciąż jeszcze szokowały go sentencje, które wypowiadała tylko po to, żeby go właśnie zaszokować.

- I po co? - zadał jej w końcu pytanie. - Wyrzucasz z siebie takie nieprzemyślane bzdury, mówisz coś, w co wcale nie wierzysz, gdy tymczasem mógłbyś usłyszeć cię Vincent.

- Ale tak jest naprawdę - broniła się. - Ja naprawdę w to wierzę. -

Mówiąc to, pomyślała, iż nie dość, że dręczy Pata, to jeszcze czerpie z tego niezwykłą przyjemność.

W rzeczywistości Vincent nie słyszał Beth. Rozłożony niedbale w kącie kanapy oglądał „Szczęki” na wideo - ich własną, domową wersję, z której Pat obsesyjnie pousuwał wszystkie krwawe sceny. Jego twarz zastygła w grymasie, który, gdyby nie fakt, że był zaledwie siedmiolatkiem, istotą wymagającą pobłażania, należałoby uznać już nie za dziecinne naburmuszenie, ale ponury gniew. Vincent nie miał ochoty na żadne wyprawy samochodem. Dla niego taplanie się w wielkim basenie z Jill, w czasie gdy mama będzie spotykać swoich starych znajomych, było mało pociągającą rozrywką. Chciał zostać w domu i bawić się z Alekssem Shore; chciał pójść z tatusiem do restauracji. Mówił o tym Beth od samego rana - co najmniej osiem razy.

- Nie możesz iść z tatusiem do restauracji - kategorycznie ucięła dyskusję Beth, a przez głowę przebiegła jej myśl, że jeżeli jeszcze raz usłyszysz jego przypochlebiający się głos, powtarzający w kółko te same słowa, może go w końcu uderzyć. - Tatuś będzie pracować.

- Mógłbym cichutko siedzieć na zapleczu - upierał się Vincent - Już kiedyś tak było.

Jak do tej pory wyprawa z ojcem do pracy pewnego sobotniego wieczoru stanowiła najdonioślejsze wydarzenie w życiu Vincenta. Pat kierował restauracją swojego wuja, Augiego. Vincent poszedł z nim tam wówczas, ponieważ Beth zapadła na gripę, Kerry miała zaledwie kilka dni, a każda ewentualna opiekunka do dziecka bawiła się w najlepsze na balu maturalnym. Najwspanialsza rzecz, która zdarzyła mu się z matką (zabrała go raz na plan zdjęciowy filmu, gdzie wykonywała fotosy, a Paul Newman uściskał mu dłoń), była niczym w porównaniu z owym magicznym wieczorem w restauracji Cappadorów. Jego siwowłosego wujek Augie obnosił go po całym lokalu na ramionach, tata pozwolił mu jesc ohwki nadziewane anchois i posadził na wysokim, wypolerowanym barze.

- Mama była wtedy chora - tłumaczyła Beth z cierpliwością, która już się jej dramatycznie kończyła; w istocie miała nadzieję, że Vincent zdaje sobie sprawę, że jest o krok od wybuchu. - Teraz mama czuje się świetnie, wyjazd do Chicago zaplanowaliśmy dawno temu, zobaczysz ciocię Ellen, a poza tym będziesz mi potrzebny do opieki nad Benem i Kerry.

- Nienawidzę Bena i Kerry, nienawidzę tego, że zawsze wszystko muszę robić, i nawet nie mam zamiaru się ubrać. - Vincent rzucił się na sofę, wciskając twarz w poduszki, a gdy Beth próbowała go pod-

nieść, zastosował swoją opatentowaną sztuczkę - zawisł bezwładnie całym ciężarem na jej rękach, aż w końcu musiała go puścić.

Vincent nienawidził matki. Beth miała tę świadomość, uważała, że zbyt długo czekała z urodzeniem Bena. Vincent skończył już cztery lata - był wystarczająco duży, by zrozumieć istotę wyłącznej miłości, czuł się jej jedynym ulubieńcem. Ale tak naprawdę Vincent lubił Bena; pociągała go też kruchość drobnego ciała Kerry; bezgranicznie uwielbiał Pata i był mu tak niedorzecznie oddany, że czasami wzbudzał w Beth litość. Ona nie miała jednak wątpliwości, że dla swojego syna jest jedynie dostarczycielką jedzenia i ewentualnym szafarzem zabawek. Gdy go karciała, Vincent patrzył na nią w taki sposób, że mimowolnie przypominało jej się, co Pat pewnego razu powiedział o kotach: są drapieżkami w miniaturze; gdyby były nieco większe, z przyjemnością by cię pożarły. Beth z kolei była nienaturalnie przywiązana do Vincenta. Pociągał ją z niekłamaną mocą. Nie wystarczyło jej, że go kochała, chciała go za wszelką cenę zdobyć, pozyskać jego przychylność. On zaś niewątpliwie o tym wiedział.

Vincent nie przebaczał łatwo. Ale Ben tak. Zachwycała go perspektywa podróży z mamą i bratem; zachwycała go równie mocno, jak wyprawa do sklepu z narzędziami czy sortowanie skarpetek po praniu. Ben nie przystosowywał się jedynie do przestrzeni; dobry humor i ufność rozpierały go z taką siłą, że wypełniał sobą cały obszar, w którym dane mu było się znaleźć. Kiedy Ben był jeszcze niemowlakiem, Beth zabrała go do lekarza, bo uśmiechał się i spał z tak niezachwianym samozadowoleniem, że uznała to za nienormalny objaw. Zapytała doktora, czy to możliwe, że Ben jest upośledzony. Młody człowiek, rosyjski imigrant, nie wyśmiał jej obaw; wyjaśnił łagodnie, że oczywiście dziecko może być ułomne - każdy w zasadzie może - ale czy istnieją jakieś konkretne powody do niepokoju? Czy Ben kołysał się miarowo bądź uderzał główką o łóżeczko? Czy reagował na jej głos, wodził za nią wzrokiem?

Beth wyjaśniła lekarzowi, że Ben nie kołysał się ani nie unikał jej wzroku. Ona natomiast starała się nie patrzeć młodemu mężczyźnie w oczy, gdy mówiła: - Ale jest taki... taki spokojny, zadowolony - wydawało jej się, że robi z siebie idiotkę. - Nigdy nie krzyczy, nie płacze... nawet kiedy ma mokro czy jest głodny. Wykazuje niezwykłą cierpliwość.

- A pani starszy synek?

- On... o wiele wyraźniej zaznaczał swoją obecność. - Vincent był chudym, czujnym, niewiele śpiącym niemowlęciem; zaczął chodzić

w wieku dziewięciu miesięcy, mówić w wieku dziesięciu, często oznajmiając Beth: „Ja zły” - gdy tylko ukończył rok życia.

Doktor posłał jej miły uśmiech. Beth do tej pory zachowała rachunek za wizytę, na którym lekarz napisał swoją diagnozę: „Spokojne dziecko. Normalne”.

Ben pozostał radosny i nie wymagający. Beth do dziś nie potrafiła zrozumieć, jak z zabarwionego cynizmem idealizmu Pata, jego wymuszonej dobrotliwości i jej melancholii mogło się narodzić tak słoneczne, pogodne dziecko. Beth nie kochała go bardziej niż Vincenta, ale nigdy nie była w stanie potraktować go ostro. Nawet wtedy, kiedy wariował i psocił - co zdarzało mu się dość często. Jak na przykład pewnego ranka, gdy przyszedł na śniadanie z maską chirurgiczną naciągniętą na głowę jak beret, z dwoma podpaskami opasującymi każde przedramię - łupem, który trafił mu się w szafce pod umywalką - przechowywanymi tam od czasu narodzin Kerry; nawet wtedy nie mogła na niego nakrzyczeć.

Tego dnia, czekając na wyprawę, Ben rozciągnął się na podłodze w holu, w smudze słońca naznaczonej wirującym kurzem, założył na siebie koło i, przebijając po ziemi piętami, przesuwając się do przodu. „Jestem pod wodą” - oznajmił upojony złocistym blaskiem, zalewającym jego twarz. Beowulf, ich pies, uskoczył na bok, by uniknąć zderzenia z ową ludzką kulą światła. Ben od rana błagał Beth, by upiekła, jak to nazywał, „mami chleb” (tak naprawdę nazywało się to „małpi chleb” i - pachnące cynamonem - było uspokojeniem sumienia matek nie wyżywających się w wypiekach; Beth komponowała go z kupnego ciasta, które formowała w precle, i przyprawiała takimi słodkościami, jakie akurat miała pod ręką). Ale gdy mu powiedziała, że jest na to zbyt zajęta, Ben nawet się nie skrzywił. Odmaszerował, zaprzątnięty jakimiś swoimi sprawami, jak zwykle czymś pochłonięty. „Ben idzie zbawiać świat” - zwykł mawiać w takich chwilach Pat.

Przedszkolanka z grupy Bena zasugerowała delikatnie pewnego razu, że być może Ben jest nadpobudliwym dzieckiem, wymagającym oceny psychologicznej. Beth nawet nie przyszło do głowy, by poddać go czemuś podobnemu. Oboje z Patem uważali, że ich młodszy syn jest jak psiaki, opisywane często w bezpłatnych ogłoszeniach drobnych: „Wymaga dużego wybiegu”.

Ale nawet urok Bena przestawał działać na Beth tego dnia: chłopiec powyciągał wszystkie lekarstwa i kosmetyki z jej torby, i poustawiał w rzędzie, jak armię ołowianych żołnierzyków, tuż przy drzwiach. Beth właśnie nadepnęła na jedną z butelek, a spod buta wystrzeliła masa witamin, rozpryskując się po całym holu.

- Do diabła - wysyczała przez zaciśnięte zęby. Gdy Pat zjawił się, by jej łaskawie pomóc, oznajmiła mu prawdę, która objawiła jej się właśnie w owej chwili: lubi tylko Kerry, jeszcze nie uformowaną istotę bez wyraźnego charakteru, zależną od niej w sprawach zasadniczych, ledwo zdolną do tego, by usiąść.

- Musicie po prostu wyruszyć - stwierdzi! Pat. - Wówczas się uspokoją. Na pewno zasną. - Podobne myślenie było dokładnie w stylu Pata- chłopcy nie zmrużyli oka w samochodzie od czasu, gdy skończyli dwa lata. A na dodatek Pat wciąż jeszcze żył w przekonaniu, że para nowych levisów kosztuje jedyne 15,95 dolara.

Ale Beth nie próbowała się sprzeczać; zdawała sobie sprawę, że w jej wieku wszystkie stresy odbijają się już na twarzy, a dzisiejszego wieczoru chciała wyglądać młodo i atrakcyjnie. Tak więc oboje z Patem wtaszczyli bagaże do volvo, przypięli Bena i Kerry do ich fotelików, po czym wyprowadzili z samochodu Vincenta i Bena, żeby na pewno wysiusiali się przed podróżą i zabrali swoje szczoteczki do zębów. W tejże chwili Pat przypomniał sobie, że chciałby wypstrykać do końca film, który miał w aparacie od czasu ostatniego kempingu.

- Nie wysiadam - oznajmiła Beth. - Mogę podjechać przed dom i stanąć na trawniku, jeśli chcesz. Albo zawołam kogoś z sąsiadów, żeby pozował przed twoimi bzami.

- No chodź - nakłaniał ją Pat, a w jego głosie zadźwięczała niska, erotyczna nuta, przypominająca Beth o pożądaniu, którego od dawna już wobec niego nie czuła, w każdym razie nie tak, jak dziesięć lat wcześniej.

Jednak żeby okazać swoje uznanie dla jego wysiłków, zgodziła się w końcu wysiąść, mimo że Vincent już niemal otwarcie płakał, a Ben wyśpiewywał w kółko i do znudzenia linijkę z „Domu wschodzącego słońca” najgłośniej, jak tylko potrafił.

Stanęli wśród bzu, tworzącego coś w rodzaju altany. Pat sztorcował wszystkich, po czym w końcu zrobił zdjęcie. Beth wskoczyła do samochodu. Nie pocałowała go. Przecież zobaczy go nie później niż za dwa dni. W rzeczywistości, jak sobie później przypomniała, spotkała się z nim jeszcze przed zachodem słońca - i wówczas też go nie pocałowała - ani wtedy, ani w ciągu następnych kilku miesięcy, tak że gdy potem ich usta się zetknęły, uderzyli się niezdarnie zębami, niczym dzieciaki próbujące pierwszych pocałunków, a ona nagle spostrzegła, że jego język ma posmak kawy - nie zauważała tego w ciągu tych wielu lat, kiedy jego język w jej ustach zdawał się równie naturalny jak jej własny.

Jazda drogą numer 90 do Chicago nigdy nie należała do najprzyjemniejszych, chociaż wiele lat temu Beth i Pat umilali ją sobie erotycznymi pieszczotami w starym chevrolecie małibu w drodze z college'u do domu na Gwiazdkę, gdzie rodziny oczekiwały ich niecierpliwie, zachwycone faktem, że się oboje pokochali. W tamtych czasach była to monotonna, płaska okolica usiana farmami i niskimi, przedmiejskimi domkami, ciągnąca się przez prawie 300 kilometrów. Pat i Beth często pokonywali tę trasę, jako że większość członków ich obu rodzin mieszkała w okolicach Chicago. Uważano ich za żadną przygód parę tylko dlatego, że zdecydowali się zamieszkać „na północy”, w Madison - wysuniętej placówce, po raz pierwszy „skolonizowanej” przez wuja Pata w 1968 roku.

Pat i Beth należeli do siebie od studenckich czasów na Uniwersytecie Wisconsin, a właściwie, w pewnym sensie, od dzieciństwa, ponieważ dla ich rodziców wakacje nie były wakacjami, jeżeli nie spotykali się na codziennych partyjkach pokera. Poza tym grywali ze sobą w karty na piknikach i zgadzali się nawzajem siadać przy stoliku, jeżeli nie dopisał któryś z zaproszonych gości. Ich rodziny odwiedzały się z okazji pierwszych komunii i balów maturalnych.

Beth i Pat nie uważali się jednak za parę aż do dnia, kiedy wpadli na siebie w kompleksie bibliotecznym w Madison i trzy godziny później wylądowali razem w łóżku, na wilgotnym strychu wynajmowanym wówczas przez Pata, skąd nie ruszali się przez następne dwa dni, niefrasobliwie opuszczając wykłady.

W tym okresie życie autentycznie przerażało Beth. Poroniła w szóstym tygodniu ciąży w poczekalni kliniki aborcyjnej. Jej ostatni chłopak śledził ją i podglądał przez teleskop, od czasu gdy go rzuciła. Gnębiło ją przekonanie, że wszyscy najniegodziwsi mężczyźni zjawiają się w mieście tylko po to, by ją zaprosić na randkę. Jedyne przeżycie seksualne, które mogłaby nazwać „niezłym”, sprowadzało się do zaawansowanej gry wstępnej z narzeczonym przyjaciółki na przednim siedzeniu jego samochodu. Na dodatek musiała zarabiać: w dzień pracowała jako kelnerka, a wieczorami sprzedawała porcelanę. Był to ogłupiający i upokarzający handel obnośny: Beth próbowała nakłonić do kupna zastawy stołowej wiecznie zareczone studentki z żeńskiego zrzeszenia. Mimo to nie miała pieniędzy na kolejny rok nauki. Oblała dwa przedmioty. Czowała się stara. Czowała się zużyta.

I wtedy spotkała Pata.

Nawet w młodości Pat nie był przystojny. Uśmiechał się niezwykle szeroko, odsłaniając duże, równe, białe zęby. Miał niesforne, kręcone,

brązowe włosy i olbrzymie oczy - jedyny godny uwagi element twarzy. Był niski i drobny, dość szeroki w ramionach, jednak z bardzo chudymi, pałkowatymi nogami. Wyglądał na zabiedzonego i niedożywionego. Nie czuł się najlepiej wśród ludzi, ale tak usilnie starał się być dla każdego miły, że uważano go za najbardziej przyjacielskiego faceta pod słońcem. Tylko Beth wiedziała naprawdę, jak patologicznie uczciwym człowiekiem jest Pat, jak nieskazitelnego charakteru. Gdy już nabrał pewności, że Beth go nie zostawi, pozwalał sobie czasami na wytknięcie jej drobnych nieuczciwości, braku taktu czy samodyscypliny. Beth jednak i tak wierzyła, że sypia z kimś w rodzaju świętego.

Ale nie podziwiała nabożnie swojego męża. Cechy, które tak bardzo zachwycaly ją w przypadku Bena, uważała za całkiem naturalne w przypadku Pata. A jednak to ona, nie Pat, podniosła się z twardego łóżka, ponad dwanaście lat temu, z niezachwianym przekonaniem, że zostaną małżeństwem. Przy nim w końcu poczuła się bezpiecznie. Ich narzeczeństwo zachwyciło obie rodziny: jedyna córka Evie i Billa z jedynym synem Angela i Rosie. Beth cieszyła się szczęściem rodziców. Pat wyjechał do college'u w Madison, ponieważ tam jego wuj miał restaurację, a Pat chciał dla niego pracować. Tam też ostatecznie zamieszkali z Beth; pobrali się po kilku trudnych latach, w czasie których próbowali udowodnić sobie i innym, że nadają się do wspólnego życia. Gdy Beth przysięgała przed urzędnikiem stanu cywilnego (kolejna batalia w ich życiu - rodzice ściągnęli księdza na ceremonię w nadziei, że ostatecznie ich dzieci zmadrzeją i zgodzą się na ceremonię katolicką) kochać i szanować Pata, robiła to szczerze i z autentycznym przekonaniem.

„I czemu nie?” - pomyślała nagle Beth, żałując, że pożegnała się z nim tak zdawkowo, i obiecując sobie w duchu, że zadzwoni do Pata, gdy tylko dotrą do hotelu. Zdawała sobie sprawę, że jest zdolna tylko do powierzchownej życzliwości i ciepła, którymi potrafiła oczarować nieznanym. Pat natomiast, choć nigdy nie czuł się w pełni szczęśliwy, był prawdziwie dobrym człowiekiem.

Tkwiąc w potężnym korku, ciągnącym się przez pięć kilometrów wokół kompleksu handlowego, Beth zdała sobie nagle sprawę, że jest całkowicie pogrążona w myślach o Pacie. Zastanawiała ją, czy przypadkiem jej mąż nie dlatego jest tak spiętym, namiętym palaczem, gdyż wciąż wierzy, że rodzaj ludzki mógłby być zdecydowanie lepszy, gdyby ludziom chciało się tylko choć odrobinę postarać? Wyobrażała sobie, co też w tej chwili porabia Pat, siedząc samotnie w domu. Zapewne próbuje nadać kształt i porządek chaosowi, w którym na co dzień żyje

Beth: sprawdza, czy nie należy uzupełnić podstawowych zapasów żywności, przerzuca zawartość dziesiątek szuflad, segreguje porozrzucane śrubki, wynosi torebki rozmaitych nasion do garażu, wyrzuca napoczęte paczki zjełczałych chipsów. Beth często słyszała, jak robił podobne rzeczy przed pójściem spać. Szybko zaczęła kojarzyć owo porządkowanie, przywracanie wszystkiemu ładu, z włoskim pochodzeniem - prawdopodobnie dlatego, że jej teść, Angelo, postępował w identyczny sposób. Zbyt zajęci w ciągu dnia, by walczyć z denerwującymi ich drobiazgami, uwijali się potem gorączkowo aż do późnych godzin nocnych. Zresztą podobnie zachowywała się jej teściowa, Rosie, ona jednak za wszelką cenę wzbraniała się przed zakłócaniem spokoju innych domowników. Dlatego też jedynie po nocach sortowała pranie, porządkowała rachunki czy pisała listy do kuzynek z Palermo. Uwijała się cicho w długiej, białej koszuli, niczym zwiewne, drobne, zapracowane widmo.

W pierwsze Boże Narodzenie po ich ślubie do obskurnego domu wynajmowanego wówczas przez Pata i Beth, tuż za rogiem Park Street, zjechali jego rodzice i jej bracia. Jeden z nich, Ben zwany Bi-ckiem, stwierdził, że rodzina Pata to „nocni łowcy”. Bardzo późno chodzili spać, buszując nocami po całym domu. „To zapewne dlatego, że są Rzymianami” - zawyrokował Bick.

Beth nie zaprosiła Pata na obiad i bal, stanowiący kulminacyjny punkt zjazdu absolwentów. Pat znał wielu jej przyjaciół z Immaculaty; uczęszczał do tej samej szkoły, był o dwie klasy wyżej. Bez wątpienia okazywałby wszystkim niezwykłą serdeczność, lecz jednocześnie stanowiłoby to dla niego tak wielki stres, że cały następny tydzień przeleżałby w łóżku z poważnym przeziębieniem. Na balu uciekałby myślami do historycznych książek, które czytywał niemal obsesyjnie, podkreślając co ciekawsze ustępy żółtym flamastrem jak uczeń. Czułby się znudzony, tęskniąc w duchu do kilometrów zabaiaganionych szuflad, wymagających uporządkowania. Nie bawiłyby go opowiadane dowcipy, na które musiałby odpowiadać wymuszonym śmiechem. Odgrzewanie starych opowieści i zadawnionych animozji uznałby za bezcelowe i okrutne.

Natomiast Beth nie mogła się tego doczekać.

Wyłączyła silnik. Siedem samochodów za nią jakiś idiota trąbił, okazując swoje niezadowolenie ze zwłoki. Beth zerknęła we wsteczne lustro. Ben wyciągnął szynkę z kanapek zapakowanych przez Jill i teraz smarował nią tylną szybę.

- Benbo - odezwała się stanowczym głosem - szynka jest do je-

dzenia, nie do czyszczenia. - Zrobiło się jej lekko niedobrze, gdy Ben natychmiast wpakował wyświechtany kawałek wędliny do ust. Mogła go jakoś powstrzymać, ale po co? Ben codziennie zjadał coś, co spadło na podłogę, a czasami nawet stawiał sobie miseczkę z płatkami na ziemi, żeby spróbować, jak jedzą psy. Nieważne. Jill umyje dzieci. Opluczą się w hotelowym basenie. Beth nie zamierzała się denerwować.

Samochody przed nią posunęły się o parę centymetrów, więc zapaliła silnik. Właśnie w tym momencie Vincent zaczął dźgać Bena w szyję gumowym, żółtym Indianinem. To musiało boleć. Mogłaby powstrzymać Vincenta, ale zaraz wymyśliłby coś innego. Ben nie płakał. Beth nauczyła się reagować dopiero na pewien specjalny ton płaczu -przenikliwy, w wysokich rejestrach. On dopiero stanowił dla niej sygnał, że należy przerwać tortury. Dzisiaj zamierza tolerować wszelkie wybryki tak długo, póki nie poleje się krew. Zlustrowała swoją nową fryzurę w lusterku - włosy były w modnym nieładzie, a siwiznę starannie pokryła henną. Gdy tylko rozładuje się ten korek, pozostanie im najwyżej pół godziny jazdy do hotelu, stojącego nieopodal jej szkoły średniej w Parkside.

- Zaśpiewaj „Buszując w zbożu”, mamusiu - poprosił Ben, ignorując coraz agresywniejsze zaczepki Vincenta. „Jak on tak może? - zastanawiała się Beth. - Jak może dźgać Bena, który tak bardzo go kocha?” (I natychmiast pomyślała w poczuciu winy: „Jak mogę chwytać Vincenta tak brutalnie za ramię? Wydzierać mu się prosto w twarz?”) Beth zaczęła pół śpiewać, a pół nucić. Ben nie dosłyszał słów piosenki i teraz Vincent spierał się z nim o nie gwałtownie, z krwiożerczą nutą w głosie.

Beth zamknęła oczy i pogrążyła się w marzeniach o nadchodzącym wieczorze - o dawnych znajomych, których niedługo ujrzy - wszystkich bogatszych od niej, ale nie tak „twórczych”, nie wyglądających równie dobrze jak ona i na pewno nie posiadających tylu uroczych dzieci. „Atrakcyjna - stwierdziła w myślach Beth. - Jestem atrakcyjna. Nie jakaś specjalnie piękna, ale w skali od jednego do dziesięciu zdecydowane, niezachwiane siedem”. Gdy Beth myślała o swoim wyglądzie, pierwszym słowem, które przychodziło jej do głowy, było „kwadratowy”. Miała proste, kwadratowe ramiona, będące jej zmorą aż do czasu, gdy stały się modne, i prosty, kwadratowy podbródek. Gedną z ulubionych anegdotek ojca, którą często opowiadał gościom przy stole, były jego wrażenia z pierwszego spojrzenia na swoją jedynaczkę. Miał powiedzieć wówczas: „To dziecko ma szczękę O'Neillów. Można nią odmierzać kąty”). Nawet włosy Beth, jeżeli pozwoliła im

układać się swobodnie, tworzyły kwadratowe obramowanie jej twarzy. Ku swej rozpaczy, miała także krępe, kwadratowe biodra. Gdy skończyła dwanaście lat, pediatra oznajmił jej matce: „Będzie rodzic bez najmniejszego wysiłku przy takiej budowie miednicy”. I choć do czasu narodzin Kerry Beth rzeczywiście była rekordzistką w dziedzinie łatwych porodów, wciąż nie mogła przestać myśleć o słowach doktora Antonellego bez przykrego uczucia, że została jakoś genetycznie zaprogramowana - jak ciężki perszeron do ciągnięcia przeładowanych wozów.

Wyglądem Beth nie dorównywała Ellen, swojej przyjaciółce jeszcze z wczesnych lat dzieciństwa. Ellen jednak od dwudziestu lat utrzymywała uparcie:

- Nikt nie patrzy na twój tyłek, Bethie. Gdy spojrzą raz w twoje czarowne, uwodzicielskie, zielone oczy, nie mogą już od nich oderwać wzroku.

Och, Ellen. Dla Beth cały urok tego zjazdu sprowadzał się do spotkania z Ellen. Ellen była od niej piętnaście centymetrów wyższa i piętnaście kilogramów cięższa - stanowiła ten rodzaj posągowej, złocisto-włosej blondynki, na widok której mężczyźni wciąż wpadają na rozmaite przeszkody.

Czekała na Beth w hotelu. Ellen mieszkała w zachodniej dzielnicy, gdzie wszyscy razem dorastali, ulicę dalej od rodzinnego domu Beth wciąż zamieszkiwanego przez jej ojca. Ale na zjazd zarezerwowała pokoje dla siebie i Beth oraz dla Jill i dzieci. Zostawiła swojego męża, syna i rozmrożoną potrawkę z tuńczyka w okazałym domu na przedmieściu, a sama poszła kupić wymyślną czarną suknię ze sztucznego jedwabiu. Narysowała ją dla Beth i przysłała ten szkic w liście. Perspektywa wspólnego weekendu sprawiła, że obie poczuły się jak siedemnastolatki. „Myślę, że jeżeli Nick poprosi nas, żebyśmy usiadły z nim przy jednym stole, powinnyśmy się zgodzić - napisała Ellen pod rysunkiem. - Jego żona nie powinna mieć nic przeciw temu. Ostatecznie zeszli się dzięki tobie”.

Pierwsza miłość Beth, najpiękniejszy chłopak, jakiego widziała w całym swoim życiu, często widywał się z Ellen i jej braćmi, a kiedyś nawet zawarli jakiś wspólny kontrakt budowlany z mężem Ellen. Ilekroć Beth o nim myślała, czuła, jak mimowolnie kurczą się jej mięśnie brzucha. Nie widziała Nicka od dziesięciu lat; ostatnim razem spotkali się na pogrzebie wspólnego znajomego - chłopaka, który dwukrotnie odbywał służbę w Wietnamie, a w końcu popełnił samobójstwo, uderzając samochodem w rozpedzony pociąg towarowy. Choć Beth wciąż

na swój sposób tęskniła do Nicka, myślała o nim w cklewie sentymentalnych kategoriach, w żaden sposób nie przystających do jej realnego życia, w tamtych okolicznościach mogła jedynie przytknąć swój policzek do jego policzka, kiedy spotkali się nad trumną. I wówczas także, jak zazwyczaj, zadawała sobie pytanie, czy nie powinna była jednak go poślubić.

Nick Palladino był typem twardziela, nieintelektualisty, chłopakiem, któremu wrócono karierę zabójczo przystojnego sprzedawcy w sklepie z obuwem, spędzającego wolny czas na dźwiganiu sztang w siłowni i randkach z „króliczkami” z miejscowego klubu Playboya. Jednak dziesięć lat później Beth była fotografikiem, mogącym sobie z trudnością pozwolić na paczkę papierosów, natomiast Nick posiadał własne przedsiębiorstwo. Piętnaście lat później Beth była niepalącym fotografikiem, Nick zaś sprzedał swoje przedsiębiorstwo budowlane za sumę, która przewyższała wartość całej dzielnicy w Madison, gdzie mieszkała Beth. Nick ożenił się z Trishą, opanowaną, delikatną dziewczyną, którą uczynił swoją księżniczką. Trisha mieszkała naprzeciwko Beth w akademiku. Z college'u Beth pisała do Ellen rozpaczliwe listy, skarżąc się, że na swoim piętrze w dormitorium Kale Hall wygląda jak odmieniec na planecie nordyckich blondynek. A Ellen odpisywała, że bez względu na okoliczności Nick nigdy nie pokocha nikogo poza Beth i wybaczy jej absolutnie wszystko, jeżeli ona tylko zechce do niego wrócić.

Teraz, jadąc samochodem, Beth podśpiewywała i wspominała Trishę.

Trisha pochodziła z Maine i nigdy w życiu nie widziała czegokolwiek choć w najmniejszym stopniu przypominającego procesję ku czci Matki Boskiej z góry Carmel. Pat i Beth zabrali ją na tę uroczystość, w trakcie której suplikanci obnosili po ulicach figurę Madonny z dzie-sięcio- i dwudziestodolarowymi banknotami przyczepionymi do fałd jej ceramicznej sukni. Kupili Trishy kartonowy pojemnik z zimną fasolą lupini i stanęli obok podwyższenia dla orkiestry. I właśnie wtedy, jakimś szóstym zmysłem, Beth wyczuła obecność Nicka, jeszcze zanim go zauważyła. Miał na sobie przepiękny płaszcz: skórzany, w ciepłej, miodowej barwie. Najpierw zatańczył z Beth, a Pat przyglądał im się, promieniejąc tolerancją - ostatecznie to jego pierścionek tkwił na palcu Beth. A potem Nick zatańczył z Trishą - był doprawdy świetnym tancerzem. Beth zzieleniała z zazdrości: wiotkie dziewczyny o karmel-łowoblond włosach i delikatnych nadgarstkach nie rodziły się na kamieniu w zachodnich dzielnicach Chicago. Godzinę później nie było już

odwrotu. Klamka zapadła. Beth wyróżniła się w czasie wesela Nicka i Trishy, upijając się do nieprzytomności i wymiotując na swoją suknię z beżowej organdy.

- Każdy, każdy kogoś ma - tylko mówią, że nie ja - podśpiewywała Beth, przepychając się przez trzy pasy, żeby dotrzeć do zjazdu na międzystanową drogę numer 290.

- Uwielbiam tę część piosenki - oznajmił Ben.

- Nienawidzę tej części - stwierdził Vincent. - Tak naprawdę nienawidzę całej tej piosenki.

Beth nie zamierzała tym razem wymiotować, ale pragnęła upić się z Ellen; upić się, chichotać, szeptać po kątach i zamykać się razem z nią w łazience, gdy tylko pojawi się temat wymagający obszerniejszego omówienia. Postanowiła, że aż do poniedziałku zapomni o tym, że ma dzieci i świeżą bliznę po cesarskim cięciu.

Beth zdecydowała się odstawić od piersi Kerry, chociaż nienawidziła się za to, że z powodu zjazdu tak kategorycznie postępuje ze swoim najmłodszym, ostatnim dzieckiem. Poza tym jej zazwyczaj zaniedbane paznokcie były teraz starannie opilowane i polakierowane, a dzięki intensywnym ćwiczeniom zdołała zrzucić prawie trzy centymetry z obwodu swoich „kwadratowych” bioder.

Ledwo Beth podjechała pod portyk hotelu „Tremont” przy School Drive, Ellen już chwyciła ją za ramiona, powtarzając wibrującym głosem:

- Przyjechałaś! Już przyjechałaś! Nie uwierzysz - Ellen zniżyła głos do szeptu: - Diane Lundgren jest tutaj i waży co najmniej ze 150 kilo. Poważnie.

- I kto jeszcze? Kto jeszcze? - wykrzykiwała Beth, uwalniając Kerry z jej samochodowego fotelika. Ellen natychmiast pochwyciła niemowlę w ramiona, przytykając nos do malutkiej główki, oferując dziecku do zabawy swój srebrny naszyjnik z delikatnych paciorków, który Kerry natychmiast wepchnęła do buzi.

- Jestem twoją matką chrzestną, Kerry Rose Cappadora - gruchała Ellen, wyciągając po kolei wolną rękę w kierunku chłopców, przyciągając ich do siebie gwałtownie i całując serdecznie. Chłopcy dorastali w przekonaniu, że Ellen jest ich ciotką, więc nie sprzeciwiali się owym serdecznościom; od urodzenia uważali Ellen - która zawsze była równie żwawa i śmiała, jak Beth niepewna siebie i ponura - za coś w rodzaju naturalnego, przyrodniczego zjawiska, jak tęcza czy zaćmienie słońca. - Vincent, czy nauczyłeś się już pływać? Gdzie się podział twój ząb? - Ellen niemal krzyczała. Ucałowała Jill, którą wciąż na chi-

cagowską modłę zwała „Jilly”, po czym zarzuciła sobie na ramię pół tuzina toreb i plecaków Beth. - Upchnijmy gdzieś to wszystko, dobrze? A potem Jill zabierze dzieci na basen, lunch czy gdziekolwiek będzie chciała, a my pójdziemy sobie na drinka.

- Ależ, Ellie, jest dopiero pierwsza w południe! - napomniała ją Beth, zawstydzona nawet przed Jill.

- Przecież jesteśmy wolne! - przypomniała jej Ellen. - Dziś możemy zachowywać się nieodpowiedzialnie... Dziś nie mamy dzieci. I nie będziemy prowadzić samochodu.

Beth spojrzała na Vincenta. Wzrok miał morderczy. On jej naprawdę nienawidzi. Wiedziona poczuciem winy, objęła go i przyciągnęła do siebie.

- Nawet nie wiem, czy dostaliśmy połączone pokoje.

- Dostaliście - odparła Ellen. - Za wszystko zapłaciłam własną kartą kredytową. Beth ogarnęło przerażenie.

- Ellen! Nie możesz tego robić!

Ellen miała pieniądze - o ile Beth wiedziała, wszyscy w interesie budowlanym byli nieźle nadziani. I chociaż Pat marzył o tym, by zostać współwłaścicielem restauracji, a Beth chciała mieć studio fotograficzne z prawdziwego zdarzenia, gdzie mogłaby zatrudniać na stałe laborantów - na razie nie należeli do zamożnych. W ich domu nigdy się nie przelewało. Pewnego razu brat Beth, Bick, powiedział jej od niechcienia, że znaleźli się z żoną w kłopotach finansowych, że „żyją od wypłaty do wypłaty”. Beth poczuła kołatanie w żołądku. Panika. Czy nie wszyscy właśnie tak żyli? Czy ona i Pat powinni mieć już jakieś zabezpieczenie, pieniądze procentujące w banku? Przecież dopiero przekroczyli trzydziestkę! Czy tak rzeczywiście postępowali inni?

Przepaść ekonomiczna pomiędzy Beth i Ellen zazwyczaj nie miała żadnego znaczenia. Ellen wysyłała jej pocztą szalone prezenty: pościel od Bloomingdale'a, kilogramy czekolady, a raz nawet pięćset dolarów -to było wtedy, gdy Beth, zupełnie załamana, popłakała się w słuchawkę telefoniczną, że nie ma za co kupić chłopcom nowych ubrań na Wielkanoc. Beth natomiast wysyłała Ellen odbitki swoich najlepszych zdjęć, w formacie i jakości wymaganych w galeriach; kosztownie oprawione wisiły po całym domu Ellen. Gdy jadały razem w restauracjach, rachunki płaciła Ellen; przysyłała też obligacje państwowe dla Kerry, jakby kraj znajdował się w stanie wojny.

Ale czasami Beth nie pozwalała Ellen na ekstrawagancje.

- Nie możesz za mnie płacić - oznajmiła teraz przyjaciółce.

- Ależ to przecież... ile?... tylko siedemdziesiąt dolców czy coś koło tego - odparła Ellen. - Daj spokój.

- Nie - Beth, choć wystawiona na poważną pokusę, starała się okazać bardziej ambitna i dumna, niż była w rzeczywistości. - Myślę, że będę mogła odpisać sobie opłatę za hotel od podatku. W niedzielę mam tu pracę do wykonania. Muszę sfotografować rzeźby antylop w zoo do nowego folderu.

Ellen natychmiast zmieniła front. Ostatecznie była współwłaścicielką przedsiębiorstwa swojego męża; odpis jest odpisem.

- W takim razie musisz iść w ten tłum i załatwić sprawę po swojemu - powiedziała.

Wtaszczyły bagaże i dzieci do hotelowego holu, zatłoczonego do granic możliwości. Wszyscy absolwenci spoza miasta zarezerwowali tutaj pokoje. Beth niemal dała za wygraną. Obok niej przepływały znajome twarze; jakby oglądała film obsadzony gwiazdami z przeszłości - rysy te same, ale naruszone zębem czasu, imiona i nazwiska czające się gdzieś na końcu języka. Czy doprawdy chce marnować te wspaniałe chwile na negocjacje w sprawie kart kredytowych z dwudziestoletnią recepcjonistką w taniej biżuterii z centrum handlowego, która i tak wszystko w końcu pokręci?

- Elizabeth, piękna Elizabeth Kerry! - Najwyższy mężczyzna w holu uniósł Beth w ramionach. Wayne Thunder był nie tylko pierwszym amerykańskim Indianinem, ale i pierwszym homoseksualistą, jakiego poznała Beth. - Przez ciebie zostałem gejem - powiedział jej pewnego razu. - To dlatego, że nie traktowałeś mnie jak obiekt seksualny. - Wayne pracował w dziale szkolenia pracowników pewnej dużej sieci telefonicznej; był doskonałym, świetnie opłacanym fachowcem, mieszkał na Starym Mieście i spędzał wszystkie Święta Dziękczynienia w domu Pata i Beth.

- Przywiozłaś dzieci... - z zachwytem spostrzegł Wayne. - A cóż to za chłopaki? - Ben i Vincent podskakiwali w podnieceniu. Przepadali za Wayne, który zawsze przywoził im pudła zakazanych fajerków; Pat i Beth zostali poproszeni o wystąpienie z organizacji zrzeszającej mieszkańców dzielnicy po tym, jak Wayne niechcący podpalił żywo płot jednego z ich sąsiadów. Trzymając Bena na rękę, Wayne oznajmił Beth i Ellen konspiracyjnym tonem: - Widziałem Cecil Lockhart. Wygląda jak Gloria Swanson. Ufarbowała sobie włosy na białe. - Beth zdumiała się, gdy na wzmiankę o Cecil Lockhart odezwała się w niej zadawniona animozja. Gdzieś w podświadomości miała nadzieję, że Cecil - szarooka dziewczyna o wdzięku łabędzia, mieszkająca w dzieciństwie obok Beth, nieustan-

nie rywalizująca z nią o miano najlepszej przyjaciółki Ellen - daruje sobie tę uroczystość. Cecil (naprawdę miała na imię Cecilia) była jedyną absolwentką Immaculaty, która w dziedzinie artystycznej miała większe osiągnięcia niż Beth. To dodatkowo podsycalo jej niechęć.

Cecil została aktorką. Uczyła też aktorstwa w Instytucie Guthrie'ego w Minneapolis i Goodmana w Chicago. Poza tym była szczęśliwą mężatką. Beth dowiedziała się od Ellen, że Cecil wciąż nosiła rozmiar 34 i jeszcze musiała ściągać ubrania paskiem. Ellen widziała Cecil rok wcześniej na balu miłośników sztuki. Ponadto Cecil wyróżniła się tym, że jako pierwsza z nich straciła dziewictwo - w wieku piętnastu lat. Spodobało jej się. Gdy skończyła siedemnaście lat, oznajmiła Beth, że nie wyobraża sobie, jak mogłaby przeżyć miesiąc bez robienia „tego”.

Beth spostrzegła nagle, że zjawily się też „wodzirejki”. Stały przy recepcji, cała ósemka, wciąż jedna drużyna, jakby przez dorosłe życie szły także wspólnie rytmicznym krokiem, ustawione w taneczną formację. Ich mężowie, wszyscy opanowani, z potężnymi karkami, stali tuż za nimi. Gdy spostrzegły Beth i Ellen, zafalowały.

- Bethie! - wykrzyknęły Jane Augustino, Becky Noble i Barbara Kelliher. Zarzuciły Beth ramiona na szyję; w ich pamięci pozostała głównie jako niska przyjaciółka ich wysokiej, wysportowanej koleżanki z drużyny - amazonki Ellen - która po swoim sycylijskim ojcu nie odziedziczyła nic prócz nazwiska. Ellen, buntownicza dusza, rozczytująca się w książce „Mężczyzna - wieczne dziecko w ziemi obiecanej”, nigdy nie pojęła istoty „wodzirejstwa”; jak wyznała Beth, przyłączyła się do grupy, ponieważ nic nie przyciągało facetów bardziej niż dziewczyny dopingujące drużyny sportowe. Jeszcze piętnaście lat temu Beth za żadne pieniądze nie podeszłaby do żadnej z nich. Teraz z radością uściskała wszystkie te kobiety, stanowiące swego czasu elitę szkoły, konotując jednocześnie rozłożystość bioder Barbary i jaskrawy blond włosów Becky, przyjmując komplementy, którymi obsypały pogodny uśmiech Kerry, zabawnie obnażający jej pierwszy ząb. A gdy odwróciła się w stronę wózka bagażowego, wpadła wprost na Nicka Palladino.

- Skąd wzięłaś te wszystkie dzieci? - zapytał. Beth poczuła znajomy skurcz w brzuchu.

- Zrobiłam je z tego, co zazwyczaj mamy w domu pod ręką - odparta ze śmiechem.

Nick ją uściskał; Trisha też ją uściskała. Oboje mieli na sobie białe, bawełniane garnitury. Na kimś innym wyglądałyby śmiesznie. Ale Nick i Trisha prezentowali się w tym stroju jak para z rozkładówki „Town and Country”.

Beth przyciągnęła do siebie Jill i przedstawiła Nickowi, wyjaśniając, że jest kuzynką Pata. Potem Ellen ścisnęła Nicka, który w końcu odwrócił się w stronę Vincenta i podał mu dłoń.

- Niewiele brakowało, a zostałam twoim tatą - powiedział miękko głosem. Żeby sprawić przyjemność Beth, rzucił tę uwagę tak, by usłyszała Trisha. Beth się rozpromieniła.

- Mój tatuś to Patrick Cappadora - oznajmił Nickowi Vincent z morderczą nutą w głosie.

- Jill - szybko wtrąciła Beth - postaw, proszę, ten wózek przy windzie, a potem weź kluczyki i zaparkuj samochód, dobrze? - Po czym oddała Kerry w ramiona Ellen, a sama podniosła Vincenta i posadziła na wózku bagażowym. - Vincent, posłuchaj. Chciałabym, żebyś mocno złapał Bena za rączkę. Naprawdę mocno. Możesz się rozglądać wokół i bawić tym śmiesznym wózkiem, ale proszę cię, trzymaj Bena, kiedy mama pójdzie zapłacić pani w recepcji. Zaraz potem popływacie w basenie. - Vincent niemrawo chwycił dłoń Bena.

- Kocham cię, Vincent - oznajmił Ben, próbując jednocześnie precyzyjnie się bliżej stojaków z zabawkami.

Vincent uśmiechnął się złośliwie.

- On cię kocha - napomniała go Beth. - Czy nie mógłbyś być choć trochę miły?

- Kocham cię, Ben - powiedział Vincent znużonym głosem. Po czym dodał: - Jest mi gorąco, mamo. I strasznie boli mnie szyja.

A chwilę później - Beth nigdy nie wyrzuci tego momentu ze swojej pamięci, bez względu na to, jak wielu innych, przypadkowych, szczęśliwych scen nie będzie sobie w stanie przypomnieć po latach - Vincenta ogarnął nagle przyływ jawnej czułości, jaką okazywał jedynie Benowi lub Kerry, nigdy Beth. Nie zachowywał się tak nawet w stosunku do Pata - ale tylko dlatego, że jego miłość do ojca była niezmienna i stała, nie oscylowała pomiędzy przywiązaniem a niechęcią.

Vincent wyciągnął ramiona, objął Bena w pasie i udawał, że wsuwa palec pod jego pachę, mówiąc: - Gili, gili, Kręciołku Benie - a Ben wił się w ekstatycznej radości.

„No, nieźle” - pomyślała Beth. - To potrwa tylko minutkę - oznajmiła chłopcom - dobrze? Jill zbiera nasze bagaże. Nie ruszajcie się stąd. - Nick zniknął jej z oczu. Widziała natomiast Ellen, jej złocisto-blond głowa górowała nad głowami innych kobiet. Stała w otoczeniu mężczyzn, machając do wszystkich rączką Kerry w geście „pa, pa” - w górę i w dół. Beth przebiła się przez stojący na jej drodze mur pleców. Recepcjonistka trzymała przy uchu słuchawkę, tłumacząc opry-

skliwie jednemu z gości, który widocznie utknął na lotnisku, że hotel nie dysponuje własnym środkiem transportu i że nie, nie ma pojęcia, jakie przedsiębiorstwa taksówkowe jeżdżą z lotniska, i że właściwie w tej chwili jest niezmiernie zajęta. Beth usiłowała w tym czasie obserwować Vincenta, ale z trudnością mogła dostrzec swojego syna podskakującego na wózku. Wypatrywała też Jill - jak długo można parkować samochód? Gdy w końcu recepcjonistka odwróciła się do mej ze znudzoną twarzą i wysyczała: - Sssłuchaam? - Beth była na to zupełnie nieprzygotowana. Postawiła torebkę na kontuarze tak gwałtownym ruchem, że niewiele brakowało, a cała zawartość wylądowałaby recepcjonistce na kolanach.

To wszystko trwało około pięciu minut. Mimo że dziewczyna działała wolniej niż dieta odchudzająca i mimo że Beth podała jej najpierw kartę licznika gazowego zamiast karty kredytowej, a dziewczyna próbowała ją skasować, nie zauważając, że to nie Visa.

- Na pewno mniej niż dziesięć minut - oznajmi później policji Beth, pomimo że przypadkiem wpadła na kuzyna Pata i spotkała jeszcze Jimmy'ego Daugherty, jej szkolnego partnera z zajęć laboratoryjnych, obecnie policjanta z posterunku w Parkside. - Na pewno nie więcej niż dziesięć minut.

W końcu, ściskając w dłoni kopie rachunków, portfel i smoczek Kerry, Beth dotarła do windy. Vincent stał niedbale oparty o ścianę, powoli przesuwając stopami wózek - tam i z powrotem.

- Gdzie Ben? - spytała.

Vincent wymownie wzruszył ramionami.

- Nie dał mi się trzymać. Chciał iść do cioci Ellen. Szyja mnie strasznie boli, mam potówki.

Bezmyślnie, odruchowo Beth dotknęła jego szyi. Poczula małe czerwone grudki.

- Poczekaj tu - zarządziła. Rozejrzała się po holu w poszukiwaniu Ellen. Nietrudno było ją dojrzeć. Beth gwizdnęła. Ellen z Kerry w ramionach zaczęła przepychać się w jej stronę.

- Czy jest z tobą Ben? - zapytała Beth. Przypomniała sobie pozniej, że w tym momencie jeszcze nie czuła strachu. Nie ogarnęło jej przerażenie, jak wtedy na jarmarku stanowym, gdy Ben miał dwa latka, oddalił się od niej i zapadł w otchłań tłumu. Nie poczuła tego specyficznego mrowienia w brzuchu, poprzedzającego atak paniki. Ben musi być w tym holu. Otaczali ją sami przyzwoici ludzie - dorośli znający Beth, którzy na pewno zapytaliby małego chłopczyka, gdzie jest jego mama. - Ellen, Ben gdzieś poszedł. Musimy go znaleźć.

Ellen przewróciła oczami i poszła w kierunku stoiska z gazetami. Obok, na obrotowych stojakach, królowały zabawki - pokusa każdego dziecka. Beth wyszła z hotelu i rozejrzała się na wszystkie strony po zalanej słońcem ulicy, po czym weszła znów do hotelu, okrążyła windę i wstąpiła do wyludnionej kawiarni hotelowej. Czy tkwiąca tam samotnie kelnerka widziała małego chłopca w czerwonej czapeczce baseballowej? Nie. Beth przykucnęła w holu, obserwując tłum z perspektywy Bena. Ale wszystkie nogi, które dostrzegała, poruszały się na wysokich obcasach bądź w męskich półbutach. Biegiem wróciła do windy.

- Vincent, zastanów się przez chwilę, w którą stronę poszedł Ben?

- Nie wiem.

- Nie patrzyłeś na niego?

- Nie mogłem go dostrzec.

Dopiero w tym momencie oddech Beth zaczął się rwać i poczuła mrowienie w dłoniach, jak wtedy gdy ledwo uniknęła zderzenia z innym samochodem czy prawie skręciła nogę w kostce. „Ben! - dźwięczało jej w głowie. - Usłysz mnie w swoich myślach!”

Ellen wolno brnęła przez tłum, przyzywając Beth do siebie wzrokiem.

- Tam go nie było.

- Ellenie...

- Musimy zawiadomić dyrekcję hotelu.

- No, nie wiem. Może jeśli jeszcze chwilę poczekamy...

- Nie, musimy zawiadomić dyrekcję.

Recepcjonistka oznajmiła im, że szef właśnie je lunch i że jeśli chcą, mogą wypełnić odpowiedni formularz, opisujący to, co zginęło.

- Zginęło dziecko - Ellen wrzasnęła jej prosto w twarz. Dziewczyna odparła:

- Nieważne, co zginęło. Kierownik wróci...

Ellen rzuciła się przez hol i wskoczyła na wózek bagażowy. Miała ponad 1 m 75 cm wzrostu i zanim jeszcze wykrzyknęła: „Uwaga!”, wielu ich wspólnych znajomych już skierowało na nią wzrok. A kiedy wrzasnęła, rozmowy umilkły natychmiast, jak nożem uciął. Zadźwięczał telefon. Rozległ się głos portiera wołającego jakiegoś Chucka na podjeździe tuż przed hotelem.

- Musimy wszyscy poszukać małego synka Beth Kerry - oznajmiła Ellen. - Ma trzy latka i nazywa się Ben. Był w holu jeszcze minutę temu, a więc na pewno jeszcze jest w hotelu. Podzielcie się. Przeszukajcie wszelkie kąty. Kto go znajdzie, niech podniesie go w górę i po prostu nie rusza się z miejsca.

Wszyscy jej posłuchali. Postawili swoje bagaże, gdzie kto stał, i wkrótce hol zapełnił się nawoływaniem, układającym się w melodyjny chór - Ben? Ben? - w najróżniejszych tonacjach. Beth wołała najgłośniej. Jimmy Daugherty podzielił hol na kwadraty i przydzielał poszczególnym osobom obszar do przeszukania. Nick wielkimi krokami przemierzał korytarz pierwszego piętra. Dwadzieścia minut później nieliczni znów witali się z nowo przybyłymi, jednak większość oczu kierowała się na Beth z wyrazem pełnej zakłopotania litości.

Ben zniknął.

Rozdział 2

To Jimmy w końcu oznajmił, że powinni wezwać policję - nie żeby dzieciak gdzieś się oddalił z hotelu, ale policja mogłaby przyspieszyć poszukiwania. Jimmy znał wszystkich na posterunku w Parkside; gdyby nie zjazd, akurat dzisiaj miałby służbę.

- To moja zmiana, Beth. Dobrze chłopaki. Ściągniemy ich tutaj. - Posterunek znajdował się niecałe dwa kilometry od hotelu. - Poczujesz się lepiej, Bethie - zapewniał Jimmy. - Chociaż dzieciak zapewne śpi w jakimś kantorku na pościel.

Kierownik hotelu - pulchny, w typie żigolaka, zdążył już wrócić z lunchu. Gestykulując zamasyście, wymyślał fladkę z recepcji i przyniósł kawę dla Ellen - przekonany, że to ona jest matką zaginionego dziecka - po czym sprawdził, czy aby na pewno drzwi wiodące na basen są bezpiecznie zamknięte od zewnątrz. Wezwał też ochronę hotelu: dwóch niemłodych, ciężko zbudowanych mężczyzn w źle dopasowanych fioletowych liberiach.

Beth usiadła na wózku bagażowym, odgarniając dłońmi włosy z twarzy. Oczyma wyobraźni widziała siebie pełną energii i siły, przemierzającą hotelowe korytarze, zamasyście otwierając wszystkie drzwi, nawołującą Bena głosem czystym, dźwięcznym niczym głos Doris Day. W rzeczywistości nogi miała jak z waty, nie mogła się podnieść. Vincent, zwinięty w kłębek, z kocem Bena zaciśniętym w dłoni, spał gdzieś za jej plecami. Jill zabrała Kerry do pokoju i położyła do łóżka.

Dochodziła druga. Nie minęła nawet godzina od chwili, gdy Beth zjawiała się w hotelu.

Po pierwszych, bezowocnych poszukiwaniach absolwenci opuścili hol. Beth obserwowała ich wymykających się chyłkiem, prowadzących przyciszone rozmowy, niepewnych, jak się zachować w obliczu dramatu. Czy powinni nadal wymieniać powitania, udając, że nic się nie sta-

ło? Pomagać policji w poszukiwaniach? Iść na lunch? Wracać do domu? Dwóch facetów rozsiadło się w barze i z drinkami w dłoniach oglądało mecz futbolowy w telewizorze zamontowanym u sufitu. Nie było ich jeszcze w hotelu, gdy zaginął Ben. Beth nie miała im za złe tego zachowania tylko dlatego, że nie rozpoznawała ich twarzy. „Mężowie -pomyślała. - Nie należą do grona przyjaciół”.

Jimmy wrócił od telefonu i oznajmił, że wszystko załatwił tak, jak chciał.

- Przyślą tu ekipę, żaden problem. Przeszukają dokładnie wszystkie piętra i zanim się obejrzysz, znajdą dzieciaka.

- A jeżeli Ben wyszedł z hotelu? - spytała Ellen. Jimmy miał żalowaną minę.

- Ja... hmm... kilku chłopaków będzie też prowadzić poszukiwania na mieście. Ale... Bethie.. nie martw się. Nie mamy zgłoszeń o jakichkolwiek... hmm... wypadkach.

Wypadkach? Beth gorączkowo próbowała ogarnąć zagrożenia, o jakich do tej chwili w ogóle nie myślała. Bena mógł przejechać samochód, porwać zboczeniec, zmiażdżyć pociąg. Mógł wpaść do wody... Beth usilnie starała się pozbierać. Do tej pory traktowała panikę jak naturalny, normalny odruch; cała rodzina Kerrych zachowywała się w podobny sposób - byle zadrażnienie powodowało burzę.

Jednak Bena nie było już ponad godzinę. Beth nigdy - poza wyjazdami na sesje zdjęciowe, uroczystym obiadem na mieście z Patem dwa razy do roku i porodem - nie spuściła Bena z oczu aż na godzinę w ciągu całych trzech lat jego życia.

To już była poważna sprawa. Zbyt poważna, by ulegać panice. Beth musiała się teraz odwołać do tej części swojej osobowości, która pozwoliła jej spokojnie pracować w ciemni nad zdjęciami pożaru o północy i skończyć tuż przed pierwszą, by dostarczyć fotogramy do redakcji jeszcze przed oddaniem numeru do druku. Tej części, która zdołała silnym, zdecydowanym szarpnięciem nastawić zwichnięte ramię Vincenta, mimo że zwisało wykręcone i bezwładne jak ciężarek na gumowej linie. Musiała odnaleźć w sobie tę Beth, która ze stoickim spokojem tamowała krew, płynącą z rozbitych głów, i wywoływała wymioty u dzieci, gdy najadły się środków rozkurczowych. Ta część jej osobowości walczyła teraz o wydostanie się na powierzchnię. W końcu zwyciężyła. Beth przetarła twarz dłońmi. Była pokryta jakąś tłustą wydzieliną, jakby Beth nie myła się od kilku dni.

A tymczasem wskazówki zegara nieubłaganie przesuwają się do przodu. Ta chwila, gdy przecierała swoją twarz, okazała się kolejnymi ośmioma minutami.

Bena nie było już od godziny i ośmiu minut.

- Bethie - Jimmy usilnie starał się, by jego głos brzmiał zdawkowo - oto Calvin Taylor. Jest moim partnerem. Wszyscy się tu schodzą, bo dzisiaj na posterunku mamy wyjątkowo spokojny dzień. Cal, to Beth Cappadora. Chodzi ojej chłopca.

Beth uniosła wzrok; czuła się bardzo mała, nie większa niż drobna rybka w stawie. Sprawiało jej to przyjemność - jak dobrze siedzieć tu na dole, gdzie nie jest zmuszona do podejmowania jakiegokolwiek działania, gdzie nie może niczego zepsuć, czuć jakiegokolwiek odpowiedzialności. Zastanawiała się, czy Taylor jest w ogóle w stanie ją dostrzec. Był szczupłym mężczyzną w okularach i mówił z zaśpiewem zdradzającym jego jamajskie korzenie.

- Nie martw się, mamusko - pocieszał dobrotliwie. - Jeszcze nigdy me zaginęło u nas żadne dziecko.

Przykucnął obok Beth i łagodnym głosem wypytywał o Bena: jego wzrost, wiek, gdzie stał, gdy ostatni raz go widziała. Beth mamrotała odpowiedzi. Gdy nadszedł Wayne, Calvin Taylor uścisnął mu dłoń i zapytał o rezultaty przeszukania pierwszego piętra. Po wysłuchaniu Way-na odparł radosnym głosem:

- Cóż, panie Thunder, wyraźnie nie pozostawił nam pan wiele do roboty. Będziemy jedynie musieli otworzyć parę drzwi.

Twarz Wayne'a rozjaśnił wyraz dumy - policja pochwaliła jego wysiłki! Beth nieomal wybuchnęła gromkim śmiechem.

Jimmy i Taylor polecili czającemu się w pobliżu kierownikowi by dostarczył im uniwersalny klucz, otwierający wszystkie pomieszczenia w hotelu. Będą musieli sprawdzić ponad dwieście pokoi.

- Och, panowie, tam są przecież goście... - kierownik wił się nerwowo.

- Będziemy pukać - uciał Taylor.

Wkrótce hol zapełnili młodzi, dobrze prezentujący się mężczyźni - prawie wszyscy byli niewysocy, irlandzkiego bądź włoskiego pochodzenia, choć znalazło się tam też paru Murzynów i jeden wysoki blondyn, bardzo germański w typie. Kobieta o długich, brązowych włosach zebranych w kok, w mundurze wyraźnie nie dopasowanym do konturów jej ciała, podeszła do Beth i przysiadła obok niej na wózku.

- Przerazona? - zagadnęła. - Proszę się nie martwić. Znajdziemy go. Musi pani wiedzieć, że w ciągu pięciu lat mojej pracy w policji uczestniczyłam w poszukiwaniu co najmniej tuzina dzieciaków. Wszystkie się znalazły. - Urwała i spojrzała na Beth, rytmicznie, nerwowo skubiącą końcówki włosów. - Znaleźliśmy wszystkie, całe i zdrowe. Bez najmniejszych zadrapań.

Beth nie miała pojęcia, co zrobić z Vincentem; przypuszczała, że powinna go przytulić, pocieszyć. Spojrzała na niego, kiedy niespokojnie poruszył się przez sen.

- Czy można podać pani coś do jedzenia? - kierownik zapytał Ellen. Na twarz wystąpiły mu żywe rumieńce i rozsiewał wokół silny odór dymu papierosowego.

- Ja nie jestem matką zaginionego dziecka - przypomniała mu Ellen. Kierownik, wzdychając głośno, zwrócił się w stronę Beth.

- Czy można podać pani coś do jedzenia?

Beth rozważała przez chwilę odpowiedź. Mimo najszczerzych chęci nie byłaby teraz w stanie przełknąć nic treściwego.

- Poproszę o wódkę z tonikiem - odparła. Usta kierownika ułożyły się w pełne zdumienia „o”, jednak zakrzętała się bez słowa, strzelając palcami w stronę barmana.

- Najgorsza ta papierkowa robota - brązowowłosa policjantka z kunsztownym kokiem na głowie zwróciła się w stronę Beth. - Pani Cappadora, muszę zadać pani parę pytań. Nawet jeżeli znajdziemy chłopca za pięć minut i tak trzeba będzie sporządzić raport, rozumie pani? Poza tym potrzebujemy jak najdokładniejszego opisu dziecka, żeby przesłać go innym jednostkom - oczywiście, jeżeli zajdzie taka potrzeba, choć to oczywiście mało prawdopodobne.

Beth domyślała się, że ta cała zabawa w rutynę, ignorowanie absurdalności sytuacji ma w założeniu wpływać na nią kojąco. Powinna uwierzyć, że łąda moment potargany Ben, z garścią pełną kart baseballowych, wręczony mu przez jakiegoś miłego policjanta, zostanie wyniesiony z windy niczym cenne trofeum. Wszyscy będą się uśmiechać, napominając Bena łagodnie: „Aleś przestraszył swoją mamę, chłopie...”

- ...trzy? - spytała policjantka.

- Tak - odpowiedziała machinalnie Beth. - Słucham?

- Pani synek ma trzy latka?

- Tak, skończył niedawno.

- Data urodzenia?

- Pierwszy kwietnia.

- Prima aprilis. -Aha.

- A włosy ma jakie... brązowe?

- Rude. Ciemnorude. Kasztanowe. A na głowie czerwoną baseballówkę. Ubrany jest w pomarańczową koszulkę z czerwoną rybą z przodu i fioletowe szorty. Na nogach ma trampki. Nowe. Z czerwoną papugą.

Beth przygryzła wargę. Zdawała sobie sprawę, jak to wszystko brzmi - jakby zupełnie nie dbała o wygląd swoich dzieci. Ale kto zastanawiałby się, w jakie kolory ubrać dziecko na podróż samochodem? Obrzuciła wzrokiem brązowowłosą policjantkę. Ona by się zastanowiła. Wyglądała na troskliwą matkę.

Ale właściwie dlaczego, Beth zadała sobie nagle pytanie, funkcjonariusze nie przekazują sobie nawzajem, jak wygląda Ben? Czy ciągle powtarzanie szczegółów ma stanowić dla niej terapię, czy jest swoistą, policyjną strategią?

- Gdzie pani mieszka, pani Cappadora?

Beth przysiadła i skoncentrowała się na odpowiedziach. Chciała być precyzyjna, nie pomijać żadnego szczegółu. Zachować się, jak zachowałby się Pat.

Opowiedziała więc policjantce o umiejętnościach językowych Bena, jego lękach (burze piaskowe, wszystkie zbiorniki wodne, krew) i zwyczaju chowania się w ciasnych miejscach (raz, ku ich przerażeniu, w automatycznej suszarce do prania). Szczegółowo opisała znamię Bena, sinawe, niemal doskonale w kształcie odwrócone V tuż powyżej lewego biodra. Beth tłumaczyła policjantce, że rozważała nawet usunięcie tego znamienia, jednak po zapewnieniach dermatologa, że nie niesie ono żadnego zagrożenia, że jest zwykłym złogiem pigmentu, postanowiła je zostawić. Wyczuwając niepokój policjantki, Beth opowiadała jej także o Vincencie, który obudził się już i poszedł z Ellen zjeść kanapkę. Vincent jest dość trudnym dzieckiem, ale kocha Bena i zawsze był wobec niego opiekuńczy.

- Kerry nosi imię po mnie - wyjaśniała dalej Beth. - To znaczy nie Beth, ale moje panięskie nazwisko: Kerry. Chciałam tak nazwać Bena, ale Pat - mój mąż - zdecydował, że nie jest to imię odpowiednie dla chłopca. Więc nazwaliśmy tak naszą dziewczynkę. A Ben dostał imię po moim bracie... - Beth paplała bez składu. Hol ponownie zaczął zapełniać się ludźmi, policjantami, których przedtem nie widziała.

Dwóch z nich rozstawiło przenośny stół w niewielkim pomieszczeniu na końcu holu, najprawdopodobniej czymś w rodzaju szatni, po czym rozłożyło na nim kilka telefonów komórkowych i nadajnik radiowy, wydający nieustanne trzaski.

- Co oni robią? - zainteresowała się Beth.

- Tworzą centrum dowodzenia - wyjaśniła jej młoda policjantka z kokiem i plakietką identyfikacyjną głośzącą: G. Clemons.

- Po co?

- Żeby pozostawać w stałym kontakcie z posterunkiem, odbierać telefony od policjantów bądź innych służb.

- Innych służb?

- Tak. A także informacje od ludności. Jakiegokolwiek informacje. To znaczy, gdybyśmy byli pewni, że w zaginięcie pani synka zamieszane są osoby trzecie, już podjęlibyśmy szeroko zakrojoną akcję. Ale informacje, które do nas napłyną, mogłyby...

- Informacje? Ale skąd ludzie będą wiedzieć, gdzie dzwonić? - zapytała Beth, po czym wymowa słów G. Clemons boleśnie ją ukłuła. Jedna osoba wiedziałaby na pewno.

- Chwileczkę, pani Cappadora. - Wsuwając parę niesfornych pasemek w staranny kok, funkcjonariuszka Clemons zamieniła kilka słów z detektywem Taylorem, po czym wręczyła mu arkusz papieru, na którym zapisywała odpowiedzi Beth. Taylor wpisał tam jakieś uwagi i podszedł do telefonu.

- Podłączamy się do LSPSI, pani Cappadora. Do Linii Specjalnej Policji Stanu Illinois. Ogłupiające te skróty, prawda? - Kok zachwiał się w geście zatroskania. Beth pomyślała: „Ona za wszelką cenę stara się mnie nie przestraszyć”. - Ta częstotliwość jest monitorowana przez wszystkie służby stanowe. Na przykład: my znajdujemy się w okręgu trzecim, w okolicy Chicago, ale odbieramy informacje nawet z zachodnich i północnych przedmieść...

- Macie mnóstwo policjantów jak na tak niewielki okręg.

- Och, to nie są jedynie funkcjonariusze z Parkside, pani Cappadora. Mamy tu siły z Chester, Barkley a nawet Roswell.

Beth utkwiała w niej wzrok.

- A więc jesteście zaniepokojeni.

- Nie możemy lekceważyć zniknięcia tak małego dziecka na tak długi okres czasu. Musimy to traktować bardzo, bardzo poważnie, pani Cappadora.

Dochodziła trzecia. Bena nie było od dwóch godzin.

Beth spostrzegła teraz, że przy każdym z dwóch wyjść stoi policjant. Okrągły podjazd, a przynajmniej ten jego kawałek, który był w zasięgu wzroku Beth, wypełniał się biało-niebieskimi samochodami, ustawiającymi się jeden tuż obok drugiego, jak pasujące do siebie kawałki puzzli. Jimmy Daugherty właśnie przechodził przez obrotowe drzwi. Beth przeprosiła policjantkę i podeszła do niego ciężkim, chwiejnym krokiem. Poprosiła Jimmy'ego o marlboro. Przypalił je dla niej.

- Bethie, Pat zapewne zjawi się tu wkrótce, prawda? Beth drgnęła.

- Nie dzwoniłam do niego.

Jimmy zgasił swojego papierosa ze złością, brutalnie skręcając go kciukiem i palcem wskazującym.

- Nie zadzwoniłaś do Pata?

- Myślałam, że Ben zaraz się znajdzie, a Pat pracuje. - Coś podobnego mogła powiedzieć jedynie nierozgarnięta ciamajda, zdolna popłakać się, gdy przegapiła odcinek ulubionego serialu. - Nikt mi nie kazał zadzwonić do Pata - spróbowała nowego usprawiedliwienia. To zabrzmiało jeszcze gorzej. Kto w obliczu zbliżającego się nieszczęścia nie dzwoni do swoich najbliższych? Do ojca dziecka?

- Zróbmy to teraz - zaproponował Jimmy łagodnym głosem. „Cóż, ja nie zamierzam tego zrobić” - pomyślała Beth.

- A twoja rodzina? Wciąż jeszcze tu mieszkają, nie?

„Do nich też nie zadzwonię - postanowiła w myślach Beth. - Nigdy w życiu”.

Pat nie zostawiłby trzylatka bez opieki. Przy nim dziecko nie ode-szłoby w nieznane. On na pewno by się przed tym zabezpieczył - przywołał Ellen czy poczekał na Jill i zostawił chłopców pod jej opieką. Nie próbowałby zaoszczędzić trzech minut, koniecznych dla zapewnienia dzieciom bezpieczeństwa, nie odszedłby bezmyślnie, jak to uczyniła Beth, próbując zyskać trochę czasu, zsynchronizować wszystkie działania. Nigdy nie zostawiłby rozgrzanego do czerwoności naczynia z piekarnika na samym skraju blatu i nie próbowałby jednocześnie rozmawiać przez telefon. On nie doprowadziłby do tego, że naczynie z trzaskiem spadło na podłogę. Pat umiał przewidywać podobne wydarzenia.

I jego rodzice, i jej ojciec byli tego w pełni świadomi.

Beth oświadczyła, że nie, teraz nie zamierza niepokoić bliskich.

- Może to i lepiej - odparł Jimmy. - Może rodzina jest zamieszana w zaginięcie Bena, może dziadkowie chcieli mieć chłopca u siebie - to znaczy, Bethie, oczywiście nie traktuję tego przypuszczenia tak poważnie, jak traktowałbym w innym przypadku. Znam dobrze ciebie, Pata i rodzinę Cappadorów. Ale kto wie? Prawdę mówiąc, gdy rozmawiałem o twojej sprawie z szefową, to przede wszystkim poleciła mi wysłać kogoś do domu waszej rodziny i przeprowadzić z nimi rozmowę.

- Do domu Rosie i Angela Cappadorów?

- Aha. Do rodziców Pata. Ja co prawda ich znam, ale nie powinniśmy zapowiadać naszej wizyty.

- Chcesz powiedzieć, że podejrzewacie Rosie i Angela o zabranie Bena?

- Wszystko możliwe. Rodzinne nieporozumienie...

- Och, to idiotyczne, Jimmy. Oni uwielbiają Bena.

- O tym właśnie mówię.

- Słuchaj, między mną a Patem czy rodziną nie zaszło nic złego. Nic absolutnie. Nawet nie mają pojęcia, że przyjechałam do Chicago. Mój ojciec też nie.

- Bethie, ludzie czasami robią przedziwne rzeczy.

Gliniarskie mądrości. Paranoidalne rozumowanie. Wszystko rozgrywało się zbyt szybko. Nagle i nieoczekiwanie wszyscy wykazywali za wiele troski. Czyżby Jimmy naprawdę nie dostrzegął, jak absurdalną stratą czasu byłoby wysyłanie grupy detektywów do wypielegnowanego domu Rosie i Angela Cappadorów, by sprawdzić, czy przypadkiem nie porwali swojego wnuka, choć nawet nie przypuszczali, że przyjedzie do miasta? Czy tak trudno było pojąć Jimmy'emu, że nie ma najmniejszej ochoty na spotkanie ze swoim ojcem ani rodzicami Pata? Angelo zawsze uważał ją za dziwoląga, jej własny ojciec też uważał ją za dziwoląga, a nawet podobnie myślała Rosie, mimo że Rosie na ogół była dobrze nastawiona do ludzi. Jeżeli teraz, w tej dramatycznej sytuacji, zjawiliby się tutaj wszyscy rodzice, poczułaby się osaczona.

Jimmy zabrał ją do telefonu, zapisał domowy numer Beth w Madison, a nawet wykrecił go dla niej. Ale gdy usłyszała sygnał w słuchawce, poczuła, że za chwilę dostanie rozwolnienia, właśnie tu, przy telefonie, więc pośpiesznie oddała słuchawkę Jimmy'emu. Ellen nagle znalazła się tuż przy niej i zabrała ją do toalety, a że Beth nie była w stanie ugiąć nóg, Ellen praktycznie posadziła ją na sedesie. Chwilę później Beth udała się do baru i zamówiła kolejną wódkę z tonikiem. Nawet nie udawała, że zamierza zapłacić. Nie miała pojęcia, gdzie jest jej torebka, gdzie podziały się jej buty. Co dzieje się z Jill. Nick Palladino zszedł z powrotem do holu. Przyniósł Vincentowi miniaturkę piłki futbolowej na gumowej lince i teraz Vincent odbijał ją bezmyślnie - w górę i w dół. Wayne i Nick, wraz z mężami „wodzirejek”, stali przy barze. Beth wpatrywała się w ich szczęki, również poruszające się w górę i w dół.

- ...by pomóc - mówił Nick.

- Hmm? - spytała Beth.

- Jest kompletnie roztrzęsiona. Chce natychmiast wracać do domu - wyjaśniał Nick. - Ale ja zaraz przyjadę z powrotem.

„Ach - pomyślała Beth - Trisha chce zobaczyć dzieci. Swoje dwie małe córeczki. Chce upewnić się, że są bezpieczne: całe i zdrowe. Przytulić je, poczuć ich zapach”.

- Nie - odpowiedziała Nickowi. - Nie musisz wracać. Chyba, że chcesz przyjść na bal.

- Beth, osobiście nie sędzę, by w tej sytuacji odbył się bal. Na pewno nie do czasu, aż znajdą Bena.

Powaga. Nagła powaga sytuacji. Czyżby zaginięcie jej syna stanowiło sprawę tak ważką, że mogło doprowadzić do odwołania imprezy planowanej od roku dla ponad dwustu par? „Jeżeli sytuacja jest aż tak poważna - przemknęło po głowie Beth - wówczas zgodnie z logiką powinnam uderzyć w płacz”. Próbowała napełnić oczy łzami. Jednak one pozostały suche, szeroko rozwarte, unieruchomione, wpatrujące się tępo w guziki marynarki Nicka, przyozdobione małymi, srebrnymi wielorybami.

- Beth, wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko - wyznał Nick.

- Och, dobra - odpowiedziała Beth. Czy to stosowna odpowiedź na podobną deklarację? Obrzuciła badawczym spojrzeniem twarz Nicka. Piękne oczy wyrażały dezorientację. „Powinnam była go poślubić - pomyślała. - Bez względu na jego niedociągnięcia intelektualne. Wówczas nie miałabym Bena, więc nie mogłoby zginąć. Wolałabym go nigdy nie mieć”.

Jej szklanka znów była pusta.

Ponownie zjawił się Jimmy Daugherty i oznajmił, że dzwonił do Pata, ale nie zastał go w domu.

- Musisz zadzwonić do restauracji.

- Macie restaurację?

- Należy do wuja Pata. 741-3333.

Jimmy zapisał podany numer. Odchodząc w stronę telefonu, rzucił przez ramię:

- Nie przejmuj się, Bethie. Rozejrzyj się. Przyjechały oddziały specjalne!

Wydawał się bardzo pewny siebie. Beth sączyła drinka drobnymi łyżkami, z rozwagą.

Ellen zadzwoniła po pizzę. Vincent zażyczył sobie pizzę, a w hotelu jej nie podawali. Ale „Pizzeria Discipio” znajdowała się jedynie parę kilometrów stąd. Ellen powiadomiła też Beth, że Jill położyła się do łóżka... w stanie głębokiego przygnębienia. Kerry była pod opieką Barbary Kelliher.

- Nie martw się, Beth, są w pokoju numer 221, Becky nie spuszcza jej z oka. Kerry jest całkiem bezpieczna, Beth.

Beth zdecydowała nie mówić Ellen, że to nie ma teraz żadnego znaczenia; nie obchodziło jej, czy Kerry jest bezpieczna - przynajmniej do czasu, aż znajdą Bena. Odpowiedziała więc jedynie:

- To dobrze. , Wayne, policja i ochroniarze w fioletowych liberjach gromadzili wszystkich absolwentów znajdujących się w hotelu; mieli się zebrać w sali balowej - oczami wyobraźni Beth ujrzała coś w rodzaju makabrycznej próby kostiumowej przed wieczornym przyjęciem i bale.

Policjanci podzielili się na niewielkie grupy, by jeszcze raz przeszukać opróżnione teraz pokoje. Pozostali goście, nie związani ze zjazdem absolwentów –

jedynie sześć par - zostali przewiezieni mikrobusem hotelowym do „Parkside Arms”, trzy ulice dalej, ponieważ denerwował ich widok mundurów policyjnych w holu i kordonów radiowozów na zewnątrz budynku.

Kierownik wpadł w furię i wszystkim zawracał głowę pytaniem, kiedy wreszcie zakończy się śledztwo.

- Jeszcze się na dobre nie zaczęło, chłopie - powiedział mu w końcu Jimmy.

- Sądziłam, że ten hotel nie ma własnego środka transportu - napomknęła Beth. Ellen wlepiła w nią gniewne spojrzenie: -Co?

- Nieważne. - Szklanka znów była pusta. Beth wyciągnęła ją w kierunku Ellen. Ellen wzięła szklankę z ręki Beth i skierowała się w stronę baru.

Dochodziła piąta. Od zaginięcia Bena minęły cztery godziny.

Beth czuła, jak wszystko kotłuje się jej w żołądku; poczuła gwałtowny przyływ nudności. Chyba powinna przestać pić. Ale dzięki alkoholowi stawała się coraz mniejsza, pogłębiał się proces zapoczątkowany wraz z pojawieniem się partnera Jimmy'ego. Beth była przekonana, że podtrzymywanie tego stanu to najrozsądniejsza rzecz, jaką mogła teraz zrobić. Przyjęła więc kolejnego drinka z rąk Nicka. Nadeszła też brązowowłosa funkcjonariuszka z kokiem.

- A więc pani Cappadora... - zaczęła.

- Beth - przerwała jej Beth. Ona i Pat mieli takie długie nazwisko; jeżeli policjantka będzie go wciąż używać, rozmowa zajmie im całą noc. Noc! Nie, jeszcze nie. Za oknami wciąż świeciło gorące, popołudniowe słońce, rozlewające się falami ponad krągłymi niszami cienia, wyznaczonymi przez markizy hotelowe.

- Proszę więc mówić mi Grace - odparł kok.

- Grace Clemons - powiedziała Beth.

- Rzeczywiście! - wykrzyknęła funkcjonariuszka w taki sposób, jakby Beth wykazała się niezwykłą, jak na swój wiek, inteligencją. -Czasami zdarza się, że rodzice zdejmują dzieciom odciski palców...

- Odciski palców? - Beth wrzasnęła. Na chwilę w holu zaległa martwa cisza; potem zadzwonił telefon i powoli przygaszony szmer gło-

I

sów zaczął ponownie wypełniać salę. I wtedy Beth przypomniała sobie: - Tak, rzeczywiście tak zrobiliśmy. Hrabstwo Dane wprowadziło u nas taki program w szkołach, Identa-Kid. Zdejmowaliśmy odciski obu chłopców.

Beth odniosła wrażenie, że funkcjonariuszka Clemons zacznie za chwilę podskakiwać z radości.

- To cudownie, pani Cappadora! Wreszcie mamy jakiś konkret, coś, co z pewnością pozwoli nam odnaleźć Bena.

„Czy ja mam zaćmienie - pomyślała Beth - czy ona układa kryptogramy? Gdy znajdą Bena, przyprowadzą go do niej, do matki, a on oplecie ją nóżkami. Na co komu odciski palców. Odciski palców dotyczą kryminalistów - i ofiar”.

Beth poczuła nagle, jakby silnik gdzieś w niej zadławił się, a dopiero po chwili zaskoczył. A więc to tak. Sprawy zaszły tak daleko, w tak zawrotnym tempie. Dzieci zabierane do szpitala, znalezione gdzieś w zaroślach, z nieuszkodzonymi rączkami, ale twarzami...

- A więc ten program Identa-Kid, pani Cappadora, został wprowadzony przez lokalną komendę policji?

- Och, nie. Mówiłam, że przez hrabstwo Dane.

- Biuro szeryfa hrabstwa? -Tak.

- Jakiego hrabstwa?

- Hrabstwa Dane. - „Czyżbym przed chwilą tego nie mówiła?” -zastanawiała się Beth.

Grace Clemons wezwała jednego z policjantów obsługujących telefon i poleciła mu skontaktować się z biurem szeryfa hrabstwa Dane z prośbą o przefaksowanie odcisków Bena. „Wy nic nie rozumiecie -chciała wyjaśnić im Beth. - Zgodziłam się na zdjęcie odcisków Bena, żeby nigdy się nie zgubił czy nie został porwany. Były swoistym środkiem zapobiegawczym, jak środek na wymioty trzymany w szafce z lekarstwami na wszelki wypadek, jakby sama jego obecność miała odstraszyć chorobę - te odciski nigdy nie miały być wykorzystane”.

Brazowowłosa policjantka znów coś do niej mówiła. Clemons. Tak. Grace.

- Proszę, powiedz mi, co się wydarzyło od chwili, gdy przyjechałaś do tego hotelu. Twoja przyjaciółka Ellaine...

- Ellen.

- Ellen przyjechała z tobą?

- Spotkałyśmy się na parkingu.

- Na parkingu? Skąd wiedziała, że będziesz na parkingu?

- Wypatrywała mnie. Wychodziła przed hotel, rozglądała się, wchodziła z powrotem. W końcu przyjechaliśmy.

- A poza Ellen, kto był pierwszą osobą, z którą rozmawiałaś?

- Mój chłopak... to znaczy mój eks... mój chłopak ze szkoły średniej, Nick. I Wayne. Mój przyjaciel Wayne. Jest także przyjacielem Pata. I „wodzirejki”.

Grace Clemons robiła wrażenie rozczarowanej. Beth zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. Szklanka znów była pusta. Wyciągnęła szklanę przed siebie. Ellen zmaterializowała się z nicości i zabrała ją.

- Muszę na moment wstać - oznajmiła Beth.

Jimmy Daugherty zdołał jakoś znaleźć czas na zdjęcie swojego eleganckiego garnituru i zastąpienie go zwyczajną letnią koszulą i lekką, sportową marynarką. Jimmy miał wciąż szczupłą sylwetkę pływaka, krótkie, kręcone, ciemne włosy i mocną, kwadratową szczękę, idealną do plakatu reklamującego służbę w oddziałach komandosów. Beth przyszło do głowy absurdałne skojarzenie z Supermanem, lądującym w szatni. Jimmy powiedział Beth, że jako detektyw chodzi w cywilu. Ale pokazał jej swoją złotą odznakę, jakby na dowód, że teraz już oboje są dorośli i odpowiedzialni; nie będą wyklócać się o to, kto pierwszy ma rozkroić żabę w laboratorium.

Jimmy podszedł do Beth z wysoką, smukłą kobietą, popielatą blondynką o pięknych, wymanikiurowanych dłoniach. Nosila krótką, plisowaną spódnicę i długi, bawełniany sweter.

„Zamierza przedstawić mnie swojej żonie” - pomyślała Beth. Czy to możliwe? Jednak po chwili przypomniała sobie, że Jimmy ożenił się z tą małą Ricarelli - Anitą. Była niemal dzieckiem, gdy wychodziła za Jimmy'ego, i zdołała urodzić mu czterech synów jeszcze przed ukończeniem trzydziestki.

- Beth, to moja szefowa - oznajmił Jimmy. - Nadinspektor Bliss.

- Właściwie nie jestem jego szefową - ktoś mógłby rządzić Jim-inym? Po prostu jestem przełożoną detektywów - odparła kobieta z czarującym uśmiechem.

- Jest pani szefem policji? - zapytała idiotycznie Beth.

- Nie, jedynie detektywów. Nazywam się Candy Bliss¹.

Beth parsknęła śmiechem - nie mogła się powstrzymać. Jednak natychmiast się opanowała.

W zielonych oczach kobiety pojawił się konspiratorski błysk rozbawienia.

¹ *Candy* - cukierek; *bliss* - rozkosz (ang.). (Przyp. tłum.)

- Wiem, brzmi to jak pseudonim striptizerki, prawda? Moja siostra ma na imię Belle, słyszała pani kiedyś coś podobnego? Belle Bliss? Jeżeli ja jestem striptizerką, to ona już jest laleczką gangstera. Co też rodzice potrafią narobić własnym dzieciom! - Urwała i przycisnęła swój długi, wysmukły palec do bruzdy między elegancko wygiętymi brwiami. - Jak ja mogę pleść takie bzdury. Pani Cappadora, chciałam panią zapewnić, że odnajdziemy pani chłopca. Czy możemy usiąść?

Jimmy się oddalił.

- Jimmy nie musi dziś pracować. Ma wolny wieczór - bezradnie powiedziała Beth. Nie chciała, żeby Candy Bliss uznała ją za osobę zaborczą.

- Och, jestem pewna, że Jimmy chce dziś pracować - odparła Candy Bliss. Posłała Beth jeden ze swoich oszłamiających uśmiechów, po czym zwróciła się w stronę Grace Clemons. Beth spostrzegła, jak momentalnie znika uśmiech Bliss, jakby gwałtownym ruchem ktoś starł go z jej twarzy.

- Dokładny opis? - spytała.

- Już rozesłany - zameldowała Clemons. - Teraz analizujemy doniesienia.

- Co za doniesienia? - spytała Beth. - Czy ktoś go widział?

- Nie, to nie takie doniesienia, pani Cappadora. Mówimy o specjalnej sieci komputerowej - wyjaśniała Candy Bliss. - Policja tworzy elektroniczną bazę danych. Gdyby teraz ktoś próbował posługiwać się nazwiskiem czy datą urodzenia Bena...

- Ben nie ma pojęcia, kiedy się urodził.

- A więc jego nazwiskiem, wówczas natychmiast poznamy miejsce pobytu chłopca.

- Miejsce pobytu?

- Może to być szpital, gdyby uległ jakiemuś wypadkowi, czy jednostka policyjna, gdyby znaleźli małe dziecko samotne, bez opieki.

Nadinspektor Bliss znów zwróciła się w stronę policjantki.

- Clemons, teraz ja zajmę się panią Cappadora. Wy natomiast zajmijcie się przygotowaniem oświadczenia dla prasy. Będzie nam potrzebne, jeżeli sprawa zaraz się nie zakończy. - Candy Bliss zwróciła się w stronę Beth. - Czy Ben reaguje na swoje imię i nazwisko?

-Tak.

- No dobrze, podajcie więc nazwisko, ale skoncentrujcie się na opisie. I... chciałabym wszystko przejrzeć przed rozesłaniem.

Pstryk. Zwrot. I znów promienny uśmiech.

- No dobrze. Proszę posłuchać. - Rachunek prawdopodobieństwa

sugerowałby, że odnalezienie Bena jest już teraz kwestią najwyżej godziny.

- Dzieci wciąż się gubią. Nawet w takim niewielkim mieście jak nasze. Oddalają się z placów zabaw, z biblioteki, giną w czasie kiermaszów. Czasem nawet wychodzą same z przedszkola - wtedy mamy tu istne piekło. A one wędrują wzdłuż ulicy, potem skręcają nie tam, gdzie trzeba, i już nie potrafią znaleźć drogi. Ale zawsze ktoś je znajduje. Ben już też zapewne jest pod czyjąś opieką, jednak zazwyczaj upływa trochę czasu od chwili znalezienia dziecka, do chwili zawiadomienia policji czy przyrowadzenia go na posterunek...

- A więc usiłuje mi pani powiedzieć, że Bena na pewno nie ma już w hotelu. Kropka - przerwała jej Beth.

- Uważam, że upłynęło zbyt wiele czasu, by wciąż jeszcze brać tę możliwość pod uwagę. Poza tym hotel przeszukano bardzo dokładnie.

Candy Bliss wyjaśniła, że teraz policja opracuje strategiczną mapę okolicy i natychmiast przeprowadzi dokładne, systematyczne przeszukanie: najpierw obejdą wszystkie sklepy w kompleksie ciągnącym się wzdłuż cmentarza, a następnie przejdą na teren szkoły i sprawdzą wszelkie pomieszczenia ze sprzętem sportowym, boiska, trybuny - jednym słowem wszystkie miejsca, które mogłyby przyciągnąć małego chłopca.

- Wśród nas jest wielu ojców i dziadków, których dzisiejsze wydarzenie bardzo wzburzyło - powiedziała pani nadinspektor. - Zgłaszają się tu na ochotnika, chociaż dzisiaj nie mają służby. Tak *a propos*, to powód, dla którego ja zjawiłam się tak późno. Dzisiaj mam wolne. Przepraszam, że tak długo to trwało, ale byłam na urodzinach siostrzeńca aż w Algonquin.

- Och, przykro mi. - Beth potrząsnęła głową.

- Oczywiście musiałam tu przyjechać? Proszę się nie przejmować. Mały i tak wyciągnął ode mnie to, co chciał. Samochodzik Psotnika.

- Ben też ma taki. Dostał od Świętego Mikołaja. Ile lat ma pani siostrzeniec?

- Dzisiaj skończył trzy. Jest trzylatkiem.

Beth sięgnęła po szklankę i opróżniła ją jednym haustem. Właśnie nadjechał samochód z pizzerii.

Dochodziło wpół do szóstej. Bena nie było od czterech godzin i trzydziestu minut.

Chłopak z pizzerii w pomarańczowoczerwonym fartuchu ledwo zdążył przejść przez obrotowe drzwi, gdy do hotelu wpadł jak burza Pat, przewracając dostawcę na kolana. Z restauracji Cappadorów do Parkside było około 300 kilometrów. Pat powiedział później Beth, że wów-

czas nie zdawał sobie sprawy, z jaką szybkością prowadził; Beth obliczyła jednak, że musiał jechać co najmniej 180 km/godz. Nie zatrzymał się ani razu, nawet nie zapłacił za przejazdy przez autostradę. W restauracji zostawił otwarte drzwi zamrażarki i niedomkniętą kasę, pełną pieniędzy. Augiego akurat nie było na miejscu, siedziała tam jedynie siedemnastoletnia kelnerka.

- Gdzie on jest? - zapytał Pat kierownika, który miał nieszczęście znaleźć się na linii wzroku Pata jako pierwszy.

- Ten mały chłopczyk? O tym będzie pan musiał porozmawiać z policją.

- Paddy - Jimmy podszedł do Pata, zwracając się do niego głosem pełnym naturalnego ciepła, charakterystycznym dla irlandzkich ziomków Beth; tego ciepła bardzo jej teraz brakowało. - Jeszcze go nie znaleźliśmy. Ale to już nie potrwa długo.

- Co? - wykrzykiwał Pat. - Co? Gdzie Ben? Gdzie Beth?

Beth pospiesznie odstawiała do połowy opróżnioną szklanę gdzieś za siebie i, gramoląc się, zdołała stanąć na nogach. Pat rzucił się w jej kierunku, złapał ją gwałtownie jedną ręką, drugą ujął tył jej głowy tak, jak chwyta się niemowlę.

- Bethie - powiedział powoli i dobitnie, jakby cierpiała na zaburzenia słuchu - powiedz mi, jak do tego doszło. Powiedz mi, gdzie jest Ben.

Beth poruszyła się nieznacznie; czy powinna wzruszyć ramionami? coś powiedzieć? wytłumaczyć?

Pat wypuścił ją z objęć w sposób, który trudno byłoby nazwać delikatnym, mówiąc:

- No dobrze, dobrze. Czy tu można palić? - Co najmniej cztery osoby podsunęły mu ogień. - No dobrze - odezwał się ponownie - czy jest jeszcze w hotelu takie miejsce, którego nikt nie przeszukiwał? Na przykład piwnice?

- Jedynie spiżarnie - odpowiedział mu kierownik. - Ale one są zamknięte. Wszystkie pomieszczenia prowadzące do spiżarni są zamknięte od zewnątrz.

- Benowi spodobalyby się spiżarnie. Wychowywał się w restauracji. Wśród zamrażarek, lodówek i szafek z jedzeniem. - Pat machnął w kierunku kierownika. - Pan mnie tam zaprowadzi.

- Nie widzę powodu.

- I tak mieliśmy to zrobić - odparł Calvin Taylor, pojawiając się nie wiadomo skąd. Gdy obaj z Patem wychodzili z holu, zmaterializował się Vincent, wykrzykując: „Tatusi!”

Pat ruchem dłoni nakazał Vincentowi, by został w holu z matką.

- Pani mąż - odezwała się Candy Bliss - odczuwa potrzebę działania. To normalne. Wszyscy tak reagujemy. My natomiast porozmawiamy jeszcze raz o tym, co wydarzyło się w ciągu pierwszych trzydziestu minut waszego pobytu w hotelu. Dobrze, Beth?

To było jak liturgia. Chryste, zmiłuj się nad nami. Boże, zmiłuj się nad nami. Zmiłujcie się nad nami wszyscy możliwi święci. Przebaczcie wszystkie czyny. Niezmiennie ta sama litania. Rola Beth sprowadzała się jedynie do monotonnej, bezmyślnej recytacji.

Czy Beth widziała, gdzie odszedł Ben? Czy Vincent to widział? Czy Hen miewał zaburzenia percepcji bądź jakiegokolwiek inne dolegliwości neurologiczne? Czy zdarzały mu się ataki padaczki? Czy pociągały go błyszczące przedmioty?

Ataki? Błyszczące przedmioty?

- Co? - spytała Beth. - Oczywiście, że Ben lubił błyszczące przedmioty.

Wszystkie dzieci je lubią. - Wyjaśniła też Candy Bliss, że nic nie widziała, zupełnie nic, tylko przez jedną, krótką chwilę głowę Vincen-ta kołyszącego się na wózku.

- Zapytajmy więc panicza Vincenta - zaproponowała Candy Bliss. Wstała, po czym usadowiła się na wózku bagażowym obok kulącego się chłopca. - Czy chciałbyś pomóc gliniarzom, Vincent? Mamy problem z zaginionym braciszkiem.

Vincent nie patrzył na Candy. Wlepił wzrok w Beth, która słabo kiwnęła głową.

- Przede wszystkim chciałabym, żebyś mi pokazał, w którą stronę poszedł Ben.

Vincent skulił się głębiej w wózku bagażowym, zapał się plecami o ścianę, unikając wzroku Candy, w sposób bardzo dla niego niecharak-terystyczny. Beth musiała podejść i posadzić go sobie na kolanach. Vincent wtulił twarz w jej brzuch i gwałtownie potrząsał głową. Beth uspokoiła go, po czym odgarnęła mu z czoła mokre od potu włosy.

- Możesz pomóc odnaleźć Bena. Kręciolek Ben potrzebuje twojej pomocy - tłumaczyła mu. Vincent kurczowo zacisnął powieki, Beth odniosła wrażenie, że podobnie jak ona, jej syn chciałby się skurczyć do rozmiaru drobnej plamki.

- Kuli się w sobie - powiedziała Beth do Candy Bliss. Candy odwróciła wzrok.

- No, stary - ponagliła Vincenta - pokaż mi, gdzie poszedł twój brat.

Vincent wysunął bezwładne, chude ramię i wskazał na środek holu.

Gdyby Ben poszedł w tamtym kierunku, znalazłby się blisko Beth. A więc próbował do niej dotrzeć!

- Czy znów czymś go dźgałeś? - zapytała Beth gwałtownie, napastliwie.

- Nie, nie dotknąłem go ani razu!

- Czy coś go przestraszyło? Czy chciał mnie znaleźć?

- Nie. Ellen. Chciał, żebym przyprowadził ciocię Ellen. Powiedział, że musi się wysiusiać.

Beth tak gwałtownie wypuściła Vincenta z uścisku, że ciężko, bezwładnie opadł do przodu. Zacisnęła dłonie na twarzy. Ben bezradny, Ben zawstydzony, szukający przyjaznej, dorosłej osoby, „bezpiecznego” dorosłego, który pomógłby mu skorzystać z toalety. Czy Ben ją widział? Czy wołał? Próbował sam znaleźć łazienkę? Beth wstała, zachwiała się i opadła z powrotem na wózek.

- Myślę, że inne miejsce byłoby do tego bardziej odpowiednie - powiedziała Candy. - Powinna się pani położyć.

Położyć się. Takich rad udziela się zawsze w dramatycznych sytuacjach - ludziom czekającym na wiadomość o ofiarach katastrofy lotniczej, na wynik operacji medycznej, z góry skazanej na niepowodzenie, wszystkim rozbitkom życiowym. Napij się kawy. Połóż się. Spróbuj coś zjeść. Beth sama tak mówiła do kuzynki Pata (Rachelle, matki Jill) nie dalej jak zeszłego roku. Jill, jadącą na rowerze, potracił samochód. Miała nogę złamaną w trzech miejscach. Rachelle posłuchała jej rady - położyła się i zasnęła.

Beth zdawała sobie sprawę, że powinna się położyć - do gardła napływała jej obrzydliwa gorycz, w żołądku wszystko się kotłowało. Ale gdyby się położyła - chciała wyjaśnić Candy Bliss, trzymającej ją teraz za rękę - to tak, jakby zdradziła Bena. Czy pani nadinspektor Bliss sądziła, że Ben w tej chwili odpoczywa? Jeżeli Beth coś zje, czy zje też Ben? Nie powinna robić nic, czego nie mógł zrobić jej syn. Czy płakał? Czy tkwił zamknięty w jakimś ciemnym, dusznym pomieszczeniu? Czy groziło mu niebezpieczeństwo? Gdyby Beth położyła się, czy Ben nie odczułby jej chwilowej słabości, czy nie pomyślałby wówczas, że zaniechała żmudnej wędrówki ku niemu? Że przestała całą sobą wysyłać sygnały stanowiące dla niego życiodajną siłę? Czy on wówczas by się nie poddał, nie zaakceptował bezwolnie i ze smutkiem swej niedoli, dlatego tylko, że jego mama go zawiodła?

Z pewnością ta kobieta zrozumie, dlaczego Beth musi bezwzględnie pozostać skoncentrowana i napięta.

Beth uśmiechnęła się do Candy Bliss spokojnie:

- Ben nie umarł.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Gdyby nie żył, wiedziałabym o tym. Matki czują takie rzeczy.

- Słyszałam o tym.

- Tak jest naprawdę. Dzieci przekazują ci wiadomości swoim umysłem. Budzisz się, zanim one się obudzą - nie dlatego że słyszysz ich płacz; otrzymujesz sygnał, że za chwilę zaczną płakać. - Beth nigdy przedtem nie zastanawiała się nad tą złowieszczą więzią, nad faktem, że gdyby Bena teraz ktoś torturował czy gdyby się dusił, odczuwałaby niewypowiedziane cierpienie - może gdzieś w gardle, a może w brzuchu. Nagle nabrała niezachwianej pewności, że tak właśnie by się stało: jej ciało osiągnęłoby niezwykle stan pobudzenia, szczególny impuls zadziałałby na poziomie każdej komórki. Beth wyprostowała kręgosłup - w ten sposób lepiej odbierze sygnały, będzie bardziej wyczulona. Ale nie poczuła niczego, nie dobiegł jej żaden odgłos ani żaden zapach, nawet najłżejsze tchnienie.

I wtedy Pat wyłonił się ze schodów prowadzących do piwnicy, krzyząc:

- Gdzie tu jest telefon? Muszę zadzwonić do moich rodziców, kuzynki, sióstr!

„Och, nie - pomyślała Beth - nie do nich wszystkich”. Chociaż być może - gdyby tu przyszli, a potem wszyscy sobie poszli - Beth mogłaby spokojnie wsłuchać się w siebie, z dala od tych świateł i zgiełku, w czystym powietrzu nocy. Może wydzwignęłaby się z dna tego stawu, zatechłego bajora, w którym tkwiła od wielu godzin, a skąd teraz obserwowała Pata, i Ben przyciągnąłby ją do siebie. Przyciągnąłby swoją matkę wielką grawitacyjną siłą ich wspólnej więzi.

Dochodziła siódma.

Beth patrzyła, jak Vincent bezgłośnie, zachłannie rzucił się na Pata. Pat wykazał się dostateczną siłą woli, by okazać Vincentowi miłość nawet w tych ciężkich chwilach. Ukrył twarz w szyi Vincenta.

- Nie martw się, Vincenzo - powiedział łagodnie - tatuś odnajdzie Bena.

„Mama - pomyślała Beth. - Mama odnajdzie Bena. Może zdoła”. Po czym pochyliła się łagodnie, powoli, nad krawędzią bagażowego wózka i zwymiotowała na terakotową podłogę tuż przy wejściu do windy.

I

Rozdział 3

Włosi są niezastąpieni w podobnych okolicznościach. W sytuacji kryzysowej Irlandczycy popadają w drzenie i modlą się z teatralną ostentacją. Włosi, natomiast, wiedzą doskonale, co na tym świecie liczy się naprawdę: każdy potrzebuje strawy i dachu nad głową, niczego nie można zwojować o pustym żołądku, dzieci należy wykopać i ułożyć do snu. Poza pogrzebami, gdy pozwalają sobie na wybuchy niepohamowanej hysterii, choć nikomu już to nie może pomóc, Włosi zachowują się dokładnie tak, jak należy.

Teściowa Beth, Rosie, weszła przez obrotowe drzwi z kluczykami samochodowymi w rękę. To ona była kierowcą. Angelo bardzo by chciał prowadzić, ale - starszy od Rosie o dziesięć lat - nawet gdy czuł się bardzo dobrze, to czasami gubił się za kierownicą. Rosie, zawsze decydująca w sprawach rodziny, nie ufała mu w kryzysowych sytuacjach.

Filigranowa, drobnokoścista Rosie w niczym nie przypominała stereotypowej, otulonej czarnym szalem, sycylijskiej matrony, nosiła fryzurę na pazia, a jej śliwkowy żakiet ozdabiała srebrna brosza w kształcie półksiężyca. Wyglądała na osobę szykowną i - jak spostrzegła Beth - niezwykle opanowaną. Poklepała synową po policzku, zwracając się do niej *carissima*, po czym wymieniła znaczące spojrzenia z Patem (w tych okolicznościach słowa były dla nich zbędne). A potem, nie pytając o nic - Rosie od razu wiedziała, że gdyby były jakiegokolwiek wieści, już by je usłyszała - wjechała windą na górę, by zabrać z hotelu Jill i Kerry. Matka Jill, Rachelle, siostrzenica Rosie, czekała w domu Cap-padorów. Jill poczuje się lepiej przy swojej matce. Ellen zaproponowała, że zabierze Vincenta do siebie, żeby mógł pobawić się z małym Davidem - Dan, jej mąż, mógłby przyjechać po chłopca. Rosie jednak zgasiła ją natychmiast z uprzejmym uśmiechem na ustach:

- Droga Ellenie, Vincenzo pojedzie do nas. Tak będzie najlepiej.

Ellen, znającej Rosie od dziecka, w najśmielszych snach nie przyszłoby do głowy wdawać się z nią w jakąkolwiek dyskusję.

Dla Beth przyjazd teściowej był niemal jak radosne święto. Zdawała sobie sprawę, że bije od niej odór wymiocin i wódki - jednak Rosie, choć zazwyczaj krzywiła się bardzo, gdy miała do czynienia z zachowaniem, które określała słowem *stupido*, tym razem niczego nie zauważyła albo postanowiła nie dostrzegać. Angelo wtoczył się do hotelu z wielką tacą kremowych rożków dla policjantów i teraz kładł ją ostrożnie na stoliku z nieustannie dzwoniącymi telefonami. Funkcjonariusze uśmiechnęli się blade, posyłając sobie znaczące spojrzenia. „Oni nic nie rozumieją - pomyślała Beth. - Gdy coś dasz, zawsze coś otrzymasz w zamian”. Zapamiętają te kremowe rożki i, być może, któryś z nich wykona jakiś dodatkowy telefon.

Angelo chwycił Beth w ramiona, uważnie lustrując jej twarz; Pata pocałował na powitanie prosto w usta. - Wielki Boże - wyszeptał. Zdjął papierowe przykrycie z rożków, jeden z nich wysunął się z szeregu i Angelo starannie ułożył go na swoim miejscu.

Rosie i Angelo byli pierwszym pokoleniem emigrantów, jednak, w odróżnieniu od większości Włochów przybyłych na amerykańską ziemię, cechował ich niezwykle pragmatyzm. Zajmowali się organizowaniem przyjęć, a w szczególności przygotowaniem odpowiednich potraw - prowadzili także ekskluzywny sklep garmazeryjny. Żadne wesele mafijne w zachodnich dzielnicach nie odbyło się bez ich bracioli i rożków kremowych, barwionych lodowych łabędzi i fontanny szampa. Nie tylko zresztą mafia korzystała z ich usług. Organizowali wesela dla katolików, którzy nie byli Włochami, a także uroczystości dla protestantów i Żydów. Marynowali pierśi kurze w musztardzie i czerwonym winie; jako pierwsi w tym mieście posypywali sałatki płatkami nasturcji; piekli specjalne miniaturki tortów ślubnych dla młodej pary, które należało zamrozić, by je spożyć dopiero w dzień narodzin pierwszego dziecka. Rosie i Angelo znali się na swojej pracy.

Żadne z ich dzieci nie zapadło nigdy na śmiertelną chorobę, żadne z ich wnuków nie przepadło bez wieści. Przeżyli wspólnie czterdzieści lat i, o ile Beth było wiadomo, największą tragedią, jaka ich w owym czasie dotknęła, stanowiła śmierć jej własnej matki, ich najserdeczniejszej przyjaciółki. Mimo to Beth wiedziała, że Rosie i Angelo zachowali się bez zarzutu: pomogą znaleźć Bena i wszystko jej wybaczą.

Natomiast jej ojciec, Bill, przyjechał do hotelu zdeorientowany, z czerwonymi plamami na twarzy. Ale nie z powodu dramatycznej sytuacji. Bill grał w golfa z kolegami ze straży pożarnej - kiedyś był ich

dowódcą - chociaż już dziesięć lat temu przeszedł na emeryturę. Beth nie zawiadomiła ojca, że przyjeżdża do miasta - miała do wykonania pracę, a bal absolwentów i uroczyste śniadanie następnego dnia i tak zajęłyby jej niemal cały czas pobytu.

- Co się dzieje, kochanie? - zapytał Beth, wygładzając sweter i pochylając się, by ująć jej dłonie. - Co to za sprawa z Benem? Czy zabrali go do szpitala?

Rosie zostawiła dla niego wiadomość przy dziewiętnastym dołku i chłopak z klubu pojechał po niego wózkiem golfowym, żeby jak najszybciej mógł dostać się do hotelu.

- Bill, Ben zaginał... - powiedział mu Pat.

- Zaginał? Ależ Ben ma dopiero dwa lata. Gdzie?

- Ma trzy lata, Bill. Zaginał tutaj. Sądzą, że znajduje się gdzieś w hotelu...

- Trzy? Ano tak, prawda. Czy ktoś zawiadomił policję? Pat westchnął.

- Tak, oczywiście - ciągnął Bill - aż się roi od niebieskich mundurów. Czy dzwoniście do Stanleya? - Stanley był komendantem policji okręgu Chester na zachodnich przedmieściach, gdzie przez dwadzieścia trzy lata Bill pełnił służbę komendanta straży pożarnej.

- Jesteśmy w Parkside, Bill - przypomniał mu Pat. - To ich jurysdykcja. Ale są tu siły z Chester i z Barkley, a nawet z Rosewell.

- Jednak Stanley mógłby pomóc. - Billa cechowała niezachwiana pewność, że jego znajomi załatwią każdą sprawę. Po czym z powątpiewaniem spytał Pata: - Czyż ci gliniarze nie są zbyt młodzi?... Gdzie byłeś, Patricku, gdy oddaliło się dziecko? Gdzie była Beth?

Ellen zaczęła mu wszystko wyjaśniać, natomiast Beth wstała i skierowała się do baru. Zauważyła, że barman, Latynos z wyszukanie wypielegnowanymi wąsami, taksującym wzrokiem obrzuca jeans jej koszuli, wciąż mokry w miejscach, z których Ellen zwilżoną gąbką usuwała wymiociny. Jednak bez słowa sprzeciwu podał jej zamówioną wódkę z tonikiem.

- Rosie! - wykrzyknął Bill, gdy Rosie pojawiła się ponownie w holu ze śpiącą Kerry w ramionach. Tuż za nią szła Jill, prowadząc za rękę Vincenta, który niósł niewielką, podręczną torbę i swoją piłkę futbolową na gumce. - Co się dzieje, kochanie? O co tutaj chodzi?

- Vincenzo, pocałuj dziadka na dzień dobry - poleciła Rosie, a Vincent, choć zazwyczaj nieśmiały w pierwszym kontakcie z Billem, odwrócił w jego stronę buzię do pocałowania. Bill podniósł Vincenta i uściskał Angela.

- Ange, o co chodzi? Gdzie mały?

Beth wychyliła drinka. Nie czuła się ani trochę odurzona, zniknęły mdłości - alkohol służył łagodnie, gładko, niczym gorąca czekolada. Znowu zmalęła. Sytuacja, jak zwykle, przerastała jej ojca; choć tak naprawdę to była tylko jego maniera - udawanie, że życie jest dla niego zbyt skomplikowane. Beth nie wierzyła w jego zagubienie; Bill zachowywał się w ten sposób jedynie po to, by zrzucić wszelką odpowiedzialność na innych. Kiedy umierała jej matka, Bill tkwił na korytarzu szpitalnym z zapadniętą twarzą pod ściągniętymi brwiami, słuchając lekarzy tłumaczących cierpliwie, że pani Kerry musi być dializowana, chociaż nawet ten zabieg nie zredukuje...

- Chwileczkę - przerwał im Bill. - Ta cysta, jeżeli usuniecie cystę, dlaczego wówczas...?

Chwilami ta kombinacja niefortunnnych pauz i dezorientacji Billa przybierała komiczny wymiar. Beth wyobrażała sobie lekarzy mówiących do niego: „Czyżbyśmy powiedzieli dwa tygodnie? Nie, niemożliwe, to kwestia najwyżej dwóch dni...”

Każda, nieskuteczna już, interwencja chirurgiczna, każda nowa kuracja antybiotykowa, opracowana w celu zażegnania postępującej infekcji, prowadziła do kolejnych, nieprzewidzianych komplikacji, odkrycia następnych pokładów obumarłych tkanek, kolejnego zatrzymania istotnych funkcji. Lekarze zarządzali gruntowne badania, próbowali zażegnać doraźne powikłania, prowadzili długie konsylia. Bill nieustannie zapytywał ich, kiedy Evie wyzdrowieje, zamiast dowiadywać się, ile jeszcze zostało jej czasu. Beth oraz jej obaj bracia - Paul i Bick - czuli się zagubieni; bezmyślność Billa wzbudzała w nich litość, ale i nienawiść; chcieli, żeby nimi pokierował, stanowczo i odważnie, tak jak kierował swoim oddziałem w czasie owego wielkiego pożaru w zakładach przemysłowych. Chcieli nim potrząsnąć, wykrzyknąć: „Tato, ona umiera!”

Choroba Evelyn postępowała w zastraszającym tempie, a jednak Hdy umarła, Bill nie mógł opanować zdziwienia.

- Przecież nie wygląda jak osoba przepelniona trującymi wydzielinami - oznajmił Beth w domu pogrzebowym. - Nie wygląda, prawda? Ja tego nie rozumiem.

Teraz patrzył na Beth takim samym wzrokiem.

- Mamy nie zidentyfikowane dziecko. Szpital w Elmwood - wykrzyknął krępy funkcjonariusz.

Wszyscy znieruchomieli. Candy Bliss przemierzyła hol w sprinterskim tempie i pochwyciła słuchawkę.

- Tak, chłopiec... Nie, nie sądzę.

Przeszukała wzrokiem hol w poszukiwaniu Beth.

- Czy Ben mówi po hiszpańsku? - Beth pokręciła przecząco głową. Po chwili, jakby natchniona pewną myślą, spytała: - A po włosku?

- Po włosku umie tylko przeklinać - wtrącił Pat. Nikt się nie roześmiał. - Ben mówi jedynie po angielsku. Tak jak w „Ulicy Sezamkowej”.

- Oddzwonimy - powiedziała Candy Bliss do słuchawki.

Wyjaśniła Beth, że dziecko w szpitalu jest starsze od Bena, co najmniej cztero-bądź pięcioletnie. Potrafił je samochód, gdy jeździło na rowerze, ale jego stan jest dobry. Chłopczyk ma ciemnorude włosy. Beth spojrzała na nią przeciągle. Candy przycisnęła palec do czoła, po czym zawołała:

- Jimmy, widziałeś Bena, prawda? Elmwood jest niecałe dwadzieścia kilometrów stąd. Przejedź się tam i rzuć okiem na tego chłopca, dobrze?

Jimmy chwycił w locie swoją sportową marynarkę.

- Co za ludzie dzwonią tu bez przerwy? - spytała Beth.

- Głównie policjanci i inne służby. Informują nas na bieżąco o tym, co zdołali ustalić - wyjaśniała Candy. - Potem, gdy... jeżeli będziemy musieli zawiadomić prasę, zaleją nas najprzeróżniejsze telefony od rozmaitych osób, nawet od Elvisa Presleya twierdzącego, że widział Bena.

- Wariaci.

- UFO. Króliczek Wielkanocy. A czasami naprawdę samotni ludzie, oglądający zbyt wiele reportaży w telewizji.

- A jeżeli jeden z nich rzeczywiście...

- Dlatego rozmawiamy nawet z Króliczkiem Wielkanocnym.

Przed oczami Beth przesuwały się, niczym w kondukcje pogrzebowym, na wpół znajome twarze niedobitków zjazdu absolwentów. Ellen powiedziała, że kilka par postanowiło pozostać w hotelu - były to głównie te osoby, które i tak zamierzały zatrzymać się w mieście na kilka dni. Wszyscy, którzy pozostawali, deklarowali chęć pomocy. Jednak większość wyjeżdżała do domów.

- Czy możemy tu jeszcze zostać? - spytała Beth. Chciała zachowywać się jak grzeczna dziewczynka, wzorowa cierpiętница, ulubiona pacjentka dentysty, zawsze trzymająca szeroko otwarte usta.

- Ależ oczywiście. - Candy uśmiechnęła się do Pata. Teraz on musiał posłuchać wieści, pospekulować na temat szans rychłego odnalezienia Bena. - W każdym razie noc jest dzisiaj taka piękna, że Ben nie będzie narażony na żadne niewygody.

Beth wlepiła wzrok w zegar.

Dziewiąta piętnaście. Bena nie było już od ośmiu godzin. Tyle czarni spędzało się w pracy czy w szkole. Zerwała się na równe nogi, zlana potem - tyle godzin to nie był już przypadek.

- Jest strasznie późno! - wykrzyknęła.

- Właśnie o tym mówimy, pani Cappadora. W pewnym sensie to okoliczność dla nas sprzyjająca. Miasto jest ciche i spokojne, możemy je teraz dokładnie spenetrować. Za chwilę przywiozą tu psy, poza tym przydzielono nam helikopter z Chicago. Zorganizowaliśmy także pa-Irole obywatelskie...

- Helikopter? - zdziwiła się Beth.

- Wyposażony w czujniki podczerwieni. Gdy miasto pustoszeje, mogą przeczesywać otwarte przestrzenie. Wychwytyją obiekty wydzielające ciepło. Na przykład leżącego człowieka.

- 1 martwe ciała.

- Martwe ciała również. Ale tym razem nie szukamy zwłok. Może uda się nam wykryć Bena, jeżeli on usiłuje się przed nami schować, na przykład w krzakach, rozumie pani?

Przeprosiła ich na chwilę i podeszła do jednego z policjantów obsługujących telefon.

- Czy oni dopiero rozmnażają te cholerne psy? - wyszeptała do nie-K<> tak cicho, że Beth raczej się domyśliła, co powiedziała Candy, niż usłyszała jej słowa.

- Gdzie jest Rosie? - spytała Beth Pata, chwytając go za rękę lodowatą i wilgotną. - Gdzie Rosie?

Rosie szykowała się już do wyjścia. Zabierała dzieci do domu. Podeszła do Beth, nucąc coś tak cichutko, że brzmiało to jak nieznaczny pomruk. Ciepłym gestem zatknęła potargane włosy Beth za uszy, jakby Beth wciąż jeszcze była małą dziewczynką. Kerry z zapalem ciągnęła pokarm z butelki, spoczywając w objęciach Jill. Rosie chwyciła Vincen-la mocno za rękę:

- Pocałuj mamusię. Niedługo się zobaczycie. Dzisiaj będziesz spał u babci.

Z powodu przemęczenia oczy Vincenta zmieniły się w dwie wąskie szparki. Jednak Beth dojrzała w nich coś, czego nigdy wcześniej nie widziała w oczach swojego najstarszego, buńczucznego dziecka - zagubienie. Vincent się pochylił. Beth objęła go bezmyślnie, byle jak; na moment, ku jej zaskoczeniu, Vincent przywarł do niej mocno, całym ciałem. Potem podał rękę Rosie i odszedł, nie odwracając się za siebie. I'o kilku krokach jednak się zatrzymał.

- Mamusiu?

Beth usłyszała jego głos, ale nie miała dość energii, by zdobyć się na reakcję.

- Mamusiu? - Vincent zawołał ponownie, z konwersacyjną nutą w głosie. - Czy Ben już wrócił?

Rosie odpowiedziała stanowczo:

- No, niezupełnie. Ale zaraz wróci.

Jednak Vincent stał nadal i patrzył Beth prosto w oczy. Kąciki jego komicznie gęstych brwi opadły w grymasie skupionej uwagi.

- Mamo, zadałem ci pytanie. Czy Ben już wrócił?

- Nie, kochanie, jeszcze nie.

- Aha - odparł Vincent.

Beth schowała twarz w dłoniach, przetarła ją palcami. Po chwili spojrzała w dół na swoje ręce. Pastelowy koral - lakier gwarantujący dwa tygodnie nieskazitelnego wyglądu paznokci - był już w wielu miejscach zadrapany i odprysnięty.

Angelo i Bill pozostali w hotelu. Rozparli się na fotelach w holu, chociaż kierownik nieustannie prosił wszystkich o przeniesienie się do salonu na pierwszym piętrze. Ludzie wchodzili do hotelu „Tremont”, rzucali okiem na centrum komunikacyjne i natychmiast brali nogi za pas. Ellen i Nick urzędowali w barze; Wayne zorganizował grupę piętnastu absolwentów, którzy teraz własnymi samochodami objeżdżali okolice cmentarza, szkoły i pobliskiego parku. Beth niechcący podsłuchiwała, jak jeden z policjantów mówił, że patrolujących samochodów jest już i tak za dużo na mieście, jednak nikt nie miał serca ich zatrzymać.

Podtrzymując Beth pod ramię, Pat pomógł jej przejść do wygodniejszego krzesła, w pobliżu pianina. Podeszła do nich Candy Bliss. Chciała mieć zdjęcie Bena, by rozesłać je redakcjom prasowym jeszcze przed oddaniem numerów do druku.

Czy Beth ma zdjęcie? Tak, wiele - przywiozła wiele zdjęć swoich dzieci, żeby chwalić się nimi przed znajomymi na przyjęciu. Ale nie miała pojęcia, gdzie się zapodziała jej torebka.

Pat znalazł ją w końcu pod wózkiem bagażowym. Była mokra, połowa zawartości wałała się po podłodze. Pat wyciągnął zdjęcie Bena uśmiechniętego szeroko, trzymającego rękawicę baseballową tuż przy piegopatym policzku.

Beth zastanawiała się w jakiś czas później, co właściwie wyobrażała sobie w tamtych chwilach. Czy wierzyła, podobnie jak małe dzieci, że ponieważ jej syna nie było w pobliżu, w zasięgu jej wzroku, Ben znalazł się w niewidzialnej pętli wszechświata? Ze siedzi gdzieś na tęczowym obłoku, samotny, lecz bezpieczny, czekając, aż matka znów zacznie go postrzegać - jej świadomość ponownie powoła go do istnienia? Czy tylko dlatego, że Beth nie widziała Bena, on przestał funkcjonować jako istota ludzka zdolna do odczuwania przerażenia i dezorientacji?

Nie! Ben był dzieckiem z krwi i kości, zagubionym w mrokach miejskiej nocy!

- Ben! - wrzasnęła Beth. Krucha powłoka, pozwalająca jej zachować spokój, pękła, po czym rozpadła się na kawałki. - Ben! Ben! Ben! Hen! - za każdym razem szło łatwiej. - Ben! - wyła Beth. - Ben! - Gdy Pat położył rękę na jej ramieniu, by ją uspokoić, pochyliła się i zatopiła zęby w jego dłoni, zacisnęła mocno, poczuła krew. Nagle hol hotelu zaczął przypominać szpitalny oddział pierwszej pomocy. Wszyscy rzucili się do działania. Pat i Jimmy próbowali unieruchomić Beth, ale ona bez wysiłku strząsała ich z siebie, kiedy niezdarnie starali się ją pochwycić. Była jak węgorz, jak istota powleczone śliskim, ochronnym żelem. Kierownik pobiegł po ochroniarzy w liberiach. Gdy tylko Beth udawało się stanąć na nogi, zastawiali jej dostęp do drzwi, obserwując z politowaniem jej szamotaninę. Czuła w sobie niezwykłą siłę. Nic nie umknęło jej uwagi: wyraźnie widziała krwawiącą dłoń Pata; przerażone spojrzenia rzucone ukradkiem w jej stronę; ostentacyjnie odwracające się głowy par przechodzących przez hol. Zauważyła Nicka - ciemnowłosą głowę zatopił w dłoniach i chyba płakał - plecy drgały mu spazmatycznie w górę i w dół. Beth na chwilę zastygła w bezruchu, by złapać głęboki haust powietrza, po czym zawyła znowu: - Ben! Ben! Hen!

Candy Bliss poleciała kierownikowi szorstkim głosem:

- Wezwać lekarza.

- Nie znam żadnego lekarza - odparł formalnym tonem pulchny człowieczek.

- Nie macie lekarza hotelowego?

- Nigdy przedtem... O co właściwie jej chodzi?

- Po prostu... - zaczęła Candy Bliss, po czym głośno wypuściła powietrze. -

Cholera! Dzwon po pogotowie.

Beth zaczynała się wypalać, mięśnie jej ramion paliły żywym ogniem. Jednak jeden rzut oka na wachlarz błyszczących fotografii na niskim stoliku, fotografii we wszystkich podstawowych barwach przedstawiających jej dzieci, sprawił, że krzyk znowu zabulgotał jej w gardle, jak odruch, nad którym nie można zapanować ani go powstrzymać, jak orgazm.

- Ben! Ben! Ben!

Kierownik podał Candy Bliss telefon komórkowy.

- Matka ma problem... Tak, wyczerpana... Tak, to jej krzyk... Och, nie, nie karetkę... przyślijcie lekarza.

- Jezu Chryste, Beth, proszę przestań! - ojciec zażądał od niej stanowczym głosem.

- Ben! - wrzasnęła prosto w jego ciężką, poznaczoną popękkanymi żyłkami, twarz. Wyglądał jak smutny spaniel. Miał worki pod oczami, obrzękłe policzki. Niegdyś był przystojnym mężczyzną, ale lata zbyt wielu ginów z tonikiem zniekształciły jego rysy. - Be-eeeeennnn! - Do oczu Billa nabiegły łzy. Pat natomiast poczuł odrazę; drżąc na całym ciele, odwrócił się od sofy, na której szaleńczo miotła się Beth.

Beth spojrzała na zegar. Obraz rozmywał się jej przed oczami. Czy to możliwe, że dochodziła jedenasta? - Beeeennnn!

Bardzo przystojny pielęgniarz zdołał założyć na ramię Beth mankiet aparatu do mierzenia ciśnienia. Lekarz, który zjawił się ubrany jak do joggingu parę minut później, trysnął złocistym płynem ze strzykawki - Beth widziała gwałtownie opadające krople.

- Musimy zapewnić pani odpoczynek - oznajmił lekarz, dziobiąc wacikiem nasączonym alkoholem wszelkie możliwe skrawki jej ręki, które znalazły się w jego zasięgu, gdy młóciła ramionami powietrze. - Proszę państwa - zwrócił się w końcu do wszystkich zgromadzonych w holu - potrzebuję...

Nick rzucił się przez salę i niemal położył na Beth; pachniał przepięknie, jak orientalna przyprawa. Jego pierś była twardsza od piersi Pata, zdecydowanie szersza. Nick przycisnął jej lewe ramię do boku, podczas gdy pielęgniarz mocno wyprostował prawe. Ostry, piekący ból uklucia pogłębił się, gdy płyn dostał się do ramienia.

- Bethie - usłyszała głos Nicka - ja rozumiem, rozumiem.

- Co ty, kurwa, opowiadasz? - Beth zaniósła się śmiechem. - Ty nic nie rozumiesz. Nawet ja nie rozumiem.

Lekarstwo zaczynało działać. Nogi Beth powoli się rozjeżdżały, kołatanie w piersi ustawało, szczeka jej drętwiała; w kąciku ust poczuła gromadzącą się strużkę śliny. Tak działały anestetyki.

- Może pan już operować, doktorze - powiedziała Beth, ale lekarz nie poznał się na dowcipie.

A potem ciemność musnęła jej policzek, by po chwili całkowicie ją pochłonąć.

Beth obudziła się szczerze otulona kołdrą, skrepowana niczym kaftanem bezpieczeństwa. Ben.

W pokoju paliły się wszystkie możliwe światła. Tuż obok, na sąsiednim nie rozścielonym łóżku, leżał w ubraniu Pat.

- Pat? - wyszeptała, ale on chrapał, pogrążony w świecie zapomnienia.

Beth musiała skorzystać z toalety. Wstała, zachwiała się, nim złapała równowagę, po czym weszła do luksusowej łazienki, wyłożonej kremowymi kafelkami. Oddawała mocz równo, powoli, spokojnie oczyszczała organizm. Miała wrażenie, że zastrzyk stepił niektóre funkcje jej pnia mózgowego. Musiała wyszorować zęby. „Robię wszystko to, co normalni ludzie - pomyślała Beth. - Wciąż odczuwam fizjologiczne potrzeby, marzę o kąpiel, chcę zaspokoić pragnienie”. Przypomniała sobie nagle, że gdy umarła jej matka, obie z Ellen były oszołomione - nie tyle faktem, że wszystko wróciło do normy, lecz tym, jak szybko życie zaczęło płynąć zwykłym tokiem. Już nazajutrz ludzie myśleli o jedzeniu i porannej gazecie. Młody ksiądz wyjaśniał Beth, że te wszystkie posiłki i rozmowy stanowiły afirmację życia. Był typem humanisty; próbował nakłonić ludzi do katolicyzmu, udając przed sobą i innymi, że doktryna uległa efektownemu uwspółcześnieniu. Jednak już wówczas Beth miała pewność, że nie chce afirmować swojego życia ani zdrowia. Teraz była o tym jeszcze silniej przeświadczona. Musiała jedynie zaspokoić nękające ją potrzeby organizmu. Zaczęła mocować się z oknem zabezpieczonym drucianą siatką. W końcu zdołała je otworzyć i wychyliła się na zewnątrz. Zobaczyła wąską ścieżkę i ścianę sąsiedniego ukrzydła budynku, ciągnącą się poza zasięg jej wzroku. Na dole, wśród kubłów na śmieci, buszował kot. Beth lekko zapukała w szybę i kot spojrzał w górę. Ujrzała błysk jego złocistych oczu i maniakałny grymas zydka. Wychyliła się jeszcze dalej, ale nie odebrała żadnych sygnałów: nie wiedziała, czy Ben stracił życie, czy żyje i zmierza w jej stronę. Z trzaskiem zamknęła okno. Pat zachrapał przez sen. „Ty tępy dzieciaku - pomyślała Beth, patrząc na swojego męża. - Nie lubię cię”.

Otwierała z trzaskiem szafy, strzelała szufladami, lecz nigdzie nie znalazła swoich bagaży. Nic własnego. W pokoju chyba nie było zegara. Twarz śpiącego Pata wykrzywił grymas.

Beth wyrzwała na cichy, pograżony w mroku korytarz. Nie mogła znaleźć butów. Gdy wyteżyła słuch, dobiegł ją gdzieś z zewnątrz warkot pracujących łopatek helikoptera.

Weszła do windy i zjechała do holu - tutaj było dużo jaśniej, ale równie spokojnie. W recepcji młoda blondynka drzemała, podpierając twarz dłonią. Gdy Beth do niej podeszła, dziewczyna wyprostowała się gwałtownie, tłumiąc okrzyk przestachu.

- Gdzie policja? - spytała ją Beth.

- Och - recepcjonistka przybrała współczujący ton - wynieśli się.

- Wynieśli się?

- To znaczy, niezupełnie. Wciąż jeszcze wielu pozostało na zewnątrz. Ale zabrali telefony i inny sprzęt na komendę. - Twarz dziewczyny rozjaśniła się. - Byli tu reporterzy z Kanału Piątego i z Siódemki - z „Kroniki kryminalnej”. Zostawili sprzęt w holu. Chcieli nadać relację dla wiadomości o 22.00, ale ta ważna policjantka nie zgodziła się, by panią budzić.

Beth kiwnęła głową.

- Potrzebuję parę osobistych drobiazgów.

- Pastę? Szczoteczkę do zębów? Zaraz je pani załatwię.

- Nie, chciałabym dostać moje własne rzeczy. Moją torbę.

- Wszystkie bagaże są zamknięte w kantorku. - Wzięła pęk kluczy, wybrała jeden z nich i po chwili poszukiwań wręczyła Beth jej torbę. Beth zataszczyła bagaż do łazienki na końcu holu. Zdjęła śmierdzącą koszulę i naciągnęła T-shirt. Znalazła w torbie bawełniany sweter, ozdobiony czerwonymi i złotymi koralikami. Miała go włożyć na uroczyste śniadanie. Wyciągnęła jaskrawoczerwone, płaskie pantofle i wsunęła na bose stopy. Nękające potrzeby ciała. Umyła twarz i wyszorowała zęby. Kiedy wciskała przybory toaletowe z powrotem do torby, jej wzrok padł na ubranie Bena zwinięte pośród jej bielizny. Dojrzała maleńkie rajstopki Kerry i jej śpioszki. Gumowe sandały Bena. Jego bluzę z logo Blackhawksów. Beth była beznadziejnie chaotyczna, gdy musiała coś spakować. Zaciągnęła suwak torby i położyła się na niej, opierając czoło na chłodnych kaflach podłogi.

Po jakimś czasie podniosła się i zawlokła torbę z powrotem do recepcji.

- Muszę wyjść - oznajmiła recepcjonistce.

- Czy chciałaby pani, żebym kogoś wezwała? Pani przyjaciółkę - rzuciła okiem na spis gości - panią DeNunzio?

- Po prostu muszę wyjść.

- Ależ to środek nocy. Wszystkie sklepy w okolicy są już zamknięte. Bena nie było od dwunastu godzin, a ta dziewczyna sądziła, że Beth wybiera się po zakupy.

- Może napiłaby się pani kawy?

Beth podziękowała i wyszła z hotelu w balsamiczną noc - kojącą, czystą.

Okolo pół tuzina radiowozów ustawiło się w nieregularny okrąg nieopodal wejścia do hotelu. Wśród nich Beth dojrzała furgonetkę z pióropuszem rozmaitych urządzeń elektronicznych na dachu. Zapewne ruchome centrum komunikacyjne.

Kable z furgonetki wiły się wzdłuż chodnika i znikały pod drzwiami hotelu „Tremont”. Owiany legendą samochód „Kroniki kryminalnej” stał tam również, a snop światła z jego wielu silnych reflektorów przywodził na myśl atmosferę oscarowej gali. Grupa - jak przypuszczała Beth - reporterów gazet codziennych usiłowała rozmawiać z młodym detektywem. Oni mówili wiele, policjant jedynie się uśmiechał, kręcąc przecząco głową. Wśród ludzi zebranych przed hotelem Beth dostrzegła fotoreporterów, z ramionami obwieszonymi atrybutami swojego zawodu, szukających jak najlepszego ujęcia radiowozów stojących na tle arkady z napisem „Hotel Tremont”. „Nieciekawe, stereotypowe zdjęcie - pomyślała Beth - to ja powinnam fotografować. Albo, jeszcze lepiej, znaleźć się w kadrze - ujęcie nabrałoby wówczas szczególnej wymowy”.

Beth minęła tył furgonetki i przeszła przez ulicę. Nikt jej nie dostrzegł. Uliczkę zalegała cisza. Halogeny latarni, halogeny, w które jej ojciec zainwestował większość swoich oszczędności, rzucały rozproszone, mleczone światło.

Ben. Bezksiężycowa noc.

Spojrzała na drugą stronę ulicy. Lampy na dachu Immaculaty nie-bieściły się w mroku. Wokół nie było żadnych przechodniów ani samochodów. Przecięła jezdnię, czerpiąc głębokie hausty powietrza, przywracające jej siły. Zajrzała w głąb drzwi skrzydła C. Wewnątrz panowały ciemności. Skoncentruj swoje myśli na skrzydle C, mówiła sobie Beth. To taki niewinny temat. W tym budynku uczniowie wszystkich klas zbierali się przed zajęciami; jeżeli dziewczyna ze starszej klasy chodziła z młodszym chłopakiem, tutaj właśnie mogli się spotykać. Jednak tego typu związki nie były dobrze widziane. Z miejsca, w którym stała, Beth widziała wyraźnie drzwi do biura rady szkoły. Jako jej członek, miała własny klucz do tego pokoju. Po lunchu zamykali się tam z Nickiem, zaciągali zasłony i kładli się na stole konferencyjnym, spoceni, badający własne ciała. Potem przez całą trygonometrię i literaturę angielską Beth czuła skurcze mięśni brzucha. Wówczas wydawało się jej, że każdy widzi wyraźnie ślady dłoni Nicka na jej ciele, jakby Nick dotykał ją rękami unurzany w fluorescencyjnej farbie.

Przeszła przez dziedziniec, minęła pomnik, tablicę z barwnym napisem: „Obejrzyj Draculę w teatrze Olde Thyme” po jednej i „Witamy absolwentów rocznika 1970!” po drugiej stronie. Zobaczyła korty tenisowe, a obok boisko.

Tuż przed bramką wiodącą na trybuny stał niewielki mostek łączący brzegi maleńkiego dopływu Salt Creek. Od wielu pokoleń lokalni inżynierowie usiłowali ujarzmić niewielki strumyczek, a i tak każdej wiosny rzeczka zamieniała boisko futbolowe w śliskie grzęzawisko. Nie pomagały najwymyślniejsze konstrukcje. Strumyk uparcie wracał do swojego naturalnego biegu. Mostek był tak upstrzony różnymi nacięciami, że farba praktycznie z niego zniknęła. Jedynie z daleka prześwitywała czerwona barwa. Kolejne generacje młodzieży - szczególnie te obecne, które świetnie opanowały technikę posługiwania się farbą w sprayu - pozostawiły na moście rozmaite przesłania. Niektóre złowieszcze, a niektóre tradycyjnie romantyczne, w rodzaju: „Justin złamała mi serce” czy „Christine ciągnie Ryanowi druta”.

Beth chętnie przechylałaby się przez barierkę, żeby sprawdzić, czy głęboko wycięty napis głoszący: „Ellen i Steven - na zawsze razem”, wciąż jeszcze był widoczny. „Na zawsze” nie trwało nawet roku; Ellen wyznała później Beth, że dotyk ust Stevena wzbudzał w niej odrazę, jednak potrzebowała sześciu miesięcy, by przekonać się, że to nie jej wina. Beth była pewna, że napis przetrwał. Teraz jednak tego nie sprawdziła - stała skoncentrowana nad strumykiem nie głębszym niż dwadzieścia centymetrów i wypatrywała śladów Bena.

Chociaż tak naprawdę wiedziała, że tutaj ich nie znajdzie.

Ben z własnej woli nie zbliżyłby się do strumyka. „Nie sposób ocenić postępów Beniamina w pływaniu - instruktor YMCA napisał swego czasu do Beth - ponieważ odmawia wejścia do wody”. Gdy szli na basen, Ben nawet w brodziku opłatał się wokół matki niczym pyton. Zdarzało mu się usiąść w wodzie tuż przy schodkach i rozpryskiwać wodę nogami z umiarkowaną radością. Ale gdy tylko Beth wchodziła z nim na nieco głębszą wodę, ledwo sięgającą jej do pasa, Ben całym sobą wpijał się w jej ciało, jakby starał się w nią wtopić. Kochająca pływanie Beth nie pojmowała, co leży u źródeł owego strachu - czy kiedykolwiek zdarzyło się jej opowiadać chłopcom przerażające historie o topielcach? Czy dla zabawy przetrzymała Bena pod wodą o sekundę za długo? Nie, nigdy. Co prawda kiedyś Ben wpadł do wody z pomostu nad jeziorem Delavan, jednak brat Beth natychmiast go wyciągnął, właściwie jeszcze zanim Ben zdążył zamoczyć buzię. A może przyczyniły się do tego jej ciągle pouczania Vincenta - wrzaski niczym dzikie indiańskie okrzyki - by był bardziej ostrożny w wodzie... Vic pływał jak ryba od czwartego roku życia - woda była jego żywiołem. Nawet maleńka Kerry wyrywała się z ramion Pata, by potapać się w brodziku.

Kiedy pewnego razu pojechali do ciotki Pata na Florydę, Vincent natychmiast rzucił się w fale oceanu; Pat musiał biec za nim, by wyjaśnić mu, czym grożą morskie prądy. Ben, natomiast, me chciał nawet stąpać po mokrym piasku.

- Tutaj jest za dużo wody - oznajmił uroczystym tonem.

- Ben - usiłowała namówić go Beth - wejdź chociaż kawałek. Mama będzie cię mocno trzymać.

Ben, niezachwiany w swoim postanowieniu, stał w jarzemoworo-żowych kąpielówkach i wskazując na fale, zapytał:

- Czy to jest głębia oceanu?

Jego przerażenie niemalże wydzielalo zapach. W owej chwili Ben nie ufał nawet Beth: nie pozwolił jej stanąć tuż obok, jakby w obawie, że siłą zmusi go do zanurzenia się w wodzie. Wówczas Beth pomyślała że jej dziecko jest więźniem świata dorosłych - dużych, silnych ludzi, będących w stanie zmusić go do wszystkiego. Ona nigdy me czuła się tak bezbronna, bezsilna, zależna od dobrej woli innych.

- Tutaj nie ma głębi, Ben - tłumaczyła mu łagodnym głosem. - To jest brzeg oceanu. Ciągnie się przez wiele mil. Musiałbyś długo wędrować przed siebie, żeby zrobiło się naprawdę głęboko. Musiałbyś isc aż do miejsca, gdzie pływają tamte łodzie.

- A więc tutaj jest jak w brodziku? - dopytywał się Ben.

- Dużo płycej. Popatrz, woda nie sięga Vincentowi nawet do kolan.

- Ja nie chcę wchodzić w głębię oceanu - oznajmił jej Ben. - Tam są rekiny. Czy muszę?

- Nie, oczywiście że nie, Benbo - odparła, chwytając go w ramiona, niepewna, czy nie powinna jednak wejść z nim do wody, zanurzyć się i w ten sposób załatwić problem. Nie chciała, żeby jej synek wyrósł na lękliwą, nieśmiałą istotę. - Nie bój się. Jestem z tobą. Mama nigdy nie pozwoli, by porwały cię fale oceanu. Im dalej wejdziemy, tym mocniej cię będę trzymać.

- Wiesz co? - zagaił Ben, by zyskać nieco na czasie. - Można wejść w głębię oceanu. Można tam dojść. Po prostu idziesz sobie, az woda cię zakryje, a potem idziesz dalej po dnie. Tylko ze jezeh chcesz wrócić, to może ci się nie udać, bo woda zatrze wszystkie, wszystkie...

- Co zatrze Ben?

- Wszystkie ślady stóp. Jak się odwrócisz, nie będziesz już mogła znaleźć drogi. Już nie wrócisz.

Beth przeszył zimny dreszcz i resztę dnia spędziła wraz z Benem na wydmie, z dała od fal, napełniając wiaderka piaskiem.

Teraz, obejmując własne ciało ramionami, wspinała się na szczyt trybun. Ławki były śliskie od rosy, obłaząca farba czepiała się ubrania. Beth mocno zacisnęła dłonie na ramionach, przeszywały ją dreszcze. Wiatr spływający z zasnutego chmurami nieba nacierał na nią. Ścigał ją. Przeszywał. Rozciągnęła się na ławce i pozwoliła płynąć łzom tak długo, aż przemoczyła rękawy swetra, aż czoło, oparte o wilgotne drewno, zaczęło pulsować ostrym bólem.

Kiedy spojrzała przed siebie - nie dlatego, że dobiegł ją jakiś dźwięk, lecz dlatego, że poczuła nieznaczną wibrację powietrza - u stóp ławki stała Candy Bliss. W rękę trzymała mały, plastikowy woreczek, nie większy od torebki śniadaniowej. W środku tkwił trampek Bena, tak nowy i czysty, że czerwona papuga zdawała się świecić w mroku.

Rozdział 4

Ten trampek wszystko zmienił.

Przeobraził Bena w ofiarę porwania. Dla Candy Bliss stanowił niezbity dowód, że Ben nie oddalił się z hotelu z własnej woli.

Świadomość, że jej dziecko znajduje się w obcych rękach, powinna wzbudzić w Beth panikę, jednak, paradoksalnie, zdawała się ją uspokajać.

Candy wyjaśniła, że but znaleziono na dolnej półce stojaka z gazetami, tak nisko, że Ben mógłby go tam sam położyć. Problem w tym, że sznurowadła zawiązano w kunsztowną kokardę - prawdopodobnie żaden trzylatek nie potrafiłby dokonać tego samodzielnie; poza tym Ben nie mógł zdjąć trampka, uprzednio go nie rozwiązując.

- Oczywiście, nie możemy traktować tego jako ostateczny dowód, pani Cappadora - oznajmiła Candy Bliss. - Jest to już jednak poważny ślad. I, oczywiście, nie będę ukrywać, że od pewnego czasu skłanialiśmy się ku takiej teorii...

- Ze ktoś uprowadził Bena? Candy pokiwała głową.

- Okoliczności zaginięcia... hotelowy hol przepelniony ludźmi. Rozumie pani? Zasada, że zawsze najciemniej jest pod latarnią... - Potrząsnęła głową. - Beth, proszę się dobrze zastanowić. Czy jest pani absolutnie pewna, że Ben nie potrafiłby zawiązać kokardki?

- Mój Boże, skąd. Ledwo potrafił zjeść naleśnika widelcem. Miał trzy latka. - Beth przygryzła wargę. - Ma trzy latka - poprawiła się.

- Cóż, ja się zawsze w tym gubię. Jestem dość zżyta ze swoim siostrzeńcem, ale i tak nie potrafię zapamiętać tych wszystkich etapów rozwojowych. Poza tym to moja pierwsza...

- Pani pierwsza...?

- Pierwsza sprawa, w którą zamieszane jest tak maie dziecko. Sprawa tego typu.
- Rozumiem. Z jakimi sprawami miała pani do czynienia?
- W Tampie pracowałam z młodocianymi. Takie problemy uważa się na Południu za odpowiednie dla kobiet. Później...

- Później?

- Pracowałam w wydziale zabójstw.

- Ach, tak. Nie ma pani własnych dzieci? - Beth nie mogła się nadziwić, jakim cudem udaje jej się zachować tak spokojny, równy ton głosu. Oczyma wyobraźni widziała się miotającą na skraju parkingu w poświęcie księżycy, lamentującą, wstrząsaną dreszczem.

- Nie. I czasami tego żałuję.

- Jeszcze wszystko przed panią - odparła Beth, myśląc: „Na Boga, o czym my rozmawiamy?”

- Och, nie. Mam już trzydzieści sześć lat. Choć być może... Ale wracając do tematu, Ben nie potrafi zawiązać butów, a sama pani widzi, jak wygląda ta kokardka. - Beth wpatrywała się w trampek swojego synka, jakby był kawałkiem meteoru, pozaziemskim zjawiskiem.

Drzwi wejściowe do hotelowych pomieszczeń gospodarczych otworzyły się przed nimi niespodziewanie. Stojący za nimi młody oficer zareagował na sygnał zupełnie niedostrzegalny dla Beth. Mrużąc oczy przed ostrym światłem, odbijającym się od stalowych zlewów i blatów, Beth niemal zderzyła się z dwoma wielkimi psimi pyskami.

- McGinty! - okrzyk Candy zabrzmiał tak, jakby właśnie odnalazła dawno zaginionego brata. Jednak barczysty, rudowłosy funkcjonariusz mundurowy nie zdejmował wzroku z Beth.

- Pani Cappadora - powiedział miękko - oto Holmes i Watson. -Psy usiadły posłusznie na nieznaczny ruch ręki McGinty'ego. - Nazywamy je bionicznymi nosami. Złapały trop Bena, ale doprowadziły nas jedynie na parking. Ponowiliśmy próbę, psy pobiegły dokładnie w to samo miejsce - nieco na zachód od głównego wejścia. Zakładamy, że tam stał samochód...

- Samochód, należący do osoby, która uprowadziła Bena - wtrąciła Candy Bliss.

- Zdaję sobie z tego sprawę - ucięła ostro Beth. - Nie jestem aż tak tępa. Przez lata pracowałam jako fotograf prasowy.

Candy zacisnęła usta i pokiwała głową. W tym momencie pojawił się Pat z twarzą obrzękłą od snu. Krew ze zranionej ręki wciąż jeszcze lekko sączyła się przez bandaż. Candy poprosiła, żeby wszyscy razem

usiedli. Gdy przybędzie policja stanowa, rozszerzą obszar poszukiwań. Ponadto, za pomocą komputerów, zbadają przeszłość wszystkich zaproszonych na zjazd absolwentów i w pierwszym rzędzie przesłuchają tych, którzy kiedykolwiek weszli w kolizję z prawem.

- Kryminaliści? - wtrącił z niedowierzaniem Pat. - Wśród dzieciaków z Immaculaty?

- To już nie są dzieciaki - odparła Candy. - W przypadku tak licznej grupy ludzi istnieje duże prawdopodobieństwo znalezienia osób, może nawet par, które w przeszłości były karane bądź podejrzane o czyny... - wszyscy zawiesili wzrok na Beth - o maltretowanie, czynną napaść, cokolwiek.

- Wobec dzieci? - spytała Beth.

- Być może.

- Na przykład?

- Na przykład pani przyjaciel Wayne. W latach siedemdziesiątych oskarżono go o przestępstwo. W sprawę zamieszany był nieletni.

- Wayne jest dla moich dzieci jak najbliższy krewny. Nigdy nie skrzywdziłby Bena. To dlatego, że jest gejem...

- Ja też tak pomyślałam, Beth, dlatego dokładnie prześledziłam tę sprawę. Okazało się, że chłopak miał szesnaście lat, Wayne był wówczas dziewiętnastolatkiem, romans, który ich łączył, doprowadził do szału rodziców... Jak pani widzi, większość z tych spraw okazuje się burzą w szklance wody, niemniej musimy dokładnie zbadać wszystkie przypadki.

W hotelowej kuchni pojawiła się Ellen, podeszła do Beth i mocno objęła ją ramionami. W dresie i z włosami zebranymi w koński ogon wydawała się dużo drobniejsza i młodsza. Tuliła Beth, podczas gdy Candy Bliss wyjaśniała, że Pat i Beth powinni jak najszybciej poddać się badaniom na wykrywaczu kłamstw. Mogą zrobić to jeszcze dziś albo poczekać do poniedziałku.

- Czy podejrzewa pani, że Beth sama zorganizowała porwanie Bena? - spytała Ellen.

- Nie, jednak większość uprowadzeń dokonywana jest przez najbliższych. Są wynikiem batalii o prawa rodzicielskie, czasami biorą się z nieporozumień pomiędzy członkami rodziny czy uprzednimi opiekunami - wyjaśniała Candy.

Notki prasowe, wywiady i pierwszy plakat z wizerunkiem Bena, przygotowany przez Obywatelską Organizację Zwalczenia Przeszłości, czekały na aprobatę; Beth - na całe swoje szczęście - w ostatniej chwili odwróciła wzrok, nigdy więc nie spojrzała w ufne oczy Bena wy-

zierające z czarno-białej fotokopii. Ellen pomogła Beth wziąć kąpiel; ściągnęła jej dżinsy i podtrzymała przy wchodzeniu do wanny, niczym nękaną osteoporozą, bezradną staruszkę. Gdy Beth leżała w wodzie, a Pat nerwowo chodził po pokoju, paląc papierosa za papierosem, telefon nie milkł ani na minutę. Ellen podnosiła słuchawkę, odpowiadając zwięźle: „Zasnęła” albo „Nie, od ponad dziesięciu lat mieszkają w Madison”. Beth, w czystym ubraniu Ellen, w którym wyglądała jak w groteskowo za dużym, marynarskim stroju, usiadła przed lustrem i zaczęła suszyć włosy. Jeszcze późnym popołudniem detektyw Taylor chciał dowiedzieć się czegoś od niej na temat Seana Meehana, jej klasowego kolegi. Okazało się, że cztery lata temu jego małego synka padł ofiarą śmierci w kołysce¹ w okolicznościach wzbudzających pewne podejrzenia. Beth ponownie ogarnęły mdłości, szarpały ją suche torsje. Lekarz, którego nazwiska nigdy nie poznała, pojawił się znowu i dał jej parę tabletek na uspokojenie. Jednak kiedy okazało się, że Beth nie jest w stanie utrzymać czegokolwiek w żołądku, dostała kolejny zastrzyk, po którym popadła w przedziwny sen nie-sen: słyszała, co się działo wokół niej, słyszała głos swojego brata, Bicka - próbowała przebudzić się, żeby z nim porozmawiać, jednak nie zdołała się przebić przez senne pokłady. W pewnej chwili Pat posadził ją na łóżku, żeby obejrzała z nim kasetę wideo z zarejestrowanymi wiadomościami porannymi. Nagranie było kiepskiej jakości, pokazywało ochotnicze patrole obywatelskie oraz grupy absolwentów przeczesujące pobliski las, przemierzające tyralierą pole golfowe. Gdy na ekranie mignęło zdjęcie Bena w czerwonej base-ballówce, a młoda prezenterka oznajmiła: „Cała społeczność Parkside jednoczy się w poszukiwaniach małego Bena”, z gardła Beth wydarł się krzyk i Pat natychmiast wyłączył telewizor.

Boy hotelowy przyniósł do pokoju półmisek z serem w kostkach, owocami i kartonikiem, przypominającym, że owe dobra będą spożywać dzięki uprzejmości hotelu „Tremont”, należącego do ogólnokrajowej sieci Hospitality Hotels. Ellen wmusiła w Beth kawałek sera i trochę winogron. Zjawiała się kawa. Beth wypila cztery filiżanki.

Na dworze jeszcze nie zapadł mrok, kiedy do pokoju przyszła Candy, by zapytać, czy Beth jest gotowa na spotkanie z prasą.

- Jasne, że nie - stwierdziła Beth. Candy skrzywiła się.

- Oczywiście, nie musi pani z nimi rozmawiać, ale chciałabym, żeby to pani zrobiła. Nie zamierzam narażać pani na spotkanie z całą hor-

¹ Zgon niemowlęcia następujący we śnie - zob. przypis na s. 315.

dą dziennikarzy - wystarczy, że udzieli pani wywiadu jednej osobie. Już ją wybrałam. Jest w porządku. Ale pani, Beth, może wybrać kogoś innego - z Kanału Piątego, Drugiego, Dziewiątego, z „Tribune”, gazety lokalnej, „Sun-Timesa”. Dzisiaj wszyscy są tutaj.

- Nie mam zamiaru z nimi rozmawiać. Niech Pat to zrobi. Jest w tym dobry.
- Beth, ale pani jest matką. Może pani poruszyć ludzi. Pokazać im, co pani czuje.
- Mam uderzyć w płacz przed kamerą?
- Nie, nie chcę, żeby pani grała.

Środek uspokajający, rozlewający się po jej ciele, rozgrzewający niczym brandy, dodał Beth odwagi.

- Nie należę do osób chętnie uzewnętrzniających się na oczach innych - stwierdziła.

- Ależ należysz - wtrąciła Ellen.

- Nawet jeżeli kiedyś tak było - odpowiedziała Beth - teraz się skończyło. To moje dziecko. Moje. - Fala nudności znów zalała Beth, ale na szczęście po chwili odpłynęła. - Wy tego nie rozumiecie.

- To prawda - zgodziła się Candy - ja tego nie rozumiem. Ale świetnie wiem, jak doniosłe w skutkach mogą okazać się wywiady telewizyjne i prasowe, jakie rzesze ludzi oglądają je i czytają. Rozmawiając z mediami, może pani sprawić, że te tysiące par oczu zaczną pracować dla nas.

- Posłuchaj - Ellen zwróciła się w stronę Beth. - Udzielisz tego wywiadu. Udzielisz go, ponieważ w tej chwili jest to jedyny sposób, w jaki możesz pomóc Benowi. Siadaj więc i przygotuj się.

- Wyglądam jak wór mierzwy.

- Nie szkodzi - stwierdziła Candy, a Beth, wracając myślą do dni, gdy pracowała jako fotograf prasowy, pomyślała: „Ależ tak, wymarzone ujęcie postaci: matka pogrążona w rozpacz - sama fotografowała podobną scenę cztery czy pięć razy - oczy zapadłe z niewyspania, rysy napięte, kości policzkowe jak dwa ostre występy skalne”. - Jednak nie chcę, żeby straszyla pani wyglądem, bo wszyscy pomyślą...

- Co pomyślą? - przerwała jej Beth.

- Że jesteś wariatką, która uprowadziła własne dziecko - wtrąciła Ellen i sięgnęła po swoją kosmetyczkę, po czym zebrała włosy Beth do tyłu i spięła złocistą klamerką. - Połóż jakieś cienie na powieki - ponaglała.

Beth bezmyślnie wlepiła wzrok w pudełko z krążkami beżu, zieleni i błękitu.

- Pozwoli pani, że ja się tym zajmę - wtrąciła rażno Candy. - Umiem robić świetny makijaż. - W jakiś czas potem Beth wielokrotnie - tak często, że ją samą wprawiało to w zdziwienie - myślała o tym, jak doprawdy dobra jest w tym Candy: dyskretne bezowobrazowe łuki, którymi podkreśliła kształt oka, sprawiły, że choć wciąż wyglądała mizernie, to już nie jak bliska obłądu; odrobina podkładu nie ukryła całkowicie opuchlizny wokół nosa, jednak znacznie ją zatuszowała.

- A teraz - tłumaczyła Candy, operując delikatnie pędzelkiem - zaprosimy tu Sarah Chan wraz z jej ekipą. Z nią porozmawiamy najpierw - przede wszystkim dlatego, że musi dostarczyć materiał do określonej godziny, poza tym Kanał Drugi ma największą oglądalność, a Sarah jest ich najpopularniejszą komentatorką. Potem będzie mogła pani udzielić wywiadu innym, jeżeli pani zechce. I tak wszyscy przygotowują jakieś relacje. Beth, za chwilę znajdzie się pani w ostrym świetle jupiterów.

Beth przyszło do głowy nagle skojarzenie z badaniem ginekologicznym, przypomniała sobie swojego lekarza, wygłaszającego zwyczajową litanię: „Teraz włożę wziernik...”

- Znam się na oświetleniu - Beth weszła Candy w słowo. - Jestem fotografikiem.

- Dobrze. Jedyne, co będzie pani musiała robić, to odpowiadać na pytania. Nagrywają ten wywiad, więc jeżeli zdecyduje pani, że coś należy powtórzyć, jeżeli poczuje pani zdenerwowanie...

- Nie czuję zdenerwowania - powiedziała Beth ostrzej, niż zamierzała; nie chciała, żeby i Candy Bliss nabrała do niej niechęci. - Czy mogę zobaczyć oświadczenie dla prasy? - poprosiła, starając się zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, okazać pomoc, wykazać się racjonalnym zachowaniem. Ktoś podał jej odbitkę i Beth przebiegła treść oczami. Tekst zdecydowanie nie zaliczał się do gatunku prozy lirycznej: „Do chwili obecnej nie zgłosił się żaden naoczny świadek uprowadzenia dziecka... kilka znaczących poszlak... śledztwo w pełnym toku”.

- Nie ma wzmianki o bucie - spostrzegła Beth.

- Nie zamierzamy ujawniać tego faktu - odparła Candy Bliss. - To nasza atutowa karta. Tylko jedna, prawdopodobnie tylko jedna osoba wie, dlaczego ten but się tam znalazł. Trampek Bena nie dostarczy nam żadnych fizycznych dowodów, jak...

- Odciski palców?

- Właśnie. Ale pozwoli nam wyeliminować „wyznawców”.

- Wyznawców?

- Ludzi dzwoniących z informacją, że to oni porwali Bena, nie mających nic wspólnego ze sprawą.

- Dostaniecie telefony od takich ludzi?

- Oczywiście. Już dostaliśmy. Wokół nie brakuje niezrównoważonych maniaków, pragnących skupić na sobie uwagę. Niektórzy z dzwoniących rzeczywiście popełnili coś strasznego w przeszłości i są tak udręczeni wyrzutami sumienia, że przyznają się do zupełnie innej zbrodni. Oni wszyscy wypełzną teraz na powierzchnię.

Wyobraźnia natychmiast podsunęła Beth obraz pogrążonego w ciemności pokoju, kurczowo ściskanej w rękę słuchawki tuż obok kredowo bladej twarzy, przyciszony głos, szept w obawie, że ktoś w sąsiednim pokoju mógłby coś usłyszeć... W tym momencie Sarah Chan, pachnąca i smukła w granatowym kostiumie, zapukała do drzwi i już po chwili pokój zaroił się od kabli i statywów z reflektorami. Pat usiadł obok Beth na sofie.

- Proszę ją objąć - powiedziała Candy. Pat zarzucił ramię na oparcie sofy, zatrzymując jednak dłoń tuż ponad ramieniem Beth.

- Pani Cappadora - odezwała się Sarah Chan - chciałabym, żeby pani wiedziała, iż zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc w odnalezieniu pani synka. Wie pani, jak to jest. Ludzie jednoczą się w podobnych chwilach. Całe miasto modli się za Briana...

- Bena.

- Bena. Przepraszam najmocniej. Dopiero tu przyjechałam i jeszcze nie znam wszystkich szczegółów.

Beth nie mogła wykrztusić słowa.

- Pani Cappadora? - Sarah Chan zawiesiła głos.

- Tak, rozumiem - w końcu wyrzuciła z siebie Beth, przełykając głośno ślinę.

Nagle przypomniała sobie pewne wydarzenie z czasów, gdy jeszcze pracowała dla prasy - miała sfotografować rodzinę nastolatka, który zginął kilka godzin wcześniej w przerażającej kraksie samochodowej, podczas tych idiotycznych zabaw, uwielbianych przez wyrostków na północy Wisconsin. Gdy zdołała ustawić już wszystkich do zdjęcia, ni stąd, ni zowąd odezwała się babcia chłopca, już wówczas staruszka: „Och, cóż, myśmy byli tacy sami. Mój mąż i jego koleżkowie wrzucali cynowe wiadro pełne butelek piwa na tylne siedzenie i jeździli po całym miasteczku jak wściekli. Tak, mój Boże, wszyscy tak robili. Do dziś to robią”. Beth osłupiała, ręce jej drżały, gdy nastawiała swojego starego hasselblada (naczelnym życzyły sobie portretu żałobników, nie reporterskich ujęć). Czy powinna przytaknąć, słysząc podobne słowa: tak, takie już są dzieci, dlatego kończą rozgniecione na miazgę w starych chevroletach?

Przelotna wzmianka Sarah: „Wie pani, jak to jest”, zdumiała ją w tym samym stopniu, chociaż, jak nagle zdała sobie sprawę, teraz to ona znalazła się po drugiej stronie obiektywu.

- Pani Cappadora, czy jest pani gotowa? - spytała Sarah Chan.

- Niech Pat mówi za mnie - poprosiła.

- Już to ustaliliśmy - odparła twardo Ellen. - Będę tuż przy tobie. Tak więc jeden z techników przyczepił Beth miniaturowy mikrofon i przeprowadził próbę dźwięku.

- Pani Cappadora, zanim zaczniemy - odezwała się Sarah - wiem, że nie powinnam prosić pani o to, jednak gdyby nie rozmawiała pani z nikim poza mną, nasz wywiad wywarłby dużo większe wrażenie na widzach.

- Opanuj się, Sarah - w głosie Candy zabrzmiała ostrzegawcza nuta. Młoda operatorka w obcisłych dżinsach i wielkiej bluzie z napisem „Harvard” skierowała kamerę na dziennikarkę.

- Jesteśmy w pokoju hotelu „Tremont” w Parkside, gdzie rodzina Cappadorów czeka na wieści, gubiąc się w domysłach i rozpacz - rozpoczęła Sarah Chan. - Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu...

- Sarah - przerwała jej Candy - potem nagrasz wstęp. Zakończmy to jak najszybciej.

Sarah Chan natychmiast usiadła na sofie obok Pata i Beth.

- Proszę pamiętać, że nagrywamy ten wywiad, więc jeśli uzna pani, że nie powiedziała czegoś ważnego, zawsze możemy przerwać i zacząć od nowa - zapewniła Beth kojącym głosem. A potem nagle jej twarz się zmieniła, rozjaśniła, nabrała wyrazu przepełnionej empatią Madonny. - Beth, Pat, oboje dorastaliście w tym mieście. Czy kiedykolwiek przyszłoby wam do głowy, że w Parkside, w holu pełnym waszych szkolnych przyjaciół, mogłoby się wydarzyć coś podobnego?

- A cóż to za pytanie? - oburzył się Pat, a Sarah gestem dała znać operatorce, by zatrzymała nagrywanie. - Oczywiście, że nie. To niewielkie miasto. Beth i ja dorastaliśmy wśród jego mieszkańców. Znamy te okolice jak własną kieszeń.

- Jednak nie można wykluczyć możliwości, że ktoś z waszych znajomych uprowadził waszego synka - odparła Sarah głosem przepełnionym żalnością i smutkiem, dając jednocześnie znak, by wznowić pracę kamery.

- Teoretycznie tak - zgodził się Pat. - Ja w to jednak nigdy nie uwierzę. - Mówił tonem, który Beth określała mianem tonu wzorowego harcerza. - Cokolwiek spotkało Bena, nie ma najmniejszego związku z Immaculata.

- Pani Cappadora... Beth - Sarah zwróciła się w jej stronę. - Pani uczucia są zapewne niewyobrażalne...

- Tak - zgodziła się Beth.

- Strach, stan zawieszenia, oczekiwanie, niepewność i rozpacz... -Beth wpatrywała się w wyraźną linię na szyi dziennikarki, zdradzającą, gdzie kończy się gruba warstwa makijażu, przeobrażająca twarz Sarah w maskę, i nie odezwała się ani słowem. Reporterka ponowiła próbę: - Nie możemy sobie wyobrazić, co czuje pani w tej chwili, gdy właśnie mija druga doba...

- Tak, nie może sobie pani tego wyobrazić - potwierdziła Beth.

- A więc - Sarah była uosobieniem cierpliwości - czy jest coś, o co chciałaby pani poprosić naszych widzów, mieszkańców okolic Chicago, którzy głęboko współczują pani w tym nieszczęściu?

Beth milczała.

- Beth? - ponagliła Sarah Chan.

- Tak - odezwała się w końcu Beth. - Chciałabym powiedzieć coś osobie, która zabrała mojego synka Bena z hotelowego holu. „Zmiłuj się nade mną - pomyślała Beth. - Okaż choć odrobinę ludzkich uczuć i oddaj mi mojego synka. Nie skrzywdź go” - błagała w duchu. -Wiem... - powiedziała - wiem, że nie zamierzasz oddać mi mojego dziecka. - Sarah Chan z niedowierzaniem wypuściła powietrze, operatorka niemal podskoczyła. Beth poczuła, jak Pat z obrzydzeniem odsuwa się od niej, jakby poczuł gwałtowne ukłucie.

Jednak Candy Bliss uniosła dłoń, niczym dyrygujący ruchem, a Beth spojrzała przeciągle w jej oczy. Wiedziała, że tak długo, jak będzie patrzeć w szarobłękitne, nieruchome oczy Candy, będzie mogła mówić wszystko to, co czuje.

- Wiem, że nie zamierzasz oddać mi mojego synka, bo jesteś chorym skurwysynem pozbawionym wszelkich uczuć.

- Pani Cappadora - wyszeptała Sarah. - Beth...

- Wiem, że nie zamierzasz oddać mojego synka, bo jeżeli jesteś osobą zdolną do podobnego czynu, to znaczy, że albo nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, przez jakie piekło teraz przechodzimy, albo cię to w ogóle nie obchodzi. - Beth musiała przełknąć ślinę. - Dlatego nie zamierzam cię o nic prosić. Ale proszę wszystkich innych... każdego, kto rozpozna twarz Bena i ma ludzkie uczucia. Będziecie wiedzieć, że ktokolwiek jest z Benem, to nie ja ani nie Pat. Nie jego mama czy tata. Więc błagam was, jeżeli tylko będziecie mieli taką możliwość, pochwycie Bena. Jeżeli będziecie musieli przy tym skrzywdzić osobę, która z nim będzie - nie szkodzi, zróbcie to. Wynagrodzę was. Moja ro-

dzina i moi przyjaciele was wynagrodzą. Oddam wam wszystko, co mam - Beth przerwała na moment. - To właśnie chciałam powiedzieć. Sarah Chan podniosła wzrok na Candy.

- Nie możemy tego wykorzystać.

- Czemu nie? - spytała Candy beznamiętnym głosem.

- Ponieważ... ponieważ nie... to znaczy, proszę mi wybaczyć, panie Cappadora, pani Cappadora, ale jeżeli ktoś rzeczywiście porwał chłopczyka, a teraz to usłyszy... wpadnie w szal... Nikt nie oczekuje takich słów...

- Obawiasz się, że ludzie nie polubią Beth dlatego, że okazuje gniew wobec osoby, która uprowadziła jej dziecko? Bo nie płaszczy się przed porwaczem? Nie wzbudza dostatecznej sympatii?

- Nie w tym rzecz... - odpowiedziała Sarah. Candy przycisnęła palec do czoła.

- Sarah, sama musisz dokonać wyboru. Albo wykorzystasz to, co masz, albo nie dostaniesz nic. A ja pójdę na dół, poproszę tu Waltera Sheera, Nancy Higgins czy kogokolwiek, kto nawinie mi się pod rękę, i Beth będzie mogła powtórzyć im dokładnie wszystko, co powiedziała przed chwilą. Zapewniam cię, że oni to wykorzystają, a ty odejdiesz z niczym.

- Pani nadinspektor, nie rozumiem dlaczego...

Candy stanęła za plecami Beth i objęła jej głowę dłońmi. Dla Beth ręce Candy były niczym błogosławieństwo.

- Dlatego że odsłoniła przed tobą swoje prawdziwe uczucia.

Rozdział 5

W poniedziałek po południu, pomimo protestów Beth, Pat wymeldował ją z „Tremont”. Choć nie potrafiła mu tego jasno wyjaśnić, Beth była niemal pewna, że udusi się wśród kuchennych zapachów i gorączkowego wyczekiwania przenikającego dom jej teściów, w atmosferze rodzinnej uroczystości pogrzebowej, wywołanej nieustannymi wizytami włoskich znajomych i krewnych. Sądziła - o dziwo - że to bardziej nieznośne niż pobyt w hotelu, który, choć budził przerażające skojarzenia, zapewniał ciszę i anonimowość. Tutaj Beth nie była skazana na ciągłe objanie się o ludzi, którym na każdym kroku winna była wdzięczność.

Pat pozostał nieugięty - dalszy pobyt w hotelu nie miał już żadnego sensu. Beth nie widziała Vincenta i Kerry od dwóch dni. Pat chciał w tych chwilach przebywać w towarzystwie sióstr i rodziców.

- Poza tym, Beth - tłumaczył jej - uważam, że u mojej matki łatwiej będzie ci się pozbierać. Szybciej dojdiesz do siebie. Tutaj każdy kąt nieustannie przypomina nam o tym, co się stało.

Udali się więc do samochodu. Kierownik hotelu podążał za nimi krok w krok, towarzyszył im, gdy przechodzili przez podjazd i wkraczali na parking, oznajmiając raz po raz, że oczywiście, nie będą płacić za swój pobyt, że zarząd hotelu „Tremont”, a właściwie cała sieć Hospitality Hotels, obejmująca swoim zasięgiem każdy zakątek („każdy zakątek galaktyki” - pomyślała Beth), wyraża swoje głębokie współczucie z powodu niewyobrażalnego nieszczęścia, które przypadło im w udziale. Mówił to w taki sposób, jakby przeproszał, że źle funkcjonująca klimatyzacja popsuła im weekend. Za kierownikiem ciągnęła rzesza dziennikarzy, rzucając głośne pytania: „Czy nawiązano kontakt z porywaczami? Czy FBI kogoś podejrzewa?” - Nigdy przedtem Beth nie mogła zrozumieć, jak ludzie oblegani przez prasę są w stanie igno-

rować natarczywość reporterów, szczególnie w sytuacji niezwykle silnego stresu.

Teraz już wiedziała. Tych pytań się po prostu nie słyszy. Są jak brzęczenie much - a właściwie nawet mniej uciążliwe. Angelo powiedział Beth, że w domu Cappadorów telefon dzwoni bez przerwy: reporterzy chcieli, jak to określali, naświetlić sprawę z punktu widzenia całej rodziny. Szczęśliwie policjant, pełniący służbę w domu Angela i Rosie, podnosił słuchawkę i informował uprzejmym głosem, że nikt z domowników nie skomentuje toczącego się śledztwa, po czym przerywał połączenie. Kiedy samochody dostawcze Cappadorów z wymalowaną na nich nazwą przedsiębiorstwa - „Golden Hat” - opuszczały sklep przy Wolf Road, furgonetki ekip telewizyjnych często podążały ich śladem. Nawet teraz, gdy Beth wsiadała do samochodu, młoda reporterka z magazynu „People” wcisnęła jej w dłoń swoją wizytówkę, niemal zaciskając palce Beth na kartoniku, przekonując, że jej czasopismo szczeni się rzetelnością podawanych wiadomości, dokładnością i największą po-czytnością. „Jeżeli udzieli nam pani wywiadu, pani przesłanie znajdzie się na każdym lotnisku, w każdym supermarkecie w tym kraju. Proszę do mnie zadzwonić”. Beth kiwnęła głową, zatrzasnęła drzwi samochodu i podciągnęła okno, zablokowała zamek, po czym zmięła wizytówkę w dłoni i wepchnęła do popielniczki.

„Tak naprawdę - myślała Beth - prasa, policja, rodzina w ogóle mnie nie obchodzą. Ludzie mogą poruszać ustami, zwracając się w moim kierunku, jeśli chcą - nie mam nic przeciw temu”.

Przestała funkcjonować w tej samej co oni rzeczywistości. Stała się atrapą kobiety, czymś równie fałszywym jak treska. Okryła się szczególną materią, zapewniającą niewidzialność, izolującą jej umysł od wszelkiego światła i informacji. Może teraz jechać do domu teściów albo do Madison, Amarillo czy na Saturn. Nigdzie nie znajdzie energii do życia ani spokoju.

Pat łagodnym tonem oskarżał ją o „odjazd”. Cerę miał nierówną -czerwone wypryski pokryły całą jego twarz; cuchnął papierosami; włosy wisiały mu w tłustych strąkach. Krzyczał przez sen. Beth zaoferowała mu swoje środki uspokajające, żeby w końcu się zamknął, jednak Pat odmówił, tłumacząc, że nie może się otumaniać, musi być w każdej chwili gotów pomagać policji. Beth miała odmienny pogląd na tę sprawę. Uważała, że policji i innym pomoże najbardziej, trzymając się od wszystkiego z daleka, zamykając się w sobie, by nie pozwolić szaleństwu wydostać się na powierzchnię, by opanować szloch, bezładny słowotok, agresję.

Ledwo weszli z ganku do salonu Cappadorów, Vincent rzucił się w objęcia Pata'a potem Beth uściskała go przelotnie, głaszcząc machinalnie po głowie. Jill włożyła jej w ramiona Kerry, by Beth mogła utulić i nakarmić niemowlę; jednak gdy Pat zorientował się, że Beth nawet nie spostrzegła, kiedy butelka wypadła z ust Kerry, zabrał dziecko, skończył karmienie i sam uśpił małą. Monika, siostra Pata, donosiła co chwilę dzbanki pełne kawy, nie mogąc się powstrzymać od wygrania kilku taktów na pianinie za każdym razem, gdy przechodziła obok instrumentu. Druga siostra Pata, Teresa, zajmowała się głównie pytaniem wszystkich pojawiających się w drzwiach: „I co my teraz zrobimy?“, aż w końcu Pat ostrym głosem powiedział jej, żeby się wreszcie uciszyła. Beth tkwiła w wielkim, przepaścistym fotelu tuż przy wejściu i każdy wchodzący w progi domu niemalże przyklękał na jej widok, jakby co najmniej była jakąś świętą. Zjawiła się rodzina Como, Wayne odwiedził ich dwukrotnie, poza tym różni znajomi Angela, w większości związani z nim interesami, przychodzili z kosztami pełnymi owoców i brytfankami, które wypełniały *lasagne*, choć Wayne oznajmił wszem i wobec, że znoszenie *lasagni* do domu Rosie jest jeszcze większym nonsensem niż zwożenie węgla do Newcastle.

Ani Beth, ani jej bracia nie byli w stanie przełknąć *lasagni* od czasu śmierci ich matki, kiedy to przez długie miesiące, *lasagne* wypełniały domową zamrażarkę, zdawało się, że nigdy ich nie ubędzie, jakby ulegały tajemniczemu rozmnożeniu. Przez wiele miesięcy obdarzali tą potrawą listonosza, członków rozmaitych organizacji społecznych kwestujących po domach na szczytne cele, rodziny swoich szkolnych przyjaciół.

Natomiast Rosie przyjmowała owe dary z wylewną wdzięcznością:

- Jak to miło z waszej strony, teraz zupełnie nie mamy czasu na gotowanie - oznajmiała, choć tak naprawdę od sobotniego poranka prawie nie zajmowała się niczym innym; obsesyjnie oddawała się kuchni, serwując olbrzymie porcje każdemu, kto zjawiał się w domu, i nawet teraz, w upalne czerwcowe popołudnie, zapiekała w piecu wieprzowinę z groszkiem i pomidorami, podkrecając jedynie klimatyzację, by nikogo nie narazić na udar.

Tuż przed obiadem, kiedy Rosie misternie nakrywała stół w jadalni z lustrzaną ścianą, Beth usłyszała Angela rozmawiającego w kuchni z jakimś mężczyzną. Głos brzmiał obco. Beth ogarnęło przerażenie, wstała, przeszła na koniec holu i zatrzymała się za drzwiami łazienki, sąsiadującymi ze wschodnią ścianą kuchni.

Gość Angela jednak ją spostrzegł.

- Charley - powiedziała na powitanie Beth.

- Bethie, skarbie - odpowiedział mężczyzna w nieskazitelnie białej koszuli, czerwonym krawacie i garniturze z granatowo-białego tenisu, gdzieś subtelnie przetykanego cienutką, niemal niedostrzegalną, karmazynową nitką. - Bethie, skarbie. Na Boga jedyne. Na Boga jedyne. Co to się porobiło na tym świecie? - Przytulił ją mocno do siebie i Beth, wbrew sobie, poddała się uściskowi owego Wiocha, mężczyzny w wieku jej ojca, uległa nagłemu wrażeniu, że jest rozbitkiem, który zdołał wyczołgać się na brzeg oceanu i choć pokaleczył się o ostre kamienie, odzyska siły, gdy tylko włoży na siebie suche ubranie.

Nie знаła jego prawdziwego nazwiska. Chociaż nie, pomyślała, przecież je zna. Ruffalo. Jego córka ma na imię Janet. Charley Ruffalo. Jednak ona zawsze nazywała go „Podwójny Charley” - oczywiście za jego plecami - bo miał zwyczaj powtarzania wszystkiego dwa razy. On i Angelo pochodzili z jednej wioski i łączyły ich jakieś zawile, rodzinno-klanowe związki - nazywali się wzajemnie kuzynami. Charley posiadał -jak to wdzięcznie określał Angelo - najbardziej dochodowe przedsiębiorstwo dostawcze na całej północnej półkuli - przedsiębiorstwo złożone z jednej, jedynej ciężarówki.

- Bethie - ciągnął teraz Charley - zrobiłem, co w mojej mocy. Zrobiłem, co w mojej mocy. Rozmawiałem z różnymi ludźmi. I, Bethie, Angie, przysięgam na Boga, przysięgam na Boga, nikt o niczym nie słyszał. Nikt o niczym nie słyszał.

Beth wiedziała (a Angelo wiedział, że ona wie), co Charley chciał przez to powiedzieć: Ben nie został uprowadzony przez członka kryminalnego podziemia.

- Dziękuję ci, Charley - odparła, a Angelo ze świstem wciągnął powietrze. Mężczyźni zaczęli rozmawiać po włosku i Charley ucałował Beth na pożegnanie - jego miękkie policzki były jak rękawiczka z delikatnej skóry, nasączona luksusową wodą toaletową.

- Obiad - zawołała po chwili Rosie głosem całkowicie pozbawionym tak typowego dla niej wigoru. Wszyscy usiedli wokół stołu. Vincent zjadał z wielkim apetytem. Wtórował mu, oddelegowany do domu Cappadorów, policjant z Parkside, młody, czarnoskóry chłopak nazwiskiem Cooper, natomiast pozostali, jak spostrzegła Beth, ograniczyli się do podziobania nożem swoich porcji wieprzowiny. W pewnej chwili mąż Teresy, Joey, zerwał się gwałtownie i wybiegł z jadalni, a za nim ruszyła Teresa, rzucając w stronę matki przepraszające spojrzenie. W trakcie owego pseudoobiadu zjawił się Bick, by oznajmić Beth,

że ich starszy brat, Paul, właśnie powrócił z podróży służbowej i już jest w drodze do domu Cappadorów.

- Bethie, zupełnie nie wiedziałem, co mu powiedzieć - oznajmił jej Bick. - Czy masz jakieś wieści, o których nie trąbią w wiadomościach?

Kątem oka Beth spostrzegła, że siedzący obok policjant zeszywniał. „To mój brat, idioto - powiedziała do niego w myślach - prawnik, a nie jakiś dziennikarzyna polujący na tanie sensacje”. Po czym oznajmiła głośno:

- Znaleźli jego but. Znaleźli trampek Bena na stojaku z gazetami. Bick przytulił ją mocno.

- A więc sądzą, że ktoś uprowadził Bena?

- Sądzą, że ktoś go uprowadził.

- Czy miejscowe gliny zawiadomiły FBI?

W odpowiedzi Pat zaczął się rozwodzić nad zawiłościami prawnymi związanymi z porwaniem i uprowadzeniem dziecka. Beth była pewna, że Pat nie do końca je rozumiał. Niemniej, wyjaśniał Bickowi, że jeżeli porywacz przekroczy granicę stanu, obszar powietrzny stanu, państwa czy przeleci przez ocean, wówczas uznaje się to za przestępstwo federalne, natomiast jeżeli porywacz uprowadzi dziecko z jednego końca stanu na drugi, nawet drogą powietrzną, to przestępstwo takie ścigają siły stanowe, chociaż właściwie w każdym stanie przepisy dotyczące porwania różnią się rozmaitymi szczegółami. W połowie przemowy Pata Beth zaczął nękać uciążliwy ból głowy, poszła więc na górę, znalazła swoje środki uspokajające i rzuciła się na łóżko Rosie. We śnie rozmaite słowa dochodziły do niej i odpływały, niczym oceaniczna fala: słyszała głosy Candy, Angela i Bicka, a w końcu dotarło do niej wyraźne: - Mamusia?

Wrzasnęła przerażająco. Usiadła na łóżku i wrzasnęła ponownie. A wtedy Vincent, stojący obok niej w podkoszulce i majtkach, również wrzasnął i zaniósł się płaczem. Rosie, wraz z podążającą za nią Moniką, przebiegła przez hol i wpadła do pokoju, objęła mocno Vincenta, mówiąc uspokajająco:

- *Dormi, dormi, Vincenzo, kochanie moje.*

- Do diabła, Beth, co ty wyprawiasz? - Pat brutalnie złapał ją za ramię.

- Ja... myślałam... myślałam, że to Ben. - Pat puścił jej ramię, a w zamian czule ujął dłonią jej głowę. Ben niemal co noc gramolił im się do łóżka. Vincent buntował się przed pójściem do swojego pokoju, ale kiedy już usnął, spał luźno rozciągnięty, niezależny, pewny siebie od maleńkości. Ben natomiast nie przespał prawie żadnej nocy w swo-

im łóżeczku, przełaził przez pręty niczym akrobata, aż w końcu Beth, w poczuciu przegranej, usunęła je zupełnie i od tej pory Ben swobodnie wyczołgiwał się ze swojego posłania i wślizgiwał się do pokoju rodziców. - Miałem spacerowe sny - tłumaczył się od niedawna, od czasu, gdy dostatecznie rozwinął swoje umiejętności językowe. Poza tym jedynie Ben zwracał się do niej czasami: „mamusia” - nigdy nie robił tego Vincent; on mówił: „mamusiu” lub „mamo”. Odurzona środkami uspokajającymi, Beth nie rozpoznała jego głosu.

Chwiejąc się na nogach, Beth podniosła się z łóżka i poszła do pokoju gościnnego. W momencie gdy tam weszła, jej teściowa - po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat znajomości, właściwie po raz pierwszy w życiu - spojrzała na nią z prawdziwą pogardą. Tuląc w objęciach Vincenta, którego szloch przechodził już teraz w lekką czkawkę wraz z ogarniającą go sennością, Rosie gestem nakazała Beth, by opuściła pokój. Beth weszła na werandę sąsiadującą z pokojem gościnnym, zajmowanym teraz przez Joeya i Teresę, którzy jeszcze nie położyli się spać.

Cała okolica domu Cappadorów zapchana była samochodami, reporterzy rozsiedli się na kocach, popijając kawę bądź colę z papierowych kubków, jakby znaleźli się na plenerowym festiwalu muzycznym. Nikt nie spostrzegł Beth. Radiowóz z Parkside stał na końcu ulicy, prowizorycznie zablokowanej pomarańczowym, drwalskim kozłem - furgonetka Kanału Dziewiątego objeżdżała właśnie tę przeszkodę, tuż na oczach Beth. Za jej plecami Joey otworzył drzwi prowadzące do sypialni.

- Masz coś do palenia, Joey?

- Myślałem, że rzuciłaś palenie, Bethie - Joey, najdelikatniejszy z mężczyzn, odparł łagodnym tonem.

- Bo rzuciłam.

Usiedli obok siebie na werandzie i obserwowali zgromadzonych reporterów: niektórzy już nagrywali wstępy do porannych wiadomości, ustawiając się na tle eleganckiego, skąpanego w świetle reflektorów, białego frontonu domu Angela i Rosie, domu z kamienia w stylu ranczerskiej posiadłości bogatych właścicieli ziemskich.

- Znajdziemy go, Bethie - zapewnił ją Joey zapalczywie.

- Och, Joey - Beth otoczyła go ramionami w przyływie naglej czułości wobec tego młodego chłopaka, czułości, na którą nie potrafiła się zdobyć wobec własnego małego synka, uśpionego teraz w pokoju po drugiej stronie holu.

- Bethie, oddałbym rękę, nogę za odnalezienie Bena.

- Wiem, kochanie.

Na werandzie stanęła Teresa w długiej koszuli nocnej.

- Jestem w ciąży - oznajmiła nagle.

- Jezu Chryste! A niech to szlag! Tree! - wyszczał jej mąż, wstając na równe nogi.

- W porządku, Joey - uspokoiła go Beth. - Gratuluję, Tree. Buona fortuna. Który miesiąc?

- Drugi - odparła Teresa.

- Powiedziałaś Patowi?

- Nie. Myślisz, że powinnam? Powiedziałam Rosie, a ona zabroniła mi wam o tym mówić. Przepraszam, że to zrobiłam. Po prostu mi się wymknęło. Zupełnie zgłupiałam. Wszyscy zgłupieliśmy.

- To prawda - potaknęła Beth. - Masz jeszcze papierosa, Joey?

Gdy Teresa i Joey położyli się spać, Beth została na werandzie, obserwując, jak ciemność powoli opuszcza niebo. W myślach przypominała sobie układ okresowy pierwiastków. Tlen. Azot. Węgiel. Krzem. Sód. Chlor. Neon. Stront. Argon. Wiedziała, że teraz pojawiły się pierwiastki, których jeszcze nie było za jej szkolnych czasów. Technet? Kaliforn? Czy może coś sobie ubzdurała? Papieros sparzył jej palce. Beth położyła się na malowanej, drewnianej podłodze. Słyszała płacz Kerry. Nieważne. Ktoś ją nakarmi.

O ósmej rano zjawiała się Candy, by zabrać Beth i Pata do laboratorium w Elmbrook na badanie na wykrywaczu kłamstw. Młody technik wygłosił do nich obojga identyczną przemowę:

- Proszę się zrelaksować. Zapewniam, że będzie to jedno z najbez-boleśniejszych badań w państwa życiu. Zawsze powtarzam ludziom, żeby się rozluźnili, choć, oczywiście, rzadko komu się to udaje - ostatecznie mówimy o badaniu na wykrywaczu kłamstw - kto czuje się zrelaksowany w podobnej sytuacji? Ale zdenerwowanie państwa nie ma większego znaczenia, ponieważ i tak muszę opracować krzywą bazową, zależną od stanu, w którym się państwo w danym momencie znajdujecie. Wyobrażam sobie, że w tej chwili jesteście w silnym stresie. Zacznę więc od najtrudniejszego pytania. Proszę podać swoje nazwisko.

Beth i Pat dowiedzieli się później, że gdy zapytano każde z nich, czy ponosi odpowiedzialność za zniknięcie Bena, analiza zarówno jej, jak i jego reakcji w chwili udzielania odpowiedzi sugerowała kłamstwo.

- To nic wielkiego - Candy zapewniała Beth. - W razie czego, powtórzymy badanie.

Gdy wrócili do domu, zastali tam Ellen, która zjawiała się, by zawieźć Beth do kaplicy w Immaculacie, gdzie zainstalowała swoją bazę grupa ochotników.

- Jakich ochotników? - spytała Beth.

- Och, wiesz, ochotników do roznoszenia ulotek i rozlepiania plakatów - tłumaczyła Ellen. - Wczoraj wpadła do nas kobieta z Obywatelskiej Organizacji Zwalczenia Przemocności i pouczyła, jak to zorganizować. Podobno pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny mają zasadnicze znaczenie.

Wszystkich absolwentów Immaculaty było trzystu dwudziestu. Samych tylko ludzi związanych ze szkołą zgromadziło się w suterenie kaplicy co najmniej stu pięćdziesięciu - tak przynajmniej stwierdził Pat. Poza tym przyszli tam także sąsiedzi Rosie i Angela, dama serca Billa, znajomi z dzieciństwa Pata i Beth oraz przyjaciele ich braci i sióstr. Beth dostrzegła żonę Nicka, Trishę, i żonę Jimmy'ego Daugherty. Nie zabrakło dyrektorki Immaculaty, obecnie jedynej zakonnicy w całym gronie pedagogicznym. Zjawiała się także czwórka innych nauczycieli, łącznie z wiekową panną Sullivan, która uczyła Beth angielskiego, a już ponad dziesięć lat temu przeszła na emeryturę. Wayne, choć jego praca dla AT&T była tak absorbująca, że, jak obliczył, w ciągu całego roku nie zjawiał się w biurze jedynie trzy razy (wszystkie trzy dni okazały się niedzielami), znajdował się tam również; odwołał swoje zobowiązania na czas nieokreślony, a zdarzyło mu się to dopiero drugi raz w życiu. (Za pierwszym razem Wayne wybrał się w czterotygodniowy rejs do Australii wraz z grupą dziewięciuset gejów.

- Znajdowaliśmy się na środku oceanu, a ja nie mogłem zorganizować sobie randki - wyzalał się później przed Beth. - Gdybym został na miejscu i pracował, wyszłoby na to samo.) Teraz Wayne miał nadzorować media. Jego zadanie polegało na przeglądaniu próśb o wywiady i sesje fotograficzne, i wybieranie jedynie tych, które ewentualnie mogłyby pomóc w poszukiwaniach. Nawet Cecil Lockhart wpisała się na listę ochotników, jednak w ostatniej chwili musiała się wycofać z powodu nagłej choroby matki.

- Ale prosiła, żeby przekazać ci najserdeczniejsze pozdrowienia, Beth - mówiła Ellen. - Zapewniam cię, że była zupełnie szczerą. Gdy tylko zdrowie jej matki na to pozwoli, przyjedzie tu, żeby nam pomóc. Wiesz, okazuje się, że ona ma synka niewiele starszego od Bena -z drugiego małżeństwa, a może z trzeciego czy piątego? Nieważne. Wcześniej o tym nie wiedziałam. W każdym razie Cecil jest szczerze wstrząśnięta twoją sytuacją. Wszyscy jesteśmy, Bethie. Wszyscy.

W chwilę po tym, jak Pat i Beth zjawili się w suterenie kaplicy, Laurie Elkwel wkroczyła tam z naręczem segregatorów. Wyglądała jak osoba, która ostatnie dni spędziła w łóżku złożona grypą i która jeszcze

w łóżku powinna pozostać. Od czasu college'u Laurie stała się najlepszą przyjaciółką Beth w Madison; Beth czasami myślała, że tak naprawdę jedyną. Były z Laurie równie do siebie podobne, jak kołpak samochodowy do księżycy: już jako studentka pierwszego roku Laurie odznaczała się niezwykłym opanowaniem i pewnością siebie; Beth nie miała najmniejszych złudzeń - nigdy w życiu nie osiągnie podobnego stanu. Laurie natychmiast poznała wszystkich pracujących w dziale studenckiej pomocy finansowej, przewodniczące zaś rozmaitych zrzeszeń zostawiały wiadomości dla niej, a nie odwrotnie. Laurie należała do osób, przed którymi już w dzieciństwie otwarto kufer pełen wszelkich informacji niezbędnych do przeżycia we wszechświecie i, czego dowodziły segregatory, posiadających umiejętność sortowania owej wiedzy.

Beth i Ellen kłóciły się i rzucały słuchawką co najmniej raz do roku; przyjaźń z Laurie natomiast trwała nie zakłócana ciemnymi zawilościami wspólnego dzieciństwa i pochodzenia - była jak letnie, słoneczne popołudnie. Beth i Laurie poznały się w czasie, gdy ludzie przekształcają swoją osobowość, zmieniają się, wspierają nawzajem w chwilach napawającej paniką nudy, dzielą się dumą i lękami związanymi z macierzyństwem i trwaniem w wieloletnich związkach.

Kiedy Beth popatrzyła na Laurie i wszystkich innych zgromadzonych pod kaplicą, przemknęło jej przez głowę nagłe i niespodziewanie: „Tak naprawdę dopiero teraz rozpoczyna się nasz zjazd. I teraz zdołam zdobyć się na działanie”.

Beth oznajmiła, że Laurie zasłużyła na Nobla w dziedzinie organizacji i sama też poczuła przypływ niezwykłej formy. Długie stoły, zazwyczaj uginające się pod jedzeniem przygotowanym na parafialne herbatki czy weselne śniadania, były teraz zarzucone telefonami oraz stosami ulotek i plakatów naklejonych na żółte, czerwone i niebieskie kartony. Pat wziął w rękę jeden z nich i Beth zobaczyła duży, wytłuszczony nagłówek: CZY WIDZIELIŚCIE DZIŚ BENA?, a pod spodem zdjęcie, dzięki Bogu zupełnie Beth nie znane, zrobione przez Ellen zeszłego lata w jej ogrodzie, i numer telefonu, który załatwił Wayne i który natychmiast zapadał w pamięć - wystarczyło wystukać litery BEN, WRÓĆ¹. Z jednego z segregatorów Laurie wydobyła szczegółową mapę zachodnich dzielnic, w trzech wielkich arkuszach, które, połączone razem, pokryły większą część jednej ze ścian.

- Podzielimy się na drużynę czerwonych, niebieskich i żółtych –

¹ Telefony w krajach anglosaskich oprócz cyfr mają na tarczy także litery. (Przyp. tłum.)

oznajmiła Laurie, otwierając kolejny segregator, z którego wyjęła komputerowy spis nazwisk, uzgodniony przez telefon z Wayneem i Ellen. -Kapitanowie poszczególnych drużyn przydzielą każdemu określony obszar do oplakatowania. Niektórzy natomiast zostaną tutaj i zajmą się telefonami napływającymi z terenu.

- Kiedy zamierzacie rozpocząć działanie? Laurie rzuciła Beth zdziwione spojrzenie.

- Natychmiast - odparła.

- Jak długo możesz tu zostać?

- Och, całe wieki - zapewniła ją Laurie.

Candy wygłosiła krótką mowę do zebranych ochotników, tłumacząc, że każda pozyskana przez nich informacja może okazać się ważnym śladem prowadzącym do Bena.

- Wasza pomoc jest absolutnie bezcenna - zapewniała Candy - zarówno dla Pata i Beth, jak i dla nas. Przez kolejne kilka dni będziecie państwem naszymi uszami i oczami na tym terenie i każda, nawet najdrobniejsza część czasu, którą nam poświęcicie, będzie nieoceniona.

Następnie Candy opowiedziała o planowanym na wczesny wieczór przeczesywaniu tyralierą otwartych przestrzeni i wyjaśniła, w jaki sposób ochotnicy mogą przyłączyć się do tych poszukiwań. Ponieważ zmrok zapadał teraz późno, wszyscy pracujący w ciągu dnia mogli późnym popołudniem włączyć się do akcji. Candy przestrzegała także przed prowadzeniem dochodzeń i poszukiwań na własną rękę.

- Musimy tworzyć jeden organizm, którego mózg znajdować się będzie właśnie w tym miejscu - po czym odwróciła się w stronę Pata. -Pat, czy chciałbyś coś dodać?

Oczy Pata zwilgotniały.

- Chciałbym jedynie wszystkim podziękować. Dziękuję. Dziękuję w imieniu naszym i w imieniu Bena.

Anita Daugherty podniosła się pierwsza i zaczęła klaskać. Natychmiast przyłączyli się do niej wszyscy zgromadzeni w suterenie. Dziwaczność tego gestu wprawiła Beth w osłupienie; domyślała się, że miał on wyrażać solidarność, dodawać odwagi, ale jej kojarzył się jedynie z partyjną masówką, szczególnie w zestawieniu z tłumem ochotników objuczonych naręczami plakatów. Ponieważ poczuła się jak osaczone zwierzę w poszukiwaniu schronienia - odwróciła się i pobięła w stronę schodów prowadzących na piętro.

Drzwi do kaplicy Najświętszej Panny znajdowały się tuż na prawo od ołtarza. To właśnie tutaj, u stóp figury Matki Boskiej, Beth złożyła bukiet kwiatów w dniu swojej Pierwszej Komunii, ubrana w miniaturo-

wą suknię ślubną. Przez wiele lat żyła w niezmiennym przekonaniu, że tutaj też zjawi się pewnego dnia w roli szczęśliwej panny młodej. Teraz pragnęła jedynie, by owa niewielka komnata z błękitnym niebem i wyblakłymi, złotymi gwiazdami wymalowanymi na suficie mogła oddzielić ją od świata. Beth uklękła i złożyła ręce do modlitwy:

- Zdrowaś Mario, laski pełna... - zaczęła miękkim głosem. Lecz usłyszała jedynie puste słowa wydobywające się z czeluści jej gardła. W całym swoim życiu Beth zaledwie dwa razy miała wrażenie, że modli się naprawdę, że czuje więź pomiędzy własnym ja a jakimś innym, nie znanym jej bytem: po raz pierwszy w szpitalu, tuż po śmierci matki, a potem wtedy, gdy będąc w ciąży, przestała nagle krwawić, gdy uwierzyła, że nie poroni płodu, który okazał się Benem. Natomiast przez resztę swojego życia, mimo że słowa spowiedzi powszechnej, różańca i wyznanie wiary znała równie dobrze (przynajmniej po łacinie) jak swoje własne imię i nazwisko, nie potrafiła się utożsamić z tym, co mówiła, choć zdarzało się, że wzruszała ją semantyczna kombinacja wypowiedzianych słów.

- Święta Mario - wyszeptała znów Beth, myśląc jednocześnie: „Jeżeli nie potrafię wykrzesać z siebie wiary w tym momencie, jeżeli teraz nie potrafię błagać o łaskę, nawet zakładając, że moje słowa trafią jedynie w pustą przestrzeń, że nie zostaną wysłuchane, że wszystko, co mogę otrzymać, to jedynie chwila przynoszącej ukojenie medytacji, jeżeli w tej chwili nie potrafię rozewrzeć zaciśniętej dłoni, to znaczy, że nie zasługuję na odzyskanie Bena. Muszę się przecież za niego modlić”. - Święta Mario - słowa odbiły się pustym dźwiękiem o sklepienie jej suchego podniebienia. - Nie mogę - zdecydowała Beth.

Poczuła zapach Candy, jeszcze zanim ją zobaczyła: poczuła ową wyraźną, cytrusową nutę, dominującą w aromacie jej wody toaletowej, stanowiącą specyficzny manifest schludności. Rząd aksamitnych, niebieskich kłęczników ciągnął się przez dobre półtora metra wokół złotej barierki ustawionej tuż przed marmurowymi fałdami szaty Madonny. W pewnej odległości od Beth Candy przyklękła na jednym z nich i zasłoniła twarz dłonią.

- Jesteś katoliczką? - spytała Beth.

- Nie - odparła Candy. - Po prostu czekam na ciebie.

- Nie ma na co czekać - stwierdziła Beth. - Skończyłam. A właściwie wcale nie zaczęłam. Nie umiem się modlić.

- Moja matka utrzymuje, że nie istnieje właściwy sposób modlenia się.

- Ale ja nie wierzę.

- W nic zupełnie?
- Chciałam powiedzieć, że nie wierzę w Boga.
- Jesteś ateistką? - zainteresowała się Candy. Beth parsknęła.
- O, nie. Na to brak mi odwagi.
- A może właśnie wiara wymaga odwagi? Wiara w coś, czego nie można zobaczyć.
- Mówisz tak, jakbyś wychowywała się w katolickim domu.
- Cóż, wychowywałam się w żydowskim domu - odpowiedziała Candy, podnosząc się z klęcznika. - Te obie kultury są do siebie podobne. Rządzi w nich poczucie winy. Mizoginia. I parę innych podobnych idei. - Candy wyciągnęła dłoń i dotknęła marmurowych palców Najświętszej Panny. - Ale mieści się w nich również przyjazd z końca świata, by zaopiekować się kimś bliskim. Całkowite poświęcenie dla dziecka - co, oczywiście, wypomina mu się potem do końca życia. - Wzrok Candy powędrował w górę i zatrzymał się na przepojonej nieziemskim spokojem twarzy Madonny. - Ona była żydowską matką, wiesz, Beth? Być może właśnie ta żydowska matka jest jedyną istotą zdolną teraz pomóc ci w jakikolwiek sposób?
- W tej chwili łatwo przysłoby mi się z tym zgodzić. Podobno w okopach nie ma ateistów.
- Beth - powiedziała na to Candy jednym tchem - może ty wcale nie potrzebujesz wiary. Może wcale nie musisz się modlić. Może wszystko, czego ci teraz potrzeba, by przetrwać, masz w sobie. Może samo utrzymanie się na powierzchni jest już w tej chwili wystarczające.
- Beth spojrzała na statuetkę Madonny.
- Utrzymanie się na powierzchni, mówisz? I co lub kto ma mi w tym pomóc? Ona?
- Jeżeli będziesz tego pragnęła, czemu nie?
- A jeśli nie istnieje nic poza naszą rzeczywistością?
- Wówczas... ja ci pomogę.

Rozdział 6

Nawet Laurie nie mogła tkwić przy niej wiecznie.

- Dopóki nie znajdziemy Bena, będę przyjeżdżać do ciebie w każdy weekend - zapewniała teraz Beth, dotykając dłonią jej brody i patrząc jej prosto w oczy z tą swoją szczególną powagą i szczerością. Obie doskonale wiedziały, że Laurie nie uda się przyjeżdżać co tydzień, jednak świadomość tego faktu nie niweczyła serdeczności i nadziei, kryjących się za jej obietnicą. - Mamy jeszcze wiele do zrobienia. Wszyscy świetnie to rozumiemy. Pamiętamy, co mówiła nam ta kobieta z Zapobiegania Przestępczości. W ciągu najbliższego tygodnia roześlemy olbrzymie pakiety plakatów do wszystkich stanów, gdzie obecnie mieszkają absolwenci Immaculaty, a oni rozprawdają je poprzez sieć ochotników. Osobiście roześlę część paczek z domu. Najdalej do niedzieli nasz powiększony plakat znajdzie się na olbrzymim billboardzie przy autostradzie, wykupionym przez Związek Straży Pożarnej. Bethie, pomyśl, codziennie sto tysięcy ludzi będzie oglądać twarz Bena. Żona Jimmy'ego już nawiązała współpracę z Narodowym Centrum do Spraw Dzieci Zaginionych i Maltretowanych, no i pozostał nam jeszcze ten program telewizyjny: „Zaginieni” - Sarah Chan twierdzi, że mamy duże szanse na wystąpienie przed kamerami, szczególnie teraz, gdy Bena... - Laurie urwała.

- Nie ma od tak dawna - skończyła za nią Beth. - Od tak dawna, że sam ten fakt stanowi już dostateczną sensację.

- O, Boże - wyszeptała Laurie.

W ten sposób zakończył się pewien etap. Nikt tego nie powiedział, jednak wszystkich powoli ogarniała niemoc - odbijała się na twarzach policjantów z Parkside, w coraz mniejszej liczbie pracujących nad tą sprawą, a także w oczach ochotników, których grupa po dwóch tygodniach stopniała do garstki dwudziestu najbardziej wytrwałych. Zapach

Chanel Nr 5 Barbary Kelliher stał się dla Beth leitmotivem owych dni; najpierw do sutereny w Immaculacie wpływał aromat perfum, a dopiero za nim pojawiała się twarz Barbary, nieodmiennie przybrana w wymuszony uśmiech, który nie znikał, gdy z wielkim oddaniem zabierała się do sprawdzania wszystkich telefonicznych wiadomości otrzymanych poprzedniej nocy. Beth rozumiała, że dla niektórych ochotników poszukiwanie Bena stanowiło najprawdziwszy akt miłości - choć, oczywiście, miłości nie do niej. Przyświecała im nadzieja, że znalezienie Bena uchroni ich własne rodziny od nieszczęścia. Kierowało nimi owo najszlachetniejsze poczucie winy, które każe przygodnym ludziom skakać w lodowate odmęty, by ratować tonącego psa czy włóczęgę, i w ten sposób zbawić samego siebie. Beth kochała suterенę kaplicy, przepełniającą ją zapach świeżo otwartych ryz papieru i zwietrzałej kawy; jej miłość do tego miejsca odznaczała się jakąś romantyczną gorliwością. Jedynie tutaj i w zagraconym biurze Candy Beth mogła choć na krótki moment zrzucić z siebie ciężar związany z utratą Bena - ciężar, który pewnego dnia sprawi, że zostanie z niej jedynie płatek wysuszonej skóry.

Właśnie w suterenie pod kaplicą, tuż po pożegnaniu z Laurie, Beth dowiedziała się o ważnym telefonie - doniesieniu o Benie, które po raz pierwszy brzmiało sensownie i prawdziwie. Pewna kobieta z Minnesoty, która jednak odmówiła podania nazwiska, zadzwoniła z opisem małego chłopca, widzianego w centrum handlowym w Minneapolis w towarzystwie siwowłosej kobiety w wielkim kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych. Dzwoniąca nie miała najmniejszych wątpliwości, że owym chłopcem był Ben. Dziecko jadło hot doga. Z jakichś względów wzmianka o hot dogu przemówiła do Barbary Kelliher.

- Uważam, że powinnaś pójść do Candy i upewnić się, że ona sprawdzi ten ślad - powiedziała do Beth. - Jak chcesz, mogę cię do niej zawieźć.

- Dziękuję - odpowiedziała jej Beth. - Jeszcze umiem prowadzić samochód.

Ale, w rzeczywistości, nie musiała tego robić. Samochód sam z siebie skierował się na parking posterunku w Parkside - wystarczyło, że Beth położyła dłonie na kierownicy. Jednak gdy już tam dotarła, nie wiedząc dlaczego, zawróciła i pojechała do delikatesowego garmazu „Golden Hat”, by zamówić kilka sztuk *cannoli*.

Joey, który akurat tego dnia wydawał dania obiadowe, zapakował je dla niej starannie.

- Zgłodniałaś, Bethie? - zapytał z nadzieją w głosie, patrząc na luz-

no zwisające dzinsy Beth ściągnięte mocno paskiem Pata, na jej kości biodrowe, sterczące teraz na wysokości kieszeni spodni niczym wielkie pęki kluczy.

- Aha - odpowiedziała mu Beth. - Mam nieodpartą ochotę na *cannoli*, zupełnie jak Tree.

Joey uściskał ją, wcisnął jej w dłoń jednego camela i Beth wyszła, po czym wsiadła do samochodu i położyła białe pudełko przepasane sznureczkiem związanym na kokardkę tuż obok siebie, na siedzeniu pasażera.

Nikt z dyżurnych posterunku Parkside nie zadawał już Beth żadnych pytań - na jej widok bez słowa zwalniali blokadę drzwi, prowadzących do zamkniętej części komisariatu. Chociaż była tam winda, Beth zawsze wchodziła schodami, a gdy dziś otworzyła stalowe drzwi prowadzące na korytarz, gdzie znajdowało się biuro Candy, zazwyczaj otwarte na oścież, Beth usłyszała jej głos, mówiący: - ... wysłać tam kogoś, żeby sprawdził wszystko na miejscu.

- Wybacz, Candace - odpowiedział jej obcy, męski głos - ale to niemożliwe, by on teraz zmontował grupę i wysłał ją do pieprzonego Minneapolis, żeby przesłuchali jakąś babę, której zdawało się, że widziała dzieciaka. Posłuchaj, Minneapolis? Ani jedna z osób zaproszonych na zjazd nie mieszka w Minneapolis. W tym wydziale pracuje jedynie sześćdziesięciu policjantów, a nie sześciuset.

- Jak daleko, do cholery, jest Minneapolis? Ludzie przemieszczają się z miejsca na miejsce, McGuire - głos Candy nabrał oziębłego tonu. - Jesteśmy społeczeństwem wiecznych wędrowców.

Beth zamarła w bezruchu, by nie uronić ani słowa.

- Candace, wiem, jaki jest twój stosunek do tej sprawy, ale wierz mi, dzieciak już nie żyje. Ten dzieciak nie żyje i tak jest najprawdopodobniej dla niego najlepiej, a ...

- Tylko nie mów mi, że ja o tym dobrze wiem, bo ja tego nie wiem. - Beth usłyszała znajomy dźwięk, oznaczający, że Candy stuka linijką o blat biurka. - Jakkolwiek to było, naruszono granicę stanu. Zamierzam zadzwonić do Bendera.

- A on zapewne powie ci: „Witam panią, pani nadinspektor, proszę do mnie zadzwonić za sto lat lub gdy to całe piekło się uspokoi”.

- Prawo uznaje ten przypadek za oficjalne doniesienie o napotkaniu ofiary poza granicami stanu.

- Daj spokój, to tylko kolejna... - Policjant w cywilu, którego Beth po raz pierwszy w życiu widziała na oczy, odwrócił się i ją zauważył. - Och... witam panią, pani Cappadora.

Beth posłała mu uśmiech.

- Beth, wejdź proszę - z zapalem zapraszała Candy. - Zobaczymy się później, McGuire. - Detektyw wyszedł. - Słyszałaś. - To nie było pytanie.

- Słyszałam tylko, jak rozmawialiście o jakimś facecie nazwiskiem Bender.

- Nieprawda. Słyszałaś wszystko. Wiedz, że ta sprawa posłuży mi za pretekst do włączenia w śledztwo FBI, do zaangażowania Bendera. Jest szefem biura w Chicago.

- FBI. Dlaczego? - spytała Beth.

- Cóż, nie dlatego, że nie poradzilibyśmy sobie sami - mówiła Candy Bliss. - Chociaż, rzeczywiście, nęka nas delikatna kwestia niedoboru kadr. Stąd niektórzy z naszych szefów popadają w popłoch, jeżeli nie kończymy śledztwa i nie wydobywamy od podejrzanych niepodważalnego przyznania się do winy, nim oni zdążą wrócić z lunchu. - Candy zakaszła. - Ale to prawdopodobnie jeden z powodów, dla których powołano FBI, by wspomagało lokalne organa ścigania w przypadku przestępstw federalnych.

Candy wstała z krzesła i przechadzała się po pokoju.

- Moim osobistym zdaniem agencji FBI to idealni księgowi. Jediną racją ich istnienia jest tworzenie niezliczonych ilości baz komputerowych i pojawianie się na miejscu aresztowania, szczególnie wtedy, gdy gdzieś w pobliżu czają się kamery. Ale nie chcę, żebyś przejęła ode mnie te chore poglądy. Dlaczego więc ci je zdradzam? Po prostu głośno myślę. Jestem śmiertelnie zmęczona. - Candy przycisnęła palec do delikatnych zmarszczek pomiędzy brwiami. - Pieprzyć tych agentów. Ale co tam, może Bender ma dzisiaj dobry dzień? Zadzwoń do niego. Pewnego razu próbował poklepać mnie po tyłku. Może ma do mnie słabość?

Beth usiadła i obserwowała, jak Candy wykręca numer telefonu.

- Bob! - Niekłamanie wylewna nuta w jej głosie tak zdumiała Beth, że przez moment zwątpiła w szczerłość rozgoryczenia, które Candy jeszcze przed chwilą tak jawnie okazywała. - Aha... Och, oczywiście, dobrze zakonserwowana, to ja - Candy słuchała przez chwilę. - Nie, możesz zgadywać aż trzy razy... Tak, Bob, zgadłeś. Jesteś genialny. Posłuchaj, mamy doniesienie z Minnesoty. - Candy umilkła i przyłożyła słuchawkę do czoła. - Nie, Bob, tym razem to poważna sprawa... Skąd o tym wiesz?... Tak, oczywiście, że sprawdzimy, ale ona mogła wejść tam prosto z ulicy. Przecież nie istnieje prawo zabraniające starszym paniom wchodzenia do hoteli... Dobrze... Dobrze. Oddzwonię.

Candy połączyła się z sekretarką i poleciła, żeby Taylor ponownie przejrzał listę hotelowych gości, zwracając szczególną uwagę na samotnych emerytów, a potem udał się do „Tremont” i przesłuchał na tę okoliczność cały personel. W tym czasie młody praktykant, z bardzo przerażoną miną, przyniósł do pokoju pocztę. Candy machinalnie przerzucała ją w palcach, aż w końcu natrafiła na dużą, pękatą kopertę. Odkładając słuchawkę, uśmiechnęła się szeroko do Beth.

- Następna - oznajmiła.

- Myślisz, że to kolejna przesyłka od „wyznawcy”?

Pocztą przychodziło wiele odręcznie naszkicowanych map, prowadzących do nieistniejących adresów lub opuszczonych budynków, w których, rzekomo, miał być przetrzymywany Ben. Niektórzy przysyłali nowiutkie ubranka, które podobno należały do Bena. Pojawiały się koperty ze zdjęciami mężów, których własne żony oskarżały o porwanie chłopca, a czasami - przejmujące Beth lodowatym dreszczem - kasety magnetofonowe, na które nagrano rozwlekłe opowieści opisujące, jak szczęśliwy jest Ben od chwili, gdy znalazł się w prawdziwie chrześcijańskim domu. Beth podejrzewała, że przysyłano również inne kasety, złowrogie kasety z makabrycznymi historiami, o których Candy po prostu jej nie wspominała.

Candy już dawno wytłumaczyła Beth, że ludzie porywają dzieci jedynie z trzech powodów: żeby w ten sposób wymóc coś na rodzicach; ponieważ pragnienie posiadania dziecka staje się dla kogoś tak silne, że posuwa się do szaleństwa, jakim jest uprowadzenie cudzego maleństwa; oraz, w najrzadszych przypadkach, nie przekraczających paru procent wszystkich podobnych przestępstw, by dziecko sadystycznie zamęczyć. Jeśli idzie o uprowadzenie nieletniego, jak utrzymywała Candy, zawsze należy mieć nadzieję, że znalazło się ono w rękach oszalałego niedoszłego rodzica, ponieważ wówczas, bez wątpienia, maluch zostanie otoczony jak najtroskliwszą opieką.

Tak więc w paczce, którą trzymała Candy, mogło znajdować się wszystko: zakrwawiony T-shirt, para przetartych już fioletowych szortów, pociętych i sztywnych od...

Ale Candy powiedziała z uśmiechem:

- Nie. To od Rebeki, mojej przyjaciółki jeszcze z czasów akademii. Teraz jest maklerem. - Paznokciem kciuka otworzyła kopertę i wytrząsnęła na biurko zdumiewającą plataninę amarantowej i lazuruwej odzieży - tunikę, spodnie na gumę w pasie, szal i do tego pasek. - Widzisz, moja przyjaciółka Rebecka co pół roku nabiera bądź gubi z piętnaście kilogramów. To bardzo kosztowny nałóg... ilekroć zaczyna tyć, oddaje

mi swoje za wąskie ubrania. - Candy potrząsnęła głową. - Problem w tym, że w swojej szczupłej fазie Becky ubiera się jak jarmarczna wróżka, więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zaność te ciuchy do Saint Vincent de Paul. Na szczęście Becky mieszka w Kalifornii, więc nie ma o tym zielonego pojęcia. Te ubrania kosztują zapewne setki dolarów.

Beth uśmiechnęła się:

-Dla mnie wygląda to na zduszony krzyk o pomoc. Candy uniosła kopertę.

- Chciałaś powiedzieć, wyduszony krzyk o pomoc.

I Beth, ku swemu przerażeniu, wybuchnęła śmiechem, więc natychmiast zakryła usta ręką, miała wrażenie, że za chwilę się udławi. Candy błyskawicznie podniosła się z krzesła i znalazła tuż przy Beth, po drugiej stronie biurka.

- Beth, Beth, posłuchaj - mówiła. - Zaśmiałaś się. Tylko się zaśmiałaś. Los cię za to nie skarże. Jeżeli się roześmiesz, poczytasz książeczkę Vincentowi czy zjesz coś ze smakiem, nie zarobisz w ten sposób ujemnych punktów na wielkiej tablicy przeznaczenia. - Beth rozplakała się. - Uwierz mi - tłumaczyła jej Candy - nie możesz iść przez życie z przekonaniem, że gdy obejrzysz film, posłuchasz piosenki, zrobisz cokolwiek, co sprawi, że przez moment przestaniesz się czuć najpodlej na świecie, będziesz musiała zapłacić za tę chwilę szczęścia ostateczną utratą Bena. To nie tak, Beth. Twój syn nie umrze tylko dlatego, że się roześmiesz.

Czując upokorzenie już w momencie wykonywania tego gestu, Beth chwyciła dłoń Candy i przycisnęła do swojego policzka. Candy tak niespodziewanie gwałtownym ruchem wyrwała rękę, że Beth podskoczyła w górę, niemalże przewracając się o krzesło.

- Ja nie chciałam... - zaczęła Beth.

- Wiem, wiem - uspokajała ją Candy. - To ja jestem pokręcona. Nie zrobiłaś nic złego. Jestem po prostu przewrażliwioną idiotką.

- Nie możesz się zbyt angażować - zawyrokowała Beth niepewnym głosem.

- Nie - odparła Candy. - To znaczy, oczywiście, nie mogę się zaangażować tak, by stracić jasność myślenia i nie dostrzegać, jak pomagać innym. Ale moje zachowanie przed chwilą... Jestem kobietą, przełożoną zespołu detektywów, jestem Żydówką, a do tego lesbijką, czy wiedziałaś o tym? Jak widzisz, przypadło mi w udziale każde możliwe wynaturzenie. Dlatego mam wrażenie, że oczy całego Teksasu są nieustannie skierowane na mnie. Wydaje mi się, że ilekroć ściskam

Katie Wright ze Zwalczania Przeszłości, ktoś może pomyśleć, że próbuję ją uwieść...

- Do głowy by mi nie przyszło...

- Oczywiście, że tobie by nie przyszło. Jezu, jestem naprawdę pokręcona. - Candy znów usiadła za biurkiem. - Ale wiesz co? Te jarmarczne ciuchy podsunęły mi pewien pomysł. Chciałabym, żebyśmy kogoś odwiedziły, dobrze, Beth? Zaryzykujesz?

- Kogo?

- Mieszka tutaj pewna kobieta, niektórzy mówią na nią Szalona Mary; naprawdę nazywa się Loretta Quail. Też nieźle, co? W każdym razie, Loretta pomaga ludziom odnajdować rozmaite zguby. Zabłąkane psy. Zapodzione pieniądze. - Candy popatrzyła przeciągle na Beth. - Czasami także zaginione osoby. Pewnego razu młoda kobieta z Parkside, matka małego dziecka, zmyliła drogę w gwałtownej śnieżycy i zjechała z mostu do strumienia. Samochód wpadł przodem do wody i zatonął, a pas bezpieczeństwa najwyraźniej się zaciął. Kobieta utopiła się w strumieniu nie głębszym niż na półtora metra, Beth. My jednak wówczas o tym nie wiedzieliśmy. W żaden sposób nie mogliśmy się zorientować, co się właściwie stało. Ta kobieta wyszła z domu po paczkę pieluch i już nie wróciła. Jej mąż był typem małego, wrednego szczura - myśleliśmy, no wiesz, że zakopał ją na podwórzu, może nawet pod drabinkami i huśtawkami dla dziecka. Nie układało się między nimi najlepiej. Ale nie, facet był cały czas w domu z maluchem - ta kobieta po prostu się rozplynęła - tak zresztą jak i jej samochód. Tego dnia nie odwiedziła nikogo z przyjaciół. Nigdy nie dotarła do sklepu. Jakby pochłonął ją czwarty wymiar. Wówczas ktoś przypomniał sobie

0 Lorecie... Beth, musisz wiedzieć, że należę do osób twardo stąpających po ziemi. Ale pomyślałam, cóż... niektóre wydziały policji mają swoich „etatowych” jasnowidzów, nigdy nie wiadomo... W każdym razie, Loretta obwąchała kurtkę tej kobiety, dokładnie tak, jak zrobiły te psy, Holmes i Watson, po czym oznajmiła nam, że znajdziemy ją w samochodzie pod śniegową górą, ze wzrokiem skierowanym w niebo.

1 wiesz, Beth, ta dziewczyna tam była. Znaleźliśmy ją w marcu, gdy strumień odtajał, wciąż przypiętą pasami do siedzenia, z oczami utkwionymi w sufit samochodu. Góra śniegu to był śnieg z ulic miasteczka, zrzucany do strumienia przez służby miejskie.

- Więc myślisz, że ona mogłaby pomóc w odnalezieniu Bena?

- Myślę, że mogę ci zaoferować możliwość skorzystania z jej usług, ale chciałabym, żebyś nikomu o tym nie mówiła. Oczywiście nikomu poza Patem.

- Nie chcę mu o tym mówić.
- Sądzę, że powinnaś.
- Ale nie chcę. Kiedy mogłybyśmy się z nią zobaczyć?

- Już do niej dzwonię. - Jednak w tym momencie zabrzączał telefon i Candy wykonała tak rozpaczliwy gest, że Beth natychmiast wyniosła się z jej biura. Patrzyła na nią jednak przez szklaną ścianę i wyraźnie odnosiła wrażenie, że Candy się z kimś kłóci: zdradzały ją jej ręce. Candy oparła słuchawkę na ramieniu, przytrzymując ją brodą, i gestykulowała tak żywo, jakby jej rozmówca stał tuż obok i mógł się jej przyglądać. Po chwili odłożyła słuchawkę i sama gdzieś zadzwoniła. Połączenie trwało krótką chwilę.

Gdy Candy wyszła w końcu ze swojego biura, wyglądała na wyczerpaną. Uśmiechnęła się do Beth.

- Bender. Powiedział mi, że może uda mu się zająć tą sprawą. Za czas jakiś - dodała cicho. Beth przypomniała sobie nagle o *cannoli* i wręczyła Candy kartonowe pudełko. Otwierając je, Candy powiedziała: - Jak tak dalej pójdzie, Rebeka będzie musiała przysyłać mi ciuchy swojej drugiej fazy. - Po czym odłamała kawałek *cannoli* i oznajmiła: -Jedziemy do Loretty. Jest teraz w domu.

Loretta mieszkała w dzielnicy, jakie ojciec Beth zwykł nazywać „przeklasyfikowanymi” - innymi słowy, dla Billa były to obszary, które już dawno przegrały bezwzględną walkę z czasem. Grupa czarnych nastoletnich dzieciaków, wśród których Beth z przerażeniem zauważyła dziewczynkę w zaawansowanej ciąży, biegała po całej jezdni, grając w ulicznego hokeja. Na tle budynków z oknami pozabijanymi deskami i z dawną zaniedbanymi trawnikami dom Loretty przypominał krainę czarów dla ubogich. Jej okolony żywopłotem ogród zaludniały ceramiczne krasnale w obrzydliwie krzykliwych kolorach, oddające się najrozmaitszym, wyszukany czynnościom: poczynając od rzeźbienia w dyni, a kończąc na grze w karty przy stoliku z muchomora. Kiedy Loretta otworzyła im drzwi, powiew dusznego powietrza z wnętrza, niosący zapach cebuli i krochmalu, przywarł do twarzy Beth niczym kawał wilgotnej gazy. Wystrój w środku domu był równie wysmakowany jak ogród - każdy kawałek przestrzeni wypełniały porcelanowe koty, wypchane koty i koty rzeźbione w drewnie, a po pokoju snuła się spora gromadka żywych przedstawicieli owego gatunku. Beth naliczyła ich sześć tylko w chwili, gdy Loretta, chwytając Candy za rękę, powiodła je w głąb domu. Chwilę później wypadła do kuchni i wróciła z tacą za-

stawioną kubkami i nakrytym ściereczką imbrykiem z herbatą. Temperatura w pokoju musiała dochodzić do 30°C. Już z daleka Beth widziała, jak fruująca po pokoju kocia sierść przylepia się do imbryka i do kubków. Jednak poszła w ślady Candy i odważnie wyraziła zgodę na porcję gorącej, ziołowej herbaty oraz biszkopta, który, ku przerażeniu Beth, okazał się własnoręcznym wypiekami Loretty.

- Loretto, jak zapewne wiesz, przyszliśmy tu w sprawie synka Beth - zagaiła Candy.

- Och, tak. Oczywiście - powiedziała Loretta. - Wiedziałam, że do mnie przyjdziecie, ale myślałam, że to będzie w piątek. Zeszłej nocy śniło mi się, że najpewniej przyjdziecie w piątek. Widziałam Beth w swoim śnie.

„Wielki Boże - pomyślała Beth, nieprzytomnym wzrokiem rozglądając się po tym kocim piekle - ona jest szalona. Dlaczego zwariowane kobiety zawsze hodują koty? Czy nie mogą trzymać psów, które bez względu na to, czy witają nas po krótkiej wyprawie po mleko na róg ulicy, czy po wycieczce dookoła świata, cieszą się równie gorąco? Czy muszą mieć koty, wedle słów Pata, traktujące człowieka jedynie jak ciepłokrwesty mebel?" - By nie gapić się nachalnie dookoła, Beth wpatrzyła się w potężne udo Loretty, obciążone zbroją z poliestru, w kolorze farbkowego błękitu, którego próżno by szukać w naturze. - „Czemu szalone kobiety dobrze po sześćdziesiątce, hodujące stada kotów, wbijają się w elastyczne spodnie? A do tego w kwieciste bluzki, które sprawiają wrażenie, jakby wybrano je specjalnie w celu upodobnienia ich posiadaczek do kilometrów wyboistej drogi, nakrytej obrzydliwym obrusem? Bo w młodości wyglądały w tym dobrze? A może we wszystkim innym wyglądają jeszcze gorzej?" Gdy wędrowała wzrokiem w górę, ku mocno skrzyśniętej trwałej undulacji na głowie Loretty, upodabiającej jej włosy do spóźnionych pączków wiosennych kwiatów, Beth usłyszała, jak kobieta zadaje Candy pytanie:

- Czy chcesz, żebym wpadła w trans? Czy wystarczy ci parę moich wrażeń?

„I może jeszcze trochę sałaty na dodatek?" - pomyślała Beth. Ogarnęło ją niepohamowane, obrzydliwe zażenowanie. W całym dotychczasowym życiu Beth nigdy nie doświadczyła czegokolwiek, co mogłaby określić mianem ponadmysłowego odczucia - nawet wtedy, gdy ten jeden, jedyne raz, na ostatnim roku studiów, zażyła LSD. Przeczucie, intuicja, ni to modlitwy, ni zaklęcia pokrywające się z dziwnymi zbiegami okoliczności - te doznania nie były Beth obce; wszyscy jej przodkowie karmili się nimi, jakby przesąd stanowił siłę napędową ich życia.

I chociaż babka Beth, Kerry, nakiadła jej do głowy opowieści o zmarłych ciotkach, których dusze przemieszczały się do Chicago, nie wspomagane żadnymi odrzutowcami, by przynieść ostrzeżenie, że niejaka Katie czy Mary z Luizjany zeszła z tego padoku za sprawą strasznej epidemii grypy, sama Beth nigdy nie miała wrażenia, że duch jej matki przebywa gdzieś w pobliżu niej, nigdy nie poczuła zapachu matczynych perfum, mimo że kilkoro jej całkiem inteligentnych znajomych zapewniało, że nie uniknie podobnych wrażeń.

Więc gdy Loretta zaczęła opowiadać o tym, jak odkryła swój specjalny dar, jak rozmaite zapachy zaczęły wprowadzać ją w trans już od szóstego roku życia, Beth z trudnością zachowywała powagę. Wszystkie mięśnie jej twarzy wpadły w drganie. Beth zdawała sobie sprawę, że zachowuje się nieuprzejmie, jednak po chwili doszła do wniosku, że Loretta zapewne przywykła do dziwnie reagującej klienteli. Wyraźnie nie przeszkadzało jej, że Beth przesłoniła dłonią oczy, jak gdyby raziło ją zbyt silne światło. Gdy Loretta snuła swoją historię, odnosiło się wrażenie, że recytuje starannie wyuczony scenariusz. Wyjaśniła Beth, że wszystko zaczęło się po groźnym ataku odry i że w owych transach: - ...zawsze pojawiała się to samo - widziałam różne przedmioty w najdziwniejszych miejscach. Przedmioty mi nieznajome. Nie należące do mnie. Jakiś portfel pod kołami pociągu. Pierścionek w przewodzie powietrznym suszarki. Po paru latach - a te transy miałam ze dwa razy w miesiącu - powiedziałam o nich mojej mamie, a mama zaczęła opowiadać o nich znajomym i okazało się, że te wszystkie rzeczy kiedyś komuś zaginęły. Objawiały mi się też zaginione osoby. Człowiek na dworcu autobusowym, kryjący twarz pod bandaną. A kiedy przypominałam sobie któryś z obrazków - no bo ja je nazywałam „swoimi obrazkami” - wówczas, dobry Panie Boże, ludziom udawało się odnaleźć najdziwniejsze przedmioty.

- Czy zdarzyło ci się pomylić? - spytała Candy.

- Nigdy - stanowczo stwierdziła Loretta. - Nigdy?

- No, zdarzało się, że ludzie nie znajdowali tego, czego szukali. Nie zawsze udaje mi się powiedzieć: „Ten klejnot czy ten dokument znajduje się w szafce, w piwnicy domu przy Addison Street”. Nie każdemu mogę podać adres. Zdarzało się, że nie mogłam wpaść w trans - zazwyczaj wtedy, kiedy ludzie tak naprawdę wcale nie chcieli znaleźć swojej zguby. Rozumiecie, na przykład nastoletniej córki, która zaczęła się trudnić prostytutką. Tak się często przydarza. Ale za każdym razem, gdy coś widzę, widzę prawdę. Rzeczy są tam, gdzie je widzę. Je-

stem tego pewna. Większość tych, co mają wizje, ma rację w pięćdziesięciu procentach, a ci, co pracują w czasopiśmie i gazetach - góra w dwudziestu procentach. Oni to się jedynie dobrze wyznają na robieniu wokół siebie rozgłosu, ot i wszystko. Większość z nich wam powie, że mają ten dar od Boga, a jednocześnie ręce będą wyciągać, by im w nie nasypać pieniędzy. Ja wierzę w Pana Naszego, ale nie myślę, że to On dał mi te widzenia; po chorobie coś pomieszało mi się w głowie. Niemniej już ponad pięćset osób skorzystało z mojej pomocy. Jednak ja wierzę, że nie powinnam kupczyć swoimi widzeniami. Nigdy od nikogo centa nie wzięłam i nie wezmę. Nigdy nie rozmawiałam z prasą i nigdy nie będę rozmawiać. - Loretta rozejrzała się ironicznie po swoim maleńkim saloniku. - O, gdybym na tym zarabiała, teraz mieszkałabym przy Michigan Boulevard, a nie tutaj. Znalazłam wiele... bardzo cennych rzeczy.

Wyciągnęła rękę, a Candy wytrząsnęła jej na dłoń trampek Bena z plastikowego, szczelnie zamykanego woreczka na dowody rzeczowe. Loretta włożyła nos w piętke buta i głęboko wciągnęła powietrze. Uśmiechnęła się do Beth.

- Nowe buty - zawyrokowała. - Ale zdecydowanie czuję go w tych butach. O, tak. Zdecydowanie.

Loretta ugryzła kolejny kęs biszkopta, obracając trampek Bena najpierw w jedną, a potem w drugą stronę w swojej wielkiej dłoni. I nagle upuściła ciastko. Beth wydała z siebie jakiś piskliwy ton, gdy kobieta bezwładnie odchyliła się do tyłu; szczeka jej opadła i strużka śliny potoczyła się wolno wzdłuż bruzdy, prowadzącej od jej ust do brzegu policzka. Beth wbiła wzrok w Candy, ale ona uniosła dłoń w ostrzegawczym geście. Nagle, niespodziewanie Loretta wyprostowała się na krześle i strzepnęła z kolan okruszki.

- Cóż - odezwała się. - To niezwykły przypadek. Widziałam małego chłopca, ale tylko przez jedno tchnienie. To znaczy tak krótko widziałam tego małego chłopca. Przez resztę widzenia oglądałam jego myśli. Coś takiego przytrafiło mi się przedtem zaledwie raz czy dwa razy w życiu.

- O czym myślał? - szeptała, powoli spytała Candy, pochylając się na krześle w stronę Loretty.

- To nie tyle było myślenie, co... on miał sen. Tak. Na pewno. Śnił. Był głęboko uśpiony. Znajdował się w wypolerowanej, drewnianej skrzyni. Leżał na jakiejś miękkiej, koronkowej materii. Skrzynia miała dużą pokrywę, żłobioną...

- Czy śniło mu się, że jest w tej skrzyni? - naciskała Candy.

- W tej... w czymś w rodzaju skrzyni. Dłuższym od jego wzrostu... To nie mogło być nic innego. Absolutnie nic innego. Beth bardzo

starła się nie krzyczeć. Próbowwała zatkać sobie usta złożonymi w garście dłońmi, a jednak jej wargi zdołały się jakoś rozewrzeć i z gardła Beth wyrwało się przejmujące: - Wiedziałam! - a kostki jej palców, przyciśnięte do zębów, zaczęły krwawić.

- Beth, zaczekaj. Wysłuchaj jej - Candy starała się siłą przytrzymać Beth na krześle, ale Beth udało się wstać i strząsnąć z siebie Candy. Nagle wszystkie koty w pokoju podniosły się zjeżone i zaczęły gniewnie syczeć.

Loretta odwróciła się powoli w stronę Candy, potrząsając głową.

- Czasami tak właśnie reagują, gdy coś usłyszą. Tak naprawdę często nie chcą wiedzieć. Czy nie powinnam jej nic więcej mówić?

Rozdział 7

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego akurat koniak - powiedziała Candy, przesuwając kieliszek w stronę Beth, gdy usadowiły się przy stoliku w pierwszej lepszej restauracji, jaką napotkały po drodze. Candy wjechała na parking z takim piskiem opon, jakby co najmniej silnik ich wozu miał za moment stanąć w płomieniach. - Może dlatego, że na filmach zawsze oferują łyk brandy ludziom po ciężkich przeżyciach. Chociaż przyznaję, że na mnie to rzeczywiście działa. Candy siedziała naprzeciw Beth przy lepkiem blacie.

- Muszę coś zjeść - oznajmiła. - A ty?

Im więcej czasu spędzała z nią, tym wyraźniej Beth uświadamiała sobie, jak potężne ilości jedzenia pochłania Candy, a mimo to wciąż pozostaje niezwykle szczupła. „Może - zastanawiała się leniwie - Candy cierpi na bulimię?” - Beth pokręciła przecząco głową, rezygnując z jakiegokolwiek jedzenia. Łyknąwszy na próbę odrobinę koniaku, przyglądała się, jak Candy składa zamówienie.

- Poproszę... pizzę z wędzonym kurczakiem, podwójnym serem i... jeszcze z krewetkami. - Przechylając się nad stołem, Candy oznajmiła Beth: - Gdyby moja matka już nie żyła, w tej chwili przewracałaby się w grobie.

- Dlaczego?

- Ponieważ ser, mięso i krewetki to prawdopodobnie najbardziej trefne jedzenie, jakie mogłabyś sobie wyobrazić. - Candy uśmiechnęła się na widok zdezorientowanej miny Beth. - No wiesz, niekoszer-ne. Moja matka prowadziła koszerną kuchnię. Ale ja w końcu miałam osiemnaście lat i, na Boga jedyne, dorastałam na Florydzie. Pewnego dnia powiedziałam sobie: „Jeżeli mam zrezygnować z jedzenia homara, to po co w ogóle mam żyć?” Jest to jeden z wielu drobnych po-

wodów, dla których nie mogłabym pogрузić się w judaizmie - w sensie religijnym, oczywiście.

- Ta religia nigdy nie była przyjazna kobietom - zaryzykowała swoją opinię Beth.

- W odróżnieniu od katolicyzmu, co?

- Och, nie. Nie to miałam na myśli. Pod tym względem obie są sobie równe. Ale ja nie jestem praktykująca. Już ci o tym mówiłam.

- Przynajmniej nie musisz zanurzać się raz w miesiącu w wannie nie zmienianej wody, by dostąpić zaszczytu przespania się ze swoim ślubnym, świętym małżonkiem.

- Zrobiłaś kiedyś coś podobnego?

- Beth, mówiłam ci już, że nie jestem mężatką.

- Och, jasne. Oczywiście.

- Ale, zapewniam cię, nawet gdybym była, nigdy bym się do tego nie posunęła. Religie mają tak wiele dziwnych, ciemnych stron. Równie dobrze mogłabyś mieć nakaz łapania żywych węży lub coś w tym rodzaju. Pij swoją brandy.

Beth wypila. Niemal widziała, jak śluzówka, wyścielająca wnętrze jej żołądka, zaczyna jarzyć się czerwienią, nabiera gorącej barwy purpury.

- Czy już ci lepiej? - spytała Candy. - Bo chciałabym ci coś powiedzieć.

- Możesz mówić.

- Uważam, że Loretta nie miała na myśli tego, co ty.

- Dla mnie jej słowa były oczywiste.

- Nie, ona nic podobnego nie stwierdziła. Gdy już siedziałaś w samochodzie, Loretta powtórzyła mi parę razy, że jeżeli nie powiedziała, że dziecko nie żyje, to znaczy, że nie sądzi, że nie żyje. Poinformowałaby nas, gdyby myślała inaczej.

- Słyszałaś, co mówiła. Słyszałaś, jak opowiadała o drewnianej, żłobionej skrzyni.

- Wiesz, Beth, Loretta nie odpowiada za obrazy, które widzi w swoim transie. Ona sama często powtarza, że to ludzie powinni jej powiedzieć, co mogą oznaczać owe widzenia. Ta skrzynia może symbolizować wiele rzeczy. Posłuchaj, Loretta ma jakieś objawienia, jednak nie wiemy, co się za nimi kryje. Gdy pójdę do niej raz jeszcze - ale tym razem już bez ciebie - poproszę ją, żeby powiedziała mi coś więcej. Przekazała swoje wrażenia. A ty nie możesz porzucać nadziei tylko dlatego, że usłyszałaś dziwne słowa od jakiejś szalonej kobiety. To znaczy, Loretta jest niezwykle uroczym szaleńcem, jednak jej widzenia nie stanowią żadnego dowodu, że cokolwiek złego spotkało Bena.

Candy zamówiła kolejny kieliszek brandy dla Beth, po czym stwierdziła:

- Nie powinnam była cię tam zabierać.

- Przecież sama chciałam.

Kelnerka przyniosła pizzę. Jedząca Candy przypominała podekscytowaną mrówkę - drobną, delikatną i niewiarygodnie żarłoczną. Podzieliła pizzę na sześć równiutkich porcji i metodycznie, odrobina po odrobinie, zjadała każdą z nich, pozostawiając jedynie ranty.

- Zostawiasz skórki? - spytała Beth swoim najbardziej matczynym tonem, który natychmiast ją zawstydził.

- Matka mawiała, że powinnam jeść skórki, bo od tego kręca się włosy - odparła Candy. - Więc, ja, oczywiście, natychmiast chciałam mieć proste.

- Wyglądasz jak Gloria Steinem - mówiąc to, Beth zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem nie jest już pijana.

- Wszyscy tak twierdzą - powiedziała Candy, zjadając ostatnie okruszki pizzy. Kiedy po chwili zamówiła wódkę z tonikiem, gwałtownie podniosła wzrok. - Nie jestem dziś na służbie, Beth. Chciałabym, żebyś o tym wiedziała. Nigdy nie piłabym alkoholu na służbie. To znaczy, dzisiaj jedynie oficjalnie mam wolne, bo tak naprawdę, jak widzisz, pracuję. Zawsze tak robię. Właściwie codziennie przychodzę do biura.

- Czemu?

- Nieuporządkowane życie osobiste.

- Nie żartuj.

- Nie, ja naprawdę nie mam prywatnego życia. To typowe dla kobiet pracujących w policji.

- Dlaczego?

- Widzisz, ten rodzaj pracy jest szczególnie wymagający, nawet dla faceta, który ma żonę dbającą o dom i wnoszącą w jego świat trochę normalności. Ale dla kobiety, nie mającej żony w domu, uporządkowane życie jest po prostu nieosiągalne. Człowiek może wykonać jedynie określoną liczbę czynności. Wyobraź sobie, że chciałabym zostać członkiem klubu miłośników książki. Mogłabym się zjawić najwyżej na jednym spotkaniu w roku, a i tak, najprawdopodobniej, w środku imprezy zabrzączałby mój pager.

- Nie jeździsz na wakacje?

- Raz w roku odwiedzam siostrę na północy, w Wisconsin. A czasami jadę wiosną na parę dni na Florydę, jeżeli akurat jest tam moja matka.

- Czy nie masz... czy jesteś sama?

- Teraz tak - Candy przetarła dłonią czoło.

Beth nie wiedziała, co powiedzieć. Czy zadaje zbyt wiele osobistych pytań? „Co tam, do diabła” - pomyślała.

- Czy wobec was... - Beth przerwała, przełknęła ślinę i zapytała - czy wobec takich kobiet jak ty jest wiele uprzedzeń w policji?

- O, nie tak wiele jak w mojej rodzinie - odparła Candy, uśmiechając się szeroko. Jej zęby były tak proste i idealne w kształcie, że Beth zastanawiała się, czy aby na pewno są naturalne. - Teraz już nie ma właściwie problemu. Nie ma potrzeby niczego ukrywać. Ale kiedy byłam jeszcze bardzo młoda, gdy zaczynałam tę pracę, należało bardzo się pilnować, żeby nikt o niczym nie wiedział. Absolutnie nikt.

- Nawet twój bezpośredni szef?

- W szczególności przełożeni. W owym czasie nie wolno było zatrudniać w policji ludzi, których określało się mianem „dewiantów”. Robiono dokładny wywiad środowiskowy na twój temat, rozmawiano z rodziną... wciąż jeszcze tak postępują, jeżeli chcesz zostać...

- Czym? - Beth musiała skupić się na starannym artykułowaniu głosek, bo w przeciwnym wypadku zaczęłaby już bełkotać. - Szpiegiem?

- Chyba w sytuacji, gdybyś chciała zatrudnić się w FBI. A na pewno, jeżeli miałabyś zostać politykiem czy sędzią.

A potem Candy opowiadała Beth o czasach, gdy zaczynała służbę w policji. Miała dwadzieścia pięć lat i wyglądała - z braku lepszego porównania - mniej więcej jak James Dean. Beth, coraz bardziej senna, próbowała wyobrazić sobie drobną, długonogą Candy w czarnych, skórzanych ciężkich butach motocyklowych, wetkniętych w nogawki dżinsów, z miękkimi, prostymi włosami, ściętymi do wysokości ucha i gładko zaczesanymi do tyłu.

- Trudno mi wyobrazić sobie ciebie w tej roli - orzekła.

- Mnie samej trudno to sobie wyobrazić - zaśmiała się Candy. - Właściwie zawsze lubiłam ładne ubrania. Ale w szkole średniej i w college^ po prostu szalałam za nimi. Zapytaj moją matkę, a powie ci, że ten desperacki okres w moim życiu był świadomą próbą pozbawienia jej życia. - Candy przeczesła włosy palcami. - Ale właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że jestem lesbijką, i pomyślałam, że tak właśnie powinnam wyglądać. Jak facet. - Opowiedziała Beth, że to właśnie w barze dla gejów ktoś wcisnął jej w rękę ogłoszenie, że w Tampie poszukuje się „opiekunek policyjnych”. Candy, pracująca wówczas jako asystentka w jednej z prawniczych firm, odważyła się złożyć podanie o przyjęcie do pracy w policji. - Tylko na takim stanowisku mogłam

się tam wówczas zatrudnić. Nie chcieli nas wysyłać do akademii. Uważali, że kobiety mogą jedynie zajmować się resocjalizacją młodocianych. O niczym innym nie chcieli słyszeć.

Tak więc Candy złożyła podanie i została przyjęta, głównie dzięki gorącej rekomendacji swojej sąsiadki, krótkowzrocznej staruszki, która pomyliła ją z nauczycielką pracującą w katolickim żłobku - dziewczęciem o słodkiej twarzyczce, mieszkającym po drugiej stronie korytarza.

- To wspaniała panienka - oznajmiła sąsiadka funkcjonariuszowi, wypytującemu o kandydatkę Bliss. - Bardzo spokojna i religijna.

Któż mógłby nie dać wiary słowom uroczej, starszej pani?

- Potem jednak tego pożałowali - westchnęła Candy. - Kiedy po kilku latach pracy zauważyłam, że faceci, których sama szkoliłam, błyskawicznie awansują, przewyższają mnie rangą i dostają dwa razy taką pensję, zaskarżyłam wydział i wygrałam... przydzielili mi nawet broń.

- Nie miałyście wtedy broni?

- Mój ówczesny szef zwykł mawiać: „Nie życzę sobie, żeby moje funkcjonariuszki zamieniały się w zimnokrwistych morderców”. Jezu. - Candy potrząsnęła głową. - A teraz wybierają najdelikatniejsze ślicznotki i wysyłają w roli tajnych agentów w szeregi gangów narkotykowych. Takie dziewczyny najlepiej sprawdzają się w tej pracy.

- Czy owe ślicznotki są także lesbijkami?

Candy gestem dała znać kelnerce, że chce jeszcze jednego drinka, po czym zmrużyła oczy i, ponad ramieniem Beth, wpatrzyła się w jakiś punkt poza jej plecami. Próbowwała wciąż coś mówić, udając, że nic innego nie absorbuje jej uwagi. Beth zastanawiała się, czy zdobędzie się na tyle odwagi, by się odwrócić i podążyć za jej wzrokiem.

- Och, nie - ciągnęła Candy. - Teraz w policji pracuje wiele heteroseksualnych kobiet. To znaczy, nie chciałam przez to powiedzieć, że w policji w ogóle pracuje wiele kobiet. Ja tylko... Beth, czy mogę cię na moment przeprosić?

Wówczas Beth odwróciła się. Nie знаła funkcjonariusza w szerokim, filcowym kapeluszu policji stanowej, stojącego z ramionami założonymi na piersi przez cały czas rozmowy z Candy, groteskowo przewyższającego ją wzrostem, tak że wyglądała przy nim jak mała dziewczynka. Wykonywał jedynie gesty głową, ostre skrety w prawo, jakby wskazywał na swój błyszczący, czarno-srebrny wóz patrolowy za oknem. Candy spojrzała w stronę stolika i wtedy Beth przemknęło nagle przez głowę: „Ona jest poważna. Bardzo poważna, a to oznacza, że wydarzyło się coś istotnego, coś strasznego, i że ma to związek ze

mną". Beth poczuła wilgoć w kroczu - jej pęcherz, osłabiony od czasu porodu Kerry, nie wytrzymał ciśnienia. Wstała i rzuciła się w stronę łazienki, gdzie przy okazji zwymiotowała wypitą brandy, po czym wyszorowała język, przemyła twarz wodą z mydłem i poczesła włosy.

Kiedy opuściła toaletę, Candy już stała przy wyjściu. Przez jedno ramię przewiesiła torebkę Beth, przez drugie swoją własną. Ze stołu wszystko uprzątnięto; funkcjonariusz policji stał na zewnątrz, przy swoim radiowozie. Beth pomyślała, że nie zdoła przejść przez całą salę. Czy siedzący przy stołach goście zauważą, jeżeli opadnie na czworaki i przeczołga się do wyjścia? Była pewna, że w ten sposób dotarłaby do Candy, cztery kończyny dodałyby jej stabilności, pomogłaby też namacalna bliskość stałego gruntu. Beth zrobiła krok, zachwiała się i wtedy Candy podeszła do niej zdecydowanym krokiem, ujęła ją pod ramię w uścisku silnym, niczym zaciśnięte imadło. Wyprowadziła na parking, gdzie słońce późnego popołudnia niemal je oślepiło.

- Beth - powiedziała Candy - zgadłaś. Wiem, że jesteś przerażona, ale być może to fałszywy alarm. Po prostu musimy się upewnić. Musimy mieć pewność, to wszystko.

- Co? - Beth z trudem chwyciła powietrze. - Co?

- My... widzisz, znaleziono ciało - oznajmiła Candy. - Zwłoki dziecka, chłopczyka. Ale nie wiemy nic więcej. Absolutnie nic.

- Gdzie?

- Ciało znaleźli ornitolodzy-amatorzy w Saint Michael's Reservoir - wiesz, to taki zbiornik wodny w pobliżu Barrington. Na północ stąd, mniej więcej godzinę jazdy. Zwłoki tego dziecka znajdowały się tam od dłuższego czasu, może zbyt długo, by mógłby to być Ben. Ale musimy się upewnić.

- Miałam na myśli, gdzie on jest? Gdzie jest teraz?

- Beth, zamierzam zawieźć cię do domu teściów i tam wspólnie zdecydujemy, kto pojedzie ze mną do kostnicy w celu identyfikacji ciała. Ani ty, ani Pat nie musicie w tym uczestniczyć. Powinna to być jedynie osoba zdolna zidentyfikować Bena. Ktoś, kto go dobrze zna.

- Ja chcę jechać.

- Nie. Uważam, że... - Candy otworzyła drzwi samochodu i machinalnie pomogła wsiąść Beth, osłaniając przy tym jej głowę dłonią, jakby Beth była skuta kajdankami i w ten sposób narażona na uderzenie o dach pojazdu. - Słuchaj, teraz pojedziemy do Cappadorów i tam się nad wszystkim zastanowimy. Na razie nigdzie indziej nie będziemy jechać. Mamy dużo czasu. - Candy chwyciła pas bezpieczeństwa z siedzenia Beth i przypięła ją starannie.

- On nie żyje? - „Boże - pomyślała Beth - jakim wzrokiem ona na mnie patrzy!”
- Nie, ja oczywiście wiem, że on nie żyje, ale jak zginął? Został zamordowany?
Utopił się?

- Nikt jeszcze nie zdążył ustalić przyczyny śmierci, Beth. Ciało znaleziono zaledwie parę godzin temu, chłopcy z policji stanowej porównali dziecko z naszym ogólnym opisem i wkrótce przewiozą go ambulansem do okręgowej kostnicy, mniej więcej wtedy, gdy...

Wjechały na podjazd prowadzący do domu Angela, rojący się od fotoreporterów i dziennikarzy prasowych, którzy, po raz pierwszy od chwili zniknięcia Bena, zepchnęli reporterów telewizyjnych na dalsze pozycje; choć w zasadzie nie należało się temu dziwić - do wiadomości o dziesiątej pozostało jeszcze wiele czasu. Jednak, gdy Candy stała przed domem, furgonetka Kanału Drugiego z piskiem opon zajęła jej drogę. Candy wysiadła i przybrała wojowniczą pozę, zanim Beth zdołała się ruszyć. W tym samym momencie z furgonetki wyskoczył reporter.

- Proszę przesunąć samochód - powiedziała Candy cichym głosem.

- Pani nadinspektor - odwoływał się do niej błagalnym głosem dziennikarz, blondyn tuż po trzydziestce - czy to prawda? Czy znaleziono zwłoki Bena Cappadory?

- Przesuń ten pieprzony samochód - zażądała ponownie Candy, nie podnosząc głosu ani o pół tonu. - Zastawia wjazd pojazdami policyjnymu.

- Proszę o tylko jedną chwilę...

- Taylor! - zawołała Candy, a Calvin Taylor zeskoczył z ganku Rosie i Angela i stanął tuż obok niej. - Proszę aresztować tego człowieka za utrudnianie pracy policji, a ja tymczasem zaprowadzę Beth do jej rodziny. - Taylor wykonał taki ruch, jakby zamierzał sięgnąć do tylnej kieszeni, młody reporter odwrócił się i uciekł, a furgonetka wycofała się posłusznie i stanęła w rzędzie podobnych sobie pojazdów. Candy szybkim krokiem prowadziła Beth po schodach wiodących na ganek, podczas gdy dziennikarze rzucali pytania, zdawało się, że jakoś cicho, z wielkiej odległości: - Czy widziałaś ciało, Beth? Czy to Ben? Jak się czujesz, Beth?

Kiedy Candy otwierała frontowe drzwi, reporter urzędujący na ganku postąpił krok w jej stronę i oznajmił z niezwykłą powagą, tonem dobrze wychowanego człowieka:

- Jestem z „New York Timesa”.

- Doskonały krok na drodze do kariery - odpowiedziała Candy i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Kiedy Beth weszła do salonu Cappadorów, natychmiast przyszła jej na myśl scenka z książeczki obrazkowej dla dzieci: grupa szeroko-ustych żabich braci i siostr co noc rozsiadała się kołem na skraju ba-gniska, by posłuchać, jak mama opowiada im bajkę. Angelo i Rosie, zwyczajem swojego pokolenia, mieli sofy w salonie ustawione wzdłuż trzech ścian. Nie przyszłoby im do głowy tworzenie intymnych kąćków dla prywatnych rozmów czy ustawianie mebli pod wymyślnymi kątami. Teraz na owych trzech sofach kręgiem zasiadła w milczeniu grupa głównych postaci dramatu - a przynajmniej ci z nich, których udało się zebrać w tak krótkim czasie: Ellen, Pat, Monika, Joey i Tree, rodzice Pata i Barbara Kelliher. Pat zerwał się natychmiast ze swojego miejsca i chwycił Beth w mocnym uścisku. Beth doleciał odór potu -ostry, obrzydliwy, zwierzęcy - jakiego nigdy przedtem nie czuła na jego skórze. Wszyscy pozostali zastygli w bezruchu. Obie linie telefoniczne - policyjna oraz prywatna Angela i Rosie - dzwoniły bez ustanku. Nikt jednak nie podnosił słuchawki, choć Beth słyszała głosy wielu policjantów, prowadzących dyskusje w kuchni. Gdy Pat trzymał ją w objęciach, do domu tylnymi drzwiami wpadł Bill, a tuż za nim Bick. Beth usłyszała, jak jej ojciec powtarza wstrząśniętym głosem: - Na rany Chrystusa jedyne, toż to wampiry! Wampiry! Gdzie jest Bethie? -Beth wyrwała się z ramion Pata i przywarła do swojego brata; Bick był dużym mężczyzną i Beth wreszcie mogła oprzeć się na kimś całym swoim ciężarem, zupełnie bezwładnie.

- Czy to prawda, Bethie? - zapytał Bick. - Czy to Ben?

- Nie wiem, nie wiem - wymamrotała Beth w klapę jego sportowej marynarki, wreszcie, dzięki Bogu, zdolna do pogrążenia się we łzach.

- Proszę państwa, proszę posłuchać - odezwała się Candy. - Zazwyczaj w podobnej sytuacji przeprowadzamy analizę odcisków palców. Jednak ciało, które właśnie znaleźliśmy, było przez pewien czas wystawione na działanie... rozmaitych sił natury i kończyny uległy uszkodzeniu. Dlatego nie uda się nam wykorzystać odcisków Bena do identyfikacji. Oczywiście, możemy poczekać na wyniki badań dentysty sądowego... nie powinny zająć one więcej niż parę godzin...

- Nie - oznajmił Bick schrypniętym głosem. - Chcemy się sami upewnić, czy to Ben.

Candy przycisnęła palec do czoła.

- Tak, oczywiście. Rozumiem. Dobrze. Dobrze. - Gestem ręki przywołała kilku policjantów stojących tuż przy tylnym wejściu. -McGuire, Elliot, zamierzam zawieźć do kostnicy Pata i Beth. Taylor wraz z trzema funkcjonariuszami stanowymi zostanie na miejscu

z resztą rodziny, a wy dwaj zabierzecie wszystkich, którzy zechcą pojechać. Ten chłopak - jak on się nazywa? - Buckman - może też kogoś zawieźć. Dobrze?

- Ja nie jadę - zdecydowanie oznajmił Angelo. „Jest już stary - pomyślała nagle Beth, tak zaskoczona tym faktem, jakby w tej chwili zobaczyła swojego teścia po raz pierwszy od bardzo wielu lat. - Jest naprawdę starym człowiekiem”.

- Sądzę, że powinienem zostać tu z Rosie i Angelem - wycedził z wolna Bill, a jego syn posłał mu w tym momencie spojrzenie pełne najczystszej pogardy.

- W porządku, Bick - powiedziała mu Beth. - Nie przejmuj się. Grunt, żebyś ty pojechał.

- Ja zidentyfikuję ciało - oznajmił nagle Bick, mocniej przyciskając Beth do siebie.

- Panie Kerry - zapytała go Candy łagodnym głosem - po pierwsze, czy jest pan absolutnie pewien, że chce pan przejść przez to wszystko, a po drugie, czy nie ma pan najmniejszych wątpliwości, że zna pan dziecko na tyle dobrze...

- Ben jest moim siostrzeńcem. Nosi moje imię. Znam go od dnia, kiedy się narodził.

- Ale czy widywał go pan ostatnio dostatecznie często...

- Do jasnej, najjaśniejszej cholery! - Beth aż podskoczyła słysząc krzyk Bicka. - Bez przerwy mam Bena przed oczami!

- Ja to zrobię - wyszeptał Pat.

- Paddy, nie - odparła Beth. - Nie. Nie możesz.

- Jest moim dzieckiem.

- Nie, żadne z nas nie może tego zrobić.

- Jedziemy - zarządziła w tym momencie Candy i policjanci utworzyli wokół nich falangę szerokich ramion - ramion powleczonych grubą bawełną i sztruksem - niczym militarny mur: silny i niewzruszony. Candy otworzyła drzwi. Jedną dłoń Beth trzymała mocno Ellen, drugą - Pat. Samochody policyjne stały, zderzak w zderzak, na podjeździe tuż przed domem. - Bez komentarza, bez komentarza - wykrzykiwała Candy do tłumu, kłębiącego się teraz na trawniku; czerwcowe róże Angela stanowiły już jedynie bezładną masę biota i zdeptanych pąków. -Przejdźcie dla rodziny.

Policjanci pootwierali drzwi radiowozów, gdy Beth nagle nieznacznie się cofnęła.

- Nie chcę jechać z Patem - oznajmiła niespodziewanie. Pat wlepił w nią wzrok. - To znaczy, Pat może jechać, jeśli chce, ale ja chcę się-

dzieć w samochodzie z Bickiem. „Co jest nie tak z tą twoją głupkowatą twarzą, Pat?” - pomyślała Beth. - Muszę z nim porozmawiać - tłumaczyła się bezsensownie, przykładając palce do ust w dziecinny sposób. Pat odwrócił się i odszedł. A potem już słychać było tylko świst blokowanych samochodowych zamków. Reporterzy rzucili się do swoich furgonetek, ale nie ośmielili się jechać z taką prędkością, jak Candy, która wystawiła na dach syrenę policyjną i wjechała na drogę szybkiego ruchu, nie zwalniając poniżej 160 km/godz., rozmawiając przy tym półgłosem z siedzącym obok niej funkcjonariuszem z taką swobodą, jakby jechała na parady z prędkością nie przekraczającą 10 km/godz.

W swoim życiu Beth stała już przed wieloma kostnicami: w szpitalach, więzieniach, na obszarach objętych klęską żywiołową, fotografując nosze ze zwłokami w czarnych, plastikowych workach. Ale nigdy nie była wewnątrz. Teraz zobaczyła długi, przypominający szkolny korytarz, pełen drzwi z jasnego drewna z matowymi szybami. Candy zatrzymała formację ustawionych w V policjantów tuż przed windą.

- Znajdujemy się teraz w pomieszczeniu, pełniącym w tej kostnicy funkcję poczekalni - oznajmiła, wskazując na rozklekotane krzesła i sofy, pokryte zieloną skórą, z których, tu i ówdzie, wyzierały bebechy. -Za moment zabiorę Bicka na górę. Zostanie mu okazana twarz dziecka... zza szyby. Gdyby Bick nie mógł się jednoznacznie wypowiedzieć, wrócę tu po Ellen bądź inną osobę.

„To miejsce nie przypomina szpitala” - pomyślała Beth. Tutaj już nikt nie dokonuje ekwilibrystyki medycznej. W sterylnych, odizolowanych pomieszczeniach na górze nie czyni się heroicznego wysiłku utrzymania pacjenta przy życiu, nie stosuje się ostatecznych, rozpaczliwych metod pobudzenia organizmu do dalszego funkcjonowania, nie prowadzi działań, mających na celu przekonanie wszystkich wokół, że każda możliwa próba ratunku, bez względu na to, jak niewiele rokująca, została jednak zastosowana. Beth przypominała sobie atmosferę gorączkowej bieganiny, dominującą pod drzwiami pokoju jej matki na oddziale intensywnej terapii: legiony pielęgniarek i tony sprzętu medycznego przemieszczały się tam i z powrotem z prędkością światła. Tutaj ludzie, którzy zapewne byli lekarzami, specjalistami medycznymi, przemierzali korytarze spacerowym krokiem, studiując wnikliwie notatki. Laboranci przechodzili obok z tacami pełnymi próbek dość żwawo, jednak bez owego gorączkowego, szpitalnego pośpiechu.

Pat oparł się o ścianę, na której w czerwonym kole wymalowano papierosa, przekreślonego szeroką, czerwoną krechę, i zapalił; Beth

spozrzęła, że właściwie cała podłoga pod tym znakiem jest zarzucona niedopałkami.

- Tutaj wszystko się kończy - powiedziała Beth. Nie zdawała sobie sprawy, że w ogóle otworzyła usta, dopóki nie dostrzegła wpatrzonych w nią oczu Ellen.

- Tego nie wiemy, Beth. Mamy wszelkie powody przypuszczać, że Ben jest cały i zdrow - Ellen odparła zdecydowanie, specjalnym tonem głosu, tym samym, którym kiedyś oznajmiła jej swoje przekonanie, że Nick wróci do niej, chociaż na obozie koła dramatycznego w ostatniej klasie zakochał się w pewnej blondynce ze Szwecji. I Nick rzeczywiście wrócił. A gdy Beth przez cały tydzień nie wyczuwała w brzuchu ruchów Kerry, Ellen, dokładnie tym samym tonem, uspokajała ją, że pod koniec ciąży dzieci często w ogóle się nie poruszają i że na pewno wszystko jest w porządku. I było w porządku.

- Nie, nie mamy - odpowiedziała jej teraz swarliwie Beth. Bardzo chciała opowiedzieć Ellen o wizycie u Loretty, chciała opowiedzieć o tym Patowi. Czy to możliwe, że była tam zaledwie parę godzin temu? Ze nikt nie poinformował Pata o Lorecie? Co on właściwie robił w tym czasie? Beth, zaszokowana, zdała sobie nagle sprawę, że od dawna nie widziała Vincenta ani Kerry. Kto zajmował się jej dziećmi? Kto dbał o ich potrzeby? - Nieprawda - zwróciła się do Ellen raz jeszcze - nie mamy wiele powodów, by przypuszczać, że Benowi nic się nie stało. - Beth z wolna wciągnęła powietrze. - Zresztą, dla niego to prawdopodobnie lepiej, jeżeli już...

- Jezu Chryste, Bethie, przestań, sama nie wiesz, co mówisz - przerwał jej Joey, a Pat zapalił kolejnego papierosa.

Drzwi windy otworzyły się z lekkim świstem. Wsiadła Candy. Wszyscy w napięciu pochylili się w jej stronę. Candy uniosła swoje eleganckie dłonie.

- Właśnie kończą się przygotowania. Bick jest w dobrej formie. Przyszłam wam jedynie powiedzieć, że to jeszcze chwilę potrwa. Cierpliwości. Przyjdziemy tu z Bickiem najszybciej, jak to będzie możliwe. Dobrze, Beth? Dobrze, Pat?

Wszyscy z powrotem opadli na oparcia zielonych sof, jakby wypompowano z nich nieco powietrza. A więc muszą czekać. Beth poczuła się nagle jak gospodyni na przyjęciu - miała wrażenie, że powinna zaoferować wszystkim coś do picia. Nikt się nie odzywał - czas na wielkim zegarze, wiszącym na ścianie, posunął się o pełną minutę. „Co w tej sytuacji powiedziałaby normalna kobieta? - zadała sobie w duchu pytanie. - Zapewne zapytałaby o dzieci”. - Ellenie - zwróciła się więc w stronę Ellen - kto się zajmuje...

Nie zdążyła skończyć. W tym momencie na schodach pojawił się Bick, zakrywający dłonią oczy, a tuż za nim rozległ się stukot obcasów Candy. „Nie - pomyślała nagle Beth. - Mieliśmy przecież czekać”.

- Czekaj! - wykrzyknęła teraz na głos do Bicka, opadającego ciężko na sofę tuż obok niej, zgarbionego, z twarzą moką od łez.

- Bethie, Bethie, to nie Ben - wykrztusił.

- Och, czekaj... - powtórzyła Beth, próbując unieść jedno ze swoich ramion, nieprawdopodobnie ciężkich, jakby nasiąkniętych wodą.

- Czy jesteś pewien? - Pat padł na kolana u stóp Bicka, szukając potwierdzenia w jego twarzy.

- Jest dużo od Bena mniejszy, a jego włosy... są rude, ale takie ru-doblond. Bethie, to prawie jeszcze niemowlę - och, czyjeś maleństwo. Jego mała twarzyczka wyglądała tak, jakby spał - nie była ani trochę zniekształcona. Och, Bethie, to nie Ben. Nie Ben.

- Dzięki ci, Boże - Pat głośno wypuścił powietrze. - To nie on! Nie on! To nie Ben. - Urwał, posyłając ostre spojrzenie Beth. - Beth, nie jesteś zadowolona?

- Zadowolona? - odpowiedziała głucho Beth.

Rozdział 8

„Tak naprawdę to dom napawał mnie przerażeniem - pomyślała Beth. - Mój własny dom". Pat przekręcił kluczyk w stacyjce i wysiadł, nie zwracając uwagi, że Beth się nie podnosi, chociaż Kerry, ochoczo korzystająca ze swojego leksykonu, składającego się z całych czterech słów, zaczęła ją ponaglać, zawodząc: - Iść, iść, iść.

- To nie chodziło o ciebie. To dom - powiedziała Beth w kierunku oddalających się pleców Pata.

Ale Pat zignorował jej słowa; teraz już rzadko reagował na wypowiedane przez nią kwestie. Beth właściwie nie miała nic przeciwko temu - połowa tego, co mówiła, nie miała najmniejszego sensu nawet dla niej samej, przynajmniej póki nie uświadamiała sobie kontekstu własnych słów.

- Poczuleś się zraniony, bo całe lato przesiedziałam w Chicago. Wciąż powtarzałeś mi, że powinnam wrócić do domu, a ja niezmiennie odpowiadałam ci, że nie mogę. - Beth ponowiła próbę: - Ale dopiero teraz wiem, dlaczego tak było, kochanie. Tak naprawdę wcale nie wierzyłam, że uda mi się odnaleźć Bena. I to nie dlatego, że nie chciałam być z tobą. Ja po prostu nie chciałam przebywać w tym domu. Rozumiesz? Od dobrej chwili Pata nie było już w garażu. Beth została sama i, w zasadzie, przemawiała do deski rozdzielczej w ich samochodzie, podczas gdy automatyczne światło nad jej głową zgasło, a brama wjazdowa zasunęła się cicho, odcinając dostęp bladego, popołudniowego słońca. Pat po prostu zabrał maleństwo i wszedł do domu. „Jest mi zimno" -pomyślała nagle Beth. Oparła się pokusie objęcia własnego ciała ramionami i siedziała w ciemnościach z rękami spoczywającymi równo wzdłuż tułowia. „Jest mi zimno, ponieważ dziś mamy jeden z tych chłodnych, sierpniowych dni". W Wisconsin tak się czasami zdarza, na-

wet w okresie palącej słońcem suszy: nagle nastaje dzień niespodziewanego ochłodzenia, nie dające się zignorować ostrzeżenie, że oto zbliża się już kolejna pora roku.

Jesień. Początek zupełnie nowego rozdziału. Przez większość życia właśnie ten okres stanowił dla Beth prawdziwe rozpoczęcie roku, zapewne dlatego że wznowienie nauki pociągało za sobą wzrost wymagań i oczekiwań.

Tego lata, gdy każdy upalny, oślepiający słońcem dzień przechodził w duszną noc i kolejny, gorący poranek, Beth - samotna w pokoju gościnnym Rosie - w pewnej chwili przestała budzić się z walącym sercem, niepewna, gdzie się znajduje. Nagle poczuła się tak, jakby nigdy nie miała własnego domu, pracy, rodziny. Odnosiła wrażenie, że jej jedynym przeznaczeniem od urodzenia jest poddawanie się swoistej rutynie: wychodzenie z lodowatego domu Rosie na rozprażony podjazd, pełen szmeru głosów reporterów (których imiona zdołała już poznać i którzy wciąż zachowywali się tak, jakby znajdowali się na przyjęciu plażowym, mimo że nikt z rodziny ani ochotników nie udzielił im żadnego wywiadu), jazda do bazy w suterenie Immaculaty, składanie tam określonej liczby ulotek, stemplowanie kopert. Mniej więcej po godzinie spędzonej w bazie ochotników Beth ogarniał niepokój. Wychodziła więc znów na palące słońce, naciągała Joeya na camela w sklepie jej teściów, mijala grupę reporterów, rezydującą w holu posterunku Parkside, idąc po schodach, przechodziła obok mieszczącego się na drugim piętrze centrum poszukiwań Bena Cappadory (wszyscy tam obecni zawsze machali jej ręką), pokonywała jeszcze jeden, krótki ciąg stopni, zakręt - i wchodziła do biura Candy.

Candy. Beth zastanawiała się i wówczas, i teraz, czemu Candy pozwalała jej tkwić godzinami w swoim biurze, słuchać rozmów telefonicznych, dyskusji z innymi funkcjonariuszami, przesłuchań, a nawet, niekiedy, być niemym świadkiem napominania podwładnych czy nerwowych zmagania z przełożonymi? Prawdopodobnie Candy od początku zdawała sobie sprawę, że Beth w zasadzie nie była zdolna do przyswojenia czy zapamiętania zasłyszanych informacji, zrozumienia i zanalizowania skomplikowanych, wzajemnie się przenikających wątków śledztwa i jego filozofii. Beth odnosiła wrażenie, że Candy tolerowała jej obecność w swoim biurze tak, jak toleruje się obecność starego, wiernego psa, którego pełne uwielbienia spojrzenie każe zapomnieć, że zwierzę może powalać dywan. I tylko tutaj, obserwując subtelność działania Candy, Beth czuła się nierozzerwalnie związana z Benem, a nawet nierozzerwalnie związana z życiem.

Gdzie indziej Beth odgrywała jedynie kolejne role, przyjmowała schematyczne pozy: dzielnej, posłusznej synowej; pogrążonej w rozpacz matki; niezłomnej przyjaciółki; lojalnej żony. Umiała wcielać się we wszystkie te postaci, chociaż czasami jej gra wypadła niemrawo. Poruszała się zgodnie ze scenariuszem przypisanym każdej z owych ról, jednak świadomość bezcelowości tego przedstawienia doprowadzała ją do skrajnego wyczerpania. Podobnie jak nie wymagające myślenia, powtarzane bez końca ćwiczenia fizyczne, jej gra pochłaniała czas i utrzymywała w gotowości do... właściwie do czego? Podjęcia na nowo życia, zmienionego życia, życia bez Bena, czego Beth doprawdy nie była sobie w stanie wyobrazić, a czego, jak przypuszczała, w pewnej chwili wszyscy zaczną od niej oczekiwać. Wiedziała jednak, że zanim wstąpi na skraj nowej ścieżki życia, będzie musiała otrzymać jakiś znak, przeżyć rezygnację, upadek nadziei. I chociaż nie miała pojęcia, kiedy przyjdzie jej wykonać ten krok, chciała, by w tym momencie stała obok niej Candy. Jeżeli zabrakłoby Candy w owej chwili, och, to byłoby gorsze niż śmierć, gorsze niż przywoływanie w pamięci dnia, w którym Ben nazwał ją „swoim pięknym winogronkiem” - dnia, gdy uwierzyła, że Ben jest nie tylko dobry i uroczy, ale także przepiękny - straszniejsze niż rzut oka na makabryczne historie, przysyłane czasem faksem do bazy pod kaplicą. Wpadały one niekiedy w ręce Beth, jeżeli któryś z ochotników nie zdążył przechwycić ich w porę: opowiadały o strasznym molestowaniu seksualnym małych dzieci, torturowanych, sztucznie utrzymywanych przy życiu przez wiele tygodni. Czasami opowieści ilustrowano zdjęciami owych dzieci, zrobionymi w momencie ostatecznego cierpienia lub agonii. W takich chwilach Beth obawiała się, że może przerodzić się w morderczynię albo zacząć masturbować się publicznie czy wjechać eleganckim lincolnem Angela w sam środek zatłoczonego, przedszkolnego placu zabaw. Dlatego usilnie starała się zachowywać jak grzeczna dziewczynka, odsłaniając swój rzeczywisty stan umysłu jedynie w czasie spędzonym w biurze Candy, w trakcie owych kilku godzin dziennie, gdy mogła zrzucić z twarzy wszystkie pokrywające ją maski.

Dla Candy nie istniało nic takiego jak szokujące wypowiedzi. Nigdy nie odwracała wzroku, gdy Beth oznajmiała jej, że właściwie wolałaby, żeby Ben był martwy - nie dlatego, że przestałaby tak strasznie do niego tęsknić, ale dlatego, że w końcu miałaby pewność, że on nie tęskni już do niej. Kiedy oświadczała, że Vincent i Kerry mieliby lepsze życie bez niej, Candy nie zaprzeczała; przypominała jej jedynie, że powinna grać kartami, które rozdał jej los. Dwa tygodnie po znalezieniu ciała

chłopczyka, który, jak się okazało, nie był Benem, Beth przeczytała w „Tribune”, że szanse odnalezienia zaginionego dziecka po upływie tygodnia maleją w postępie geometrycznym. Candy zgodziła się z tą opinią, ale powiedziała Beth, że ma ją zignorować, ponieważ pierwszą prawdą, którą wkłada się gliniarzowi do głowy, jest stwierdzenie, że na tym świecie panuje kłamstwo, pieprzone kłamstwo i statystyka.

Candy przypomniała Beth, że dziecko znalezione na skraju zbiornika wodnego, zidentyfikowane ostatecznie jako zaginiony od czterech miesięcy dwuletni Chad Sweet z Glen Ellyn, nie był ofiarą porywacza. Maluch utopił się przypadkowo, gdy jego siedemnastoletni ojciec zabrał go na ryby bez kamizelki ratunkowej. Przerażony chłopak nie ośmielił się powiadomić o tym kogokolwiek z wyjątkiem swojej, równie przerażonej, osiemnastoletniej dziewczyny - matki dziecka. I choć Candy zawsze starała się pokazywać jej fakty, podkreślając, że wciąż jeszcze istnieje nadzieja, nigdy nie oczekiwała, że Beth zacznie odmawiać nowenny w oczekiwaniu cudu, jak to robiła Tree. Nie molestowała jej też, żeby wyraziła zgodę na wielki, ośmiostronicowy wywiad dla któregoś z poważnych, ogólnonarodowych czasopism, jak to robiła Laurie: „Czemu, do cholery, nie poszerzyć kręgu zainteresowanych sprawą? Może akurat ten artykuł przeczyta ktoś, kto doprowadzi nas do Bena? Czemu nie, Beth?”

A co najważniejsze, Candy nie mówiła jej, by pojechała do domu. Wszyscy inni - Rosie, Ellen, a nawet Bick i Paul, którzy kochali ją pierwotną, braterską miłością - uczynili z tego swoją litanię. Tylko Candy spokojnie czekała, aż Beth będzie gotowa na rozmowę o powrocie do Madison.

Ten moment nadszedł pewnego wieczoru, gdy Beth do późna plątała się po jej biurze. Około siódmej Candy podniosła się zza biurka, by pogasić wszystkie światła, i spojrzała wówczas na Beth jakoś inaczej.

- Poszłabyś coś zjeść? - spytała.

Kupiły hot dogi u Mickeya i pojechały aż do parku Lincoln, nad rozlewiska. Wysiadły nieopodal trawiastego brzegu jednego ze stawów, gdzie gromada czarnoskórych chłopaków, jeden dorodniejszy i piękniejszy od drugiego, obrzucała się przez wodę petardami z jakiejś pokątnej, nielegalnej wytwórni. Powietrze wokół drgało od starych przebojów wytwórni Motown, płynących z otwartych okien ich samochodów. Beth zawahała się, gdy chłopcy spojrzeli w ich stronę: dla nich były dwiema starymi, białymi kobietami, zapewne niespełna rozumu, jeżeli odważyły się spacerować po parku w gorącą noc.

- Nie przejmuj się - Beth usłyszała głos Candy. - Jestem uzbrojo-

na. - Widok twarzy Beth rozbawił Candy. - Na Boga, Beth. To tylko dzieciaki bawiące się fajerwerkami. Co nie znaczy, że tak do końca żartowałam. Jeżeli spróbują pozabijać siebie albo nas, zacznę strzelać. -Usiadły na suchej trawie. Wówczas Beth powiedziała:

- Wszyscy uważają, że powinnam jechać do domu.

- A co ty sądzisz? - spytała Candy. Pochłonęła już połowę swojej porcji frytek i teraz łakomym okiem spoglądała na porcję Beth. Ta popchnęła w jej stronę papierową torebkę.

- Zapewne mają rację. Tyle że ja nie chcę wracać.

- Czy myślisz, że jak wyjedziesz, nie znajdziemy Bena?

- Może. Chociaż, tak naprawdę, już nie wierzę, że go znajdziecie. Ja po prostu...

- Beth przechyliła się do tyłu i położyła na trawie. Jakże zniewalająca, balsamiczna jest ta ciepła, rozgwieżdżona noc; niegdyś podobne noce wyzwały swoiste tęsknoty: by przebiec kilka kilometrów, kochać się, ukołysać dziecko na werandzie.

- Nie potrafię wrócić i zacząć żyć tak, jakby pewne rzeczy nigdy się nie zdarzyły.

- Czy sądzisz, że ktoś tego od ciebie oczekuje?

- Nie chodzi tylko o wyrzucenie z pamięci faktu, że Ben zaginął, ale że kiedykolwiek się narodził.

- Czy ktokolwiek...

- Nie, nikt tego ode mnie nie oczekuje. Może tylko z wyjątkiem mnie samej. To jedyny sposób, bym w ogóle zdołała dalej żyć.

- Wiesz, kiedy ludzie tracą dziecko czy inną bardzo bliską osobę, wówczas często znajdują ukojenie w terapii.

- Pani nadinspektor Bliss, to zabrzmiało przerażająco profesjonalnie.

- Och, daj spokój, Beth. Posłuchaj, istnieją przecież grupy wzajemnego wsparcia. Ich praca jest nieoceniona. Naprawdę wspomniała.

- Jeżeli zgodzę się na coś podobnego, to już będzie oznaczało koniec.

- Nieprawda. Pewien początek. Pozwoli ci zorientować się, co jesteś w stanie zrobić i jak to przeprowadzić. Musisz przetrwać, Beth.

- Widzisz, tutaj właśnie tkwi problem. Ja nie chcę żyć dłużej niż Ben. Nie chcę trwać dłużej niż on, niż to wszystko. Nie chcę żyć i zmagać się z tą sytuacją.

- Zostań więc tutaj i zaszyj się w kącie mojego biura. Żeby wszystko było jasne, ja nie mam nic przeciwko temu. Choć być może pewnego dnia zacznę wieszając na tobie swój płaszcz.

- Powinnam wrócić do domu.

- Beth, zrobisz, co zechcesz. Nie zapominaj tylko, że bez względu na to, jak parszywą, niekompetentną matką czujesz się w tej chwili, dla Kerry i Vincenta jesteś jedyną matką, jaką mają.

- Też im się trafiło.

- Uważam, że mogło im się trafić dużo gorzej.

- Nieprawda.

- Ja jestem o tym przekonana. A jeżeli pojedziesz do domu, Beth, to nie myśl, że... - Beth spojrzała w górę, w szaroniebieskie oczy Candy, przepiękne, z wielkimi źrenicami, oczy wprost stworzone do filmu. - Beth, tutaj nie działa zasada handlu wymiennego. Już o tym mówiłyśmy. Jeżeli zrezygnujesz ze wszystkiego innego w życiu, wcale nie odzyskasz w zamian Bena. Gdyby to było takie proste, dawno już powiedziałabym ci, żebyś tak postąpiła.

- Wiem.

- Poza tym masz dwójkę wspaniałych dzieci, Bethie. Oddałabym prawą rękę, żeby mieć takie maleństwo jak Kerry.

- Ludziom wciąż rodzą się dzieci. Nawet... takim ludziom jak ty.

- O, nie. Nie takim jak ja. Kobietom, które są lesbijkami - owszem. Ale nie takim jak ja. Oczywiście, byłoby to teoretycznie możliwe. Ale, Beth, zrozum, nie zostaje się gliniarzem dlatego, że się ma duszę wiecznego buntownika. Tak naprawdę ja jestem niezwykle konwencjonalną osobą. Wiem, że brzmi to idiotycznie, jeżeli wziąć pod uwagę moje... ale po prostu tak jest. Całe życie myślałam, że będę matką i mężatką. Problem w tym, że jakoś nigdy nie mogłam wyobrazić sobie tego męża.

- Przecież mogłabyś...

- Nie. Ale czasami myślę... - Candy urwała, by wpakować do ust garść frytek. - Jest pewien facet. Znamy się od lat. Był moim wykładowcą prawa. Wtedy zakochał się we mnie, zakochał dość szaleńczo, aż w końcu musiałam mu powiedzieć, że już nie uprawiam seksu z mężczyznami. Już nie - to znaczy, że w swoim życiu przespałam się parę razy z jakimś facetem - zupełnie nie wiem, czemu ci to wszystko opowiadam. Jezu. W każdym razie Chris i ja... czasami się umawiamy. Raz w miesiącu idziemy do chińskiej restauracji. Oglądamy filmy ze Spencerem Trący. Chris ma teraz gdzieś... ma jakieś czterdzieści siedem lat lub coś koło tego i jest wiecznym kawalerem. Umawia się ze strasznie młodymi dziewczynami. Boże, niektóre moje swetry są starsze od nich. No i, oczywiście, od czasu do czasu spotyka się ze mną. Chodzimy na przedstawienia baletowe i wielkie, oficjalne uroczystości w jego firmie. Często powtarzam mu: „Chris, jestem dla ciebie jak bro-

da" - wiesz, co to znaczy, Beth? - Beth kiwnęła potakująco głową, chociaż nie miała zielonego pojęcia. - Jestem jego zastępczą żoną w sytuacjach, kiedy nie może pokazywać się z tymi młodymi laskami.

Candy podparła się łokciami, a twarz Beth wykrzywił grymas, gdy zobaczyła, jak delikatny, beżowy len ociera się o zieloną trawę.

- Parę lat temu wydawałam przyjęcie bożonarodzeniowe - mówiłam ci, że jestem fatalną Żydówką - i Chris przyprowadził wówczas młode dziewczę. Beth, myślę, że nie wydaliby jej jeszcze prawa jazdy. Powiedziałam mu więc: „Chris, wkrótce zaczniesz wałęsać się pod bramami podstawówek. Ludzie zaczną tobą gardzić”. A on spojrzał wówczas na mnie bardzo smutnym wzrokiem. Wtedy przemknęło mi przez głowę: on też jest gejem lub kimś w tym rodzaju, tylko nie potrafi się do tego przed sobą przyznać. Ale nie. Wiesz, co on mi na to powiedział? „Jestem strasznie zmęczony, Candy. Chciałbym mieć syna. Ożenię się z tobą w każdej chwili. Wyznacz tylko datę”.

Candy opowiadała dalej:

- Od tamtego dnia często o tym myślę. Zadaję sobie pytanie: właściwie, czemu nie? Zazwyczaj dobrze się razem bawimy. On co prawda wciąż jeszcze ogląda się za nastolatkami, ale już bez szczególnego odzewu z ich strony. Jeżeli teraz urodziłabym dziecko, to z moją pensją musiałabym przykuwać je łańcuchem do łóżeczka, kiedy bym szła do pracy; a moja praca jest zupełnie szaleńcza. Ale gdybym miała dostatecznie dużo pieniędzy... Chris jest bogatszy od Pana Boga. No więc, czemu nie? On miałby dziecko... ja miałabym dziecko.

- Ale... w ten sposób zdradziłabyś... samą siebie. Usta Candy powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

- Czy od czasu do czasu wszyscy tego nie robimy, Beth? Jasny szlag, mogłabyś mi wytłumaczyć, czemu ci to wszystko opowiadam?

Czarnoskórzy chłopcy zaczęli wsiadać do swoich samochodów. W powietrzu unosił się jeszcze zapach kordytu niesiony ostatnimi smugami dymu po petardach.

- Nie mam nic przeciw temu - powiedziała Beth, myśląc natychmiast: „Boże, jak to fatalnie zabrzmiało”. - Cieszę się, że mi wszystko opowiedziałas.

- Wiesz, chyba się tak rozgadałam dlatego, że nieszczęście, które cię spotkało, jest straszne. Najgorsze. Absolutnie beznadziejne. Ale jestem przekonana, że nie powinnaś tak lekko, bez zastanowienia, odrzucać wszystkiego innego.

„Ona nie rozumie - pomyślała Beth ze smutkiem. - Nawet Candy nie potrafi dostrzec, że jeżeli nie mogę być matką dla Bena, nie chcę

już być matką dla kogokolwiek innego, nie chcę wcielać się w żadną rolę. Nawet bycie trupem kosztowałoby zbyt wiele wysiłku. Mogłabym zostać jedynie świecką mniszką i oddać się całkowicie szorowaniu jednego, jednego kawałka kamienia, dzień po dniu, szorowaniu, szorowaniu, szorowaniu".

- I jeszcze jedno - odezwała się Candy, mnąc w dłoniach opakowania po frytkach i hot dogach. - Jeżeli pojedziesz do domu, to nie znaczy, że ja o tobie zapomnę lub że przestanę poszukiwać Bena. Będę co dzień ciężko pracować, Bethie. Tak długo, jak trzeba. A ty możesz dzwonić do mnie każdego dnia i upewniać się, że robię wszystko, co w mojej mocy. Ja też będę do ciebie dzwonić. Bardzo często. Obiecuję.

Tak więc, gdy trzy tygodnie później, w sobotę, Pat zjawił się wieczorem wraz z Kerry, Beth oznajmiła mu, że nazajutrz powróci z nimi do domu. Wyraz niedowierzania, który pojawił się na jego twarzy - wybałuszone oczy, otwarte usta - był jak żywcem wyjęty z zabawnego komiksu. W całym domu zapanowała atmosfera cichego święta; Beth słyszała Joeya i Tree kręcących się po domu, rozmawiających do późna z Angelem w kuchni. Nawet reporterów za oknem ogarnął jakiś niepokój. Poddając się pewnej określonej, skomplikowanej choreografii, Beth tej nocy kochała się z Patem - po raz pierwszy od wyjazdu na zjazd. Pat już kilka tygodni wcześniej przywiózł jej krążek dopochwowy, w niemym, błagalnym geście. Beth ujęła pudełeczko w rękę i wybuchnęła śmiechem wprost w jego zatroskaną twarz. Ale wówczas Pat zrobił coś niezmiernie wzruszającego; Beth musiała obiektywnie przyznać, że sama nigdy nie zdobyłaby się na podobną subtelność. Pat odwrócił się i spytał:

- Czemu mnie nie chcesz, Beth? Przecież tak naprawdę nie chodzi mi o seks. To ciebie pragnę. Twojej miłości.

- Ja cię kocham, Pat - odpowiedziała Beth. - Ale gdybyśmy teraz poszli do łóżka, byłoby to takie zwyczajne... takie...

- Normalne?

- No właśnie.

- Czy już nigdy nie wolno nam będzie zachowywać się normalnie, Bethie? Myślisz, że w ten sposób pomożemy Benowi?

- Pat, ja nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze zdołam postępować tak... jak przedtem.

- Ja też tego nie wiem, Beth. Ale wiem, że jestem samotny. Mam wrażenie, że nie tylko straciłem dziecko, ale i żonę. Jakbym był wdowcem, którym wcale nie chcę zostać.

„Natomiast ja nie miałabym nic przeciwko temu" - pomyślała Beth, jednak głośno powiedziała:

- Daj mi trochę czasu.

Ale kiedy już do tego doszło, nie było tak źle. Wcześniej Beth nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że jej wnętrze mogłoby się otworzyć na przyjęcie Pata. Jednak, ostatecznie, jej ciało okazało się mu przychylne. I mimo że podrygiwania i pchnięcia Pata miały dla niej bardziej gimnastyczny niż romantyczny charakter, czułość, jaką wobec niego poczuła, gdy w końcu stoczył się z niej i położył obok, obejmując z wdzięcznością jej pierś, sprawiła, że tego nie pożałowała. Nazajutrz, pakując bagaże do samochodu, Pat pogwizdywał radośnie.

A gdy mieli odjeżdżać, gdy już siedzieli w samochodzie, a Angelo, Rosie i pozostałe kobiety Cappadorów utworzyły pożegnalny szpaler na skraju chodnika, tuż za ich samochodem, z piskiem opon, zatrzymał się saab Ellen. Jej syn, David, ubrany jak na uroczystości szkoły niedzielnej, siedział obok matki na przednim siedzeniu. Beth wyskoczyła z samochodu, by uściskać przyjaciółkę.

- Bałam się, że wyjedziesz bez pożegnania - powiedziała Ellen i natychmiast zaczęła płakać.

- Dzwoniłam do ciebie.

- Musiałam być w drodze.

- Przyjadę w następny weekend.

- A ja przypilnuję wszystkiego tu, na miejscu...

- Wiem, Ellenie. Jesteś wspaniała. Najlepsza.

Padły sobie w objęcia, ale Beth poczuła, że coś się kończy, napięcie opada. Główne postaci dramatu opuszczają scenę; czyż można oczekiwać, że aktorzy drugiego planu udźwigną cały ciężar przedstawienia?

- To moja wina - rzuciła Ellen niespodziewanie.

- Co?

- Zapłaciłam za twój pokój swoją kartą kredytową, dlatego musiaś iść do recepcji i dlatego wszystko trwało tak długo.

- Ellenie - Beth starała się być miła - i tak musiałabym pójść do recepcji...

Jednak ileż razy Beth myślała dokładnie tak samo?

- Pamiętasz, to ja namówiłam cię na ten zjazd. Ty twierdziłaś, że jesteś jeszcze za gruba po porodzie. Niemal zmusiłam cię do przyjazdu.

- Nieprawda.

- Tak, zmusiłam cię. Wpisałam cię na listę, nawet nie pytając o twoją zgodę, pamiętasz?

- Ellenie, nieważne. Stało się. Po prostu się stało.

Pat wysiadł z samochodu i objął Ellen ramieniem.

- Wszyscy się teraz obwiniamy, El. Gdybym się nie zgodził, żeby Beth zabrała dzieci...

„Zgodził się? - pomyślała Beth. - Zgodził? Prawie zmusiłeś mnie, żebym je wzięła”.

- Jestem okropną przyjaciółką - szlochała Ellen. - Kiedyś nawet poszłam z Nickiem na randkę, gdy wyjechałaś do Michigan, w wakacje po pierwszym roku...

- Spałaś z nim? - spytała Beth.

- Skąd! - Ellen była tak autentycznie zaszokowana, że aż łzy przestały płynąć jej z oczu.

- Więc nie ma sprawy - odparła Beth. - „Czemu mówimy o tym właśnie teraz?” - Mogłaś mi o tym powiedzieć już sto lat temu, Ellenie.

- Dlaczego to dla ciebie istotne, czy z nim spałam?

- Bo ja tego nigdy nie zrobiłam.

- Teraz już żadne z tamtych wydarzeń nie ma znaczenia - wtrącił Pat. - Jeżeli się zaczniemy nad tym rozwodzić, będziemy musieli cofnąć się do czasów wojny koreańskiej. - Zwrócił się w stronę Beth: - Powinniśmy jechać, kochanie. Zostawiłem Vincenta u Shore'ów. Musimy go odebrać po drodze...

Obie kobiety spojrzały w jego stronę, a on, jakby przeszyty ich wzrokiem, zgiął się i wszedł do samochodu.

- A temu co się stało? - spytała Ellen.

- On też jest wyczerpany, Ellenie. Chciałby już znaleźć się w domu.

- A ty?

- Och, jasne.

Pat gadał aż do Rockford - opowiadał głównie o dwóch nowych kelnerkach, którym zdawało się, że kasa w restauracji Cappadorów stanowi ich prywatną kasę zapomogową. Po jakimś czasie przestał mówić i zaczął śpiewać, wtórując piosenkom lejącym w radiu. Małeństwo usnęło. Beth też zapadła w sen i zbudziła się, złana potem, dopiero wtedy, gdy poczuła nieznaczną zmianę ciśnienia, jak w samolocie, gdy podwozie wylania się z brzucha kadłuba.

Właśnie znaleźli się na zakręcie ich ulicy. Wjechali na podjazd. I do garażu.

Beth zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak długo siedzi, samotna, w garażowych ciemnościach.

Do życia pobudził ją zadziwiający chłód, niespodziewane liźnięcia zimnego powietrza w tej letniej, słonecznej aurze. „Podnieś się - po-

myślała Beth, a zaraz potem: - Nie, posiedź tu jeszcze chwilę. Odsuń od siebie, choć na moment, początek swojego nowego życia, życia bez Bena". Usłyszała jakieś szuranie w rogu, gdzie trzymali maszynę do odśnieżania. Serce podskoczyło jej do gardła. Szczur. Albo tłusty, zuchwały szop, czający się, gotów kasać. Beth gwałtownie otworzyła drzwi wozu i niemalże zwała Vincenta z nóg.

- Dziecinko! - wykrzyknęła Beth. - Nie zauważyłam cię! Czy tatuś kazał ci przyjść do domu?

Vincent wtulił twarz w jej brzuch, prawie przewracając ją z powrotem na siedzenie. I nagle, bez żadnego wysiłku, Beth też przytuliła go do siebie i posadziła na kolanach.

- Mamusia! - odezwał się Vincent, łasząc się do niej w zmysłowej radości. Beth skamieniała.

Odsunęła Vincenta od siebie i bacznie mu się przyjrzała. Nie widziała go od ponad miesiąca, od święta Czwartego Lipca, a właściwie, jeżeli miałyby być szczerą, nie dostrzegała go przez całe lato. Vincent wyrósł. Był teraz długonogim stworzeniem i zeszlóroczne szorty wpijały mu się w krocze jak kiepsko skrojone bikini.

- Mamusiu? - z pytającą nutą w głosie Vincent zwrócił się do niej, używając już swojego własnego określenia. Beth ucałowała go w oba policzki, zapytała, jak mu idzie gra w baseball, czy dotarł już do ostatniej bazy? A potem postawiła go na ziemi, wzięła z samochodu torebkę i skierowała się w stronę domu. Przez cały czas Vincent skakał dookoła niej przymilnie jak rozentuzjasmowany szczeniak.

Beth nagle, ni stąd, ni zowąd, przypomniał się Bob Unger, reporter, którego znała całe wieki temu, gdy oboje pracowali dla „Capital Timesa”. Podczas awarii rdzenia paliwowego w elektrowni nuklearnej w Three Miles Island pojechali tam razem. Wieczorami, gdy już wszyscy rozeszli swoje materiały, zaczynał się czas rozrywek, wojennych opowieści, gier karcianych po czternastogodzinnym dniu pracy. Pewnego wieczoru Beth i Bob zaczęli się całować w jego samochodzie. Ona już była w ciąży z Vincentem, ale dopiero na samym początku. Nikt jeszcze nie wiedział; w innym wypadku nie wysłaliby jej do miejsca, gdzie, jak sądzili wszyscy rozsądni ludzie, można skończyć, świecąc w ciemności do końca swoich dni. Ale z powodu ciąży Beth ogarnęła burza hormonów, nagle, niespodziewane seksualne podniecenie. W owym czasie ona i Pat kochali się dwa razy dziennie; teraz miała ochotę oddać się potężnemu, przedwcześnie posiwiątemu, pasjonującemu się nauką Bobowi natychmiast, tam gdzie siedziała - na niewygodnym fotelu samochodu. Jednak kiedy Unger wsunął dłoń pod jej swe-

ter, Beth wyprostowała się gwałtownie, uśmiechnęła i po koleżeńsku trzepnęła go po ramieniu, mówiąc:

- Wiesz, chłopie, myślę, że oboje jesteśmy przemęczeni.

Zaraz też pobiegła prosto do swojego pokoju, a fizyczne podniecenie, pulsowanie zmysłów walczyło w niej z jednym wielkim uczuciem - niesłychanej ulgi. Drobne mrowienie, igiełki adrenaliny, spływały jej wówczas gwałtownie od ramion aż do dłoni, po końce palców.

Teraz Beth czuła się tak samo. Czemu? Czego zdołała uniknąć?

Vincent wpadł do domu przed nią. Beth zatrzymała się na progu, zbierając się w sobie, uzbrajając na spotkanie z domem. Wiedziała, że Laurie już tu była: spakowała ulubione zabawki Bena, pochowała jego ubrania. Ale, Beth była o tym przekonana, w domu czyhają na nią przeróżne mroczne, przejmujące lodowatym dreszczem zasadzki. Będzie musiała wyrzucić z łazienki stołek, z którego Ben korzystał, kiedy siusiał. Nie miała wątpliwości, że w najmniej oczekiwanym momencie pojawi się gdzieś jego skarpetka czy kowbojski kapelusz - już teraz, dokładnie naprzeciw Beth, w salonie, oparta o etażerkę z gazetami, stała parasolka Bena. Ta w kaczuszki. Jakim cudem nikt jej nie zauważył? Nie zabrał stąd? Przez całe lato?! Vincent stał w holu, wpatrując się w matkę ze ściągniętymi brwiami. Beth już miała ponownie go przytulić, już zaczęła wyciągać do niego ręce. Vincent ruszył w jej stronę.

Jednak w tej samej chwili Beth cofnęła ramiona i przycisnęła dłonie do boków. Zmusiła się do uśmiechu.

Dlaczego? O co chodziło? Czemu nie mogła przytulić swojego roz-entuzjasmowanego dziecka i przelać na nie całej czystej miłości, którą odczuwała wobec Bena? Przecież to nie była wina Vincenta, że Ben nie zdążył dorosnąć na tyle, by opad! z niej ów nieskalany afekt, odczuwany jedynie wobec bardzo małych dzieci. Czyż nie tak właśnie powinna teraz postąpić? Czy nie byłby to najbardziej naturalny gest?

Ale, gdyby tak postąpiła, czym wówczas stałby się Ben? Czymś w rodzaju opóźnionego w fazie poronienia? „Nie - pomyślała Beth. -Nigdy”. W sprawie Bena nie wyznaczono kary, nie będzie więc możliwości pokuty. Jedynie trwanie w cichym celibacie serca. Złamanie go stałoby się sygnałem dla świata, że dla matki jedno dziecko więcej, jedno mniej nie ma szczególnego znaczenia.

„Och, Ben - pomyślała Beth, gdy drzwi zamknęły się za jej plecami z cichym, głuchym stukotem - tak niewiele brakowało, bym cię zdradziła”.

Rozdział 9

- Osiemdziesiąt procent z nas się rozwodzi - oznajmiła Penny, przelewając swoje potężne ciało na krawędzi składanego krzeselka, by usadowić się w wygodniejszej pozycji. Gwoli prawdy, były to naprawdę maleńkie krzeselka: Beth spostrzegła, że nawet drobna Laurie ledwo się na nich mieści. A Pat, rozparty na swoim, wyglądał bez mała na giganta.

Przebierając palcami po okrągłej plakietce z laminowaną podobizną swojego zamordowanego czteroletniego synka, Caseya, Penny kontynuowała temat:

- Trzydzieści procent więcej niż w przypadku reszty populacji. Połowa amerykańskich małżeństw rozpada się pod wpływem zwyczajnych stresów codziennego życia; ludzie, którzy stracili dzieci tak jak my, są niezwykle obciążeni emocjonalnie. Ten ciężar przygniata, wciąga w ciemne, niebezpieczne głębie, prowadząc do rozpadu związku.

Dlatego spotkania tej grupy wzajemnego wsparcia, jak Penny wielokrotnie podkreślała (na użytek wszystkich nowo przybyłych), będą koncentrować się na wpływie utraty dziecka na relacje wewnątrzrodzinne. Zeszłoroczne sesje dotyczące tego zagadnienia okazały się wielkim sukcesem, najlepszymi spotkaniami, jakie udało im się zorganizować, stwierdziła Penny, oszałamiając zebranych zupełnie niespodziewanym, figlarnym uśmiechem - jakby w jej smutnej, tłustej twarzy otwarły się nagle ołowiane wrota skarbcza, odsłaniając oblicze atrakcyjnej dziewczyny.

Siedząc po prawej stronie Penny, w pewnym sensie na honorowym miejscu, wdychając hipnotyczny, migdałowy zapach jej perfum, Beth, nie po raz pierwszy od zniknięcia Bena, marzyła o pogrążeniu się w szaleństwie. Gdyby była wariatką, prawdziwą wariatką, wówczas słowa Penny stanowiłyby dla niej jedynie nieistotne szumy tła. Wtedy

Laurie w ogóle nie zdołałaby przywlec tutaj ani jej, ani Pata. Bo ludzi umysłowo chorych wyróżnia pewna wyższość, rezerwa, godność. Swoiste „szaleństwo zobowiązuje”. Nikt ich nie niepokoi. Beth zastanawiała się, czy katatonicy zamknięci w szpitalach w rzeczywistości widzą ludzi, których tak skutecznie ignorują? Czy dostrzegają, że cieknąca z ich ust ślina moczy im ubranie? Czy jedynie z czystej perwersji odmawiają jakichkolwiek emocjonalnych reakcji? Czy prawdziwe szaleństwo nie jest przypadkiem przejawem nadzwyczajnej siły woli, pozwalającej przewartościować naturalne, ludzkie odruchy? A może umysłowo chorzy naprawdę odbywają wędrówkę w głąb siebie, w mroczne, zrujnowane obszary, gdzie każdy kolejny krok wymaga tak wielkiego skupienia, że świat zewnętrzny blaknie w ich świadomości i ostatecznie zupełnie zanika?

„Tego właśnie bym chciała - pomyślała Beth. - Wyobcowania”. Być tą mrówką, która nie dotarła do piknikowego koszyka. Cegłą nie wbudowaną w mur. Nie zanurzonym wiosłem.

I choć Beth tak bardzo pragnęła podobnego stanu, wiedziała, że nie zdoła go osiągnąć. Szaleństwo jakoś ją omijało. W ciągu zaledwie trzydziestu minut spotkania grupy wzajemnej pomocy już dwie z trzynastu obecnych osób użyły słowa „załamanie nerwowe”, opowiadając o okresie w swoim życiu tuż po utracie dziecka.

Beth nie wątpiła w ich szczerość; chciałyby tylko wiedzieć, jak im się to udało. Ona jedynie mogła się zdobyć na coś w rodzaju chronicznej ospałości, która jednak pozwalała jej dostrzec wszystko, czego nie zdołała zrobić, i prawie nic z tego, co naprawdę zrobiła.

Z początku istniało jedynie łóżko. Beth zachowywała się tak, jakby zapadła na jedną z uciążliwych chorób dzieciństwa: długotrwałych, wyciskających hektolitry potu. Pod ręką miała zawsze swoją wielką, rozkosznie pełną butelkę niebieskich, okrągłych pigułek, które zostawił jej doktor z Chicago. Jeżeli połknęła dwie naraz, mogła zapaść aż na sześć godzin w niczym nie przerywany sen. Zawsze jednak pilnowała, żeby obudzić się na czas, kiedy Pat wpadał do domu przed wieczornym napływem gości do restauracji. Wówczas brała na kolana Kerry i patrzyła na Vincenta. Jednak gdy tylko Pat wychodził za drzwi, oddawała maleństwo w ramiona Jill i wracała do łóżka. Dzieci zobaczyły mamusię. Upewniły się, że jeszcze żyje.

Wkrótce zauważyła, że śmierdzi. Jej bielizna niemal zeszywniała od potu; zdawało jej się, że w tłustych włosach buszują roje wszy. Wzięła więc w końcu prysznic, założyła świeżą bieliznę i czysty T-shirt, po czym powróciła do łóżka w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Jeżeli całe swoje życie spędziłaby w taki właśnie sposób, czy jej dzieciom wydawałoby się, że nigdy nie miały matki? Ależ skąd! Mogłyby śmiało twierdzić, że ich matka cały czas spędzała w domu. Nie pracująca mamusia. Bo Pat chyba nie oczekuje, że kiedykolwiek powróci do fotografowania.

A przecież miała zaledwie trzydzieści trzy lata. Rzadko piła. Prawie przestała palić. Jej ciśnienie nie przekraczało stu dziesięciu na siedemdziesiąt, a waga utrzymywała się w normie. Beth już nigdy więcej nie będzie uprawiać joggingu czy aerobiku, jednak robiła to przez tak wiele lat, że jej ciało, z wyjątkiem okolicy bioder, było jędrne i sprężyste. Matka Beth co prawda zmarła młodo, lecz jej śmierć należało raczej zaliczyć do nieszczęśliwych wypadków niż złowieszczej spuścizny dziedziczności. Wszyscy jej dziadkowie dożyli bardzo późnego wieku.

Owa długowieczność rodziny Kerrych oznaczała, że - wyłączając dramatyczne wypadki, medyczne katastrofy czy samobójstwo, które w przypadku Beth należało całkowicie wykluczyć, nawet „omyłkowe” przedawkowanie niebieskich pigułek nie wchodziło w rachubę - przyjdzie jej ciągnąć życie co najmniej do siedemdziesiątki. Beth za skarby świata nie była w stanie wyobrazić sobie, co pocnie z takim szmatem życia. Zapewne wkrótce wszyscy zaczną oczekiwać, że wreszcie wstanie z łóżka. Ale gdy myślała o podniesieniu się, pobawieniu z Vincentem i Kerry, pójściu do sklepu czy zasadzeniu czegoś w ogrodzie, od razu ogarniała ją pewność, że podobne czynności są dla niej absolutnie niewykonalne. Należą do innego świata. W Chicago Beth zachowywała się jak inni ludzie - prowadziła samochód, wdawała się w dyskusje - tylko dlatego, żeby nie zawieść Candy, Ellen, Barbary Kelliher i pozostałych ochotników. Teraz w zasadzie też mogłaby tam jeździć - konferować z prywatnymi detektywami, pracować nad rozwiązaniem sprawy. Ale problem w tym, że już nigdy w życiu nie chciała oglądać ulic zachodniej dzielnicy. Gdy tylko stawało jej przed oczami wielkie „I” z żółtych tulipanów, znajdujące się na rogu ulicy prowadzącej do bramy Immaculaty Beth natychmiast sięgała po poduszkę i konwulsyjnie wciskała w nią twarz.

Jednak w kilka tygodni po powrocie do domu odwiedziła ją Laurie: przyniosła obiad i kilka pudeł z plakatami Bena. Beth słyszała jej nawoływania, dochodzące z holu na parterze, i kurczowo zacisnęła powieki.

- Wiem, że nie śpisz, Beth - powiedziała Laurie już na górze, w jej pokoju. - Widzę, jak ruszasz oczami. - Laurie przysiadła na łóżku. - Czemu jeszcze nie wstałaś?

- Wstałam - skłamała Beth. - Po prostu musiałam na chwilę położyć się z powrotem.

- Jill twierdzi, że tkwisz w betach od tygodnia - odparia Laurie. Beth nie znalazła na to odpowiedzi. - Wiem, że nie masz ochoty wstawać, ale nic innego ci nie pozostało. Mięśnie ci zanikną. Dostaniesz odleżyn.

- Mam to gdzieś. Chcę, żeby zanikły mi mięśnie.

Laurie przebiegała około ośmiu kilometrów cztery razy w tygodniu, bez względu na pogodę - nawet, gdy leżał śnieg. Pewnego razu przewróciła się na mokrym lodzie tuż przed domem jednej z sąsiadek. Podtrzymując łokieć i wiszące kawałki skóry odsłaniające nagą kość, Laurie weszła na ganek, poprosiła kobietę, by wezwała pogotowie, po czym usiadła na schodkach, czekając na karetkę.

- Beth, to nie jest tylko sprawa braku ruchu. Zachowujesz się idiotycznie. Przecież wciąż nie wiesz, co się naprawdę z nim stało. Jeżeli nie chcesz rozmawiać z mediami ani załatwiać telefonów, zajmij się chociaż rozsyłaniem plakatów. Mnóstwo ludzi z całego kraju dzwoni z ofertą ich kolportażu. Przynajmniej tyle możesz zrobić dla Bena. Przykro mi, kochanie, ale w takim stanie jesteś absolutnie bezużyteczna.

- I co z tego. Laurie zachnęła się.

- Beth - oznajmiła - nigdy przedtem nie powiedziałam ci czegoś podobnego. Ale albo natychmiast podniesiesz tytek, albo przestanę się z tobą przyjaźnić, a wtedy znajdziesz się w jeszcze gorszym stanie niż teraz.

Beth zwiesiła stopy z łóżka, by po chwili postawić je na podłodze.

Od tamtego dnia wstawała niemal co rano. Sygnał do ruszenia się z łóżka stanowił zazwyczaj telefon - od Candy, Laurie czy Rosie. Wkrótce trzeba było zidentyfikować kolejne zwłoki; Bick ponownie podjął się tego obowiązku. Chłopiec znaleziony w Gary, w stanie Indiana, okazał się co najmniej siedmiolatkiem. Kiedyś w słuchawce Beth usłyszała pytanie, czy wie, że przy autostradzie 1-90, w pobliżu wielkiego centrum handlowego, pojawił się kolejny, olbrzymi billboard z wizerunkiem Bena. Tak, odpowiedziała Beth - teraz odpowiadała „tak” na wszystko. A potem wstawała i szorowała zęby. Co prawda większość dnia spędzała skulona w kącie kanapy, ukradkiem obserwując ulicę, ale nie leżała już w łóżku. Dwukrotnie nawet wyszła na dwór, do skrzynki listowej po pocztę. I właściwie tylko raz przeżyła straszny, okrutny moment: w niedzielę, wczesnym rankiem, w świetle ponurego, bladego świtu wstała, zajrzała do pokoju chłopców i zobaczyła Bena zwiniętego w kłębek na łóżku.

Pat przybiegł na przerażający krzyk Beth; mocz ciekł jej po nogach.

- To Vincent - tłumaczył Pat, obejmując ją ramieniem. - Tylko Vincent. Sypia teraz w łóżku Bena. Zaczął zaraz po powrocie z Chicago. Najpierw prznosiłem go na jego posłanie, ale teraz już tego nie robię. Myślę... myślę, że Vincent znajduje w tym jakieś ukojenie, Beth. Nawet zasypia z... z pluszowym królikiem Bena, Igorem.

Pat zaniósł ją z powrotem do sypialni, przyniósł zmoczony w gorącej wodzie ręcznik i umył ją dokładnie, a potem, pobudzony widokiem jej odkrytych nóg i bioder, zaczął się z nią kochać. Gdy z wielką powagą wciskał się w nią i napinał, Beth pomyślała, że gdyby pieprzył się z koszem na brudną bieliznę, mógłby oczekiwać intensywniejszej emocjonalnej reakcji. Dzieci spały. Oddech Pata był jedynym dźwiękiem dochodzącym do niej z nieskończonego, wiecznego wszechświata.

W połowie września Laurie zaciągnęła ich na spotkanie Compassionaty - koła wzajemnego wsparcia. Usłyszała o nim, pracując jeszcze jako rzecznik prasowy rozmaitych społecznych instytucji w Madison, których działanie wydawało jej się warte poparcia i angażowania własnej energii, a które stanowiły wylęgarnię wielu programów pomocy obywatelskiej. Żadne z dzieci rodziców uczęszczających na spotkania Compassionaty nie padło ofiarą nowotworu. Niektóre z nich wcale nie umarły. Laurie powiedziała, że lista nieprawdopodobnych zdarzeń, która przypadła tym ludziom w udziale, wprawiała w osłupienie. Najbardziej makabryczna była historia Penny Odin, przewodniczącej grupy. Jej były mąż przyjechał do ich synka w dniu jego czwartych urodzin i zabrał go na przejażdżkę. Godzinę później zadzwonił do niej, oddał dziecku słuchawkę i gdy chłopiec rozmawiał z matką przez telefon, strzelił mu z pistoletu w tył głowy.

- Dlaczego ktoś tak strasznie doświadczony przez los miałby mieć ochotę mnie słuchać?

- Pomyślałam, że to może ty powinnaś wysłuchać tych ludzi -miękkim głosem odpowiedziała Laurie. - Żeby zdać sobie sprawę, że nie jesteś jedyna.

„Ależ jestem” - pomyślała Beth. Fragment jakiegoś wiersza wkradł się do jej pamięci: „Nie ma, nie ma nikogo innego”. W jaki sposób opowieści o nieszczęściu innych żalonych ofiar miałyby jej pomóc? Po co ma wiedzieć, jak zmagają się z własnym problemem? Ale w końcu zgodziła się zjawić na jednym spotkaniu grupy pod warunkiem jednak, że Pat pójdzie razem z nią. Członkowie Compassionaty spotykali się - jakżeby inaczej? - w suterenie pobliskiego kościoła. Beth zaczęła myśleć o kościelnych piwnicach jak o traktach wiodących do emocjonalnego wybawienia, ciągnących się wzdłuż i wszerz całej Ameryki. Tam, w pomieszczeniach

zdobionych dziecinnymi rysunkami - wyobrażeniami Wniebowstąpienia - spotykali się ludzie przechodzący transformację: pogrążeni w żałobie, oczekujący szczęśliwego małżeństwa, spodziewający się rychłych narodzin bądź śmierci, i siadali wokół odrapanych stołów.

- Istotnym elementem nazwy naszej grupy - Compassionata - jest słowo kompas - wyjaśniała teraz Penny. - Kompas wyznacza cztery kierunki: północ, południe, wschód, zachód, zamknięte w jednym kręgu. W życiu wielu z nas decydującą rolę odgrywają także cztery czynniki: radość i smutek, świadomość i tajemnica. Dla niektórych owa tajemnica jest pojęciem dosłownym: nie wiedzą, gdzie są ich dzieci i czy jeszcze żyją. Ale nawet dla takich jak ja - osób, które świetnie wiedzą, co spotkało ich dzieci, istnieje element niewiadomej. Wierzę, że Casey jest teraz najpiękniejszym dzieckiem w całym chórze bożym. Ale nie mogę mieć tej pewności, bo nie dane mi jeszcze wkroczyć do jego świata. Niemniej każdy siwy włos, każda zmarszczka sprawia mi radość: zbliża mnie do spotkania z moim maleńkim. - Penny znów błysnęła tym swoim niezwykłym uśmiechem. „Pięćdziesiąt kilogramów temu - pomyślała Beth - musiała być prawdziwą pięknością”. - A teraz chwyćcie się za ręce - komenderowała Penny.

Beth zapewne by tego nie zrobiła, gdyby Laurie nie pochwyciła z jej kolan zaciśniętej w pięść dłoni.

- Jednoczymy się w tym kręgu w nadziei, że kojąca moc przenika nas wszystkich, jak zwykliśmy śpiewać w kościele za czasów dzieciństwa - powiedziała Penny. - Wszyscy znaleźliśmy się tutaj, aby przekonać się, czy jesteśmy jeszcze w stanie uleczyć nasze serca, pomimo zadanych nam ran. Chcę wierzyć, że dla każdego z nas jest to możliwe. - Po czym wzięła w rękę pakiet broszur i zaczęła wręczać je zebrany. - Tutaj opisano problemy najczęściej pojawiające się w rodzinach, które straciły dziecko. Dysfunkcja seksualna. Zaburzone reakcje pozostałego rodzeństwa, wynikające z poczucia odrzucenia czy strachu. Konflikt postaw życiowych: jeden rodzic pragnący powrócić do normalnego życia, drugi zamknięty w błędnym kole bólu i rozpacz... Wszyscy znamy swoje imiona i powody, dla których się tu znaleźliśmy. Czy teraz ktoś z was chciałby powiedzieć parę słów na jakiś temat poruszony w naszej broszurze?

Jean - matka nastoletniej dziewczyny, zepchniętej z klifu przez swojego dużo starszego, żonatego kochanka na wieść o nieplanowanej ciąży - tak gorliwie pragnęła zabrać głos, że niemal zalewitowała na krześle.

- Po śmierci Sherry punktem zwrotnym w moim życiu stał się jej

pogrzeb. Patrzyłam na nią, gdy leżała w trumnie, i choć właściciel zakładu pogrzebowego użył całego swojego kunsztu, napięcie mięśni jej szyi od razu zdradziło mi, że bardzo cierpiała tuż przed śmiercią...

Beth rzuciła Laurie mordercze spojrzenie. Czy doprawdy musi tu siedzieć i wysłuchiwać podobnych rzeczy? Ale Laurie natychmiast zgasła ją tym swoim szczególnym wyrazem oczu i Beth osunęła się na skraj krzeselka, usiłując pograżyć się w zawilosciach wzoru na okładce broszury - kompasie otoczonym aureolą promieni, niczym płonące słońce.

- Jedynym celem w życiu mojego męża - ciągnęła Jean - stało się doprowadzenie do skazania winnego śmierci Sherry. Do furii doprowadzał go fakt, że w stanie Wisconsin zniesiono karę śmierci, bo przecież ten człowiek zabił aż dwie osoby: naszą córeczkę i jej dziecko. Więc mój mąż całymi dniami wisiał na telefonie, konferując z policją i prawnikami, ale ja nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Bo przecież te wszystkie działania nie mogły mi zwrócić Sherry, prawda? Natomiast mój mąż postanowił nawet ubiegać się o odszkodowanie - z powodu utraty córki, naszego cierpienia i bólu. Facet, który ją zabił, był całkiem zamożny - miał dobrą pracę w zakładach samochodowych jako fachowiec na linii montażowej. Ale mnie to też nie obchodziło. I choć próbowałam wspierać męża w jego wysiłkach, on świetnie czuł, że nie mam do tego ani krztyny serca. W końcu zaczął mi wyrzucać, że nie kochałam Sherry równie głęboko jak on.

Teraz, po dwóch latach od śmierci córki, Jean była w separacji ze swoim mężem. Uczyła się tańców celtyckich i po raz pierwszy w życiu uczęszczała do college'u, studiując pielęgniarstwo. Jej mąż natomiast przeniósł się do małego mieszkanka z widokiem na jezioro, gdzie jedyne umeblowanie stanowiły szafki z szufladami na akta, zapchane różnymi dokumentami i wycinkami prasowymi, oraz polowe łóżko. Jean stwierdziła, że jej mąż stworzył tam swoją prywatną świątynię ku czci Sherry: pod jej rozstawionymi po całym mieszkaniu zdjęciami dzień i noc paliły się świece.

- Pewnego pięknego dnia spłonie żywcem wraz z tym całym makabrycznym sanktuarium.

- Myślę, że on o tym świetnie wie - wtrącił na to Henry. - Gdy moja żona zabrała mi syna, popadłem w stan zdecydowanej autodestruk-cji. Przesiadywałem w barach. Umawiałem się z przygodnymi kobietami. Zmieniałem je jak rękawiczki. Próbowałem znaleźć odrobinę uczucia, miłości. Co rano budziłem się z głową wielką jak New Jersey... - Wokół stołu przebiegł śmiech zrozumienia.

Młodziutka kobieta, która ani na moment nie puściła dłoni męża w trakcie całego spotkania - trwającego już, ku przerażeniu Beth, ponad półtorej godziny - teraz postanowiła się odezwać.

- Nie wiem, czasami zastanawiam się, czy coś z nami jest nie w porządku, bo my nie doświadczyliśmy żadnego z problemów, o których tu mówicie. Śmierć Jenny jeszcze mocniej zbliżyła nas do siebie, do siebie nawzajem i do Boga. - Jenny, ich dwuletnia córeczka, zginęła pod kołami samochodu swojej niani (pijanej, o czym oczywiście jej pracodawcy nie mieli najmniejszego pojęcia), gdy ta wycofywała wóz spod domu pewnego wieczoru po pracy. - Jeżeli którekolwiek z nas musi się wypłakać, drugie zawsze służy mu ramieniem. Oglądamy wspólnie zdjęcia Jenny i choć napawają nas smutkiem - jej utrata zawsze będzie dla nas smutkiem - to jednak czerpiemy z nich także siłę, gdy przypominamy sobie, ile radości Jenny wniosła do naszego życia. Te wspomnienia działają na nas kojąco. Mieliśmy szczęście, że była wśród nas.

Laurie napisała coś na swojej broszurce i bez słowa podsunęła Beth pod nos. „Oni prawdopodobnie tak naprawdę nigdy nie chcieli dzieci”

- przeczytała Beth i zasłoniła twarz dłonią.

- Tak więc to doświadczenie - ciągnęła młoda kobieta - choć bolesne, pozwoliło nam dojrzeć, dorosnąć... jeśli będziemy mieć kolejne dziecko, z pewnością...

- Po co więc tu przyszliście? - cierpkim głosem zapytał Henry. - Jeżeli tak świetnie sobie radzicie, czemu chcecie przebywać wśród ludzi, którym idzie tak kiepsko?

- Henry - Penny napomniała go łagodnie - znasz zasady naszej grupy. Nie okazuj urazy, nie potępiaj. Każdy ma prawo do swojej własnej recepty na pokonanie żałoby...

- Oni nie wydają się potrzebować pomocy - upierał się Henry.

- Ależ tak - odparła młoda kobieta. - Potrzebna nam świadomość, że nie tylko nas dotknęło podobne nieszczęście.

- Oczywiście - powiedziała na to Penny, odwracając się gwałtownie w stronę Beth. - Nasi najnowsi goście, Pat i Beth, dopiero wstępują na drogę, którą większości z nas dane jest kroczyć już od pewnego czasu. Wszyscy zapewne czytaliście o Benie Cappadora, małym synku Beth. Mamy wszelkie powody przypuszczać, że wasz chłopczyk zostanie znaleziony, jednak zapewne mimo to w waszej rodzinie pojawiają się problemy typowe dla rodzin przechodzących proces żałoby. Beth, czy miałabyś ochotę opowiedzieć nam o waszych doświadczeniach?

- Nie - odparła Beth, po czym, ku własnemu zdziwieniu, zapytała:

- W jaki sposób stałaś się właśnie taka?

Twarz Penny wyrażała zaskoczenie:

- W jaki sposób... ?

- Taka, jaka jesteś. Pogodzona z życiem. Ciepła. Czy zawsze taka byłaś? To znaczy, przedtem?

Penny niemal wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, że nie. Pierwsze kilka miesięcy po tym, jak mój eks-mąż zastrzelił Caseya, nie byłam w stanie odczuwać niczego poza furia. Nienawidziłam się za to, że zaufałam mojemu mężowi, powierzyłam mu swojego synka, chociaż wiedziałam, że przez większość swojego życia był naćpany. Wściekłość na niego samego za to, co zrobił. Przestałam chodzić do kościoła i poświęciłam się pożeraniu wszystkiego, co tylko nadawało się do jedzenia i nie uciekało z talerza... - Penny gestem ręki wskazała na swoją czerwoną tunikę. - Oto właśnie efekty. I gdyby wtedy ktoś mi powiedział, że kiedykolwiek zacznę zachowywać się inaczej, stwierdziłabym, że to idiota niezdolny zrozumieć, przez jakie piekło przechodzę...

- Więc jak? - spytała Beth, czując przyływ podziwu dla tej kobiety i wielkie pragnienie, by choć małą cząstkę jej spokoju i równowagi móc wszczepić sobie pod skórę, tuż nad sercem.

- Cóż, Beth... zrobiłam... w końcu zmusiłam się... do takich rzeczy, jak oglądanie fotografii Caseya. - Po raz pierwszy od początku spotkania w głosie Penny Beth usłyszała cień wahania. - Casey został zastrzelony z pistoletu przytkniętego tuż do głowy. Ostatecznie zdobyłam się na zastanowienie, co czuł w owym momencie. Czego był świadom? I zrozumiałam, że niczego. Rozmawiał ze mną przez telefon i nagle zgasł, po prostu zgasł. Gdy spojrzałam na to z punktu widzenia Caseya, musiałam przyznać, że zmarł szczęśliwy, nagle i bezboleśnie. Jego śmierć nie dla niego stanowiła cierpienie. Tylko dla mnie. I dla... dla mojego byłego męża. Ponieważ w stanie Wisconsin zniesiono karę śmierci, on będzie musiał żyć z tym bólem do końca swoich dni, szczególnie teraz, gdy już nie bierze narkotyków.

- Czyżbyś mu współczuła? Czy fakt, że ogarnęło go szaleństwo, może stanowić jakiegokolwiek usprawiedliwienie?

- Nie, nie czuję wobec niego współczucia - odparła Penny. - Myślę jednak, że jego cierpienie i wyrzuty sumienia są wyrazem pewnej sprawiedliwości.

Beth podniosła wzrok. Pat wstał. Przez cały wieczór nie powiedział nic poza tym, jak się nazywa. Teraz oznajmił:

- Przepraszam bardzo, ale nie jestem w stanie słuchać tego dłużej.

- Oczywiście, rozumiem - powiedziała Penny. - Ale odwiedźcie nas jeszcze. Albo zadzwońcie.

- Na pewno - obiecała Beth.

Na zewnątrz ostatnie promienie światła spływały z idealnie przejrzystego, jesiennego nieba. Beth ciężko, głęboko wciągnęła powietrze. Zapach dzikich róż rosnących tuż przed kościołem mieszał się z zapachem wyziewów autobusowych, dochodzących z pobliskiej Park Street.

- Wszystko w porządku? - Laurie spytała Pata.

- Wiesz, tam w środku czułem się, jakby... Nigdy nie przypuszczałem, że na świecie jest tyle cierpienia.

„Och, Pat - pomyślała Beth - po prostu do tej pory nigdy nie było go w twoim świecie”.

Tej nocy nie mogła przestać myśleć o Penny. Przed oczami wciąż miała jej twarz - złogi tłuszczu nadawały jej nieinteligentnego wyrazu, ale miała spojrzenie świętej. Czy Penny sypiała w nocy? Beth wstała, przeszła do pokoju chłopców i pochyliła się nad Vincentem, zwiniętym w kłębek na łóżku Bena. Nad łóżkiem każdego synka, nad głową, przymocowana była półka na książki i zabawki; każdy z nich miał też swoją połowę szafy, oznaczoną starannie nalepionymi, kolorowymi literami układającymi się w ich imiona.

Laurie wykonała swoje zadanie subtelnie i dokładnie. Tylko parę nie rzucających się w oczy ubrań Bena wisiało po jego stronie szafy. Większość jego zabawek zniknęła z pokoju (Beth wiedziała, że spakowane w pudłach leżały w schowku pod schodami, poza zasięgiem wzroku, jednak nie skazane na unicestwienie). Ślady Bena uległy pewnemu zatarciu, kontur złagodniał, ale nie został brutalnie wymazany. „Dziękuję, najdroższa Laurie - pomyślała Beth, klękając na podłodze tuż obok śpiącego Vincenta. - Jedyne dzięki tobie jestem w stanie tu w ogóle przebywać”.

Vincent zawsze sypiał twardo i głęboko. Nigdy nie budził się łatwo; wracał do rzeczywistości dezorientowany, otumaniony snem, z nastroszonymi włosami, jak świeżo wylęgnięty kurczak. Ale teraz spał niespokojnie: przewracał się, rzucał, pocił jak sprinter. „Może jest chory” - pomyślała. Od czasu powrotu do domu zadawał jej mnóstwo dziwaczych pytań.

- Jak dużo niedobrych ludzi mieszka w Madison? - dopytywał się. Vincent nie należał do dzieci, które można było zbyć byle czym.

- Trzydziestu - odparła, by mieć ten temat z głowy.

- Jesteś pewna? - Tak.

- Kto ci powiedział?
- Nadinspektor Bliss. Kiedyś policzyła.
- A ilu jest w Los Angeles?
- Dwustu - odparła, wzdychając głęboko.

Beth doskonale wiedziała, że tak naprawdę Vincent pytał ją: „Czyja będę następny?” Ale cóż mogła mu powiedzieć? Czy widząc wpatrzony w siebie oczy Vincenta, mogła odczuwać coś poza winą? Widziała w nich oskarżenie. Wzbierał w niej gniew. Ale czy to nie ona właśnie pozwoliła, by pękła jedna z gałęzi ich drzewa?

Pewne wspomnienie, bezpieczne wspomnienie, mignęło jej przed oczami jak trzepot skrzydeł ćmy. Tuż przed urodzeniem Bena Vincent zapatrzył się kiedyś w jej ciężarny brzuch i oświadczył: - Polubisz dzidziusia. Ale nie tak samo. Nie będziesz go lubić tak bardzo jak mnie. -I Beth bała się, że tak właśnie się stanie.

A tymczasem Ben perfekcyjnie dopasował się do roli drugiego dziecka: niewymagający, zachwycony życiem, zwalniał ją z wszelkiej o niego troski. O Bena nie musiała się martwić... i nigdy, przenigdy tego nie robiła.

Teraz będzie musiała się zamartwiać. O Vincenta. Teraz, gdy już zatraciła intuicję, tę matczyną zdolność przeczuwania niebezpieczeństwa, gdy zatraciła wiarę w jej istnienie - już nic nie mogła uczynić dla swojego najstarszego dziecka. Pochylając się nisko, Beth wyszeptała:

- Kocham cię. - Badania wykazały, że nawet pogrążeni w głębokim śnie ludzie odbierają wypowiedane do nich słowa; mogą uczyć się języków obcych, wykorzystując przepływ strumieni podświadomości. Być może tym razem Beth zdoła dotrzeć w ten sposób do swojego syna i Vincent obudzi się rano w poczuciu, że jest kochany, nawet jeżeli nie będzie wiedział, przez kogo. I czy jego mama wciąż jeszcze nad nim czuwa.

Vincent

Rozdział 10

Grudzień 1985

Vincent dokładnie przemyślał całą sprawę i postanowił, że poprosi Świętego Mikołaja o Bena. Tak naprawdę chciał dostać pociąg Lionela albo łódkę sterowaną przez fale radiowe, ale w końcu wykombinował sobie, że jeżeli poprosi Mikołaja o Bena, to może i tak dostanie pociąg i łódkę, bo przecież prośba o Bena jest życzeniem zupełnie pozbawionym egoizmu. Zrobi doskonale wrażenie na Świętym Mikołaju i na dodatek wszystkich uszczęśliwi. Mamusię. Dziadka Angela. Wszystkich.

Sam też prawdopodobnie będzie szczęśliwy, bo, prawdę powiedziawszy, po tych sześciu miesiącach już bardzo brakowało mu towarzystwa Bena. Kerry jest słodka, ale z nią jeszcze nie można pobawić się na poważnie. Na dodatek często trochę brzydko pachniała i była strasznie nudna. A mama wciąż zachowywała się jak chora, cały czas tylko siedziała i siedziała; jedynie od czasu do czasu na niego wrzasnęła, kiedy zachowywał się zbyt hałaśliwie. Mama, oczywiście, krzyczała na niego, jeszcze zanim zaginął Ben, ale wtedy, pomiędzy wrzaskami, robiła z nim różne inne rzeczy i było śmiesznie. A teraz, gdy próbował ją rozbawić, śpiewając piosenki Elvise czy coś w tym stylu, nawet tego nie zauważała. Vincent nabrał przekonania, że jedynie sprowadzenie Bena na Boże Narodzenie mogłoby sprawić, że mama znów zaczęłaby się czasami wygłupiać. To, co się działo teraz, nieźle go wkurzało.

W Chicago zachowanie mamy nie drażniło go tak bardzo, bo wtedy mógł robić wszystko, co mu się żywnie podobało. Nie wrócił do szkoły na ten tydzień przed wakacjami, a i tak zdał do drugiej klasy i miał

prawie same najlepsze oceny, chociaż wcześniej był niemal całkiem pewien, że z matmy dostanie zły stopień za ciągle wyglupy z Andrew. Ale pani od matematyki nawet przysłała mu liścik i kilka czekoladowych dolarów. W tamtym czasie wszyscy ściskali go i głaskali dużo częściej, niż Vincent tak naprawdę by sobie życzył, szczególnie, jeżeli byli to starzy ludzie, o oddechu pachnącym jak drewniane patyki, którymi lekarz zawsze przytrzymuje język. Ale za to policjanci dawali mu mnóstwo świetnych rzeczy: karty baseballowe, odznakę policyjną - taką zabawkę, lecz z najprawdziwszego metalu - więc się nie łamała, jeżeli przez pomyłkę wyprała się w pralce razem z koszulką, i do tego jeszcze tak dużo gumy do żucia, że musiał sobie zrobić specjalne miejsce w szufladzie, żeby ją całą tam zmieścić. A ta pani z jasnymi włosami, która pracowała jako prawdziwy detektyw, mimo że była taka ładna, dała mu nawet trochę tego czegoś, co autentycznie wkładają do kamizelek kuloodpornych, a babcia Rosie wszyła mu to do jego batmańskiej bluzy. (W jakiś czas potem Vincent przebrał się w tę bluzę i wędkarski kapelusz tatusia na Halloween, a mama Aleksa przyszła po niego, żeby z innymi dziećmi chodził po okolicy i zbierał cukierki od sąsiadów. Najpierw, jeszcze w swoim domu, pomalowała mu twarz specjalnymi farbami, powtarzając cały czas do taty Aleksa: „Tego już za wiele, doprawdy za wiele”, a przecież farby do twarzy wcale nie były takie drogie.)

W każdym razie na początku podobało mu się, że każdy, kto przychodził do domu dziadka i babci, dawał mu prezent. Od przyjaciół dziadka Billa dostawał nawet prawdziwe dolary - srebrne i papierowe. W samym tylko pierwszym tygodniu udało mu się zaoszczędzić aż jedenaście dolarów. A kiedy marudził i nie chciał jeść, po prostu zabierali jego talerz i dawali mu cokolwiek zechciał - ciastka, a nawet takie płatki śniadaniowe, na które jego mama nigdy by się nie zgodziła: te, które miały w środku mnóstwo małych, beżowych ludzików. Pewnego wieczoru wujek Bick pojechał po nie specjalnie do sklepu tylko dlatego, że Vincent właśnie ich sobie życzył... tak naprawdę Vincenta przeszył wówczas niesamowity dreszcz, prawie się wtedy przestraszył. Zaczął się zastanawiać, czy dorośli aby na pewno mówią mu prawdę. Czy Bena po prostu nie ma, czy może jednak ktoś go zabił? A kiedy wszyscy naokoło pozwalali mu robić, co tylko chciał, zaczynało mu brakować mamy, tęsknił za nią jeszcze dużo bardziej niż zwykle, chociaż na co dzień i tak mocno do niej tęsknił. W Chicago nigdy nie było jej w pobliżu. Czasami tylko telefonowała do niego, żeby powiedzieć mu dzień dobry. Dużo częściej widywał tatę, ale on z kolei nabrał dziwnego zwy-

czaju przytulania go tak strasznie mocno, że budziło to w Vincencie przerażenie.

Jednak, jakkolwiek było, w Chicago podobało mu się bardziej niż w domu. Dziadek Angelo kładł go spać do ich wielkiego, okrągłego łóżka - i to nie tylko pierwszej nocy, ale każdej nocy. A jeżeli Vincent nie mógł zasnąć, to i tak dochodziły go odgłosy rozmów prowadzonych w salonie. Słyszał policjantów i innych dorosłych.

Teraz, w domu, ilekroć nie udawało mu się zasnąć, mógł sobie jedynie siedzieć. Mama w nocy zawsze zachowywała się cicho. Kerry też. A tata - z wyjątkiem poniedziałku - stale pracował w restauracji, kiedy Vincent szedł spać. Vincent nienawidził tego siedzenia. I nareszcie zrozumiał, dlaczego dorośli umieli tak szybko czytać. Dawno temu razem z Benem wymyślali różne sposoby cichego wyłączenia z łóżka w nocy i zabawy samochodzikami. W końcu, co prawda, i tak zaczęli się trochę bić, przepychać, chichrać, i zazwyczaj mamie albo tacie udawało się ich nakryć. Jednak teraz, gdy był sam, Vincent bał się bawić w ten sposób. Z jakiegoś powodu uważał, że nieposłuszeństwo może się dla niego groźnie skończyć, chociaż był prawie pewien, że mama i tak by tego nie zauważyła.

Kiedyś Vincent potrafił doskonale zasypiać. Mama mawiała, że jest najlepszym zasypiaczem na świecie. Wystarczyło, że przyłożył głowę do poduszki, już odpływał, jakby znalazł się w wielkiej balii pełnej ciepłej wody. Ale od czasu wydarzenia w hotelowym holu Vincent nie mógł już tak po prostu zasnąć. Po pierwsze, teraz cały pokój należał tylko do niego; w dzień nawet całkiem mu się podobało, że może rozłożyć wszystkie swoje manatki na obu łóżkach, ale w nocy czuł się dość upiornie, kiedy nie miał z kim pogadać przed snem. Poza tym nagle zaczęła przerażać go ciemność. I nie był to taki głupi strach, jaki odczuwały niektóre inne dzieci. Vincent miał poważne powody, by się bać. Przecież najprawdopodobniej, wcześniej czy później, porywacz przyjdzie też po niego. To logiczne. Taki zły pan - Vincent słyszał o podobnych ludziach na lekcjach w szkole - podchodzi do ciebie na ulicy, niby pyta o drogę, a potem nagle cię łapie, tuż przed twoim własnym domem, daje ci narkotyki i dotyka w miejsca, których nie wolno dotykać obcym. No więc ktoś taki na sto procent będzie chciał dostać w swoje ręce także drugiego brata. A jeśli ten zły pan zapyta Bena, jak znaleźć Vincenta, Ben mu na pewno powie. Ben przecież zna numer ich domu.

W końcu tak bardzo zaczęła go przerażać ta perspektywa, że zwierzył się wujkowi Joeyowi ze swoich obaw, i wujek Joey zapewnił go, że

żaden zły człowiek nie ośmieli się nawet zbliżyć do domu dziadka Angela, bo on by go wykończył.

- Czy wiesz, chłopie, co oznacza „wykończyć”? - zapytał wujek Joey bardzo groźnym tonem. Vincent pokiwał twierdząco głową, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie miał zielonego pojęcia. W końcu, ponieważ wujek Joey dużo ćwiczył na siłowni, wykombinował sobie, że on ich na pewno pobije.

Ale przecież dorośli zawsze opowiadają dzieciom podobne rzeczy, no nie?

Zapewniają, że przy nich zawsze będziesz bezpieczny, że nigdy nie pozwolą, żeby stało ci się coś złego, a potem przewracasz się na placyku zabaw i łamiesz obojczyk tuż pod ich nosem. Porywacz może cię zabrać na oczach miliona innych dużych ludzi. A ten zły pan, co trzyma Bena, nie musi mu nawet dawać narkotyków ani cukierków. Wystarczy, że powie Benowi, co ma robić, i Ben to robi, bo należy do tych dzieci, które zawsze słuchają dorosłych. Nawet Vincent, chociaż nigdy nie był posłuszny, czasami zgadzał się postępować tak, jak mu kazali, na przykład wtedy, kiedy mama chciała, żeby jadł jajka, i on je jadł, mimo że potem chciało mu się rzygać.

Pewnego razu, jeszcze przed powrotem do domu, Vincent rozmyślał o Benie i stwierdził, że porwała go Baba-Jaga, tak jak w bajce o Jasiu i Małgosi. A babcia Rosie powiedziała wtedy, że nie ma czegoś takiego jak Baba-Jaga, że czarownice w ogóle nie istnieją. Vincent wcale jej nie uwierzył. To było tylko kolejne kłamstwo, którymi dorośli karmią dzieci, żeby one się tak bardzo nie bały. No bo jak to możliwe, że nie ma czarownic, jeżeli były kiedyś, w dawnych czasach? Wtedy, gdy powstawały te różne historie? Gdzie się wszystkie podziały? Czy nie miały swoich dzieci, które wyrastały na Baby-Jagi?

A do tego wszystkiego dochodziła jeszcze sprawa pewnego zapachu.

Jedyną rzeczą, którą tak naprawdę pamiętał z dnia, kiedy zniknął Ben, był właśnie ów zapach. Vincent w rzeczywistości nigdy potem już nie mógł go poczuć nosem, ale zawsze umiał go sobie przypomnieć. Był jak aromaty różnych perfum i pudrów, które mama trzymała w kosmetyczce, tylko jakby ktoś je wszystkie naraz wymieszał i dodał jeszcze do tego ten ohydny, kuchenny smród. Jeżeli wujek Augie wchodził do restauracji nie należącej do kogoś z jego znajomych, wówczas nazywał taki zapach „starą fryturą”. Identycznie śmierdział słoik kupnego smalcu z indyka, który mama otworzyła na Święto Dziękczynienia, bo tata zapomniał przynieść tłuszczu z restauracji. Od tego zapachu

Vincentowi zrobiło się tak niedobrze, że w ogóle nie mógł tknąć jedzenia, i tata nakrzyczał na niego, żeby wreszcie przestał za wszelką cenę zwracać na siebie uwagę, a wtedy mama kazała tacie się zamknąć i też niczego nie zjadła. Zabrała Vincenta na górę i położyła się razem z nim do łóżka, co bardzo mu się spodobało. Przy mamie nie miał najmniejszych problemów z zaśnięciem. Przespali wtedy razem cały dzień.

Jednak teraz mama już prawie nigdy nie kładła go do łóżka ani go nie budziła. Kładła tylko maleństwo, mówiła: „Pa, pa, Kerry”, a potem strasznie długo stała w holu z ręką na klamce od drzwi jej pokoju; nie robiła nic innego, tylko tak stała i stała.

Vincent wkładał piżamę i przechodził obok niej. A potem szedł umyć zęby i znów przechodził koło niej. Po jakimś czasie wchodził do łóżka. Wcale nie był pewien, czy kładł się właśnie wtedy, kiedy powinien, bo Vincent nie znał się na zegarach, które rodzice trzymali na piętze - umiał tylko odczytać godzinę na wideo, w salonie na dole, gdzie pokazywały się prawdziwe cyferki. Kilka razy Vincent zaspał i nie zdążył na czas do szkoły, ale kiedy mówił pani, że mama zapomniała go obudzić, nikt nie miał do niego pretensji i nauczyciele nawet nie zaznaczali mu spóźnienia. Po jakimś czasie zdarzało mu się nie iść do szkoły nawet wtedy, kiedy świetnie wiedział, że już powinien wyjść, bo widział na ulicy inne dzieci. Ale on siadał i oglądał telewizję, dopóki mama nie zeszła na dół z maleństwem.

A ona i tak mówiła tylko: - Czy coś już jadłeś? - Nigdy nie powiedziała: - Czy nie powinienes być teraz w szkole? - Tylko pewnego razu spojrzała na niego i spytała: - Czy dzisiaj niedziela? - A wtedy Vincent podniósł się i wyszedł. Gdy wkroczył do klasy, pani była już w połowie sprawdzania obecności, ale nie powiedziała mu złego słowa, zapytała tylko, czy jadł śniadanie. Kiedy przyznał się, że nie, rysy jej stężały, jakby za chwilę miała się rozplakać, po czym podzieliła się z nim swoim pączkiem. Od tej pory Vincent już zawsze mówił, że coś zjadł.

Po szkole zazwyczaj chodził do Aleksa. Pewnego razu usłyszał, jak mama Aleksa mówiła do kogoś przez telefon: - Oczywiście, że jest u nas Vincent. W przyszłym tygodniu złożę chyba papiery adopcyjne. - Dlatego Vincent musiał wtedy spytać tatę, czy rodzice Aleksa naprawdę zamierzają go adoptować. - Oczywiście, że nie - zapewnił go tata i powiedział: - Może jednak w niektóre dni powinienes przychodzić ze szkoły prosto do domu.

Ale Vincent nie znosił zjawiać się wcześniej w domu. Przynajmniej, dopóki Jill nie skończyła swoich zajęć. Jeżeli przyszedł wcześniej, ma-

leństwo spało. A mama siedziała w najdziwniejszych miejscach. Pewnego razu znalazł ją w piwnicy, w jej pracowni fotograficznej - ale wcale nie robiła zdjęć, tylko siedziała po ciemku na podłodze; kiedy indziej siedziała w jego pokoju, tuż przy łóżku, które kiedyś należało do Bena, a teraz już było jego. A jeszcze kiedyś zastał ją w kuchni. Znow siedziała na podłodze. I ten raz był najstraszniejszy. Koło niej stał kubek kawy z jakimś pienistym paskudztwem na wierzchu, w którym taplał się ohydny robal, i Vincent musiał wrzasnąć: - Fuj, mamusiu, nie pij tego! - bo gdy go zobaczyła, podniosła kubek i zaczęła z niego pić. A potem próbowała się roześmiać, ale jej śmiech był dziwny, trochę przerażający. A jeszcze potem mama postawiła ten kubek z powrotem koło siebie i dalej tylko tak siedziała.

Lecz nawet wtedy, kiedy Vincent chodził po szkole do Aleksa, nie mógł tam codziennie jadać obiadów. Musiał iść do domu, gdy koło piątej tata Aleksa wracał z pracy. A czasami, oczywiście, w ogóle do niego nie chodził.

Żeby dojść do Aleksa, Vincent musiał minąć swój dom po drugiej stronie ulicy. Niekiedy zdarzało się, że na ich podjeździe stał czyjś samochód, na przykład Laurie, która często przywoziła jedno ze swoich dzieci, i wtedy Vincent miał się z kim bawić w domku podniebnym albo mógł urządzić zawody w skakaniu z huśtawki.

A nawet jeżeli nie było żadnych dzieci, przy Laurie jego mama budziła się z letargu. Jakby ktoś włączył ją za pomocą telewizyjnego pilota czy coś w tym stylu. Reagowała na to, co się do niej mówiło, a jeśli Laurie przynosiła plakaty Bena i trzeba było powkładać je do kopert i ostemplować, mama robiła wszystko, co należy. Gdy Laurie przyniosła jakąś sałatkę, mama ją zjadała. Robiła kawę. A nawet zauważała obecność Vincenta, kiedy w pobliżu była Laurie albo ktoś z sąsiadów. Mówiła na przykład: - Czy mógłbyś mi przynieść zszywacz, kolego? - prawie takim samym głosem jak kiedyś, tyle tylko, że gdyby można było usłyszeć jednocześnie jej dawny głos, od razu wiedziałoby się, że teraz mówi szybciej i ciszej.

Takie wieczory były naprawdę super, bo zanim wyszła Laurie, Jill już zdążyła wrócić z wykładów i podgrzewała pyszny obiad ugotowany przez Laurie - oczywiście, nie oznaczało to, że Vincent nie lubił jedzenia z restauracji Cappadorów, jednak czasami fajnie było zjeść coś prawdziwie amerykańskiego, jak na przykład pieczonego kurczaka. No i w ten sposób przez cały dzień - od przyjścia ze szkoły aż do czasu spania - nie musiał być z mamą sam, oczywiście, jeżeli Jill nie miała akurat wieczornych zajęć, co zdarzało się trzy razy w tygodniu. Ale kie-

dy Jill spędzała popołudnia w domu, wówczas czytała mu książeczki, przygotowywała kąpiel, a nawet siedziała w jego pokoju tak długo, aż zapadł w sen.

Pewnego razu Vincent obudził się w środku nocy i Jill była w pokoju razem z nim, zwinięta na łóżku, które kiedyś należało do niego. Spała w ubraniu i bez przykrycia. Vincent wstał i okrył ją kocem, próbując obetkać go dokładnie wokół jej ramion, delikatnie, żeby jej nie obudzić. Jednak Jill się obudziła i mocno go uściskała. Vincent poczuł się wtedy parszywie - bał się, że Jill sobie pójdzie. Ale ona tylko przewróciła się na drugi bok i z powrotem zapadła w sen. Vincentowi strasznie się to spodobało, więc następnego dnia powiedział Jill, że może teraz zawsze spać w jego pokoju, ilekroć tylko zechce. Wcale nie musi spędzać nocy w pokoju gościnnym, gdzie mieszkała na co dzień. Ale kiedy jej to powiedział, Jill strasznie się popłakała, dlatego już więcej nie wracał do tego tematu. Musiał przyznać, że jego dawne łóżko nie było takie wygodne jak łóżko Bena. Miało o wiele starszy materac, bo Ben swój zasikał doszczętnie i musieli kupić mu nowy, natomiast w materacu Vincenta na środku było już wyleżane wyraźne wgłębienie. No więc nie mógł tak naprawdę gniewać się na Jill, że nie chciała takiego łóżka.

Vincent wiedział, że Jill będzie musiała wrócić do domu, do swojego prawdziwego domu i swojej mamy, jego cioci, Rachelle. W każdym razie na Boże Narodzenie. I zostanie tam aż cały miesiąc. Tatuś powiedział, że przez ten czas będzie do nich przychodzić Stacey, kasjerka z restauracji Cappadorów, żeby popilnować Vincenta i Kerry, przynajmniej do momentu, „aż mamie się nie poprawi”. Vincent nie mógł nic specjalnie zarzucić Stacey, tyle tylko, że zajmowała się jedynie oglądaniem telewizji. Poza tym nie będzie z nimi co dzień, a nawet w te dni, kiedy przyjdzie, i tak nie zostanie dłużej niż do dziesiątej, a o tej porze mama i Kerry już spały, tata zaś jeszcze nie wracał z restauracji.

A przecież właśnie tego Vincent bał się i nienawidził najbardziej -gdy mama spała, a on nie mógł zasnąć.

Niemniej do chwili rozpoczęcia zimowych ferii, na tydzień przed Gwiazdką, Vincent zdołał już ułożyć sobie w głowie, jak w najbliższym czasie będą wyglądać jego kolejne dni. Poniedziałki zapowiadały się świetnie, już z góry się na nie cieszył, bo w poniedziałki tata nie chodził do pracy. Wtorkowe i środowe wieczory należało spisać na straty. Czwartki mogły okazać się nie najgorsze, bo zazwyczaj w czwartki do mamy zaczynały wydzwaniać jej przyjaciółki, żeby dowiedzieć się, czy wszystko u niej w porządku. Piątki na pewno będą okay. Soboty od popołudnia będą super, bo w soboty Vincentowi zazwyczaj udawało się

namówić tatę, żeby zabrał go ze sobą do restauracji, i wtedy Vincent zasypiał na kanapie w biurze wujka Augiego.

Najgorsze były i będą niedziele. W niedziele tata musiał otwierać restaurację, więc wyjeżdżał z domu tuż po lunchu. Gdy zbliżał się czas wyjścia, zawsze wyglądał na bardzo zatroskanego i wciąż powtarzał: - Beth? Czy na pewno dobrze się czujesz?

A mama odpowiadała: - Oczywiście, doskonale. - A potem tylko wpatrywała się w okno, jakby wciąż obserwowała samochód taty, wycofujący się z podjazdu na ulicę, jeszcze godzinę po jego odjeździe. Kilka razy zdarzyło się, że Vincent zapytał ją, czy może iść pobawić się na dworze. Mama zawsze się zgadzała. Ale Vincent na ogół nie wychodził; teraz nie miał jakoś ochoty wychodzić z domu, nawet kiedy spadł świeży śnieg, dopóki Kerry nie zapadła w swoją popołudniową drzemkę. Bo kiedy Kerry wyrzucała wszystkie zabawki z kojca, mama nigdy nie reagowała i nie wrzucała ich z powrotem. Więc Vincent zdecydował, że sam będzie to robił, chociaż często się wściekał, że ledwo wrzucił zabawki, Kerry ponownie wywaląła je poza kojec.

W niedzielę też ciągle dzwoniły telefony. Mama czasami je odbierała, a czasami nie. Parę razy, gdy podniosła słuchawkę, usłyszał, jak mama wydziera się, używając różnych brzydkich słów - na przykład: „Ty chory skurwysynu” - a potem dzwoni do taty. W takich wypadkach tata musiał natychmiast wracać do domu, żeby mama mogła iść na górę i położyć się do łóżka. Tatę też zawsze przygnębiała historia z telefonami i pewnego razu nawet zadzwonił w tej sprawie na posterunek w Madison.

Tak więc teraz głównie Vincent odbierał telefon.

Bardzo często dzwoniła do nich nadinspektor Bliss, która powiedziała mu, żeby nazywał ją „Candy”. Czasami odbierał telefony od pani z Compassionaty. I od wujka Bicka. Wujek Bick zawsze kazał mu ściągać do telefonu mamę, nawet wtedy, gdy Vincent tłumaczył, że mama śpi; wujkowi Bickowi zawsze udawało się zmusić mamę do rozmowy, chociaż mama często używała tylko pojedynczych słów.

A dwa razy zadzwonił jakiś pan, którego Vincent w ogóle nie znał. Jednak wiedział, że to ten sam pan, kiedy usłyszał go ponownie. Wydawało się, że dzwoni z jakiegoś pomieszczenia, do którego nie docierają żadne normalne dźwięki, nie było słychać różnych zwykłych odgłosów - telewizora czy samochodów przejeżdżających ulicą. Kiedy ten pan zadzwonił, zapytał Vincenta:

- Czy jesteś bratem tego małego chłopca?

- Tak - odpowiedział mu Vincent.

A potem on spytał:

- A czy wiesz, dlaczego został porwany?

- Nie - odparł zgodnie z prawdą Vincent.

I wtedy ten pan powiedział takim strasznym szeptem:

- A czy wiesz, jak Pan nasz, Jezus Chrystus, karze zapiekłych grzeszników? Ze ten, kto sieje wiatr, zbiera burzę?

Nie słowa same w sobie przerażyły wówczas Vincenta, ale sposób, w jaki zostały wypowiedziane. Pulsowały strasznym gniewem. Jakby ten pan wściekał się na Vincenta. Jakby to sam Vincent porwał Bena.

- Moja mamusia śpi - próbował wyjaśniać mu Vincent, nieco zawstydzony faktem, że używa słowa „mamusia”, bo od jakiegoś czasu już tego nie robił, zwracając się do osób trzecich. Ale ten pan nie przestawał mówić, sycząc jakos dziwnie w słuchawkę:

- Czy znasz historię biblijnego Beniamina, synu? Zniknął i zrobili z niego niewolnika w Egipcie. Czy wiesz, co niektórzy źli ludzie robią takim małym chłopcom jak twój brat?

Ten jeden raz, gdy Vincent zawołał matkę, jakiś ton w jego głosie sprawił, że zareagowała, potrząsnęła głową i usiadła na kanapie - do tej pory oglądała jakieś zawody w łowieniu okoni, które - Vincent był tego na sto procent pewien - zupełnie ją nie interesowały.

- O co chodzi? - spytała go teraz. - Co się stało?

Vincent tylko wyciągnął w jej stronę słuchawkę i zaczął nią potrząsać. Mama wzięła ją od niego, a kiedy usłyszała głos tego pana, zaczęła naprawdę strasznie wrzeszczeć:

- Żebyś nigdy więcej nie wydzwaniał do mojego domu, ty... - słowo na k..., słowo na p..., słowo na s...

A gdy za jakiś czas ten pan zadzwonił jeszcze raz, Vincent powiedział mu po prostu: - Ja wierzę w Boga - i odwiesił słuchawkę. Potem jeszcze były od niego telefony, ale tym razem włączała się automatyczna sekretarka i ten pan zostawił aż szesnaście wiadomości. „Odbierz telefon, jeżeli chcesz się dowiedzieć, co naprawdę spotkało Beniamina”. Wciąż powtarzał to samo. Szesnaście razy. Vincent sam policzył. A potem już nigdy więcej nie zadzwonił. Vincent zdecydował, że to na pewno był sam porywacz. Ale kiedy tata przesłuchał taśmę, stwierdził, że to niemożliwe; powiedział, że to chory sukinsyn, który nie ma nic lepszego do roboty w swoim chorym życiu jak straszenie kobiet i dzieci. A potem oddał taśmę policji z Madison. Specjalnie przyjechali po nią do ich domu radiowozem.

Po jakimś czasie Vincent doszedł do wniosku, że potrafi odgadnąć, czy telefonuje ktoś fajny, czy nie, po samym odgłosie dzwonienia. Jeże-

li była to ciocia Tree czy inna osoba w tym stylu, wyraźnie słyszał radosne, żywe brzmienie. A jeżeli dzwoniła policja czy ktoś obcy, jacyś ludzie próbujący sprzedać rodzicom miejsce na cmentarzu albo nowy dom, dźwięk telefonu był jakiś daleki, jakby telefon sam nie wiedział, gdzie dzwoni. Dlatego Vincent decydował się odbierać jedynie te przyjaźnie brzmiące telefony i do ferii Bożego Narodzenia stwierdził, że dwadzieścia na dwadzieścia pięć razy udało mu się nie pomylić; skrupulatnie liczył wszystkie odebrane telefony, za każdym razem robił mały znaczek na spodzie stołu w kuchni, na surowym, miękkim drewnie, nie pokrytym, jak reszta blatu, szarą farbą. Vincent ostatecznie stwierdził, że zapewne posiadał dar percepcji pozazmysłowej.

Teraz bardzo często odbierał telefony od babci Rosie.

Babcia zawsze pytała:

- Czy mama jest w domu, Vincenzo? A Vincent niezmiennie powtarzał:

- Tak, jest, ale śpi. - Nawet jeżeli nie spała. Bo jeżeli oddawał mamie słuchawkę, ona ją tylko bezmyślnie trzymała przy uchu, w ogóle nic nie mówiła i Vincent słyszał, jak daleki głos babci Rosie staje się coraz głośniejszy. W takich chwilach miał wrażenie, że wyskoczy ze skóry, żal mu było babci, a przecież nie mógł kazać mamie, żeby coś zaczęła mówić.

Jednak kiedy Vincent odpowiadał babci, że mama śpi, natychmiast pojawiał się kolejny problem. Babcia wtedy zawsze robiła coś w rodzaju: - Hmm... - i potem przez chwilę stukwała o stół swoim małym srebrnym długopisem, tym samym, którym zapisywała zamówienia, jakie przychodziły do „Golden Hat”. Po chwili znowu zadawała Vincentowi pytanie:

- A co robi maleństwo?

I w takiej sytuacji odpowiadał: - Śpi - nawet wtedy, gdy i ona nie spała. Vincent nie miał wątpliwości, że babcia Rosie właśnie tego życzyłaby sobie w przypadku Kerry, bo ludziom zawsze się wydaje, że niemowlaki czują się najlepiej wtedy, kiedy śpią. Potem babcia pytała, czy Vincent ogląda dużo telewizji, i robiła mu krótki test z ortografii: najpierw zadawała pytanie, jak się pisze jakieś proste słowa, na przykład „osa” czy „domek”, a później pytała o dwa słowa trudne, z haczykami, takie jak „drzewo” albo „zboże”. Na koniec mówiła mu:

- Myślałam, że w tym tygodniu przyjedziemy do Madison samochodem na weekend, ale dziadek Angelo stwierdził, że mamy zbyt dużo zamówień na wesela. Tutaj wszyscy się teraz pobierają, Cenzo. -Babcia prawie zawsze mówiła to samo. I tylko w zeszłym tygodniu po-

wiedziała mu: - Już niedługo przyjedziemy do was na Boże Narodzenie. - A potem chciała wiedzieć, czy Vincent był grzecznym chłopcem i co chciałby dostać od Świętego Nicolasa.

Wtedy właśnie Vincent powiedział jej, że poprosił Mikołaja o Bena.

I od razu poznał, że babci jakoś nie przypadł do gustu jego pomysł. Powiedziała tylko: - Och, Vincenzo, *carissimo* - takim tonem, jakby zakomunikował jej, że zawiesili go w szkole za złe zachowanie czy coś w tym rodzaju. A prawdę powiedziawszy, Vincent spodziewał się, że babcia będzie z niego dumna i pochwali go tym swoim lekko mruczącym głosem, jak wtedy, gdy przesłał jej taśmę z nagraniem swojego występu w pierwszym roku nauki gry na skrzypcach. Jednak po chwili pomyślał sobie, że babcia jest po prostu zmęczona, i poprosił o rozmowę z dziadkiem Angelo. Jemu zapewne bardziej spodoba się pomysł Vincenta, bo dziadek bardzo tęsknił za Benem; zawsze powtarzał, że to zaginięcie zamieniło jego serce w kość, którą teraz ma w gardle, lub coś podobnego - Vincent nie potrafił sobie przypomnieć, jak dokładnie opisał to wtedy dziadek. Ale okazało się, że dziadka nie ma w domu. A potem babcia jakoś podejrzanie szybko się rozłączyła.

Vincent zdecydował więc, że będzie musiał porozmawiać o tym z tatą i poprosić go, żeby pomógł mu napisać list do Świętego Mikołaja. Jakoś nie miał ochoty opowiadać o swoim pomysle mamie.

Boże Narodzenie wypadło w tym roku w poniedziałek, a w piątek przed świętami zadzwonił wujek Paul i powiedział, że zjawi się u nich ze swoją rodziną jeszcze tego samego dnia wieczorem. Ta wiadomość zelektryzowała Vincenta. Bliźniaczki wujka Paula, a w szczególności Moira, były strasznie zwariowane i nieźle rozrabiały jak na dziewczyny. Vincent zawsze się dobrze z nimi bawił.

- Czy bliźniaczki będą mogły spać w moim pokoju? - pytał teraz wujka Paula. - Od czasu, gdy zaginał Ben, mam w pokoju wolne łóżko.

W słuchawce na dłuższy czas zapadła cisza i Vincent wyraźnie słyszał na linii czyjś telefon komórkowy albo przerywany sygnał radiowy.

- Uhm, no dobrze - odparł w końcu wujek Paul, a potem poprosił: - A teraz daj mi mamę.

Dziadek Angelo i babcia Rosie zjawili się w sobotę rano. Tata Vincenta musiał aż trzy razy chodzić do ich samochodu, żeby znieść do domu wszystkie prezenty, które ze sobą przywieźli. Vincent zaczął czytać na głos bileciki przymocowane do paczek: „Dla Kerry od Mikołaja”. „Dla Beth OBKT” (dziadek Angelo zawsze tak pisał na prezentach dla mamy; oznaczało to: „Od bardzo kochającego teścia”). A potem Vin-

cent zauważył całą masę paczek, na których wyczytał: „Dla Bena od dziadka i babci. Dla Bena od Mikołaja”.

Vincent poszedł za dziadkiem aż do kuchni.

- Dziadziu - powiedział - pomyliłeś się. Te prezenty są dla Bena, a wiesz, Ben jest teraz porwany...

Białka oczu dziadka gwałtownie się zaczerwieniły.

- Wiem, Cenzo - odparł, kucając przed nim na podłodze. - Ale ja i babcia uważamy, że jeżeli nie zatracimy wiary, wówczas Pan wysłucha naszych modlitw i Benbo do nas wróci. Dlatego kupiliśmy prezenty dla Bena, żeby, jak będzie już w domu, mógł się nimi cieszyć i wiedział, że

o nim nie zapomnieliśmy.

- Pójdę pokazać je mamie.

- Dobrze - odparł dziadek. - Ale za chwilę. - Po czym rozejrzał się po domu. - A gdzie choinka?

Vincent poczuł się okropnie. Zdawał sobie sprawę, że powinien był przypomnieć tacie o choince, o tym, że nikt nie pamiętał, by kupić

i udekorować drzewko; ale bał się, że jeżeli to powie, tata zacznie płakać.

Vincent więc nie odpowiedział dziadkowi, tylko pobiegł na górę po mamę. Zazwyczaj mama nie schodziła na dół przed lunchem, jednak dzisiaj od razu wyszła z pokoju, ubrana w swoje normalne stroje, a nie czerwone dresy z dziurami, w których i spała, i chodziła cały dzień po domu. Teraz miała na sobie czarne spodnie i białą koszulę, i Vincent był z niej bardzo dumny. Mama ucałowała wszystkich na powitanie.

- Mamo - Vincent ciągnął ją teraz za ramię - choć, pokażę ci coś specjalnego.

Ale w tym momencie nie udało mu się pokazać jej prezentów dla Bena, bo akurat nadjechali ciocia Tree i wujek Joey. Ciocia Tree oznajmiła wszystkim, że nie jest pewna, czy powinna tu przyjeżdżać, bo zaczęła już odczuwać skurcze i ciągnące bóle. Vincent pomyślał, że pewnie ma to coś wspólnego z dzieckiem cioci Tree, które wciąż jeszcze było w jej brzuchu, i okazało się, że miał rację.

- Aaah - odezwała się babcia Rosie. - Może będziemy mieli bożonarodzeniowe dzieciątko!

- Tu, w Madison, jest parę szpitali, Tree - uspokajał ją tata.

- Jeszcze chyba za wcześnie - zawyrokował dziadek Angelo.

- Tylko kilka dni - powiedziała babcia. - Łatwiej rodzić, jeśli jest przed terminem. Szczególnie pierwsze.

Ciocia Monika nie zjawi się u nich na święta. Spędzi je ze swoim chłopakiem. Bo chociaż ciocia Monika miała długie paznokcie i umiała

grać na pianinie, wciąż jeszcze nie wyszła za mąż; zawsze powtarzała Vincentowi, że on jest jedynym mężczyzną, na którego naprawdę może liczyć.

Ciocia Tree nie bardzo już mogła wchodzić po schodach na górę, a nie zapakowała jeszcze swoich prezentów, poprosiła więc Vincenta, żeby został jej „adiutantem” i przyniósł taśmę klejącą oraz obcinacz do wstążek.

Zaraz potem - już, już miał pokazać mamie prezenty dla Bena, gdy nagle kolega taty, Rob, zjawił się w drzwiach z choinką, i to od razu pięknie udekorowaną!

Vincent powąchał drzewko i okazało się, że wcale nie jest sztuczne. Rob powiedział, że tatuś dostał je w prezencie od kwiaciarni „Delilos”, zupełnie za darmo. Choinka od razu poprawiła nastrój i wygląd wszystkiego wokół. Całej rodzinie sporo czasu zabrało układanie pod nią prezentów. Vincent zaś poszedł po swój plastikowy magnetofon, który zamierzał ukryć pod paczkami. Postanowił, że w Wigilię, tuż przed pójściem spać, włączy nagrywanie i jeżeli nie uda mu się czuć przez całą noc, to przynajmniej nagra Świętego Mikołaja na kasetę. Wykombinował sobie, że gdyby udało mu się zostać pierwszym amerykańskim dzieckiem, które potrafiłoby udowodnić, że Mikołaj istnieje naprawdę, wówczas może pokazaliby go w telewizji. Zwierzył się Jill ze swojego pomysłu, a ona powiedziała, że to bardzo błyskotliwy plan. Dzisiaj przeprowadzi test. Jeżeli uda mu się nagrać wieczorne rozmowy dorosłych, przynajmniej do czasu, póki nie skończy się kasecja, wówczas, był tego pewien, zdoła też przyłapać Świętego Mikołaja.

Rob został u nich na szklaneczkę wina. W tym czasie ciocia Sheilah zdążyła już ułożyć bliźniaczki do snu. I dopiero wtedy Vincent miał okazję powiedzieć mamie o prezentach dla Bena. Mama siedziała na kanapie, trzymała w ręku filiżankę kawy, ale wcale jej nie pila. Vincent podszedł do niej cichutko i powiedział:

- Popatrz, mamusiu. Te wszystkie prezenty są dla Bena. Babcia z dziadkiem je przywieźli. Czy to nie miło z ich strony?

Babcia Rosie siedziała dokładnie naprzeciwko mamy i wyszywała jakiś wzorek dla dziecka cioci Tree. Mama nawet nie spojrzała na Vincenta. Podeszła do choinki, podniosła jedną z paczek i powiedziała zupełnie martwym głosem:

- Rosie.

Nawet w oczach Vincenta babcia Rosie miała minę winowajcy. Jakby została przyłapana w czasie lekcji na przekazywaniu liściku, na którym na dodatek było napisane brzydkie słowo.

- Bethie? - spytała miękkiem głosem. - O co chodzi, kochanie?

- Co to jest?

- Prezenty dla Bena.

- Przywieźliście prezenty dla Bena? -Tak.

- Rosie, dlaczego przywieźliście prezenty dla Bena?

- Dlatego - babcia mówiła teraz takim tonem, jakim normalnie zwracała się tylko do dzieci - że wierzymy w powrót Bena. I gdy już się znajdzie, chcemy, żeby wiedział, że rodzina o nim nie zapomniała.

- Czy odnosisz wrażenie, że my zapomnieliśmy o Benie?

- Ależ skąd, kochanie.

- Ale my nie kupiliśmy żadnych prezentów dla Bena.

- Rozumiem.

- Tak naprawdę - ciągnęła mama - jeżeli mam być całkiem szczerą, ja wcale nie miałam ochoty na to... na tę wielką, świąteczną pompę. Jedyne, czego naprawdę chciałam, to przespać cały ten czas. Więc, Rosie, czy zdajesz sobie sprawę, jak ja się czuję, gdy wy zachowujecie się w taki sposób, jakby Ben wyjechał z miasta w interesach i lada chwila miał zjawić się w domu? - Mama mówiła już teraz naprawdę podniesionym głosem. Vincent usłyszał szuranie krzeseł w kuchni, to tata i wujek Joey wstawali od stołu, by zobaczyć, co się dzieje w salonie.

- Beth - odezwała się babcia Rosie - nikt nie zamierzał zrobić ci przykrości.

- Przecież wiedzieliście, że takie postępowanie sprawi mi przykrość.

- Bethie - wtrącił tata Vincenta. - Proszę cię... Słyszałaś, co ludzie mówili na spotkaniach Compassionaty. Każdy potrzebuje swoistego rytuału.

- Ale nie ja, Pat! - Mama już teraz płakała. - A to ja jestem jego matką! I nie zamierzam poddawać się różnym idiotycznym zachowaniom, by udawać, że moje dziecko żyje i niedługo pojawi się w domu, gdy wiem, że to najokrutniejsze kłamstwo na świecie! Nie dam się wciągnąć w takie bagno.

- Beth, kochanie - odezwała się ciocia Tree. - Uspokój się. Mama nie chciała cię zranić.

- Uspokój się? Uspokój? - wykrzykiwała mama Vincenta. - Jak mam się uspokoić, jeżeli nikt poza mną nie chce przyjąć do wiadomości oczywistego faktu, że to już koniec - koniec? A my wszyscy mamy żyć, jakby nigdy nic się nie stało, jak zawsze - jeść, spać, chrzczyć dzieci...

- A co moje dziecko ma z tym wspólnego? - wykrzyknęła ciocia Tree, obejmując ramionami swój brzuch; teraz i ona już była wściekła.

- Posłuchaj, Beth. Najwyższy czas, żebyś się wreszcie otrząsnęła. Nikt nie może z tobą rozmawiać, nawet Pat. Jeżeli nie masz najmniejszej nadziei, że Ben wróci...

- Wróci? On nie ma nawet czterech lat! Jak ma wrócić? Przestudiować rozkład jazdy pociągów?

- Chciałam powiedzieć, Beth, że jeżeli reszta rodziny chce wciąż zachować nadzieję, to nasza sprawa. Nie możesz tego traktować jak osobistą zniewagę. A poza tym, Beth, co cię to tak naprawdę obchodzi? Czy cię to w ogóle dotyczy? Stałaś się... samotną wyspą, Beth. Nawet nie interesuje cię moje dziecko...

- Nie. Nie interesuje.

- A powinno. Życie toczy się dalej.

- Nigdy więcej nie chcę usłyszeć kogokolwiek mówiącego mi: „Życie toczy się dalej”, Tereso.

To zdarzyło się po raz pierwszy! Vincent do tej pory nie pamiętał prawdziwego imienia cioci Tree.

- Zupełnie nie obchodzi cię moja matka ani mój ojciec. Nie chcesz dostrzec, że zaginięcie Bena jest dla nich równie dotkliwym ciosem jak dla ciebie. Ze zupełnie nie wiedzą, jak się wobec ciebie zachować, nie rozumieją twojego postępowania. Muszę przyznać, że ja w twojej sytuacji wyląbam się z bólu po podłodze. Nie potrafiłabym być równie opanowana. Ale ty jednocześnie odsunęłaś się od całej rodziny. Cóż, masz do tego prawo, jednak jeżeli podjęłaś taką decyzję, nie wyobrażaj sobie, że nadal wolno ci kontrolować...

- Tree - przerwał jej tata Vincenta bardzo zmęczonym głosem. - Tree, daj spokój...

- O nie, Pat. Ty nie masz odwagi, żeby jej to powiedzieć, ale ja się nie boję! Kiedy dzwoniemy - nie chce z nami rozmawiać. Gdy piszemy

- nie odpowiada na listy. Oczekuje, że nie będziemy rozmawiać o niczym innym poza jej rozpaczą. Jest jak Matka Bolejąca. Ponieważ uznała, że już nic gorszego nie może jej spotkać, postanowiła całkowicie wycofać się z życia.

- Tak. Taki właśnie jest mój wybór.

- Ale nie nasz, Beth. Ben nie był twoją wyłączną własnością. Należał także do nas. A my nie zdecydowaliśmy się poddać. Wciąż jeszcze wysyłamy po nocach paczki plakatów do ludzi z Nowego Jorku, Kansas czy Oklahomy. Rozmawiamy z policją. Wciąż mamy w sobie wiarę i nadzieję, której ty nie możesz nam odebrać, Beth. I zupełnie nie ro-

zumiem, dlaczego chcesz to zrobić, bo przecież ty nie znajdziesz go, siedząc cały dzień beczynn timer na tyłku i...

Vincent zdecydował, że teraz właśnie nadszedł odpowiedni moment, by powiedzieć mamie o istnieniu poważnych powodów, pozwalających przypuszczać, że do bożonarodzeniowego ranka sprawa zostanie pomyślnie rozwiązana i Ben zjawi się w domu.

- Mamusiu - odezwał się. - Muszę ci powiedzieć, co zrobiłem. -W tym momencie Vincent zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem trochę jej nie okłamie, bo w końcu jednak nie napisał listu do Mikołaja. Tak naprawdę tylko się do niego modlił, ale, z drugiej strony, babcia Rosie upierała się, że Mikołaj jest jednym ze świętych, a do każdego ze świętych można się modlić, kiedy tylko się człowiekowi zechce, bo od tego właśnie są święci. Wziął więc głęboki oddech i oznajmił: - Posłuchaj, mamusiu. Poprosiłem Mikołaja, żeby sprowadził Bena do domu na Gwiazdkę, i myślę, że on to zrobi.

Po oświadczeniu Vincenta wszyscy zamarli. Nikt nie drgnął. Nikt nie wykrztusił słowa.

A po chwili mama podniosła się z kanapy, delikatnie odstawiała filiżankę na stół i, zatopiwszy ręce głęboko we włosach, potykając się, wyszła z pokoju. Vincent spojrział na tatę. Pewnego razu, z okazji Dnia Matki, miesiąc czy dwa po narodzinach Kerry, przynieśli mamie koszyk pełen dzikich róż, a ona wtedy włożyła twarz w te róże i płakała, płakała, a gdy Vincent zapytał tatę, dlaczego mama tak płacze, tata powiedział mu: - Mama jest szczęśliwa, Vincencie. Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale dorośli czasami płaczą ze szczęścia.

Czy teraz też była taka szczęśliwa?

Babcia Rosie położyła głowę na ramieniu cioci Tree. Dziadek Angelo wstał i, pobrzękując kluczykami od samochodu, oznajmił, że przejedzie się do restauracji, by przywitać się z Augiem. Tata natomiast wziął Vincenta na ręce, mówiąc:

- Czas do łóżka, Śpiące Oko. Do Bożego Narodzenia pozostało już tylko parę dni. Musisz wypocząć.

Vincent usilnie starał się wyrwać z objęć ojca. Czemu wszyscy się na niego wkurzali? Czy uważali, że uczynił podle, prosząc o własnego brata? Po raz pierwszy od dłuższego czasu Vincent cieszył się, że już idzie spać, ale przedtem koniecznie chciał włączyć magnetofon.

- Tatusiu, chciałbym jeszcze obejrzeć tę wielką paczkę - skłamał szybko.

Gdy już razem znaleźli się w pokoju na górze, a tata położył Vincenta na łóżku Bena i zaśpiewał mu parę zwrotek z piosenki o Davym Crockettcie, Vincent zapytał:

- Czy pamiętasz, jak ten jeden raz walnąłem Bena po głowie, dlatego że mnie ugryzł?

- Tak. Zabrałem wtedy Bena do naszego pokoju na noc, żeby was rozdzielić.

- A tak naprawdę to była jego wina.

- No wiesz, jednak go uderzyłeś.

- Całkiem lekko. A on ugryzł mnie bardzo, bardzo mocno.

- Wtedy lubił gryźć. Szybko z tego wyrósł.

- Aha - odparł Vincent. - Ale chciałbym, żebyś wiedział, tatusiu, że ja mu to wybaczam.

- Świetnie - powiedział tata. - Cieszę się. A teraz już postaraj się zasnąć. Popatrz, bliźniaczki już dawno śpią. Są dwiema grzecznymi dziewczynkami, a nie małymi podstępными małpeczkami, buszującymi po nocy. Nie waż się ich obudzić. - Tata pocałował Vincenta na dobranoc, mówiąc: - Kocham cię.

- A gdzie mama? - spytał Vincent.

- W swoim pokoju.

- Czy jest chora?

- Aha. Tak, jest trochę chora. Vincent, wiesz przecież, że dorośli też się czasami kłócą. Rano wszystko będzie dobrze.

Ale tak naprawdę rano było jeszcze gorzej - nikt już nie mówił podniesionym głosem, ale wszyscy byli obrzydliwie uprzejmi. Dobrze, że chociaż magnetofon zadziałał, jak należy. Usłyszał na taśmie tatę, mówiącego do cioci Tree: -... niewyobrażalny stres. A nie odbiera, bo boi się, że albo to policja z zawiadomieniem o kolejnych znalezionych zwłokach, albo jakiś szaleniec, próbujący oskarżać ją o zabicie Bena.

- Rozumiem, Paddy, ale tak czy owak ona potrzebuje fachowej pomocy. Bezwzględnie potrzebna jej pomoc profesjonalisty.

- Być może - odparł tata. - Tak, masz rację.

A potem mówili coś o tym, że Monika utknęła w martwym punkcie, i o różnych innych rzeczach, które zupełnie nie interesowały Vincenta.

Ale profesjonalna pomoc? Vincent uznał, że to pomysł super. Miał nadzieję, że tata rzeczywiście zgodzi się na podobne rozwiązanie. No bo gdyby mama miała fachowego pomocnika, kogoś, kto pomaga za pieniądze i cały czas siedzi w domu, wówczas mama musiałaby codziennie się myć i wkładać czyste ubranie - już pomocnik by ją odpowiednio przypilnował. Mama musiałaby też częściej zmieniać pieluszki Kerry

i mała nie łąziłaby dłużej po domu z mokrą plamą na śpioszkach, aż do powrotu Jill ze szkoły. Vincent nie potrafił jej sam przewinać - Kerry była dla niego za śliska i za ruchliwa. Kiedyś próbował, ale ona wywinęła mu się, zaczęła się przewracać po tapczanie, i tak długo się przewracała, aż znalazła się bardzo daleko od Vincenta i przygotowanej pieluszki. W końcu mama musiała to zrobić sama. A gdyby fachowy pomocnik zmusił mamę, żeby się szybciej ruszała i nie wykonywała najdrobniejszej czynności przez całą wieczność, wówczas mama miałaby więcej czasu. Bo, o ile było Vincentowi wiadomo, mama już nie zajmowała się teraz fotografowaniem. Więc może mogliby chodzić razem na spacer. Albo robić specjalne ruchome kompozycje; kiedyś mama lubiła tworzyć je z Vincentem z wieszaków na ubranie i gwiazdek wycinanych z papieru. Vincent pomyślał, że może jest już trochę za duży na podobne zabawy, ale co tam, z mamą chętnie by się bawił, jeśli ona miałaby tylko na to ochotę. No i istniała jeszcze możliwość, że gdyby przez jakiś czas mama robiła różne normalne rzeczy, to może wówczas zdałaby sobie powoli sprawę, że chociaż chwilowo nie ma Bena, to i tak jeszcze zostało jej więcej dzieci, niż się zgubiło. Właściwie aż dwa razy tyle.

Vincent był całkiem przekonany, że on razem z Kerry jest wart co najmniej tyle samo ile jeden Ben. A może nawet tyle co półtora Bena.

Beth

Rozdział 11

Wkrótce po tym, gdy specjalny numer magazynu „People” wylądował na stojakach z prasą, dokładnie siedem miesięcy od dnia porwania Bena, do Madison niespodziewanie zajechała Candy w drodze na konferencję medycyny sądowej w Michigan. Beth w jakiś czas potem zdała sobie sprawę, że Candy specjalnie zboczyła z drogi; ona niewątpliwie rozumiała, co czuła Beth na widok okładki magazynu, z której wyzierał rozsyłany po całym kraju plakat z wizerunkiem Bena, numer telefonu 1-800-BEN, WRÓĆ i wydrukowany małymi literami dramatyczny nagłówek, mający zwabić żądnych sensacji czytelników: „Na oczach całego tłumu: tajemnicze zniknięcie Bena Cappadory”. Tym razem na okładce nie było ani słowa o nieoczekiwanych ciężach gwiazd filmowych czy dietetykach-cudotwórcach. Nic - tylko Ben.

Laurie przyniosła ten numer do domu Beth jeszcze tego samego dnia, gdy się ukazał.

Ale Beth nie zgodziła się z nią rozmawiać, nawet błagania Pata zza zamkniętych drzwi nie odniosły rezultatu. W końcu Laurie powiedziała mu, żeby zostawił ją samą pod drzwiami.

- Beth, posłuchaj - prosiła. - Wiem, że będziesz mnie nienawidzić za ten artykuł. Ale upłynęło już tak wiele czasu, a działania policji prowadzą donikąd. - Beth słyszała, jak Laurie lekko pociera dłońią drzwi, prawdopodobnie tym samym ruchem, jakim zazwyczaj głaskała Beth po plecach. Laurie nie przestawała się tłumaczyć: - To pismo leży we wszystkich poczekalniach lekarskich w każdym zakątku Ameryki, Bethie. Gdy zadzwoniła do mnie ich reporterka, wtedy... zdecydowałam, że udzielę jej wywiadu, mimo że wiedziałam, jak się zapatrujesz na tę sprawę. Ale, wierz mi, Bethie, tak naprawdę należało postąpić. Ko-

cham cię. Kocham Bena. Zawsze sądziłam, że twoja paranoja w odniesieniu do mediów jest... jest pozbawiona uzasadnienia, Beth. Dlatego nawet jeśli już nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz, nie będę żałować, że udzieliłam tego wywiadu. Powinnaś wiedzieć, że Barbara Kel-liher też rozmawiała z tą reporterką. I Wayne. I twoja szwagierka - Teresa. Jeżeli ich też za to zniechęcisz, przykro mi, Beth. Pamiętaj, że ze mną w każdej chwili możesz porozmawiać, gdy tylko poczujesz taką potrzebę. - Beth zdawała sobie sprawę, że Laurie wciąż milcząco czeka pod drzwiami, niczym usilnie wstrzymywany oddech. - No dobrze, Beth. W takim razie - do zobaczenia.

Beth znalazła pismo tuż na progu, kiedy godzinę później wyszła z sypialni. Wzięła je w rękę i usiadła tam, gdzie stała, na podłodze w drzwiach. Przerzucając strony w poszukiwaniu tekstu o Benie, myślała, zupełnie nedorzecznie: „Dlaczego zawsze zagrzebują wiodący artykuł, bez względu na jego treść, gdzieś w środku? Dlaczego, by do niego dotrzeć, trzeba się przedzierać przez wiele rozmaitych historii w rodzaju opowieści o dziewięcioletnim geniuszu, który wymyślił, jak skonstruować komputer, używając części od zegara radiowego, czy o słynnej modelce, która urodziła dwójkę dzieci w ciągu osiemnastu miesięcy, a już po sześciu tygodniach osiągnęła z powrotem swoją nienaganną sylwetkę?”

Beth zdecydowała, że może zdoła przeczytać pierwszy akapit historii o Benie. Pozwoli sobie na to, mimo że gdzieś nad sobą widzi złowieszcze skrzywienie, słyszy trzask przemieszczających się lodowych mas już na sam widok pierwszych stron artykułu, pokrytych fotografiami, które rozpoznaje natychmiast, choć stara się nie patrzeć na nie. Ale przecież większość z nich była jej dziełem: na przykład zdjęcie umieszczone na środku strony, gdzie Kerry - wówczas niemal noworodek - Ben i Vincent mają na głowach czapki Świętego Mikołaja i wszyscy pokazują języki, zrobiła w poprzednie Boże Narodzenie. Albo to, na którym Ben i synek Laurie siedzą na piknikowym stoliku, z buziami pomalowanymi jak twarze clownów. Oryginał tej fotografii, starannie oprawiony, wisiał w salonie Laurie.

Całą stronę tytułową zajmował pierwszy plakat z wizerunkiem Bena. Beth mogła patrzeć na ten plakat dość spokojnie - widziała go tak wiele razy, że nie wzbudzał już w niej żadnych emocji. Nie czuła też dłużej przymusu wbijania paznokci w nadgarstki na widok zawadiacko przekrzywionej czapki baseballowej Bena czy zmarszczki na jego nosie, pojawiającej się w chwili uśmiechu. Gdzieś w dole strony Beth spostrzegła zdjęcie Candy rozmawiającej z dziennikarzami przed wej-

ściem na posterunek w Parkside, ze wzrokiem podniesionym w kierunku obiektywu, wyraźnie zirytowanej na fotografa, a i tak wyglądającej nienagannie, pomimo zaciśniętych szczęk i napiętych mięśni twarzy.

„Okay - pomyślała Beth. - Spróbuję przeczytać jedną linijkę. Może nawet dwie”.
- „Kiedy Beth Cappadora zabierała dzieci na zjazd absolwentów swojej szkoły w piętnastą rocznicę matury, oczekiwała pięknych chwil w gronie starych przyjaciół, a nie początku koszmaru, który boleśnie naruszył jej więzi rodzinne, przyjaźnie i całą tkankę lokalnej społeczności...” Beth z kłaśnięciem zamknęła pismo.

Nie miała wątpliwości, co dalej zawiera ów artykuł: kilka zdjęć w oprawie paru tysięcy słów wartkiej, patetycznej prozy sprawiającej, że po jej przeczytaniu nawet kobiety czekające na mammografię zaczynały dostrzegać, jak wiele łask i szczęścia spłynęło na nie w życiu. Więc wystarczy tej literatury. Trudno, stało się. Artykuł powstał, istniał i Beth przyjęła ten fakt do wiadomości. Koniec, kropka. Po chwili pomyślała z ulgą, że ponieważ nie musi już nigdy więcej wychodzić z domu, nie będzie narażona na pełne współczucia spojrzenia w supermarkecie, na towarzystwo ludzi odwracających oczy ze wstydem w chwili, gdy rozpoznają w niej matkę Bena. Nie zamierza oglądać wymuszonych, bolesciwych uśmiechów nauczycieli ze szkoły Vincenta. To wszystko spadnie na Pata. Ale jego zapewne będzie upajać ludzkie współczucie; Pat - jak zauważyła Beth - rozkoszował się takimi gestami w dokładnie odwrotnej proporcji do obrzydzenia, jakie czuła Beth dla pełnych empatii spojrzeń, liścików czy uścisków dłoni. Natomiast Pat powiedział jej nawet pewnego wieczoru, że podobne przejawy ludzkiego współczucia dodają mu otuchy, że wszystkie listy ze słowami wsparcia i ofertami pomocy, jakich całe naręcza każdego dnia listonosz znosił tuż pod ich drzwiami, bo nie zmieściłyby się w żadnej skrzynce, są dla niego niezwykłym dowodem wrodzonego dobra człowieczej natury. Beth przypuszczała, że Laurie zabiera te wszystkie listy. Zauważyła, że ilekroć Laurie odwiedzała ich dom, patrzyła z irytacją na rosnącą górę korespondencji pod drzwiami, a po kilku dniach od jej wizyty wielkie stosy kopert dramatycznie topniały. Beth nie wiedziała i nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak groteskowa, żałosna była ich przepelniona litością treść.

Jeżeli Beth miała złe dni, wówczas po uśnięciu Kerry przy butelce mleka brała kąpiel. Siedziała w wannie tak długo, aż woda zupełnie ostygła i pokryła się kłaczkami strąconego mydła, wpatrując się bezmyślnie w swoje kredowobiale, wychudzone ramiona i nogi unoszące

się bezwładnie pod powierzchnią wody. Kiedy wychodziła z kąpieli, zazwyczaj było już po czwartej i, jeżeli akurat nie wypadał dzień wieczornych zajęć, Jill kręciła się po domu i wkrótce szła odebrać Vincenta od Shore'ow. Od tej chwili Beth czekała jedynie na zmierzch. Szczęśliwie o tej porze roku szybko zapadały ciemności, a przecież gdy świat spowijał mrok, każdy normalny człowiek mógł już się położyć do łóżka. Łóżko dostarczało teraz Beth niemal erotycznych doznań, więc koniec dnia stanowi! dla niej najpiękniejszą chwilę jej istnienia. Wieczory, kiedy Jill uczęszczała na zajęcia, były dla niej nie do zniesienia. Musiała siedzieć na kanapie w salonie, podczas gdy Vincent na głos czytał jakiś rozdział ze swoich podręczników szkolnych lub recytował pisownię nieskończonej liczby wyrazów. Wiedziała, że powinna się podnieść i wytłumaczyć Vincentowi, że nie da się efektywnie odrabiać pracy domowej przed rozkręconym telewizorem, ale jakoś nigdy nie zdołała się na to zdobyć. Po pewnym czasie Vincent wstawał, całował ją delikatnie i szedł spać.

Od tego momentu Beth musiała jeszcze przesiedzieć na dole jedynie piętnaście minut, które zazwyczaj spędzała, obserwując Paula Cra-ne'a, sąsiada z naprzeciwka, ćwiczącego uderzenia golfowe na ściętym szronem trawniku w świetle garażowej lampy. Po tych piętnastu minutach, które uznała za przyzwoity odstęp czasu, biegła po schodach na górę. Vincent już leżał w łóżku. Beth nawet zaglądała do niego, zaskakując powieki, by nie patrzeć na łóżko, zajmowane teraz przez Vincenta, i mówiła: - Dobranoc, kochanie. - Ale Vincent nigdy jej nie odpowiadał. Na szczęście zawsze szybko zasypiał.

W swoje dobre dni Beth czasami schodziła do pracowni i zabierała się za wyrzucanie różnych rzeczy. Napelniała plastikowe worki przypadkowymi zdjęciami, starymi negatywami i kontraktami, wycinkami prasowymi z jej pracami, pokazówkami i numerami telefonów, z których już nigdy nie zamierzała skorzystać. Lubiła to uczucie odzierania się z dawnego życia, sprawiało wrażenie, że nie ciąży na niej żadne zobowiązania - co dzień musi jedynie dotrwać do wieczora. Pewnego popołudnia Pat zauważył, jak chciała wyrzucić swój rolodex, i zdecydowanie ją od tego powstrzymał. Beth nie sprzeciwiała się - wyrzuci go innego popołudnia, gdy Pat będzie w restauracji.

Przez moment przyszło jej na myśl, że powinna całkowicie opróżnić swoją ciemnię, ale w końcu doszła do wniosku, że nie udałoby się jej pozbyć niepostrzeżenie większych elementów wyposażenia, takich jak kuwety i zlewy. Pat na pewno by to zauważył. Po nocach Beth w myślach robiła dokładny przegląd swojej sypialni i zastanawiała się, co też

mogłaby jeszcze wyrzucić ze swojego pokoju. Może buty? Miała ich zdecydowanie za wiele.

Tego popołudnia, gdy Candy zjawiła się na ganku, Beth miała jeden ze swoich dobrych dni. Zdażyła już wziąć prysznic i własnoręcznie nakarmić Kerry owsianką. Wpuściła Candy i uściskała ją na powitanie. Nie rozumiała jednak, czemu Candy przytrzymała ją na długość ramienia i lustrowała od stóp do głów z dziwnym wyrazem twarzy.

- Beth, masz na sobie strasznie śmieszne ciuchy - oznajmiła w końcu Candy.

Beth spytała ją, czy chce kawy, a gdy Candy odparła, że jasne, oczywiście, Beth poszła do kuchni i zaczęła starannie odmierzać kawę łyżeczkami. Laurie zawsze twierdziła, że dokładnie odmierzona kawa ma dużo lepszy smak.

- Czy słyszałaś, co przed chwilą mówiłam? - spytała Candy i, trzymając zasypiającą Kerry na ręku, zasiadła przy kuchennym stole obok Beth.

- Pewnie - odpowiedziała Beth, usilnie próbując przypomnieć sobie jej słowa.

- Masz na sobie coś, co wygląda bardzo dziwacznie. - A przecież Beth nosiła tego dnia zwykle wełniane spodnie. Kupiła je jeszcze w latach siedemdziesiątych, a niedawno odkryła w szafie w czasie jednego ze swoich frenetycznych napadów porządków. Beth nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ostatnio schudła.

Przymierzyła swoje stare spodnie, jeszcze sprzed ery macierzyństwa, pod wpływem impulsu. Miały bardzo szerokie nogawki, rzędy ekscentrycznych, wymyślnie zawijanych pasków wokół talii i były na nią prawie jak ulał. Beth znalazła trzy takie pary i teraz nosiła je regularnie do którejś ze swoich dresowych bluz lub starych koszul Pata.

- Schudłam ostatnio - powiedziała do Candy. - A te spodnie są w sam raz do prac domowych.

- A co z innym rodzajem pracy?

- Ja... uhm... postanowiłam wycofać się z zawodu - odparła Beth. - Nie byłabym w stanie... no wiesz. Zajmowałam się fotografią prasową, teraz nie dałabym rady wykonywać tej pracy, Candy. Nie zdołałabym już fotografować ludzi... obawiam się, że nie byłabym w stanie sfotografować nawet... margaryny.

- Ale może znów zechcesz wrócić do swojego zajęcia... no wiesz, za jakiś czas - powiedziała Candy. - Nie sądzisz? Przecież całe życie zajmowałaś się tą pracą, prawda?

Beth potaknęła.

- Tak właśnie myślałam - odparła Candy, a potem zaczęła opowie-

dać o konferencji, na którą się właśnie wybierała. Organizowano ją w nowym centrum, wybudowanym na zachodnich obrzeżach miasta. Candy jednak nie zamierzała tam zamieszkać. - Wynajmę pokój w „Embassy”. Jest tańszy. - Ale Beth powiedziała jej, że skąd, absolutnie niech tego nie robi. Musi zatrzymać się w ich domu, nie sprawi najmniejszego kłopotu. Candy uśmiechnęła się: - Naprawdę? Zostanę tu z przyjemnością. - Po czym dalej opowiadała o konferencji, która miała być poświęcona tworzeniu psychologicznego profilu przestępców. - To teraz szalenie modne - stwierdziła Candy. - Zapewne dowiem się, że przeciętny kryminalista ma od dwudziestu do czterdziestu lat, jest średniego wzrostu, biały lub czarny, w dzieciństwie pił mleko, miał drobne problemy z alkoholem w college'u i matkę, która truła mu, żeby ćwiczył grę na pianinie.

- Mam wrażenie, że kiedyś chodziłam z takim facetem - powiedziała Beth.

- A ja mam wrażenie, że takim facetem jest mój brat - odpowiedziała Candy. - Według mnie to tylko stek bzdur. Nie wierzę, że procentowo przybywa nam przestępców. Myślę, że teraz po prostu jest więcej ludzi. Więcej ludzi, dla których jest coraz mniej przestrzeni i coraz mniej pieniędzy.

Candy ani słowem nie wspominała o Benie. To znaczy, że nie miała nic nowego do powiedzenia. Beth nauczyła się nie zadawać jej pytań. Wiedziała, że gdyby w tej sprawie pojawił się jakikolwiek szczegół, pozornie nawet nic nie znaczący, Candy natychmiast by ją poinformowała. Z drugiej strony Beth zdawała sobie sprawę, że zniknięcie Bena nie zaprzęta już tak bardzo uwagi policji. Była tego w pełni świadoma.

- Czy widziałas artykuł w „People” w ubiegłym tygodniu? - zapytała naraz.

- Prawdę powiedziawszy, łudziłam się, że ty go nie widziałas - odpowiedziała jej Candy. - Chociaż w rzeczywistości, Beth, mimo że na ogół gardzę dziennikarskimi pijawkami, tym razem jednak uważam, że dobrze się stało. Taki artykuł to bezpłatne ogłoszenie. Znajdzie się w wielu gabinetach lekarskich. A wiesz, przecież wcześniej czy później każde dziecko trafia do lekarza. W ten sposób może wpadniemy na ślad Bena. Dobrze byłoby również, gdyby przypadek Bena pokazano w jednym z programów dokumentalnych. - Candy urwała, bawiąc się filiżanką, kręcąc resztkami zimnej kawy. - Jednak w takim wypadku albo ty, albo Pat musielibycie wystąpić przed kamerami.

- Nigdy - odpowiedziała z uśmiechem Beth.

- „Nigdy” na występ twój czy na występ Pata?

- Nie jestem jego matką. Może sobie robić, co chce.
- A więc to tak mają się sprawy?
- Chciałabym powiedzieć, że nie obchodzi mnie, z kim gada Pat. Chociaż ostatnio chyba stracił ochotę na wynurzenia.

- Może czuje, że ty tego nie aprobujesz?

- Może.

- Beth - odezwała się po chwili Candy, machając jednocześnie ręką na powitanie Jill, której zaraz oddała maleństwo. Kerry, już rozbudzona, kopała w zachwycie nóżkami, wykrzykując: „Yoo, yoo”, i gaworząc radośnie na widok Jill. - Czy masz pieniądze?

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Nie, chciałabym wiedzieć, czy masz w tej chwili jakąś gotówkę w domu. Pomyślałam, że mogłybyśmy wybrać się na zakupy.

Beth wybuchnęła śmiechem. Tak niepoohamowanym, że z przestraszeniem pomyślała o brązowych sznureczkach wypitej niedawno kawy, które za chwilę mogą wyprysnąć z jej gardła. Usiłowała więc jakoś się powstrzymać, odzyskać kontrolę nad własnymi odruchami. Od kilku miesięcy byle co potrafiło wywołać istną burzę w jej żołądku.

- Candy - w końcu wysapała - a cóż ja miałabym kupować?

- Myślałam o jakimś ubraniu.

- Nie chcę żadnego ubrania.

- Czy nie mogłabyś zrobić tego dla mnie? -Nie.

- To nie było uprzejme z twojej strony. Może ja chciałabym coś wybrać dla siebie.

- Candy, mieszkasz w Chicago. Tam kupisz o wiele bardziej eleganckie rzeczy niż tu, w Madison. A poza tym ty i tak zawsze wkładasz to samo. Beżowe marynarki dostaniesz wszędzie.

- Nieprawda, Beth. Mogę się poszczycić bardzo zróżnicowaną garderobą. Mam mnóstwo ciuchów ze skóry nabijanej ćwiekami. Kilka kreacji ze złotej lamy. A teraz chcę iść na zakupy. Jilly - zawołała Candy w głąb salonu - gdzie tu jest jakieś dobre centrum handlowe?

Jill, przewijająca właśnie maleństwo, krzyknęła w odpowiedzi:

- „West Towne”, są tam ciuchy w stylu The Limited.

- Świetnie - stwierdziła Candy, podnosząc się z krzesła. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do domu wpadł Vincent. Ku wielkiemu zdziwieniu Beth rzucił się Candy w ramiona i przywarł do niej z całych sił. Gdy Candy podniosła go - bez najmniejszego wysiłku pomimo swojej kruchoj budowy - Vincent oplótł ją mocno nogami.

- Czy przywiozłaś Bena? - dopytywał się Vincent.

- Jeszcze nie, kolego. - Candy wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać. - Przykro mi. Ale obiecuję ci, że nie przestanę szukać Bena, dopóki go nie znajdę. A tobie, Vincent, jak teraz leci w szkole? Grasz w koszykówkę?

Vincent prześlizgnął się wzrokiem ponad ramieniem Candy i spojrzał na matkę.

- Tej zimy nie jestem w drużynie.

- Och, masz na to jeszcze dużo czasu. Ale posłuchaj, Vincent, może pomógłbyś mi rozwiązać pewien poważny problem?

- A co?

- Widzisz, zamierzam zabrać twoją mamę na zakupy i potrzebuję kogoś do pilnowania mojej odznaki w tym czasie. - Wyjęła z kieszeni skórzane etui ze swoim znakiem identyfikacyjnym w środku. - To odznaka detektywa. Jest bardzo cenna. - Candy mrugnęła nieznacznie w stronę Beth. - Po pierwsze, zrobiono ją z prawdziwego złota. Poza tym drzemią w niej specjalne moce. Czy nie przychodzi ci do głowy jakaś szczególna osoba, która mogłaby jej dla mnie popilnować, strzec, nawet za cenę własnego życia, gdy ja będę robić zakupy?

Vincent zniżył głos do szeptu:

- Myślę, że ja mógłbym to zrobić.

- Nooo, nie wiem - Candy udawała, że cofa się o krok. - Doprawdy nie wiem, Vincent. Ty oczywiście jesteś mądrym chłopcem i w ogóle, ale masz zaledwie - ile? - osiem lat? Tego typu odpowiedzialnością normalnie nie obarczyłabym nawet - bo ja wiem? - dwunastoletniego dziecka. Swoją odznakę mogę powierzyć jedynie osobie, na której zawsze można polegać.

- Na mnie można - zapewnia! ją Vincent. - Zapytaj Jill. Już nawet sam sobie ściele łóżko.

- Co myślisz, Jill?

- Myślę, że nasz żołnierz powinien sprostać temu zadaniu - odparła Jill. - Ale nie wolno ci zabierać jej do Aleksa ani w ogóle wnosić z domu, ważniaku.

- A czy mogę go zaprosić do siebie i pokazać odznakę? Candy namyślała się chwilę, stukając lekko palcami po zębach.

- A czy temu... Aleksowi można zaufać?

- Jest moim najlepszym przyjacielem - zwierzył się jej Vincent.

- Cóż, w takim wypadku - zgoda. Chociaż to wbrew regulaminowi. No ale, wyjątkowo, niech będzie. - Candy odwróciła się w stronę Beth: -Jeżeli nie masz gotówki, to może masz jakieś karty kredytowe?

- Jasne, że ma - wykrzyknęła Jill. - Są w kopercie przyklejonej ta-

śmą do lodówki. Chociaż już pewnie nikt nie rozpozna jej podpisu, wszędzie znają tylko mój. Teraz ja jestem Beth Cappadora.

- Ale nie dziś - odparła Candy, chowając w dłoni jedną z kart. - Beth, czy chciałabyś włożyć na siebie coś... Och, to właściwie nie ma znaczenia. Chodź. Idziemy.

Światło odbijające się od śniegu bezlitośnie kłuło Beth w oczy. Jej niegdyś dopasowany, wysłużony płaszcz wydawał się teraz niewygodny i za obszerny. Od jesieni nie wychodziła z domu dalej niż do skrzynki listowej. Nawet kołysanie samochodu było teraz dla niej niemal nowym doznaniem, odczuciem jedynie mgliście znajomym.

- Zimno dziś - odezwała się w końcu.

- Mamy styczeń, Beth - usłyszała w odpowiedzi. - W styczniu zazwyczaj jest zimno.

- Wiesz, ja... ostatnio nieczęsto wychodziłam z domu.

- Właśnie widzę.

Na widok tłumów kłębiących się w centrum handlowym - „Czy ludzie nie wiedzą, że już po świętach Bożego Narodzenia? Co oni tak kupują, wciąż i bez opamiętania, jakby dane było im trwać wiecznie?” - Beth miała ochotę błagać Candy o litość. Ci, co czytają „People”, mogą rozpoznać jej twarz. „Czy opublikowano jej zdjęcie w »People«? Z całą pewnością publikowano je przy okazji innych artykułów”. Ludzie na pewno ją zapamiętali. Będą się gapić.

- No nie wiem, Candy - Beth, niesłuchanie niespokojna, usiłowała przybrać lekko znudzony ton głosu. - Tutaj są takie tłumy.

- Pójdziemy tylko do jednego sklepu. Tyle, że jeszcze nie wiem, do którego. Więc trzymaj się blisko mnie.

Ostatecznie wylądowały w miejscu o nazwie „Świat Bawełny”.

- Lubię bawełnę - oznajmiła Candy. - Nigdy się nie gniecie, a jeżeli włożysz kilka bawełnianych rzeczy, jedną na drugą, będzie ci równie ciepło jak w wełnie. Kilka warstw naraz. Oto cała tajemnica.

Beth oszołomiły rezultaty: Candy okazała się równie niezawodna w doborze garderoby jak w sztuce makijażu owego strasznego wieczoru. Po długim, dokładnym przestudiowaniu twarzy Beth w bezlitosnym, jarzeniowym świetle padającym spod sufitu, Candy zawyrokowała:

- Dymne fiolety. Piaskowe beże. Szarości. Czysty błękit. Może odrobina czerwieni. - A potem przyniosła naręcza spódnic, tunik, kamizelek i pasków, swetrów i żakietów, które zaczęła drapować wokół Beth tkwiącej w jednym z przejść między półkami, nieruchomej i niemej niczym manekin.

Po czterdziestu minutach Candy wypełniła po brzegi cztery torby, a Beth z rezygnacją zapłaciła za wszystko swoją kartą. W drodze do domu Candy powiedziała:

- A teraz posłuchaj. Każdą z tych rzeczy możesz nosić z jakąkolwiek inną, którą dziś kupiliśmy. Więc jeżeli coś już zabrudzisz, po prostu zdejmij to, wyciągnij następną rzecz i załóż. Wszystkie z nich pasują do siebie nawzajem, dobrałam nawet paski. A do każdego stroju możesz wkładać czarne buty - płaskie lub na obcasie. Masz chyba czarne buty, no nie?

- Aha.

- Więc w ogóle nie będziesz musiała teraz zastanawiać się nad swoim ubraniem. Wystarczy, że wyjmiesz pierwszą lepszą rzecz z brzegu i na siebie włożysz. Rozumiesz? Gdy tylko przyjedziemy do domu, powieszę je wszystkie w szafie, w jednym miejscu, obok siebie, a potem weźmiemy te twoje dyskotekowe portki i... rozpalimy z nich wielkie ognisko czy coś w tym rodzaju. Zgoda?

- Zgoda - odparła Beth.

Jednak ubrania pozostały nietknięte w szafie, wciąż jeszcze obwieszone metkami, gdy dwa miesiące później w domu Beth zjawiała się Laurie. Przez cały czas wydzwaniała wielokrotnie, coraz bardziej przygnębiona postawą Beth i przepełniona żalem. Tego wieczoru Pat właśnie szykował się do wyjścia do restauracji i Beth, siedząc na górze w łóżku, usłyszała, jak Laurie zadaje mu pytanie:

- Wciąż nie chce ze mną rozmawiać, prawda?

- Myślę, że tym razem zechce - odpowiedział jej Pat. Po przytłumionym głosie Pata Beth poznała, że uściskał Laurie na powitanie. - Wydaje mi się, że już jej przeszło. Wiesz, Barbara Kelliher dzwoniła co najmniej milion razy i opowiadała Beth, jak nieprawdopodobny oddźwięk wywołał ów artykuł i że już pięć razy musiała dodrukowywać plakaty Bena. Myślę, że Beth wreszcie zrozumiała.

- A ja myślę, że nienawidzi mnie z całego serca - odpowiedziała Laurie. Jednak po chwili Beth usłyszała jej szybkie kroki na schodach; Laurie w każdej sytuacji była pełna życia i energii.

- Cześć - powiedziała, wchodząc do pokoju.

- Cześć - odparła Beth.

- Co robisz?

- Leczę raka - odpowiedziała Beth. - Właśnie skończyłam testy.

- Och, no dobrze - zaczęła Laurie, przysiadając obok Beth na łóżku. - Słuchaj, wybacz mi, proszę. Czy możemy o tym zapomnieć? Wiem, że w tej sprawie nigdy nie dojdziemy do porozumienia, Bethie,

ale przecież przyjaźnimy się już co najmniej tysiąc lat i dobrze wiesz -przyznaj sama - dobrze wiesz, że nigdy, przenigdy świadomie nie zrobiłabym nic, by cię zranić.

- Wiem.

- To świetnie, bo zamierzam cię o coś prosić. „Trzeba mieć tupet” - pomyślała Beth, ale zapytała:

- O co chodzi?

- Chciałabym, żebyś zrobiła zdjęcie.

- Już nie zajmuję się fotografowaniem.

- Tylko ten jeden, jedyny raz, proszę cię. Zarobisz mnóstwo szmalu. Mnóstwo.

- Ile? - zapytał Pat, wchodząc do pokoju.

- Ja już się tym nie zajmuję - utrzymywała Beth.

- Nie będziesz musiała wychodzić z domu. Oni przyjdą tutaj.

- Już tego nie robię.

- Jednak wysłuchaj mnie, proszę. - Okazało się, że chodzi o wykonanie zdjęcia do zawiadomienia ślubnego, a problem polegał na tym, że panna młoda - córka jednego z klientów męża Laurie, Ricka - nie mogła pójść do publicznego studia fotograficznego.

- A czemu to? Coś z nią nie w porządku?

- Nie, nic. Poza tym... że jest w zaawansowanej ciąży.

- Wielka mi rzecz.

- Wiesz, Beth, cała jej rodzina to imigranci z Chin. Dla nich to jest wielka rzecz. Ta dziewczyna jest bardzo skromna i wstydliva.

- Szkoda, że zapomniała o swoim wstydzie i skromności w tej najważniejszej chwili - odparowała Beth i natychmiast poczuła się jak przyczajona w mrocznej dziurze, przepelniona jadem stara pajęczycy, co wcale nie sprawiło jej przyjemności.

Laurie westchnęła głęboko.

- W każdym razie i jej matka, i ojciec są bardzo skromnymi, a na dodatek niezwykle bogatymi ludźmi. Więc powiedziałam im, że znam kogoś, kto mógłby wykonać zdjęcia w swoim prywatnym studiu i na dodatek sprawić, że dziewczyna wyglądałaby... normalnie. Że znam prawdziwego mistrza. Ciebie.

- Przecież mogłabyś to zrobić, Bethie - wtrącił Pat. - Nawet nie będziesz musiała wychodzić z domu.

- Doprawdy? Chcesz, żebym ja fotografowała ciężarną kobietę? Ja?

- w głosie Beth brzmiało szyderstwo. - Chyba oszalałeś! - „Och, Pat

- pomyślała - gdyby pieniądze miały usta, już nigdy w życiu byś mnie nie pocałował”.

- Bethie, proszę, tylko ten jeden raz - błagała Laurie. - Pozwól mi okupić swoją winę, wyświadczając ci tę przysługę. Jeżeli bardzo ci się nie spodoba, już więcej nikogo nie przyjmiesz.

- To nie jest przysługa, to podstęp - odparła Beth. - Ale i tak nie ma o czym mówić, bo wyrzuciłam cały papier i wszystkie odczynniki.

- Kupię ci papier. Odnowię zapasy - z entuzjazmem zaoferował Pat. Beth weąchnęła, myśląc z utęsknieniem o swoich niebieskich pigułkach i kołdrze, w którą najchętniej by się teraz zawięła.

- Więc kiedy chcą tu przyjść? - zapytała w końcu z rezygnacją.

To, co się wydarzyło, było zdumiewające. Gdy tylko się pojawili -dziewczyna posepna, chłopak ożywiony, obie matki ze złym błyskiem w oku - Beth ustawiła ich szybko i sprawnie, jakby aranżowała kompozycję z owoców na talerzu, jabłek i pomarańczy w koszyku. A gdy zaczęła już robić zdjęcia, zdała sobie sprawę, że właśnie w taki sposób ich postrzega. Przypomniała sobie, co pewnego razu usłyszała od swojej nauczycielki rysunku, jeszcze w szkole średniej. Było to jedno z owych drobnych, oczywistych spostrzeżeń, które jednak potrafią wywrzeć fundamentalny wpływ na zmianę systemu myślenia. Usłyszała wówczas, że większość ludzi, patrząc na filiżankę stojącą na stole, widzi w niej jedynie płaski przedmiot, i tak ją płasko rysują w przestrzeni. A tymczasem, jak dowiedziała się wtedy Beth, filiżanka pełna jest krzywizn, a jej podstawa jest w rzeczywistości zaokrąglona i tak należy ją rysować.

- Na tym właśnie polega różnica pomiędzy oglądem opartym na racjonalnym myśleniu, a oglądem opartym na wnikliwej obserwacji - powiedziała wówczas nauczycielka.

I teraz, po raz pierwszy w swojej karierze, Beth ujrzała tę parę jako zbiór linii prostych i krzywizn, płaszczyzn i cieni, a nie jako istoty pulsujące emocjami, obarczone określonymi doświadczeniami, istoty wijące się w miłosnym uniesieniu czy spluwające z obrzydzeniem i wstrętem. Patrząc na nich, wyłączyła zupełnie swój umysł, kierowała się jedynie zimnym okiem fotografika. Oświetliła ich tak, jakby oświetliła statuy, jak w rzeczywistości oświetlała pomniki i obiekty architektoniczne.

Portrety, które powstały w rezultacie tej pracy, były niezwykle. Bardzo, bardzo bogaty ojciec panny młodej wręczył jej za nie tysiąc dolarów. Wkrótce Laurie znalazła kolejnych klientów, chętnych do sfotografowania się w kryjówce Beth, a późną wiosną Beth odważyła się

wyjść na świat, by już w innym otoczeniu portretować ludzi, traktując ich niezmiennie jak przedmioty. Wszystkie jej prace stały się obiektem zachwytów - początkowo jedynie osób zainteresowanych, a później również rozmaitych edytorów i wydawców. Podkreślano w nich niezwykłą wrażliwość i humanistyczne podejście artysty. Po pewnym czasie Beth zgodziła się nawet fotografować dzieci - ostatecznie one też były tylko jabłkami i pomarańczami w koszyku, tyle że mniejszymi.

Kiedy Beth po raz pierwszy musiała wyjść z domu w celu zrealizowania zamówienia, wyciągnęła z szafy spódnicę w kolorze głębokiej lawendy i czerwoną tunikę, którą przewiązała czarnym szalem. Włożyła czarne buty. Wyglądała bardzo szczupło, nieco ekscentrycznie, spokojnie i... całkiem dobrze. Zanim nadeszło lato, Beth, patrząc na swoją dynamicznie rozwijającą się karierę, zdała sobie sprawę, że dzięki sztuczkom Candy i uporowi Laurie znalazła wreszcie klucz do przetrwania. Miała czym wypełnić godziny, oddawała się produktywnemu działaniu, nie angażując przy tym ani swoich emocji, ani myśli - nie musiała nawet zastanawiać się, czy na pewno pasek, który włożyła, pasuje jej do butów. Gdy pierwsza partia ubrań, które wybrała dla niej Candy, wylądowała w brudach, Beth wysłała Jill do „Świata Bawełny” po nowe odcienie i wzory. System działał idealnie.

Beth w końcu znalazła dla siebie niszę, którą od biedy mogła nazwać życiem.

Vincent

Rozdział 12

Październik 1987

Nawet mama nie miała pojęcia, do czego służy drewniana, kwadratowa wnęka wbudowana w ścianę na podeście schodów. Powiedziała mu jednak, że kiedy ona i tata byli jeszcze dziećmi, ludzie lubili trzymać telefony w różnych dziwnych miejscach, we wszystkich pomieszczeniach.

- Nasz dom zbudowano najprawdopodobniej w latach sześćdziesiątych. Może ta wnęka służyła właśnie do tego celu.

- Po co komuś telefon na środku schodów? - skwapliwie zapytał Vincent. Ale mama już na niego nie patrzyła. Jej wzrok prześlizgiwał się gdzieś ponad jego ramieniem i, jak zawsze gdy tak robiła, Vincent odruchowo odwrócił się, by zobaczyć, kogo ona wypatruje za jego plecami. Ale nigdy nikogo nie zauważył.

Babcia Rosie powiedziała Vincentowi, że według niej ludzie, którzy mieszkali w tym domu przed nimi, byli dobrymi katolikami.

- Zapewne trzymali tutaj figurę Matki Boskiej albo świętego Antoniego - oznajmiła mu w czasie wigilii Bożego Narodzenia gdy, idąc na górę po schodach, zauważyła Vincenta przycupniętego w drewnianej niszy. - I z pewnością nie jest to miejsce dla małych chłopców - stwierdziła autorytatywnie. - Jeżeli będziesz tu siedział całą noc, Święty Mikołaj ominie twój dom i nie dostaniesz żadnych prezentów. - A potem energicznie chwyciła go za rękę i zaprowadziła z powrotem do łóżka.

Maleństwo, które już teraz umiało mówić, nazywało niszę „domkiem maleństwa”. Kerry wkładała tam swoje lalki, plastikowe wafle do zabawy i butelkę z niby-syropem, która wyglądała tak, jakby syrop naprawdę przelewał się w środku, po czym bawiła się w sklep.

Kerry udawała ekspedientkę, a Vincent musiał udawać jej klienta. Można tam też było usiąść, trzeba było tylko zwinąć się w kłębek. Vincent wyobrażał sobie, że tak właśnie czują się myszki w swoich norkach. Gdy usiadł w niszy, widział dokładnie jeden róg kuchni - ten ze zlewozmywakiem i ekspresem do kawy. A jeżeli akurat nie była włączona zmywarka do naczyń, wówczas słyszał każde słowo wypowiedziane na dole.

I w taki właśnie sposób dowiedział się, jak to jego mama zamierza zabić jego tatę.

Najpierw tata położył rękę na piersi mamy i objął jeden z jej cycków. Tata często tak robił. Vincent był pewien, że w ten sposób tata próbował okazać mamie, że ją lubi - zupełnie jak dziadek Bill, gdy podchodzi! i mierzwi! Vincentowi włosy. Vincent nie znosił, jak ktokolwiek wicherzył mu włosy - najbardziej lubił, gdy leżały gładko na głowie, starannie przyczesane i puszyste - ale wiedział, że jeżeli chodzi o dziadka Billa, to czochranie włosów było dla niego równoznaczne z przytulaniem. I tylko dlatego to tolerował. Z mamy cyckiem sprawa miała się podobnie. I mama również nie lubiła tego tak samo, jak Vincent nie lubił mierzwienia włosów. Odepchnęła więc rękę taty. A potem tata ją pocałował. Mama się uśmiechnęła, ale cały czas wpatrywała się uważnie w zlewozmywak, tak uważnie, jakby zgubiła tam szkło kontaktowe.

- Bethie, kochanie - odezwał się tata. - Musimy porozmawiać.

- Mam odbitki do zrobienia - odpowiedziała mama. - 1 cztery rozmowy telefoniczne do wykonania. A poza tym muszę wyprawić Vin-centa do szkoły.

- On jeszcze nie wstał.

„Cha, cha, skucha, tato” - pomyślał Vincent.

- Więc już czas najwyższy, by wstał.

Tata westchnął. To było bardzo głębokie westchnienie, takie, które miało sprowokować mamę, żeby się w końcu odwróciła i zapytała:

- No dobrze, o co chodzi?

Ale mama wcale się nie odwróciła, tylko wciąż grzebała w zlewie. Tata spróbował jeszcze raz.

- Beth, ojciec czeka na moją odpowiedź. Prosił, bym poważnie się nad tym zastanowił! i w ciągu roku podjął decyzję.

- Więc podejmij decyzję w ciągu roku - odparła mama.

- Beth, jakkolwiek by było, to właśnie w tym celu wkładałem w swoją pracę tak wiele serca...

- Pat, już to słyszałam wiele razy...

- Te wszystkie lata, które spędziłem w restauracji Augiego, a przedtem jeszcze w garmazu ojca, pakując sałatki do kartonowych pojemników...

- Pat, już wiele razy wałkowaliśmy ten temat. - „Uważaj, tatusiu -pomyślał Vincent. - Strzeż się tego głosu, takim głosem mama mówi tuż przedtem, zanim wbija człowiekowi palce w ramię tak mocno, jak ostre szpony”. Ale tata był całkiem cwany. Podszedł do mamy, objął ją i pocałował. A mama mu na to pozwoliła.

- Buzi, buzi, buzi - powiedział tata łagodnym tonem, niemal takim samym, jakim zwracał się do dzieci. - Beth, czemu my się tak rzadko pieprzymy?

Vincent już kilka razy słyszał, jak tata używa słowa na p..., ale jeszcze nigdy nie mówił tego takim miłym tonem. Vincent wychylił się teraz z wnęki; żadne z rodziców nie spoglądało w górę, więc na pewno go nie zauważą.

- Pat - powiedziała mama - muszę obudzić maleństwo... - Kerry nie była już maleństwem, wkrótce miała skończyć dwa lata, jednak wszyscy wciąż ją tak nazywali.

- Jeszcze masz czas - odparł tata.

- Dobrze. Idź więc na górę, weź mój kapturek, napełnij go galaretką plemnikobójczą, a potem... zobaczmy... zostanie nam około ośmiu minut do czasu, aż będę musiała wpakować śniadanie w Vincenta i wsadzić go do autobusu... Chcesz to robić w tym miejscu? I czy mogę jednocześnie zająć się grzankami?

- Dawno nie słyszałem czegoś równie obrzydliwego, Beth. Jakbym włożył na ciebie co pięć minut. A przecież ostatnio częściej płacimy rachunki za wodę, niż idziemy razem do łóżka.

- I to podobno ja mówię obrzydliwe rzeczy?

- A tak poza tym, zupełnie nie rozumiem, dlaczego za każdym cholernym razem potrzebny ci ten kapturek z galaretką.

- Bo za każdym cholernym razem nie mam zamiaru zachodzić w ciążę.

- Beth, to kolejna sprawa...

Mama Vincenta zamilkła. Jednak tata nie odebrał należycie sygnału i nie przestawał mówić:

- Bethie, to już ponad rok. Oboje wiemy, że Ben...

- A co on ma z tym wspólnego?

- Jezus, Beth. Czy już w ogóle cię nie obchodzą moje uczucia? Ja też cierpię. - Tata skierował się w stronę holu; Vincent skurczył się i przywarł do drewnianych ścianek niszy. - Bethie, posłuchaj, swego

czasu byłem facetem z trójką dzieci. Wiesz, każdy uważał, że mi kompletnie odbiło. Trójka dzieci? Kiedyś nasz dom przepelniały ich krzyki. Czasami w porze lunchu miałem jedynie ochotę wybiec na ulicę...

Mama przemknęła przez hol na parterze tak szybko, że Vincent ledwo ją zobaczył. Otworzyła frontowe drzwi. Teraz często tak robiła -otwierała frontowe drzwi i wpuszczała do domu dużo świeżego powietrza, nawet jeżeli na dworze było zimno. A sama po prostu stała w progu i robiła głębokie wdechy i powolne wydechy.

- Pat, ja nie chcę następnego dziecka.

- Obiecałaś, że się nad tym zastanowisz.

- I właśnie się zastanowiłam. Ilekroć myślę, że w środku mnie miałyby się rozwijać kolejne dziecko i że mógłby to być chłopiec... - Głos mamy brzmiał nieco dziwnie, jakby utkwiała jej w gardle kulka z chleba. - Pat, to by niczego nie zmieniło. Czy nie rozumiesz? Oczywiście poza tym, że znów byłbyś ojcem trójki dzieci.

- Beth, przecież nie w tym rzecz. Nie rób ze mnie idioty.

- Pat, dla ciebie to tylko kwestia cyfry. Tak naprawdę kolejne dziecko byłoby jedynie substytutem. Jakaś pieprzona częścią zamienną. Urodzenie go nie różniłoby się niczym od zakupu nowej sosjerki do kompletu, by zachować całość serwisu.

- Jesteś wredną suką - powiedział tata.

- Tak, Pat - odparła mama. - Jestem wredną suką. Jednak nie zmienia to faktu, że nie zamierzam urodzić jeszcze jednego dziecka i nie zamierzam przenieść się do Chicago, byś ty mógł otworzyć restaurację do spółki ze swoim ojcem. Jeżeli chcesz mieć nowe dziecko i restaurację w Chicago, musisz sobie zafundować nową żonę.

- Czy to naprawdę takie niezwykle, że chcę, byśmy ponownie stali się rodziną? Znów prowadzili normalne życie?

- Pat. Dla nas już nie ma czegoś takiego jak normalne życie. Vincent usłyszał, jak drzwi zatrzasnęły się z hukiem, jednak z jakichś względów był przekonany, że tego nie zrobiła jego mama.

- Czemu nie? Gdybyś się tylko trochę postarała...

- Pat - mama mówiła teraz swoim specjalnym przymilnym głosem, którego na przykład używała wtedy, gdy próbowała przekonać Vincenta, żeby nie otwierał drzwi do ciemni, bo akurat wywołuje zdjęcia. -Czy ty wiesz, co ja czuję?

Tata nie odpowiedział.

- Czy wiesz? Cisza.

- Mam wrażenie, że stoję pod potężnym nawisem skalnym, a mo-

że lodowym - nieważne - i że jeżeli zmienię pozycję choćby o centymetr, te potężne masy zaczną się osuwać, spadną i mnie pogrzebią...

- Och, Beth...

- Naprawdę, Pat. I dlatego nie mam odwagi myśleć o Benie nawet przez jedną pełną minutę. Ani o zjeździe absolwentów. Gdy wyobrażam sobie, że miałabym zamieszkać w Parkside i musiałabym przejeżdżać koło hotelu „Tremont” każdego dnia do końca mojego życia...

- Przecież nie musielibyśmy...

- Pat, słyszę twoje rozmowy z Tree. Twoje rozmowy z Moniką. Znowu wszyscy zamieszkamy obok siebie. Na starych śmieciach. Dzieci będą się bawić pod stołem podczas wieczornych partii pokera. Jak za dawnych, dobrych czasów. Myślisz, że nie wiem, jak bardzo nienawidzi mnie Tree za to, że cię wciąż tutaj trzymam? Z dala od twoich rodziców, którzy tak bardzo cię potrzebują, zwłaszcza teraz, gdy są pogrążeni w żałobie? Sądzisz, że nie widzę, jak mój własny ojciec uważa mnie za idiotkę dlatego, że tkwię w Madison zamiast wrócić do domu, gdzie mógłby się zająć mną Bick, kiedy ja jestem taka niepozbita?

- Więc uważasz, że każdy cię nienawidzi, tak? Nikt nie potrafi pojąć, jak...

- Zrozum, Pat, jeśli przesunę się jedynie o centymetr, ta lawina mnie porwie, pochłonie i wtedy sam będziesz musiał wychowywać nasze dzieci...

- Co i tak teraz praktycznie robię.

- Dobrze. Niech ci będzie. Zgadzam się. To ty w tej rodzinie jesteś ideałem. Pat-opoka, dzielnie znoszący obecność tej biednej, oszalałej kobiety, utrzymujący dwójkę małych dzieci... jak w artykule opublikowanym w „People”, prawda? Bardzo czuleś się wtedy dumny? „Mocnymi, pewnymi ramionami otoczył plecy swojej żony i swojego, jedyne już teraz, syna”. Ależ z ciebie bohater, Pat.

- Ależ z ciebie męczennica, Beth.

- Muszę obudzić Vincenta. - Vincent rzucił się na czworaki, gotów w każdej chwili dać susa na łóżko Bena i zagrzebać się w pościeli na jeden zdecydowany ruch mamy. - Ale, wiesz co, Pat? Teraz już nie jesteś w stanie mnie do czegokolwiek zmusić. Po prostu nigdy więcej ci się to nie uda. Nie możesz już stosować wobec mnie gróźb, jakie stosowałeś w college'u, bo teraz mam gdzieś, czy mnie zostawisz albo czy... czy... będziesz rznął kelnerki z każdej pizzerii w Madison.

-Co?

- Pat, chcę ci tylko powiedzieć, że teraz już nie masz nade mną żadnej władzy. Wszystko, co najgorsze, już się stało.

- Stało się?! Wprost uwielbiam te słowa. Jakby nawiedził nas kataklizm w rodzaju tornada. - W tym momencie w holu zapanował taki niezwykle bezruch i tak niesamowita cisza, że Vincent naprawdę usłyszał, jak Kerry otwiera usta przez sen. Wiedział, że ona za chwilę powinna potuptać korytarzem, i już nie mógł się tego doczekać. Vincent był głodny, a oni nadal zamierzali się kłócić. Pyłki kurzu wirowały w promieniach słońca, unosiły się w górę i opadały w dół. Vincent wyciągnął rękę, by parę z nich osiadło na jego dłoni. Oni jeszcze nie skończyli. Bez względu na jego pobożne życzenia, oni jeszcze nie skończyli i jak tak dalej pójdzie, Vincent może wylądować w szkole bez śniadania.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Nic - odpowiedział tata. Takim głosem tata mówił tylko wtedy, gdy kłamał. Kiedy na przykład tłumaczył Vincentowi: „Wcale nie jestem zmęczony, synku” - dlatego Vincent nie miał wątpliwości, że na tym sprawa się nie zakończy. - Nic nie chciałem przez to powiedzieć.

- Oczywiście, że chciałeś. Chciałeś mi powiedzieć, że to się tak po prostu nie stało.

- To się tak po prostu stało. Daj już spokój, Beth.

- O, nie. Przecież już od dłuższego czasu dusisz w sobie przekonanie, że to ja ponoszę winę za tę całą sytuację. Myślisz, że tego nie czuję? Obwiniasz mnie, ponieważ ty nigdy byś nie pozwolił, by Ben się zagubił, czyż nie, Pat? Nigdy nie zachowałbyś się jak nieodpowiedzialny, beznadziejny idiota, zainteresowany jedynie swoją własną osobą, niegodny, by być rodzicem...

- Ja nigdy nie powiedziałem czegoś podobnego.

- Powiedziałem?! Ty nie musisz nic mówić! Zdradza cię każdy gest. Wyraz twoich ust, Pat. Nienawidzisz mnie z całego serca i obwiniasz za zaginięcie twojego syna.

Vincent zobaczył, że tata jak burza wypada z salonu, jakby miał za chwilę złapać mamę i ciosem powalić na podłogę.

- No dobrze, Beth! Czy cię obwiniam? Jasny szlag! Pewnie, że cię obwiniam! I Candy cię obwinia. I Bender. I Ellen. Dla każdego jest oczywiste, że gdybyś poświęciła jedynie minutę czasu na zapewnienie swoim dzieciom całkowitego bezpieczeństwa, nic podobnego nigdy by się nie wydarzyło. Czy ty tego nie widzisz? Czy tylko dlatego, że ludzie nie rzucają ci oskarżeń w twarz, w ogóle to do ciebie nie dociera? Co się musi jeszcze wydarzyć, byś wreszcie przejrzała na oczy? O, tak... Do tej pory prowadziłaś wygodne, szczęśliwe życie, Beth. Wszystko mogłaś robić na odpieprz się, bo wiedziałaś, że ja zawsze uporządkuję bajzel, jaki po sobie pozostawisz!

- Ty gnoju - powiedziała mama. - Ty świętoszkowaty...

- Nie jestem świętoszkowaty, Beth. Ja po prostu mam świętą rację! Mam rację! Dzieci nie rozplývają się w powietrzu, Beth. Same „się nie gubią”. To dorośli dopuszczają do tego, by się zagubiły.

Vincent podskoczył, przebiegł przez korytarz na piętrze i wpadł do pokoju Kerry. Czoło miał rozpalone, jakby trawiła go gorączka. Podbiegł do łóżeczka maleństwa, opuścił barierkę i, wyciągając rękę, przycisnął swoją dłoń do twarzy Kerry, szczelnie zasłaniając jej nos i usta. Nie chciał jej zabić... kochał Kerry, która teraz wyrywała się, próbowała oderwać jego dłoń, nabrać w płuca powietrza. Z jej szeroko rozwartych oczu wyzierał strach, Vincent widział napływające wielkie łzy... Nie wiedział, czy już powinien ją puścić, ale w końcu Kerry rzuciła głowę w dobrą stronę, otworzyła zsiniałe usta i zaczęła wrzeszczeć. Tym razem nie przypominało to płaczu dziecka, które zmoczyło pieluszkę (Vincent doskonale znał ten jękliwy ton; słyszał go milion razy, jeszcze w wykonaniu Bena), ale brzmiało jak krzyk z horroru filmowego, jak krzyk całkiem dorosłej osoby... i mama Vincenta znalazła się natychmiast w pokoju, wbiegła po schodach, jakby miała skrzydła, gwałtownie odepchnęła Vincenta i wyciągnęła Kerry z łóżeczka. Usta Kerry zaczęły ponownie nabierać różowego koloru, a mama wydzierała się na cały głos:

- Coś ty jej zrobił? Vincent, odpowiedz mi! Co zrobiłeś Kerry?

Tata wbiegł do pokoju tuż za mamą i teraz wyrywał Kerry z jej objęć. W rezultacie stali, trzymając maleństwo między sobą, a tata próbował tłumaczyć mamie:

- Wszystko z nią w porządku, Beth. Pamiętasz - lekarz zawsze powtarza, że jeżeli płaczą, nic im już nie grozi... Wyraźnie na moment zabrakło jej tchu...

Mama tuliła Kerry w ramionach i też płakała. Tata próbował je obie objąć, ale mama go odepchnęła, bardzo mocno, nawet o wiele mocniej, niż przed chwilą odepchnęła Vincenta. Tata złapał Vincenta za ramię i szarpnięciem podniósł go z podłogi.

- Załóż bluzę - powiedział. - Zabieram cię na przejażdżkę.

- On ma iść do szkoły! - wrzasnęła mama.

- Nie dzisiaj!

- Dokąd go zabierasz?

- Gdzieś, gdzie będzie bezpieczny, Beth! Z dala od ciebie! Nie wątpię, że ty, wcześniej czy później, mnie wykończysz, ale nie pozwolę, by taki sam los spotkał Vincenta! - I choć Vincent zdołał dopiero włożyć bluzę na jedno ramię, tata prawie uniósł go za rękę w górę i powłókł po schodach na parter, a potem do garażu.

- Tatusiu, chwileczkę - odezwał się Vincent już przy samochodzie. - Jeszcze nie brałem dzisiaj swoich witamin.

- Poczekam tu na ciebie - odpowiedział tata, nerwowo wygrzebując papierosa z kieszeni koszuli.

Vincent wbiegł z powrotem do domu - ucieszył się, że mama jeszcze jest u Kerry; słyszał, jak płakała i coś nuciła. Deski podłogi skrzypiały pod jej krokami - z maleństwem w objęciach musiała chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Vincent uwijał się jak w ukropie: najpierw wpadł do gabinetu taty i nastawił alarm w zegarze radiowym na jedenastą wieczorem. Potem pobiegł do sypialni rodziców (po drodze musiał minąć pokój Kerry, ale na szczęście drzwi do jej pokoju były zamknięte), gdzie przestawił dzwonienie budzika z wpół do siódmej na wpół do piątej rano. Nie wiedział, co mógłby jeszcze wymyślić... ach, tak... timer w piekarniku. Z ledwością udało mu się do niego sięgnąć, ale w końcu ustawił go na piątą rano. Może nie wykorzystał wszystkich dzwoniących czasomierzy, jakie mieli w domu, jednak w takim pośpiechu nic innego nie przyszło mu do głowy. Przecież któryś z nich mama musi usłyszeć. Vincent czasami wchodził w nocy do pokoju rodziców i chociaż zdarzało mu się stawać tuż przy twarzy mamy, a niekiedy nawet dotykać palcem jej powiek, mama nigdy się nie obudziła. Wiele razy wołał ją, gdy nawiedzał go ten straszny sen o uciekaniu, ale ona nigdy go nie usłyszała. Natomiast tata czasami wstawał i przychodził do niego do pokoju, jeżeli Vincent wołał dostatecznie długo. Ale któryś z tych dzwonek mama na pewno usłyszy i Vincent nie będzie musiał się przejmować, jeżeli nie wróca z tatą na noc do domu, na co się właśnie poważnie zanosilo, bo tata zabrał ze sobą szaszetkę ze szczotką do zębów i maszynką do golenia. Oczywiście, dzwonki mogą też obudzić Kerry, chociaż ona nie była niczemu winna, ale Vincent postanowił się tym nie przejmować.

Przed wyjściem z domu wytrząsnął jeszcze pomarańczową tabletkę witaminową z butelki stojącej w kuchni, a potem szybko wskoczył na przednie siedzenie samochodu.

- Pas - przypomniał tata, zapalając silnik. Vincent posłusznie przypiął się do fotela, a potem opadł na oparcie. Wyjechali ze swojej dzielnicy, minęli skrzyżowanie przy Park Street, prowadzące do restauracji Cappadorów, a potem ulicę, przy której mieszkał Rob Maltese, najlepszy przyjaciel taty. Przejechali obok myjni samochodowej i wkrótce znaleźli się na wylotówce, przy której stała tablica z napisem „Janesvil-le”. Tata powiedział kiedyś Vincentowi, że ta tablica oznacza to samo, co: „Niedługo będziemy u babci Rosie”.

- Jedziemy do Chicago? - zapytał Vincent.
- Nie chciałbyś się zobaczyć z babcią?
- Dzisiaj jest normalny dzień, tatusiu. Nie niedziela, a nawet nie piątek.
- Czasami możemy pojechać do babci w środku tygodnia, tak jak w wakacje.
- Ale czemu?

- Żeby się z nią zobaczyć. Czy niekiedy nie masz strasznej ochoty, żeby zobaczyć mamę? Ja po prostu chcę się spotkać ze swoją mamą - powiedział tata takim głosem, jakby był całkiem małym chłopcem, i ten ton przeraził Vincenta jeszcze bardziej niż wszystkie brzydkie słowa i wrzaski w holu dzisiejszego ranka. Pat zapalił papierosa i odkręcił szybę.

- Nie mów mamie, że palilem w samochodzie - poprosił. Tata zawsze prosił o to Vincenta.

- Nie powiem.
- Dobry z ciebie kumpel.

Vincent zwinął się w kłębek na fotelu; w radiu leciała piosenka Rolling Stonesów i tata głośno im wtórował, wybijając dłońmi rytm na kierownicy, niczym na perkusji. Vincent chętnie by się zdrzemnął, ale bał się, że znów przyśni mu się ten sen o uciekaniu; właściwie nie sen sam w sobie tak bardzo przerażał Vincenta, tylko to, że w tym śnie jakiś impuls pchał go do tego, żeby się odwrócił, a jednocześnie Vincent wiedział, że gdyby się odwrócił, zobaczyłby najstraszniejszą rzecz na świecie, nawet okropniejszą niż bezkształtny biały potwór z czerwonymi ustami, którego zobaczył niechcący, jak kiedyś wstał z łóżka, a tata oglądał jeszcze odcinek „Teatru makabry” nadawanego w telewizji po północy.

„Zobaczyłbym coś dużo, dużo gorszego” - pomyślał Vincent; chciał opowiedzieć o tym tacie, ale jakoś bardzo kleiły mu się oczy.

- Obudź się - powiedział nagle głos, który zawsze brzmiał tak, jakby gdzieś w gardle mówiącego czaił się kaszel albo przesypywały się kamyki. Dziadek Angelo. - Wstawaj, śpiochu - dziadek właściwie nie powiedział „śpiochu”, tylko użył włoskiego słowa, oznaczającego kogoś, kto za długo śpi. Vincent pamiętał, że jak Ben był mały, dziadek często śpiewał mu piosenkę, w której właśnie było to słowo. Teraz na Vincenta wystąpił zimny pot i wstrząsały nim dreszcze, ale podniósł ręce w górę i dziadek Angelo wyciągnął go przez okno z samochodu, przyciskając do szorstkiej wełny swojego granatowego garnituru. Dziadek zawsze nosił granatowe garnitury, nawet po domu i w niedzielne poranki, a także i wtedy, kiedy szedł po drewno do kominka czy podle-

wał pomidory w ogródku. Babcia Rosie powiedziała, że przez ten granatowy garnitur dziadek zawsze wyglądał na imigranta, ale on odpowiedział jej na to: - Rose, biznesmen musi mieć duży samochód i czysty garnitur. Nie tylko w pracy, ale przez cały boży dzień. - I dziadek konsekwentnie wprowadzał swoją zasadę w czyn. Jedyne wyjątkiem stanowiła gra w karty. Gdy dziadek grał w pokera ze swoimi kumplami - Rossem, Mariem i Stueyem - wkładał na siebie pasiastą podkoszulkę i naciągał szelki. W miejscu, gdzie skórzane paski wrzynały się w ramiona, spod koszulki wyłaziły kępkę siwych włosów i sterczały jak nastroszone pióra. Jeżeli w czasie gry gdzieś w okolicy stolika pojawił się Vincent, dziadek wciągał go sobie na kolana, przyciskał do jego twarzy swój pachnący cygarami policzek, wylewał odrobinę czerwonego wina z kieliszka na palec i dawał Vincentowi do oblizania. Często też pytał Vincenta: - A teraz, mistrzu, czy powinienem poprosić naszego wspaniałego bankiera o jedną kartę czy dwie? - I już dawno temu, nawet gdy Vincent nauczył się dostrzegać, że jakichś czerwonych lub czarnych kart brakuje do kompletu dziadkowi, i tak zawsze odradzał dobieranie pojedynczych kart, bo szybko zapamiętał, że nigdy nie można wymieniać kart z myślą o skompletowaniu strita; dziadek zawsze powtarzał, że taka polityka prowadzi do katastrofy i kompletnej przegranej. A czasami, gdy było bardzo gorąco i pasikoniki wypełniały powietrze swoją muzyką, Vincent zasypiał na patio pod białym, żelaznym krzesłem dziadka - chór świerszczy, świst kart rzuconych z rozmachem na stół, włoskie przekleństwa i mdlące słodki zapach cygar wirowały i wirowały wokół Vincenta, by po pewnym czasie zlać się w jedno niezwykle wrażenie. Gdy Vincent budził się, zlany potem i drżący, światło z jarzącej bieli zmieniało się w czerwoną poświatę zachodu lub z bladego żółcienia poranka przechodziło w oślepiający blask południa. Właśnie tak jak teraz.

- Mój mały skarb. Mój najukochańszy chłopiec - powiedział dziadek Angelo i wniósł Vincenta na werandę, w chłodny cień wielkich, zielonych markiz. Vincent je uwielbiał, nikt inny w okolicy nie miał markiz przed domem ani takich pięknych, błyszczących, na kwadratowo przyciętych żywopłotów, które wyglądały jak sztuczne, ale pachniały octem winnym.

- Kocham cię, dziadziu - wyznał Vincent, tuląc się do starszego pana. Naprawdę bardzo kochał dziadka Angela. Kochał też dziadka Billa, ale dziadek Bill zawsze zachowywał się trochę nerwowo w towarzystwie Vincenta. Na przykład zadawał mu pytania w rodzaju: - Hej, Vince, czy przypadkiem już się nie ożeniłeś? - Jakby dziewięćcioletek mógł

się tak po prostu ożenić i nie poinformować o tym swojego dziadka. Natomiast dziadek Angelo dawał Vincentowi *penne* z czerwonym sosem albo z białym sosem, gdy Vincenta bolał brzuch, pił go winem z łyżeczki i częstował cukierkami noszonymi w kieszeniach. Pozwalał mu też zrywać winogrona i zbierać pomidory z krzaczków, i nigdy się nie złościł, jeżeli Vincent upuścił jakiś owoc, tylko wybuchał wtedy głośnym śmiechem - i to wcale nie takim na niby, na jaki zazwyczaj zdobywają się dorośli, gdy w rzeczywistości są na Ciebie wściekli. Dziadka nigdy nie denerwowały wyczyny dzieci, dopóki pamiętały, żeby mówić „proszę”, „dziękuję” i nie zachowywały się jak *diavolo* - Vincent nie wiedział, co dokładnie oznacza ten wyraz, ale przypuszczał, że chodzi o jakiegoś bardzo, bardzo niedobrego faceta.

Dziadek z Vincentem na rękę skierował się w stronę ogrodu na tyłach domu. Gdy przechodzili obok kuchni, Vincent usłyszał słowa swojego taty:

- ... co robić, mamó. Dłużej już tego nie zniosę.

- Patrick, *tesoro mio* - odpowiedziała babcia Rosie, przygotowująca tacie kawę - ona nie jest teraz sobą. Musisz dać jej więcej czasu.

- Ale ja już nie mam czasu, mamó! - Vincent z przerażeniem zdał sobie sprawę, że tata płacze. - Chcę wreszcie prowadzić normalne życie, mamó. Nie chcę... tkwić w tym więzieniu przy Post Road, którego Beth nigdy nie opuszcza, to znaczy, nie z własnej woli... wszystko, na co jest się w stanie zdobyć, to schodzenie na dół do swojej ciemni... Mamó, ja już tylko chcę się od tego wszystkiego uwolnić!

Babcia Rosie odwróciła głowę bardzo szybko, a potem powiedziała głośno i dobitnie, głosem przeznaczonym zarówno dla Vincenta, jak i dla jego taty: .

- Vincenzo, *carissimol* Babcia za chwileczkę do Ciebie przyjdzie. Dziadek wniósł Vincenta do ogrodu, posadził na jednym z białych, żelaznych krzeseł i przyniósł mu szklankę soku z pomarańczy.

- Niedługo babcia poda nam coś do jedzenia - będzie pasta. Ale najpierw damy jej trochę czasu, żeby porozmawiała z Twoim tatą, dobrze?

- Tatuś płacze - zauważył Vincent.

- On jest bardzo smutny, Cenzo - odpowiedział dziadek, siadając ciężko na krześle naprzeciw Vincenta i przebierając palcami po pudełkach z taśmami ustawionych na ławce obok wielkiego magnetofonu. - Musimy posłuchać muzyki.

- Dlaczego?

- Bo pomaga duszy! - oznajmił dziadek.

- Nie - chodzi mi o tatusia. Dlaczego jest smutny?

- Z powodu twojego brata, mój skarbie. Tęskni za Benem.
- I nienawidzi mojej mamy. Ona sama tak powiedziała.
- Nie, Vincenzo, twój tata bardzo kocha twoją mamę. Kocha ją od czasu, kiedy był jeszcze takim małym chłopcem jak ty. Ona jest jego najlepszym kumplem.
- Myślę, że Rob jest jego najlepszym kumplem.
- A ja myślę, że ona jest jego najlepszym kumplem i miłością jego życia Tylko po prostu... o, mam! - wykrzyknął dziadek, gdy znalazł taśmę której chciał posłuchać. - Tylko teraz twoja mama jest taka smutna i twój tata jest taki smutny, że oboje zapomnieli o swojej miłości.
- Mama już trzy razy zapomniała o mojej szkolnej wywiadówce i dyrektor musiał zadzwonić do nas do domu. A i tak następnym razem poszedł tćits.
- No więc, sam widzisz. To ciężki okres dla nas wszystkich Dla mnie też. Gdy myślę o naszym Benie, serce pęka mi z bólu. - Dziadek poklepał się po udzie i Vincent wskoczył mu na kolana. - Czy ty nigdy me jesteś smutny, Cenzo?
- Czasami.
- Kiedy?
- Na przykład dziś rano. Oni się kłócili i... i przerazili Kerry tak bardzo, że aż wrzeszczała.
- Ja też bywałem smutny, gdy byłem małym chłopcem - powiedział dziadek Angela - Często robiło mi się smutno, bo tęskniłem do mojego papy. Kiedyś pokazywałem ci jego zdjęcia, Vincenzo. Był potężnym mężczyzną potężnym i głośnym... śpiewał miłosne pieśni neapolitańskie, a miał głos niczym anioł Tycjana. Taki był mój ojciec. Wiesz to po mm dostałeś imię Vincenzo. A drugie imię - Paul - dostałeś po bracie swojej mamy.
- A mój tata?
- Co twój tata?
- Czy on też dostał po kimś swoje imię?
- Tak - odparł dziadek Angelo. -1 to kolejna historia, w której mieści się wiele smutku. Kiedy urodził się twój tata, ja wędrowałem po kraju, sprzedając garnki i inne rzeczy potrzebne do gotowania. To by-o, zanim jeszcze założyliśmy swój interes - na długo, długo przedtem
Ja znajdowałem się daleko od domu i nie mogłem wrócić na czas porodu. A babcia Rosie, wówczas jeszcze bardzo młodziutka dziewczyna oczekiwała swojego pierwszego dziecka. W owym czasie opiekowała się mą pewna pielęgniarka, która, tak jak my, pochodziła z innego kraju - z Irlandii. I kiedy babcia Rosie bała się i smuciła, płakała i głośno

wzywała mnie po imieniu, ta pielęgniarka - zdaje mi się, że było jej Bridget, one wszystkie mają na imię Bridget - modliła się do świętego Patryka, żeby ulżył twojej babci w cierpieniu i sprowadził na świat zdrowe, dorodne dziecko. I święty Patryk jej wysłuchał. Dlatego, chociaż to irlandzkie imię, babcia nazwała twojego tatę Patrick.

- A gdzie on był?

- Kto? Twój tata?

- Nie, twój tata, wtedy, kiedy tak bardzo za nim tęskniłeś?

- On umarł, Vincenzo. Zginął w pierwszej wojnie światowej. Był kucharzem - my, Cappadorowie, zawsze zajmowaliśmy się gotowaniem, wiesz? Ale pewnego dnia do obozu wdarli się źli ludzie i postrzelili twojego pradziadka, a on umarł dokładnie tam, gdzie stał. I tam też go pochowali, a nie w rodzinnych stronach, dlatego nigdy nie widziałem jego grobu. - Dziadek Angelo wpatrywał się intensywnie w pnącza winorośli, rosnące po drugiej stronie ogrodu. - A moja mama musiała potem sprzątać w domach innych ludzi. Byliśmy bardzo biedni i wciąż zmęczeni. Tęskniliśmy do papy, ale nie mogliśmy głośno wypowiadać jego imienia, bo to złamałoby naszej mamie serce. I właśnie wtedy odkryłem operę. Nauczyciel ze szkoły w naszej wiosce miał gramofon. Puszczal nam muzykę operową, kazał zamykać oczy i wyobrażać sobie, jak wyglądają te wszystkie miejsca, o których tam śpiewają. Słowa tych oper wydawały mi się wówczas strasznie dziwne, bo wszystkie były takie smutne! Tak smutne, że aż wydawały się głupie; ja wtedy byłem bardzo małym chłopcem, nawet nie miałem jeszcze tylu lat, co ty teraz. W „La Bohemę” śpiewają: „Twoja rączka taka zimna”, i w tamtym czasie myślałem zawsze: Co za głupota! Ale muzyka... muzyka brzmiała wspaniale... cudownie!... Włoska opera to jedyna prawdziwa opera, Vincenzo. Zapamiętaj te słowa. Jak i porządne jedzenie. Oczywiście, powinniśmy być uprzejmi dla innych i mówić: „Tak, tak, te meksykańskie dania są bardzo smaczne” - ale my i tak wiemy swoje, no nie?

- Aha - odparł Vincent. - My wiemy swoje.

- I kiedy już dorosłem, ja też, jak mój papa, zostałem wcielony do wojska i bardzo bałem się, że mnie zabiją. To było w czasie drugiej z wielkich wojen. Walczyłem wtedy jako amerykański żołnierz, amerykański obywatel ze złem, które opanowało mój naród, i z Japońcami. Ja właściwie walczyłem głównie z Japońcami na wielu wyspach Pacyfiku. - Vincent przywarł mocniej do piersi dziadka, próbując sobie wyobrazić, że jego tęgi, spalony słońcem, siwowłosy dziadek był kiedyś szczupły, młody i równie przerażony jak jego tata. - Bałem się wtedy tak bardzo, że ustawiałem gramofon, który kiedyś kupiłem, i słuchałem

opery „Traviata”. Żadnych tam niemieckich świństw, ale prawdziwych oper. Włoskich. Czułem się wtedy szczęśliwy i opuszczał mnie strach.

- Ale jak mogłeś się czuć szczęśliwy, jeżeli opery są takie smutne?

- To właśnie zamierzam ci pokazać - powiedział dziadek Angelo i włączył taśmę. Śpiewała jakaś pani; chociaż śpiewała bardzo głośno, słyhać było, że za chwilę się rozpłacze. Słowa pieśni brzmiały jakoś dziwacznie, tak jak słowa piosenek puszcanych w restauracji Cappadorów.

- Co ona mówi, dziadziu? Po jakimu? Po włosku?

- Tak, Vincent. *Italiano*. Tylko posłuchaj.

Vincent w tym momencie wypowiedział dumnie jedyne słowa, które znał po włosku, z wyjątkiem paru przekleństw i słowa *bambino*:

- *Non parlo Italiano*.

- Wiem, ale posłuchaj. Ja ci opowiem, o czym ona śpiewa. Ta pani nazywa się Mirella Freni. To wielka gwiazda. Teraz już jest starszą panią, ale kiedy nagrywała tę operę, była jeszcze młodą dziewczyną. W tej pieśni rozmawia ze swoim synkiem i mówi do niego: *Tu, tu piccolo iddio* - ty jesteś moim małym bogiem. Ona bardzo kocha swojego synka, a on ją opuszcza i jej serce pęka z bólu.

- Dlaczego on ucieka?

- On nie ucieka, Vincenzo - powiedział dziadek. Vincenta dobiegł z kuchni zapach sosu spod pieczeni i poczuł wściekły głód, jednak nie chciał być niegrzeczny wobec dziadka. Dziadek miał rację, jeżeli chodzi o muzykę operową, ale to jednak idiotyczne, żeby nazywać dziecko Bogiem.

- Dlaczego ona nazywa go Bogiem?

- Bo kocha go tak bardzo... tak bardzo, że traktuje go jak... jak jakiegoś świętego. Tak właśnie rodzice kochają swoje dzieci. Tak ja i babcia kochamy twojego tatę. I tak twój tata kocha ciebie, Kerry i Bena. Wasza mama też was tak kocha.

- Więc gdzie on jedzie?

- Kto? - spytał dziadek, a wyglądał tak, jakby zaraz miał się zerwać z krzesła i skakać z radości na dźwięk głosu tej pani.

- Ten mały chłopiec.

- Jego tata zabiera go do Ameryki. Bo widzisz, jego mama jest Japonką. Nazywa się Madam Butterfly. Taki też jest tytuł tej opery. Napisał ją Puccini. A ojciec tego chłopca to zły człowiek. Oszukał jego mamę i powiedział jej, że ona jest jego żoną, ale tak naprawdę on już miał inną żonę. Bardzo *mało, malo*. Podle. No i teraz ona oddaje mu ich synka.

- A czemu, jeżeli on jest taki zły?

- Nie wiem, Vincenzo. Prawdopodobnie dlatego, że jest biedna. I pewnie dlatego, że ojciec jej synka nie kocha jej, a ona jest z tego powodu tak smutna, że chce umrzeć. A kiedy już odda swoje dziecko, wtedy jeszcze bardziej będzie pragnęła śmierci.

- Ale moja mamusia nie umarła - powiedział Vincent, czując, jak wszystko podchodzi mu do gardła. Jeszcze mocniej przywarł do dziadka.

- Nie, oczywiście, że nie. Gdyby umarła, to gdzie byłaby, gdy Ben wróci do domu? W niebie z aniołami? - Dziadek pocałował Vincenta. Jego szorstki podbródek pachniał wodą toaletową: ciężkim, korzennym aromatem, przenikającym wszystkie szafy i szuflady dziadka. - My się modlimy o szczęśliwy powrót Bena do domu. Ale mama tego chłopca... widzisz, Vincent, ona jest Japonką. A Japońcy to zwariowani ludzie. *Pazzi*. Oni sądzą, że jeżeli ktoś zrobi im coś złego albo jeżeli oni sami coś zaważą w życiu, wówczas powinni z tego powodu umrzeć. To zupełne szaleństwo, Vincent. Normalni ludzie, jak Włosi, a nawet Irlandczycy, jak dziadek Bill, stają do walki. Gdy ktoś próbuje zrobić im krzywdę, oni starają się kopnąć go w miękkie. Stają do walki, bo mają jaja...

- Co to znaczy, że „mają jaja”?

- Och, nic - powiedział dziadek. - Mają *coraggio*. Odwagę. Próbują coś naprawić...

- Jedzenie! - zawołała babcia Rosie, stając w drzwiach do ogrodu.

- *Momento!* - odkrzyknął dziadek. - A teraz posłuchaj tej pieśni, Vincent. Ona też jest smutna, chociaż niby ma być radosna. Na tym polega wielkość opery. Jeżeli zechcesz, nagram ci tę historię na kasetę, żebyś mógł jej słuchać u siebie w domu. A teraz ta pieśń - to najsłynniejsza pieśń z całej opery. Nazywa się *Un bel di*.

- Co to znaczy?

Dziadek przeliterował Vincentowi tytuł; okazało się, że pisało się go zupełnie inaczej, niż myślał Vincent: „Pewnego pięknego dnia”¹. Ona tu śpiewa o tym, że pewnego dnia ten łajdak powróci do niej i jej dziecka, i że wszyscy już będą szczęśliwi...

Głos brzmiał naprawdę ładnie, a muzyka była bardzo piękna. Od razu się wiedziało, że to japońska melodia, chociaż brzmiała lepiej od prawdziwej japońskiej muzyki, której Vincent słuchał kiedyś w szkole i która przywodziła mu na myśl mocno odtłuszczone mleko. Brzmiała

¹ Słynna aria, w polskiej wersji językowej rozpoczynająca się od słów: „Tam na wschodniej stronie...” (Przyp. tłum.)

tak, jakby brakowało im instrumentów czy coś w tym rodzaju. Teraz Vincent oparł się wygodnie o dziadka i słuchał anielskiego głosu tej pani, pozwalając swojemu smutkowi płynąć wraz z muzyką.

I nagle spostrzegł, że jego głód gdzieś zniknął, a myśli wypełnia mu jedynie głos japońskiej mamy, śpiewającej dla swojego synka, który jeszcze jej nie opuścił, ale który wkrótce miał znaleźć się milion kilometrów od niej, zbyt daleko, by ona jeszcze kiedykolwiek mogła go utulić w ramionach.

Rozdział 13

Maj 1990

Pod rachitycznym pędem winorośli, którym tata Vincenta nigdy się nie zajmował, chociaż zawsze zapowiadał, że pewnego dnia to zrobi, i dlatego nigdy nie pozwalał obok niego wariować, Vincent i Alex Shore zastanawiali się, jak usytuować miasto z gałęzek, tak żeby mogła w nim zamieszkać grupa małych, plastikowych ludzików. Teraz obaj byli już całkiem duzi, mieli prawie po dwanaście lat i dlatego rzadko zabawiali się w podobny sposób; najczęściej jeździli na rowerach aż do rozgłośni radiowej albo wygłupiali się na wymyślnych zjeżdżalniach ustawionych w parku. Ubiegłego wieczoru, rozmawiając przez telefon, obmyślili genialny plan wykorzystania zwoju drutu, który niedawno wpadł w ręce Vincenta. Postanowili, że rozciągną go od okna pokoju Vincenta do domu Aleksa, stojącego trzy budynki w lewo, po drugiej stronie ulicy, i spróbują zmontować telefon, który działałby całkiem jak prawdziwy. Ale kiedy tata Vincenta przyłapał go na wyjmowaniu żaluzji z okna, a do tego zobaczył młotek i gwoździe, z miejsca położył kres całemu przedsięwzięciu.

- Czyś ty postradał zmysły? - zapytał Vincenta. - Chcecie zgilotynować jakiegoś dzieciaka, przejeżdżającego naszą ulicą w kabriolecie?

Prawdę powiedziawszy, Vincent pomyślał od razu, że właściwie nie miałby absolutnie nic przeciwko takiemu obrotowi sprawy.

Niemniej, gdy pomysł z drutem tak sromotnie upadł, musieli wymyślić jakąś inną zabawę. Na domiar złego zrobił się straszny upał, wprost niezwykły jak na ostatni tydzień szkoły. A tu nawet nie otwarto jeszcze basenu. I do tego mama Aleksa nie pozwalała im się bawić w domu, bo akurat brat Aleksa, Max, zapadł na wietrzną ospę.

Najpierw zamierzali jedynie usypać niewielkie szańce i barykady z ziemi, żeby ci plastikowi faceci prowadzili między sobą wojnę. Ale

Vincent znalazł kawałki sznurka, którymi tata mocował krzaczki pomidorów do tyczek, i postanowił pokazać Aleksowi, jak Indianie budowali swoje wigwamy: brali wiązkę równej długości prętów, wiązali je razem na górze, a potem wyginali te pręty na zewnątrz. W ten sposób powstawała konstrukcja. Alex chciał pokryć szkielec takiego domu bibułą, ale Vincent zaproponował:

- Nie. Użyjemy tej plastikowej folii z kuchni, bo w ten sposób będziemy widzieli, co nasze ludziki robią w środku.

- Ale one nic nie będą robić - stwierdził Alex. - Chyba że włożymy tam rękę i zaczniemy nimi poruszać.

- Nie. Ty zupełnie nie wiesz, o co mi chodzi. Tam w środku poustawiamy różne scenki, na przykład w jednej chacie myśliwi mogą obdzierać jelenia ze skóry lub coś w tym stylu. Zbudujemy taką dioramę jak w Field Museum. - Okazało się, że Alex nigdy nie był w tym muzeum. - Tam trzymają różne mumie i tym podobne rzeczy, a poza tym mają dioramy ludu myśliwych i zbieraczy oraz Inków. To coś w rodzaju modeli.

- Ja nie chcę się w to bawić - gderał Alex. - Mogę tylko bawić się w wojnę.

- Eee tam. Taka zabawa jest nudna i głupia - oznajmił Vincent. - A poza tym, to moje ludziki. - Vincent od razu pomyślał, że nie należało tego mówić. Powinien być bardziej ostrożny. Ostatecznie, Alex to jego najlepszy przyjaciel, właściwie jego jedyny przyjaciel. Z drugiej strony, Vincent nie miał ochoty na coś tak dziecinnego i nudnego jak zabawa w wojnę. - Daj spokój, Al. Będzie super.

Gdy Alex zastanawiał się, czy warto wyrazić zgodę na propozycję Vincenta, na podwórku pojawiła się Kerry, ubrana w swoją aksamitną sukienkę „amerykańskiej dziewczynki” (Kerry nosiła ją dzień w dzień, a ta sukienka kosztowała co najmniej ze sto dolców; Vincent dostawał szału, kiedy widział, jak Kerry wciąga na nią swoje dresy i tak idzie na gimnastykę; jednak nikt dorosły nigdy nie próbował jej powstrzymać). Teraz Kerry dźwigała wielkie wiadro, wypełnione po brzegi jakąś cieczą. Vincent natychmiast poczuł ostry, żrący zapach.

- Poczekaj chwilę - rzucił w stronę Aleksa. - Kerry, co masz w tym wiadrze?

- To coś, co stoi w butelce pod zlewem - odpowiedziała z uśmiechem. - Chcę pozabijać robaki w piaskownicy. - Vincent podszedł i zabrał wiadro z jej rąk; Kerry natychmiast zaczęła go kopać - miała zaledwie cztery lata, więc nie powinien tak naprawdę czuć bólu. Ale Kerry potrafiła niezłe kopać. Żeby ją powstrzymać, musiał w końcu stanąć jej na nogę.

- Kerry - tłumaczył jednak cierpliwie. - To jest amoniak. Silna trucizna. Nie możesz się tym bawić. Gdzie mama?

- Rozmawia przez telefon.

- Czy pozwoliła ci to wziąć?

- Pozwoliła - odparła Kerry. - „Cóż - pomyślał Vincent - może jej rzeczywiście pozwoliła. O, Boże...”

- Kerry, posłuchaj. Możesz pozabijać robaki w piaskownicy zwykłym płynem do naczyń rozrobionym z wodą. Będziesz przyskać nim z plastikowej butelki. To o wiele lepsza zabawa, a na dodatek pozabijasz w ten sposób więcej robaków. - Vincent podlał amoniakiem z wiadra topole pana Abergę, o których jego tata mawiał, że są niebiańsko piękne, a jednocześnie najpaskudniejsze na świecie. - Chcesz, żebym ci przyniósł coś takiego?

- Aha, aha - wykrzykiwała Kerry w zachwycie i podnieceniu.

- Al, pójdę dla niej po tę wodę z płynem i przy okazji przyniosę z kuchni folię, dobra? - powiedział Vincent, podchodząc do winorośli. - Chcesz colę?

- Ty się zawsze musisz tak cholernie rządzić - oznajmił Alex.

- Lepiej bądź cicho - ostrzegł go Vincent. Ręce bezwiednie zwinęły mu się w pięści; Vincent nie potrafił nad nimi zapanować, nawet nauczyciele już o tym wiedzieli.

- Moja mama twierdzi, że zawsze się tak idiotycznie rządzisz, bo twoja mama nie zwraca na ciebie żadną uwagę.

- Żadnej uwagi, Al. Nie zwraca na mnie żadnej uwagi.

- No, w każdym razie moja mama tak twierdzi. I myślę, że ma rację. Twój tata cały dzień siedzi w pracy, a twoja mama nie zwraca na ciebie żadną uwagę.

- Wiesz, Al, twoja mama jest głupia.

- No - odparł Alex. - A czemu?

- Bo dorośli nie powinni opowiadać takich rzeczy przy dzieciach. Twoja mama by cię zabiła, gdyby usłyszała, że mi to powtarzasz.

- I co z tego?

- I nic. Zaczniemy się już bawić, dobra? Przecież możemy mieć i wojnę, i myśliwską wioskę, no nie? Możemy pobawić się w te obie rzeczy naraz. - Alex wzruszył ramionami. Dobra jest. Jeżeli Vincent się pospieszy, to on na niego poczeka.

Vincent poszedł do kuchni po dwie cole i kiedy tam stał, mimo że nie widział mamy, od razu usłyszał, że rozmawia przez telefon. Bo ona naprawdę rozmawiała. Teraz mówiła: - Daj spokój! Od jak dawna o tym wiesz?... Ale kiedy tak naprawdę się zdecydowałaś?... - A potem: - Ale

czy ci się to spodoba?... Już zrobiłaś? Ile razy? - i wybuchnęła śmiechem. Jego mama się śmiała. Vincent skierował się w stronę, gdzie biegł sznur od telefonu: wzdłuż ściany kuchni, do aneksu jadalnego. Zobaczył mamę. Siedziała zwinięta na krześle i zawijała kosmyk włosów na palec. Kiedy go zobaczyła, pomachała do niego ręką.

Jego mama pomachała do niego ręką i... uśmiechnęła się.

Vincent wyniósł colę na podwórko. Do diabła! Zapomniał o płynie na robaki dla Kerry. Mama już skończyła swoją rozmowę, ale teraz znów wykrecała jakiś numer.

- Zgadnij, kto wychodzi za mąż? - zawołała do Vincenta.

Vincenta tak zamurowało, że aż upuścił już niemal napełnioną butelkę do zlewu; płyn ze środka błyskawicznie zaczął spływać do ścieku. Jego mama nigdy nie odzywała się do niego pierwsza - ani do niego, ani do kogokolwiek innego. Vincent przeprowadzał swego czasu coś w rodzaju eksperymentów: sprawdzał, jak długo mama będzie milczeć, jeżeli nie zadzwoni telefon albo Kerry nie przyjdzie prosić ją o ciastko. I okazało się, że ona mogła tak milczeć godzinami, pewnie nawet przez całe dni. Pewnego razu, kiedy tata musiał wyjechać z miasta, Vincent osobiście był świadkiem, jak mama nie odezwała się przez cały boży dzień. Słała łóżka i gotowała jak każda normalna osoba, tyle że nie wydała z siebie ani jednego dźwięku - nawet nie zanuciła. To nieprawda, że ona nie zwracała na Vincenta uwagi; ona po prostu w ogóle nie była w stanie go zauważyć.

Vincent nie wierzył, że mama o niczym nie myślała; człowiek nie może tak po prostu przestać myśleć. Swego czasu on i jego kuzynka Moira kilkakrotnie próbowali przebiec dookoła domu i ani razu nie pomyśleć o świni. Żadnemu z nich nigdy się to nie udało. Każdy człowiek zawsze musiał myśleć - nie można wydrenować własnego mózgu. W jego skromnej opinii problem z mamą nie polegał na tym, że ona myślała za mało, ale że myślała za dużo i to przeszkadzało jej w życiu. Pewnego razu ciocia Tree, sądząc, że Vincent już śpi i nie słyszy jej słów, tak powiedziała o umyśle mamy: - Światła pozapalane, ale nikogo nie ma w domu. - Vincent zupełnie nie zgadzał się z jej opinią. Jeżeli on miałby wyobrazić sobie, co dzieje się w głowie mamy, pomyślałby raczej o wnętrzu ula. Przynajmniej czasami.

Ale tym razem mama patrzyła mu prosto w oczy.

- Candy - oznajmiła, a Vincent w pierwszej chwili w ogóle nie wiedział, o co jej chodzi. Po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że mama ma na myśli swoją przyjaciółkę, tę panią z policji, która czasami przyjeżdżała do nich na weekend i przez moment pozwalała Vincentowi doty-

kać swojej nie naładowanej broni, a niekiedy dawała mu swoją złotą odznakę do zabawy. - Candy wychodzi za mąż. Czy możesz w to uwierzyć?

Vincent rozumiał, że mama oczekuje od niego jakiegoś komentarza.

- No, bo ja wiem - powiedział. - Ona już jest dosyć stara.

- Och, nie. Wcale nie jest stara, Vincent. Ma... ile?... około czterdziestu lat, jak sędzę. Chce... chce urodzić dziecko, zanim będzie za późno.

- Za późno? - Vincent udawał, że interesuje go ten temat, choć tak naprawdę miał to w nosie. Jednak za wszelką cenę chciał utrzymać na sobie skupiony wzrok mamy.

- Cóż, kobiety mogą rodzić dzieci tylko przez jakiś czas. Potem już są na to zbyt stare, ich organizm zaczyna inaczej pracować. - Vincent od razu wiedział, że ona ma na myśli menopauzę; opowiadali mu o menopauzie na lekcjach w szkole. Vincent zawsze dziwił się, dlaczego nazywają coś podobnego pauzą. Przecież to już się kończyło na zawsze, no nie?

- Ale tak się dzieje dopiero wtedy, kiedy się jest już bardzo starym, prawda? - dopytywał się skwapliwie. Czuł, że mama powoli zaczyna mu się wymykać.

- Tak. Ale jeżeli rodzi się dziecko w późnym wieku, wówczas może ono przyjść na świat z różnymi wrodzonymi wadami. - Vincent wiedział, że mama już odpłynęła. Teraz gdyby nawet wydłubał sobie oko tuż pod jej nosem, ona najwyżej powiedziałaaby: „Vincent, wynieś to, proszę, z domu”. - Mama odwróciła się w stronę telefonu. - Chciałabym, żeby Laurie wzięła do siebie Kerry. Czy będziesz chciał zostać z tatą? Myślisz, że jesteś już dostatecznie duży, żebyś mógł sam siedzieć w domu, kiedy tata pójdzie do pracy? - Mama zmarszczyła brwi. - Bardzo żałuję, że nie ma już z nami Jilly.

Mama zawsze żałowała, że Jill skończyła szkołę i wyszła za mąż. Vincent wiedział, że kiedy mama zadawała mu jakieś pytanie, to, w odróżnieniu od rodziców innych dzieci, rzeczywiście nie znała na nie odpowiedzi. Jeżeli pytała, czy w piątej klasie zajmują się dzieleniem „pod kreską”, nie miała tak naprawdę pojęcia, czy Vincent w ogóle wie, czym jest takie dzielenie. Nie miała też pojęcia, że Vincent zajął drugie miejsce w ogólnoszkolnym konkursie ortograficznym i że jedyne słowo, w którym popełnił błąd, brzmiało „odrzućenie”.

- Zabrać Kerry? Kiedy? - zainteresował się Vincent.

- W przyszły weekend. W przyszły weekend - odpowiedziała ma-

ma. - Och - spojrzała nagle na Vincenta. - Candy chciałaby, żebym robiła zdjęcia. Na jej ślubie. W Chicago. I ja się zgodziłam.

Vincent musiał usiąść. Alex już chyba do tej pory miał wszystkiego dosyć. Zapewne poszedł do domu. Choć tak naprawdę Vincent powinien siedzieć teraz na dworze i pilnować, żeby Kerry nie wylazła na przykład na ulicę.

Ale musiał przyswoić sobie tę informację. Po prostu nie mógł uwierzyć własnym uszom.

W ciągu ostatnich paru lat mama latała samolotem do Nowego Jorku i na Florydę. Przyjmowała pracę wszędzie, tylko nie w Chicago. Nigdy, przenigdy nie zgodziła się tam pojechać - nawet wtedy, gdy ciocia Tree rodziła swoje dzieci, czy kiedy dziadek Angelo zapadł na arytmię serca. Nie pojechała do Chicago na żadne Boże Narodzenie ani nie jeździła oglądać zwłok, które znajdowała policja i które mogły być zwłokami Bena.

- Czy pojedziesz tam z tatą? - zapytał.

- Bo ja wiem, może... - odparła mama. - Chociaż nie. Pojadę sama. Przecież tata musi pracować... - Mama wpatrywała się w niego takim wzrokiem, jakby nagle odnalazła tajemniczy skarb: skrzynię pełną złotych dublonów. - Myślę, że pojedę sama i zamieszkać u cioci Ellen. To tylko jedna noc, prawda?

- Aha. Poradzisz sobie?

- Na pewno. A ty sobie poradzisz?

- Jasne. - Jakby jej obecność stanowiła jakąkolwiek różnicę. Mama i tak nigdy nie mówiła mu, że musi już iść do łóżka czy coś w tym rodzaju. Vincent bacznie badał jej twarz, gdy wpatrywała się w podwórze - poszedł za jej wzrokiem i zobaczył Kerry, z wielką powagą rozpryskującą po piaskownicy wodę z gumowego węża do podlewania ogródka. Mama robiła takie wrażenie, jakby naprawdę zastanawiała się nad działaniami Kerry; Vincent widział jej myśli podrygujące, przeskakujące tam i z powrotem, niczym marionetki. Dłoń mamy ponownie powędrowała w stronę telefonu. Opadła na kolana. - Czy myślisz, że tata pozwoli ci tam pojechać? - zapytał Vincent zatroskanym głosem.

Nie odpowiadała mu bardzo długo. Jednak w chwili, gdy już nabrał absolutnego przekonania, że mama zupełnie odpłynęła, poruszyła się.

- Hmm, czy pozwoli mi? Twój ojciec nie jest moim panem i władcą, Vincent. Mogę jechać, gdzie zechcę, jeżeli mam na to ochotę.

Niemniej Vincent był oszołomiony, gdy tydzień później mama rzeczywiście wybrała się do Chicago. Wpakowała do bagażnika niewielką torbę, trzy aparaty fotograficzne, reflektory, a nawet dziwactwo przypominające wielki czarny kaptur, w którym wyglądała jak ci faceci w niemych

filmach, robiący zdjęcia w wybuchającej chmurze dymu. A potem usiadła z Vincentem na ganku, czekając na powrót taty ze sklepu ogrodniczego.

- Chcesz, żebym zadzwoniła do ciebie wieczorem, kiedy tata będzie w restauracji?

- Ja idę razem z nim.

- Och. To świetnie.

Tata wjechał tyłem na podjazd i zaczął wyładowywać z samochodu worki z darnią, którą kupował co roku, zupełnie nie wiadomo czemu, bo już na pierwszy rzut oka każdy widział, że ich trawnik był zawsze najohydniejszy, najbardziej gruzłowy w całej okolicy. Tata Vincenta zrzucił na ziemię ostatni worek, który lekko pękł od uderzenia o podjazd, po czym oparł czoło o otwartą pokrywę bagażnika.

- Dobrze się czujesz? - spytał Vincent; mama wciąż stała nieporuszona.

- Po prostu się starzeję - odparł tata, ocierając twarz rękawem wyszarzałej, flanelowej koszuli, którą tego dnia miał na sobie.

Mama pochyliła się nad Vincentem i gdzieś obok niego uściskała powietrze na do widzenia, a potem ścisnęła tatę za ramię. Vincent, jak zwykle, zastanawiał się, czy mama pocałuje tatę, ale ona, jak zwykle, tego nie zrobiła. Zapewne dorośli uważają, że całowanie się należy do tych rzeczy, których nie powinno się robić na oczach dziecka w okresie dojrzewania.

- Czy na pewno nie chcesz, żebym cię odwiózł? - spytał tata.

- Poradzę sobie, Pat - powiedziała mama. - Słuchaj, jestem jej to winna. Ona nigdy nie zrezygnowała.

- Myślę, że jej kompletnie odbiło. To zupełne szaleństwo. Ten facet też musi być niespełna rozumu.

- Jak mawia Candy, ludzie popełniają straszne głupstwa z o wiele bardziej błahych powodów.

- Pewnie ma rację. - Tata uśmiechnął się. - Ucałuj ode mnie pannę młodą. Byle nie za namiętnie. - Tata zawsze żartował w ten sposób na temat Candy. Zapewne, jak po cichu zdecydował Vincent, on chce dać w ten sposób do zrozumienia, że uważa Candy za lesbijkę - taką dziewczynę, która żeni się z dziewczynami. Ale Vincent był na sto procent przekonany, że tata nie ma racji. Candy zbyt ładnie pachniała. Poza tym, w opinii Vincenta, byłaby świetną matką - już choćby tylko z powodu tego całego rewelacyjnego sprzętu, który znajdował się w jej samochodzie. W każdym razie Vincent strasznie chciałby zostać dzieckiem Candy.

Tego wieczoru, w czasie godzin szczytu w restauracji, wujek Augie wpadł w morderczy nastrój. Wydzierał się na wszystkich, łącznie z sa-

mym szefem kuchni, Enzo, chociaż on zazwyczaj wzbudzał we wszystkich strach, nawet w wujku Augiem.

- Ludzie na sali umierają z głodu, Enzo! - darł się teraz wujek na całe gardło. - Jeżeli mieliby życzenie głodować, wybraliby się do Etiopii, a nie siedzieliby w mojej restauracji!

W końcu Enzo nie wytrzymał - wycelował czubek swojego największego noża w wujka Augiego i oznajmił:

- Powiedz jeszcze jedno słowo, Augusto, a wepchnę ci ten nóż w twój tłusty nochał. Co cię opętało, ty sukinsynu? Jeżeli jeszcze kiedyś zatrudnisz kogoś równie inteligentnego jak trzonek od łopaty, może wtedy uda ci się nakarmić swoich gości!

Ostatecznie tata Vincenta musiał interweniować i ich rozdzielić. Vincentowi strasznie spodobała się ta draka. Ale nie jego tacie. Tata nienawidził awantur.

Linda, duża rudowłosa kelnerka, zabrała Vincenta w drugi koniec kuchni, w pobliże otwartego, tylnego wyjścia, gdzie kulili się młodzi, meksykańscy chłopcy w białych koszulach z napisem „Cappadora” wyhaftowanym na kieszeniach.

Przytuliła Vincenta do siebie tak, że jego głowa znalazła się dokładnie między jej cyckami.

- Przestańcie się wydzierać w obecności dziecka - zarządziła. -Paddy, każ im się wreszcie zamknąć.

A potem wyprowadziła Vincenta z kuchni i przyniosła mu talerz cie-niusieńkiego makaronu polanego jego ulubionym sosem z małżami. Vincent zasiadł przy barze i ledwo zabrał się do jedzenia, wdając się jednocześnie w dyskusję z Mickeyem, hurtownikiem dywanów, i Torym, barmanem, gdy Tory odebrał telefon do taty Vincenta.

- Żołnierzu, skocz po tatę, dobrze? - poprosił Vincenta, a sam szybko mówił w słuchawkę: - Bethie, poczekaj, kochanie. Nie mogę cię zrozumieć. Już wołamy go do telefonu.

Wujek Augie siedział na drewnianym krześle w kuchni i ocierał twarz wielką chustką, popijając jednocześnie wodę z lodem.

- Jak ludzie mogą pić cokolwiek innego niż schłodzoną wodę, co, Vincenzo?

- Gdzie tata?

- Na zewnątrz. Wypala swój kolejny gwóźdź do trumny. - Podobnie jak dziadek Angelo, wujek Augie był nawróconym abstynentem nikotynowym i, jak na typowego neofitę przystało, nie zezwalał na palenie w swoim lokalu - nawet w barze. Jego młodszy brat, Cosimo, zmarł na raka płuc.

- Tatusiu! - zawołał Vincent. - Mama dzwoni.

Tata wyrzucił niedopałek za ogrodzenie, a potem podszedł do telefonu. W kuchni było gorąco, tak gorąco, że Enzo pracował jedynie w podkoszulku i ten widok, z jakiś względów, przyprawiał Vincenta o mdłości. Tata przeciągnął sznur i wyszedł z telefonem przed restaurację. Kiwnął na Vincenta, żeby stanął obok niego, i Vincent podszedł do ojca, wpatrując się w barwne wstęgi światła na wieczornym niebie: jak był mały, sądził, że to zorza polarna, ale tak naprawdę były to jedynie odbłyски z Vanlandu po drugiej stronie obwodnicy. Vincent czuł się bardzo zmęczony, a dodatkowo zahipnotyzowały go kolorowe światła tak, że w pierwszej chwili nie zauważył, jak nienaturalnie mocno tata wbija palce w jego kark; właściwie sprawia mu ból. Gdy Vincent w końcu odsunął się od ojca, tył jego T-shirtu był całkiem mokry.

- Co jeszcze znaleźli? - mówił tata do słuchawki. A potem: - Gdzie to jest, do cholery? Który „Hyatt”?... Ach, ten w Elmbrook, jasne, jasne... Candy co? Wydawało mi się, że miała wychodzić dziś za mąż... - Vincent widział wyraźnie, jak pot spływa po górnej wardze ojca, niczym woda z gwałtownie topniejących sopli. Tata wyglądał dość dziwnie; miał jakoś nienaturalnie głęboko zapadnięte oczy. - Już wyjeżdżam, oczywiście... Dlaczego? Co zamierzasz zrobić? Czy jest przy tobie Ellen? - Zasłonił na moment dłonią słuchawkę i odwrócił się w stronę Vincenta. - Przynieś mi szklankę wody, kolego. - Vincent wszedł do środka i podszedł do maszyny z lodem. Napełnił szklankę lodowymi kostkami do trzech czwartych wysokości, tak jak tata lubił najbardziej, a potem ostrożnie ruszył z powrotem. Otworzył zewnętrzne drzwi, napierając na nie plecami. I wtedy zobaczył, że tata klęczy. Przez głowę przebiegła mu myśl: „Modli się. Ale czemu się modli?” Za moment zobaczył jednak leżący na ziemi telefon. Ze słuchawki wydobywał się daleki, skrzekliwy głos: - Pat? Pat? Jesteś tam? - Tata, przyciskając dłonie ułożone jedna na drugą mocno do swojej piersi, skierował na Vincenta te swoje niezwykle głęboko osadzone oczy i spojrzał takim wzrokiem, jaki Vincent widział jedynie na obrazach świętych w muzeum - wzrokiem kogoś, kto już zobaczył Boga.

- Nie czuję się najlepiej, przyjacielu - powiedział. - Chyba musiał nadebrać mnie słów. - Tata próbował się uśmiechnąć.

Vincent wyciągnął ramię ponad ojcem, podniósł telefon i przycisnął widełki - trzymał tak długo, by mieć absolutną pewność, że głos mamy zniknął już z linii. A gdy po chwili usłyszał w słuchawce wolny sygnał, powoli i starannie wykręcił numer pogotowia.

Rozdział 14

Kiedy mama wtargnęła wprost z mroku nocy do poczekalni oddziału intensywnej terapii, Vincent wiedział już, że tata przeżyje.

Chociaż od kilku godzin lekarze rozmawiali ponad głową Vincenta jedynie z przyjacielem taty, Robem Maltesem, i wujkiem Augiem Vincent w zasadzie nie uрониł ani jednego słowa. Ostatecznie zdecydował ze facetem, któremu rzeczywiście można zaufać, jest lekarz w kowbojskich butach ze skóry aligatora. Kowbojskie Buty mówił normalnym językiem, nie zachowywał się tak, jakby Rob i Augie byli kompletnymi idiotami. Natomiast pozostali lekarze, bez wyjątku, tak właśnie ich traktowali.

Przez cały czas wszyscy, poczynając od Lindy, poprzez męża Laurie Ricka, a na Laurie kończąc, powtarzali: - Znajduje się w najlepszych rękach. - Tutaj na pewno mu pomogą. - Bogu dzięki, że mamy klinikę uniwersytecką.

Od czasu do czasu, gdy ktoś przypominał sobie o obecności Vincenta, odwracał się w jego stronę ze słowami: - Twój tatuś z pewnością wyzdrowieje. Znajduje się pod najlepszą opieką.

Ale Vincent świetnie wiedział, że dzieciom zawsze opowiada się takie rzeczy. Podobne teksty słyszał już wiele razy w życiu.

Dlatego w ogóle się nie odzywał, jedynie starał się uważnie słuchać-a ilekroć widział beżowe buty ze skóry aligatora, wylaniające się z korytarza, który prowadził na oddział intensywnej terapii, wówczas wyteżał słuch ze zwielokrotnioną siłą. Zmuszał się do tego samego rodzaju koncentracji, jakiej potrzebował, gdy budował model silnika. Jeszcze nawet nie minęła dziesiąta, gdy Kowbojskie Buty oznajmił Robowi i Augiemu:

- No więc, ujmując sprawę najprościej, uda nam się obecnie, jak myślę - mam taką nadzieję - nie dopuścić do zawału serca. Oczywi-

ście, dopóki nie wykonamy angiografii, nie możemy jednoznacznie określić, w jakim stanie znajdują się w tej chwili arterie i tak dalej; ale, dzięki Bogu, mogliśmy od razu rozpocząć TPA...

- A co to takiego? - spytał wujek Augie.

- Upłynnianie krwi w celu rozpuszczenia ewentualnych skrzepów. Pobudzimy układ krwionośny - wyjaśnił Kowbojskie Buty. - W przypadku tak młodego człowieka z podobnymi dolegliwościami musimy zawsze zakładać możliwość powstania zatoru...

- Ale on po prostu dostał porażającą wiadomość z Chicago - wtrącił Augie. - Zadzwoiła jego żona z informacją, że odnaleziono...

Kowbojskie Buty machnął ręką, ale zrobił to w miły sposób.

- To prawda, że często słyszy się o ludziach powalonych przez zawał na skutek silnego stresu. Ale przecież facet o zdrowych arteriach nawet kiedy przeżyje coś przerażającego, będzie się najwyżej pocił, w najgorszym przypadku dostanie rozstroju żołądka i pogorszy mu się paskudnie samopoczucie, jednak nie dopadnie go nagle atak serca. Stres działa jedynie jak szpilka przekłuwająca balon - w istocie doprowadza do ujawnienia wcześniej nie rozpoznanych patologii, często warunkowanych dziedzicznie... Panie Cappadora, jak zmarł pański ojciec?

- Zginął w czasie pierwszej wojny. Był wówczas bardzo młody, nie przekroczył jeszcze trzydziestki.

- A inni członkowie rodziny, czy nie cierpieli na schorzenia serca? Na przykład bracia ojca?

- Chyba tak - odparł Augie. Powiedział to tonem, w którym niedwuznacznie czaiło się stwierdzenie: „A cóż w tym takiego dziwnego?” Dwaj jego bracia zmarli dość młodo na atak serca. Jeden z nich był wówczas dopiero po czterdziestce. Ale jego trzeci brat wciąż jeszcze żyje. Ma już dobrą dziewięćdziesiątkę. Za to jeden z braci zmarł na raka płuc, natomiast drugi brat, Angelo, musiał mieć wszczepiony rozrusznik. Ale teraz już miewa się dobrze.

- No więc sam pan widzi. Poza tym - Kowbojskie Buty zerknął na arkusz papieru, który trzymał w ręku - Pat jest notorycznym palaczem, i to nie typowym nałogowcem palącym paczkę od dwudziestego roku życia. Pat twierdzi, że zaczął palić w bardzo młodym wieku. Jak miał -ile? - trzynaście, czternaście lat?

- To on może mówić? Jest przytomny? - dopytywał się Rob. - Sam o tym panu powiedział? Nie jest w stanie śmierci klinicznej?

- Och, nie. Skąd. Ma pełną świadomość tego, co się dzieje. W ogóle nie stracił przytomności. Naturalnie, jest bardzo, bardzo zdenerwowany, dlatego podajemy mu środki uspokajające...

- Czy będziecie go operować? Kowbojskie Buty zacisnął usta.

- Cóż, jeszcze nie czas na podobne rozważania. W tej chwili musimy się skoncentrować na ustabilizowaniu tętna Pata, doprowadzeniu go do jak najlepszego stanu, a potem, jak najszybciej będzie to możliwe, przeprowadzimy dokładne badania i obejrzymy sobie, co dzieje się tam w środku. Muszę państwu przede wszystkim powiedzieć, że jego kardiogram wygląda całkiem nieźle. Nie pojawiły się na nim fale Q, sugerujące najgorszy...

I właśnie w tym momencie mama Vincenta wpadła jak burza przez drzwi do poczekalni. Pod oczami miała wielkie, czarnosine plamy rozmazanego tuszu do rzęs, na nogach rozwiązane tenisówki wsunięte na bose stopy, dzinsy, a do tego wszystkiego swoją elegancką, satynową bluzkę wymyślnie drapowaną na przodzie i jeden, tylko jeden, długi, wiszący, perłowy kolczyk.

- Gdzie Pat? - rzuciła natychmiast pytanie w stronę Kowbojskich Butów, wpijając jednocześnie palce w jego ramię. Ten nie stracił jej ręki - co zdecydowanie spodobało się Vincentowi - tylko położył swoją dłoń na jej dłoni i powiedział to, co właściwie powtarzał wszystkim tego wieczoru:

- Przede wszystkim musi pani wiedzieć, że mężowi nie zagraża już teraz żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. - A potem wyjaśnił, że, oczywiście, należy jeszcze być ostrożnym w ocenach, jednak, najprawdopodobniej, Pat szybko dojdzie do siebie...

Mama, jak zwykle, w ogóle nie słuchała.

- Chcę zobaczyć Pata - oznajmiła.

Wreszcie nadszedł czas na kwestię Vincenta. W końcu i on mógł coś powiedzieć.

- Ja też chcę zobaczyć ojca - stwierdził stanowczo. - Chcę się zobaczyć z moim tatą.

Oboje - i Kowbojskie Buty, i mama - spojrzeli na niego z uwagą.

- Czy ty coś jadłeś? - zainteresowała się mama.

- Czy jadłem?! Tak - odpowiedział Vincent.

- Więc chcemy zobaczyć się z Patem - powtórzyła mama lekarzowi.

- Cóż, myślę, że przez minutę czy dwie...

Wprowadzono ich do korytarza wyłożonego kafelkami. Po obu stronach znajdowały się niewielkie, zasłonięte kotarami boksy. Ktoś, sądząc po głosie całkiem stary, wykrzykiwał obelgi pod adresem „sióstr-czarnuchów”. Z poczekalni dochodziło zawrodożenie niemowlęcia. Pielęgniarka, przywodząca Vincentowi na myśl zakonnice z jego szko-

ły Mount Mary, wezwała ich ruchem dłoni do jednego z boksów, gdzieś w środku rzędu; odsłoniła na bok kotarę i Vincent zobaczył swojego tatę Wyglądał okropnie. Nawet jeszcze dużo gorzej niż wtedy gdy Vincent znalazł go klęczącego na tyłach restauracji Cappadorow Skórę dookoła ust miał niebieskosiną, a do nosa przystawioną rozwidloną rurkę, która biegła do metalowej płytki wmontowanej w ścianę. Jedno ramię taty było przywiązane do brzegu łóżka, a nad ramieniem wisiał worek z wodą, która wciąż kapała i kapała. Vincent starannie zmierzył czas - jedna kropla spływała dokładnie co dwie sekundy.

- Synku - powiedział tata łagodnie - chodź tutaj. - Vincent przesunął się bokiem w stronę łóżka. Chciał bardzo uściskać tatę, a jednocześnie bał się jego dotyku. - Ocaliłeś mi życie, przyjacielu. Myślę że uratowałeś swojego staruszka od śmierci. Dzielny z ciebie chłopak.

Vincent poczuł, że gdzieś pod powiekami zbierają mu się łzy, więc usiłował skupić się na obserwowaniu torsu taty i upewnieniu się, że jego serce wciąż jeszcze bije pod wzorzystą tkaniną szpitalnej koszuli. Dlatego właściwie nie zauważył, kiedy mama uklękła przy wysokim łóżku i oparła czoło na ramieniu taty. Zainteresował się tym bliżej dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że czarny tusz rozmazuje się po gazie przykrywającej to ramię. „Ale nabrudziła” - pomyślał Vincent. Obawiał się, że takie świństwo nie jest wystarczająco sterylne.

- Bethie - mówił teraz tata. - Kochanie. Czuję się beznadziejnie.

- I wyglądasz beznadziejnie, Paddy. Tak mi przykro. Tak mi przykro że nie było mnie przy tobie... Gdybym choć przez chwilę przypuszczała, że coś podobnego... coś podobnego może się wydarzyć, moj Boże, Paddy, zostałabym tutaj...

Z wielkim wysiłkiem, tak wielkim jak wtedy, gdy podnosi! Vincenta w górę, by wymienić żarówkę w garażu, tata uniósł dłoń i położył na głowie mamy. W tej chwili Vincent zauważył, że jej włosy, z przodu wyglądające całkiem normalnie, z tyłu głowy są skołtunione, lekko sfilcowane, tak samo jak włosy Kerry rano, zaraz po wstaniu z łóżka - poczochrane i zlepione, jakby przez kilka dni nie oglądały szczotki. Na ten widok Vincenta przeszył dreszcz.

- Moja najdroższa - powiedział tata, a mama rozplakała się, wydając z siebie tak charczące dźwięki, że Vincent w pierwszej chwili przeraził się, że ona zacznie rzygać. Taki płacz był żenujący. Zwabił nawet do boksu pielęgniarkę; ale tylko spojrzała, rozciągnęła usta w smutnym uśmiechu i z powrotem zaciągnęła zasłonę.

- Bethie - odezwał się tata proszącym tonem. - Opowiedz mi. Opowiedz mi teraz.

Mama zwróciła swoje wielkie, ociekające tuszem oczy w stronę Vincenta.

- Nie teraz.

- Posłuchaj, Beth, to on ściągnął pogotowie dzisiejszego wieczoru. Może tego posłuchać.

No i wtedy mama opowiedziała im o bucie. O tym, jak jadła lunch czy obiad z ciocią Ellen w jakiejś hotelowej restauracji, gdy nagle przed nimi stanęła Candy w swojej jedwabnej, kremowej sukni ślubnej z małym trampkiem Bena w dłoni. Vincent nic nie rozumiał. „Wielka mi rzecz - pomyślał - znaleźli ten trampek już jakieś sto lat temu”. Zaraz jednak okazało się, że mama nie mówi o tym trampku. Policja była w zasadzie przekonana, że to jest drugi trampek Bena lub dokładnie taki sam jak jego pierwszy trampek. Ktoś postawił go na barze w sali jadalnej hotelu, gdzie klasa Beth organizowała, w tym samym tygodniu, w ten sam weekend uroczyste obchody dwudziestej rocznicy matury! Tym razem był to wielki hotel „Hyatt”, stojący w pobliżu pola golfowego, gdzie dziadek Bill spędzał długie godziny z kolegami ze straży pożarnej. Nie „Tremont”, nie ten hotel, który pojawiał się wciąż we śnie Vincenta - we śnie o uciekaniu. Vincent mógł przywołać w pamięci widok kafli w kolorze mięsnych klopsików, pokrywających podłogę holu w „Tremont”, kiedykolwiek tylko zechciał, musiał jedynie zamknąć oczy. Czasami, leżąc już w łóżku, Vincent rozmyślał o tych kaflach, o pewnym dziwnym zapachu i podskakiwaniu na wózku bagażowym w nadziei, że może wtedy nie przyśni mu się ów sen. Ale to rzadko odnosiło jakikolwiek skutek. Sen o uciekaniu i tak pojawiał się nieoczekiwanie.

- A więc - wykrztusił tata - teraz będą musieli wznowić śledztwo...

- Ciiii - uspokajała go mama. - Odpocznij. Przecież tak naprawdę to śledztwo nigdy nie zostało zamknięte, Pat.

- A co oni o tym myślą? Kto mógłby...

- Candy mówi, że ktoś mógł znaleźć ten trampek już dawno temu i teraz pozwolił sobie na wstrętny dowcip. Lub że to całkiem inny but - jakiś szaleniec mógł uznać, że stawiając taki sam but w podobnych okolicznościach, doda całej sytuacji dreszczyku, rozumiesz...

- Czy Ellen cały czas była przy tobie?

Mama jakoś nie odpowiedziała na pytanie taty. „Czyżby nie wiedziała, co się działo wokół niej?” - Vincent przez chwilę zamyślił się nad tą kwestią.

- Ellen nie powiedziała mi, że tego wieczoru odbędzie się zjazd. To znaczy, w końcu mi o tym powiedziała, ale dopiero jak zjawiłam się na

miejscu. Pewnie obawiała się, że nie przyjadę. A Candy nawet nie dotarła na swoje własne wesele. W końcu nie zrobiłam dla nich tych zdjęć. Jej mąż wygląda na bardzo sympatycznego faceta...

- I co oni teraz poczną?

- Kto? Candy?

- Nie, na Boga, Bethie - gliniarze. Bender.

- Kochanie, porozmawiamy o tym, gdy już poczujesz się lepiej.

- Beth.

- Postarają się zbadać, czy ktokolwiek z tych, co przyjechali na pierwszy zjazd bądź przebywali wówczas w hotelu, mógł teraz podłożyć but w sali jadalnej. Candy powiedziała mi, że tym razem z gumowej podeszwy można zdjąć wyraźne odciski palców - właściwie już je nawet zdjęli.

- Ale jeżeli znaleźli ten trampek, to znaczy, że Ben...

- To może mieć wiele znaczeń, Paddy. Na przykład takie, że ktoś, kto porwał Bena, chce nam w ten sposób przekazać wiadomość...

Vincent aż podskoczył, gdy brzęczyk podłączony do ekranu telewizyjnego, umieszczonego nad głową taty, zaczął wydawać przenikliwe dźwięki; natychmiast pojawiła się pielęgniarka.

- Wszystko w porządku - oznajmiła radosnym głosem. - Nic się nie stało. To tylko drobna dysfunkcja.

Nikt nie odezwał się słowem, kiedy pielęgniarka sprawdzała wszystkie rurki, do których podłączyli tatę, i gdy wsadziła w jego ucho jakąś sondę, która natychmiast zapiszczała.

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku, panie Cappadora. Jednak teraz będzie pan musiał odpocząć.

- Jeszcze minutę. Moja żona dopiero przyjechała... Bethie, słuchaj, jaką wiadomość?

- Być może nawet mającą na celu dodanie nam otuchy, spokoju...

- Beth! Spokoju?

- Musimy już iść - oznajmiła mama.

„Dokąd? - zastanawiał się Vincent. - Gdzie mają iść? Czyżby mieli zostawić tu tatę samego? A co będzie, jak te aparaty przestaną działać? Wszystkie naraz? Jeżeli nastąpi awaria prądu?”

- Gdzie mamy iść, mamo?

- Cóż, do domu, jak sądzę. To znaczy, myślę, że odwiozę cię do Laurie, a potem wrócę tu i posiedzę z tatą. Ty nie możesz nie przespać nocy...

Vincent zaniósł się szlochem.

- Ja chcę zostać tutaj z tatusiem - wykrzykiwał. - Nie chcę jechać do Laurie. Muszę opiekować się tatą...

- Szszsz - uciszała go mama, bo starczy głos znów okazywał niezadowolenie. - Co to ma znaczyć? Czemu wszczynasz taki raban? Ja się zaopiekuję tatą - oznajmiła i na moment przyciągnęła do siebie Vincenta. Chłopiec odskoczył. Jego mama pachniała, naprawdę pachniała... Vincent prawie pamiętał ten zapach, przypominał wodę toaletową, której kiedyś używał dziadek Angelo, której może nadal jeszcze używa - aromat przywołujący na myśl aksamitne wnętrza szkatułki z biżuterią. Mama pachniała tak, jakby zanurzyła w tym zapachu głowę, i to było niezwykle, bo mama zawsze pachniała jedynie mydłem aseptycznym. O ile Vincentowi było wiadomo, ona nawet nie miała żadnych perfum. Ale zanim zdołał powąchać ją jeszcze raz, mąż Laurie, Rick, zjawił się i położył rękę na ramieniu Vincenta.

- Chodź, Laurie zabierze nas do domu, dobrze, bohaterze? - powiedział Rick, mrugając ponad ramieniem Vincenta w stronę taty. Gdy Rick prowadził go w stronę drzwi, Vincent odwrócił się i zobaczył, jak mama znowu klęka przy łóżku.

- Paddy - szeptała teraz. - Pojadę, dokąd zechcesz. Zrobię, co zechcesz. Ta restauracja z twoim ojcem. Dobrze, zgadzam się. Ja... chcę tylko ciebie. Wyzdrowiej, Paddy. Nie umieraj. Tylko mi nie umieraj.

„Teraz jest jej przykro - pomyślał Vincent. - Zawsze chciała go zabić, a teraz, kiedy jej się już prawie udało, to nagle jest jej przykro. A może tylko tak udaje? Nie, niemożliwe. Ale... jeżeli jednak zrobiła to celowo - na przykład rzuciła na niego kłatwę? Co by było, gdyby tata umarł przed restauracją Cappadorów i Vincent musiałby wrócić do domu i zostać tam tylko z nią, na zawsze? Gdyby tata już nigdy się nie zjawił? Gdyby Vincent nie mógł już nigdy być razem z nim?”

„I co by było, gdyby ona to w końcu odkryła? Gdyby się o tym dowiedziała?” - Vincent znów poczuł ucisk w brzuchu, skurcz, skurcz strachu na widok głowy mamy, jej czarnych loków - teraz niemal fioletowych w jarzeniowym, szpitalnym świetle. Musiał przyznać, że nawet wtedy, kiedy mama bardzo mocno ścisnęła jego ramię czy łapała go za kark, to jednak tak naprawdę nigdy nie chciała mu zrobić krzywdy. To nie ona sprawiała mu ból, tylko jej ręce. Jej ręce były brutalne. Czasami mama patrzyła na niego w taki sposób, jakby chciała go sobą otulić, niczym miękkim kocem, i w takich chwilach jej dłonie nabierały delikatności - jak ręce higienistki dentystycznej - zmieniały się w dwa lekkie piórka.

Ale gdyby się dowiedziała... Już od bardzo dawna Vincent nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby ona kiedykolwiek to odkryła, jego też spróbowałyby zabić. Po prostu nie miałyby innego wyjścia.

Beth

Rozdział 15

Październik 1990

To było absolutnie niemożliwe.

Gdy po raz pierwszy weszła do zapuszczonej landary, która miała wkrótce przekształcić się we „Włoskie Wesele”, Beth pomyślała: „Co za koszmar. To najgorsza, ociekająca wilgocią rudera, jaką widziałam w moim życiu. Ponura i odstrasająca. Nawet Polyanna skończyłaby tu na prozacu”. Uznała, że Pat wraz ze swoim ojcem zdecydowali się na to przedsięwzięcie, równoznaczne z powolnym, metodycznym samobójstwem, by uciec od rzeczywistości rodziny obciążonej śmiercią ojca na wojnie i tajemniczym uprowadzeniem dziecka. Ta przygnębiająca ruina z obitymi blachą ścianami, barbarzyńsko pokan-cerowanymi wieloma warstwami graffiti, nie nadawała się już do niczego. Na dodatek znajdowała się na najbardziej na zachód wysuniętych obrzeżach dzielnicy, sąsiadujących z zakazaną okolicą, gdzie tylko paru najodważniejszych gejów próbowało inwestować w walące się stare szeregowce.

Jednego z nich Beth poznała całkiem niedawno - był dekoratorem wnętrz, scenografem znanym szeroko w całym kraju, który niekiedy zajmował się również projektowaniem „tematycznych” restauracji i barów.

Beth miała wielką ochotę zapytać go, czy „projektuje” również sztuki magiczne - cuda w stylu Davida Copperfielda. Jednak w końcu podarowała sobie tę uwagę; od czasu ataku serca Pata Beth przeżywała tak wiele nie wypowiedzianych kwestii, że nie zdziwiłaby się, gdyby pewnego dnia one wszystkie wróciły jej do gardła i zadławiły ją na

śmierć. Niemniej i tak nie miała żadnych wątpliwości, że przemiana tej rudery w atrakcyjną restaurację nigdy się nie uda bez udziału magii.

Tego, co się wydarzyło, nie sposób określić inaczej. Czysta magia. Jedynie w ciągu sześciu tygodni.

Niezwykła transformacja starego magazynu była dla Beth jak objawienie. Niczym senna podróż w krainę włoskiej wyobraźni. Piękne sale w amfiladzie; pierwsza wystylizowana na piwnicę z winami pyszniła się antałkami ruffino, conterno, Cetello di Amma, ciągnącymi się od podłogi aż po sufit. Umiejętnie położone kropelki farby sprawiały wrażenie, że wino spływa strużkami po ścianach. Wybudowano również niewielkie alkowy i wykończono kunsztownymi, stiukowymi ornamentami. Każda z nich nosiła też jakąś sentencję wymalowaną w kolorze chłodnej szarości lub czystego błękitu. Stoły w tej sali zrobiono z surowego, cyprysowego drewna, nakryto zwiewnymi szalami i otoczono siedziskami w kształcie beczulek wina. W jednej z nisz zamaskowano wejście do kuchni i ukryto wypolerowany bar. Ta sala miała służyć gościom przychodzącym na lunch; zamierzano też udostępniać ją trzy noce w tygodniu, gdy w restauracji będą odbywać się wesela.

Następne pomieszczenie, do którego Pat wprowadził Beth, zaprojektowano jako bardziej konwencjonalny bar. Niemal całą długość jednej ze ścian zajmował ceramiczny model Fontanny di Trevi, wysoki na półtora metra, pokryty specjalną farbą, sprawiającą, że podłóże wyglądało jak marmur. Łoże, z których każda mogła pomieścić sześć osób, przybrały formę ażurowych altan, gęsto porośniętych pnącymi różami. Na ścianie za barem udrapowano zwoje gołębioszarej i różowej satyny, podpinając je gdzieniegdzie różami z jedwabiu. Na podłodze każdego dnia miały być rozsypywane prawdziwe płatki różane - Angelo będzie dostawał je za grosze od swojego kumpla, Armanda, właściciela zakładu pogrzebowego.

To wszystko było jednak niczym w porównaniu z główną salą bankietową. Sosnowe, wypolerowane bale na suficie przywodziły na myśl sklepienie Duomo we Florencji. Przestrzenie pomiędzy drewnem miały wypełniać freski przedstawiające cud wszystkich czterech pór roku (malarz, niczym nowe wcielenie Michała Anioła, właśnie pokrywał świeży tynk farbą, leżąc na plecach na wysoko zawieszanej platformie) - bo, jakkolwiek by było, małżeństwo stanowiło początek wielkiego cyklu narodzin i plonów.

- A co to? - spytała Beth, wskazując na sześć czarnych, balkonowych balustrad z kutego żelaza, umocowanych w spojeniach belkowania ze ścianami.

Pat rozłożył ręce w bezradnym geście:

- Mnie nie pytaj. Ojciec wymyślił sobie, że powinny tu stanąć jakieś postacie - jeśli się nie mylę, chodzi mu o boginie. Ale koniecznie musisz zobaczyć coś innego.

- Zamaszyście podszedł do jednej ze ścian i zerwał pokrywającą ją ochronną plandekę. Beth aż podskoczyła z wrażenia. Stała teraz naprzeciw własnej twarzy.

- Ty jesteś Mimi - oznajmił jej z tak nieskrywanym zachwytem i entuzjazmem, jakiego nie widziała u Pata od czasów, gdy grywał w szkolnej drużynie baseballowej. - A ja jestem Rodolfo. - Powoli, z namaszczaniem, Pat pokazywał jej wszystkie freski pokrywające ściany sali - niektóre z nich jeszcze nie ukończone. Poza scenami z „La Bohemę” Beth ujrzała obrazy z „Carmen”, „Madamy Butterfly” i paru innych oper. Każda z przedstawionych postaci miała twarz kogoś z rodziny Cappadorów. Freski wykonano specjalną techniką, nadającą wizerunkom swoistą przejrzystość, sprawiającą, że nie tylko malowidła, ale i całe ściany wyglądały, jakby stworzono je przed wieloma wiekami.

- Jak on tego dokonał w tak krótkim czasie? To wszystko wygląda na mozolną, wieloletnią pracę. Och, Paddy, ten przepych... to prawdziwy cud!

Pat promieniał.

- Cud, prawda? Jak dobrze, że zatrudniliśmy Kipa. To miejsce zwali wszystkich z nóg... A poczekaj tylko, jak pojawi się tu młoda para i podium dla orkiestry, i jak wszyscy zobaczą to - wtedy, Beth! - Pat pociągnął za róg wielkiej płachty osłaniającej podłogę. Beth aż zaparło dech w piersiach. Ujrzała przepiękną mozaikę ze szlachetnego drewna: głęboki burgund obrzeża przechodził w świetlistą jasność środka, gdzie widniał, długi na siedem metrów, profil kobiecej twarzy. Ponad wysokimi kośćmi policzkowymi w kolorze oliwki wznosiło się jasne czoło, a głowę przykrywała spływająca tkanina, stworzona z dębu w rozmaitych złocistych odcieniach, dębu o tak subtelnie dobranych słojach, że szata zdawała się poruszać, muskana podmuchami powietrza.

- Och, Pat - wyszeptała Beth. - Wygląda jak z prawdziwego złota.

- Na początku będą tutaj stały stoły. A potem, gdy przyjdzie czas na tańce, stoły zostaną odsunięte... znajdą się w tych niszach. Prawdę powiedziawszy, kiedy Kip wyskoczył z pomysłem ułożenia mozaiki na parkiecie, pomyślałem: „Nie, tego już za wiele!” Bałem się, że w rezultacie powstanie zakrawająca na kpinę tandeta.

- Skąd! Mozaika jest przepiękna. Ale jak możecie pozwolić, by ktokolwiek po niej chodził?

- Żaden problem - odparł Pat radośnie. - Zamówiliśmy faceta, który zajmuje się utwardzaniem parkietów w salach gimnastycznych. Pokrył ją taką ilością poliuretanu, że pozostanie nietknięta, nawet jak przeciągniemy po niej czołg.

- I zdążycie z wykończeniem wszystkiego przed oficjalnym terminem otwarcia?

- W pewnym sensie to zależy od ojca. - Pat wyciągnął palec w kierunku stołu spowitego w plastikową folię, ustawionego w pobliżu wejścia, przy którym Angelo siedział pogrążony w ożywionej dyskusji z Kipem, dekoratorem. - Nie mogą dojść do porozumienia w sprawie wystroju foyer. Dla ojca to bardzo poważna kwestia.

Beth spostrzegła nagle, że w swojej baseballowej czapce i szortach z obciętych džinsów Pat wygląda na nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Nie tylko wyglądał młodziej - robił wrażenie odrodzonego, jakby nagle odkrył w życiu szczególny, czysty cel, swoją własną misję, której mógł teraz poświęcić całą energię, kreatywność, wrodzoną tkliwość. Pomysł „Włoskiego Wesela” narodził się w wieczór ślubu Jill, a właściwie późno w nocy, gdy już większość gości opuściła salę bankietową na tyłach restauracji Cappadorów w Madison.

Ślub Jill odbył się niedługo po tym, jak Beth - na swój szczególny sposób - powróciła do fotografowania. Praca zaczęła pochłaniać ją tak bardzo, że początkowo nie mogła znieść myśli o wyprowadzce Jill. Wiedziała ona o tylu rzeczach, o których Beth nie miała najmniejszego pojęcia: znała nazwiska nauczycieli Vincenta i imiona rodziców jego szkolnych przyjaciół. Obecność Jill zwalniała Beth z zajmowania się dziećmi i ich problemami, pozwalała jej na wiele godzin samotności w fotograficznej ciemni; teraz Beth ciężko mozoliła się, by dojść do rezultatów, które kiedyś osiągała niemal mimochodem, zupełnie automatycznie, zdając się jedynie na rutynę i intuicję.

W rzeczywistości cała rodzina błagała Jill, żeby nie spieszyła się tak bardzo z poślubieniem Mumita, swego chłopaka z Bangladeszu o mahoniowej skórze, którego poznała zaledwie cztery miesiące wcześniej. Uważali, że jest za młoda; że oboje są za biedni. Jill jednak zlekceważyła te wszystkie przestrogi i owego wieczoru, autentycznie promieniejąca radością, wprost ze swojego wesela w restauracji Cappadorów wyruszyła w krótką podróż poślubną do hrabstwa Door, by zdążyć jeszcze przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego, który dla Mumita miał być rokiem dyplomowym na wydziale chemii.

- Trzeba jednak uczciwie przyznać, że wyglądają na bardzo szczęśliwych - powiedziała Tree w kilka chwil po ich odjeździe. - To było na-

prawdę piękne wesele. Gdyby tak można chodzić na podobne wesela co wieczór. Och, te tańce i cudowne rzeźby z lodu! Te stroje! Jeśliby to ode mnie zależało, wychodziłabym za mąż co najmniej cztery razy. -Tree posłała Joeyowi znaczące spojrzenie: - Oczywiście, za tego samego mężczyznę.

To właśnie wtedy Angelo zaczął kreślić coś na pozostałościach papierowych serwetek z imionami nowożeńców wytłaczanymi pozłotką. Od wielu lat Angelo opowiadał Patowi, że ma już dość chaosu i pośpiechu garmazu „Golden Hat”. Na stare lata marzy! o własnym małym imperium - prowadzeniu, wraz z synem i zięciem, ekskluzywnej restauracji, mającej stanowić ukoronowanie wielu lat jego ciężkiej pracy. Teraz w Chicago dużą popularnością zaczęły cieszyć się lokale „tematyczne” - miejsca, gdzie w określonej scenerii, oprócz jedzenia, gościom proponowano również udział w specyficznym, starannie zainscenizowanym spektaklu: restauracje rybne z wbudowanymi w ściany akwariami, w których pluskały się ponętne syreny, czy bary stekowe stylizowane na staromodne stacje benzynowe, gdzie za tace do różnorodnego pieczywa służyły kołpaki samochodowe.

- A gdyby tak wprowadzić motyw tradycyjnego włoskiego wesela? - zapytał Angelo Pata, a potem Joeya. - Czemu nie organizować takiego wesela trzy, cztery razy w tygodniu, z młodą parą pełniącą honory domu?

- Podawalibyśmy jedzenie w domowym stylu - *mostaccioli* i klopsiki na wielkich bochnach chleba. W ten sposób zaoszczędzilibyśmy mnóstwo na zastawie - wtrącił podekscytowany Joey.

- Tak. A do tego koniecznie orkiestra i tańce! - wykrzyknął Pat. - W roli państwa młodych moglibyśmy angażować te dzieciaki próbujące przebić się do show-biznesu, wiecie, te dziewczyny i chłopców zatrudniających się w Steppenwolf i Second City. To naprawdę śliczne dzieciaki. Zawsze wykonywaliby pierwszy taniec...

- *Belissimol* - zachwycił się Angelo. - Wyobrażacie sobie coś podobnego? !

- To się nigdy nie uda - zrzędził Augie. - Zbyt wiele kosztów własnych. Co zrobicie, gdy już w pierwszą noc panna młoda rozedrze suknię?

- Moglibyśmy jakoś rozwiązać ten problem - stwierdził Pat pewnym siebie głosem. - Podpiszemy umowę z wypożyczalnią ślubnych strojów i smokingów. Zaoferujemy bezpłatną reklamę. Będziemy wybierać wycofywane fasony. Dla nas nie będzie ważny modny krój. Nawet lepiej, jeżeli suknie będą nieco staroświeckie w stylu. Natomiast

kreacje dla drухen zamówimy z tanich katalogów. Tato! Przecież cały personel możemy przebrać za drużbów i drухny...

Kiedy Beth, ledwo trzymająca się na nogach z wyczerpania, zabierała Kerry i Vincenta do domu gdzieś koło drugiej nad ranem, wszyscy mężczyźni oraz Tree wciąż jeszcze żywo dyskutowali nad tym pomysłem, uderzając dłońmi w stół, pochłaniając niezwykle ilości świeżo parzonej kawy, wychylając małe kieliszki anyżówki. Już w samochodzie Rosie oznajmiła:

- Najgorzej, jak kogoś na starość dotyka szaleństwo. - Ale powiedziała to z uśmiechem na ustach.

Beth jednak nie sądziła, że tak naprawdę Pat rozpocznie batalię o przeprowadzkę do Chicago. A gdy już ją podjął, nie zamierzała dopuścić do tego, by ją wygrał. Z jej punktu widzenia, Pat powinien uważać się za szczęściarza, że w końcu udało im się zbudować - co prawda kruchy - lecz na co dzień w miarę stabilny ekosystem w Madison. Prasa zaprzestała już nagonki; Beth zarabiała pieniądze, tworząc piękne portrety i publikując zdjęcia. Według niej dzieci wyglądały normalnie i zdrowo: Kerry nauczyła się chodzić i mówić mniej więcej wtedy, kiedy powinna; smuga światła wydobywająca się co noc przez szparę w drzwiach do pokoju Vincenta pozwalała przypuszczać, że jej syn w końcu nauczył się czytać swoje szkolne podręczniki po cichu. Beth i Pat mogli nawet mówić o czymś na kształt życia towarzyskiego: od czasu do czasu wybierali się na elegancki obiad z Robem i Annie Maltese. Poza tym Beth, w towarzystwie Laurie, pojawiała się na spotkaniach Compassionaty co najmniej raz na dwa miesiące.

Lecz co do jednego Beth postanowiła pozostać nieugięta. Pat szybciej zdoła ją przekonać, by zatańczyła topless w rotundzie nowojorskiego Capitolu, niż aby przeniosła się z powrotem do Chicago. „Po moim trupie” - mówiła sobie w duchu.

Bo wówczas nie potrafiła przewidzieć, że, wbrew sobie, przystanie na prośbę Pata.

Nie potrafiła przewidzieć wydarzeń, które zaszły w dzień ślubu Candy. W dzień jej lunchu z Ellen i Nickiem. W dzień, gdy drugi trampek Bena pojawił się na kolejnym zjeździe absolwentów. W dzień, kiedy niemalże umarł Pat. W dzień, który stał się dniem jej grzechu.

Patrząc na te wypadki z perspektywy czasu, Beth uświadomiła sobie, że wszystkie rozstrzygnięcia zapadły w ciągu zaledwie kilku sekund - tej krótkiej chwili, której potrzebowała Candy, by oznajmić, że jej zegar biologiczny zaczął dzwonić z wielką siłą i częstotliwością, wobec czego ona oraz jej stary kumpel, Chris, postanowili pobrać się

w pierwszą sobotę, dla obojga z nich wolną od innych zobowiązań. -Wyobraź sobie - będę czerwcową panną młodą - zaśmiewała się Candy - a Beth, ku jej własnemu zdumieniu, udzielił się ów entuzjazm i zaczęła żartobliwie podpytywać Candy, czy wraz z Chrisem rozpoczęli już podróż w świat seksu i czy dla niej była to ciężka wyprawa. - Nie -wykrzyknęła Candy i wybuchnęła śmiechem. - Po prostu zamknęłam oczy i udawałam, że leżę obok Jessiki Lang!

Beth wędrowała wśród stosów świeżo pachnącego drewna, wokół białe laminowanych płyt, które wkrótce pokryją stoły nowej restauracji. W świetle wszystkiego, co zaszło w dzień ślubu Candy, przeprowadzka do Chicago stanowiła naturalny punkt kulminacyjny wydarzeń. W efekcie - całkiem udany.

Dom, który wybrała dla nich Tree (Beth nie chciała nawet rzucić okiem na jakiegokolwiek oferty), okazał się zupełnie niezły, mimo że tkwił w samym środku dzielnicy, gdzie wszyscy kiedyś razem dorastali, zaledwie pięć minut jazdy samochodem od hotelu „Tremont”. Dzieci też zniosły przeprowadzkę o wiele lepiej, niż można by się było spodziewać. Po tym, jak Pat oznajmił Vincentowi „dobrą nowinę”, chłopiec wyszedł z domu i nie dawał znaku życia przez następne trzy godziny. Pat szalał ze strachu o niego, ale Beth pozostała całkiem spokojna. Miała w sobie niezachwianą pewność, że Vincentowi nie może się przydarzyć nic złego. Vincent był twardy. Kiedyś wyrzucił kulę do kręgli przez okno, a jeszcze innym razem zaszły się na dachu ganku, gdy Beth kazała mu pójść spać. Odpalał fajerwerki na placu budowy, w surowych szkieletach nie wykończonych domów, i wszczynął tak wiele bójek na placu zabaw, że Beth nie starczyłoby palców u rąk, żeby je wszystkie zliczyć. A mimo to Beth była przekonana, że Vincent, choć może nie należy do dzieci tryskających szczęściem, pod każdym względem rozwija się prawidłowo. Miała nadzieję, że przebywanie w towarzystwie Angela utemperuje jego wybryki i zapędy. Joey, zanim rozpoczął pracę w „Golden Hat”, był zdecydowanie nieokielznanym wyrostkiem; Angelo zrobił z niego porządnego człowieka.

Mężczyzn wciąż pochłaniała debata nad wystrojem foyer; Beth wyszła na zewnątrz i usiadła na bogato zdobionych, kamiennych schodach. To one przede wszystkim przyciągnęły uwagę Pata. Ceglane, niegdyś mocno poobijane, zewnętrzne ściany zostały teraz pokryte warstwą kremowego tynku i stiukowymi ornamentami; żelazne, kute balustrady i szyld z nazwą lokalu były już także gotowe do zamontowania. Po drugiej stronie ulicy, na parkingu usianym kawałkami tłuczonego szkła, gromadka czarnoskórych dziewczynek przeskakiwała w efektownych

sekwencjach wymyślnych kroków przez dwie skakanki, kręcone jednocześnie w zawrotnym tempie.

Kierując twarz ku zamglonemu słońcu, Beth cofnęła się w myślach o pięć miesięcy - jedynie pięć miesięcy - do dnia ślubu Candy, dnia, w którym Beth złożyła nieodwołalne zobowiązanie, że już na zawsze przeniesie się do Chicago.

Gdy tylko wówczas zjawiała się w mieście, Ellen natychmiast zaprosiła ją na lunch. Jej mąż i Nick P&lladino pracowali wspólnie nad przebudową dawnego żeńskiego college'u przy Hyde Parku, budynku, który teraz miał służyć za niewielki pasaż handlowy i centrum odnowy biologicznej; Beth pojawiła się akurat w momencie, gdy Ellen gadała z Nickiem przez telefon.

- Zgadnij, kto przyszedł! - zaszczebiotała w słuchawkę Ellen i już po chwili Beth, zaskoczona sytuacją, prowadziła rozmowę z Nickiem, wypytywała go o dzieci, zaśmiewała się, słuchając jego relacji z przypadkowego spotkania z Wayneem w pływającym kasynie w Indianie. Ellen w końcu przerwała im, proponując, by resztę rewelacji opowiedzieli sobie osobiście - spotkają się wszyscy razem na lunchu, a potem Beth obejrzy, jakie cudo powstaje w miejsce starego college'u. Podobno Nick w niezwykle sposób wyłożył wnętrza marmurem. I Beth, sama nie wiedząc kiedy, zgodziła się nawet przygotować folder reklamowy.

Czemu właściwie nie miałyby pójść na ten lunch? Ostatecznie, w eleganckim mieszkaniu Chrisa na South Shore powinna pojawić się dopiero około ósmej wieczorem. Beth zarezerwowała sobie mnóstwo czasu na dojazd do Chicago - niepewna, czy poradzi sobie ze znakami drogowymi i płaceniem za przejazd autostradą - przybyła na miejsce już koło dziesiątej rano.

- Zaszalejemy razem po południu - entuzjasmowała się Ellen. -I tak zostanie ci jeszcze trochę czasu do przyjęcia, a w razie czego, zawsze będziesz się mogła przebrać w przyczepie Dana. Bethie, nie daj się prosić, urządzimy sobie wspaniałą zabawę. Pojedziemy do „Isa-belli”...

Beth w końcu odrzuciła głos rozumu. Zgodziła się.

Jednak gdy zatrzymały się przed eleganckim, dyskretnym szyldem kawiarni, poczuła złowieszczy pomruk przesuwających się lodowych mas. Usłyszała trzask, grozący zejściem lawiny.

- To hotelowa restauracja - wyszeptała do Ellen. Ellen wyglądała na osobę zdjętą autentyczną paniką.

- Ja nie przypuszczałam... - zaczęła. - Och, Bethie, w ogóle o tym nie pomyślałam! Czy od tamtej pory nigdy nie byłaś w hotelu? Nigdy?

- Nigdy - odparła szeptem Beth.
- Nawet kiedy jeździłaś do Nowego Jorku?
- Zawsze zatrzymywałam się tylko w pensjonatach - odparła Beth, starannie odmierzając sylaby. - Zawsze, bez wyjątku.
- W takim razie zabieramy się stąd - powiedziała Ellen uspokajającym tonem, zapalając samochód. - Myślałam, że wystarczy, jeżeli nie zbliżymy się do miejsca tegorocznego zjazdu absolwentów...

- Zjazdu absolwentów...

- No wiesz, w tym roku przypada dwudziesta rocznica naszej matury. Uroczystości zaplanowano na dziś i jutro. Czy nie przysłali ci... o, jasna cholera, oczywiście, że ci nie przysłali.

- Właśnie dzisiaj?

- Tak, Beth, ale to naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia. I tak bym tam nie poszła. Ani Wayne. Nikt z naszych przyjaciół tam się nie wybierał. To zupełny zbieg okoliczności...

- Gdzie tym razem?

- W Elmbrook.

Beth przycisnęła dłoń do ust.

- O Boże, Bethie, nie zostaniemy tu na lunch - stwierdziła Ellen. - Wejdę tylko i sprawdzę, czy nie ma tam Nicka, a potem wpadniemy do jakiegoś ekskluzywnego garmazu, kupimy różne pyszności i wyprawimy sobie ucztę w parku, dobrze? Co o tym sądzisz?

Ale właśnie w tym momencie zza rogu starego hotelu wyłonił się Nick. Jego ciemne, kręcone włosy były teraz lekko przyprószone siwizną, szary garnitur leżał na nim nienagannie. Nick wyglądał jak idealnie wycięta papierowa sylwetka z teatryku cieni i na ten widok mięśnie brzucha Beth rozciągnęły się powoli, niczym grzbiet rozleniwionego kota.

- Mój Boże - powiedziała do Ellen. - Tylko popatrz na niego.

- W ogóle się nie starzeje - przyznała Ellen.

- Ach... co tam... niech się dzieje, co chce - mówiąc to, Beth szybko wysiadła z samochodu i rzuciła się w szeroko rozpostarte ramiona Nicka, całując go prosto w pachnące goździkami usta i przetrzymując swoje wargi na jego wargach o ułamek sekundy dłużej, niż należało.

Czy już wtedy wiedziała? Gdy teraz o tym myślała, zdawało się jej, że poddała się wówczas pewnej określonej choreografii - wymyślnemu ciągowi kroków i figur prowadzących nieuchronnie do ślepego zaułka, punktu, z którego nie było już odwrotu.

Beth oparła głowę na usianym drobnymi kamykami stopniu, próbując przywołać wspomnienia owego dnia. Potrzebowała do tego samot-

ności i swoistego rytuału. Nienawidziła się za to; ale i tak w ciągu ostatnich pięciu miesięcy setki razy odtwarzała w głowie wydarzenia tamtego popołudnia i wieczoru - aż do momentu, gdy usłyszała pukanie do drzwi; te obrazy utrwaliły się w jej pamięci z iście fotograficzną dokładnością.

Do lunchu zamówili butelkę wina - Ellen wstrzemięźliwie poprzestała na jednym kieliszku, bo zgodziła się pełnić funkcję kierowcy Beth. Siedzieli i rozmawiali o... o zupełnych błahostkach. Wspominali ten wieczór, gdy wszyscy wpakowali się do należącego do ojca Nicka, rozklekotanego krążownika szos, a potem podkradli się pod bramę klasztoru o ten jeden raz za dużo i mnisi spuścili na nich rozjuszony doberman, co Wayne opłacił całym tyłem swojej skórzanej kurtki. Przypomniało im się, jak pewnego razu jakiś dowcipniś z klubu filmowego podniósł nie to skrzydło kurtyny w czasie przedstawienia kabaretowego, odsłaniając Cecil Lockhart przebierającą się w przerwie między występami, nie mającą na sobie nic poza skąpą bielizną, i jak Cecil, zupełnie nieskonfundowana, przybrała pozę modelki w błękitnym świetle jupitera, wprawiając osłupiałą, zamarłą z wrażenia widownię w niemalże nabożny podziw. Rozpamiętywali pewną letnią noc, gdy pomogli Beth potajemnie opuścić obóz dla młodzieży, gdzie pracowała jako opiekunka, by mogła zjawić się na weselu Cherry i Toniego; Cherry miała wówczas siedemnaście lat i oczekiwała dziecka, wobec czego Bill i Evie kategorycznie zabronili Beth udziału w tej uroczystości.

A chwilę potem zabrzączał pager Ellen. Beth pamięta, że Ellen wściekła się na Dana, który prosił ją, by pojechała po fachowca do jakiegoś cholernego warsztatu szklarskiego i przywiozła go ze sobą na budowę: okazało się, że wszystkie szyby zostały źle przycięte, a jedyny cieśla, który ewentualnie byłby w stanie zrobić to na miejscu, akurat asystował żonie przy porodzie. Czy Nick mógłby sam zawieźć Beth do starego college'u, gdy już skończą lunch? Jasne, że mógł. Tak więc Nick podniósł się i wyszedł wraz z Ellen, by przenieść torbę Beth i jej trzy aparaty fotograficzne z bagażnika Ellen do swojego samochodu na wypadek, gdyby Ellen utknęła w jakimś korku i nie zdążyła dojechać do nich na czas. Beth tymczasem wtuliła się w czerwoną skórę miękkiej barowej łoży i piła, piła zachłannie wino, opróżniając drugą już butelkę pinot noir, zastanawiając się leniwie, jak w takim stanie zdoła zamknąć jedno oko, by robić zdjęcia na weselu Candy.

Wciąż jeszcze ma przed oczami powracającego Nicka i słoneczną poświatę wokół jego głowy, gdy otwierał drzwi ciemnego baru. Usiadł przy stoliku - nie naprzeciwko, ale tuż obok Beth, i ich rozmowa za-

częła od razu nabrzmiewać podskórnym erotyzmem, pulsować atmosferą gorącej nocy, mimo że nad barowymi markizami płonęło słońce wczesnego popołudnia. Wspominali stary most-tunel w hrabstwie Lake, gdzie w letnie wieczory kładli się w kabrioletcie należącym do Beth: Nick rozebrany ze wszystkiego prócz koszuli - jednej z tych swoich pastelowo-brzoskwiniowych czy różowych koszul, które każdego innego mężczyznę czyniłyby zniewieściałym - u Nicka zaś efektownie podkreślały opaleniznę muskularnego ciała, jego toskańską doskonałość. Beth natomiast - z szortami zsuniętymi z bioder i koszulką zawiniętą byle jak, gdzieś nad biustem - ponagląca Nicka, by wreszcie odważył się i „to” zrobić. Lecz Nick wstrzymywał się, odchyłał od niej swoje, niczym odlane z brązu, biodra, a potem zawisał tuż nad nią, pozwalał obejmować się w gwałtownym uścisku, miażdżył jej piersi swoimi ustami, by po chwili zatrzymać się gwałtownie, mówiąc: „Nie, nie możemy, mamy się przecież pobrać, tak nie wolno”. Wyjaśniając, że to, co mówią o nim i Lisie Rizzo, jest jedynie plotką - niczym więcej, tylko wyssaną z palca plotką; on nigdy tego wcześniej nie robił. Kochał jedynie Beth. Jedynie jej pragnął i pożądał.

Beth świetnie pamięta, że wtedy, w barze „Isabella”, Nick zarzucił ramię na oparcie za jej plecami, zatrzymując swoją dłoń tuż nad ramieniem Beth, niemal jej dotykając, i wspominał te chwile ze swojego własnego wesela, kiedy opowiadał jej, jak bardzo uwielbia Trisnę, jak do końca życia będzie wdzięczny jej i Patowi za to, że ich ze sobą poznali, i chociaż cieszy się ze ślubu Beth i Pata, to i tak do końca życia będzie żałował, że nigdy razem z Beth nie poszli do łóżka.

A potem - Beth najbardziej nienawidziła się za to, że tak kochała to wspomnienie - Nick pochylił się i powiedział półgłosem: - Do tej pory tego żałuję, Bethie.

Nic na to nie odpowiedziała. Wstała i weszła do łazienki, gdzie wy-szczotkowała włosy, badając własną twarz w lustrze oprawionym w starą, złotą ramę. Tym razem patrzyła na siebie tak, jak musiał patrzeć na nią Nick, i nie widziała już wychudzonego, ponurego straszdyła, jakie każdego dnia wyzierało na nią z lustra łazienki w Madison, w ostrym świetle jarzeniowych żarówek. Teraz ujrzała szczupłą, delikatną, godną pożądania kobietę, której zapadnięte policzki i cienie pod oczami nie wyglądały już żałośnie, lecz dodawały rysom efektownego dramatyizmu, tak zresztą jak i burza ciemnych włosów oraz usta nabrzmiałe erotycznym uniesieniem, świadomością, że kiedy wyjdzie z łazienki, Nick już będzie miał przy sobie klucz do pokoju hotelowego. Weszli razem do windy, a potem korytarzem oświetlonym przyćmionym świa-

tłem, mającym ukryć przetarcia na niegdyś kosztownym, wełnianym dywanie, doszli do pokoju zwanego „Fioletowym”, umeblowanego samymi antykami. Beth powiesiła swoje ubranie starannie tuż obok ciężkiej, marmurowej umywalki, po czym, bez zahamowań, bez chwili wahania, obróciła się w stronę Nicka, przekonana, że oboje odrzucili już zbędne słowa, ślubowania, wątpliwości. Nick powiedział jedynie: -*Andante*, Bethie. *Andante*. Tak długo czekaliśmy na ten moment. - A ona tylko pokiwała głową.

Przez następne półtorej godziny - Beth ponad głową Nicka mogła rzucić okiem na zegar - leżeli na lawendowej kapie łóżka, dotykając się, niespiesznie smakując swoje ciała, aż w końcu każda cząstka Beth wpadła w gwałtowne, niepohamowane drżenie, aż wewnętrzna strona jej ud stała się tak wilgotna, że jej noga ześliznęła się z ciała Nicka, gdy Beth próbowała się owinać wokół niego, aż jęk wydobywający się z głębi jej gardła nabrał monotonnej, niezmiennej wibracji, niczym silnik zastawiony na jałowym biegu. A potem Nick odsunął prześcieradła i wtedy - gdy w nią wchodził - Beth przez jedną krótką chwilę pomyślała o Pacie: Pat w środku niej był dłuższy, ale Nick grubszy, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała, szczelniej wypełniał ją całą, gdy zaczął się ruszać, powoli, powoli, uciszać ją i uspokajać, kiedy zachłannie chwytając go i gorączkowo przyciągała ku sobie. W umyśle Beth nie istniało teraz nic poza obrazem jego złocistego, nie owłosionego torsu, dotykającego jej policzka, i uczucia niewysłowionej przyjemności, której jej zdradliwe ciało zdawało się zaznawać po raz pierwszy od czasu, gdy Beth w ogóle przekonała się, że w życiu można doświadczać podobnych rozkoszy. I kiedy poczuła, że tym razem na pewno osiągnie orgazm, że jest to równie nieuchronne jak oddychanie - usłyszała pukanie do drzwi.

Usłyszała pukanie i pomyślała natychmiast: „W hotelu wybuchł pożar”. A zaraz potem przebiegło jej przez głowę: „Wybuchł pożar, a więc wciąż jeszcze mamy pięć minut czasu. Te pięć minut, których mi właśnie potrzeba. Za które oddałabym resztę swojego życia”. Pukanie. Gwałtowne pukanie. Jej imię. Wypowiedziane głośno. Kobięcy głos, nie głos Ellen, jednak głos dobrze jej znany.

Świadoma, że jeszcze nie wytrzeźwiała, potykając się i chwiejąc, wciągała dżinsy, drażniące rozedrgany splot mięśni pomiędzy nogami. Zapięła koszulę. Usłyszała swoje imię. Ponowne, bardziej natarczywe pukanie.

Reszta wydarzeń jawiła się Beth tak, jakby ich sama nie doświadczyła, a jedynie знаła je z relacji prasowych. Zobaczyła wianek z kwiatów we włosach Candy, stojącej na progu w sukni koloru szampana.

Co za absurdalna sytuacja!

- Wydawało mi się, że miałaś dziś wychodzić za mąż - zagaiła Beth.

- I wyszłam za mąż - brzmiała odpowiedź Candy, która, spoglądając na zegarek, dodała natychmiast: - Mniej więcej godzinę temu.

Candy nigdy nie spytała Beth, kto był z nią wówczas w tym pokoju. Nie bawiła się też w żadne przeprosiny, wyjaśniła jedynie, że gosposia Ellen powiedziała jej, dokąd się obie udały na lunch. Nick zniknął w łazience; Beth weszła jeszcze na moment do pokoju, tylko po to, by zabrać torebkę, zapominając zupełnie o swojej bieliźnie. Wsiadła do radiowozu zaparkowanego przed wejściem, opadła na siedzenie obok kierowcy - jasnowłosej panny młodej z wysoko upiętym francuskim warkoczem - i odjechała żegnana wzrokiem osłupiałego ze zdziwienia właściciela kawiarni. W jakiś czas potem na posterunku w Parkside zjawiała się Ellen ze wszystkimi bagażami Beth i wtedy, w łazience na pierwszym piętrze, Beth mogła się wreszcie przebrać. Włożyła górę od swojego wyjściowego stroju - koszula, którą miała na sobie, była przesiąknięta potem - mokra od seksu i późniejszej paniki. Przez pierwszych parę godzin, gdy Candy bądź Calvin Taylor wpadali do pokoju, w którym siedziała, by powiadomić ją o aktualnych wydarzeniach w hotelu „Hyatt” w Elmbrook, gdzie policja stanowa oraz funkcjonariusze z Parkside i Elmbrook przesłuchiwali gości zjazdu absolwentów Immaculaty rocznika 1970 - Beth nawet nie pomyślała o zawiadomieniu Pata.

Ściemniało się już, gdy Candy, wyplątując z włosów kunsztowny, mały wianek z liści winorośli i kwiatów gardenii, spytała Beth, czy Pat jest już w drodze do Chicago. Ellen poderwała się, by do niego zadzwonić, ale Beth, wiedzona poczuciem winy, dodającym jej energii i siły, pobiegła za nią i w ten sposób to właśnie ona powiadomiła swojego męża, że gdy przed uroczystym obiadem otwarto drzwi sali balowej hotelu „Hyatt”, na mównicy stał maleńki trampak z dużą czerwoną papugą. O ironio, pierwszą osobą, która go zobaczyła, była Barbara Kelliher, Barbara, która niemal zemdląła na ten widok, a po chwili wybiegła z sali, histerycznie nawołując Jimmy'ego. Pat dowiedział się, że początkowo Jimmy i Karl Kelliher uznali to za niesmaczny wybryk spaczzonego umysłu, ale Jimmy wykazał się jednak dużą przytomnością i nie pozwolił nikomu dotknąć trampka, potem zaś przełamał swoje skrupuły i poszedł zadzwonić do Candy, w pełni świadomy, że ona zapewne w owej chwili spełnia toast weselny, niemniej przekonany, że nie wybaczylaby mu, gdyby jej nie zawiadomił, a cała sprawa nie okazała się jednak czymś chorym dowcipem. W końcu Beth oznajmiła swojemu mężowi, że gdy

tylko zobaczyła ten bucik poprzez folię woreczka na dowody rzeczowe, nie miała najmniejszych wątpliwości, że to drugi trampek jej synka -maleńkie „B” z zielonego plastiku, wciśnięte na sznurowadło, by uniemożliwić drobnym paluszkom rozwiązanie buta, stanowiło dla niej niezbity dowód, że jest to rzeczywiście trampek Bena.

Mówiła to wszystko Patowi, on jej coś odpowiadał, a po chwili usłyszała ciężkie westchnienie i trzask telefonu spadającego na podłogę. Straciła połączenie. W końcu udało się jej złapać Augiego i dowiedziała się o ataku Pata. A potem pamięta tylko, że pędziła radiowozem policyjnym, z Calvinem Taylorem za kierownicą, z prędkością dobrze ponad 160 km/godz., z syreną policyjną wyjąca w miejscach kontroli drogowej na autostradzie między stanowej. Beth spędziła następne trzy dni, klęcząc przy łóżku Pata, nie w pełni świadoma doniesień z Chicago, jakie od czasu do czasu przekazywał im Rob. Znaleziony trampek został rzeczywiście wyprodukowany w 1985 roku. Zdjęto z niego odciski palców, jednak uległy one jakiemuś zniekształceniu. Wszyscy absolwenci, którzy zjawili się na zjeździe - w o wiele mniejszej liczbie niż pięć lat temu - zostali przesłuchani i okazali się poza wszelkimi podejrzeniami. Obsługa hotelu nie zauważyła kogokolwiek wyglądającego dziwnie czy nie na miejscu.

Prasa szalała. Rob powiedział im, że jakiś policyjny żółtodziób czy ktoś w tym rodzaju zaczął opowiadać o znalezionym buciku w taki sposób, jakby dla wszystkich było oczywiste, że znaleziono już jeden trampek z czerwoną papugą, który mógłby naprowadzić na ślad porywacza. Candy wpadła we wściekłość, choć bez trudu udało się jej nie dopuścić do druku pewnych szczegółów. Nie minęła nawet doba od wydarzeń w Elmbrook, a twarz Bena pojawiła się ponownie na pierwszych stronach wszystkich niedzielnych gazet jak Stany długie i szerokie. Rob oznajmił im też, że od momentu gdy media dowiedziały się o pobycie Pata na oddziale intensywnej terapii, na parkingu przed szpitalem rozgrywały się takie same sceny jak przed więzieniem stanowym w dniu egzekucji Gary'ego Gilmore'a.

W owych dniach Beth pragnęła jedynie wpatrywać się w twarz Pata, obserwować, jak ołowiana szarość jego policzków nabiera lekko różowego zabarwienia. Chciała tylko oprzeć głowę o skraj szpitalnego łóżka i modlić się za swojego męża, żeby na pewno przeżył, bo już od dawna myślała o nim jako o jedynym rodzicu swoich dzieci - jedynym, który przetrwał katastrofę. Siedziała tak, a w uszach dźwięczał jej głupawy śmiech Pata, gdy dowiedział się, że - pomimo ich usilnych starań - Beth znowu zaszła w ciążę. Wówczas była to Kerry. Pamiętała koły-

sanke, jaką Pat nucił ich córeczce w poranek tuż po jej narodzinach. Przed oczami miała obraz Pata rysującego grubym flamastrem serce na jej brzuchu, kiedy chodziła w ciąży z Benem. Wydawało jej się, że wciąż obserwuje Pata, grającego w dziecięcej lidze baseballowej - ona stoi w grupie dwunastolatków i liże lody o smaku zmrożonej krówki, a widok Pata, z luźnym pasem na płaskich niczym dłoni biodrach, przyprawia ją o gęsią skórę. Teraz Beth siedziała przy szpitalnym łóżku, wydzielając odór niewierności i zdrady, przysięgając Patowi - Bogu, ślepemu losowi - że zrobi wszystko, o co tylko poprosi jej mąż. I Pat, Bóg oraz ślepy los przyjęli to.

Od tamtego dnia Beth więcej nie rozmawiała z Nickiem. On zostawił dla niej mnóstwo wiadomości na automatycznej sekretarce -grzecznościowych pytań o Bena i Pata - lecz ona nigdy nie odpowiedziała na żadną z nich. Po jakimś czasie dostała liścik z jedną, jedyną linijką tekstu: „Przykro mi, ale niczego nie żałuję”.

Brak podpisu.

Wtedy najbardziej chciała do niego zadzwonić. Karmiła się fantazjami o czystym, sprawiedliwym spełnieniu pięknego romansu, w którym dwoje kochanków odnajduje się ponownie po dwudziestu latach, by już na zawsze pozostać razem. Jej jednak nie został przeznaczony podobny scenariusz. Pat przeżył. Zamknął się rozdział.

Ani ona, ani Candy nigdy nie powróciły do tamtych wydarzeń. Chociaż gdy Beth wraz z Patem sprowadzili się do Chicago, Candy w krótkim czasie odwiedziła ich dwukrotnie. Za pierwszym razem przyniosła sól i chleb, świadoma, że Pat doceni ten gest, oraz nieco wieści związanych z „nowym” śledztwem. Policja właściwie nie miała się na czym oprzeć. Federalni spieprzyli coś z odciskami palców. Ponownie uruchomione linie telefoniczne dostarczały niezmiernie skąpych informacji, głównie zresztą świadczących o ewidentnym szaleństwie informatorów. Barbara Kelliher próbowała namówić paru absolwentów Immaculaty do wznowienia działalności centrum poszukiwań Bena, które zorganizowała teraz we własnym domu, jednak spotkała się ze słabym oddźwiękiem. Większość ich wspólnych szkolnych znajomych była szczerze przerażona klątwą, jaka zawisła nad zjazdami absolwentów, i wycofała się z czynnego działania. Nawet Wayne ograniczył się jedynie do przesłania czeku na tysiąc dolarów.

Natomiast policja przygotowywała teraz komputerowy portret Bena z uwzględnieniem zmian, jakie najprawdopodobniej zaszły w jego twarzy w ciągu ostatnich pięciu lat. Candy przekonywała Beth, że coś musi z tego wyniknąć. Musi. Jednak Beth była równie pewna tego, że

w tej sprawie już nic nowego się nie pojawi, jak tego, że na widok konduktu pogrzebowego dłoń Rosie bezwiednie powędruje w górę i odruchowo chwyci za guzik - tego gestu Beth mogła być zawsze absolutnie pewna. Beth miała niezachwiane przekonanie, że w sprawie Bena nie pojawi się już nic nowego - ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości. Ale i tak serdecznie podziękowała Candy.

Za drugim razem Candy przyszła z czysto towarzyską wizytą. Rozsiadły się wówczas obie na ganku: Beth popijała kawę z brandy, a Candy - alka seltzer, sądząc, że może jest w ciąży. (-Jest mi niedobrze, ale w zasadzie ciągle jest mi niedobrze - mówiła z westchnieniem. - Pewnie po prostu mam wrzody). Beth gderliwie narzekała na Vincenta. Do końca września jej syn zdołał pobić absolutny rekord szkoły w nieodrabianiu prac domowych. Pedagog szkolny postanowił poddać go badaniom na zaburzenia koncentracji. Beth skądinąd była święcie przekonana, że Vincent nie ma najmniejszych problemów z koncentracją: mógł godzinami studiować sportowe strony gazet, oglądać telewizję i wpisywać wyniki meczów do swojego specjalnego notesu, w którym dla każdej dyscypliny sportu przeznaczył kartki innego koloru.

Kiedy Candy zbierała się już do wyjścia, odwróciła lekko twarz w stronę Beth i powiedziała:

- Jeżeli kiedykolwiek miałabyś ochotę powiedzieć mi, co cię gnębi... Jakby przyłapaną na gorącym uczynku, Beth szybko weszła jej w słowo:

- Och, po prostu nie znoszę tego miasta, to wszystko. Candy potrząsnęła głową:

- Tego przecież nie musisz mi mówić, chciałam powiedzieć, że jeżeli miałabyś ochotę porozmawiać ze mną o tym, co naprawdę jest nie tak...

Beth jednak nie zamierzała o tym mówić. Nawet z Ellen. Ani nawet z Candy. To była część układu, który zawarła sama ze sobą - gdzieś głęboko w sercu musi samotnie dźwigać ciężar swojej ostatecznej zdrady - zdrady wobec Bena i niewierności wobec Pata.

Beth niemal drzemała w słońcu, gdy Pat wyszedł i usiadł obok niej na schodkach.

- Ojciec i Kip, dekorator, znowu na siebie wrzeszczą. Znaczą, że obaj są w swoim żywiole. Wszystko świetnie się ułoży.

Pat się przejmował. Beth delikatnie wciągnęła powietrze nosem. Przejmował się, a więc wszystko z nim w porządku.

- To świetnie, Paddy - odpowiedziała. A zaraz potem oboje podnieśli się z kamiennych stopni i razem pojechali do swojego nowego domu.

Reese

Rozdział 1 ó

Listopad 1991

- Przechowuje się to w plastikowych baniakach o pojemności galona, jak mleko czy coś w tym rodzaju.

- Ale to nie jest ciecz?

- Nieee. Wygląda jak ciasto zrobione ze sprasowanych kryształów. Po prostu odcinasz taką porcję granulek, jakiej w danej chwili potrzebujesz.

- A wy ile potrzebowaliście?

- Sporo. Całkiem sporo. Cholernie... - Reese oszacował spod oka psychiatrę siedzącego po drugiej stronie stołu; co sobie pomyśli, gdy usłyszy przeklinającego trzynastolatka? Prawdopodobnie uzna to za dowód jego choroby psychicznej. Niezła taktyka. Tata przecież powinien dostać coś w zamian za swoje pieniądze. - Cholernie dużo. Prawie cały galon.

- Gdzie można dostać ten... no... ?

- Węglík wapnia. Karbid.

- Gdzie można go dostać? Czy wy przypadkiem nie zwędziliście tej substancji?

- Zwędziliście?

- No wiesz, Vincent - ukradliście.

„Ten facet - pomyślał Reese - jest zupełnie z innej bajki”.

- Nie - odparł teraz. - Nie ukradliśmy. Częściowo dlatego, że tego nie można ukraść - nikt już teraz nie handluje karbidem. Czasami jeszcze trzymają go na budowie. Albo przy wyrobiskach górniczych.

- Górniczych?

- Aha. No wie pan, wydobywanie miedzi albo węgla? - Reese rzucił okiem na zegar z tłustymi, czerwonymi cyframi, zegar na ciekłych kryształach, wiszący nad głową tego psychiatry-szamana. Ich dyskusja pochłonęła już całe dwadzieścia minut. W Reese'a wstąpiła nowa otucha. Jeżeli akcja będzie rozwijać się w takim tempie, to pozostałe czterdzieści minut uda mu się spędzić, snując powoli opowieść o swojej słynnej eksplozji. Transmisja rozpoczynała się o pierwszej; tacie, jak zwykle, zajmie około dwudziestu minut pożegnanie ze swoim kumplem od bilardu, Deucem, a jazda samochodem w sobotę potrwa około dziesięciu minut - hej, a więc w ten sposób znajdzie się w domu pod koniec drugiej - najwyżej na początku trzeciej kwarty, to wystarczy. A tym razem nie tylko chodziło o przyjemność oglądania jego ulubionego meczu sezonu (Milwaukee Brewers - drużyna, której kiedyś namiętnie kibicował - kontra White Sox, ulubiona drużyna ojca), ale i o wymierne korzyści materialne: od rezultatu tego spotkania cholernie dużo zależało - naprawdę cholernie dużo. Reese dostawał szału, gdy nie mógł oglądać meczu, na który przyjmował zakłady, a w szczególności, gdy zdecydował się zainwestować także własne pieniądze. Oczywiście, kiedy prowadziło się operacje na tak wielką skalę, na jaką prowadził je Reese, należało liczyć się z tym, że nie uda się obejrzeć wszystkich spotkań. To było jasne jak słońce. Reese nie może się przecież porównywać do Toma Boswella czy kogoś w tym rodzaju. Nie ma mowy, by zarabiał na życie pisaniem o sporcie, będąc wciąż, w zasadzie, dzieckiem. Na przykład o oglądaniu „playoffów” pucharu Stan-leya nie miał nawet co marzyć, bo pokazywali je wtedy, gdy już musiał iść spać. A z kolei niektóre inne spotkania nadawali w środku dnia, kiedy, chcąc nie chcąc, przebywał w szkole. Oczywiście, zawsze był na bieżąco - czytał gazety, słuchał radia, studiował tabele wyników - w takim fachu trzeba być na bieżąco, lecz nie dość, że wymagało to skrupulatnej organizacji, to na dodatek Reese miał czasami poczucie, że oglądanie meczów nie sprawia mu już przyjemności. Ale nie dzisiaj. Dzisiejsze spotkanie będzie wspaniałe. Gdyby jeszcze udało mu się odpowiednio pokierować tym drobnym przesłuchaniem i zdążyć do domu na czas - czułby się jak król.

- Wydobywanie węgla? - zapytał teraz człowiek z innego świata. Na oko wyglądał na faceta w wieku jego kuzynki Jill, którą Reese potrafi! doprowadzić do łez, kiedy tylko miał na to ochotę.

- No właśnie. Stosowali to w lampach karbidowych, takich małych światełkach, które miały niewielki zbiorniczek z wodą. Wsypywało się

do nich trochę tej substancji i reakcja chemiczna, no wie pan, sprawiała, że ogień utrzymywał się bardzo długo.

- Czemu po prostu nie używali baterii? - Niesforny, jasny kosmyk opad! na czoło psychoanalityka i zatrzymał się dokładnie między jego oczami, co w jakiś sposób drażniło Reese'a.

- Cóż, uhm, pan wybaczy, ale kiedyś po prostu nie było baterii, no a poza tym, rozumie pan, baterie są naprawdę drogie. Takie światełko na kasku musi się palić przez - boja wiem? - jakieś dwanaście godzin, a baterie szybko się wyczerpują. No więc, jeżeli te światełka musi mieć cała zgraja facetów...

- Jasne, Vincent. Rozumiem... czysta ekonomia. - Psychiatra rozparł się na krześle, rozluźniony i zadowolony.

- No właśnie.

Cała ta scenka z rozluźnieniem i zadowoleniem okazała się jednak jedną wielką lipą, bo gość natychmiast znowu zaczął drażnić.

- No dobrze, więc jak zdobyliście tę substancję?

- Kiedyś sprzedawali karbid w sklepach ze sprzętem kempingowym.

- Ale teraz już nie sprzedają.

- Nie. Teraz są lampy gazowe Colemana i tym podobne.

- Więc skąd to wzięliście?

Reese rzucił okiem na zegar. Bardzo dobrze. Bardzo, bardzo dobrze. Upłynęło już całe trzydzieści minut.

- Dziadek mojego kumpla Jordiego trzymał karbid w garażu. On jest inżynierem.

- Czy wiedział, że go zabieracie? -Nie.

- A co zrobił, kiedy odkrył, w jaki sposób spowodowaliście ten... incydent? To znaczy, oczywiście wykazaliście się dużą kreatywnością w wykorzystaniu substancji chemicznej, ale można sobie wyobrazić, że dziadek Jordiego...

- Był zdecydowanie niezadowolony. Naprawdę bardzo niezadowolony.

- A twoi rodzice? Założę się, że oni też byli niezadowoleni.

Reese wpatrywał się nieruchomo w oczy młodego mężczyzny. Ćwiczył to od wielu lat, nauczył się nie mrugać powiekami, gdy godzinami leżał bezsennie w swoim pokoju. Trzymał oczy szeroko rozwarte tak długo, aż zdawało mu się, że powleka je cienka warstwa gumy. I cały ten wysiłek sownie mu się opłacił; robił piorunujące wrażenie na nauczycielach, trudno sobie wyobrazić lepszy manewr, gdy zadawali mu pytanie w rodzaju: „Vincent, czy mógłbyś to wyjaśnić?”

- Moi rodzice też byli niezadowoleni. To właśnie dlatego, hmm, znalazłem się tutaj.

- Rodziców nie satysfakcjonowały twoje wyjaśnienia...

- Mmmmm... nie.

- Więc chcieli, żeby ktoś porozmawiał z tobą na ten temat?

- Tak. Chyba tak. Oni sądzą, że oszalałem. To znaczy, mój tata tak sądzi. Moja mama...

- Twoja matka?

- Ona... moja matka nie zwróciła na to szczególnej uwagi.

- Dlaczego?

- No wie pan, jest zajęta moją młodszą siostrą i w ogóle.

- Tak, oczywiście. Ale wydaje mi się, no wiesz, że ona może też się tym poważnie przejęła i po prostu nie...

- Wszystko jest możliwe.

- Tak więc usunęliście pokrywę studzienki... Jak to zrobiliście?

- No wie pan, podnieśliśmy ją.

- Te pokrywy są bardzo ciężkie, a wy podnieśliście ją, tak ot?

- Tak. Mieliśmy długi kawał rury. Naprawdę długi, gdzieś na półtora metra, z metalu, nie z PCV I włożyliśmy tę rurę w jeden z otworów w pokrywie...

- I wyważyliście ją? -Aha.

- To chyba było trudne?

- Cóż, wie pan, jak to mówią: „Wskażcie mi punkt oparcia, a dźwignę cały świat". Czy coś w tym stylu.

- Mówią?

- Znaczą się, Archimedes. -Och.

- No właśnie. - Facet wyglądał na zatroskanego. Oczywiście dlatego, że dzieciak w wieku Reese'a wie cokolwiek o Archimedesie; dorośli mają określone wyobrażenia twojej osoby, tego, co jesteś w stanie pojąć, a co przekracza twoje możliwości. Jeżeli wyjdiesz poza ich koncepcje, od razu traktują cię jak wroga - mówią, że się popisujesz, że jesteś dupkiem czy kimś takim. Więc na wszelki wypadek Reese dodał natychmiast: - Oglądałem o tym program w telewizji.

- Ach, rozumiem. - Facet spojrział w dół na leżące przed nim arkusze, zanotował coś, a potem przesunął okulary z nosa na czubek głowy. Teraz wyglądał jeszcze młodziej - najwyżej na szesnaście lat. Reese pomyślał, że z łatwością poradzi sobie z tym gościem - dla niego to kaszka z mleczkiem.

- A co ty o tym wszystkim sądzisz, Vincent? Myślisz, że twoi rodzice chcieli, żebyś porozmawiał ze mną jeszcze z jakiegoś innego powodu niż ta eksplozja?

Reese wykrzywił twarz.

„Vincent” - gdy to słyszał, czuł się tak, jakby go użądliła osa. „Vincent” to było imię dla mięczaka, dla beznadziejnego frajera, a na dodatek tylko włos dzielił „Vincenta” od „Vinniego”. Reese'owi nie przeszkadzało zbytnio, gdy babcia Rosie nazywała go „Cenzo”, „Cenzo” brzmiało całkiem nieźle. Ale „Vincent” - te syki przyprawiły go

0 mdłości.

- Czy coś się stało?

Reese zerknął na zegar... teraz musi rozgrywać wszystko starannie

1 powoli...

- Uhm... chodzi o to imię...

- Twoje imię?

- Widzi pan, „Vincent” to nie jest moje imię.

- Och? W karcie, którą dostałem od twojego lekarza...

- Tak, ale wszyscy nazywają mnie Reese.

- Aha. A czemu? Czy to jakieś zdrobnienie od Vincenta?

Ten facet jest naprawdę zupełnie nie z tej planety. Chyba w ogóle nie wie, gdzie żyje.

- Nie - Reese mówił teraz powoli i wyraźnie, jakby przemawiał do jednego z Wongów, dzieciaków, którym w szkole pomagał w matematyce. Na biologii te dzieciaki nigdy nie zajmowały się tym, co należy, tylko wciąż doskonaliły sposób otrzymywania proszku z krewetek; i każdego z nich nazywali Wongiem - od nazwiska tego faceta, który napisał podręcznik do biologii dla początkujących. - To znaczy, naprawdę ja mam na imię Vincent Paul. Ale kumple z klasy... widzi pan, kiedy przeprowadziliśmy się do Chicago, rok temu, i gdy w szkole wyczytywali moje nazwisko z listy, ktoś wykrzyknął: „Vincent Paul? Saint Vincent de Paul? On ma tak samo na imię jak sklep z używaną odzieżą!” -Zna pan ten sklep? Z takimi wielkimi sztyldami „Resale”?¹

No i wszyscy zaczęli się śmiać, ale nie złośliwie, tylko wesoło, a potem... ponieważ ja noszę takie ubrania... to znaczy, lubię we wszystkim czuć się luźno i wygodnie... kumple z klasy zaczęli wołać na mnie „Resale! Hej, Resale!”, no a potem skrócili to do „Reese”.

- Bardzo zgrabna przemiana. Oczywiście, jeżeli komuś podoba się takie nowe imię. Ale może tobie się ono nie podobało? Czy było ci z te-

¹ *Resale* (ang.) - sprzedaż z drugiej ręki. (Przyp. dum.)

go powodu przykro? Czy wydawało ci się, że koledzy wyśmiewają się z twojego ubrania?

- Skąd! Gównu mnie obchodziło, co myślą o moim ubraniu - oznajmił Reese i natychmiast się zreflektował. Co innego słowo „cholerny”, a co innego „gówno”. Sądząc po twarzy tego faceta, która nagle zupełnie stężała, on myślał dokładnie tak samo. - Przepraszam. Ależ nie. Nie miałem nic przeciwko tej zmianie.

- Dlaczego?

- Jak się pan nazywa?

- Dr Kilgore.

- Nie, to znaczy, chciałem zapytać, jak pan ma na imię.

- Och... Thomas, Tom.

- No więc, niech pan wyobrazi sobie teraz, że ma pan na imię Vincent. - Reese spojrział na czerwono podświetlane tłuste cyfry. - Doktorze Kilgore, nasz czas dobiegł końca. Mój tata już chyba czeka na mnie w samochodzie...

- Och, rzeczywiście, masz rację. Po prostu zamyśliłem się nad tymi pokrywami od kanału. Tak, oczywiście. Następnym razem porozmawiamy więcej o...

„Jasne. Absolutnie” - pomyślał Reese. Przypuszczał, że tata płaci temu facetowi gdzieś w okolicach pięćdziesięciu dolarów za godzinę. Więc jeżeli jeszcze kiedykolwiek się spotkają, to najwyżej na torze do jazdy na wrotkach.

- Oczywiście - odpowiedział Reese. A potem uniósł wzrok - i niech szlag trafi jego zakichane szczęście i niezawodne wyczucie czasu - w drzwiach do gabinetu tego gościa stał jego tata. Właściwie nie w drzwiach, ale w łukowato sklepionym wejściu - doktor Kilgore nie miał tu drzwi, zupełnie ich nie potrzebował, bo gabinet zajmował prawie cały parter domu, natomiast poczekalnia została urządzona w takim czymś przypominającym werandę. Tata, jak to było w jego zwyczaju, od razu wkroczył do środka.

- Pan Cappadora - rozpromienił się szaman, wyciągając ręce i pławiąc się w uśmiechach. Reese już dawno zauważył, że tata wzbudza we wszystkich podobne uczucia. Jego mama - ze swoimi wielkimi oczami czarownicy i wąską, kościstą twarzą - działała na ludzi odpychająco, czego oczywiście zupełnie nie dostrzegała (to tak *apropos* ludzi, którzy nie wiedzą, gdzie żyją). Przerzała ich. Natomiast kiedy pojawiał się tata, wszyscy zachowywali się tak, jakby chcieli go poczęstować pączkiem czy czymś podobnym. Przyjaciółki babci Rosie wciąż go przytulały i głaskały, jakby tata był w wieku Reese'a czy Ker-

ry. A kumple dziadka Angela i nawet dziadka Billa wykrzykiwali zawsze: „Paddy! Paddy, mój drogi chłopcze!”, i potem wciskali mu jakieś prezenty. Wszyscy zachowywali się tak, jakby znali tatę na długo przedtem, zanim go w rzeczywistości spotkali, jakby był ich dawno zaginionym bratem czy kimś w tym rodzaju.

- Panie Cappadora, chciałbym omówić z panem parę drobiazgów, lepiej poznać sytuację rodzinną... Przez telefon nie mogliśmy wyjaśnić sobie wszystkiego, ponieważ sprawa była dość nagiej natury...

No i tata Reese'a od razu się uśmiechnął i powiedział, że tak, oczywiście, chętnie porozmawia, chociaż Reese dobrze wiedział, że tata gdzieś za godzinę musi znaleźć się w restauracji, żeby wszystkiego dopilnować. Reese rzucił okiem na zegar. Zbliżał się już koniec pierwszej kwarty, nie miał co do tego najmniejszych złudzeń.

- Vincent - powiedział teraz tata - możesz iść do samochodu i posłuchać radia. - Vincent skoczył do wyjścia. Ich wielki, krowiasty Chevrolet stał zaparkowany przy krawężniku, właściwie nie dokładnie przy krawężniku, ale jakieś trzydzieści centymetrów od niego, bo tata Reese'a nie należał do utalentowanych kierowców, chociaż zawsze mawiał, kiedy wygłupiali się razem z Vincentem: - Wiesz przecież, że Włosi to najlepsi kierowcy na świecie. Parnelli Jones. Mario Andretti. To przecież Włosi.

- I najlepsi śpiewacy - podpuszczał tatę Reese. Tata był strasznym naiwniakiem. Ale naiwniakiem o złotym sercu.

- Och, jasne. Frank¹. I Pavarotti.

- I Madonna. I Trevor Ricci.

- Trevor Ricci? - pierwszy i ostatni raz tata zadał mu podobne pytanie.

- Z „On the Rag” - wyjaśnił Reese.

- To jakaś kapela?

- Tak, tato, w rodzaju „Smashing Pumpkins”. Czy „Nine Inch Nails”.

Tata zawsze utrzymywał, że takiego gówna w ogóle nie można nazwać muzyką - dzisiejsze dzieciaki nie mają zielonego pojęcia, czym naprawdę jest melodia - a Reese odpowiadał: jasne, tato, jasne - nie ma jak te cuda z taśm puszcanych w restauracji, na których włoscy tenorzy, mający chyba ze dwa tysiące lat, wyją „Santa Lucia” w kółko i do znudzenia, aż człowiekowi robi się niedobrze. Tak, to dopiero jest muzyka!

¹ Mowa oczywiście o Franku Sinatra. (Przyp. tium.)

Ten pieprzony samochód byi zamknięty. Reese wziął głęboki oddech. Odwrócił się i powędrował z powrotem w stronę gabinetu psychiatry-szamana. Już miał się rozsiaść na czymś takim stojącym przed domem i podobnym do huśtawki, gdy usłyszał głos swojego taty: -że jego brat miał trzy lata?

„Och, super” - pomyślał Reese i chyłkiem przesunął się bliżej wejścia.

- Wiedziałem... wspominał pan przez telefon, że w rodzinie było jeszcze jedno dziecko. - Głos szamana brzmiał teraz przepraszająco. Reese świetnie znał ten ton, owo przyciszone, kościelne brzmienie, jakby ktoś próbował pogłaskać cię swoim głosem - słyszał to setki razy w wykonaniu nauczycieli, gdy na początku roku szkolnego dowiadywali się o historii z Benem. Przekrzywiali lekko głowę, posyłali ci ciepłe spojrzenie i uśmiechali się wyrozumiale bez względu na rodzaj przewinienia. Niestety, podobny stan rzeczy nie trwał długo. Nim nadchodził listopad, Reese nagminnie lądował na ławce w gabinecie dyrektora szkoły i wysłuchiwał długich, umoralniających tyrad o tym, jak to bez względu na żal i ciosy, które przypadły nam w udziale, należy pamiętać o życiowych priorytetach, być silnym i nieugiętym, przyjmować odpowiedzialność za własne czyny, ponieważ świat nikogo nie rozpieszcza, trzeba zdobyć wykształcenie: „Tym bardziej, Vincent, że przecież sam wiesz, jaki jesteś zdolny”...

- Tak więc Vincent miał... siedem lat, gdy zmarł jego brat?

„Sukinsyn” - pomyślał Reese. Wyraźnie słyszał, jak głos ojca gwałtownie zaczyna się łamać. Tata nie był w stanie długo rozmawiać o Benie. A ten tępy sukinsyn właśnie do tego chciał go w tej chwili zmusić.

Vincent wśliznął się za róg jednej z szafek na książki; co prawda biblioteczka odstawała jedynie na trzydzieści centymetrów od ściany, ale Reese był niewysoki i szczupły jak na trzynastolatka, tak więc, jeżeli stanął bardzo wyprostowany i przylgnął mocno do ścianki, mógł spokojnie podsłuchiwać, pozostając niezauważonym. Na tyłach szafki powiewało pasemko kurzu i Reese wytarł je wskazującym palcem.

- On nie umarł. To znaczy, przypuszczamy, że już nie żyje, ale właściwie nie wiemy tego na pewno. Bo widzi pan, Ben... mamy podstawy sądzić, że Ben został porwany. Prawdę mówiąc, policja jest całkiem przekonana, że Bena uprowadzono, ponieważ za tym właśnie przemawiają wszelkie poszlaki.

- Aaaaah - odezwał się sukinsyn. Szok gwarantowany. -I nigdy się państwo nie dowiedzieliście...

- Śledztwo w zasadzie jest wciąż oficjalnie w toku. Niekiedy policja

otrzymuje jeszcze informacje w tej sprawie. W ubiegłym roku, na przykład... no cóż... w zasadzie nie mamy już wielkich nadziei, ale modłę się, żebyśmy pewnego dnia mogli przynajmniej dowiedzieć się prawdy.

- Och, Boże. Och... musiał pan... to musiało...

- A Vincent był wówczas razem z Benem. Aż wierzyć mi się nie chce, że pan o tym nie czytał.

- Rzadko czytam gazety. Czy chce pan powiedzieć, że widział, jak uprowadzono Bena?

- Nie... on... Ben był wówczas bardzo mały, na wiosnę skończył trzy lata, i po prostu się oddalił... Chłopcy znajdowali się w hotelowym holu. W owym czasie mieszkaliśmy w Wisconsin i Beth zabrała tutaj dzieci na zjazd absolwentów swojego rocznika z okazji piętnastej rocznicy matury.

- Ach, tak... ach, tak...

- Czy Vincent nie mówi! panu o Benie? O tym, co czuje w związku z tą sprawą? Bo widzi pan, ja uważam - przecież to logiczne, prawda? - że jeżeli dziecko zachowuje się w podobny sposób, jeżeli reaguje tak jak Vincent, to musi istnieć jakieś powiązanie pomiędzy tymi wydarzeniami...

- Cóż, możemy śmiało założyć, że coś tak niezwykle sprzyjającego urazom... Ale nie, panie Cappadora, on nie poruszył tematu Bena. I wcale nie ma w tym nic niezwykłego, szczególnie w przypadku pierwszej sesji. W sytuacji terapeutycznej dzieci nie zachowują się jak my. Dorośli starają się od razu przejść do rzeczy. Rozumie pan, oznajmiają na przykład: „Chcę odejść od żony”... „Nienawidzę swojego szefa”. Zdajemy sobie sprawę, że musimy jasno określić swój problem, mamy pełną świadomość ekonomiki sytuacji. Natomiast dziecko... może mieć trudności ze stwierdzeniem: „Nie potrafię sobie poradzić z tym czy z tamtym”. A w szczególności nastolatek - a Vincent ma teraz ile?... prawie trzynaście lat - będzie podchodził do pewnych kwestii w sposób bardzo niejasny, zawoalowany, stąd najważniejszą sprawą jest pozyskanie jego zaufania...

- Taaak, to brzmi logicznie.

„Pieprzone gówno” - pomyślał Reese. Ojciec najwyraźniej kupował te teksty.

A zaraz potem tata zapytał:

- No więc, gdy Vincent rozmawiał z panem o eksplozji, czy powiedział, że ktoś odniósł obrażenia?

-Nie.

- Och, to dobrze, ponieważ nikt nie został ranny. Co prawda pewna

starsza pani spadła ze stołka w swojej kuchni i na głowie wyskoczyła jej śliwa wielka jak... na szczęście, jest znajomą ojca Beth. Jednak, jak sędzę, Vincent dał panu pewne wyobrażenie o... o rozmiarach tego wybuchu.

- Opowiedział mi o węglu wapnia.

- No więc Vincent i ten drugi dzieciak, Jordie Cassidy, wsypali całe wiadro tego lepkiego proszku do kanału burzowego. A potem sobie poczekali. Gdyby nie tak długi czas, wówczas może eksplozja nie byłaby aż taka potężna... ale, widzi pan, Vincent nieźle się zna na podobnych rzeczach. Jordie Cassidy nie miał z tym wiele wspólnego, chociaż to jego ojciec czy dziadek, nieważne, miał to świństwo i - Jezu Chryste - niech pan sobie wyobrazi - trzymał je w garażu. Ale Jordie jest dobrym dzieckiem. To znaczy, nie chcę powiedzieć, że mój syn jest zły. Jednak nie mam najmniejszych wątpliwości, że Vincent wymyślił to wszystko i dobrze wiedział, jak dużo czasu mu potrzeba. Czekał tak długo, żeby ten proszek dobrze wymieszał się z wodą, chciał mieć absolutną pewność... a potem zapalili żywiczną szczapę - wie pan, taką, jakich używa się do rozpalania ognia w kominku...

- Czy on panu to wszystko opowiedział?

- Nie. Znam to wszystko z relacji policji. Ale chyba dowiedzieli się o tym od Vincenta. Tak przypuszczam. Widzi pan, policjant, który mi opowiadał o całym zajściu, musiał sprawdzić na kartce nazwę tego gazu, który spowodował eksplozję. Acetylen. Kiedy Vincent i ten drugi dzieciak wrzucili tam płonące polano... rany boskie, czegoś podobnego na pewno nigdy nie słyszał pan w swoim życiu. Jakby wybuchło naraz dziesięć granatów ogłuszających. Szyby powypadały z okien. Ludziom wszystko pospadało z pólek. Mieliśmy wrażenie, że to cholerne trzęsienie ziemi. Beth i ja... oboje wykrzyknęliśmy: „Piec wybuchł!” A pokrywy od kanałów burzowych w całej okolicy - bum! Wszystkie wyleciały w powietrze. I to o pierwszej w nocy.

Reese słyszał, jak tata podniósł się z krzesła, i chociaż nie mógł go zobaczyć, wiedział, że tata odruchowo sięga po papierosa, a zaraz potem, uświadamiając sobie, że w gabinecie tego faceta obowiązuje zakaz palenia, chowa paczkę do kieszeni, jednak nie przestaje przemierzać pokoju tam i z powrotem. Reese wyraźnie słyszał jego słowa:

- Piętnaście metrów w górę, a przecież to wielkie, ciężkie skubańce z lanego żelaza. Mamy szczęście, że nie sprasowały czyjegoś kota -

i nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby zrobili coś podobnego za dnia. Jezus Maria, ktoś na pewno straciłby życie.

Tata Reese'a westchnął bardzo ciężko i głęboko, tak jak to robił każdej sobotniej nocy, gdy wchodził do ciemnego domu, przesiąknięty dy

mem papierosowym i zapachem czosnku. Tylko Reese go wówczas słyszał; wszyscy inni dawno już spali. Słyszał to jego głębokie westchnienie, a potem odgłos buszowania po szufladach; wtedy zawsze miał straszną ochotę zbiec na dół i skoczyć na niego od tyłu, tak jak wtedy, gdy był jeszcze całkiem mały. W tamtych czasach tata nigdy nie kazał Reese'owi wracać od razu do łóżka. Zawsze przedtem robił mu jeszcze grzanekę z chleba cynamonowego.

- Widzi pan - tłumaczył tata Reese'a - Beth, matka Vincenta, i ja... przeżyliśmy... to było dla nas bardzo, bardzo trudne. A teraz nasz syn... nasz syn jest takim wyrzutkiem. O ile mi wiadomo, w ogóle nie odrabia prac domowych. To znaczy, pisze na przykład dwudziestostronicowy esej dotyczący zagadnienia zwanego Monty Hall...

- Monty Hall?

- To jakiś statystyczny problem związany z rachunkiem prawdopodobieństwa. Jeżeli w holu znajduje się troje drzwi i za jednym z nich ukryto skarb, no i jeżeli otworzy pan pierwsze z nich i nie znajdzie skarbu, to, o ile mi wiadomo, pytanie brzmi: czy istnieje większe prawdopodobieństwo, że ten skarb kryje się za drzwiami numer dwa czy numer trzy?

- A istnieje? - Szaman zadał pytanie takim tonem, jakim mógł mówić jedynie tępak w rodzaju Kevina Flannera, któremu Reese musiał kiedyś rozkwasić nos.

- Do diabła, nie mam zielonego pojęcia. Ja jedynie prowadzę restaurację. Niemniej wszyscy matematycy z całych Stanów prowadzą na ten temat debatę przez pocztę komputerową... A Vincent swego czasu napisał całą rozprawę na ten temat i nawet kiedyś, w środku nocy, zadzwonił w tej sprawie do jakiegoś faceta z Kalifornii.

- To naprawdę fascynujące. Vincent musi być niezwykle inteligentnym dzieckiem.

- Tyle że... widzi pan, dowcip polega na tym, że on nie musiał tego robić! To nie było zadane; w tym czasie miał się zajmować dzieleniem „pod kreską” i oczywiście całkowicie to zignorował, nie oddał pracy domowej. No i, rzecz jasna, od razu zadzwonili do nas ze szkoły. Teraz dzwonią do nas co najmniej dziesięć razy w tygodniu, muszą już mieć nasz numer wkodowany w pamięć swojego telefonu. Ja wiem, ja doskonale wiem, przez jakie piekło wszyscy przeszliśmy, ale, mój Boże jedyny, ten dzieciak na pewno w końcu wyląduje w popr...

- Prawdę powiedziawszy, nie sądzę, by rzeczywiście istniało takie niebezpieczeństwo. Proszę mi wierzyć. Natomiast uważam, że w najbliższym czasie powinniśmy zgromadzić na sesji całą rodzinę - pana żonę i...

- Beth z pewnością nie zechce przyjść.
- Nie wątpię, że jest równie zaniepokojona sytuacją jak pan.
- Cóż, Beth oczywiście przejmie się stanem emocjonalnym Vincenta. Ale od czasu gdy Ben... od czasu owego wydarzenia, ona stała się bardzo zamknięta w sobie. Chodziła czasami na spotkania grupy wsparcia, i raz, wkrótce po moim ataku, poszliśmy nawet razem na terapię małżeńską. Żyliśmy wówczas w wielkim napięciu. Ale ona po prostu... ona nie chce już uczestniczyć w czymś takim...
 - Może jednak mógłbym z nią porozmawiać? Jestem pewien, że... udałoby nam się dojść do jakiegoś porozumienia. A... a czy pańscy rodzice żyją? I rodzice Beth?
 - Tak, moi rodzice - oboje i ojciec Beth.
 - Widzi pan, panie Cappadora, ta sprawa dotyczy całej rodziny. Wszyscy doświadczyliście wiele bólu, a być może nie każdy z was miał okazję uporządkować i zrozumieć swoje emocje.
 - Nie wyobrażam sobie swoich rodziców w gabinecie psychologa. Kilgore wybuchnął śmiechem.
 - Nikt nie potrafi wyobrazić sobie podobnej sytuacji. Ale do tego łatwo przywyknąć. Więc może jednak spróbujemy zorganizować podobne spotkanie? - Kilgore zaszeleścił papierami. - Wie pan, nie mogę przestać o tym myśleć. Pokrywy studzienek poleciały na piętnaście metrów w górę? Czy ktoś to widział?
 - Aha. Dwoje przechodniów widziało to na własne oczy. No i, oczywiście, Vincent wraz z Jordiem.
 - Super.
 - Słucham?
 - To znaczy, przepraszam, panie Cappadora, Pat. Oczywiście powinienem powiedzieć, że tego typu zachowanie jest wbrew prawu i porządkowi, bezsprzecznie groźne, ryzykowne w stopniu zagrażającym własnemu i cudzemu bezpieczeństwu. Oczywiście, to wszystko prawda. - Vincent teraz bardzo wyteżał słuch, by nie uronić ani słowa z tego, co mówił ten szaman, psychiatra bowiem wstał i odszedł gdzieś dalej, tak że trudno było uchwycić poszczególne słowa. Vincent wychylił się o parę centymetrów i udało mu się złowić uchem następną kwestię tego gościa: - Ale na piętnaście metrów w górę? Tak po prostu - bum?
 - Reese'a dobiegł nagle śmiech taty. Tata śmiał się cicho, bardzo cicho.
 - Doktorze, czy Vincent powiedział panu, że trudni się bukmacherką?
 - Ech, niech pan nie żartuje!

- Tak, naprawdę... przyjmuje zakłady na mecze futbolowe, baseball i hokej. Szczęśliwie nie zajmuje się jeszcze końmi.

- Ma pan naprawdę niezwykłego syna. - Po czym obaj się roześmieli, tym razem już dużo głośniej. Śmiali się, ponieważ jakiś dzieciak wysadził w powietrze pół dzielnicy!

„Jezu Chryste - pomyślał Reese - ale się wpieprzyłem”.

Rozdział 17

Mimo że w opinii Reese'a Kilgore musiał rozminąć się ze swoim powołaniem zostając psychiatrą, a nie weterynarzem (na ścianach jego gabinetu wisiało więcej fotografii i obrazów przedstawiających konie niż na ścianach w budynku torów wyścigowych Churchill Downs), Reese nie sprzeciwił się bardzo stawieniu na kolejną sesję. W dużej mierze z powodu wyrazu twarzy taty na wieść o tym, że ostatecznie zgadza się na ponowne spotkanie z tym szamanem. Taki sam wyraz twarzy Reese widział u ojca wtedy, gdy po raz trzeci jesienią tata kończył zagrabiąć liście dębu. Wtedy wyglądał tak, jakby nagle wstępowała w niego nadzieja, że w czasie zimy zdarzy się jakiś cud, świat ulegnie niezwyklej przemianie i już nigdy więcej nie nadejdzie jesień, a więc zniknie potrzeba wykonywania podobnej pracy. Reese wyobrażał sobie, że taki wygląd musi iść w parze z odgłosem otrzepywania rąk - odgłosem oznaczającym: „uff, już po robocie”. Tak naprawdę, Reese wolałby odra-pywać z farby jakąś wieżę niż przeżywać kolejne drobne sam na sam z Kilgorem - Tworem-z-Innej-Planety („Mów mi Tom albo doktorze Tom, jak chcesz” - Reese nie mógł uwierzyć własnym uszom), jeśli jednak mógł w ten sposób wygładzić kilka zmarszczek na czole taty, sprawić, że jego oczy choć na chwilę przestaną wyglądać tak, jakby tata wciąż usiłował przeczytać jakiś bardzo drobny druk, Reese postanowił się poświęcić. Widział też, jak usilnie ojciec starał się nakłonić na wspólną sesję mamę i Rosie, i Angela, i Billa. Rosie nie miała nic przeciwko temu, ale Bill chyba nie uznał rodzinnej terapii za najszcześniejszy pomysł (przynajmniej taki wniosek wyciągnął Reese, słuchając, jak tata rozmawia z nim przez telefon; Reese jednak nie mógł podsłuchać, co naprawdę mówi dziadek, bo jakimś szóstym zmysłem tata zawsze potrafił wyczuć, że ktoś jeszcze znajduje się na linii, nawet jeżeli zasłaniało się słuchawkę chusteczką i całkowicie wstrzymywało oddech).

Reese zgodził się na ponowną rozmowę z Kilgorem jeszcze dlatego, że Kilgore był prawdziwym psychiatrą, a nie jakimś cholernym pedagogiem szkolnym czy kimś w tym rodzaju. Reese od razu wyczuł różnicę - ostatecznie, jak był młodszy, spędził mnóstwo czasu z pedagogami z powodu jakiegoś jednego czy drugiego głupiego szkolnego problemu. Byłe idiotyzm sprawiał, że od razu zastanawiali się, czy Reese nie cierpi na depresję kliniczną. Czy przypadkiem nie występuje u niego (to było ulubione określenie Reese'a) syndrom osoby świadomie trwoniącej swój potencjał. A ostatecznym dowodem, że Kilgore jednak różni się od innych, był wystrój jego gabinetu. Szczególnie spodobały się Reese'owi cienkie, pionowe żaluzje z pasków ręcznie czerpanego papieru, wszystkich białych, z wyjątkiem ostatniego z brzegu - fioletowego, dobranego kolorem do poduszek rozrzuconych na sofach.. No więc, gdyby te żaluzje miały fioletowe paski na obu końcach, wówczas wcale nie wyglądałoby na to, że ten facet ma forszę. Ale ten jeden, tylko jeden pasek, jakby rzucony przypadkiem i od niechcenia - jasno świadczył o jego klasie.

Niemniej i tak przed ponowną wizytą Reese sprawdził tego gościa w książce telefonicznej. Tuż po nazwisku - Thomas K. Kilgore - rzeczywiście widniały magiczne słowa: doktor medycyny.

A więc Reese mógł mu śmiało opowiedzieć o tej sprawie z sercem. O której w żadnym razie nie mógł powiedzieć tacie. Od czasu ataku taty Reese nawet nie miał ochoty mówić mu o bolącym gardle. A ta sprawa z sercem - trwająca już całkiem długo - będzie stanowić doskonały temat ponownego spotkania z Kilgorem. Odciągnie nieco uwagę Kilgore'a od historii z okiem, bo Reese nie miał najmniejszych wątpliwości, że psychiatra poruszy ten temat; zresztą wiedział, że tata już zdążył wszystko mu opowiedzieć przez telefon. Ale to nie był jedyny powód, dla którego chciał o tym mówić. Ten stan zaczął go już poważnie niepokoić. Kiedyś ta sercowa sprawa pojawiała się jedynie od czasu do czasu, ale teraz powtarzała się niemal każdej nocy, a ostatnio nawet parę razy złapała go w szkole. W takich chwilach miał wrażenie, że serce chce mu się wyrwać z piersi, trzepocze jak skrzydła mewy tuż przed wybiciem się z powierzchni morza w powietrze: bach, bach, bach. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, Reese pomyślał: „To już pieprzony koniec. Umieram”. Próbował podnieść się z łóżka, ale nie mógł złapać tchu, więc natychmiast położył się z powrotem. No i powoli trzepotanie zaczęło się uspokajać, aż w końcu Reese znowu poczuł, że ma normalne serce, to znaczy, w ogóle przestał je czuć, już nie zauważał jego istnienia. Na początku, ponieważ to zaczęło się dopiero po tamtej bójce, Reese przy-

puszczał, że dupek Kramer złamał mu żebro czy coś w tym rodzaju, kiedy uderzeniem powalił go na ziemię. Jednak zaczęło zastanawiać go, że normalnie, w ciągu dnia, nie czuł najmniejszego bólu.

Tak więc w końcu Reese doszedł do wniosku, że to na pewno wczesne objawy dziedzicznej choroby serca. I kiedy tata rozmawiał z Kilgorem w tej niby-poczekalni, na niby-werandzie, Reese wszedł do gabinetu i zdjął z półki jedną z zielono oprawionych książek Kilgore'a: „Problemy dojrzewania: bioemocjonalne aspekty adolescencji” -i przerzucając kartki usiłował znaleźć opis wczesnych symptomów schorzeń serca. I oczywiście nie zdążył odłożyć książki na miejsce dostatecznie szybko, bo Kilgore nosił takie buty jak Mister Rogers (pewnie, żeby nie porysować pięknej, idealnie gładkiej podłogi z klonowego drewna) i nim Reese zorientował się w sytuacji, Kilgore już stał tuż obok niego. Reese niemal wyskoczył ze skóry.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć - powiedział Kilgore milutko i słodko.

- Nic nie szkodzi. - Pot ciekł Reese'owi po plecach. Wziął głęboki oddech. - To znaczy, jak już tu jestem, i tak dalej, to chciałem pana o coś spytać.

Kilgore rozsiadł się na krześle dokładnie na wprost Reese'a.

- Wal - powiedział.

- A gdzie mój tata?

- Już poszedł.

- To dobrze. A więc pan jest lekarzem, czy tak?

- Jestem psychiatrą.

„Cholera - pomyślał Reese. - Niech będzie. Grzecznitko, jak tylko się da”.

- Ale żeby zostać psychiatrą trzeba najpierw być normalnym lekarzem, prawda? To znaczy, że kiedyś pan też był normalnym lekarzem?

- Aha. Wciąż jestem. Mogę przepisywać antybiotyki i różne inne rzeczy. -

Kilgore się uśmiechnął. - Co ci się stało w oko?

- Przecież pan już wie. Słyszałem, jak tata mówił panu, że pobił mnie taki jeden dupek.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy zapisałeś numery rejestracyjne.

- Co takiego?

- Ciężarówka, która cię stuknęła. „O rany!” - pomyślał Reese.

- Aha, rzeczywiście, uhm, znam tego faceta. Z bycia palantem zrobił sobie zawód.

- Palant na wybiegu.

- No właśnie - odparł Reese. Spodobało mu się to wyrażenie. Palant na wybiegu.
- Nieważne. No więc, mam taki problem... w nocy, kiedy leżę w łóżku...

- Większość facetów w twoim wieku ma...

„O Chryste! - pomyślał Reese. - Nie, ja nie to miałem na myśli! Ja... wydaje mi się, że łapie mnie atak serca, tak właśnie mi się wydaje, a nie chcę, żeby mój tata się o tym dowiedział, bo wtedy chybaby oszalał”.

- Dlaczego sądzisz, że to atak serca?

Reese opowiedział mu o trzepoczącej mewie. Kilgore wstał i przez chwilę wpatrywał się w jednego z koni. A potem wziął do ręki notes z kartkami połączonymi sprężynką i coś tam zapisał, dokładnie tak, jak to robią psychiatrzy na filmach.

- Vincent, czy od dawna masz ten problem?

- Reese.

- Reese. Oczywiście. Przepraszam. Rozumiesz... to dość niesamowite. To znaczy niesamowite w dobrym tego słowa znaczeniu. Nieczęsto można spotkać dziecko, które postanowiło samo zmienić sobie imię. Tak postępują dorośli. Zazwyczaj zresztą byli więźniowie.

- Uhm, słyszałem o tym.

- Ale wracając do twojego serca, Reese, od kiedy masz te ataki?

- Domyśliłem się, że pan mnie o to spyta, więc zastanawiałem się nad tym w domu. Od kilku miesięcy. Z tym, że kiedyś chwytały mnie jedynie od czasu do czasu, a od tej bójki mam je właściwie co dzień.

- Czy ta bójka była jakimś wyjątkowo przykrym przeżyciem? To znaczy, twoje oko wygląda rzeczywiście jak nie dopieczony Big Mac, jednak mimo to...

- Nie była gorsza od innych bójek.

- A w wielu brałeś udział?

Reese bezwiednie pociągnął nosem.

- Naliczyłbym trochę.

- Ale tym razem oberwałeś.

- Wiele razy już oberwałem.

Kilgore wybuchnął śmiechem. Wybuchnął pieprzonym śmiechem!

- Czy kiedykolwiek ktoś ci wyjaśnił znaczenie słowa „kontrin-tuicyjny”?

- Nie - zjeżył się Reese.

- To znaczy, mówisz, że już wiele razy nieźle ci się dostało. Czy mam rozumieć, że jesteś typem faceta, który nigdy nie uczy się na własnych błędach?

- Doktorze Kilgore, niech pan posłucha...

- Tom.

- Tom, oberwałem, bo byłem słabszy, ten facet ma ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i waży z osiemdziesiąt kilo...

- Więc dlaczego go wkurzyłeś?

„Dlaczego?” - zastanowił się Reese. To dobre pytanie. Właściwie wiedział dlaczego. Tego dnia postanowił znaleźć Kramera i go wkurzyć, miał tego pełną świadomość. Po drodze zabrał ze sobą Jordiego. Wystarczyło sprawdzić dwa miejsca: ogród botaniczny, gdzie Kramer zawsze palił papierosy, niby jakiś całkiem dorosły, lub plac zabaw, przy zjeżdżalniach, gdzie tego dnia właśnie go znaleźli. Kramera i jego równie cudownego kumpla, tego kutasa, Angottiego.

- Właściwie nie wiem - odparł Reese. - On mi działa na nerwy.

- Czy tego dnia działał ci na nerwy bardziej niż zazwyczaj? -Nie.

- No więc dlaczego? - Reese zatopił się w rozważaniach nad tą kwestią. Gdy wciąż jeszcze pogrążony był w rozmyślaniach, Kilgore spytał go:

- Czy tego dnia pokłóciłeś się z mamą? A może z tatą? Czy coś szczególnego zaszło w szkole?

- Nie - odpowiedział Reese. - Naprawdę nie. To był najzwyczajniejszy sobotni ranek. Wszystkie wyniki spotkań i mecze sportowe nadawali dopiero koło drugiej czy trzeciej po południu, więc wyszedłem pojeździć na rowerze.

- Pojeździć na rowerze...

- Aha. Kręciłem się po naszej dzielnicy. A potem pojechałem w takie miejsce, gdzie dzieciaki grają w ulicznego hokeja, tuż przy domu takiego jednego...

- Czy ty też z nimi grywasz?

- Nie - odparł Reese ze śmiechem. - Najstarszy z nich ma góra dziewięć lat.

- To czemu tam pojechałeś?

- Bo lubię... - Reese spojrzął na Kilgore'a. W piersi poczuł trzepotanie skrzydeł, które na szczęście zaraz się uspokoiło. - Lubię patrzeć, jak gra pewien dzieciak. Jest naprawdę dobry.

- Twój kolega?

- Mówiłem panu, że nie, on ma dopiero z osiem lat. Nawet nie wiem, jak ma na imię. - Kilgore wyglądał na skołowanego. - Po prostu kiedyś zauważyłem go w naszej dzielnicy, a jakiś czas potem przejechałem obok jego domu i zobaczyłem, jak gra w hokeja. Więc trochę sobie popatrzyłem.

- Kiedy to było?
- Kilka miesięcy temu.
- Kilka miesięcy? -Aha.
- No więc, kiedy tam jeździsz, czy rozmawiasz z tym chłopakiem?
- Nie. Po prostu siedzę na rowerze i patrzę.
- Jak wiele razy tak robiłeś?
- A czemu?
- Pytam z ciekawości.
- Hmm, z kilkanaście. Może więcej. Ten dzieciak naprawdę dobrze gra. A pan wie, że interesuję się sportem.
- Czy on ci kogoś przypomina?
„Cooo? - pomyślał Reese. - A kogo mógłby mi przypominać”?
- Na przykład siebie samego, kiedy byłeś w jego wieku.
- Nie - Reese mówił teraz bardzo powoli. - On jest wyjątkowo duży jak na swój wiek, nie, zupełnie nie jest do mnie podobny. - Nagle trzepotanie skrzydeł gwałtownie przybrało na sile. Reese pochylił się mocno do przodu i przycisnął ramiona do piersi.
- Reese? Reese? - Kilgore zerwał się na nogi.
- Właśnie teraz mam ten atak.
- Atak serca. -Aha.
- Reese - Kilgore przysiadł obok niego na sofie. - Posłuchaj. Zaraz dokładnie ci wytłumaczę, co się naprawdę z tobą dzieje. Nie umierasz. Nie masz ataku serca. Masz atak paniki. I chociaż to jest bardzo przerażające i wydaje się zupełnie realne - w pewnym sensie zresztą to jest realne - nie niesie ze sobą żadnego zagrożenia. I z pewnością cię nie zabije.
- Ja tak naprawdę nie myślałem...
- Cóż, wcale bym się nie zdziwił, gdybyś jednak tak myślał. Doskonale wiem, co się czuje w takiej chwili. Masz wrażenie, że na pewno zaraz umrzesz. Sam kiedyś miewałem podobne ataki.
Kilgore położył dłoń na plecach Reese'a. A potem przycisnął. Nie tak, jakby go głaskał czy przytulał, nic z tych rzeczy. Naciskał jakoś tak, jakby Reese był pompką do roweru - pchnięcie, zwolnienie, pchnięcie.
- Reese, teraz powoli i delikatnie wypuszczaj powietrze ustami. Pamiętaj, żeby zachować ten sam rytm. Niech ci się zdaje, że nadmuchujesz balon. - Reese stara! się robić dokładnie tak, jak kazał mu Tom, i już po chwili miał wrażenie, jak gdyby po długiej wspinaczce wreszcie stanął na szczycie wzgórza. I choć jeszcze wciąż czuł trzepotanie,

wiedział już, że to się zaraz skończy i wszystko znów wróci do normy. Łapał ustami powietrze, czekał na koniec tego paskudnego uczucia. A gdy tylko atak minął, Kilgore podniósł się z kanapy, usiadł na swoim krześle i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

- A więc do incydentu doszło po obejrzeniu gry w hokeja? Reese wciąż czuł się kiepsko, ale wykombinował sobie, że jeżeli

Kilgore zna sposób na przepędzenie tego trzepotu - na uśmierzenie ataku - zaryzykuje i podejmie tę rozmowę.

- Uhm. Wpadłem po Jordiego, a potem pojechaliśmy na plac zabaw.

- I tam właśnie spotkałeś...

- Tam spotkałem Kevina Kramera.

- Palanta na wybiegu. -Uhm.

- A jak doszło do bójkę?

- No więc, on i jego kumpel grali w koszykówkę, a ja sobie jechałem na rowerze.

- I to wszystko? Tak sobie jechałeś, a on rzucił się na ciebie?

- No, nie całkiem. Ja wjechałem między nich.

- Aaaaaa.

- No i ten facet, przyjaciel Kramera, Angotti, taki z siwymi włosami, który siedział już wiele razy, musiał odskoczyć, żebym go nie najechał.

-Aha.

- Więc oni od razu zaczęli w stylu: „Cappadora, ty mały, pokręcony gnojku...”

- A ty nie zamierzałeś tego spokojnie znosić?

- A pan by znosił? -Nie.

- Właściwie, nie chodziło o to, że naśmiewali się... z mojego wzrostu...

- Niski wzrost to nie zbrodnia. I wiesz przecież, Reese, że jeszcze możesz nieźle wyrosnąć.

- Ale oni powiedzieli to tak, jakbym był jakiś skarłowaciały... na całym ciele...

- Rozumiem.

- A ten facet, Kramer, jest gdzieś w drugiej klasie szkoły średniej.

- Ach tak.

- No więc ja mu na to odpowiedziałem coś całkiem zwykłego, w rodzaju, że tak sobie może nazywać swojego starego, a on wtedy zupełnie stracił rozum...

- Czy to było twoje pierwsze starcie z Kramerem?
- Uch, hmm... - Reese przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. -

Miewałem już z nim słowne starcia...

- Ale pierwsza bójka.
- Cóż, on się dopiero niedawno tu wprowadził.
- Ach tak.
- No właśnie.
- A twoje inne bójki?

- Niech pan posłucha. Ludzie po prostu nie potrafią trzymać gęby na kłódkę.

Reese wstał z kanapy i stanął przed jednym ze zdjęć wiszących na ścianie - po chwili uprzytomnił sobie, że człowiekiem trzymającym wodze jest sam Kilgore, a na koniu siedzi mała dziewczynka, drobna blondyneczka o włosach takiego samego koloru jak włosy Kerry. Na głowie ma maleńkich rozmiarów toczek do konnej jazdy, taką czarną czapkę z wielkim daszkiem, niemal całkiem zasłaniającym jej twarz.

- Czy to pana córka?
- Moja siostrzyczka.
- Siostra?!

- Ma teraz dziesięć lat. Pochodzę z wielkiej irlandzkiej rodziny, jest nas ośmioro rodzeństwa. Ja jestem najstarszy, a ona najmłodsza. Urodziła się, gdy już byłem na studiach.

- Jak ma na imię?
- Tess.
- Chyba wszyscy nie macie imion rozpoczynających się na T?
- Aha. Obawiam się, że tak - odparł Kilgore. - Terrance. Tracey. Tara.
- Jest pan szczęściarzem.

- Uch, mnie nie musisz tego mówić. - Kilgore podniósł się z krzesła. - Posłuchaj, Reese, nasz czas już się skończył. Chciałbym, żebyś pamiętał o nadmuchiowaniu balona - taki sposób oddychania szybko uśmierzy atak paniki, jeżeli tylko się na tym skoncentrujesz. Okay?

- Okay.

- Och, i chciałbym ci jeszcze coś pokazać. - Kilgore wyciągnął rękę, a Reese aż skurczył się w sobie. „Nie wywinę się od uścisku” - pomyślał z obrzydzeniem. I raptem, nie wiedzieć kiedy, klęczał na podłodze; miał wrażenie, że ten facet wyrwał mu kawał mięsa z szyi prętem podłączonym do wysokiego napięcia.

- Jezu Chryste! - wrzasnął Reese. Był bardzo bliski łez.
- Ból nie potrwa długo - oznajmił Kilgore. I miał rację. Wgłębienie

tuż za płatkiem ucha, które jeszcze chwilę temu wydawało się porażone strasznym prądem, teraz już tylko było nieznacznie zdrętwiałe. Reese nacisnął je lekko palcem. Czucie wróciło. - Przepraszam. Ale tylko w ten sposób mogłem ci uświadomić, jak bardzo wiele zależy tu od zaskoczenia.

- Co pan zrobił? - spytał Reese, pocierając szyję.

- My nazywaliśmy to punktami uciskowymi - odparł Kilgore i tym razem włożył swój kciuk pomiędzy dwa palce Reese'a. - Widzisz? Naciskasz mocno... - Reese szybko wyrwał dłoń.

- Gdzie się pan tego nauczył?

- Na studiach. W różnych miejscach ludzkiego ciała znajdują się sploty nerwowe. Rozumiesz? - Kilgore pokazał jeszcze Reese'owi miejsce za łokciem i w okolicach krzyża. - Jeżeli zajrzysz do atlasu anatomicznego, znajdziesz wiele takich miejsc. Proszę, możesz sobie pożyczyć mój... Zorientujesz się, że znalazłeś odpowiednie miejsce, jeżeli lekko przyciśniesz i poczujesz mrowienie. A gdy naciśniesz naprawdę mocno, wówczas ból będzie nie do zniesienia. Oczywiście, nikt sam siebie tak mocno nie ciśnie.

- Czemu pan...

- Widzisz, Reese, gdy dobrze poznasz te miejsca, nie będziesz miał problemu z powaleniem wołu. Więc jeżeli wciąż zamierzasz angażować się w podobne bójki... pomyślałem, że mógłbyś po prostu...

- Cóż, chyba muszę panu podziękować - powiedział Reese.

- Wiesz, ja też jestem niskiego wzrostu. Do zobaczenia za tydzień.

Rozdział 18

Dla Reese'a ta tak zwana sesja rodzinna trwała dłużej niż cała wieczność. I właściwie nie chodziło tylko o to, że Reese wstydził się za nich wszystkich (dziadek Bill przywdział turkusowomorskie spodnie do gry w golfa, natomiast dziadek Angelo ubrał się jak do trumny); Reese'a gnębiło niejasne przecucie, że usadzenie ich razem, w jednym pokoju, w każdej chwili może doprowadzić do spięcia, które na pewno przerodzi się w jakiś wybuch. Kiedy tata powiedział mamie o tej sesji - nie prosił jej o przyjście, tylko ją o tym poinformował - mama spojrzała na niego swoim wzrokiem szalonego mustanga, który Reese znał aż nazbyt dobrze.

„Uważaj, tato - pomyślał wówczas. - Powoli... albo rozpęta się piekło”.

No i oczywiście, jeszcze zanim się to wszystko zaczęło, w trakcie stanowiących istną udrękę, nudnych minut w poczekalni, Kerry (która też wyglądała po prostu zabójczo, bo uparła się, żeby założyć na siebie swoją sterczącą, tiulową spódniczkę baletową w kolorze wściekłego fioletu) już zdążyła go nieźle upokorzyć. Na wszystkie palce jednej ręki założyła pacynki - całą piątkę - przedstawiającą bohaterów bajki o Czerwonym Kapturku.

- Vincent, bądź wilkiem - poprosiła go ni stąd, ni zowąd. Reese wziął więc od niej kukiełkę wilka, założył na wskazujący palec i pokiwał nim w stronę dzielnego Czerwonego Kapturka.

- Takie małe dziewczynki jak ty jadają zazwyczaj na śniadanie -oznajmił groźnym tonem, w założeniu imitującym warczenie.

- Ale z ciebie kutas - odpowiedziała mu na to Kerry słodziutkim głosem.
No pięknie.

Natychmiast po tym występie babcia Rosie syknęła leciutko i tylko raz, w taki sposób, że Reese od razu wiedział, dla kogo przeznaczone jest to specjalne syknięcie - jakby to on nauczył Kerry podobnych wyrazów, co było oczywistą bzdurą; Kerry potrafiła kląć jak szewc właściwie już od urodzenia. W tej samej chwili z gabinetu wyszedł Tom i zagarnął ich wszystkich do środka, gdzie usadawianie się na sofach i krzesłach zajęło im jakieś kolejne tysiąc lat.

Reese szczerze współczuł Tomowi. Do takiej pracy trzeba naprawdę mieć dryg. W całym swoim życiu Reese nigdy, przenigdy nie usłyszał z ust babci Rosie ani jednego zdania zaczynającego się od słów: „w moim odczuciu”, czy czegokolwiek w najmniejszym stopniu sugerującego, że za chwilę zdradzi swoje emocje. Babcia jedynie wydawała rozkazy i zawsze miała własną opinię na każdy temat. Dziadek Bill, z kolei, nigdy nie wypowiadał się inaczej, jak tylko w formie pytania; wujek Bick twierdził, że ilekroć rozmawia ze swoim ojcem, czuje się jak prowadzący teleturniej „Va banque”.

Nic więc dziwnego, że dziadek Bill z mety zwrócił się w stronę Toma ze słowami:

- W czym moglibyśmy panu pomóc, doktorze?

A dobry, stary Tom wyraźnie nie zamierzał tracić czasu, więc skwapliwie skorzystał z okazji.

- Nie chciałbym, żebyście państwo zasiedli tu z przekonaniem, że jedynym powodem, dla którego zebraliście się w tym pokoju, jest, siedzący tu obok, nasz mistrz występku i zbrodni - mówiąc to, wskazał na Reese'a tak, jakby celował do niego z naładowanego pistoletu. - Mam głęboką nadzieję, że każdy z państwa wyniesie coś dla siebie z naszego spotkania, w innym wypadku nie narażałbym was na niedogodności związane ze zjawieniem się tu w określonym dniu i o określonej porze. Oczywiście, jestem absolutnie przekonany, że nikt z was nie chciałby, aby dziecko, które wszyscy bardzo kochacie, doświadczało bólu i cierpienia, a wiercie mi, Vincent - nasz, tu obecny, przyjaciel Reese - jest głęboko cierpiącym dzieckiem.

Wszyscy, nawet Kerry, pokiwali mądrze głowami.

- Jednak to, co do tej pory usłyszałem, pozwala mi przypuszczać, że nie tylko Reese, ale cała rodzina państwa pogrążona jest w głębokim bólu już od kilku ładnych lat. I mam wrażenie, że Reese nie zdoła się uwolnić od swojego cierpienia, jeżeli wszyscy państwo nie pozwolicie, by pewne rzeczy wydobyły się na powierzchnię, by wszystkich was owiało ożywcze tchnienie świeżego powietrza. Czy rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć?

Babcia Rosie spojrzała na Toma takim wzrokiem, jakby co najmniej kazał jej ogolić głowę, założyć na siebie sznury dzwoneczków i zostać buddyjską mniszką.

- Nie - powiedziała cicho. - Ja nie rozumiem, w jaki sposób nasza rozmowa w tym pokoju mogłaby sprawić, że Vincenzo stanie się dobrym dzieckiem.

- Oczywiście, nie ma żadnych gwarancji na to, że nasza rozmowa doprowadzi właśnie do takiego rezultatu, pani... hmm, pani... - Tom wyraźnie czekał, aż babcia powie mu: - Proszę mówić mi Rosie. „No to sobie poczekasz, Tom, oj, poczekasz” - pomyślał Reese. - Pani... Cappadora, nie mogę stwierdzić z niezachwianą pewnością, że w tej sytuacji nasza rozmowa doprowadzi do procesu uzdrowienia. Wiem jednak, że dziecko, które wszyscy państwo kochacie, nosi w sobie wiele gniewu. Wiem również, że on też was kocha. Oczywiście, wiadomo, że ten gniew nie będzie dawał o sobie znać w każdej sytuacji, jednak jego istnienia nie wolno ignorować. Trzeba pamiętać, że do takiego dziecka wyciąga ręce cały świat, a to, co trzyma w tych rękach, niekoniecznie musi być tym, czego państwo życzyliby sobie dla Reese'a. Następnym razem możecie mieć do czynienia z czymś o wiele poważniejszym niż pokrywy kanału burzowego.

- Czy ma pan na myśli narkotyki? - odezwał się dziadek Bill.

- Bill - tym razem Tom nie zamierzał narażać się na porażkę w batalii o zapewnienie przytulnej, rodzinnej atmosfery, gdzie wszyscy zwracają się do siebie po imieniu. - Oczywiście, że istnieje podobne zagrożenie, a również niebezpieczeństwo innych destrukcyjnych zachowań. Dlatego, jak już tu wszyscy państwo przyszliście, chciałbym się przede wszystkim dowiedzieć, czy Reese zawsze zachowywał się w taki sposób? Czy od wczesnego dzieciństwa był młodym, zbuntowanym człowiekiem?

Nikt nie kwapił się do odpowiedzi.

- Proszę państwa - Tom nie dawał za wygraną - macie do czynienia z dzieckiem o niezwykle żywym, dociekliwym umyśle. W przypadku takiego dziecka straty mogą być niepowetowane.

- On już od urodzenia był przepełniony gniewem - oznajmiła nagle mama Reese'a. Setki lat milczenia i nagle - łup - coś podobnego. Dobra, stara, prawdziwie stuknięta mama. Wszyscy, ponownie łącznie z Kerry odwrócili się i skierowali na nią wzrok. - Zawsze był trudnym dzieckiem. To znaczy, od najwcześniejszych lat miał swoje własne zdanie na każdy temat, chciał, żeby postępować zgodnie z jego wyobrażeniami. Nie wszystkie z nich zresztą były złe. Nie chcę przez to powiedzieć, że Vincent jest złym dzieckiem.

- Jasne, Beth, jasne. Ale gdy mówisz, że był trudny, czy chcesz przez to powiedzieć, że zachowywał się tak jak teraz?

- Nie - odparła mama. - On po prostu często się na mnie złościł. Ale od czasu śmierci Bena...

Babcia Rosie aż się zatchnęła.

- Beth - oznajmiła stanowczym głosem - Beniamin nie umarł.

- Och, Rosie - powiedziała mama. - On umarł. Na pewno umarł. Gdyby żył, wiedziałabym o tym.

„No i zaczyna się - pomyślał Reese. - Oczywiście, pewnie, porozmawiajmy sobie o Benie tak długo, aż... najlepiej rozmawiajmy o nim już do końca życia”.

- Beth - dziadek Angelo wtrącił łagodnym głosem. - Dzieci słuchają...

- Ale ja już dłużej tego nie zniosę! Tego udawania, że Ben lada chwila zjawi się z powrotem w domu. Myślę, że to jedna z rzeczy, które doprowadzają Vincenta do szaleństwa. Mnie też to doprowadza do szaleństwa. Nic mnie już nie obchodzi, Pat. Skoro zgodziliśmy się tu przyjść, to nie marnujmy pieniędzy, dobrze? Ja zamierzam zdecydowanie stwierdzić, że mam już pewnych rzeczy dość. „Nigdy nie porzucaj nadziei”, „Módl się, módl się i módl”. A dlaczego nie mamy porzucić nadziei? I wreszcie zacząć przyjmować życie takim, jakie ono jest?

- Ponieważ nie mamy jego ciała, nie możemy go pochować, Beth - tym razem wtrącił tata Reese'a. - A ty chciałabyś pogrzebać Bena, zanim jeszcze dowiedzieliśmy się, co go naprawdę spotkało. Oczywiście ja wiem, czemu chciałabyś tak postąpić, ale...

„Halo, jestem tutaj - pomyślał Reese. - Ja jestem tutaj”.

- Z tej dyskusji jasno wynika, że rodzina jest mocno podzielona, a Reese tkwi gdzieś między zwaśnionymi obozami. Reese, a co ty o tym sądzisz?

- Nic - odparł spokojnie Reese. - Ja w zasadzie w ogóle o tym nie myślę.

- Daj spokój - niecierpliwil się Tom. - Czy kiedykolwiek słyszałeś o wielkim, czerwonym słoniu sterczącym w czyimś salonie? No więc ten wielki słoń w krzykliwym kolorze tkwi tam sobie w najlepsze, a cała rodzina chodzi dookoła niego i udaje, że go tam wcale nie ma... Reese, przecież nie możesz o tym nie myśleć. Masz tego słonia tuż przed własnym nosem.

- Ale ja naprawdę o tym nie myślę.

- Ja też o tym nie myślę - wtrąciła nagle mama i Reese poczuł w stosunku do niej przyływ nowych, ciepłych uczuć. - Nigdy o tym nie myślę. Czy myślenie mogłoby cokolwiek zmienić?

- *Cóż*, moja praktyka pozwala mi stwierdzić, że czasami... czasami można w ten sposób osiągnąć spokój i ukojenie - powiedział Tom i w tym momencie wszyscy nagle eksplodowali.

Mama krzyczała, że ma już dosyć tego wieloletniego gromadzenia jajek wielkanocnych dla Bena, tak jakby je mieli ułożyć na jego grobie.

- A przecież on nawet nie ma grobu - stwierdziła ostrym głosem. Ze nie ma ochoty dłużej znosić wywieszania pończochy na bożonarodzeniowe prezenty dla Bena i corocznego kupowania mu ubrań na urodziny - za każdym razem o numer większych... babcia zaś co rusz próbowała wtrącić, że ona doprawdy modli się za powrót Bena... i nie tylko ona, ale także jej córki...

Tom robił, co mógł, by za tym wszystkim nadażyć.

- Pani Cappadora, czy martwi panią fakt, że Beth nie postępuje tak jak pani? Kiedy myśli pani, że Beth straciła nadzieję, co pani wówczas czuje?

Babcia Rosie sięgnęła ręką do szyi i zaczęła się bawić swoim medalionem.

- Żal mi Beth. Znam ją od chwili, gdy się urodziła. Kocham ją tak, jakby była moim własnym dzieckiem. I żal mi jej... ponieważ... ona się zatraciła. Porzuciła swoją wiarę...

Mama nagle prychnęła. Reese nie mógł uwierzyć własnym uszom

- to prychnięcie było niemal takim samym wyczynem jak skok na poręczu do gimnastyki akrobatycznej. Ale babcia Rosie nie należała do tych, co szybko schodzą z pola walki:

- Bethie, moja droga, przecież dobrze wiesz, że oddaliłaś się od Boga...

- O nie, Rosie. O nie. To Bóg oddalił się ode mnie, Rosie. Już wiele lat temu. I, bez obrazy, ale...

Bła, bła, bła. I tak w kółko. Tam i z powrotem. Reese uświadomił sobie nagle, że choć nigdy przedtem nie słyszał, by ktoś wypowiadał te wszystkie słowa, dla niego brzmiały one równie znajomo jak tekst hymnu narodowego. Zatkanymi rękami uszy. I w końcu, z nizin białej poduszki rzuconej na podłogę, gdzie ostatecznie schronił się przed rodzinną debatą, zobaczył, jak las nóg nagle się wydłuża - to Tom wyprowadzał wszystkich z gabinetu. Chwilę później zza sofy wyskoczyły sztywne tiule Kerry. A gdy już cała rodzina zniknęła wreszcie z pola widzenia, Tom pochylił się nad Reese'em, i spytał:

- Hej, kolego, czy poświęcisz mi jeszcze minutę czasu?

- Poświęcę ci pięć minut, ale nie więcej, bo za pięć minut zamierzam ubiegać się o przyjęcie do uniwersyteckiej ligi koszykówki.

- Na jakiej pozycji?
- Rozgrywającego.
- No wiesz, nie chciałbym ci przeszkadzać w zrobieniu błyskotliwej kariery...
- Czekali tak długo, mogą poczekać jeszcze pięć minut - oznajmił spokojnie

Reese.

- Tak naprawdę został nam jeszcze ponad kwadrans. Reese wstał.

- Wiesz co, Tom, może powinienem położyć się na kanapie, tak jak to robią na tych wszystkich filmach. Jeszcze nigdy tego nie próbowałem. A ty mógłbyś stanąć nade mną i powiedzieć: No więc, panie Cappadora, czemu sądzi pan, że jest pan owcą?

- Obawiam się, że natychmiast byś zasnął.

- Dlaczego?

- Bo wyglądasz na kompletnie wyczerpanego, brachu. Czy ty w ogóle masz czas na zmruczenie oka? Czy te interesy wciągają cię aż tak bardzo? - Tom miał na myśli przyjmowanie zakładów.

- Nie - odparł Reese. - Ja... Tym się zajmuję głównie w czasie weekendów.

- Reese, wiesz, że ta działalność doprowadza twojego ojca do szału? - Reese doskonale wiedział, że to kompletna bzdura. Tata był w równej mierze dumny, co zawstydzony jego bukmacherką. Miał do tego dokładnie taki sam stosunek jak dziadek Angelo do gangsterów. -Większość dzieciaków w twoim wieku zajmuje się zabawą w podchody.

- Podchody są zdecydowanie nie dla mnie.

- Zbyt męczące, co?

- Nie. - Tak naprawdę nie miał ochoty robić tego Tomowi. - Ale dzieci... jeden chłopak został kiedyś porwany w czasie podchodów. To była bardzo głośna sprawa. Johnny Gosch? Nigdy nie został odnaleziony. Więc w mojej rodzinie... nie jest to rodzaj rozrywki... Mój tata, moi rodzice chyba oszaleli ze strachu...

Szczęśliwie Tom zupełnie nie przypominał innych dorosłych. Gdy usłyszał słowa Reese'a, jego twarz nie przybrała tego specjalnego, miękkiego, woskowego wyrazu, sprawiającego wrażenie, że ktoś nie wie, co zrobić z mięśniami własnej twarzy. Tom tylko drgnął leciutko -babcia Rosie zawsze mówiła, że tak zachowuje się geś, gdy przejdzie po czyimś grobie - i kontynuował temat.

- A ty? Czy też szalałbyś ze strachu?

- Ja bym się nie bał - Reese odpowiedział chłodno.

- Ani trochę?

- No nie wiem. Tak czy owak, komu by się chciało wstawać o jakiejś cholernej trzeciej nad ranem?

- Mnie by się nie chciało - stwierdził Tom. - Tobie zapewne też nie. Szczególnie, że pewnie późno kładziesz się spać. Czy ty kiedykolwiek łądujesz w łóżku o jakiejś przyzwoitej godzinie? Powiedzmy o dziesiątej?

- Jasne. Właściwie co dzień. - Reese zawahał się. - Ale się budzę, kiedy muszę zmienić kasety, no i potem chwilę to trwa, zanim znowu uda mi się zasnąć.

- Kasety?

- Ja śpię przy muzyce.

- To musi być niesłychanie kojące dla twoich rodziców.

- Zakładam słuchawki.

- A czego słuchasz?

- W nocy zazwyczaj klasycznych kawałków. I opery. *Itahano*. Wiesz, jak jest. To takie zboczenie dziedziczne, jak w twoim przypadku kibicowanie drużynie Red Sox.

- Wybacz, Reese, ale ciągłego zmieniania kaset w nocy w żaden sposób nie nazwałbym zdrowym wyczynem.

- Nie jest tak źle. _ . ,

- Ale przynajmniej teraz już wiem, dlaczego wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

- Uch... to nie z powodu muzyki...

- A z jakiego? . „ „Teraz" - pomyślał Reese. Teraz będzie musiał opowiedzieć o swoim śnie. Wspomniał o nim Tomowi pod koniec ostatniej sesji, tuż przedtem, zanim musiał wyjść z gabinetu. Tom nawet oskarżył go wtedy, że zrobił to zupełnie celowo, że świadomie wspominał o tym dopiero na końcu spotkania, wiedząc, że następnym razem zjawi się tu cała rodzina i temat może upaść. Stary, dobry Tom poczuł się wykiwany; wiadomo, że szamani mają fioła na punkcie snów.

- No dobrze. Chodzi o ten sen, o którym już ci wspominałem.

- Sen o uciekaniu?

- Uhm.

- A co ty robisz w tym śnie?

- Stoję w wielkiej sali i gapię się w kafelki na podłodze. One są... przypominają mięsne klopsiki. Wyglądają ohydnie.

- Czy jesteś ssm?

- Gównno, a nie sam! - Reese podniósł wzrok. - Przepraszam. Nie. Wokół mnie jest z miliard ludzi i wszyscy ze sobą rozmawiają.

- O czym mówią?
- W tym rzecz, że oni nic nie mówią.
- Powiedziałeś, że rozmawiają.
- Ja wiem, że rozmawiają, bo widzę, jak ruszają ustami. Ale nie słyszę ani słowa. I stoję tam, ale właściwie nie stoję - Reese w skupieniu ściągnął brwi. - Ja biegnę.
- Ale nie możesz się ruszyć.
- Czy wszystkim śni się coś podobnego?
- To dość powszechne uczucie we śnie spowodowanym niepokojem. Istotne jest, kto cię goni. Przed czym próbujesz uciec?

Reese zeszytniał. Starał się rozluźnić, ale mewy znów zaczęły trzepotać, tak wściekle, jakby coś naprawdę nieźle je wkurzyło, co prawda Reese nie przejmował się już nimi tak bardzo, teraz wiedział przecież, jak oddychać, żeby je w końcu uspokoić. Próbował wyobrazić sobie, że w swoim śnie odwraca się za siebie.

- Ja... mnie nikt nie goni. To ja... próbuję dogonić kogoś.
- Kogo?
- Uhm... nie wiem.
- Ależ oczywiście, że wiesz.
- Nie wiem. Przecież gdybym wiedział, dlaczego miałbym ci nie powiedzieć?
- To ty powiedz, dlaczego miałbyś mi nie powiedzieć. „Ponieważ jak ci powiem, to umrę - pomyślał Reese. - Umrę tutaj,

gdzie siedzę, dokładnie na twojej sofie. A może zrobię jeszcze coś gorszego. Może dokładnie obsram tę całą twoją kanapę". Reese położył się i zakrył oczy zgiętymi w łokciach ramionami. Właściwie miał w nosie, czy się popłacze, czy nie, i czy Tom w końcu zobaczy jego Izy. Chodziło o to, że czuł się zupełnie wydrenowany, potwornie zmęczony, jakby do stóp przywiązano mu straszliwie ciężkie kotwice.

- Chcę dogonić kogoś... kto jest po przeciwnej stronie sali.
- Kogo?
- Nie wiem kogo.
- Posłuchaj, chłopie - odezwał się Tom, wstając i stukając palcem w ramkę jednego z tysiąca portretów koni. - Czy wiesz, ile ja zarabiam na godzinę?
- Ile?
- Sto dwadzieścia dolarów i ani grosza mniej.
- Och, gratuluję - powiedział Reese i od razu usiadł. - Będziesz mógł sobie kupić jeszcze więcej takich obrazków.
- A czy wiesz, kto mi płaci te sto dwadzieścia dolarów?

-Kto?

- Twój tata.

„Odpieprz się, tatusiu - pomyślał Reese. Ostatecznie, jakkolwiek było, to ojciec wymyślił tę całą szamańską zabawę”. - Więc?

- Więc czy uważasz swojego ojca za kompletnego idiotę?

- Nie, nie uważam swojego ojca za kompletnego idiotę.

- Chyba jednak tak. Bo widzisz, jeżeli twój ojciec chce płacić te sto dwadzieścia dolarów za to, żebyś ty tu siedział i robił z siebie palanta w każdą sobotę, a czasami także w inny dzień tygodnia, jeżeli jest tak bogaty, że te pieniądze nie mają dla niego najmniejszego znaczenia, to tym bardziej ja nie zamierzam się tym przejmować. Chętnie będę brał jego pieniądze...

- W to nie wątpię - odparował Reese. - Brałbyś je nawet wtedy, gdybyś i tak wiedział, że te rozmowy z tobą w ogóle nie są w stanie mi pomóc...

- Pewnie. Przez jakiś czas. Czemu miałbym tego nie robić? Ja zarabiam; twój ojciec ma poczucie, że ktoś próbuje rozwiązać problemy jego syna, wszyscy są szczęśliwi. Z wyjątkiem tego dzieciaka, który jest na najlepszej drodze do kompletnego wykolejenia - mam na myśli ciebie, przyjacielu - ale to już jest twój własny wybór. Ja nie jestem twoją mamusią. W swoim życiu widziałem już wielu tak zwanych twardzieli. I powiem ci: oni wszyscy marnie kończą. - Reese poczuł, że dłonie zaciskają mu się w pięści. „Niby taki lepszy od innych - pomyślał. - Nadęty kutas”. - Ale wcześniej czy później etyka zmusi mnie do tego, żeby oznajmić twojemu ojcu: Proszę posłuchać, pana syn myśli tyłkiem, a nie głową i nic więcej się od niego nie dowiem...

- Dowiesz się - obiecał Reese.

- Więc słucham - odparł Kilgore. - Na razie jeszcze wciąż biorę te moje sto dwadzieścia dolców.

Reese wstał. Twarz go swędziała, jakby hasały po niej roje mrówek. Powietrza. Potrzebował łyka świeżego powietrza. A potem obrócił się gwałtownie w stronę Toma.

- Przecież ty dobrze wiesz, kogo ja chcę dogonić - wycedził swoim zimnym, bezbarwnym tonem, tym tonem, który przerażał nawet braci Renaldo, chociaż każdy z nich miał szyję grubości talii Reese'a. Reese sam nie wiedział, skąd bierze mu się taki ton. Jego samego on też czasami przerażał.

- Do rzeczy. Kto to jest?

- Mój brat.

- Och. Twój brat. Jaki brat?

- Pieprzę cię - odparował Reese. - Pieprzę cię z całego serca.
- W to nie wątpię. A teraz bądź uprzejmy mi odpowiedzieć: jaki brat?
- Mam tylko jednego brata. To znaczy, teraz już nie mam żadnego brata. To Ben.

Chcę dogonić Bena.

- A co robi Ben? No, Reese, powiedz mi, co on robi?
- Przechodzi przez drzwi.
- Jakie drzwi?

Reese miał wrażenie, że zaraz się porzyga. Gardło zalewała mu jakaś kwaśna trucizna. Był pewien, że nie odważy się otworzyć ust. Jednak w końcu zdołał jakoś zrobić w nich szczelinę, a potem ciągnął je tak, jakby były na zawiasach. Poruszył językiem. W końcu udało mu się skądś wydobyć głos:

- Wychodzi przez drzwi z hotelu na ulicę.
- Czy ty to widziałeś?
- Nie wiem! Nie wiem! - wykrzykiwał Reese. - Wciąż biegnę i biegnę... ale nie

mogę się ruszyć...

- A czy kiedy naprawdę byłeś w tym hotelu, ruszyłeś się?
- Nie wiem! Przecież byłem wtedy tylko małym dzieckiem...
- Spójrz na niego, Reese. Spójrz na Bena.
- Ja nawet go dobrze nie widzę; jest odwrócony do mnie plecami. I ona też...
- Ona? Twoja mama?
- Nie... nie - Reese nie mógł złapać oddechu.
- Ellen? Twoja ciotka Ellen?
- Nie. Nie. Mała starsza pani. Niska, chuda, starsza pani.
- Co ona robi?
- Idzie za Benem. Siedzi Bena. Ona... otwiera mu drzwi na ulicę.

- Reese - głos Toma był niezwykle miękki, taki łagodny, gdy Tom siadał obok Reese'a na brzegu sofy. - Czy myślisz, że to wszystko wydarzyło się naprawdę? Czy może jest jedynie obrazem z twojego snu?

- Myślę, że jest obrazem z mojego snu, dlatego że wydarzyło się naprawdę.

I w tym momencie - Reese będzie pamiętał o tym z palącym wstydem przez wiele następnych lat, jeszcze długo po tym, kiedy wszystko wreszcie się wyjaśni - mocno chwycił Toma za rękę. A Tom, dzięki Bogu, zachował się tak, jakby w ogóle tego nie zauważył.

Beth

Rozdział 19

Maj 1994

Kerry darła się wniebogłosy, wrzeszczała tak ogłuszająco, że Beth tylko jakimś cudem usłyszała dźwięk dzwonka do drzwi.

- Uspokój się, Kerry! - zarządziła ostrym, wojskowym tonem, którego teraz już bardzo rzadko używała wobec dzieci.

A gdy Kerry zaprzestała wreszcie swoich wrzasków, Beth poczuła, że dla odmiany sama chętnie zaczęłaby krzyczeć. Dzwonek brzęczał z natarczywością, której w żaden sposób nie dało się zignorować, co oznaczało, że tym razem Beth nie będzie mogła udawać, że akurat nikogo nie ma w domu - prawdę powiedziawszy, ktoś dzwonił tak dziko, jakby cały dom miał za chwilę stanąć w płomieniach.

- Chwileczkę - zawołała w stronę drzwi. - Już idę. Dzwonek zamilkł, jednak tylko na krótki moment.

Beth nie miała najmniejszych złudzeń, że jeżeli teraz puści Kerry, to na dłuższy czas będzie się mogła pożegnać z nadzieją na zlikwidowanie kołtunów na jej głowie; Kerry nie dopuści jej do siebie ze szczotką w rękę przez najbliższe trzy dni - minimum. Ponieważ Beth niezmiernie rzadko przypominała sobie o konieczności wyszczotkowania delikatnych włosów swojej córki, włosów o zlocistorudej barwie, którą, jak z uporem twierdziła Ellen, Kerry musiała odziedziczyć po swojej chrzestnej matce - pod gładkim, jedwabistym wierzchem kłębiły się skudłone, niemal sfilcowane pasma. Sama Kerry ograniczała się co rano do przejechania wilgotną szczotką po czubku głowy. Sądziła, że włosy przyglądzone na górze, to włosy uczesane, na tej samej zasadzie, na jakiej śmieci zgarnięte pod łóżko uważała za śmieci wyrzucone.

- Pani w szkole mówi, że mam włosy o niezwyklej, naturalnej puszystości, mam - oznajmiła jej teraz Kerry. - Zupełnie jak Rapunzel.

„Chryste - pomyślała Beth. - Ta nauczycielka jest zupełną idiotką, a do tego zapewne myśli, że zarabiam na życie czyszczeniem toalet w dzielniccy barakowozów”.

- Twoja pani po prostu starała się być miła - odparła spokojnie Beth. - Ale tak naprawdę chciała ci powiedzieć, że z powodu niezliczonej liczby kołtunów twoje włosy sterczą na dziesięć centymetrów w górę. Kerry, posłuchaj, jeżeli nie będziesz starannie szczotkować swoich włosów, one zaczną się łamać i w tych miejscach porobią ci się na głowie ohydne, tyse placki. Naprawdę bardzo brzydkie. -

Niespodziewanie tego ranka Beth obudziła się z niewielką nadwyżką energii. Już jakiś czas temu nauczyła się wykorzystywać podobne niespodzianki, wiedząc dobrze, jak wyglądają jej normalne dni, świadoma, jak niewiele z siebie może dać dzieciom na co dzień. Tym razem postanowiła, że w końcu kupi trochę listewek dla Vincenta, a przedtem jeszcze doprowadzi wreszcie fryzurę Kerry do porządku.

- Ale ja je przecież szczotkuję. Naprawdę. Każdego dnia - głos Kerry oscylował teraz pomiędzy żalonym jękiem a agresją. - Moje włosy są zawsze bardzo ładne.

- Tak, jednak czasami ja muszę się nimi zająć - odparła stanowczo Beth. Po czym wszystko potoczyło się zgodnie z określonym rytuałem. Wystarczyło, że Beth tylko machnęła szczotką w powietrzu gdzieś w okolicach głowy swojej córki, by Kerry - normalnie najłagodniejsze ze wszystkich dzieci - natychmiast przeistoczyła się w ogarniętego wścieklizną wilkołaka, wierzgającego, szamoczącego się na wszystkie strony, wydającego z siebie przenikliwe wrzaski, które doprowadzały Beth do szaleństwa.

Teraz na myśl o tym, że być może jakiś świadek Jehowy stoi na jej ganku i z uniesionymi w górę oczami modli się, by Pan natchnął go niezwykle siłą, jeśli pisane mu nawracanie mieszkańców domu, z którego dobywają się podobne wrzaski, Beth rozproszyła się tak bardzo, że gdy zaatakowała pewien szczególnie przerażający kołtun, szczotka z trzaskiem pękła jej w rękę. Kerry natychmiast wyprysnęła z sypialni i pognęła po schodach w dół, wprost do wejściowych drzwi. Beth, zbierając po drodze kawałki połamanego plastiku, powoli ruszyła za nią, klnąc cicho pod nosem.

- Chodzisz do szóstej? - usłyszała pytanie Kerry, gdy pokonywała ostatni zakręt schodów. Na wpół uchylone drzwi zasłaniały stojącą za nimi postać.

- ... trzeciej? Czy to ty byłaś strączkiem soi? - Głos, który dobiegał zza drzwi, był głosem dziecka starszego od Kerry i mógł równie dobrze należeć do chłopca, jak i do dziewczynki.

- Nie. Ja byłam kolbą kukurydzy. - „Święto wiosny - pomyślała Beth. - Czyżby Pat już wyszedł?"

- A kto cię uczy?

- Pani Cook - odparła Kerry.

- Ona mnie też uczyła! - ucieszył się głos. - To bardzo fajna pani! Beth przeskoczyła dwa ostatnie stopnie i stanęła obok Kerry, obejmując ją ramieniem.

Ostre światło południa podświetlało wszystko jaskrawię, nadając kształtom na zewnątrz charakter czarnej, nieprzeniknionej plamy. Teraz Beth doświadczała tego efektu ze spotęgowaną siłą, wyszedłszy nagle na słońce z ciemności górnego holu. Przysłoniła ręką oczy, jednak stojący przed nią dzieciak był wciąż jedynie sylwetką wyciętą z nie przepuszczającego światła kartonu, z jasną, błyszczącą poświatą, tworzącą aureolę wokół jego głowy. Widziała tylko, że jest wysoki, wysoki i mocno zbudowany jak na szóstoklasistę; z drugiej jednak strony, mogła się mylić, bo przecież Vincent był taki drobny. By otworzyć drzwi z moskitierą, pchnęła je energicznie biodrem.

Wiele, wiele lat temu matka Ellen przeszła drobny wylew krwi do mózgu. I jakiś czas potem powiedziała Beth, że podobne incydenty mózgowo mogą trwać jedynie chwilę, nie dłużej, niż potrzeba dla wypowiedzenia pojedynczego słowa; można doświadczyć ich podczas snu i obudzić się z uczuciem, że w nocy przebrnęło się jedynie przez uciążliwy ból głowy. I chociaż teraz czaszkę Beth rozsadzała kadencja dźwięków o nateżeniu pneumatycznego młota, sprawiająca, że chwiejnie opadła na framugę drzwi, to ani na moment nie straciła przytomności. Natychmiast też zdała sobie sprawę, że choć ten hałas wypełnia całą ulicę, ogarnia cały świat, tylko ona jedna jest w stanie go dosłyszeć. Przycisnęła rękę do skroni; huk wciąż pulsował w jej głowie, jednak teraz nabrał swoistej, przedziwnej przejrzystości - dopuszczał do niej również wszystkie inne dźwięki. Beth wyraźnie słyszała powiew wiatru w gałęziach klonu, przypominający szum wody płynącej w rurach, i kraczącą rozmowę wron, niczym rytmiczny stukot kastanietów. Język grzął jej w lepkiej żółci. Oburącz, kurczowo, chwyciła framugę drzwi i zgięła się niemal we dwoje, walcząc z własnym oddechem, usiłując nadać mu określony rytm i zaczerpnąć wystarczającą ilość tlenu, by zwalczyć smolistoczarne płatki liżące przestrzeń tuż przed jej oczami.

- Czy pani się dobrze czuje? - spytał dzieciak, odskakując do tyłu.

- Mamusiu! - wykrzyknęła Kerry blaszonym głosem.

- Ja... wszystko... w porządku - wydyszała Beth.

- Mamusiu, czy będziesz wymiotować? Mam zawołać Głorię? Nieznajomy dzieciak wycofywał się po schodkach frontowego ganku. Z autentycznym przerażeniem w głosie tłumaczył teraz Beth:

- Ja koszę trawniki. Chciałem tylko zostawić swój numer telefonu. Ale mogę zrobić to innym razem. Przyjdę kiedy indziej.

Ale Beth udało się już złapać odpowiedni rytm oddechu, powoli wracały jej siły. Jak długo to wszystko trwało? Minutę? Czy może dziesięć? Co prawda nie była jeszcze w stanie całkiem się wyprostować, jednak wykonała dłonią gest mający dać do zrozumienia temu dzieciakowi, a także Kerry, że już wszystko w porządku, że już wróciła do siebie. Nie chciała, żeby chłopak się jej przestraszył. W głowie próbowała ułożyć szybko plan działania, przerzucała w myślach różne warianty, niczym zgniłe liście na kompostowej przyźmie.

- Tak naprawdę nasz trawnik wymaga strzyżenia - stwierdziła w końcu. - Czy mógłbyś zrobić to dzisiaj?

Dzieciak był wyraźnie zaskoczony.

- Jasne, oczywiście! Tylko muszę... muszę pójść po swoje przybory. Mieszkam niedaleko, jedynie jakieś dwie przecznice stąd.

- Tylko przypadkiem nie targaj kosiarki. My mamy kosiarkę - usłużnie wtrąciła Kerry. - Mój starszy brat powinien się zajmować trawnikiem. Jest już naprawdę duży, chodzi do szkoły średniej. Ale to potworny leń. - Jeszcze zanim Kerry skończyła swoją kwestię, chłopak już puścił się biegiem wzdłuż ulicy. Beth gwałtownie chwyciła Kerry za ramię, zdecydowanie za brutalnie.

- Czy wciąż jeszcze ci niedobrze, mamusiu? - spytała Kerry, podnosząc na nią wzrok.

- Nie, ja tylko... Skąd znasz tego chłopca?

Twarz Kerry pokrył ciemny rumieniec; jej karnacja była projekcją jej wszystkich emocji. Pat zwykł ją nazywać „Kobietą Przejrzystą”.

- Mamusiu - Kerry odezwała się teraz bardzo poważnym głosem. - Byłam we własnym domu. To nie to samo co jakiś niebezpieczny obcy na ulicy. Ten chłopak chodzi do mojej szkoły, jest o trzy klasy wyżej ode mnie.

- Och - odparła jedynie Beth, czując, jak jej szaleńczy puls powoli opada. „Spokojnie - mówiła do siebie w duchu. - Tylko spokojnie. Spokojnie”. - Jak on się nazywa? "

- Jason - stwierdziła Kerry. - Jest w grupie patrolowej... Och, nie,

mamusi, nie. Pomyliłam się. Jason to ten chłopak, co ma gameboya i, wiesz, mamusi, kiedyś musiał iść do dyrektora za to, że stał i grał w „Mortal Kombat” wtedy, kiedy miał pilnować, żeby małe dzieci przeszły...

- To znaczy, że nie wiesz, jak on się nazywa?

- Wiem. Nazywa się Sam. Sam Kero... Kero-coś-tam.

Kerry podążyła za Beth w głąb domu. Beth ruszyła w stronę schodów do piwnicy, odsuwając stopą śpiącego na najwyższym stopniu ich psa, Beowulfa, który teraz, kaszląc z irytacją, przeniósł się powolnie do salonu. Beth zbiegła po schodach, wpadła do ciemni, próbowała po omacku włączyć światło, ale przypomniała sobie nagle, że w lampie na suficie przepaliła się żarówka - miała ją wymienić już jakiś czas temu

- będzie więc musiała zadowolić się czerwonym światłem, używanym przy obróbce fotografii. W upiornej poświacie głębokiej czerwieni Beth znalazła swoją największą torbę i wyciągnęła z niej Nikona F-90, jeszcze pachnącego nowością, po czym poprzewracała wszystko w minilo-dówce w poszukiwaniu odpowiedniego filmu. Gdy drżącymi rękoma rozrywała kartonowe pudełeczko i ochronną folię opakowania, tłumaczyła sobie, że dwusetka powinna być akurat: najważniejsze, to zachować wierność koloru, a trawnik ma dostatecznie dużo światła, jedynie pod drzewami zalegają obszary cienia.

- Mamusi, czy zamierzasz teraz pracować?

- Kerry! - wrzasnęła Beth, a jej córka aż podskoczyła z przestachu. - Kerry... tak, bo wiesz co? Zupełnie zapomniałam, że muszę zrobić kilka zdjęć jesiennych liści. Możesz więc iść i pobawić się z Bly-the, okay? No, biegnij.

Beth z trzaskiem otworzyła aparat i starannie założyła film. Zamknęła pokrywę i od razu usłyszała cichy terkot automatycznego przewijania. Jej dłonie powlekała cienka warstwa śliskiego potu. „Spokojnie

- powtarzała sobie w duchu. - Tylko spokojnie. Użyję teleobiektywu, ale przełączę go na ręczne ustawianie ostrości. W ten sposób zdołam..." Gdy usłyszała głos Kerry, miała wrażenie, że jej córka jest bardzo, bardzo daleko, że nawołuje gdzieś zza siedmiu gór. Tymczasem Kerry stała tuż na szczycie schodów.

- Mamo, moje włosy są strasznie potargane - oznajmiła zblazowanym tonem. - A poza tym zawsze mówiłaś, że o tej porze nie wolno mi przechodzić przez ulicę, jeżeli ty na mnie nie patrzysz.

Beth wskoczyła po schodach na górę, tuląc do piersi swój aparat fotograficzny. Czowała, jak pot przylepia jej T-shirt do mostka.

- Kerry, po prostu zepnij włosy, dobrze?

Kerry zaczęła ospale grzebać w swoim plecaku, walającym się niedbale po podłodze w holu, i znalazła w końcu elastyczną opaskę, przyozdobioną biedronkami w krzykliwych kolorach. Zebrała włosy w przekrzywiony koński ogon, podczas gdy Beth stała nad nią, dysząc ciężko, przepełniona jedynie pragnieniem, by jak najszybciej pozbyć się jej z domu, co, jak później uświadomiła sobie Beth, musiało szczerze przerazić córkę.

Po przeciwnej stronie ulicy Gloria obrywała główki geranium. Energicznie i radośnie zamachała do Beth, a potem przerysowanym, zapraszającym gestem wskazała na drzwi własnego domu; dla Beth oznaczało to jedynie, że Blythe znajduje się w pobliżu, a więc Kerry będzie mogła się u niej pobawić. „Spokojnie. Byle zachować spokój” -pomyślała znowu i odpowiedziała Glorii równie zamaszystym gestem, wskazując na swój aparat fotograficzny. Gloria złożyła palce w duże O, oznaczające: „Okay, rozumiem”. Obie z Beth podrzucały sobie nawzajem swoje córki niemal każdego dnia w tygodniu.

Ręce ślizgały się jej po powierzchni aparatu, gdy powoli zamknęła za sobą drzwi domu. Powiodła oczami po rodzinnych fotografiach bożonarodzeniowych, maszerujących w równej linii wzdłuż ścian na wysokości jej podbródka. Na chwilę przystanąła i oparła się o drzwi, a potem rzuciła się po schodach w górę i wbiegła na drugie piętro. Zaczęła przerzucać wszystko w szufladach Pata, gdzie, jak wiedziała, trzymał kartony papierosów - od czasu operacji chował je tam przed nią pod starymi programami rozgrywek baseballowych, kolekcją kolorowych rysunków autorstwa Vincenta i schowanym do pudełka, dużym papierowym czepkiem na głowę, który nosił w trakcie operacji cesarskiego cięcia, kiedy rodziła się Kerry. Beth złapała jedną paczkę papierosów, rozdzierając nie tylko folię, ale i papier opakowania co najmniej na kilka centymetrów, tak że papierosy wypadły z kartonika i potoczyły się bezładnie po dywanie. Wolną ręką otworzyła szafę i zanurzyła dłoń w kieszeni jednej z marynarek Pata. Oczywiście, znalazła zapalniczki. Pat zawsze miał przy sobie zapalniczki, chociaż wzbraniał się zarówno przed oszukiwaniem jej, że całkowicie porzucił nałóg, jak i otwartym przyznaniem się, że poza domem wciąż jednak jeszcze pali.

Beth chwyciła papierosa. Zapaliła, zaciągnęła się głęboko i, odzwyczajona od dymu w płucach, natychmiast się zakrztusiła. Po chwili przeszła do pokoju Kerry, który otwierał się na niewielką werandę z widokiem na trawnik. Usiadła na podłodze, opierając się plecami o ścianę, odpychając na bok tłum lalek Barbie; Kerry, zgodnie ze swoim zwyczajem, zostawiła je na zewnątrz, nagie i zapomniane, pokryte całunem opadłych, wrześnieowych liści.

Beth siedziała i paliła.

Pot wysechł już na jej koszulce, pozostawiając zeszywniałe plamy. Słońce paliło jej twarz, jednak resztę ciała przejmował lodowaty chłód. Beth drżała. Nadmiar adrenaliny wywoływał swędzenie dłoni i ostre mrowienie w palcach. Starannie odłożyła aparat na bok z obawy, że może go upuścić.

Usłyszała, jak dzieciak otwiera boczną furtkę. W porządku. W ten sposób będzie mu mogła powiedzieć, że kosiarka... ale nie, nie musiała tego robić, bo w tej chwili zobaczyła, że chłopak taszczy ją zza rogu domu, najwyraźniej sam zdołał ją znaleźć. Pomachał do niej ręką, patrząc wprost na nią okrągłymi, szarymi oczami, które wciąż jeszcze wydawały się pozbawione rzes. Zasłaniając aparat ramionami, niczym tajemniczy skarb, Beth podniosła się i wykrzyknęła:

- Muszę zrobić trochę zdjęć jesiennych liści. Na tym polega moja praca. Jestem fotografikiem.

Dzieciak pokiwał tylko głową, pochylił się i wprawnie zapalił ich wielką kosiarkę już za pierwszym pociągnięciem linki. A potem, z przygarbionymi ramionami, zaczął kosić trawę starannie, rozpoczynając od tyłu, ciągnąc pasy długości trawnika.

By zachować pewność ręki, Beth zapała się łokciami o poręcz i nastawiła ostrość obrazu. Już nie miała czasu na rozstawienie statywu. Zrobiła kilka ujęć jego twarzy z profilu, gdy wyłonił się z cienia wierzby i przemieszczał się w stronę huśtawek. Gdy wykręcał przy patio, chwyciła jego twarz en face, a potem całą sylwetkę, gdy zatrzymał się, by otrzeć pot z twarzy rękawem flanelowej koszuli. Beth robiła jedno zdjęcie co kilka sekund. W ten sposób, po kilku minutach, jeszcze na długo przedtem, zanim chłopak zdołał skosić połowę trawnika, skończyła już cały film, wszystkie trzydzieści sześć klatek. Pobiegła na dół w poszukiwaniu światłoszczelnej torby. Nie mogła jej znaleźć. „Spokojnie, tylko spokojnie - myślała. - Poradzisz sobie. Przewijałaś już film, posługując się jedynie dotykiem, w tysiącu różnych, pozbawionych światła miejsc”. Pogasiła światła, zamknęła drzwi i zajęła się obróbką filmu.

A potem, w czerwonym świetle ciemni, uklękła, przyciskając czoło do brzegu zlewu domowej roboty, który Vincent pokrył czarną farbą do malowania kadłubów okrętowych, i zaczęła recytować na głos i powoli: - *Domine Deus, Agnus Dei, Filius Patris; qui tollis peccata mundi, miserere nobis... miserere nobis.* - Usłyszała Vincenta wchodzącego do domu, usłyszała, jak frontowe drzwi z trzaskiem odbijają się od ściany.

- Vincent - wyszeptała, wzywając go w myślach, z nadzieją, że zjawi się tu z jej torebką, by mogła dać mu dziesięć dolarów. Dźwięk, jaki z siebie wydała, trudno nawet było nazwać szeptem. Beth oderwała się więc od zlewu i powlokła po schodach w górę, na czworakach. Wokół domu panowała teraz głucha cisza. Poczowała przypływ paniki, gwałtownie otworzyła frontowe drzwi.

Dzieciak zniknął - ale pozostawił kartkę z wiadomością, że w kosiarce zabrakło paliwa. Wróci nazajutrz. Beth pobiegła do garażu. Kosiarka stała tam wetknięta starannie w wolną przestrzeń pomiędzy rowerami.

Beth z trudem wspięła się na górę po schodach. Jeszcze tylko piętnaście minut i już będzie mogła robić odbitki.

- Vincent - odezwała się pod drzwiami jego pokoju. Podłoga drżała jej pod stopami... Vincent słuchał muzyki. - Vincent - Beth spróbowała przekręcić gałkę, drzwi były jednak zamknięte na klucz. Zastukała. Żadnej odpowiedzi. Tylko vibracje spowodowane dźwiękami z potężnego magnetofonu.

Beth zaparła się plecami o przeciwległą ścianę i obiema stopami huknęła w drzwi Vincenta najsilniej, jak potrafiła. Muzyka gwałtownie przeszła w ciszę. Vincent otworzył drzwi. Beth zauważyła, że z oczu płyną mu łzy, ale zupełnie zignorowała ten fakt. W ogóle nie zastanowiła się, czemu jej syn płacze.

- Chciałabym, żebyś poszedł na dół i zamówił pizzę - oznajmiła mu. - Proszę, żebyś to właśnie zrobił najpierw. Potem idź po Kerry, jest teraz u Blythe, i włącz jej coś na wideo. Pieniądze na pizzę weź z mojej torebki. - Vincent tępo pokiwał głową. - Ja muszę popracować w ciemni. Natychmiast. Nie mogę tego odwlekać. Więc chcę, żebyś dał Kerry trochę pizzy, dobrze? Zrobisz, o co cię proszę?

Vincent znów pokiwał głową, chyłkiem ocierając oczy wierzchem dłoni, i zgarbiony powlókł się w stronę schodów.

- Vincent - zawołała za nim Beth ostrym głosem - czy widziałeś tego chłopca, który kosił trawnik?

- Jakiego znowu chłopca? - Vincent posłał jej gniewne spojrzenie. Spoglądając na zegarek, Beth głośno zbiegła na dół, do ciemni.

„Spokojnie. Byle spokojnie - myślała. - To przecież tylko fotografie. Nic tylko fotografie. Robisz je co najmniej dwa razy w tygodniu". Działała teraz zupełnie automatycznie. Zdecydowała się odbić każde ujęcie oddzielnie, w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć, choć wiedziała, że to potrwa wieki. Jednak na arkuszu kontaktowym wszystko byłoby zbyt małe, wpatrując się w taki drobiazg, przeżywałaby tortury.

Powiększalnik. Wywoływacz. Roztwór zobojętniający. Utrwalacz. Tylko spokojnie i powoli.

Beth pochyliła się nad kuwetą. Kropla potu stoczyła się z jej brody, uderzyła o lustrzaną powierzchnię, rozkwitła niczym grzyb wybuchu atomowego, zakołysała się i w końcu znikła.

A po chwili Beth ujrzała wyłaniające się rysy twarzy - coraz ostrzejsze i wyraźniejsze, wyrywały się ku niej z ciemności.

Rozdział 20

Beth zostawiła odbitki przypięte klamerkami do linki.

Nawet z odległości otwartych drzwi do ciemni, odległości mniejszej niż półtora metra, większość z nich wyglądała jak kopia jednego zdjęcia lub niezwykła sekwencja, powstała, gdy migawka zamykała się i otwierała, zamykała i otwierała, skierowana na ten sam obiekt, ustawiony w stałej pozycji. Dopiero z bardzo bliska widać było subtelną różnicę, nieznaczną zmianę kąta w ujęciu jasnej, chłopięcej twarzy o ostrym podbródku i piegach, układających się pod oczami w niezwykłą maskę przypominającą pyszczek szopa pracza. Parę fotografii przedstawiało całą sylwetkę. Nogi chłopca były bardzo długie - to one były przyczyną jego wysokiego wzrostu - o doskonałej, naturalnej muskulaturze.

Muskulaturze, którą przecież miał już od urodzenia.

Kiedy Beth weszła w końcu na górę, Vincent znów siedział w swoim pokoju, a Kerry, z zaczerwienionymi oczami, właśnie kończyła drugą godzinę połykania animowanej sieczki.

Beth wyłączyła telewizor i Kerry zaczęła zbierać się do snu.

Jednak Beth chwyciła ją i przyciągnęła do siebie, siadając wraz z nią na zapadniętych poduszkach mocno już zużytej sofy. Przytulała ją bez słów, głaszcząc aksamitną wypukłość jej policzka swoim, o wiele bardziej szorstkim naskórkiem, kołysząc się wraz z nią tak wolno i nieznacznie, że ktoś mógłby z łatwością uznać to za martwy bezruch. Beth poczuła, jak Kerry mości się wygodnie w jej ramionach - uściski Beth rzadko bywały równie łagodne i delikatne.

Bez względu na to, co jeszcze czekało ją tego wieczoru, przeżycia popołudnia dały Beth, po raz pierwszy od dziewięciu lat, dostatecznie dużo odwagi, by pozwoliła sobie na przyjemność przytulania ufnego ciała swojego najmłodszego dziecka. Palce Kerry były usiane plamami

od flamastrów; pachniała owocami, płynem do mycia naczyń i czymś jeszcze - gdzieś za tymi codziennymi zapachami kryła się won niewinności Ponad potarganymi włosami swojej córki Beth spojrzała w górę i ujrzała ostry jęzor lawiny, wielką górę wspomnień i na wpół zapomnianych obrazów, żalu, ostrego bólu i wściekłości, gotowych w każdej chwili runąć w dół i doprowadzić ją do kompletnego paraliżu.

Jak na razie jednak nic nie drgnęło. Nic nie zagrzmiało. Ani jeden zimny kamyk nie poruszył się ze swego miejsca.

Beth zaprowadziła Kerry do pokoju i siedziała tam, słuchając, jak jej córka bnie poprzez stronice „Domku na prerii”. W czytaniu Kerry trudno było dopatrzeć się talentu, jednak cechował ją wytrwałość upor; jej determinacja była niemal wyczuwalna.

- Co dzień idzie mi lepiej. Przecież mam już dziewięć lat. Siedemnaścioro dzieci w mojej klasie to jeszcze ósmiolatki - oznajmiła teraz z westchnieniem Kerry, a Beth zastanawiała się, w jaki sposób z tak drobnych okrucich zainteresowania, jakie przez całe dzieciństwo okazywała jej własna matka, Kerry zdołała zbudować sobie tak silne poczucie własnej wartości. .

- Pa, dobranoc - powiedziała w końcu Beth, gasząc w pokoju Kerry górne światło.

- Mamusiu, już nie jesteś chora, prawda?

- Nie teraz jestem w superformie, brzoskwinko. Przechodząc obok pokoju Vincenta Beth zastukała lekko w drzwi.

- Dobranoc - wykrzyknęła. - Dzięki za opiekę nad Kerry. - W odpowiedzi usłyszała jedynie głuchy pomruk w tle wibrującej muzyki tym razem klasycznej: Mozarta w interpretacji Perlmana. Beth nawet nie próbowała otworzyć drzwi. Wiedziała, że są zamknięte na klucz.

Spojrzeła na zegar. Po dziewiątej. Pat będzie w domu gdzieś za godzinę.

Zazwyczaj Beth spędzała tę ostatnią godzinę dnia, ow końcowy interwał dzielący ją od chwili, gdy będzie mogła szukać ukojenia w szklance zimnej wody i trzech tabletkach trazodonu, czytając angielskie powieści. Beth odnosiła wrażenie, że Anglicy me należą do nacji gustującej w posiadaniu licznej gromadki dzieci; a nawet jeżeli już je mają nie poświęcają im wiele czasu i uwagi. Tym, co naprawdę mogło poruszyć duszę Anglika, był dobry spaniel-wodołaz czy dżentelmen z trzcinową szpicrutą, powracający z Indii do zażywnej małżonki o imieniu Bea, oddającej się duszą i ciałem pracom we własnym ogródku Beth najbardziej lubiła takie powieści, w których każdy dzień różnił się od następnego jedynie rodzajem kanapek podawanych do popo-

łudniowej herbatki, gdzie proboszcz skiadał wizyty słabującym członkom wspólnoty, a ludzie wyruszali na przejażdżki tylko po to, by obejrzyć kolekcje starych guzików bądź wysłużone tomy powieści Thackereya.

Jednak tego wieczoru nie była w stanie zatopić się w problemach mieszkańców wioski z Monford Road czy sklepiku przy Hastings Crossing.

Mogła jedynie siedzieć beczynnym w salonie, z ostrym, piekącym smakiem papierosów w ustach. Pat się spóźniał. A gdy w końcu się zjawił, przekroczył próg, nucąc coś z cicha i taszcząc pod pachą stary karton reklamujący zimowe specjały restauracji „Włoskie Wesele”. Nadchodził czas na wystawienie przed lokalem tablicy z letnim menu, a Kerry bardzo lubiła rysować na tych zużytych, dużych płaszczyznach tektury.

Pat odłożył klucze i wstawił wodę na swoją wieczorną filiżankę herbaty. Wychylił się i rzucił okiem na ciemny korytarz pierwszego piętra, by upewnić się, że może otworzyć okno i wypalić jeszcze bezkarnie ostatniego papierosa przed snem.

I wtedy Beth zawołała go po imieniu: - Pat.

Pat aż podskoczył.

- Bethie! Co ty tu robisz o tak późnej porze?

Beth weszła w żółtą plamę kuchennego światła i mocno objęła Pata ramionami. On z wdzięcznością zaczął gładzić jej plecy.

- Co się dzieje? Czy Kerry się rozchorowała?

- Nie - odparła, pragnąc przedłużyć tę ostatnią chwilę równowagi w ich życiu, ostatnie minuty istnienia śnieżnego mostu, który budowała z wielkim wysiłkiem, upakowawszy drobiny tak ciasno, że nabrały konsystencji betonu, co pozwalało na w miarę bezpieczne przejście. Niepewność, którą nosili w sercu, sprawiała ból, ale do tego cierpienia już przywykli, nauczyli się z nim żyć na co dzień. Co czeka ich teraz? Jaką prawdę przyjdzie im zaakceptować?

- Muszę ci coś pokazać - oznajmiła Beth.

Pat zdjął sportową marynarkę i podążył za nią po schodach w dół. Beth przypomniała sobie nagle, że w ciemni nie ma światła.

- Paddy - poprosiła - czy mógłbyś przynieść mi żarówkę z góry? Pat bez słowa odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia. W bladym

świecie, docierającym z holu, Beth dostrzegła dziecko widniejące na fotografiach - jego włosy mocno ściemniały, w promieniach słońca miały odcień dojrzałego kasztana. On zapewne określa je jako brązowe. On.

Ten chłopiec. Sam.

Pat wrócił po chwili, usunął przepaloną żarówkę i wrzucił do wielkiego pojemnika na śmieci. Po ciemku wkręcał nową żarówkę - po paru błysnięciach światło zapłonęło w końcu jednostajną mocą. Pat spojrział na fotografię. Podszedł bliżej. Zerwał z linki jedną z nich. Potem następną.

- Beth - powiedział cicho.

- To jest to, prawda?

Przysiedli obok siebie na ławce ustawionej wzdłuż jednej ze ścian ciemni. Pat zdjął z linki kolejną garść fotografii. Po chwili przeszli do gabinetu Beth. Ona usiadła za biurkiem, Pat usadowił się na wyściełanym krześle.

- Czy to możliwe? - zapytał z tak ściśniętym gardłem, że Beth zaczęła zastanawiać się gorączkowo, czy powinna mu zaaplikować środek uspokajający lub może lepiej nitroglicerynę. Niemalże wyczuwała trzepotanie jego nadwerżonego serca.

- Zadzwoił do naszych drzwi - wyjaśniała Beth miękkim głosem. - Żeby skosić trawnik. Pozwoliłam mu się tym zająć. W kosiarce zabrakło benzyny. Wróci jutro.

Oczy Pata przepelniały łzy, toczyły się wzdłuż jego twarzy, kapały mu na przód koszuli. Poza tym nie wyglądał na człowieka, który płacze; łzy płynęły strumieniem, ale jego oddech był zupełnie miarowy, jak najbardziej normalny.

- Gdzie mieszka ten chłopiec?

- Powiedział, że dwie przecznice stąd.

- Dwie przecznice? - wykrzyknął Pat. - Dwie przecznice? Czy dopiero się tu sprowadzili?

- Pat. Nie wiem, kiedy się tu sprowadzili. Ale Kerry zna go od czterech lat. Od chwili gdy poszła do szkoły w Sandburg.

- Czy ona... ?

- Skąd, Pat, na Boga jedyne. Ja pewnie też bym nie wiedziała, gdyby... a może bym wiedziała. Nie wiem. Tyle że on wygląda niemal dokładnie tak samo jak komputerowy portret symulacyjny stworzony przez Morrisona. Postanowiłam zrobić zdjęcia w kolorze, żebyśmy mogli dokładnie zobaczyć... jego włosy są takie ciemne... Wiesz, Pat, nie możemy przecież wykluczyć, że to po prostu dziecko podobne tylko do niego...

- Aha - wyszeptał Pat.

- Dlatego chciałam ci pokazać te zdjęcia, zapytać o twoje zdanie, zanim zadzwonimy do Candy czy... czy kogokolwiek innego.

- Zadzwońmy natychmiast - oznajmił Pat. - Chodź, zadzwonimy od razu, a potem pójdziemy do tego domu.

- Nie - sprzeciwiła się stanowczo Beth. - Teraz jest zbyt późno, Pat. On przecież już śpi. I nawet nie wiemy, jak brzmi jego nazwisko.

- Jego nazwisko?! Chryste, Beth, jego nazwisko?! - Pat zerwał z szyi krawat, sięgnął dłonią do kieszeni na przodzie koszuli, gdzie zawsze trzymał paczkę papierosów, oczywiście, jeszcze zanim musiał się poddać kuracji i zanim zaczął ukrywać swój nałóg przed Beth. - A co, jeżeli oni... robią mu coś właśnie teraz, właśnie w tej chwili?

- On nie wygląda na molestowane dziecko, Pat. A nawet jeżeli tak jest, to przecież minęło już dziewięć lat...

- Och, Bethie. Och, Bethie - dwie przecznice. Kiedy cię zobaczył, czy przypadkiem...

- Nie, Pat. Ani trochę. Nie ma o niczym zielonego pojęcia. Pat, on miał wtedy zaledwie trzy lata...

- No tak. I nigdy w życiu nie był przecież w tym domu.

- No właśnie.

- Ale może poznałby mnie.

W tym momencie Beth poczuła, jak wzbiera w niej potężna fala wściekłości; miała ochotę uderzyć Pata, trzasnąć go otwartą dłonią w twarz - bardzo mocno. Jednak powstrzymała się ostatnim wysiłkiem woli, zaczęła powoli wciągać i wypuszczać powietrze. Bez pośpiechu.

- Przykro mi, Beth, ale muszę zapalić - oznajmił jej w końcu Pat. Ponownie chwycił w dłoń plik fotografii.

Wyszli na werandę i usiedli, pogasiwszy uprzednio wszystkie światła. Spocone dłonie Pata zostawiły już trwale smugi na wszystkich odbitkach.

- Dwie przecznice. Dwie przecznice - powtarzał Pat. - A ja nigdy go nie widziałem.

- Tak rzadko jesteś w domu. I ja też nigdzie właściwie nie chodzę. Czasami podjeżdżam samochodem pod szkołę, wpadam do supermarketu. W naszej okolicy mieszka zapewne co najmniej z pięćdziesięcioro dzieciaków, których przez całe cztery lata, od czasu gdy tu mieszkamy, nigdy nie widziałam na oczy.

Beth całym ciężarem oparła się na swoim mężu. „Bądź teraz moją opoką, Patricku - powiedziała do niego w duchu. - Właściwie nie wiem, czy chciałabym doczekać jutra, bo jeżeli nawet okaże się, że to Ben, możemy stanąć w obliczu faktów, które przygniotą nas swoim ciężarem”. Nagle owe dziewięć lat cichej rezygnacji z życia wydało się

Beth... okresem niemal błogosławionego spokoju. W odróżnieniu od obecnego, paralizującego strachu.

Beth snuła swoje myśli, a jednocześnie poprzez mokrą koszulę Pata wyczuwała jego kruchość, doświadczała chrapliwości jego zniekształconego oddechu, gdy łapczywie zaciągał się papierosem.

„No dobrze - pomyślała. - A więc Candy. Ty bądź moją opoką, Candy”.

- Uważam, że natychmiast powinniśmy powiadomić Bliss. Albo Bendera. Lub Jimmy'ego.

- Nie teraz, Pat.

- Beth - w głosie Pata czuć było desperację, nutę usilnej prośby. -A co, jeżeli jutro już go tu nie będzie? Jeżeli ktoś... Dlaczego mieliby jeszcze tu być? Jeśli do jutra go stąd wywiozą?

- Przecież oni tu mieszkają. -Oni?

- Pat, on nigdzie stąd nie wyjedzie. Sama słyszałam, jak mówił Kerry, że chodzi do szóstej klasy.

I chwilę później, owładnięta przemożnym pragnieniem dotknięcia Pata, potrzebą gloryfikacji jego ciała za to, że posiał w niej nasienie, z którego rozwinął się Ben, wdzięcznością, że przetrwał atak i nie umarł, Beth wyjęła fotografię z jego dłoni i pocałowała go, zanurzając swój język głęboko w jego ustach. Reakcja Pata była dość nieśmiała, niepewnie objął jedną z jej piersi, delikatnie dotykał jej dłońmi, które wydawały się zbyt słabe, by odpowiedzieć silnym uściskiem. Beth gwałtownym ruchem zdjęła swój T-shirt przez głowę i niedbale rzuciła go na podłogę werandy. Rozpięła pasek Pata, po czym położyła się na plecach, wyslizgując się ze swoich obszarpanych dżinsów, przyciągając go do siebie, zmuszając, by w nią wszedł. Zaczęła lekko kołysać biodrami, żeby go pobudzić.

- Proszę, Pat - szeptała. - Proszę.

Pat w końcu poddał się jej uściskom, kurczowo chwycił jej ramiona, wbił się w nią gwałtownie na twardym podłożu, zadając jej ból, który sprawił, że poczuła się całkowicie na niego otwarta i zupełnie odnowiona. Po chwili Pat zreflektował się:

- Czy nie powinniśmy...

- Pat, dziś na pewno nie zajdę w ciążę - odpowiedziała cicho. - Nie myśl o tym. Po prostu zrób to, zrób to, zrób...

Pat zanurzył swoją zalaną łzami twarz w jej piersiach, po chwili zaś wstrząsnął nim ostateczny dreszcz, a z jego ust wydobył się zduszony jęk.

W tym momencie oboje usłyszeli jakiś głos - to sąsiadka nawoływała swojego kota. Leżąc, znieruchomieli w ciemności, niczym zimna, kamienna rzeźba, a Beth poczuła, jak Pat wewnątrz niej kurczy się i maleje, podczas gdy jej mięśnie zaciskają się, zaciskają, by po chwili zwiotczeć.

- Pójdę zadzwonić do ojca - oznajmił jej Pat, gdy drzwi sąsiadki zamknęły się już z lekkim trzaskiem.

- Tylko nic mu nie mów. Najpierw musimy mieć pewność.

- Nie powiem. Ja jedynie... Po prostu nie chcę iść jutro do pracy.

- Dobrze.

Pat wstał i ubrał się starannie, wyrównując kciukami kołnierzyk koszuli, tak jakby za chwilę zamierzał udać się do banku bądź do pracy. Powoli zapiął pasek, zebrał i schował do kieszeni garść drobnych monet, które rozsypały się po ganku, gdy zdejmował spodnie. W końcu podniósł odbitki i przycisnął je do piersi.

- Wejść już do środka - oznajmił Beth.

Beth nie odezwała się ani słowem. Wciągnęła dzinsy, włożyła koszulę i położyła się zwinięta w kłębek, wciskając wycieraczkę pod biodra. Ramionami, które ułożyła niczym poduszkę pod policzkiem, wyczuwała chropowatą fakturę betonu. Wyteżyła wzrok, by dostrzec światło dobiegające zza rogu ich ulicy - z lamp ustawionych dwie przecznice dalej. Udawała sama przed sobą, że wpatruje się dokładnie w to miejsce, w które powinna. Oceniała, że może to być skrzyżowanie Menard i Downer. A potem zaczęła swoje ciche czuwanie. „Muszę zaparzyć sobie kawy - pomyślała - żebym na pewno wytrzymała aż do rana”. Jednak za chwilę przyszło jej do głowy, że właściwie nie potrzebuje kawy. Nocny chłód nie pozwoli jej zasnąć.

Podciągnęła nogi do brody i objęła kolana ramionami, wyteżając umysł w poszukiwaniu jakichś cudownie neutralnych myśli. Kolory farb, cebulki tulipanów, niskocholesterolowy kurczak, układ okresowy pierwiastków... W końcu zdecydowała, że skoncentruje się na kompozycji katalogu obrazów siostry Kathleen Noonan, który miała przygotować na nadchodzącą wystawę.

Strona pierwsza - dzwon w opactwie franciszkanów w Saint Francis.

Strona druga - odrzwia baptysterium we Florencji.

Strona trzecia - trzy anioły nad wejściem do herbaciarni w East Village w Nowym Jorku.

Beth, pogrążona w rozmyślaniach, nie odrywała wzroku od promiennej luny światła, błyszczącej nie dalej jak dwie przecznice od jej własnego domu.

Rozdział 21

Beth wydawało się, że nie zmrużyła oka tej nocy. Pamięta, jak leżała wpatrzona w światło ulicznych lamp. Ramiona przeszywał jej jesienny, nocny chłód; czuła pieczenie pod powiekami. A chwilę później usilnie wypatrywała blasku halogenów nad okolicą. Światła zniknęły. Nadszedł poranek.

Rozejrzała się po ulicy, szukając wzrokiem samochodów ruszających sprzed domów. Nie dostrzegła ani jednego pojazdu, co oznaczało, że wciąż było bardzo wcześnie, może nawet nie minęła jeszcze siódma.

Beth podniosła się, poczuła chłodną wilgoć w okolicy krocza, spojrzała w górę, w okna sypialni wychodzące na ulicę. Czy Pat też już nie spał?

„Spokojnie, tylko spokojnie - pomyślała Beth. - Pójdę obudzić Kerry, potem obudzę Vincenta. Odmierzę dokładnie kawę i wsypię do ekspresu. A gdy wszyscy wyjdą - zadzwonię do Candy. Zadzwonię do niej, gdy w domu zapanuje już zupełna cisza”.

Beth pchnięciem biodra otworzyła drzwi z moskitierą, teraz myślała już tylko o tej chwili, gdy będzie mogła skontaktować się z Candy.

Pat siedział przy stole w kuchni i na prośbę Kerry odczytywał tekst wydrukowany z tyłu opakowania płatków śniadaniowych. Vincent, odwrócony plecami do Beth, zjadał grzanki. Bruzdy na twarzy Pata sprawiały wrażenie wyżłobionych w wosku. Wyglądał przerażająco: wory pod jego oczami były większe niż u Angela - niczym podbiegłe krwią, obrzękłe sińce.

- Kerry właśnie zjada śniadanie - oznajmił.

- Widzę. Widzę - odparła Beth, kątem oka łapiąc w lustrze łazienki odbicie swojej wymiętej twarzy i poplamionego ubrania.

- Co robiłaś na ganku, mamusiu? - zainteresowała się Kerry.

- Oglądałam wschód słońca - odparła Beth, po czym zwróciła się w stronę syna:
- Vincent, czy mam cię podwieźć do szkoły?

- Tata Jordiego - odparł Vincent cicho.

- To świetnie, och, świetnie. - Beth wkroczyła do kuchni i zabrała się za napełnianie kawą ich wielkiego ekspresu. Okazało się jednak, że Pat zaparzył już kawę. Mnóstwo kawy. Beth bez zastanowienia wyjęła filtr i wyrzuciła świeżo wsypane, zmielone ziarna do zlewu. Pat w tym czasie poganiał Kerry:

- *Mangia, mangia*, za chwilę trzeba będzie wychodzić do szkoły.

- Dzisiaj chcę jechać do szkoły na rowerze - oznajmiła Patowi Kerry. - Już mam przecież całe dziewięć lat. Jestem starsza od siedemnastu dzieci w mojej klasie.

- Nie możesz jechać na rowerze - odparł Pat łagodnym głosem. - Dzieciom, które mieszkają dostatecznie blisko szkoły, by dojść tam na piechotę, nie wolno przyjeżdżać na rowerze. Poza tym nie masz specjalnej kłódki do roweru.

- A czy kupisz mi taką kłódkę, tatusiu? Tak na wszelki wypadek.

- Kupię ci.

- Ale dzisiaj.

- Och, oczywiście - obiecał Pat. - Kupię ci ją zaraz po twoim wyjściu do szkoły, więc gdy tylko przyjdiesz, będziesz ją mogła sobie zamocować.

Beth słuchała ich rozmowy w osłupieniu. Która z osób obecnych przy tym stole będzie w stanie myśleć dziś po południu o kłódkach, łańcuchach czy kodach cyfrowych? „Pat” - odpowiedziała sobie w myślach. Pat. Pat robi to dla Kerry, w ramach pokuty, w geście błagania o łaskę. Tak więc Beth nie dziwiła się już, gdy jej mąż wyszedł z domu wraz z Kerry, ucałował córeczkę delikatnie, nazywając ją Chikoria, co po włosku oznaczało polny kwiatek, po czym wyprowadził samochód i odjechał w stronę centrum...

„Spokojnie. Tylko spokojnie. Co teraz?” - Beth naląła sobie kawy i natychmiast uniosła filiżankę do ust, parząc dotkliwie delikatną skórę warg, która już białała i nabrzmiwała. Vincent zbierał się do wyjścia. Beth zdążyła jeszcze złapać go przy drzwiach i nagle, onieśmielona i pełna obaw, położyła głowę na jego ramieniu, które było dokładnie na wysokości jej własnych ramion. Vincent przystanął, przerzucił plecak do drugiej ręki i wpatrywał się w ulicę przed ich domem z wymuszoną intensywnością.

- Do widzenia, mamó - powiedział, nie patrząc w ogóle w stronę Beth. Zauważyła, że jego zaciśnięte szczęki drgają konwulsyjnie, jakby porażone prądem elektrycznym.

- Vincent, poczekaj - poprosiła. Czuli ogromną potrzebę opowiedzenia mu o wszystkim. Była pewna, że musi mu powiedzieć, ale zupełnie nie wiedziała jak.

Bo co właściwie miała mu oznajmić? „Być może dzieciak, który mieszka o dwie przecznice stąd, jest twoim bratem? Być może Ben jednak nie umarł? Nadal nie wiemy, jak zginął? Nie wiemy na ten temat nic więcej niż wówczas, gdy stałeś na wózku bagażowym w »Tre-mont«, ściskając róg jego koca?”

W zamian Beth powiedziała teraz:

- Vincent. Kocham cię. Chcę, żebyś wiedział, że bardzo cię kocham. A on odparł jedynie:

-Jasne. Dzięki - bez najmniejszego śladu zdziwienia w głosie. I wciąż ani razu na nią nie spojrzął.

- Życzę ci miłego dnia - rzekła Beth.

- Ja tobie też.

W tym momencie Beth usłyszała chrzęst żwiru za ich oknami. To ojciec Jordiego wjeżdżał swoim wielkim, wiśniowym chevroletem minibusem na podjazd prowadzący do ich domu. Ledwo drzwi zamknęły się za Vincentem, Beth spostrzegła coś pozostawionego na krześle w kuchni, tuż obok miejsca, gdzie stał Vincent, przeżuwając grzanekę. Nadgryziona kromka wciąż jeszcze leżała na stole, obok opróżnionej miseczki, z której Kerry jadła swoje płatki. Zaś na krześle walał się kawałek kartki, nie, właściwie arkusz papieru. Beth wzięła go do ręki.

I wtedy zobaczyła, że ten arkusz to jedno z jej zdjęć - duży portret chłopca koszącego trawę. Nie była to żadna z fotografii, które Beth dała Patowi. Tę odbitkę, jedną z najlepszych, zostawiła wczoraj wieczorem w ciemni. Dziś zamierzała wręczyć ją Candy.

Beth pobiegła do drzwi i otworzyła je z trzaskiem. Minibus właśnie zjeżdżał z ich ulicy, Beth wyraźnie widziała pulsowanie migacza. Mimo to wrzasnęła: - Vincent! Vincent, poczekaj! - Światła stopu zapaliły się na ułamek sekundy, po czym samochód ruszył do przodu. - Nie! - ulicę rozdarł krzyk Beth. Jakżeż mogła być taką idiotką! Należało zatrzymać dziś Vincenta w domu. Już przecież nie był siedmioletnim dzieckiem. Wysłanie go do szkoły w takim dniu zakrawało na śmiertelną zniewagę.

Teraz jednak nie mogła już tego cofnąć. Minęła ósma. Podniosła słuchawkę, po czym przez chwilę wpatrywała się w skrzynkę telefonu. Postanowiła złapać Candy w domu.

- Przyjaciółko moja! - wykrzyknęła Candy radośnie. - Jestem już

spóźniona o całe tysiąc lat. Czy możemy zjeść razem lunch któregoś dnia w tym tygodniu?

- Candy, muszę ci coś powiedzieć.

- Co się stało, Beth? - w głosie Candy zabrzmiało teraz wyraźne napięcie. - Czy Pat źle się czuje?

- Candy, posłuchaj - Beth zawiesiła na moment głos, by zaczerpnąć głęboki haust powietrza. - Myślę, że odnalazłam Bena.

Beth widziała to tak wiele razy w życiu, że teraz nie miała najmniejszych wątpliwości, co oznacza cisza po drugiej stronie słuchawki. Beth ujrzała oczami wyobraźni, jak gargantuicznie wielka torba osuwa się z ramienia Candy Bliss niczym znużony kot i jak Candy unosi powoli swój idealny w kształcie palec, by przycisnąć go mocno, bardzo mocno do czoła pomiędzy brwiami.

- Beth, czy mam przez to rozumieć, że dostałaś jakiś list czy telefon?

- Ja go widziałam, Candy. On przyszedł do mojego domu.

- Przyszedł... On przyszedł do ciebie, do domu? Tutaj? Zdołał cię tutaj odnaleźć? Ben miałby teraz... ile?... dwanaście lat, Beth. Czy chcesz mi powiedzieć, że wrócił do domu?

- Nie. On mnie nie zna. Ale mieszka tutaj. Oni... ktokolwiek porwał wówczas Bena, mieszka w moim sąsiedztwie.

- To niemożliwe.

- Cóż, ten chłopiec jest tutaj. Tyle że nie jestem pewna, czy to Ben. To znaczy nie mam stuprocentowej pewności.

- Ależ masz.

- Nie. Choć wygląda dokładnie tak samo jak komputerowy portret Bena, uwzględniający upływ czasu. I jego oczy - zawsze miały taki niesamowity odcień szarości, bez najmniejszej odrobiny błękitu. Ten chłopiec też ma takie. Kształt jego ust i oczu - tak, wydaje mi się, że to mój syn. Wciąż ma też dwa wicherki na głowie.

- A znamię?

- Candy, przecież ja nie ściągałam mu spodni. - Już w chwili gdy to mówiła, poczuła, jakby ktoś wsadził coś ostrego w jej serce i kilkakrotnie przekręcił. A kto ściągał... kto ściągał? No, pani Cappadora, które drzwi zechce pani otworzyć? Numer jeden, dwa czy trzy? Szantażysta, niewyżyty rodzic czy pedofil?

I czy to naprawdę Ben?

Dziewięć lat sprowadziło się nagle do jednego dnia, jednej nocy i kolejnego dnia. Czyżby naprawdę dożyła finału?

- Już do ciebie jadę - powiedziała Candy i odłożyła słuchawkę.

Beth dokładnie wiedziała - opanowała tę sztukę do perfekcji - ile czasu będzie potrzebować Candy na dojazd ze swojego mieszkania do domu Beth w określonej porze dnia. Spojrzała na zegar. Miała jakieś dwadzieścia pięć minut.

Wbiegła na górę, zrzuciła z siebie lepkie dżinsy i T-shirt wciąż jeszcze przesiąknięty smrodem wywoływacza. Wzięła prysznic, włożyła bawełniane spodnie i tunikę. Wysuszyła starannie włosy, pomalowała rzęsy. A potem przysiadła na łóżku i próbowała za wszelką cenę narzucić sobie spokój. Nogi jak z ołowiu, bezwładne ramiona, dłonie, które budziły się do życia jedynie, gdy dotykały aparatu fotograficznego, zasuszony żołądek, przyjmujący obojętnie pokarm, i skamieniałe serce - wszystkie te jej części, tak odrętwiałe na co dzień, tak pozornie pozbawione życia, dygotały teraz, przeszywane falami lodowatych dreszczy.

Czy to możliwe, że jej Ben - jej piegowaty synek, jej jasnookie kochanie, od tak dawna pograżony w niebycie, równie martwy jak jego sukienka do chrztu, spoczywająca od lat w cedrowej skrzyni - został nagle jakimś cudem przywrócony ich światu?

To było oszałamiające. Niewyobrażalnie wspaniałe. I tak bardzo przerażające.

A za chwilę Beth pomyślała: „O Boże, mój jedyny Boże, znów pogładzę Bena po włosach”. I nagle tak bardzo pragnęła to zrobić, że potem zgodziłaby się nawet wsadzić dłoń w żywy ogień.

Dzwonek do drzwi; lecz zanim Beth zdążyła je otworzyć, Candy weszła już do środka i bez słowa wzięła Beth w ramiona. I tak właśnie - stojące razem w poprzecinanej cieniem smudze światła - zastał je Pat, gdy wrócił do domu, sumiennie dzierżąc w dłoni łańcuch wraz z kłódką do roweru.

- Czy jesteście przerażeni?

- Na śmierć, na śmierć - stwierdziła Beth.

- Przerażeni? - zdziwił się Pat. - Z jakiego powodu? Po prostu chodźmy tam. Candy, nie mogę się już doczekać, więc najlepiej idźmy tam od razu.

- Dokąd mamy iść? - zapytała Beth tonem pełnym irytacji. - Przecież nie wiemy, w którym domu go szukać. I czy naprawdę mieszka dwie przecznice stąd. Poza tym o tej porze i tak będzie w szkole.

- Dzisiaj szkoła trwa krócej. - W poniedziałki lekcje kończyły się zawsze już o 1.30.

Cała trójka odruchowo spojrzała na zegarki. Właśnie minęła dziewiąta. Candy w milczeniu wzięła w rękę fotografię, którą zostawił Vin-

cent, i pilnie się jej przyglądała, podczas gdy Pat nerwowo przerzucał łańcuch i kłódkę z jednej dłoni do drugiej.

- Powiedział, że wróci - powiedziała Beth. - Żeby dokończyć koszenie trawnika. W kosiarce zabrakło paliwa.

- O Boże, a ja zapomniałem je kupić! - Pat wykrzyknął z rozpaczą w głosie.

- Pat, on na pewno nie będzie się tym dziś zajmować - łagodnym głosem wtrąciła Beth, z ledwością powstrzymując śmiech.

- Poza tym chyba nie wyobrażacie sobie, że będziemy tu siedzieć i czekać, aż ten chłopiec przypomni sobie o waszym trawniku i zjawi się, by dokończyć pracę - powiedziała Candy. - Widzę, że trudno wam zachować jasność myśli. Prawdę powiedziawszy, zupełnie nie wyobrażam sobie, kogo byłoby stać na logikę w waszej sytuacji. Sama nie wiem, jak zdołam ją zachować, niemniej zrobię, co będę mogła. Przede wszystkim musimy... Beth, mówisz, że on chodzi do tej samej szkoły co Kerry?

- Kerry twierdzi, że jest w szóstej klasie. W Sandburg.

- Tam, zdaje się, są dwa oddzielne budynki - dla klas młodszych i starszych, prawda?

- Uhm. Ale są połączone. Poza tym mają wspólną salę gimnastyczną.

- Dobrze. Tam więc zaczniemy. Za chwilę powiadomię... myślę, że powiadomię Jimmy'ego Daugherty. On co prawda nie zajmuje się już oficjalnie tą sprawą, ale wiem, że bardzo by mu zależało, żeby przyłączyć się do naszych działań, jeżeli... jeżeli nasze podejrzenia okażą się słuszne. A potem pojedziemy do szkoły, dowiemy się, jakie nazwisko nosi ten chłopiec i kim są jego rodzice bądź prawni opiekunowie.

- Candy podniosła się i sama nalala sobie kawy, bo jakoś nikt nie pamiętał

o tym, by zaoferować jej coś do picia, po czym kontynuowała swoją przemowę tak, jakby dyktowała listę któremuś ze swoich podwładnych. - Możemy potrzebować nakazu sądowego. Na wypadek, gdyby władze szkolne nie były pod dostatecznym wrażeniem naszego oświadczenia

1 nie wykazały chęci do współpracy bez oficjalnego dokumentu w tej sprawie. Dlatego zwrócimy się o pomoc do Harry'ego Brainarda...

- Sędzia sądu okręgowego - wyjaśniła Patowi Beth.

- Zakładam jednak, że zechcą nam udostępnić szkolne zdjęcia i roczne raporty - stwierdziła Candy. - Już nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła przyczynić się do rozwiązania jednej z najbardziej zagadkowych spraw dotyczących osób zaginionych. - Candy postukała paznokciem o zęby. - Ale najpierw chciałabym obejrzeć te wszystkie fotografie, Beth.

- Są na stoliku w holu.
- Czy Reese je widział? - zainteresowała się Candy, przerzucając zawartość swojej przepaścistej torby w poszukiwaniu papieru i pióra.

- Myślę, że tak - odparła Beth. - Przynajmniej jedno z nich. Pat posłał jej przerażone spojrzenie.

- Pokazałaś je Vincentowi?

- Nic mu nie pokazywałam. Sam zobaczył.

- Czy mogę je teraz obejrzeć? - spytała Candy.

Beth ułożyła je wszystkie - z wyjątkiem odbitki, którą Candy wciąż trzymała w dłoni - jedno obok drugiego, na całej długości stołu. Candy założyła okulary i pochyliła się nad nimi w skupieniu. Dopiero po chwili Beth zdała sobie sprawę, że Candy płacze - cicho i elegancko, bez śladu afektacji, bezpretensjonalnie - wykazując przy tym tę niezwykłą klasę, z jaką wszystko robiła w życiu.

- Przepraszam - powiedziała szybko do Beth.

- Mogę zrobić więcej odbitek.

- Ta twarz... ta twarz. - W tym momencie Beth stanęły przed oczami podobizny Bena, jakie Candy trzymała zawieszona nad swoim biurkiem, przypięte do tablicy z raportami - arkusze w idealnym stanie, bez najmniejszego zagniecenia, dokładnie, starannie rozpostarte. Candy miała je wszystkie: portret z rękawicą baseballową; pierwszy plakat Bena; drugi plakat; komputerowy, symulacyjny obraz twarzy Bena w wieku sześciu lat i w wieku ośmiu. - Ta twarz... - ciągnęła Candy. -Ilekcroć gdzieś wyjeżdżałam... Filadelfia, Santa Fe, Jersey. Dziecko w Pało Alto. Mały synek Graingerów w Michigan. A jeszcze później, gdy już wszyscy, nie wyłączając mnie, uznaliśmy, że Ben nie żyje, to nawet wtedy, czy jechałam na jakąś konferencję, czy na wakacje lub z wizytą do mojej matki w Tampie, zawsze miałam odbitki tej twarzy przy sobie. Wciąż je mam. - Candy wyłowiła ze swojej torby dużą, żółtą kopertę i wyrzuciła jej zawartość na stół. - Po paru latach uświadomiłam sobie, że nie mogę przestać wypatrywać tej twarzy, tak jak nie mogę przestać oddychać. Była dla mnie niczym obraz idealnego kochanka. Tak bardzo chciałabym cię tu odnaleźć, Ben - mówiłam sobie. - Właśnie w tym parku. Na tym targowisku. Dostrzec cię w tłumie na tej ulicy. I chciałabym cię zabrać do domu, do Beth.

Candy otarła oczy wierzchem dłoni.

- A kiedy wiedziałam, że w danym mieście będę już tylko jeden dzień czy kilka godzin, dzwoniłam po posterunkach, mówiłam, że jestem na ich terenie.

„Pamiętacie sprawę tego chłopca... Tak, syna Cappadorów...” A potem chodziłam oglądać wszystkie nie zidentyfikowane

zwłoki dzieci. Przeglądałam zdjęcia z autopsji, odwiedzałam miejsca, gdzie znajdowano pogrzebane ciała. Zaniebane podwórka i piękne polany. W nadziei, że to właśnie Ben. Z przerażeniem, że to może być Ben. Jednak nadzieja była najsilniejsza, że wreszcie dowiemy się, co spotkało Bena. Nawet jeżeli oznaczałoby to, że będę musiała w końcu oznajmić wam, że nie żyje, że stracił życie przed wieloma laty. - Candy chwyciła Pata za rękę. - Tak bardzo chciałam odnaleźć tę twarz. Chciałam sprowadzić Bena z powrotem do domu. Chciałam to zrobić dla was. I dla siebie.

Drżąc wyraźnie na całym ciele, Candy wstała i podeszła do telefonu.

- Teraz zadzwonię do moich przełożonych. Opowiem im o wszystkim i razem nadamy bieg sprawie.

- A co my mamy robić? - spytał Pat. - Czy nie powinniśmy pojechać do szkoły?

Candy spojrzała na niego poważnym wzrokiem:

- Paddy, dopóki nie zidentyfikujemy tego chłopca - to znaczy, dopóki ponad wszelką, absolutnie wszelką wątpliwość nie ustalimy, że to jest Ben - musicie trzymać się od niego z daleka. W tej chwili, z prawnego punktu widzenia, ten chłopiec jest synem ludzi oficjalnie uznanych za jego rodziców...

- Rodziców?! - wrzasnął Pat.

- Posłuchaj, tak długo, jak nie będziemy mieć stuprocentowej pewności, że to Ben, nie masz prawa zabrać czyjegoś dziecka - które tylko przypadkiem mogło odziedziczyć rude włosy po jakimś tam wujku Haroldzie - i raczyć je *bracioli* we „Włoskim Weselu”.

- Ale skąd będziemy mieli tę pewność?

- Przeprowadzimy rutynowe badania. Testy krwi. Odciski palców, oczywiście. Karty dentystyczne...

- Candy, on wówczas był zaledwie trzylatkiem. Nie miał jeszcze żadnych medycznych kart - wtrąciła Beth. - Mówiliśmy o tym milion razy tuż po jego zniknięciu, pamiętasz?

- Tak, oczywiście. Zaczynam tracić głowę. Pozwolicie państwo, że opuszczę was na chwilę?

Pozwolicie państwo? - te słowa zszokowały Beth.

Czyż Candy nie była członkiem ich rodziny? No, prawie członkiem? Czy nie spędziła z nimi niezliczonych wieczorów przy piwie, pikników na pokrytych rosą łąkach? Beth przypomniała sobie przyjęcie we „Włoskim Weselu” z okazji drugiej rocznicy ślubu Candy i Chrisa, *barbecue* w ogrodzie Rosie. To Candy zabrała Kerry na jej pierwszą lekcję konnej jazdy. W jednej chwili wszystkie te wydarzenia stały się nagle nic

nie znaczącym punktem w czasie, pamięć o nich skurczyła się tak samo, jak skurczył się okres nieobecności Bena: do jednego dnia, jednej nocy i kolejnego dnia.

Candy była policjantką. Oni - cywilami.

- Teraz pojedę do szkoły i wezmę ze sobą... - Candy prześlizgiwała się wzrokiem po zdjęciach rozłożonych na stole - ...tę odbitkę. I jeszcze parę innych. A wy zostańcie w domu i czekajcie na telefon od Jim-my'ego. Zadzwoń do was natychmiast, jak go poinformują o tej sprawie. Powiedzą mu, że najpierw ma przyjechać do waszego domu. Więc nie ruszajcie się z miejsca. Siedzicie przy telefonie. - Po czym zabrała swoją torbę i wyszła.

Beth zostawiła Pata w kuchni, a sama poszła na górę i położyła się na swoim starannie zaścielonym łóżku. W jakiś czas potem przyszedł Pat i ułożył się obok niej. Nie powiedzieli do siebie ani słowa, nie dotykali się. Na dzwonek telefonu drgnęli oboje, ale żadne z nich nie chwyciło za słuchawkę. Dopiero gdy włączyła się automatyczna sekretarka, usłyszeli Jimmy'ego wykrzykującego w podnieceniu:

-Jezu Chryste, Bethie! Wszyscy tutaj dosłownie oszaleliśmy. Bethie? Pat? Jesteście tam? Nie wiem, czy mnie teraz słyszycie, ale to nieważne, już do was jadę. - A potem dobiegły ich słowa przeznaczone prawdopodobnie dla kogoś innego: - Tak, wiem. Czy możesz uwierzyć w coś podobnego? - A po chwili znów: - Już do was jadę. Trzymaj się, Beth, i ty, Pat, i Vincent.

Beth nie będzie mogła sobie później przypomnieć, jak długo tak leżeli wraz z Patem. Może była to jedynie kwestia minut. Potem drzwi na dole otworzyły się i zamknęły, a Beth usłyszała, jak Candy rozmawia z kimś przez telefon w kuchni. Wówczas podniosła się i stoczyła z łóżka; Pat do tej pory zdążył już z wdziękiem pograć się we śnie. Beth usiadła na dole, na ostatnim stopniu schodów, i tak właśnie zobaczyła ją Candy.

- Żądają od nas pieprzonego nakazu sądowego - oznajmiła. - Właśnie łączą mnie z Brainardem.

Beth nie odezwała się ani słowem.

Kiedy Candy skończyła rozmowę telefoniczną z sędzią, zwróciła się w stronę Beth i stwierdziła:

- Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Pocę się jak mysz. Nie udostępni mi raportów szkolnych. Dowiedziałam się jednak, że jest tutaj od czasu przedszkola. Nazywa się Sam Karras. Nie podano nam danych jego rodziców, ale, Beth... - Candy podeszła i usiadła obok Beth na stopniu - ...ten chłopiec jest jedynakiem.

Rozdział 22

Wieloletni komendant posterunku w Parkside nosił nazwisko Bastokovitch. Przez te wszystkie lata - jak Candy poinformowała Pata i Beth - policjanci stworzyli całą księgę sprośnych wyrazów, opartych na brzmieniu tego nazwiska. Jednak Beth nie poznała go nigdy przedtem, zanim dyskretnie nie zajechał na podjazd przed ich domem i zaparkował tuż obok samochodu Candy.

Candy ostrzegła, że Bastokovitch przyjechał tutaj, żeby dopilnować procedur i rozwagi w działaniu.

- Wśród funkcjonariuszy panowało przekonanie - wyjaśniała, odchylając lekko zasłone i obserwując potężnego mężczyznę, zmierzającego ciężko, powoli w stronę drzwi - że jeżeli kiedykolwiek będzie się musiał podnieść z krzesła, odkryje, że ten mebel już przrósł mu do tyłka. Teraz widzę, że nie mieli racji. - Candy otworzyła frontowe drzwi.

- Panie komendancie.

- Pani detektyw Candace.

- Cieszę się, że przyjechałeś. Najwyższy czas przejść do działania. Wiem, że też podzielasz ten pogląd.

- Bliss, dzieciak jest pod kuratelą sądową; nigdzie nam już nie zniknie - powiedział Bastokovitch łagodnym głosem i ze smętnym uśmiechem na ustach przyjął od Beth filiżankę kawy.

- Ale, Ed - przekonywała teraz Candy - na podjeździe przed ich domem stoi ciężarówka firmy budowlanej, należącej do tych ludzi. Co najprawdopodobniej oznacza, że rodzice - wybaczone, Pat - podejrzani są obecnie w domu. Przecież znasz mnie, Ed. Wiesz, że nie należę do osób, które najpierw przeprowadzają aresztowanie, a potem zajmują się zadawaniem pytań. Ale jeden Pan Bóg wie, co ten cholerny dyrektor szkoły mógł już nawyczynić do tej pory. Może do nich zadzwonił? Jeśli tak, to oni już w tej chwili zapewne pakują paszporty.

- Candace, pod ich domem stoi samochód z wywiadowcami w cywilu - westchnął ciężko Bastokovitch. - Żeby uciec, musieliby najpierw wykopać tunel. Poza tym sprawdziliśmy tych ludzi, Candace. Mieszkają tu od siedmiu lat. Mężczyzna, jego żona i nasz chłopak. Ta żona jest... ma raka czy coś w tym rodzaju. Wciąż choruje. A mąż prowadzi niewielką firmę budowlaną, codziennie wyjeżdża do pracy. Candace, to bardzo poważna sprawa, ciągnąca się od wielu lat. Teraz nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Wiesz dobrze, jak wszyscy będą śledzić każde nasze posunięcie. Dlatego pojedziemy tam cicho, bez szumu, ty i może ja, w obstawie najwyżej jednego radiowozu, zapukamy i powiemy grzecznie: „Proszę państwa, chcielibyśmy zadać państwu kilka pytań”.

W tym momencie w drzwiach stanął Bender; nawet nie przyszło mu do głowy, by zadzwonić czy zapukać.

- Bender, to jest prywatny dom - ostrym głosem przywitała go Candy. - Czy nikt cię nigdy nie nauczył... no wiesz... puk, puk?

Bender zignorował jej słowa i kiwnął głową w stronę Pata:

- Czy to prawda?

- Jeszcze nie wiemy - odpowiedziała za niego Candy. - Ale rozumiem, że zjawiłeś się tutaj gnany troską i niepokojem.

- Detektywie Bliss, jest pani niezwykle wojowniczą kobietą.

- Tak, agencje Bender. A na dodatek ten stan pogłębia się u mnie wraz z wiekiem. Gdy dojdę do sześćdziesiątki, zacznę opluwać ci buty przeżutym tytoniem.

Pat poszedł do garażu po krzesła - składane krzesła w akwamarynowym kolorze, wykorzystywane we „Włoskim Weselu”, gdy organizowano tam prawdziwe wesela bądź gdy w niektóre sobotnie wieczory zjawiało się nadzwyczaj dużo gości.

- Skąd wzięliście składane krzesła w takim kolorze? - zainteresował się Bender.

- Nie zaszkodziłoby, gdybyśmy mieli przy sobie nakaz przeszukania - głośno zastanawiał się Bastokovitch. - Czy możesz zdobyć coś takiego?

- Jeszcze przed twoim przyjazdem skontaktowałam się z biurem prokuratora okręgowego. Osobiście rozmawiałam z Kellym Clarkiem. Już go wystawił.

Bastokovitch długo i przeciągle przyglądał się Beth i Patowi.

- Boże, ludzie... nieszczęśni ludzie... czy jesteście na to gotowi?

- Na coś takiego nie można się przygotować - odparła Beth. W tej samej chwili zorientowała się, że wypowiedziała te słowa tonem cha-

rakterystycznym dla policjantów; Beth nigdy nie potrafiła się opanować - najdalej po piętnastu minutach w towarzystwie Candy zaczęła bezwiednie imitować jej styl.

- No, dobrze. A teraz zrobimy wszystko jak należy. - Komendant westchnął ciężko. Beth usłyszała, jak Candy wydaje z siebie jakiś dźwięk, i miała nadzieję, że Bastokovitch go nie dosłyszał. - Już nam się nie wywiną - powiedział, wyciągając jednocześnie dłonie w stronę Pata i Beth w takim geście, jakby oczekiwał od nich wydania sygnału do rozpoczęcia zawodów - machnięcia chorągiewką czy czegoś podobnego. W tym samym momencie trzasnęły frontowe drzwi i w holu pojawił się zgarbiony Vincent.

- To mój syn - oznajmił Pat, podrywając się z krzesła. - To Vincent. Vincent, znasz już Candy. A to jest komendant Bastokovitch.

Vincent patrzył jedynie na matkę.

- Czy Kerry ma dzisiaj zbiórkę harcerską?

Beth zastanowiła się przez chwilę, gorączkowo usiłując wygrzebać z dna pamięci rozkład zajęć swojej córki.

- Uch... chyba tak, tak mi się zdaje.

- A więc nie zjawi się w domu przed piątą. - Tak.

Vincent rozejrzał się jednym, energicznym ruchem po małej jadalni i zapewne nic nie uszło jego uwagi: ani rozkładane krzesła, ani fotografie walające się po stole wśród filiżanek kawy czy szmer głosów i wybuchy śmiechu policjantów, urzędujących w kuchni - mundury policyjne mijające się w kuchennych drzwiach, gdy co chwilę ktoś wyskakiwał na papierosa do ogrodu, w pobliże krzewów róż.

- Fotografia - stwierdził Vincent. Beth wyprowadziła syna do holu.

- Widziałeś zdjęcie. Myślę, że to może być Ben - wyjaśniła miękim głosem.

- Myślisz. Uhm. Przecież to jest Ben - odparł Vincent. - Dobrze wiesz, że to on.

- Rozpoznałeś go?

- Kiedy?

- Gdy kosił u nas trawnik. Mówiłeś, że go nie widziałeś. Vincent wpatrywał się w okno. Mógł z łatwością spoglądać ponad

głową Beth, choć był zaledwie parę centymetrów od niej wyższy.

- Czy to ten dzieciak, który mieszka w czerwonym domu?

Ręka Beth pofrunęła w górę, zanim Beth zdała sobie sprawę, co właściwie zamierza zrobić, zanim zrozumiała, że chce uderzyć Vin-

centa w twarz. Nigdy przedtem - nawet w czasach, gdy miotła się w bólu i rwała włosy z głowy, czy gdy przewróciła go na trawnik, bo od niechcenia posłał w szyby domu nie jedną, ale dwie piłki baseballowe, ani wtedy, gdy zamykała drzwi na klucz, zapominając, że Vincent siedzi jeszcze w bibliotece bądź gra w koszykówkę gdzieś poza domem, gdy manifestacyjnie okazywał jej lekceważenie, świadomie ją ranił i obrażał - nawet wtedy nie przyszło jej do głowy, by uderzyć go w twarz. Teraz co prawda też tego nie zrobiła, jednak głowa Vincenta uskoczyła w bok. Więc poczuła się tak, jakby rzeczywiście go uderzyła.

- Widziałeś go? Widziałeś Bena?

- Ja... ja nie wiedziałem, że to Ben. - Vincent zrzucił z ramienia plecak, jakby zrzucił z siebie straszliwy ciężar, wprost na podłogę, by zostawić go tam, aż do następnego dnia - jak zwykle. - Po prostu widziałem tego dzieciaka kręcącego się po okolicy i pomyślałem, że jest podobny do Bena. To znaczy, wydaje mi się, że tak pomyślałem. Bo w rzeczywistości nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - W tej samej chwili Beth zauważyła, jak rysy twarzy jej syna ulegają powolnej transformacji, leniwie rozciągają się w zblazowany, ironiczny uśmiezek - w oblicze Reese'a.

- Czemu mi nic nie powiedziałaś?

Vincent odwrócił się i skierował w stronę schodów. Beth spytała ponownie:

- Czemu mi nic nie powiedziałaś? Czemu, na Boga, nie powiedziałaś o tym ojcu?

- Powiedziałem Tomowi.

- Powiedziałeś Tomowi. A dlaczego on nie raczył nas o tym poinformować?

- Myślę, że nie załapał sensu tego, co mu powiedziałem. Nawet nie wiem, czy ja wiedziałem, o co chodzi. Ale teraz Tom już wszystko zrozumie. Poza tym nie robiłem z tego specjalnego problemu.

- Vincent, całe nasze życie... - Vincent posłał jej mordercze spojrzenie i Beth próbowała się wycofać. - Wiedziałeś przecież, o jaką stawkę tu chodzi! Czemu nic nie powiedziałaś? Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie?

- Powiedzieć coś? Tobie? Co ci miałem powiedzieć, mamó? - wyrzucił z siebie gniewnie Vincent. - Ze znalazłem mojego od wieków zaginionego brata na końcu naszej ulicy? Czy uwierzyłabyś mi? Czy, do cholery, w ogóle usłyszałabyś, co do ciebie mówię?

- Usłyszałabym. Uwierzyłabym.

Vincent posiał jej tylko swój ironiczny uśmiezek.

- Posłuchaj - jej głos zatrzymał go w pół kroku, gdy stawiał nogę na pierwszym stopniu schodów. - Kiedy zobaczyłeś go po raz pierwszy?

- A od jak dawna tu mieszkamy?

„Nie, o Boże, nie” - krzyczała w myślach Beth. Wyraźnie czuła pulsowanie krwi w palcach. Jeden, dwa, trzy, cztery lata.

- Teraz to już nie ma znaczenia - powiedziała, myśląc jednocześnie:

„Oczywiście, że ma znaczenie; tylko to ma jakiegokolwiek znaczenie, i może jeszcze pytanie, dlaczego i co opętało Vincenta, żeby utrzymywać podobne podejrzenia w tajemnicy? Czy to w ogóle możliwe, że jej syn, któremu komputery same zdradzały wszystkie swoje sekrety, a chemia objawiała zawilosci reakcji, wierzył szczerze, że ten fakt jest zupełnie pozbawiony znaczenia? Takie zachowanie nie było w jego stylu. Coś musiało się za tym kryć. Musiało”.

Niemniej teraz, usiłując oddychać miarowo, Beth oznajmiła:

- No, dobrze. W tej chwili już nic nie jesteśmy w stanie zmienić. I... wiem, że powinnam powiedzieć ci o wszystkim dziś rano. Postąpiłam głupio. - Beth urwała na moment. - Przepraszam cię za to. Policja zabrała tego chłopca ze szkoły, nie mając całkowitej pewności, że zabierają Bena. Chociaż wszystko na to wskazuje. Ten chłopiec ze zdjęcia... jest najprawdopodobniej twoim bratem. A więc Ben nie umarł - A potem, chaotycznie zaciskając ręce, dodała: - Dlatego jest u nas tak wielu policjantów.

- Och, dzięki, mamó - odparł Vincent. - A już myślałem, że to jakieś ćwiczenia przeciwpożarowe czy coś w tym rodzaju. - Potrząsnął głową. - Jezu, proszę, czy mogę już iść do łazienki? Mamó?

- Poczekaj - prosiła Beth. Zupełnie nie wiedziała, jak ma się do tego zabrać; już chciała to zrobić dziś rano, gdy położyła mu głowę na ramieniu. - Vincent, ja... wszystko będzie dobrze, Vincent. - Chwyciła jego dłoń, zachwycając się nagle jej niezwykłym ciepłem, jej nieoczekiwaną wielkością. Jak wiele lat upłynęło od czasu, gdy ostatni raz trzymała swojego syna za rękę? Nie po to, by wytrzeć plamy z czekolady, wyrwać z niej młotek czy nóż stolarski, nie po to, by przeprowadzić Vincenta przez ulicę, ale po to, by naprawdę poczuć jego dłonie, jego zręczne dłonie, gdzie w miejsce pulchności i dołeczków pojawiły się już, zupełnie nieoczekiwanie dla Beth, zgrubiałości stawów właściwe niemal dorosłemu mężczyźnie - długie, smukłe palce, identyczne jak jej własne, „palce pianisty”, wobec których jej matka żywiła tak wielkie nadzieje, mimo że Beth tłuła w klawisze instrumentu z wdziękiem operatora pneumatycznego młota.

Beth uniosła jego dłoń; pozwolił na to, nie ułatwiając jej tego gestu ani nie stawiając oporu. Przycisnęła tę dłoń do własnego policzka.

- Vincent, wszyscy musieliśmy przejść przez tak wiele. Ty musiałeś tak wiele doświadczyć. Och, Vincent, wybacz mi, proszę.

Usłyszała, jak Vincent mówi jej: - Przestań. - Beth wyobraziła sobie, że jej syn spogląda w głąb holu i czuje wstyd; znajdowali się nie dalej niż pięć, sześć metrów od grupy ludzi zgromadzonych w kuchni. Wiedziała, że powinna natychmiast przerwać tę rozmowę.

A mimo to powiedziała raz jeszcze:

- Czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć?

- Wybaczysz mi? - spytał Vincent. - A co, do cholery, ty zrobiłaś złego? Beth nie mogła na to poradzić. Jej syna przepęłniał straszny gniew.

Podniosła wzrok i wówczas, ku wielkiemu zaskoczeniu, dojrzała w oczach Vincenta, tak wyraźnie jak detale w wymyślnie oświetlonych portretach Karsha - nie gniew, nie miłość - ale litość. Najczystsza, niczym nie skażona litość. I nic poza tym.

- Zawołam cię... kiedy... gdy oni... powiem ci... - wyrzucała z siebie Beth.

- Dobra - odparł Vincent, powoli zabierając swoją dłoń.

W tym samym momencie rozległo się wołanie Candy. Beth musiała iść do kuchni.

- Czy wszystko z nim w porządku? - zainteresowała się Candy, a Beth, nie ufająca własnemu głosowi, kiwnęła tylko potakująco głową.

- Muszę zadzwonić do mamy i taty - oznajmił nagle Pat, a jego oświadczenie tak zelektrykowało Beth, że natychmiast wróciła jej zdolność koncentracji.

- Nie! - wykrzyknęła równocześnie z Candy, choć, jak później zdała sobie sprawę, każdą z nich w tym momencie kierowały całkowicie odmienne pobudki.

- Pat, musimy się tam zjawić po cichu i bez rozgłosu. Ten facet może tam trzymać... w zasadzie wszystko. Jeszcze jedno dziecko. Cały arsenał broni. Nie mamy przecież pojęcia, co dzieje się w jego domu - wyjaśniała Candy.

- Ma rację - poparł ją Bastokovitch.

Młody funkcjonariusz wbiegł z tupotem po schodach ganku i w drzwiach wręczył Candy plik papierów, przekładany gdzieniegdzie czarną kalką. Candy podziękowała mu.

- Pojadę tam z moim kumplem, Benderem - stwierdziła. - Dobra, Bob? - Bender bez słowa podniósł się z krzesła, poprawiając krawat

w tureckie, stonowane w kolorach, wzory. Candy wydobyła ze swojej przepaścistej torby pistolet i starannie zatknęła go za pasek spodni, na plecach, po prawej stronie. - Masz broń? - zwróciła się w stronę Bendera, a on w odpowiedzi klepnął tylko przód marynarki. - Dobrze więc - Candy zatrzymała się na moment i mocno uściskała Beth. -Ruszamy.

Beth widziała, jak na rogu światła stopu samochodu błysnęły, a po chwili zapłonęły żywą czerwienią, gdy Candy zatrzymała się przed wjazdem na skrzyżowanie. I w tym momencie zaczęła biec, nie zwracając najmniejszej uwagi, czy Pat podąży za nią, czy nie. Beth niemal połykała przecznice, pędziła, zupełnie zapominając o oddechu, dopadając rogu ulicy, przy której stał czerwony dom, w tym samym momencie, gdy Candy z Benderem wysiedli z samochodu i kierowali się ku frontowym drzwiom. Za niewielką ciężarówką ze starannie wymalowanym napisem: „Karras - Usługi Budowlane”, kryło się dwóch policjantów z bronią gotową do strzału.

Jimmy chwycił Beth gwałtownie za ramię.

- Nie rób tego - wyszczał, kompletnie zaskoczony jej obecnością. Ale Beth strąciła z siebie jego rękę i rzuciła się przez trawnik w stronę Candy, która posłała jej teraz spojrzenie pełne ledwo tłumionej furii.

- Idę z wami.

- Nie ma mowy - odparła Candy. - Przecież tłumaczyłam ci, że nie wiemy... jasny szlag, Beth, wracaj za ciężarówkę. On właśnie w tej chwili może celować ci w głowę. Nie bądź idiotką.

- Pani Cappadora... - zaczął Bender.

- Chcę go zobaczyć. -Nie.

- Bo co? Aresztujecie mnie?

- A niech to jasny szlag! - zaklęła jedynie Candy, po czym pchnęła Beth za siebie i zadzwoniła do drzwi.

Był dość niski. Miał ładną twarz o smagłej, śródziemnomorskiej cerze i wąskie biodra. Wyglądał bardzo młodo, mógłby niemal uchodzić za nastolatka, gdyby nie dwa siwe, szerokie pasma w pięknych, gęstych włosach, po obu stronach jego twarzy.

- George Karras? - spytała Candy.

- Tak - odparł z uśmiechem, otwierając nieco szerzej drzwi. - O co chodzi?

- Jestem detektywem, nazywam się Candy Bliss, a to agent Robert Bender z Federalnego Biura Śledczego. Panie Karras, czy w pana domu mieszka dwunastoletni chłopiec o imieniu Sam?

-Ja... mój syn... - powiedział, po czym zachwiał się i oparł o zewnętrzną framugę drzwi. - Co się stało mojemu chłopcu? Czy miał wypadek? Czy państwo jesteście z policji?

- Panie Karras, Sam jest cały i zdrowy, przebywa obecnie w ośrodku opieki nad nieletnimi okręgu Cook.

- Powinien być teraz w szkole. Co mu się stało?

- Panie Karras, jest pan aresztowany pod zarzutem uprowadzenia, przy użyciu siły, Beniamina Cappadory w dniu 3 czerwca 1985 roku -oznajmiła Candy beznamiętnym głosem. - Ma pan prawo zachować milczenie. Jeżeli jednak zrezygnuje pan z tego prawa, wszystko, co pan od tej chwili powie, może zostać i zostanie wykorzystane przeciwko panu...

- Cooo?! - Karras odwrócił się w stronę Beth. - Mój syn jest teraz w szkole. Kim jest Beniamin...?

- Jeżeli zrezygnuje pan z prawa do zachowania milczenia, wszystko, co pan od tej chwili powie, może zostać i zostanie wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo do korzystania z pomocy adwokata na każdym etapie śledztwa i w trakcie postępowania sądowego. Jeżeli nie stać pana na adwokata, sąd wyznaczy panu obrońcę z urzędu. Czy zrozumiał pan, co powiedziałam?

Mężczyzna przez chwilę milczał, po czym powiedział:

- Ach, już rozumiem. Pomyliliście domy. Ludzie, którym zaginął mały chłopczyk - ta sprawa była bardzo głośna przed kilku laty -mieszkają niedaleko stąd. Zapytajcie o nich moją sąsiadkę, ona zna tatę tego chłopca.

- Panie Karras - wtrąciła Candy. - Czy możemy wejść do środka?

- Oczywiście - odparł mężczyzna, wygładzając flanelową koszulę. -Właśnie zajmowałem się rachunkami. Ale nie sądzę, bym mógł państwu w czymś pomóc. Zupełnie nie znam tej rodziny. Po prostu trafiliście nie do tego domu.

- Nas na pewno nie zamierzają aresztować - powiedziała nagle Beth.

- Hmm? - Karras wlepił w nią wzrok. - Czy pani też jest z policji?

- Nie.

- My jesteśmy jego rodzicami! - wysapał Pat, dysząc ciężko i z trudem gramoląc się po schodach tuż za plecami Beth. - Jesteśmy rodzicami Bena, ty sukinsynu.

- Dość tego - wtrącił teraz Bender.

- Cooo?! - ponownie spytał Karras. - O co chodzi? Gdzie jest dziecko? Czy mojemu synkowi coś się stało?

Candy weszła do saloniku, gdzie duży stół do kart stał przy niskiej, pokrytej sztruksem sofie. Po jednej stronie stołu, tuż obok archaicznej maszyny liczącej, leżał stosik faktur i rachunków.

- Panie Karras - powiedziała Candy - proszę powoli unieść ręce w górę...

- Słucham?

- Proszę unieść ręce w górę, aby funkcjonariusz mógł sprawdzić...

- Ja w ogóle nie mam broni - drobny mężczyzna uśmiechnął się w stronę Beth. - Właśnie zajmowałem się rachunkami. Nie posiadam komputera. - Jeden z młodszych policjantów powiódł dłońmi po bokach Karrasa, wzdłuż zewnętrznych i wewnętrznych szwów jego spodni. - Proszę państwa, ja naprawdę nie wiem, o co chodzi. Jestem we własnym domu. Nie zrobiłem nic złego.

Beth poczuła nagle straszną ochotę rzucenia się na czworaki i zbadania, kawałek po kawałku, wykładziny na podłodze, kilku okruchów chipsów, leżących w kącie; chciała rozwiązać i obejrzeć dokładnie dwie pary wielkich, chłopięcych adidasów ustawionych starannie tuż przy drzwiach, zanurzyć palce w kieszeni kurtki z wielkim napisem „Bulls” na plecach, zarzuconej niedbale na haczyk wieszaka. Skórzana, dobrze naoliwiona rękawica baseballowa leżała wciśnięta w poduszkę opasłego, wyściełanego krzesła w kolorze ciemnego kasztana; kucający chłopiec w zielonym, jedwabnym stroju baseballowym uśmiechał się z fotografii stojącej na telewizorze, oprawionej w ramkę ze złoczonego metalu i drewna. Na kominku ustawiono dwa ceramiczne świeczniki, ale tylko w jednym z nich tkwiła świeca. Oprócz świeczników stał tam również wazon z białymi gladiolami z jedwabiu. A ponad kominkiem wisiał obraz - nie, Beth zdała sobie nagle sprawę, że to nie był obraz, lecz retuszowana fotografia. Widniejąca na niej kobieta patrzyła wprost w obiektyw aparatu z wdziękiem płochliwej gazeli, a jednocześnie z wielką intensywnością szeroko otwartych oczu. Miała na sobie szarą suknię, niemal wieczorową kreację, z rzędem perłowych guziczków przy szyi, a bardzo jasne włosy unosiły się nad jej czołem, jakby powstrzymywane niewidzialnymi dłońmi. „Rozwiane - pomyślała Beth. - Robiąc zdjęcie, użyli dmuchawy”. Chciała oprzeć się o brzeg sofy, ale nie natrafiła ręką na oparcie i ciężko klapnęła na podłogę.

- Beth! - Candy odwróciła się błyskawicznie, nie spuszczać jednak z oka Karrasa, który instynktownie wyciągnął ramię, by pomóc Beth.

- To Cecil - wykrztusiła Beth. - Przecież to Cecil Lockhart.

- Och - odezwał się Karras - Cecil. Oczywiście. Jest aktorką. Pewnie widziała ją pani w telewizji?

Beth próbowała złapać oddech. Chciała wstać, zdołała jedynie uklęknąć.

- Dlaczego - spytała w końcu - ma pan w salonie zdjęcie Cecil Lockhart?

W tym momencie George Karras wyprostował się, niemal dumnie wypiął pierś, a potem pokiwał głową, zacisnął usta z wyrazem tęsknoty i z przejmującym żalem w oczach, którego Beth nigdy nie zapomni.

- Cecil Lockhart to moja żona.

Rozdział 23

Candy bez przerwy prosiła ich o przebaczenie.

Jeszcze wiele lat później, gdy Beth wracała myślami do owego pierwszego tygodnia po odnalezieniu Bena, tym, co najwyraźniej rysowało się w jej pamięci, była rozpacz Candy, jej głębokie poczucie winy, którą przede wszystkim obarczała siebie samą, ale także Bendera, a nawet oddanych sprawie funkcjonariuszy posterunku w Parkside. Potępiała się żarliwie nawet po tym, jak Beth błagała ją, by się uspokoiła, i jak Rosie, położywszy dłonie na jej ramionach, oznajmiła:

- Na Boga, nie masz racji. Zrobiłaś wszystko, co w ludzkiej mocy. Nasza rodzina zawdzięcza ci życie.

Candy rozpoczęła swą litanię przeprosin już w momencie, gdy ona, Beth i Pat wyszli z domu George'a Karrasa i przystanęli na jego ganku, mrużąc oczy w świetle popołudniowego słońca - zaraz po tym, jak Karras powiedział im, a komendant Bastokovitch potwierdził telefonicznie to oświadczenie, że jego żona, Cecilia, od czterech lat przebywa w Silvercrest - prywatnej klinice dla psychicznie i nerwowo chorych w Elgin. A więc w praktyce Karras był rodzicem samotnie wychowującym ich jedyne dziecko - Sama, syna Cecylii z poprzedniego małżeństwa, legalnie adoptowanego przez George'a przed siedmiu laty, zaledwie kilka miesięcy po ich ślubie.

Beth usilnie i nawet z pewnym powodzeniem starała się zatrzeć w pamięci tę chwilę, gdy George Karras powiadomił ich o adopcji; próbowała zapomnieć o fali nudności, ogarniającej ją na widok szaleńczo pulsującej żyły na skroni Pata i kropli potu zraszających kołnierzyk jego koszuli.

- Legalnie adoptowany? - cichym, groźnym tonem powtórzył Pat, a na jego twarzy pojawił się, tak charakterystyczny dla Yincenta, wy-

raz: jakby za chwilę zamierzał zniszczyć wszystko wokół. - Legalnie adoptowany?

- Pat, proszę... - próbowała uspokoić go Candy, gdy tymczasem George tłumaczył dalej, gorączkowo, bez opamiętania:

- Nie, nie, wszystko jest absolutnie w porządku, całkowicie. Możecie sprawdzić. W moim sejfie znajdziecie wszystkie prawne dokumenty. Łącznie z jego świadectwem urodzenia. Proszę bardzo. Sprawdźcie wszystko. Wyjaśnijmy tę sprawę jak najszybciej, dobrze?

W tym momencie w domu Karrasa pojawił się Jimmy i to on wraz z Candy wyprowadził skamieniałego Pata na zewnątrz, tuż po tym jak Bastokovitch otwarł notes i opadł ciężko na kanapę George'a, pytając cichym głosem, czy pan Karras życzyłby sobie obecności adwokata, gdy będzie musiał odpowiadać na kolejne pytania. Po czym westchnął ciężko, a Pat, Beth i Candy, nawet z odległości frontowego ganku, wyraźnie słyszeli Karrasa, oznajmiającego wzburzonym głosem:

- Po prostu musicie przejrzeć dokumenty. To wszystko. Sam jest moim synem. Jest synem mojej żony. Tu musiała zajść jakaś straszna pomyłka. Pozwólcie mi pojechać po dokumenty, a wszystko się wyjaśni.

Na zewnątrz, jeszcze na ganku, Candy odwróciła się gwałtownie w stronę Pata i Beth. I wtedy powiedziała po raz pierwszy:

- Przepraszam. Wybaczcie mi. Przepraszam - by później powtarzać te słowa w nieskończonych permutacjach, tysiące razy, wciąż i wciąż, w miarę, jak dowiadywali się, co naprawdę działo się przez te wszystkie lata zaledwie dwie przecznice od domu Cappadorów. - Wybaczcie mi.

- Co? - wykrzyknęła Beth. - Co mamy ci wybaczyć?

- Błagam, proszę... chociaż nie, właściwie nie zasługuję na przebaczenie. To przecież najbardziej poronione śledztwo w historii. On był tutaj od tak wielu lat. Doprawdy, czegoś takiego nie można mi wybaczyć.

Po takim oświadczeniu nawet Pat, spopielały na twarzy, podniósł głowę i powiedział:

- Ależ nie, Candy. Nie. Skąd, na Boga, miałybyś wiedzieć... Candy jednak nie można już było powstrzymać. Po raz pierwszy, od

czasu gdy Beth ją poznała, zrównoważona, opanowana Candy poddała się bez reszty potężnej fali emocji - w ciągu pierwszych kilku dni po znalezieniu Bena obrzucała się stekiem najgorszych wyzwisk i przekleństw, gdy, fakt po fakcie, wyjaśniali zagadkę zaginięcia Bena.

Jimmy opowiedział Beth, że Candy wyłączyła telefon, opuściła żaluzje w swoim biurze i zamknęła się tam samotnie, kiedy dowiedziała

się, jak to Cecil Lockhart chętnie zgodziła się na rozmowę z policją w domu jej rodziców, w Chicago, wkrótce po uprowadzeniu Bena, i jak ochoczo uchyliła drzwi do pokoju, by policjanci mogli rzucić okiem na jej śpiącego synka, który, według jej słów, był w owym czasie czterolatkiem, chłopczykiem niewiele starszym od zaginionego dziecka. – Myśl o tym nie pozwoli mi spać spokojnie do końca życia - oznajmiła Candy Jimmy'emu. A gdy niedługo potem dowiedziała się, że FBI ma w kartotece odciski palców Cecil - odciski, zdjęte po masowym aresztowaniu demonstrantów w czasie jakiegoś antynuklearnego wiecu w Champaign-Urbana przed wielu laty - wbiegła w szaleńczym tempie na trzecie piętro, zadzwoniła do Bendera i wrzeszcząc w słuchawkę, oświadczyła, że nie obchodzi jej, czy ten popieprzony skurwiel mieszka teraz w Budapeszcie, czy gdzie indziej, że ona radzi Benderowi znaleźć go jak najszybciej, bo rodzina Cappadorów zamierza zaskarżyć służby państwowe o wielomilionowe odszkodowanie; że przez tego dupka, skretyniałego technika z FBI, który miał zdjąć odciski palców z gumowej podeszwy drugiego trampka Bena, odciski równie wyraźne i równie proste w obróbce jak te, które dają im w akademii w czasie ćwiczeń, a które mimo to jakimś cudem udało mu się spieprzyć - państwo będzie musiało wydać teraz miliony dolarów.

- A na dodatek mieliście te odciski w swojej kartotece! - darła się Candy. - Gdy Cecil Lockhart podłożyła ten trampek w wieczór kolejnego zjazdu absolwentów, to tak, jakby obwieściła wam przez megafon: „To ja! Ja to zrobiłam!” Mogliśmy zakończyć tę sprawę już pięć pieprzonych lat temu!... - Tak, dzieciakowi nic się nie stało. Najprawdopodobniej nic mu się nie stało. Przecież nie znamy jeszcze wszystkich faktów... -1 ty uważasz, że to usprawiedliwia waszą indolencję, Bob? Wszystko dobre, co się dobrze kończy? Posłuchaj, jeżeli odkryję, że ktoś tknął tego dzieciaka, że choćby jeden włoszek spadł mu z głowy, wówczas osobiście dobiórę się do was, Bob. Masz to u mnie jak w banku.

Beth wysłuchiwała tej rozmowy z przerażeniem, po czym wtrąciła nieśmiało:

- Candy, przyjmujesz na siebie zbyt wielką odpowiedzialność. Podchodzisz do tej sprawy zbyt osobiście.

- Och, czyżby, Beth? - warknęła Candy. - A co powiesz na fakt, że w końcu nawet ja nie poszłam śladem doniesienia z Minneapolis? Ostatecznie Cecil zmieniała adres tylko jakieś pięćdziesiąt razy. - Candy zamilkła i zaraz przeprosiła Beth za swój sarkazm.

Niemniej, jeszcze długo, długo potem, gdy policja, krok po kroku, składała dziewięć lat żalonych pomyłek i nieszczęśliwych zbiegów

okoliczności w jedną całą historię, składała na tyle precyzyjnie, na ile było to możliwe bez zasadniczych informacji, których mogłaby udzielić jedynie Cecil Lockhart - Beth nie potrafiła zaakceptować niezwyklej intensywności poczucia winy, jakie nosiła w sobie Candy, determinacji, z jaką odrzucała wszelkie wyrazy wdzięczności.

- To ty go odnalazłaś - usłyszała od niej Beth co najmniej z tuzin razy. - Nie dziękuj mi. Ja nie zasłużyłam na podziękowania. - Fakt, że wszystkie media, a także oficjalne czynniki, związane bezpośrednio ze śledztwem, głośno i zdecydowanie wskazywały na Candy jako na osobę, która rozwiązała zagadkę zaginięcia Bena Cappadory (obecnie Candy wyglądała jeszcze efektowniej, jeszcze bardziej elegancko niż dziewięć lat temu i edytorzy wielu czasopism widzieli w niej idealny materiał na okładkę), tylko pogłębiał jej frustrację. Pewnego wieczoru, kilka miesięcy później, już jesienią, Candy wyznała Beth, że owej wiosny jedyny moment spokoju sumienia przeżyła wieczorem w dniu „aresztowania”, do którego, oczywiście, w ogóle w końcu nie doszło, gdy miała okazję obserwować pierwsze spotkanie Pata z Benem.

Beth potrafiła w każdej chwili przywołać wspomnienie tego zdarzenia, odtwarzać je w wyobraźni niczym film poklatkowy: obraz przedstawiający w jednej minucie rozwijanie się pąka róży w kwiat. Wszyscy zebrali się w Wheaton, przed domem rodziny zastępczej¹, wyznaczonej dla Bena przez sąd dla nieletnich, świadomi obecności dwóch dziecięcych twarzy za szybą jednego z okien pierwszego piętra. George Karras z zaczerwienionymi oczami i nosem, ze starannie złożoną chusteczką wetkniętą w kieszeń sportowej marynarki przyjechał na miejsce w samochodzie Bastokovitcha. Przechodząc obok Cappadorów, przycisnął łokcie do boków i rozłożył dłonie - trudno było zdecydować, czy wzrusza ramionami, czy zwraca się do nich w niemym, proszącym geście - po czym wszedł do środka. A potem znów chwile oczekiwania. Vincent czubkiem buta grzebał w kwiatowej grządce. Kerry usiadła na ziemi, trzymając na smyczy piszczącego, wyrywającego się Beowulfa. Beth, z kolei, stała i zastanawiała się, czemu, na Boga, uległa prośbom Kerry i zgodziła się na zabranie ze sobą psa. Minuty wlokły się niemożliwie. Zasłony na wewnętrznych drzwiach zostały zaciągnięte. Po jakimś czasie znów je odsunięto. W końcu pojawił się George. Wyszedł, wycierając nos, a za nim w drzwiach stanęła siwowłosa opiekunka, wzbudzająca respekt pomimo swojego amarantowego dresu - „ma-

¹W USA nie ma instytucji domów dziecka. Dzieci, które z jakichś względów zostają odebrane rodzicom, są kierowane natychmiast do rodzin zastępczych. (Przyp. tłum.)

ma-kwoka" w stosunku do swojego stadka. Zapaliła światło przed domem, by rozproszyć mrok zapadającego zmierzchu. Przytrzymała drzwi z moskitierą.

I wtedy zobaczyli Bena.

Pat cały sprężył się w sobie, Beth niemal fizycznie wyczuwała koncentrację jego energii. Była pewna, że Pat natychmiast, jednym susem, wskoczy na ganek i nie oglądając się na nikogo i na nic, pozostawi ją samotną, z ramionami zwisającymi ciężko i bezużytecznie wzdłuż jej boków. Tymczasem Pat przejechał palcami po włosach, a potem zaczął zbliżać się do chłopca powoli, ostrożnie, niczym biolog podchodzący do świeżo narodzonej antylopy, i wyciągnął rękę, jakby zamierzał wymienić z Benem uścisk dłoni. Beth wstrzymała oddech. A gdy chłopiec wpatrywał się tylko w niego bez słowa, Pat podniósł dłoń, przejechał powoli kciukiem po jego twarzy, od czoła aż do podbródka, i zapytał:

- Jak się miewasz?

- W porządku - odparł dzieciak automatycznie, a po chwili powiedział: - Tato... ?

Kiedy obaj - i Pat, i George - jednocześnie zareagowali na jego pytanie, Beth najpierw zaczęła płakać, a potem głęboko oddychać. Z tyłu, za jej plecami, odezwał się potężny chór pokasływań i głośnego szurania nogami: to cudem zmaterializowany tłum funkcjonariuszy z Parkside i policjantów oddziałów stanowych dawał upust swoim emocjom. I wówczas Beth wskoczyła na ganek - Beth, a za nią Kerry i Beowulf. Beth wdychała woń chłopca równie niepohamowanie jak ich pies, rzuciła się na Bena, otoczyła ramionami, niemal go przewracając. Chłopiec zeszywniał, a po chwili cofnął się, wyciągając rękę w stronę George'a.

- Rozumiem panią - powiedziała wówczas opiekunka. Te dwa słowa w jej ustach zabrzmiały ciepło i przyjaźnie. - Ale chłopiec jest po prostu oszołomiony.

Chwilę później Pat zdecydował, że nadszedł czas, by wszyscy poszli wreszcie spać. George, zwracając się do Bena „Spiro”, co, jak wkrótce dowiedziała się Beth, było greckim odpowiednikiem imienia Sam, uścisnął go i skierował z powrotem w stronę domu.

I wtedy Candy po raz kolejny powiedziała:

- Tak mi przykro.

A Pat odwrócił się gwałtownie w jej stronę. Twarz miał wygładzoną, zarumienione policzki - niczym młody, rozentuzjasmowany gracz w baseballa, do którego sto lat temu tak bardzo tęskniła Beth, i powiedział:

- Przykro? Ależ, Candy, to najpiękniejszy dzień mojego życia!

I żeby nie pozostać gołosłownym, Pat, dla którego praca we „Włoskim Weselu” była równie nieodzowna jak oddychanie, prawie nie pojawiał się w restauracji przez następnych parę tygodni. Wraz z Beth chodzili co drugi dzień na godzinne spotkania z dzieckiem, które wkrótce nauczyli się nazywać „Sam”, spotkania odbywane zawsze w obecności kuratora ośrodka okręgowego dla nieletnich, a w czasie między wizytami wypijali niezwykle ilości kawy i chłonili wiadomości, niemal codziennie dostarczane im przez Candy, dotyczące przesłuchań Cecil, prowadzonych przez policję w Silvercrest. Chociaż tak naprawdę trudno to było nazwać przesłuchaniami. Michele Perrault, mała pani adwokat wynajęta przez George'a, by reprezentować Cecil w tej sprawie, o mały włos nie została oskarżona o obrazę sądu w czasie wstępnego przesłuchania, gdy na pytanie sędziego Sakury, czy oskarżona zamierza zachować uparte milczenie, odpowiedziała bez zastanowienia:

- Wysoki Sądzie, tylko to może jeszcze w ogóle zachować.

I tak naprawdę, jej słowa najtrafniej oddawały obraz sytuacji. Potocznie stan Cecil Lockhart można by określić mianem depresji kata-tonicznej. Gdy przed kilku laty przyjmowano ją do Silvercrest, zdarzały się jej jeszcze momenty pewnego ożywienia. Candy powiedziała im, że wówczas, od czasu do czasu, Cecil wygłaszała głośne kwestie swoim pięknym, szkolonym głosem aktorki o wyrazistych, krągłych samogłoskach, wprawiając w osłupienie cały personel, szczególnie gdy słowa, które wygłaszała, nie miały najmniejszego sensu. Teraz uparcie tkwiła w świecie bezruchu i ciszy - nie wydawała z siebie najlżejszego dźwięku, nawet kiedy ziewała czy tarła nogą o krawędź jakiegoś mebla. W Silvercrest - w pokoju chorej, w sali rekreacyjnej, w gabinecie ordynatora oddziału - Candy, a po niej Bender, Calvin Taylor i wielu innych spędziło długie godziny w towarzystwie Cecilii.

Pokazywali jej zdjęcia - zdjęcia, które George w szczerym, nieśmiałym geście odbił także dla Cappadorów, wzbudzając u Pata łzy - zdjęcia przedstawiające Cecil wraz z Benem na nowiutkim, czerwonym rowerku z dodatkowymi kółkami do nauki jazdy, stojących na ganku domu jej rodziców; fotografię George'a z Benem na ramionach, wspinającego się górską ścieżką. Zdjęcie Bena siedzącego na kolanach Świętego Mikołaja, z włosami ufarbowanymi na ciemny brąz, zaledwie pół roku po... „Jak miała czelność zmienić mu kolor włosów?” - pomyślała Beth, a potem natychmiast sama odpowiedziała sobie na pytanie: A cóż innego mogła w tej sytuacji zrobić? Ostatecznie Cecil nie była głupia, tylko po prostu ogarnięta szaleństwem. To zdjęcie najbardziej pociągało

Beth. Musiało zostać zrobione wkrótce po tym, jak policja przesłuchiwała Cecil, tuż po jej przeprowadzce z Minneapolis. Matka Cecil potwierdziła fakt przeprowadzki, przyznała, że jej córka zjawiała się z dzieckiem, którego pani Lockhart nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Beth naciskała na Candy:

- Czemu Sarah Lockhart uwierzyła Cecil? Czy naprawdę nie skojarzyła pojawienia się nieoczekiwanego wnuka z tak głośnym wówczas uprowadzeniem dziecka Cappadorów?

- Jeżeli nawet przyszło jej to do głowy, zapewne nigdy się do tego nie przyzna - oświadczyła Candy.

Tymczasem, gdy zdjęcia nie odniosły rezultatu, policja, kierując się sugestiami lekarza, próbowała na inne sposoby wzbudzić w Cecil jakąś reakcję. Puszczała jej muzykę z czasów szkoły średniej, muzykę dzieci-kwiatów: Jimmy'ego Hendriksa i Donovana. Przynosili jej cukierki miętowe, które, jak poinformowały pielęgniarki, Cecil wprost uwielbiała, a potem patrzyli bezsilnie, jak Cecil sięga po nie i pożera zachłannie w jedynym gościu, który wykonywała z własnej woli. Przynosili wideo i puszczała jej długie fragmenty filmów, w których sama występowała. Pokazywali wielki plakat przedstawiający jej twarz z platynowymi włosami upiętymi w wysoki kok - plakat reklamujący monodram „Jane Addams z Hull House”, w którym Cecil wystąpiła zaledwie rok przed pierwszym zjazdem absolwentów i za który otrzymała nagrodę Grace Dory, przyznawaną za szczególne osiągnięcia sceniczne. Rozpóścierali przed nią gazety z dramatycznymi nagłówkami w rodzaju: „Matka rzuca w twarz porywaczowi: Jesteś zimnym, pozbawionym serca, skurwysynem!”.

I, jak doktor opiekujący się Cecil przewidział od początku, nie wydobyli od niej niczego. Nic zupełnie. Cecil pozostała nieobecna duchem; była jak studnia pozbawiona dna. Zjadała swoje miętówki; ruszała się z miejsca, gdy Mary, pielęgniarka o anielskiej twarzy, naciskała lekko jej łokieć. I nic poza tym. Wszystko, co wiedziała Cecil, jeżeli teraz w ogóle jeszcze coś wiedziała, miało na zawsze pozostać pogrzebane w jej niepamięci.

George z żenującą wprost gorliwością usiłował wypełnić luki w ich wiedzy na temat Bena. Zjawiał się często w domu Cappadorów, spontanicznie, nieproszony, i z żalną miną ocierał się o ich kuchenny stół, z trudnością odrywając wzrok od fotografii wiszących na ścianach, przedstawiających Bena niemowlaka. Przyniósł im karty zdrowia swojego syna: od pediatry i od dentysty; opis złamania nadgarstka, którego Sam doznał w wieku dziewięciu lat w czasie szkolnego meczu piłki

nożnej. Beth z kolei częstowała go kawą, starannie nakrywając stół: przynosiła z góry, z komody, adamaszkowe serwetki i wystawiała dzbanuszek do śmietanki - choć nigdy przedtem nie zadawała sobie podobnego trudu. Bardzo chciała pocieszyć jakoś George'a.

Aż w końcu pewnego wieczoru, gdy Ben wciąż jeszcze przebywał w rodzinie zastępczej, George wyrzucił z siebie nagle:

- Wy zapewne uważacie, że powinienem okazywać większe poczucie winy. Mam świadomość waszej krzywdy. Na swój sposób czuję się odpowiedzialny. Czuję się winny. Naprawdę. Ale nie potrafię potępić się do końca. Wam zapewne trudno w to uwierzyć, ale ja nie miałem o niczym pojęcia. Dla mnie liczy się tylko mój chłopiec - Boże, przebacz mi, ale on jest także moim chłopcem. To znaczy, Pat, Beth, spójrzcie na wszystko z jego punktu widzenia. To dziecko już jest obciążone świadomością, że jego matka wylądowała w domu wariatów. Boże, zmiłuj się nad nią. Biedna Cecilia... była kiedyś najpiękniejszą... Wiesz, Beth, kiedy ją spotkałem, dałbym sobie głowę uciąć, że nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat, a naprawdę wtedy już dawno przekroczyła trzydziestkę. Była taka delikatna, słodka, niczym świeży kwiat. - George położył rękę na piersiach. - W owym czasie organizowaliśmy promocję; można było dostać bilety do teatru. Cecil właśnie przeniosła się z Minneapolis i grała w „My Fair Lady”. Ona - aktorka, i ja - prostaczek, zajmujący się budową garaży i werand. Że taka dziewczyna... że w ogóle zechciała zwrócić na mnie uwagę... po prostu nie mogłem w to uwierzyć. - George pociągnął łyk kawy, odchylając lekko mały palec. - A potem, widzicie, poznałem jej synka. On był... wiesz, Beth, on był taki... właściwie do dziś jest taki sam. Szczęśliwy, radosny. Inteligentny i silny. Od razu pokochałem go równie mocno, jak kochała go Cecilia. To ona zażyczyła sobie natychmiastowego ślubu, nie chciała czekać ani chwili dłużej, niemal jakby wiedziała, co ją wkrótce czeka... och, Jezu Chryste. Zanim zabrali ją do kliniki, ona... obcięła mu włosy, bardzo króciutko, na parę milimetrów. I zauważyłem, że jak odrastają - są rude. Mój Boże, pomyślałem, dzieci się zmieniają. Nigdy nie poznałem jego ojca. Pewnie był Irlandczykiem. Ja tylko buduję garaże. Pat, ja jedynie buduję garaże i werandy. A on jest moim chłopcem. Adoptowałem go. Ale jeszcze zanim to zrobiłem, zawsze myślałem o nim jako o moim chłopcu.

George przejechał dłonią po swoich pięknych włosach. „Czyżby zdołały posiwieć zaledwie w parę tygodni? - zastanawiała się Beth. - Czyżby nie był to jedynie mit? Czyżby ludziom rzeczywiście przydarzało się coś podobnego?” George tymczasem snuł dalej swoją opowieść:

- Oczywiście, miałem nadzieję, że będziemy mieć więcej dzieci; ale Cecilia tak szybko pogrążyła się w chorobie, i wtedy okazało się, że nie jest już taka młoda. Chryste, i te elektrowstrząsy. Czasami, gdy ją odwiedzałem, leżała przypięta skórzanymi pasami, zaciskając zęby na... A niedługo potem już mnie nie poznawała. Nie poznawała nawet własnej matki i chłopca. Ja, na szczęście, miałem przy sobie Sama. Najdroższego Spiro. Światło mojego życia. Rozumiecie?

Beth czuła wilgoć na szyi; kołnierz jej koszuli był mokry od płynących łez. Kapało jej z nosa; nie zdawała sobie zupełnie sprawy, że płacze.

- George - powiedziała miękki głosem - nam doprawdy nie musisz tego tłumaczyć.

Pomimo współczucia, jakie odczuwali wobec George'a, Pat i Beth postanowili pozostać niewzruszeni w swojej postawie. Nie dopuszczają, by George był dla Sama drugim ojcem. A jednak nie potrafili wykreślić go ze swego życia - tylko dzięki niemu mogli niekiedy zerknąć w głąbie, w którą zapadł Ben, by wynurzyć się już jako Sam.

Przygotowano listę zarzutów. Stan Illinois oficjalnie postawił Ceci-lię Lockhart Karras w stan oskarżenia za uprowadzenie siłą Beniamina Cappadory. Prokuratura czekała na wyniki śledztwa, mającego ujawnić warunki, w jakich chłopiec znajdował się przez ostatnie dziewięć lat, gotowa w każdej chwili oskarżyć Cecil o wszelkie możliwe przestępstwa, może jedynie z wyjątkiem słynnego uprowadzenia Patty Hearst. Na liście znalazło się, między innymi: przetrzymywanie nieletniego wbrew woli prawnych opiekunów, maltretowanie nieletniego, działanie zagrażające życiu nieletniego, złamanie praw rodzicielskich, ukrywanie tożsamości nieletniego, pogwałcenie praw obywatelskich. Candy uśmiechnęła się, czytając listę zarzutów: - Nie ujeli jedynie fałszerstwa i posiadania broni z zamiarem jej użycia...

Niemniej Candy wiedziała, podobnie jak wszyscy wokół, podobnie jak wiedziała to Beth już wtedy w salonie George'a, gdy zaczęła sobie uświadamiać, co naprawdę się dzieje, że wszystkie legalne procedury przybiorą jedynie formę teatralnego widowiska, spektakularnej pantomimy nie mającej na celu niczego poza zapewnieniem efektownego finału. Miały dopełnić cyklu - podobnie jak staranne obwiązywanie sznurkiem pliku gazet i rzucanie, tuż przed kioskiem, na krawędź chodnika. Przesłuchanie w sądzie - jak przewidywała Candy - sprowadzi się do publicznego zawiązania węzła i obcięcia końcówek sznurka.

Cecil zostanie sprowadzona po schodach gmachu sądu, tak jak została tam wprowadzona - nieświadoma błysku fleszów aparatów foto-

graficznych, nie słysząc głosu wykrzykujących coś wokół; wróci do Silvercrest jako wolna kobieta, równie wolna, jak wówczas gdy przewożono ją ambulansem do więzienia okręgu Cook. Wprowadzą ją z powrotem do jej pokoju, nie wiedząc, czy w ogóle poznaje to miejsce, by nadal mogły ją pielęgnować dłonie - czasem szorstkie, a czasem delikatne - których dotyku być może wcale nie czuła; by mogła gapić się bezmyślnie w ekran telewizora, gdy ktoś postanowi włączyć jej odbiornik; by siedziała bez ruchu, ze splecionymi dłońmi, póki ktoś nie chwyci jej za rękę i nie postawi na nogi; by mogła załatwiać potrzeby fizjologiczne dokładnie tam, gdzie siedziała, bez najdrobniejszej oznaki zakłopotania. Wysyłanie Cecil do więzienia nie miałyby żadnego sensu; i nikt, nie wyłączając Pata i Beth, nie wyrażał takiego życzenia.

Reese

Rozdział 24

Maj 1994

Choć było ich tam tylko pięcioro, gabinet kuratora wydawał się strasznie zatłoczony. Nikt nie wiedział, gdzie ma się usadowić. Reese w końcu opadł na skraj kanapy - na brzeg jednego z tych gruzłowa-tych, pomarańczowych paskudztw, które tak często widywał w miejscach, w jakich wielokrotnie musiał się zjawiać, miejscach utrzymywanych z pieniędzy państwowych, jak na przykład gabinety pedagogów szkolnych. „Tom - pomyślał - Tom nie wstawiłby czegoś podobnego nawet do swojego garażu”. Reese, nie znajdując nic lepszego do roboty, skupił całą swoją uwagę na obserwowaniu pająka wędrującego ostrożnie w górę i w dół kanionów dźwiękoszczelnych płytek. Murmurando głosu rodziców zaczęło zlewać się w jego uszach z perorowaniem kuratorki w jednostajny, nic nie znaczący bełkot, aż w końcu, gdyby Reese się tylko postarał, zdołałby usłyszeć bzyczenie muchy, umykającej przed pajakiem przez rozległe przestrzenie dźwiękoszczelnej ściany. Reese opuścił stopy i wstał.

Dzieciak gapił się przez okno, odwrócony plecami do Pata i Beth.

- ...pewnego dostosowania - oznajmiła kuratorka z ośrodka opiekuńczego, spoglądając, zaskoczona, na Reese'a. Rodzice też wlepili w niego wzrok, szczególnie tata wyglądał na wkurzonego, jednak sumienna pani pedagog była zdecydowana kontynuować temat - najwyraźniej nie zamknęłaby się nawet wówczas, gdyby Reese stanął na głowie i nasikał jej na podłogę. - Mamy tutaj dla państwa listę agencji...

- Czy mogę wyjść? - zapytał nagle Reese i od razu pomyślał: „Do

diabła, gadam jak jakiś słodki synek mamusi". - Wychodzę. Tutaj zrobiło się strasznie gorąco.

- Mogę otworzyć okno - nieśmiało zaproponowała kuratorka.

- Och, nie ma o czym mówić - stwierdził tata. - Ostatecznie oni chyba nie muszą...

- Nie, oczywiście, że nie - zgodziła się kobieta.

- Idziesz? - Reese zapytał dzieciaka, który mrugał oczami, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. - Chcesz wyjść ze mną na zewnątrz?

Dzieciak wzruszył ramionami. Reese otworzył drzwi. Przed ośrodkiem było coś w rodzaju placu zabaw z boiskami do koszykówki; kilka oferm życiowych huśtało się na huśtawkach lub kopało bez celu starą, obdartą piłkę. „Ciekawe, dlaczego ich tu zamknęli?” - pomyślał Reese, przytrzymując drzwi, przez które dzieciak przeszedł szybko ze spuszczoną głową i pięściami wciśniętymi w kieszenie spodni.

- Vincent - odezwała się nagle Beth. - Będiesz uważał... - Reese zauważył spojrzenie, jakie posiał jej w tym momencie tata: jakby nawet on nie mógł uwierzyć, że ona naprawdę jest taka głupia. Ze rzeczywiście chciała powiedzieć coś podobnego; Reese dobrze wiedział, co miała na myśli. Wzruszył! tylko ramionami i zatrzaskał za sobą drzwi.

Na dworze było chłodniej, niż można by się tego spodziewać. Szczególnie jak na późną wiosnę. Dzieciak miał na sobie jedynie flanelową koszulę; Reese cieszył się, że wziął swoją skózaną kurtkę. Jednym podrzutem ramion założył ją teraz na siebie i, jak zwykle gdy jej dotykał, poczuł przypływ wielkiej radości. Układała się tak, jakby była jego własną, drugą, grubą skórą. Reese wyciągnął papierosa i uważnie oszacował wzrokiem ką, pod jakim można zobaczyć dziedziniec z okien gabinetu - wyraźnie widział swojego ojca; siedział co prawda plecami do Reese'a, ale i tak nie warto było ryzykować.

- No więc - zagadnął teraz dzieciaka, starannie chowając papierosa z powrotem do paczki. - Czy ten facet przyszedł tu dziś rano?

- Facet? - Dzieciak wyraźnie nie załapał pytania.

- No ten facet, ten gość, ten, który był twoim ojczymem, George Jakiś-tam.

- Bardzo wcześniej odwiedził mnie w domu rodziny zastępczej. Nie chciał przychodzić tutaj.

- No i jak to jest, kiedy się jest sławnym, Ben? - spytał Reese. - Podoba ci się, że jesteś twarzą z pierwszych stron gazet? Wielkim cudem z Menard Street... -

Dzieciak spokojnie otaksował go chłodnym

spojrzeniem. „Jemu się zdaje, że mnie to naprawdę interesuje - pomyślał Reese.
- Co za tępak!"

- Właściwie robi mi się od tego niedobrze - odparł dzieciak. - To znaczy, dzień w dzień, przez ostatnie dwa tygodnie, psycholog mówi do mnie rzeczy w rodzaju: „To wszystko musi wzbudzać w tobie wiele emocji...” Ale jak mogą wzbudzać we mnie wiele emocji zdarzenia, o których nigdy wcześniej nie miałem najmniejszego pojęcia?

- Czy ten psycholog będzie teraz twoim stałym terapeutą?

- Stałym? - Przeszli kawałek po betonowej nawierzchni i Reese postawił stopę na huśtawce dla maluchów.

- Posłuchaj mnie uważnie, Ben. Właśnie wkroczyłeś w strefę terapii psychicznej. Rodzina, na której łonie wkrótce przyjdzie ci żyć, jest przodującym konsumentem usług psychologicznych. Mama i tata chodzą niekiedy na terapię małżeńską, Kerry - na jakąś terapię rysunkową, a ja zapewne pobiliem rekord w swojej grupie wiekowej w regularności wizyt u psychiatry-szamana...

- Dlaczego? Czy coś z tobą nie w porządku? Reese kopnął huśtawkę.

- Nie. Do tego wcale nie musi być z tobą nie w porządku. Wystarczą... jakieś główniane problemy w szkole i tym podobne. Chodzę na terapię, bo mój tata uważa mnie za pieprzonego wyrzutka.

- A twoja mama?

- Widziałeś moją mamę.

- Och... - dzieciak odwrócił się w drugą stronę, a Reese nie chciał, żeby teraz odszedł.

- Nie... moja mama nie jest zła, nic z tych rzeczy. Ona tylko... no wiesz, jak chcesz coś do niej powiedzieć, to powinieneś zwracać się w stylu: „Kontrola lotów do Beth Cappadory". Połowa z tego, co mówisz, nigdy do niej nie dociera, a przynajmniej wydaje ci się, że do niej nie dociera. - Reese westchnął. - W każdym razie szkoda, że nie mam teraz samochodu.

- Nie masz samochodu? - spytał dzieciak.

- Nie, ale mogę mieć, kiedy tylko mam na to ochotę.

- To znaczy?

- To znaczy, że pod ręką jest zawsze wiele samochodów...

- Kradniesz samochody?

- Nie, ja nie kradnę samochodów. Ale czasami je sobie pożyczam. To przecież nic złego, nie przywłaszczam cudzego mienia... no wiesz.

- Ale to rodzaj kradzieży.

- Co tam. Po prostu chcę mieć poczucie, że za młodych lat zdąży-

lem się wyszumieć - oznajmił Reese. Dzieciak rozejrzał się dookoła, jakby szukał wzrokiem gliniarza czy kogoś w tym rodzaju. „Pieprzone gówno - pomyślał Reese. - Czas na zmianę tematu”.

- A co ty robisz? - zapytał dzieciaka.

- Ja? Ja nic nie robię.

- To znaczy, chodzi mi o to, co lubisz robić. - Szare oczy dzieciaka rozwarły się teraz szeroko, a Reese, wpatrujący się w jego twarz, niemal całkiem zgubił wątek myśli, bo ten dzieciak wyglądał teraz jak... wyglądał jak...

- Gram w piłkę.

- W kosza? - Dzieciak pokiwał twierdząco głową i wkroczył na betonowe boisko, gdzie pod krzakiem leżały, jedna obok drugiej, dwie czarne piłki do koszykówki z dużym logo drużyny „Bulls”. Ofermy kopiące zniszczoną piłkę wycofały się szybko z boiska na widok Reese'a niczym spłoszone stado zwierzyny.

- Jesteś w tym dobry?

- Gram w młodzieżowej lidze miejskiej. W reprezentacji. W pierwszym składzie.

- W pierwszym składzie reprezentacji? - gwizdnął Reese. - No, no, ale osiągnięcie.

- Słuchaj, jestem w szóstej klasie. Wszystkie inne chłopaki z drużyny chodzą do dziewiątej. To sprawa wzrostu.

- Jednak skąd masz ten...

- Nieważne.

- Chcesz trochę porzucać? Zagramy w „Osła”? - Dzieciak wzruszył ramionami. Miał bardzo duże dłonie; Reese przyglądał się, jak obracał i gaskał nimi piłkę, niczym ulubione zwierzę domowe, a potem zaczął kozłować - zręcznie, rytmicznie. Ten dzieciak miał naprawdę niesłychanie duże dłonie i - Reese zerknął w dół - równie imponujące stopy.

Stanęli na wyznaczonej pozycji, całkiem daleko od kosza. „Ostatecznie - pomyślał Reese - on gra w pierwszym składzie reprezentacji”. Przyglądał się, gdy chłopak wykonywał rzut - miał wrażenie, że ogląda stary film z olimpiady - nienaganna postawa, miękki nadgarstek, płynny ruch aż do czubków palców. „Grzeczny, dobry chłopaczek - pomyślał Reese. - Rzuca wręcz podręcznikowo”.

Wzrost i waga nie miały właściwie znaczenia w ich zabawie; dzieciak ważył mniej więcej tyle samo co Reese i był zaledwie parę centymetrów niższy. Reese cofnął się o krok, rzucił jedną ręką.

- Bez dotykania obręczy - oznajmił.

Dzieciak też się cofnął, wziął piłkę i powtórzył wyczyn Reese'a bez najmniejszego wysiłku.

- Teraz z linii rzutów wolnych - zarządził Reese. Piłka poszybowała, odbiła się od obręczy i poleciała nie wiadomo gdzie.

- Moja kolej - wykrzyknął dzieciak radośnie. Ustawił się w klasycznej pozycji, a jego twarz przybrała szczególny wyraz: żywa mimika zdradzała natychmiast, że ten chłopak koncentruje się jedynie na tym, co w danej chwili robi - gdy trzymał piłkę w ręku, nie przebiegał w myśli listy wszystkich dupków, którzy zależli mu za skórę, ani nic w tym rodzaju. Interesowało go jedynie tu i teraz. Reese nie miał wątpliwości, jeszcze zanim piłka oderwała się od palców dzieciaka, że to będzie dobry rzut.

Reese zapiął suwak swojej skórzanej kurtki, żeby nie przeszkadzały mu fruujące poły, wyważył piłkę w dłoni, przymierzył się i rzucił. Znow nie trafił.

- Zarobiłeś „o” - wykrzyknął dzieciak. Po czym stanął obok Reese'a i bez problemu, jakby od niechcienia, wrzucił piłkę do kosza.

Reese'owi zadźwięczały w uszach słowa tłustego sukinsyna, Teetera, trenera szkolnej drużyny koszykówki i jednocześnie nauczyciela wf.: „Cappadora, twój problem tkwi w twojej mentalności. Gdybyś tylko myślał o tym, co w danej chwili masz zrobić...” - Spróbował skoncentrować się na rzucie, ale gdy tylko rzucił piłkę, wiedział, że nie trafi do celu.

- Masz już „s” - oznajmił mu dzieciak z zachwytem w głosie.

- Dałem ci fory - stwierdził Reese, kozłując w stronę kosza, wyskoczył i celnie wrzucił piłkę. - Powtórz to, mądralo.

- Przecież gramy w „Osia”.

- Czy idzie ci dobrze tylko wtedy, gdy stoisz nieruchomo w miejscu, Pierwsza Reprezentacja?

- Mogę cię ograć - beznamytnie oświadczył dzieciak.

Reese znow ruszył w stronę kosza, podrygując, zbierając się do wykonania tego cudownego, opóźnionego w fazie rzutu, który opanował, ćwicząc nocami przed domem - bum: piłka gładko przeszła przez siatkę.

- No co, chłopie, gotów do akcji? Dzieciak był skołowany.

- A według jakich reguł?

- Ja nie gram w reprezentacji, mój dobry człowieku. - Reese jeszcze raz pokozłował w stronę kosza, nie trafił w punkt i piłka odskoczyła od wewnętrznej krawędzi obręczy.

- To gramy „kosz na kosz”, czy jak?

- Twoja piłka, żółtodziobie. - Reese nie musiał nazywać gry. Wiadomo, że grali „kosz na kosz”, choć, z technicznego punktu widzenia, Reese powinien oddać piłkę dzieciakowi tylko wtedy, gdyby udał mu się ten ostatni rzut.

- To do ilu? Do ilu gramy? - dopytywał się chłopak, kozłując od niechcenia. - Do jedenastu?

- Po prostu graj - zarządził Reese. Dzieciak odbił piłkę parę razy, wykonał taki ruch, jakby zamierzał pójść w lewo, po czym szybko skierował się w prawo, zrobił dwutakt i piłka, odbita od tablicy, wpadła do kosza.

- Punkt! - wykrzyknął radośnie, oddając piłkę Reese'owi i mruczając pod nosem: - Szach.

Reese go zignorował i ustawił się na pozycji. Dzieciak patrzył na niego taksująco, zastanawiając się, w którą stronę się przesunąć. Nie patrzył Reese'owi w oczy. Reese zdecydował się pójść ostro w prawo, blokując wolną ręką dostęp do piłki. Jednak kozłował nieco za wysoko. Był pewien, że jest w stanie przewidzieć wszystkie ruchy dzieciaka, więc nie przejmował się swoim zbyt wysokim kozłem. Dzieciak stał na dobrej pozycji obronnej - Reese odbił piłkę od jego uda, złapał, rzucił i nie trafił. Piłka odskoczyła od obręczy. Reese jednak zdołał doskoczyć do tablicy, zachować równowagę i palcami posłać piłkę do kosza ponad wyciągniętym ramieniem dzieciaka.

- Kim chcesz być? - zapytał, kozłując, zaspany Reese.

- Grantem Hillem.

- A ja Scotty Pippenem.

- Dobra. - Teraz grali już całkiem na serio. Gdy tylko Reese zdobywał punkt, dzieciak natychmiast wyrównywał. Przy którymś z kolei rzucie Reese'a dzieciak lekko potracił piłkę przy wyrzucie, zebrał ją, gdy odbiła się od obręczy, wycofał się i wykonał celny rzut z półobrotu. - Teraz ty mnie będziesz doganiał - oznajmił. Reese ustawił się na pozycji. Kiedy dzieciak dobiegał do kosza, Reese odwrócił się, zrobił zwód i wystawił łokieć. Dzieciak się potknął.

- Przepaaaaaszaaam - powiedział Reese, przechwytyjąc piłkę.

- Sfaulowałeś - oznajmił dzieciak.

- To nie rozgrywki YWCM, Ben - oświadczył Reese.

- Ja nie mam na imię Ben.

- Dobra... Ben - wymamrotał Reese, kozłując w stronę kosza. Ale dzieciak zdążył już przesunąć się na inną pozycję - wydawało się, że on nie biega, a przemieszcza się gładkimi ślizgami, co bardzo utrudniało śledzenie jego ruchów - i próbował przejąć piłkę. Reese za wszelką

cenę starał się skoncentrować; ale, niech to szlag trafi, właściwie nie panował nad piłką, wydawało mu się, że wciąż musi ją gonić, więc wpadł prosto na dzieciaka, lewą, wysuniętą do obrony ręką uderzając go niechcący w nasadę nosa. Dzieciak nie opuścił głowy, choć Reese wyraźnie widział, jak w oczach stanęły mu łzy. I już, już miał wykonać rzut, ale nie mógł oderwać wzroku od twarzy dzieciaka, od tego przełkniętego wyrazu jego oczu... teraz wyglądał dokładnie jak Ben -Ben, który nie odważył się zjechać z małej, plastikowej zjeżdżalni do brodzika głębokiego na dwadzieścia centymetrów, jeśli jego duży brat nie stał na dole z rozpostartymi ramionami. Miał wtedy ten sam wyraz w szeroko rozstawionych oczach, umieszczonych dokładnie nad kośćmi policzkowymi. Wyraz przestachu, radości, zabawy, gdy sunął szybko w jego stronę. „Ben” - pomyślał Reese... i w tym, trwającym jedno mgnienie momencie utraty koncentracji, dzieciak wybił mu piłkę z rąk; obaj pobiegli za nią w stronę rogu. Reese widział wyraźnie, że dzieciak nie zdąży złapać jej przed linią autową. Pozostało mu tylko jedno wyjście. Musiał dać nura, a potem... Piłka uderzyła Reese'a bardzo mocno i wypadła poza pole boiska.

- Chryste! - krzyknął Reese, wykrzywiając twarz w bólu. Co prawda nie dostał tam, gdzie by najbardziej bolało, jednak krocze to zawsze krocze; bardzo niewiele brakowało. - Ty głupi gnojku.

- To twoja wina - oznajmił dzieciak. - Teraz ja jestem przy piłce.

Chwycił ją, poszedł na lewo i wpakował do kosza z odwrotnego półobrotu, wślizgując się w wyskoku pomiędzy Reese'a a tablicę. Kolejny punkt.

- Prowadzę - oznajmił dzieciak Reese'owi, który stał zgięty wpół, z trudnością łapiąc powietrze, strasznie zmęczony. Dzieciak natomiast oddychał równie spokojnie i miarowo, jak we śnie. - To co? Nadal chcesz grać do dwudziestu jeden? - dzieciak był strasznie podekscytowany. Niewiele brakowało, a zaczęłby śmiać się w głos.

- Graj - odparł Reese.

- Do dwudziestu jeden... Vinnie? - dzieciak powiedział to całkiem cicho, ale Reese usłyszał jego słowa i spiął się w sobie, zeszywniał, dokładnie tak jak tuż przed bójką, przed setkami bójek. Wziął piłkę i przez chwilę kozłował z dala od kosza, by się uspokoić, przygotować na daleki rzut z wyskoku. Piłka wyleciała w górę. Czysta rozkosz.

- Widziałeś kiedyś coś takiego, Ben?

- Uhm. U dziewczyn - odparł dzieciak, a potem chwycił piłkę i rzucił się na prawo. Jednak do tej pory Reese zdołał już opanować jego taktykę. Okręcił się na pięcie w lewo i zablokował dzieciaka rozpostarty-

mi ramionami. Dzieciak nadział się na jego bark podbródkiem. Przewrócił się i potoczy! po boisku na piaszczyste pobocze z jedną nogą podwiniętą pod siebie i z rozkrwawioną wargą.

- Pieprzone gówno - powiedział Reese. - Ja naprawdę nie chciałem... - W tym samym momencie jego ojciec natarł na niego jak rozjuszony byk, powalając go brutalnie na betonową nawierzchnię. Reese rozciągnął się jak długi, z tak przeszywającym bólem w kości ogonowej, że gdyby nie zagryzł warg, musiałby zawyć.

- Ty mały gnojku! - wykrzyknął Pat, poprawiając krawat. - Ty bestialski łobuzie!

- Jezu Chryste, tato! - wykrztusił Reese, usiłując podnieść się na nogi.

- Czy nic ci się nie stało... Sam? - zapytał Pat, wyciągając z kieszeni chusteczkę. Dzieciak ruchem ręki dał znać, że jej nie potrzebuje, i ponad ramieniem Pata wpatrywał się niespokojnie w Reese'a.

- Czy nie możesz wytrzymać jednego dnia - chociaż tego jednego dnia - bez narażania swojego otoczenia na szwank? - Reese zauważył, jak twarz ojca przeszły skurcz bólu. O jasna cholera. Czy to dlatego, że Reese sprawił mu przykrość, czy może to znowu jego serce? „Pieprzone gówno” - pomyślał Reese.

Z cienia rzucanego przez budynek urzędu hrabstwa wyłoniła się Beth.

- Co się stało? - spytała. - Co mu się stało?

- Po prostu graliśmy w piłkę - wymamrotał Reese.

- Wszystko w porządku - desperacko zapewniał Sam. Jednak Beth posłała Reese'owi spojrzenie, jakim częstowała go mniej więcej raz do roku, jakby go wtedy nagle naprawdę zauważała czy coś w tym stylu, a potem wyciągnęła rękę, dotknęła ramienia Sama i powiodła dłońmi po jego bokach tak, jakby sprawdzała, czy on nie ma przy sobie broni.

- Wszystkie kości całe? - spytała swoim cichym, metalicznym głosem, którego zawsze używała, gdy wzywali ją do szkoły, a który brzmiał tak, jakby oznajmiała: „Ależ, doprawdy, czuję się wyśmienicie”.

W samochodzie usadzili Reese'a z przodu, obok Beth. Tata usiadł z dzieciakiem z tyłu. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, by odebrać Kerry z domu babci Rosie. Pojechali do „Benno” i zamówili pizzę, która potem stała na stole, z tłuszczem zastygającym na jej brzegach, układającym się w wymyślne reliefy. Dzieciak wsunął dwa kawałki pizzy, starannie wydłubując z nadzienia pepperoni, które ojciec Reese'a machinalnie zabierał z jego talerza widelcem i sam zjadał. Reese pilnie

obserwował tatę; ojciec pocii się nieprzytomnie, jakby właśnie przed chwilą brał udział w maratonie. Wypił duszkiem całą colę.

- Zjedz coś, Vincent - zarządziła mama. „Powinna sobie sprawić T-shirt z takim napisem” - pomyślał Reese. Postanowił sprawdzić, jak długo uda mu się żuć jeden kęs. Obserwował matkę, która z kolei obserwowała jego, poruszając ustami w tempie zsynchronizowanym z jego tempem. „Czy gdybym zrobił głupią minę - zastanawiał się Reese - ona też by się wykrzywiła?” Na myśl o tym zachciało mu się śmiać.

Dzieciak podniósł wzrok znad talerza i zapytał:

- Czy mógłbym dostać szklanek mleka?

Ojciec kiwnął na kelnera, a Reese spytał z niedowierzaniem:

- Pijesz mleko do pizzy?

Wszyscy wlepili w niego taki wzrok, jakby co najmniej kazał temu dzieciakowi iść się pieprzyć na drzewo. Reese wstał i poszedł do łazienki, gdzie odpowiednio nastroszył włosy i przemył twarz. Gdy trzymał dłonie pod suszarką, ojciec wetknął głowę w drzwi i oznajmił:

- Jedziemy.

„Dvof ak” - pomyślał Reese, kładąc się na łóżku, na swoim starym, dobrym, wyboistym łóżku; Samowi kupili nowe, nikomu nie przyszło-by do głowy kłaść go z powrotem na tym starym. Largo z „Nowego Świata”. Doskonały wybór w przypadku lekkiego niepokoju. Podkreści! głośność, zastanawiając się, czy wibracje dobywające się ze słuchawek mogłyby go wprowadzić w stan lewitacji. Kiedy wstał, żeby przynieść sobie szklanek wody i przy okazji włączyć swoją najstarszą płytę Metal-iki, usłyszał Beth, urzędującą na końcu holu, w pokoju dzieciaka.

- Czy zostawić ci światło? - zapytała.

- Nie, ja nie śpiam z zapalonym światłem.

- Wszystko tutaj musi ci się wydawać strasznie obce. - Dzieciak nie odpowiedział. - Czy chcesz koc?

„Rany, mamó - pomyślał Reese - to przecież tylko pieprzony maj”. Wszedł do łazienki i miał wrażenie, że nawet przez ścianę jest w stanie wyczuć, że mama dotyka teraz tego dzieciaka; nie mogła się opanować w jego obecności, jej ręce wciąż na nim lądowały, chociaż, jak zauważył Reese w ciągu ostatniego tygodnia, zanim go dotknęła, zawsze się przedtem odsuwała, jakby ten dzieciak był z rozpalonego żelaza.

- Jutro sobota - zawołał ojciec, idąc holem. - Chciałbyś jutro w coś pograć?

- Dobrze - odparł chłopak.

„Będziesz musiał nieźle się napracować, tatusiu - pomyślał Reese. - Masz dużo do nadrobienia w tym sezonie". Gdy otworzył drzwi łazienki, wpadł wprost na Pata. Ojciec wyglądał tak, jakby miał zamiar przeprowadzić z nim poważną rozmowę; Reese spał się w sobie. Ale Pat tylko oparł się o framugę drzwi.

- Vincenzo - powiedział, a Reese poczuł ucisk w gardle. - Proszę cię, tak cię proszę...

Reese wyraźnie słyszał, jak ojciec zamknął drzwi do sypialni. Mama już zapewne pograżyła się w „narkolandzie" - świecie proszków uspokajających; teraz mógłby wjechać na ganek buldożerem, a ona i tak by nic nie usłyszała - może najwyżej przekreśliłaby się na drugi bok. Jeżeli chodzi o ojca, nie miał pewności. On mógł się włóczyć nocami po domu. Metallica przyprawiała Reese'a o jeszcze większe zdenerwowanie. Wstał i zaczął grzebać w kompaktach, aż natknął się na płytę pewnego afrykańskiego saksofonisty, którego nazwiska nigdy nie mógł zapamiętać. „To jest to" - pomyślał, układając się na plecach i wyciągając ramiona idealnie wzdłuż boków ciała. Byle się nie męczyć. Byle odpłynąć...

Ta muzyka nie działała. Spróbuje Pucciniego. Znow wstał i przebierał płyty.

Obudził się w ciemnościach. Ojciec musiał zajrzeć do niego i zgasić światło. Przewracając się na bok, poczuł pod plecami znajome wybrzuszenie. W ciągu tych wielu lat Reese niekiedy zastanawiał się, jakiej metamorfozie uległ czerwony królik Bena pod wpływem nieustającego nacisku jego ciała. Sądził, że wyglądem przypominałby ropuchę, gdyby niejedno zwisające ucho, które mu jeszcze pozostało. Rozluźniając mięśnie, powoli, by nie nacisnąć przepełnionego pęcherza, Reese wygrzebał go spod prześcieradła. Miał już tylko jedno oko. Był klucho-watym, okrągłym kształtem, a czerwony plusz wytarł się gdzieś do koloru przejrzystego różu. „Embrion - pomyślał Reese. - Tak jest. Igor Embrion".

Wciąż dzierżąc w dłoni bezkształtny przedmiot, Reese poszedł do łazienki. Gdy siusiał, rzucił czerwonego królika na umywalkę. Wyraźnie słyszał chrapanie ojca, głośne dławienie, jakby tata się dusił - ten dźwięk doprowadzał Reese'a do szału. Ilekroć, leżąc w swoim pokoju, słyszał to charczenie, zaczynał oddychać w tym samym rytmie, dopóki nie pograżył się we śnie. Lecz tym razem, kiedy zakręcił kran, dobiegł go jeszcze inny odgłos.

Kerry? Ale przecież Kerry nocowała u babci Rosie. Reese przeszedł wzdłuż holu, trzymając się cały czas blisko ściany, i stopą odchylił szerzej drzwi do pokoju, gdzie spał ten dzieciak, Sam.

Był pogrążony we śnie, a przynajmniej miał zamknięte oczy. Reese podszedł bliżej. Sam leżał na plecach, z rozrzuconymi na boki rękami i spał typowym dla dzieci snem, tak głębokim, że nie czuł śliny ciekącej mu z ust. Reese uważnie patrzył, czy nie dostrzeże ruchów gałek ocznych. Ale nie. Dzieciak spał jak zabity. Reese otworzył dłoń i obszarpana, bezkształtna masa, która kiedyś była królikiem Igorem, opadła tuż obok łóżka. Kiedy odwrócił się, by wyjść, usłyszał, że dzieciak pojękuje. Reese podszedł bliżej, zatrzymał się nad jego twarzą i usłyszał:

- Nie. Ja po prostu nie.....ie...

Czy ponownie powiedział „nie”, czy chciał powiedzieć „wiem”? Czy próbował coś lub kogoś powstrzymać? Dzieciak jęknął ponownie.

Reese rzucił się w stronę drzwi - co będzie, gdy się obudzi? Ale Sam przekreślił się tylko na drugi bok i jeszcze raz, cicho i wyraźnie, powiedział: - Och, nie.

Między drzwiami a szafą znajdował się kawałek pustej przestrzeni. Reese wsunął się tam, oparł o ścianę i bezszelestnie osunął na podłogę. Objął kolana ramionami i przyzwyczajając wzrok do ciemności. Jeżeli się bardzo wysili, będzie w stanie dostrzec wskazówki na tarczy zegara wiszącego ponad komodą.

Trzecia rano. A więc jeszcze tylko jakieś trzy godziny. Reese'owi udawało się już wytrzymać dłużej bez mrugania oczami. Każdy, kto trochę potrenuje, może tego dokonać. Tylko że... Reese pochylił się do przodu, położył brodę na dłoniach. Nie odróżniał wyraźnie... W tym momencie dzieciak przekreślił się jeszcze raz i górna część jego ciała znalazła się w smudze światła padającego od latarni stojącej za rogiem ulicy. I o to właśnie chodziło.

Reese mógł się odprężyć. Teraz już wyraźnie widział jego twarz.

Rozdział 25

Czerwiec 1994

Reese najchętniej odpuściłby sobie dwa ostatnie tygodnie szkoły. Jednak gdy się zastanowił, doszedł do wniosku, że wystarczy, by poważnie wkurzył czymś ojca, a jego nowiusieńkie prawo jazdy zostanie z mety skonfiskowane i w mgnieniu oka schowane tam, gdzie słońce nie dochodzi. Tata nadal pozostał kochanym, naiwnym złotym sercem - był nawet ekstrajowialnym tatusiem, od kiedy świątobliwy Sam zamieszkał pod ich dachem - ale teraz z pewnością nie tolerowałby zachowania, które w jakikolwiek sposób mogłoby splamić wizerunek „rodziny”. Reese oczyma wyobraźni widział już sensacyjne nagłówki prasowe: „Niezwyczajne wydarzenia na Menard Street: jeden syn odzyskany, drugi utracony?”

Pieprzone gówno. Reese nie miał wątpliwości, że przez te następne dwa tygodnie nie może podpaść, i był zdeterminowany, by tego dokonać. Chociaż stres zaczynał już go dopadać. Musiał oddać dwie prace semestralne, a książki, których potrzebował, by je napisać, wetknął pod złamaną nogę swojego łóżka - tego, które kiedyś należało do Bena. Jordie posądzał Reese'a o wiarę w przekonanie, że zdoła przyswoić sobie wiedzę o rozszczepionej osobowości (właśnie taki temat wybrał Reese dla swojej pracy semestralnej), ograniczając się do spania na podręczniku.

Reese był pewien, że wchłonął już wszelkie wiadomości o rozszczepionej osobowości drogą osmozy - przez przebywanie w towarzystwie własnej matki. Niemniej do napisania pracy potrzebował odrobiny spokoju, a od czasu gdy ich dom zaczął przypominać dworzec centralny całego wszechświata, spokój był jedną z ostatnich rzeczy, na które mógł tutaj liczyć.

Cała ta historia dopadała go na każdym kroku. W szkole, gdziekolwiek się ruszył, natykał się na jakiegoś nauczyciela dzierżącego magazyn „People” - ten numer z okładką, na której widniał Sam kozłujący piłkę na podjeździe przed ich domem. Pod zdjęciem biegł duży napis: „Wrócił... ale to już nie Ben”, a jeszcze niżej: „Nieprawdopodobna odyseja zaginionego dziecka”. Jakiś kutas w czytelnicy podszedł nawet do Reese'a i poprosił go o pieprzony autograf. Reese zlitował się nad tym dzieciakiem i napisał: „Z najlepszymi życzeniami, Tępy Fiucie”, chociaż wiedział, że właściwie powinien napisać coś o wiele mocniejszego. Mama, kiedy zobaczyła Sama na okładce, niemal dosłownie sfajdała się z wściekłości - wpadła w jeszcze większą furję niż przy pierwszym artykule w „People”. Mimo że minęło tak wiele lat, Reese wciąż miał żywo w pamięci jej ówczesną reakcję.

Tym razem słyszał, jak wydzierała się na dole:

- Co oni sobie w ogóle wyobrażają?! Że już nie mamy prawa do prywatnego życia?!

A tata odpowiadał na to łagodnie:

- Beth, ty kiedyś tak samo zarabiałaś na życie...

Tom, jak to Tom - Pan Psychiatryczny Detektyw - oczywiście zanudzał go pytaniem:

- Czy jesteś pewien, że nie rozpoznałeś w nim Bena?

Reese nie wierzył własnym uszom: no bo niby czemu, gdyby wiedział, że to Ben, nikomu by o tym nie powiedział? Gdyby miał tę pewność? Wiedząc, że tym, czego jego rodzice chcieli najbardziej na świecie, było odnalezienie Bena?

A Tom odpowiedział mu na to:

- Może dlatego, że ty nie chciałeś tego najbardziej na świecie.

I to właśnie było frustrujące w rozmowach z Tomem: zawsze wydawało mu się, że tak czy inaczej zdoła wyciągnąć z ciebie jakieś podświadome lęki i pragnienia, pozornie mające ze sobą taki związek jak zwycięska liczba na loterii z numerem autobusu kursującego po Wa-veland Avenue. Reese, oczywiście, zastanawiał się nad pytaniem Toma i doszedł do wniosku, że jedyną rzeczywistą przyczyną, dla której nie wspomniał matce o rudowłosym chłopaku, było poczucie, że to zbyt idiotyczne i nieprawdopodobne, by jego od dawna zaginiony brat mieszkał sobie w najlepsze tuż za rogiem. No i na dodatek ten dzieciak nie wyglądał dokładnie tak, jak Reese zapamiętał Bena; prawdę powiedziawszy, Reese w ogóle niespecjalnie pamiętał, jak wyglądał Ben.

- Jezu Chryste, ja miałem wtedy zaledwie siedem lat - powiedział

Tomowi z oburzeniem. - Czy ty pamiętasz coś z czasów, kiedy byłeś siedmiolatkiem?

- Pamiętam, że miałem trzymiesięcznego braciszka, który padł ofiarą SIDS¹, i że to ja go znalazłem martwego w łóżeczku, a potem przez dziesięć lat nie mogłem zrozumieć, dlaczego miałem co noc kłopoty z zasypianiem - odparł Tom.

Dobry, niezawodny Tom - zawsze potrafił uraczyć człowieka odpowiednio dramatyczną odpowiedzią. Cóż, zapewne dlatego o psychiatrach mówi się, że aby mogli wykonywać swój zawód, sami muszą być nieźle pokręceni.

A potem Tom zadawał mu rozmaite pytania sprowadzające się w zasadzie do jednego: jakie uczucia żywi Reese w stosunku do Cecylii Lockhart, ale w tej kwestii Reese nie miał już zupełnie nic do powiedzenia - no bo jak można się wściekać na jakąś szaloną kobietę, która nawet nie miała zielonego pojęcia, że robi coś naprawdę złego?

Tak więc, gdy i ta taktyka zawiodła ich donikąd, Tom zaczął walczyć z tematem Sama. Czy Reese jest na niego wściekły? Reese nie mógł zrozumieć, jak Tomowi mogło w ogóle przyjść coś podobnego do głowy. Wściekły? A niby dlaczego?

- Na przykład dlatego, że teraz cała uwaga otoczenia skupia się tylko na nim - odparł Tom.

- Tom, ja już nie jestem małym dzieckiem - oznajmił Reese. - Poza tym, no wiesz, jeżeli zaginałby ci syn, jeżeli nie widziałbyś go przez dziewięć lat, a potem nagle cudem odzyskał, czy wówczas nie chciałbyś spędzać z nim jak najwięcej czasu? Czy nie popadłbyś w lekką obsesję na jego punkcie? Przecież to całkiem naturalne. Szczególnie, jeżeli drugi syn jest taki...

Tom z miejsca się do tego przyczepił.

- Drugi syn jest jaki, Reese? Jaki? - Reese wzruszył ramionami. - No, Reese, czy chciałeś powiedzieć, że ten drugi syn nie jest wart tego, by poświęcać mu wiele uwagi?

- Doktorze Kilgore, ten psychologiczny bełkot staje się czasami straszliwie nudny.

Tom się roześmiał i zapytał Reese'a, jak on by się czuł na jego miejscu- to znaczy, gdyby musiał słuchać podobnych tekstów przez czterdzieści godzin w tygodniu i to jeszcze we własnym wykonaniu. Te słowa jakoś odprężyły Reese'a. Nawet wyznał Tomowi, że od jakiegoś

¹ SIDS (Sudden Infant Death Syndrome) - zgon niemowlęcia następujący we śnie. Przyczyny tego zjawiska, zwanego popularnie „śmiercią w kołysce”, nie zostały jeszcze jednoznacznie określone. (Przyp. tłum.)

czasu sam rozważa możliwość zostania psychiatrą - czysta praca i w odróżnieniu od innych specjalności lekarskich, za pomyłki nie płaci się kolejnymi grobami na cmentarzu. A do tego - jak Reese zdążył sobie wykalkulować - Tom mógłby wykupić pół centrum handlowego już za same honoraria, które przez te wszystkie lata dostawał tylko od Cappadorów.

Rozmawiali też z Tomem o sporcie. Reese sądził, że może w końcu, na jesieni, spróbuje dostać się do szkolnej drużyny koszykówki. Teraz, kiedy miał pójść do przedostatniej klasy, stał w zasadzie przed ostatnią szansą na zdobycie miejsca w reprezentacji, i w ogóle. Tom uważał, że to świetny pomysł, ale Reese nie był tego całkiem pewien. Nie należał do miłośników radosnego wysiłku zbiorowego, chociaż uwielbiał samą grę i czasami oddawał się marzeniom, w których, odziany w barwy reprezentacji, udawadniał wszystkim, na co go naprawdę stać, ale nie miał stuprocentowej pewności, że zniesie nudę monotony treningów i tym podobne gówna.

Tak czy inaczej, spędzał wiele czasu na ćwiczeniach z piłką przed domem. Rozkładał akwamarynowe krzesła na podjeździe i kozłował pomiędzy nimi tak długo, aż pot zaczynał zalewać mu oczy. Sam często przyłączał się do niego. Reese musiał przyznać, że pomimo swojego wzrostu i wagi, ten dzieciak był niezwykle szybki i już opanował wiele rzeczy, do których Reese musiał dochodzić latami, jak na przykład zasadę, że przy kozłowaniu nigdy, przenigdy nie wolno dotykać piłki całą dłonią. Sam potrafił kozłować tak szybko i nisko, że wąż by się nie przecisnął pod spodem, gdy jego długie, mocne palce uderzały rytmicznie o piłkę, w pełni panując nad odbiciem.

Niekiedy też wychodził do nich ojciec, ubrany w swój „służbowy” garnitur, by rzucić parę punktów - w takich chwilach Reese'owi od razu przypominało się, co babcia Rosie zwykła mawiać o dziadku Angelu: że gdy kosi trawnik w marynarce, wygląda na imigranta. Tata zawsze próbował się przyłączać do wszelkiej działalności, którą Sam i Reese uprawiali razem, co, jak szybko spostrzegł Reese, niezawodnie gasiło i usztywniało Sama.

Ponieważ jednak Sam zajmował się również baseballlem i właśnie wznowił swoje treningi, Reese większość czasu kozłował, rzucał i kozłował samotnie.

Na kilka dni przed wakacjami zaczął zabierać piłkę do opustoszałej szkolnej sali gimnastycznej, by poćwiczyć trochę na prawdziwym boisku. Przede wszystkim chciał sprawdzić, czy jego opóźniony w fazie, nie sygnalizowany rzut jest rzeczywiście tak dobry, jak mu się wydawa-

ło, gdy wykonywał go przed domem czy na placyku zabaw. Reese ostatnio nawet ćwiczył trochę ze sztangą, by wzmocnić mięśnie ramion. Ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy, ale taki rzut wymagał o wiele więcej siły niż normalny rzut z półdystansu; żeby go dobrze wykonać, trzeba było się mocno odgiąć przed napierającym obrońcą - zamiast przenosić środek ciężkości ciała do przodu jak w przypadku konwencjonalnych rzutów, przenosiło się go w tył, co prowadziło do utraty stabilności. W ten sposób dało się jednak ogrzać dużo potężniejszego przeciwnika, a Reese nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeżeli ze swoim marnym wzrostem chce cokolwiek osiągnąć w tym sporcie, musi opanować do perfekcji podobne zagrania, tak jak i rzuty wolne. W innym wypadku nie miał żadnych szans na grę w reprezentacji.

Dopóki Reese nie zaczął szlifować swojego opóźnionego w fazie rzutu, nie potrafił docenić, jak wspaniałym zawodnikiem jest Michael Jordan. A Jordan też nie należał do wysokich. To znaczy, był o dwadzieścia kilka centymetrów wyższy od Reese'a, ale jak na standardy NBA niecałe metr dziewięćdziesiąt to betka. W niektóre wieczory, kiedy Reese wracał do domu, ramiona omdlewały mu z bólu. Gdy wtedy patrzył na Sama, myślał, że ten dzieciak ma szansę na prawdziwą karierę, jeżeli będzie rozrastał się w tak zadziwiającym tempie. Czy Reese zazdrościł Samowi jego masy i wzrostu? Nie miał takiego wrażenia. Po prostu łatwiej układałoby mu się w życiu, gdyby odziedziczył trochę więcej solidnych, irlandzkich genów mamy, zamiast chuchrowatych, makaroniarskich genów taty. Przecież wystarczyło tylko spojrzeć na wujka Paula. W jego jednym bucie można było płać kota.

Zazdrość. Nerwy. Reese szybko złapał się na tym, że połowę czasu wolnego od szkoły spędza na zastanawianiu się, jakie są jego rzeczywiste uczucia wobec Sama. Lata spędzone na rozmowach z Tomem niewątpliwie nauczyły go jednego: bez względu na to, jak inteligentnym jesteś facetem, jeżeli chodzi o twoje własne emocje, będziesz ostatnim, który się w nich zorientuje. Kiedy Reese po raz pierwszy zobaczył Sama, wiedząc już, że to Ben, w biurze psychologa okręgowego ośrodka dla nieletnich, gdy Sam jeszcze mieszkał u rodziny zastępczej, niemal popłakał się ze szczęścia. Był przekonany, że gdy tylko podejdziesz do tego dzieciaka, Ben gwałtownie chwyci go za rękę i zacznie mu opowiadać o tym, jak kiedyś wiewiórka wlaźła do silnika ich samochodu, i o dniu nad jeziorem Delavan, kiedy spadł z pomostu do wody, i o ich domku podniebnym w Madison. Nawet gdyby okazało się, że Ben pamięta te chwile w hotelowym holu, Reese'a to nie obchodziło, po prostu cieszył się, że Ben żyje...

Natomiast Ben - to znaczy Sam - spojrzał wtedy wprost na Reese'a z takim wyrazem twarzy, jakiego nikt nie umiałby zagrać. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ten chłopak patrzył na Reese'a tak, jakby pierwszy raz w życiu widział go na oczy.

- To twój brat - oznajmiła mu terapeutka z ośrodka opiekuńczego. - To jest Vincent.

Dzieciak wyciągnął dłoń na powitanie.

- Cześć, Vincent - powiedział i niech szlag trafi Reese'a, jeżeli jego głos nie brzmiał identycznie jak głos Bena: niesamowity, niski, chropowaty wydawał się tak nieprawdopodobny w ustach małego dziecka. I właśnie wtedy Reese poczuł, że chciałby uciec gdzieś daleko, jak najdalej od tej całej popieprzonej, nieszczęsnej gromady ludzi, którzy się nawzajem w ogóle nie znali i nawet nie byli w stanie się już rozpoznawać. Mógłby zostać kimś takim jak Horace Greeley lub Thoreau - po prostu zrezygnować z obecnego życia i podjąć się budowy torów kolejowych czy czegoś w tym rodzaju. Ale czy ludzie w ogóle jeszcze zajmowali się budową kolei?

Jednak tak naprawdę, już w chwili, gdy mu to przyszło do głowy, Reese dobrze wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na coś podobnego. Był na to zbyt leniwy i zbyt bojaźliwy, i właśnie wtedy, gdy dobrze to zrozumiał, ten dzieciak zaczął działać mu na nerwy. Reese'a irytowały te jego „tak, proszę pani”, „nie, proszę pani”, nienaganne maniere przy stole i dziwaczna fobia na punkcie zarasków. Reese błyskawicznie zorientował się - podobnie zresztą jak Kerry, jeśli chodzi o ścisłość - że Sam ma coś z głową na tym punkcie. Wystarczyło lekko chuchnąć na jego jedzenie, a jemu już odechciało się jeść. Wkrótce więc doszło do tego, że w momencie gdy mama podawała Samowi talerz, Reese wydychał lekko powietrze mniej więcej w tym kierunku i już przez cały posiłek Sam siedział przy stole z taką miną, jakby mu było niedobrze, jakby ktoś kazał mu przeżuwać śmierdzące skarpetki. Wtedy zawsze jedzenie wzięło mu w gardle. Jednak gdy i Kerry zaczęła uprawiać podobny proceder, tata szybko położył szlaban na ich wyczyny.

W stosunku do Reese'a dzieciak był zawsze miły i uprzejmy. Miły, uprzejmy i... zamknięty w sobie. To doprowadzało Reese'a do białej gorączki. Nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby dotrzeć do Sama. Sam po prostu nie miał ochoty na rozmowy.

Pewnego razu, gdy Reese oglądał w telewizji „Heli Is for Heroes” gdzieś koło pierwszej w nocy, Sam zszedł z góry i usiadł obok niego na kanapie. Mniej więcej po półgodzinie odezwał się, zupełnie nieoczekiwanie:

- Czy właśnie stąd to wzięłeś? -Co?

- Twoje imię. - W filmie jeden z facetów nazywał się Reese.

- Nie, on nie ma nic wspólnego z moim imieniem - oznajmił Samowi i wyjaśnił mu całą historię sklepu z używaną odzieżą, a dzieciak pokręcił jakoś bez przekonania głową i powiedział mu w końcu, że przecież Vincent to też całkiem niezłe imię - ostatecznie nosił je van Gogh. Reese'a szczerze zaszokował fakt, że taki mały dzieciak wie cokolwiek o Vincencie van Goghu. Ale odparł na to jedynie:

- No, a do tego van Gogh też był niezłe stuknięty. - I zaraz jakoś pożałował swoich słów.

Sam jednak nie miał nic przeciwko takim tekstom. Ograniczył się tylko do stwierdzenia:

- Ale ty nie obciąłeś sobie ucha. Przynajmniej jak na razie.

Przyzwoity dzieciak. Zupełnie w porządku. Nigdy nie włożył człowiekowi w drogę. Reese nawet zaczął się zastanawiać, jakby to było, gdyby wychowywał się z młodszym bratem. Kerry zawsze była taka maleńka - jak daleko Reese sięgał pamięcią, musiał się zawsze nią opiekować. Co prawda Tom wyjaśnił mu, że z tego powodu będą silnie ze sobą związani, gdy dorosną. Reese jednak od razu poczuł się tak, jakby ich oboje oblepiał jakiś niewidzialny, gumowaty cement.

„Naprzód, do tyłu, wyobraź sobie wielkiego obrońcę, opóźnienie w fazie, rzut”. Reese powtarzał to tysiące razy. Czasami te same ruchy ćwiczył ponad godzinę. Doszedł do tego, że trafiał w ten sposób mniej więcej dziewięćdziesiąt razy na sto; oczywiście, naprzeciw Reese'a nie było prawdziwych obrońców, więc tę statystykę, siłą rzeczy, należało uznać za zawyżoną. Tak bardzo pochłaniały go myśli o Samie i ćwiczenie swojego rzutu, że zupełnie nie zauważył Teetera, gdy pewnego wieczoru trener podszedł do niego od tyłu, sięgnął ręką ponad jego głowę i wybił mu piłkę z dłoni.

Reese miał wrażenie, że serce wypełniło mu się helem.

- Co do...? - wrzasnął, wykonując błyskawiczny obrót.

Teeter miał posturę mastodonta; krążyły pogłoski, że jeszcze w college'u był gorylem jednego z Pistolsów, ale od tego czasu minęły już wieki i teraz wyglądał tak, jakby wsunął nie jednego Pistolsa, ale całą ich kapelę na śniadanie. Trener Teeter ważył zapewne ze sto trzydzieści kilo - na czczo i bez ubrania.

- Czyżby to sam Cappadora, postrach placu zabaw? - zagadnął tym swoim oślizłym, południowym akcentem, który Reese'owi zawsze kojarzył się z filmowymi sierżantami od musztry. - Obserwowałem cię,

Vince. Czyżbyś zamierzał podarować sobie szkołę i ubiegać się o miejsce w drużynie uniwersyteckiej?

- Nie - odparł Reese, sięgając po swoją piłkę. - Tylko się zabawiam.

- Jesteś teraz sławnym facetem, he? - stwierdził Teeter.

- Pomylił mnie pan z moim bratem - palnął Reese. Jasna cholera, czemu uparł się, by wkurzyć tego faceta? Przecież wciąż nie wykluczał możliwości ubiegania się o miejsce w drużynie na jesieni.

- Wy, Cappadorowie, wszyscy staliście się teraz sławni, no nie? Może dlatego tobie się wydaje, że wystarczy, byś pojawiał się w szkole co drugi wtorek i to tylko pod warunkiem, że akurat mamy pełnię księżyca, co, Vince?

Reese nie odezwał się słowem.

- Och, na śmierć zapomniałem - ciągnął Teeter. - Ty już nie jesteś Vince. Teraz nazywasz się Reeese. No właśnie. Reeese. Wybacz. Więc jak Reese, lubisz koszykówkę?

- Podoba mi się ta gra - odparł Reese beznamiętnym głosem.

- Słyszałem, że ogrywasz wszystkich w okolicy.

- Idzie mi nie najgorzej.

- A ze mną spróbujesz?

- Czemu nie? - zgodził się Reese.

Pograli trochę „kosz na kosz”. Pomimo wielkiej masy, Teeter wciąż był szybki, więc Reese musiał się nieźle narozpychać; poza tym trener odznaczał się słusznym wzrostem, dlatego nie miał najmniejszych problemów z blokowaniem i wsadami do kosza. Ale w żaden sposób nie umiał poradzić sobie z opóźnionym w fazie rzutem Reese'a.

W końcu, sapiąc jak parowóz, Teeter powiedział:

- Masz w zanadrzu bardzo ładny zwód.

Reese dał się przyłapać. Nie oczekiwał takiego komentarza. Uśmiechnął się i wyznał:

- Ciężko nad nim pracuję.

- Zamierzasz ubiegać się o miejsce w drużynie?

- Myślałem o tym.

- Uważasz, że dałbyś radę?

- Mógłbym spróbować - odparł Reese spokojnie.

- Czy sądzisz, że faceci z drużyny zechcą tolerować twoje zasrane zachowanie tylko dlatego, że masz jeden świetny rzut?

Reese miał wrażenie, że pulsowanie krwi rozsadzi mu twarz. Tłusty kutas. Wciągnął go bez ostrzeżenia na głęboką wodę, a potem kazał pływać. Jak mógł się dać tak podpuścić!

- Od dawna cię obserwuję, Cappadora - ciągnął Teeter. - Nie tylko

tu, na sali gimnastycznej. Nosisz w sobie gniew, wielki jak Mount Rushmore, ale nie masz dość odwagi lub samozaparcia, żeby się z nim zmierzyć.

Reese czuł, że dłonie zwijają mu się w pięści, co było niezawodnym znakiem, że nadchodzi strach, i odpowiedział:

- Nieźle radzę sobie w życiu.

- Nieźle sobie radzisz, he? - Teeter przysunął swoją głowę wieprza bardzo blisko do twarzy Reese'a. - Nieźle sobie radzisz tylko dlatego, że wszyscy wokół się nad tobą litują. Znałem twojego ojca, Vince. Dorastaliśmy razem. Milszy facet nigdy nie chodził po ziemi. Wszyscy czuliśmy się kompletnie zdołowani na myśl o tym, przez jakie zasrane piekło przyszło mu przechodzić, a do tego jeszcze co mu zostało? Mały gnojek, któremu się wydaje, że jego gówno pachnie fiołkami.

Teeter pokiwał swoim tłustym paluchem tuż przed nosem Reese'a.

- Jesteś bardzo szybki, opanowałeś technikę. Ale jeżeli zamierzasz dostać się do mojej drużyny, musisz pamiętać od samego początku, że nie jesteś nikim specjalnym. Będiesz traktowany jak reszta chłopaków, a może nawet znajdziesz się na nieco gorszej pozycji, dlatego że przez całe twoje życie wszyscy dawali ci fory...

- Ja nigdy... - zaczął Reese.

- Daj spokój, Cappadora! Uważasz się za dorosłego faceta, więc może zaczęłybyś się w końcu tak zachowywać, co? Czy jesteś dorosłym facetem? Czy może tylko marnym łobuziakiem wyżywającym się na słabszych? - Teeter chwycił piłkę, własną piłkę Reese'a, pokręcił nią w swoich wielkich, tłustych łapach, a potem rzucił i odbił nią o czoło Reese'a. I jeszcze raz. I jeszcze. Nasada nosa bolała Reese'a sukinyńsko. Z oczu popłynęły mu łzy, ale nie wystawił rąk, by zablokować atak Teetera. I Teeter znów zrobił to samo. - Dorosły facet, co, Reese? Masz już dość? I co zamierzasz teraz zrobić? Jesteś w stanie to wytrzymać? A może, Cappadora, ty w głębi duszy jesteś zwykłym mięczakiem? - Teeter odszedł krok w tył, by nadać piłce większy impet, ale w tym momencie pięść Reese'a wyskoczyła w górę, wybiła piłkę z rąk Teetera, który niemalże stracił równowagę.

Twarz potężnego mężczyzny nagle sflaczała. Zrobił krok w tył. „Pieprzone gówno - pomyślał Reese - oni wszyscy zawsze tak reagują, gdy widzą to spojrzenie. Przecież nigdy nie zrobiłem ci nic złego, tępy kutasie. Całe życie tylko się objąłem. I ten jeden, jedyne raz chciałem spróbować czegoś sensownego. I znów musiałem wpaść w szambo". Reese poczuł palącą, zajadłą potrzebę, by ruszyć naprzód i wbić Teeterowi ten jego tłusty nochał aż do mózgu, a potem uciec, uciec na za-

wsze i zaszyć się w miejscu, gdzie nie będzie musiał wciążyć wlec za sobą potężnego ciężaru, złożonego z każdej pieprzonej rzeczy, o której kiedyś pomyślał czy którą zrobił.

- Proszę posłuchać - odezwał się Reese. - Proszę posłuchać, ja tylko...

- Nieważne - odparł Teeter, odwracając się na pięcie i oddalając od Reese'a z przygarbionymi plecami. - Nikt nie potrzebuje faceta z twoim podejściem do życia.

Reese nie ruszył się z miejsca. Stał, obejmując piłkę ramionami, przyciskając ją do piersi najmocniej, jak tylko potrafił, podczas gdy Teeter, wychodząc z sali, przycisnął wyłącznik światła, pozostawiając Reese'a samotnego w ciemnościach.

Beth

Rozdział 26

Beth czuła się tak, jakby obserwowała tygrysa w zoo.

Czasami zwierzę utkwi wzrok w twoich oczach, ale w tym spojrzeniu nie ma żadnego kontaktu. Nie wiadomo, czy tygrys jest w ogóle świadomy twojego istnienia, czy postrzega cię jako indywidualny byt, czy może dla niego stapiasz się w jedno z tłem, jesteś jedynie niegodnym uwagi, stałym elementem krajobrazu. Czy tygrys rozpoznaje w istocie ludzkiej swojego, jakże odległego powinowatego, czy w ogóle widzi w człowieku twór obdarzony życiem?

Kiedy Beth obserwowała Sama kursującego pomiędzy frontowym gankiem a oknem wychodzącym na ogród, z Beowulfem nie odstupującym go ani na krok, zastanawiała się, czy Sam widzi w niej istotę w ogóle należącą do tego samego co on biologicznego gatunku. Sam zawsze znajdował się w ruchu, od momentu gdy wracał ze szkoły (dopiero po dwóch tygodniach przestał pukać przed wejściem do domu), aż do chwili, gdy idąc spać, grzecznie i bez marudzenia zamykał drzwi do swojego pokoju. Nawet kiedy siedział przy kuchennym stole i odrabiał pracę domową, wciąż machał i podrzucał nogami. Beth zastanawiała się, czy on przypadkiem nie potrzebuje... czegokolwiek - witamin, łagodnych środków uspokajających, więcej mleka. W swoim drobiazgowym, mozolnie opracowanym dossier, omawiającym charakter i zachowanie Sama, George podkreślał, że jego syn zawsze wykazywał nadmiar energii. „Przypomina małego psiaka - napisał George. - Potrafi biegać i biegać godzinami, a potem pada i zasypia tam, gdzie stoi”. Jednak obserwacje Beth zupełnie nie potwierdzały tej opinii. Sam budził się co rano z zapuchniętymi oczami; jego sen w niczym nie przypominał snu entuzjastycznego, młodego wilczka.

Kuratorka z ośrodka opiekuńczego dla nieletnich odwiedzała ich niemal co dzień. (- To prawdopodobnie pierwszy interesujący przypadek w jej życiu, który nie dotyczy pięciu dorosłych wykorzystujących seksualnie nieletniego - wyjaśniła im Candy.) Twierdziła, że niepokój Sama jest zrozumiały i naturalny. Tłumaczyła, że przechodzi on, w pewien sposób, wszystkie stadia żałoby - szok, brak zgody, gniew, alienację.

- Skąd pani wie? - zapytała Beth pewnego popołudnia.

-Ja... ja właściwie tego nie wiem - przyznała kuratorka. - Ja... po prostu przypuszczam, że dziecko w takiej sytuacji musi doświadczać podobnych emocji.

Beth przypomniła sobie nagle pytania, jakie reporterzy gazet zwykli zadawać rzeszom ekspertów, których portrety Beth, jeszcze w roli fotografa prasowego, przygotowywała do niedzielnych dodatków specjalnych.

- A co na ten temat mówią badania naukowe? - zapytała kuratorkę.

- Nic takiego nie istnieje. -Jak to?

- Myślę, że to pierwszy taki wypadek w historii - oznajmiła kobieta. - Dzieci, które uprowadzono, zostają odnalezione natychmiast albo już nigdy nie udaje się ich odzyskać. To znaczy żywych. Przykro mi, Beth.

A potem kuratorka zaczęła opowiadać historię pewnej dziewczynki, wydanej w szpitalu nie swoim rodzicom, przez niedopatrzenie zamienionej z innym dzieckiem tuż po narodzeniu. Ta sprawa była swego czasu bardzo głośna; jak to możliwe, że Beth o niej nie czytała? Beth ograniczyła się jedynie do paru grzecznościowych pomruków; nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz odważyła się przeczytać cokolwiek na temat zaginionych dzieci. Ta dziewczynka, wedle słów kuratorki, była pod wszelkimi względami doskonale rozwiniętym i przystosowanym społecznie dzieckiem. Dobrze się uczyła. Miała mnóstwo przyjaciół. Jej naturalni rodzice odkryli całą sprawę w dość dramatycznych okolicznościach. Córka, którą uważali za swoje własne dziecko, zmarła na skutek dziedzicznej choroby serca. Wszystkie testy krwi, wykonane w czasie jej choroby, wykluczyły, ponad wszelką wątpliwość, ich rodzicielstwo. Wówczas przebadano szczegółowo dokumenty kliniki porodowej i cała sprawa wyszła na jaw.

- Czy po tym wszystkim ta dziewczynka widywała się jeszcze z człowiekiem, którego wcześniej znała jako swego ojca? Z tym, przy którym dorastała? - dopytywała się Beth. - To znaczy, czy wciąż utrzymują ze sobą kontakt?

- Ummm... tak - stwierdziła kuratorka. - Formalnie nadal z nim mieszka. Nie chciała wracać do swoich naturalnych rodziców i sędzia przychylił się do jej życzenia. Ale potem...

-Tak?

- Zmieniła zdanie. -Och.

- I wróciła do swojej prawdziwej... ummm... biologicznej rodziny.

- Och.

- Ale wtedy już była nastolatką i okoliczności... - głos kuratorki zamarł w pół zdania.

Okoliczności, w jakich znalazła się ich rodzina, różniły się zasadniczo. Beth niekiedy miała wrażenie, że stanowią przypadkową grupę nieznanym, obcych sobie ludzi, którzy muszą razem grać na scenie, mimo że nie dano im szansy na odbycie choćby jednej, jedynej próby.

Pomimo zdecydowanego oporu Beth, już w pierwszą niedzielę po powrocie Sama rodzina zaczęła przybywać do ich domu - jeszcze zanim zdążyli na dobre otworzyć oczy. Angelo. Jakżeby mogła zamknąć drzwi Ange-lowi przed nosem? Angelo zachował się najlepiej, jak mógł. Nie rzucił się na Sama i nie zgniótł go w uścisku, mimo że, Beth była tego pewna, o niczym innym nie marzy! w głębi swojego osłabionego, napędzanego sztucznym mechanizmem serca. Usiadł na kanapie z twarzą zalaną Izami i zaczął opowiadać Samowi o freskach we „Włoskim Weselu”.

- Wszystkie postaci patrzą w dół na *matrimonio*, wesele. A każda z nich pochodzi z jakiejś opery, Ben.

- Sam, Ange - Beth napomniała go łagodnym głosem.

- Sam. Oczywiście. Sam to dobre, mocne imię. Ja już jestem starym człowiekiem, Sam, czasami myślę mi się pewne rzeczy - stwierdził Angelo. - Ale posłuchaj. W jednej ze scen z „La Bohemę” twarz Rudolfa... artysta namalował jego twarz ze zdjęcia twojego papy, a mojego syna, Patricka. A czy słyszałeś kiedyś o Menottim? „Amahl i nocni goście”?

Ku wielkiemu zdziwieniu Beth Sam pokiwał twierdząco głową.

- Kiedyś widziałem to w szkole. Na dużym ekranie - oznajmił.

- A pamiętasz małego chłopca? Tego, który chodził o kulach? -Tak?

- To ty, Ben... Sam. To ty. Ten mały chłopiec ma twoją twarz.

- Super - powiedział Sam. - Czy mogę to obejrzeć? - Angelo podniósł wzrok na Beth. Jego oczy przepełniały łzy.

- Za jakiś czas - odparła Beth. - Pozwólmy mu najpierw trochę się zadomowić, Ange. - Beth wiedziała, co robi, gdy nalegała, by w ośrodku nie odwiedzał Sama nikt poza nią, Patem i dziećmi. Teraz, w ten pierwszy pełny dzień pobytu w ich domu, Sam już zaczynał się gubić, pryskała jego krucha otoczka obronna. Beth miała ochotę wstać i gestem ręki wyprosić wszystkich z domu. Ale odniosłoby to mniej więcej taki sam skutek jak zawracanie biegu rzeki gołymi rękami.

- A kim jest Reese? - zapytał nagle Sam.

- Reese - zaczął Angelo. - Aaa... Reese... oczywiście. Jest Pinkertonem z „Madamy Butterfly”. Złym człowiekiem, niestety. Prosiłem, żeby zdecydował się na kogoś innego, ale on wtedy wybrał Don Giovanniego, jeszcze gorszego łotra! Tak więc zostaliśmy przy Pinkertonie.

- Tam musi być mnóstwo ścian - zawyrokował Sam.

- Mnóstwo ścian? - gromkim śmiechem wybuchnął Angelo. - Musisz wszystko obejrzeć. To bardzo przestronne miejsce, Sam! - W tym momencie weszła Tree i Angelo odwrócił głowę w jej stronę. - A twoja ciocia... ona jest twoją mamą z „Amahl”. Na ścianie jest twoją mamą.

- Ben - wykrztusiła Tree, klękając i wyciągając ramiona. Nie spuszczając ani na moment wzroku z Beth, Sam podszedł niepewnie do Tree i pozwolił się uściskać, a ona wybuchnęła płaczem. - Och, Ben. O mój Boże.

„Biedny dzieciak” - pomyślała Beth; miała ochotę przywiesić mu na szyi tabliczkę z napisem: MAM NA IMIĘ SAM.

I tak się już to wszystko potoczyło, ta sama scena rozgrywała się wciąż i w kółko przez cały weekend i kolejne dni następnego tygodnia. Na widok Sama wszyscy - jej ojciec, Paul, Bick - zaczęli odczuwać potrzebę pokuty, popadali w pełne czci uwielbienie, jakby chłopiec był cudownym, boskim objawieniem w grocie, a nie dwunastolatkiem z paskudnie odrapanymi kolanami.

Bill - po wyściskaniu Sama, obejrzeniu go z odległości wyciągniętego ramienia i ponownym wyściskaniu - podziękował Samowi, że wrócił na łono rodziny dostatecznie szybko, by dziadek zdążył go jeszcze zobaczyć przed śmiercią.

- Bardzo proszę - odparł na to grzecznie Sam i zapytał: - A czy coś ci dolega?

- Nie, nie - zapewniał go radośnie Bill. - Nie, nic mi nie dolega. Nie martw się. Po prostu jestem taki szczęśliwy, synku.

- A ja jestem twoim wujkiem - oznajmił mu Bick ochoczo. - To po mnie dostałeś swoje imię. Nazywają mnie Bick, ale tak naprawdę no-

sze imię Benjamin. -1 zanim jeszcze Sam zdążył otworzyć usta, Bick zarzucił go pytaniami: - Czy mnie pamiętasz? Czy przypominasz sobie, jak wyłowilem cię z jeziora Delavan, gdy spadłeś z pomostu...?

W jakiś czas potem Beth doszła do wniosku, że jedynym pozytywnym aspektem tego całego zamieszania był fakt, że Sam, kompletnie oszołomiony i wyczerpany, desperacko usiłujący reagować właściwie na pytania, na które nie mógł znać odpowiedzi, starał się nie odstępować boku Beth, a gdy Beth musiała zajmować się gośćmi, włączył się krok w krok za Reese'em. Ich salon wkrótce zapełniły roje sąsiadów, członków rodziny, policjantów. Czasami, w zamieszaniu, udało się nawet wdrzeć jakiemuś reporterowi z promiennym uśmiechem na ustach, uśmiechem, który nie gasł nawet wówczas gdy, wbrew jego zapewnieniom, że wizyta nie ma roboczego charakteru, bezceremonialnie usuwano go z domu. Beth stała przy oknie i obserwowała Sama i Reese'a. Chłopcy poszli do garażu po rękawice baseballowe, zamknęli bramę i bez słowa zaczęli ćwiczyć rzuty i chwyt.

Mniej więcej po serii trzech wymian piłek w domu pojawiali się kolejni pielgrzymi. A z nimi nowe błogosławieństwa, następne obwieszczenia łaski i cudu. Rachele. Ciotka Angela. Córka Podwójnego Char-leya z córką i synem. Rodzina Bonaventura. Rooneyowie i Reillyowie. Komendant Bastokovitch z posterunku w Parkside, od kilku dni na emeryturze. Najlepszy przyjaciel Paula, Hank.

Barbara Kelliher i jej dwie córki.

Na widok Barbary Beth wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Barbara - z włosami w kolorze kasztana o podejrzanej intensywności, wciąż obnosząca wyzywającą fryzurę „wodzirejki”, okalającą jej nadmiernie wyróżnione policzki, jak zawsze poprzedzana zapachem Chanel No5 - która w szkole prawie nie знаła Beth - zdecydowała, gdy zaginął Ben, odłożyć na bok swoje własne sprawy i ruszyć rycersko w obronę życia Beth, kierując się czymś, co Beth tłumaczyła sobie jako ten sam hart woli i ducha, który kazał Barbarze uśmiechać się radośnie i wyrzucać dłonie w górę, gdy wykonywała podskoki i szpagaty. Beth objęła Barbarę w pasie i przywarła do niej jak najmocniej. Nie mogła się oderwać. Po krótkiej chwili oporu, wywołanego zaskoczeniem, Barbara odwzajemniła uścisk i zaczęła lekko kołysać się wraz z Beth -niczym matka tuląca niemowlę.

Szloch Beth przeszedł w łagodną czkawkę i wtedy Barbara poprosiła, by pokazać jej Bena. Ale kiedy Beth podeszła do okna, aby go zawołać, Barbara powiedziała:

- Nie. Zostaw go. Chcę tylko przez chwilę na niego popatrzeć. -

Ben podskoczy! i w półobrocie złapał wysoko rzuconą piłkę. Barbara odwróciła się do Beth: - Jest bardzo do ciebie podobny - oznajmiła.

Tego wieczoru, już koło ósmej, Sam padł na ogrodowy leżak i zasnął, trzymając w dłoni kawałek gumowatej, zimnej pizzy. Beth musiała pomóc mu położyć się spać, a nazajutrz, o dziewiątej, Sam był nadal pogrążony w głębokim śnie. Beth dałaby wiele, by nie ściągać go jeszcze z łóżka, ale Rosie i Angelo zamówili i opłacili specjalną mszę w kaplicy Immaculaty, więc Pat uparł się, że wszyscy muszą się tam zjawić, z pokorą w sercu, i teraz wyklócał się z Vincentem o stan jego półbutów, jeszcze zanim Beth zdążyła wypić swoją pierwszą poranną filiżankę kawy.

Już na wiele przecznic przed kaplicą Beth wyczuła specjalną, na-elektryzowaną atmosferę ulicy. Szczególny bezruch, spowodowany niezwykle dużą liczbą samochodów, ustawionych zderzak w zderzak, blokujących nawet niektóre boczne dojazdy, jak w poranek wielkanocny bądź dzień Czwartego Lipca, kiedy ulice pulsują jakimś podskórnym, niezwykle poruszeniem maskowanym przez brak codziennego harmi-deru ulicznego. Kiedy skręcili z Suffolk Avenue i wjechali na bulwar, nawet Vincent oniemiał ze zdumienia. Ulica przed kaplicą była zablokowana z obu stron, nafaszerowana wozami transmisyjnymi z antenami satelitarnymi i mrowiem radiowozów policyjnych - reprezentujących okoliczne okręgi, miasto Chicago oraz siły stanowe - z błyskającymi światłami na dachu, wirującymi smugami błękitu i czerwieni, tworzącymi coś w rodzaju zorzy czy sztucznie wykreowanego wschodu słońca. Po obu stronach policyjnej taśmy kłębił się tłum: całe rodziny stały i wyciągały szyje ponad głowami reporterów, ludzie przewracali blokujące ulicę kozły.

- Tutaj musi być co najmniej z tysiąc ludzi - wyszeptał z niemal dziecinnym, trwożnym podziwem w głosie.

Okazało się, że w żaden sposób nie uda im się zaparkować w pobliżu wejścia, musieli się więc jeszcze przebijać przez zalegające ulicę rzesze ludzi, gdy dzwon, wybijając jedenastą, obwieszczał początek mszy. Nikt ich nie rozpoznał aż do chwili, gdy stanęli na progu kaplicy. Beth poczuła nagłe współczucie dla mediów, rozumiała, jakie muszą przeżywać rozczarowanie; uniesieni atmosferą tego wydarzenia, zapewne spodziewali się ujrzeć drobnego, rudowłosego chłopczyka wiedzionego za ręce przez młodych, promieniejących szczęściem rodziców, a tymczasem zobaczyli zaspanego nastolatka w baseballówce założonej zawiadacko tył na przód, w towarzystwie dwóch niskich, ciemnowłosych, niemal identycznie wyglądających mężczyzn (jedne-

go młodego, drugiego w średnim wieku, z których żaden nie wykazywał chęci do uśmiechu), nie rzucającej się w oczy siwiejącej brunetki, niezbyt korzystnie ubranej, i małej rudoblonde dziewczynki w minispódnicy. Tym, co naprawdę wprawilo w zdumienie Beth, był fakt, że kościół wypełniały same znajome twarze, jakby nikt z gapiów oblegających Immaculatę w ogóle nie przedostał się do środka. Każda obecna osoba wiązała się z jej przeszłością lub z przeszłością Pata. Jakich zabiegów dokonano, by zachować taką jedność wspólnoty zgromadzonej w kaplicy? Przecież nawet na dużym rodzinnym weselu często można dostrzec wiele nieznanymi twarzami. Kto miał decydujący głos w tej sprawie? Kto mógł znać tych wszystkich związanych z nimi ludzi, by wiedzieć, kogo należy wpuścić do środka? Beth dowiedziała się w jakiś czas potem, że, w rzeczywistości, nikt nie dokonywał selekcji przy drzwiach; w jakiś sposób ci, co powinni się tam znaleźć, wiedzieli o tym i weszli, inni, z wyjątkiem paru reporterów, zrozumieli, że powinni pozostać w roli biernych obserwatorów i nawet nie próbowali dostać się do kaplicy.

Wędrując nawą do pierwszego rzędu ławek, gdzie stali już Rosie, Angelo, Bick i Bill, a za nimi Paul i Sheilah, wszyscy w wykwintnych wieczorowych strojach, mijali dziesiątki wyciągających się ku nim rąk i zalanych łzami twarzy. Przyjaciele ze szkoły i sąsiedzi; oczywiście Candy i okazała grupa policjantów, których Beth po raz pierwszy widziała teraz w cywilu; cały kontyngent przyjaciół z Madison: Laurie z mężem i dziećmi, Rob i Annie Maltese, ale także wielu innych, łącznie z niewidomym starszym panem, który mieszkał na rogu, a który podarował kiedyś Benowi i Vincentowi zabawki, gdy Beth przechadzała się z nimi po okolicy jakieś sto lat temu, oraz Linda, kelnerka z restauracji Cappadorów.

Mszę rozpoczął hymn „Amazing Grace”. Ksiądz Cleary, znający Pata i Beth od pierwszych dni ich życia, od razu nawiązał do słów pieśni.

- Drodzy bracia i siostry. Zebraliśmy się tu dzisiaj w czasie, który Kościół określa mianem „zwykłego”. To znaczy, że nie przygotowujemy się obecnie na nadejście żadnego z naszych wielkich świąt liturgicznych. Niemniej wyraźnie widzę oznaki, a za jedną z nich poczytuję fakt, że wszystkie miejsca są tu dziś wypełnione - śmiech zażenowania - że jest to jednak dzień szczególny. I rzeczywiście, ta msza ma nie tylko stanowić wzmocnienie naszej wiary, co przecież czynimy każdej niedzieli, choć zapewne niektórzy z was już o tym nie pamiętają - znowu śmiech - ale, przede wszystkim, ma uczcić siłę ufności w moc Bożą i łaskę Pańską, która wykracza daleko poza naszą ułomną zdolność rozu-

mienia i oceny życia. Dziś świętujemy, tak jak już uczyniliśmy to słowami pieśni, miłosierdzie Boże, objawione powrotem na łono rodziny dziecka, niegdyś utraconego, a teraz cudem odzyskanego. - Ksiądz Cleary odkaszlnął, raz, nerwowo, ale Beth wybaczyła mu tę jego oczywistą świadomość skierowanych na niego kamer; zastanawiała się, czy na plebanii ksiądz zaprogramował swoje wideo na nagrywanie południowych wiadomości.

- Świętujemy - ciągnął dalej ksiądz Cleary - obecność wśród nas wszystkich żyjących członków rodziny Cappadora i rodziny Kerrych, rodzin zakorzenionych w naszym Kościele, ściśle związanych z tą szkołą i społecznością. Ich tragedia przed dziewięciu laty napełniła smutkiem wiele serc na całym świecie, ale szczególną żalobą okryła tych z nas, którzy znaliśmy Rose, Angela, Billa i Evie oraz ich dzieci - Pata i Beth - chrzczone przeze mnie niegdyś w piękne niedzielne dni. Jak wam wszystkim wiadomo, ich syn, Ben, został im zabrany dziewięć lat temu, gdy był zaledwie trzylatkiem i wrócony nie dalej jak przed paroma tygodniami - cały i zdrowy, za sprawą, którą mogę określić jedynie mianem współczesnego cudu.

Nie poproszę rodziny Cappadorów, by teraz powstali. Nie tylko dlatego, że wszyscy dobrze ich znacie, ale przede wszystkim dlatego, że doświadczyli już zbyt wiele publicznej ingerencji w czasie, gdy przeżywali swoją osobistą golgotę. Ale proszę was wszystkich, byście połączyli się dziś z nimi w ich geście dziękczynienia i wierze, która dawała im moc, pozostała niezłomna w ich sercach, w chwilach gdy wielu innych, słabszych duchem, już dawno popadłoby w zwątpienie. Radujcie się wraz z nimi powrotem Bena... - ksiądz urwał, opuścił wzrok, a po chwili spojrzał wprost w oczy Beth - ...powrotem Sama Karrasa Cappadora - Beth poczuła, jak siedzący obok niej Sam prostuje nagle ramiona - na łono swojej rodziny i naszej wspólnoty w wierze.

Chociaż nie każda uroczystość Eucharystii celebrowana w naszym kościele jest transmitowana przez światowe stacje telewizyjne - kolejny wybuch wesołości - wyraziliśmy tym razem zgodę na obecność niektórych mediów w naszym sanktuarium, by ci, którym nie dane jest dziś uczestniczyć bezpośrednio w naszej modlitwie, w święcie umacniającym wiarę i ducha naszej społeczności, mogli także dzielić z nami tę radość. Poproszono mnie również, bym przypomniał wszystkim, że Angelo oraz Patrick Cappadora, wraz z rodzinami, zapraszają tu zgromadzonych na lunch w restauracji „Włoskie Wesele”, przy Diversey Street 628 w Chicago, rozpoczynający się wkrótce po zakończeniu naszej uroczystej mszy, w nadziei, że każdy z was, moi najmilsi, zechce

się tam zjawić. Mapy z zaznaczonym dojazdem do restauracji zostały wyłożone w baptysterium. A teraz pozwólcie, że rozpocznę już nasze święto, które przyszło nam celebrować w zwykłym czasie kościelnym, słowami: Pan z wami.

- I z duchem twoim - odparli zgromadzeni równym chórem głosów.

- W górę serca - zaintonował ksiądz Cleary głosem wciąż silnym mimo zaawansowanego wieku.

Beth nie wiedziała, co sprawiło, że nagle musiała się odwrócić - czy był to nieznacznym szmer dobiegający gdzieś z tyłu kaplicy? A może czuła się nieswojo w pierwszych chwilach odprawianej liturgii, którą, po tak długim okresie oddalenia od Kościoła, z trudem udawało jej się śledzić?

W każdym razie obejrzała się i wtedy z tyłu, po lewej stronie nawy, ujrzała George'a Karrasa, drobnego i niepozornego w granatowym garniturze. Mimo że dzieliło ich bez mała dziesięć metrów, Beth wyczuwała dręczące go skrepowanie, usilne staranie, by nie poprawiać krawata czy nie skubać mankietów od koszuli. Nie zastanawiała się długo. Może gdyby tak zrobiła, przyszłoby jej na myśl wiele powodów, dla których nie powinna by się ruszyć z miejsca - komentarze prasy, gniew niektórych członków rodziny Cappadorów czy nawet jej własne, ściskające trzewia uczucie konsternacji i litości.

Beth wstała, podczas gdy wszystkie oczy zwróciły się pytająco w jej stronę, spokojnie przeszła na drugi koniec kaplicy i wyciągnęła dłoń w stronę George'a, a on pochwycił ją w geście pokory i ulgi. Beth poprowadziła go do pierwszej ławki i dopiero gdy znalazła się na wysokości rodziny, odważyła się podnieść wzrok. I wtedy ujrzała twarz Sama, jego oczy wpatrzone w nią i George'a, a w nich taki wyraz, jakiego nie widziała u niego jeszcze nigdy w życiu.

Później zdała sobie sprawę, że był to wyraz radości.

Reese

Rozdział 27

Reese robił wszystko, co mógł, by wykręcić się od wielkiej fety po kościele, powołując się nawet na absolutną konieczność spędzenia kilku godzin w samotności, odprężenia się i poćwiczenia rzutów wolnych.

Jak dotąd, tata nie miał pojęcia o zajściu z Teeterem, tym tłustym sukinsynem; a więc wciąż jeszcze żył w przekonaniu, że Reese rozważa możliwość ubiegania się o miejsce w drużynie koszykówki na jesieni. A Reese nie zamierzał wyprowadzać go z błędu tak długo, jak tylko się da. Bez względu na to, w jakim pieprzonym miejscu zdarzyło mu się teraz urzędować, tata z góry zakładał, że Reese siedzi w centrum rekreacyjnym i doskonali technikę gry w koszykówkę.

- Pracujesz nad rzutami wolnymi? - pytał go do znudzenia, pewnie głównie po to, by dać mu do zrozumienia, że choć nikt w całej Ameryce Północnej nie wie o tym, że w rodzinie Cappadorów jest jeszcze jakiegokolwiek dziecko poza Samem, to przynajmniej on, jego ojciec, pamięta o istnieniu Reese'a.

- Jasne, tato - odpowiadał wówczas. - Ćwiczę co dzień.

- Bo wiesz przecież, że drużyna, która umie wykorzystać rzuty wolne, zawsze wygrywa mecz - odpowiadał mu tata. - I na linii rzutów wolnych wzrost nie ma najmniejszego znaczenia.

- Jasne, tato - zgadzał się Reese i wtedy tata zawsze wyglądał na uszczęśliwionego. Przeświadczenie rodziców, że Reese robi coś „konstruktywnego”, jak to określał tata, od razu zapewniało Reese'owi święty spokój. Co mu, oczywiście, bardzo odpowiadało.

Jednak tym razem powinien być mądrzejszy i nie próbować zagrywać tak ograną kartą; właściwie zachował się jak idiota, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że od naboru do drużyny dzieliło ich jeszcze co najmniej

trzy miesiące. Tak więc nie było już sposobu, by Reese'owi udało się wyłgać od odegrania swojej roli w tej cholernej scenie adoracji dzieciątka. Gdy jeszcze raz próbował poruszyć ten temat, tata posłał mu jedno, jedyne spojrzenie, i to wcale nie takie w stylu: „Proszę cię, Vin-cenzo”, ale wyrażające wyraźnie: „Tylko nie próbuj dziś czegokolwiek spieprzyć”, i Reese od razu wiedział, że dalsza dyskusja nie ma najmniejszego sensu. W niektórych sprawach tata był uparty jak osioł i nie ulegało żadnej wątpliwości, że jedną z nich jest wielki pokaz na użytek mas pod tytułem: „Patrzcie, jacy jesteście szczęśliwi”.

Prawdę powiedziawszy, Reese cholernie współczuł Samowi, który od rana wyglądał tak, jakby włożył majtki o sześć rozmiarów za małe, a po mszy jeszcze mu się pogorszyło, gdy ten nieszczęsny mały facet - George - pocałował go w czoło na do widzenia, bo, jak oznajmił, nie zamierzał „naprzykrzać się rodzinie” w czasie przyjęcia. Pieprzone gównu. Czy on doprawdy nie zdawał sobie sprawy, że ten dzieciak już się czuje podle dlatego, że musiał opuścić własnego ojca? George przecież jest dorosły, więc mógł się chyba zmusić, by przyjść do restauracji i zjeść kanapkę z kielbasą, jeżeli to mogłoby uszczęśliwić Sama.

Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że wujek Joey i jeszcze paru innych jego włoskich koleżków stanęło w kręgu przed kościołem, uprawiając te swoje wygibasy ramionami, a taka gestykulacja mogła świadczyć tylko o jednym - że roztrzasała bezczelność tego faceta, który odważył się zjawić na mszy - w obecności wszystkich Cappadorów! Ostatecznie George był mężem tej suki! Więc, być może, George był w stanie przewidzieć, co może się wydarzyć, gdy Joey wleje w siebie kilka piw. Ogólnie rzecz biorąc, wujek Joey to całkiem porządny facet, tylko czasami w gorącej wodzie kąpany - jak zresztą jakieś sześćdziesiąt pięć procent dorosłych mężczyzn, których znał Reese.

Gdy już wpakowali się do samochodu, wymykając się wrzeszczącym reporterom, Reese'a naszła refleksja, że, jeżeli miałby być całkiem szczery, niektóre aspekty tej sprawy musiał uznać za całkiem przyjemne. Heca z mediami była ultranudna, chociaż niektórzy faceci, a wśród nich nawet Jordie, mieli jeszcze te głupie, szczeniackie wyobrażenia, że oglądanie swojej podobizny w gazecie daje ci poczucie ważności własnej osoby czy coś w tym rodzaju. Niewątpliwie dobrą stroną był fakt, że Heather Bergman i jeszcze jakichś pięć innych, równie wiotkich i giętkich dziewczyn wyraźnie postanowiło przygarnąć go pod swoje skrzydła. Wszystkie były niezłe, ale jedynie obcięte równiutko jasne włosy Heather i sposób, w jaki poruszała ustami, gdy obracała głowę, sprawiały, że Reese w piętnaście sekund zamieniał się w jedną, gigan-

tyczną erekcję. Zanim to wszystko się rozpętało, Heather mówiła o nim: „Cappadora, ten mały pokurcz”. A teraz słyszał od niej: „Nie wiedziałam, że jesteś taki wrażliwy”, „Nie wiedziałam, że musiałeś tak wiele doświadczyć...” Gdzie ona mieszkała przez te wszystkie lata? W jakimś cholernym Zairze? W zeszłym tygodniu, gdy wracali z biblioteki po dwóch, przepelnionych udręką godzinach poświęconych próbie zapamiętania dat z wojny secesyjnej, w oparach aromatu, który zdawał się wypływać z wgłębienia poniżej dekoltu Heather, Reese zdołał (a ona nie protestowała) przycisnąć ją do ściany nowego, jeszcze nie ukończonego skrzydła biblioteki. W trakcie dwudziestu minut miłosnych uścisków nie udało mu się obmacać jej tak dokładnie, jakby sobie tego życzył, niemniej jego ręce zdołały kilkakrotnie dotknąć jej tam, gdzie należy, podczas gdy ona była przekonana, że Reese jedynie dotyka jej twarzy dłońmi.

To znaczy, Reese przypuszczał, że ona właśnie tak myślała. Ale może dziewczyny w gruncie rzeczy doskonale zdają sobie sprawę z tego, co naprawdę robią faceci? I tylko udają, że nie mają o tym zielonego pojęcia? W każdym razie po tych dwudziestu minutach Heather wciąż odnosiła się do niego w stylu: „Jesteś taki uroczy, Reese” - i nie robiła wrażenia kogoś, kto ma ochotę trzasnąć cię w twarz, co bardzo odpowiadało Reese'owi i co też zamierzał wykorzystywać najdłużej, jak się tylko da.

Ale te wszystkie inne szopki! Co za pieprzone gówno. Kiedy dojechali na miejsce, parking przed „Włoskim Weselem” przypominał największy zlot używanych eldorado.

Jakoś zdołali się przebić przez kolejną zgraję dziennikarzy i weszli do środka. Magia zawsze działała; ilekroć Reese wkraczał w progi restauracji, czuł się urzeczony idiotyczną wybujałością jej wnętrza. Tego dnia dodatkowej frajdy dostarczyło mu obserwowanie Sama, który znalazł się tu po raz pierwszy w życiu i teraz rozglądał się wokół z niedowierzaniem, chłonąc wzrokiem różane witraże i rzeźbione postaci kobiece (nawet Reese uważał je za wspaniałe, choć idiotycznie bezsensowne) -Julię, świętą Łucję oraz pewną piękność, którą Reese na swój użytek ochrzcił mianem Toskańskiej Bogini Aktu Seksualnego. Reese nie miał pojęcia, czemu pod sklepieniem „Włoskiego Wesela” znalazły się te kobiety stojące na niby-balkonach, sprawiające, że restauracja przypominała „Świat Piratów” w Disneylandzie; niemniej wszyscy goście popadali na ich widok w zachwyt bądź wesołość, a niekiedy jedno i drugie naraz. Sam wędrował wśród stolików zasianych śnieżnymi, lnianymi obrusami i pożerał oczami freski na ścianach, zatrzymując się

najdłużej przed postaciami z opery Gian Carlo Menottiego - czy to możliwe, by w rysach małego, kalekiego chłopca był w stanie rzeczywiście rozpoznać własną twarz? A potem Reese wziął Sama za rękę i zaprowadził do baru, gdzie model Fontanny di Trevi tryskał szampanem, wypływającym z dzbana dzierżonego przez potężnego boga mórz. Scotti - barman - nalał im po lampce pienistego wina i obaj pociągnęli po łyku. Tak naprawdę była to zupełna taniocha - Angelo zawsze powtarzał, że nie zamierza pompować Moet et Chandon plastikowymi rurkami ceramicznego modelu. Sam jednak zdawał się szczerze zachwycony.

Wkrótce potem dołączyła do nich mama i też chyłkiem opróżniła kieliszek, a później wszyscy utknęli w okolicach szatni i witali jakieś dziesięć tysięcy gości wpływających falami do lokalu, który przygotowano tak jak na wielkie imprezy odbywające się w sobotnie wieczory, gdy większość gości przyprowadzała do „Włoskiego Wesela” znajomych i krewnych rozmaitej maści, którzy akurat zjawili się w Chicago. Nawet przy takich okazjach zazwyczaj była tylko jedna „para młoda”, ale na dzisiejszy wieczór zaangażowano aż dwie. Jedna panna młoda wyglądała ładnie i słodko, dokładnie tak, jak będzie wyglądać kuzynka Reese'a, Moira, gdy dorośnie. Druga - prawdziwie gorąca sztuka - zdawała się żywcem wyjęta ze zdjęć reklamujących skąpe kostiumy kąpielowe w specjalnym wydaniu „Sports Illustrated”. Reese natychmiast zapamiętał, że ma na imię Claudia. W roli panien młodych występowały jeszcze dwie inne dziewczyny, ale te zawsze myliły się Reese'owi. Poza tym Reese nie miał najmniejszych wątpliwości, że z trzech facetów zatrudnianych w roli panów młodych, co najmniej dwóch to zdeklarowani geje - któryś z nich był nawet zawodowym tancerzem - niemniej wszyscy wyglądali zabójczo przystojnie i wyróżniali się imponującym wzrostem. Jednego z występujących tego wieczoru dziadek Angelo nazywał „nazistą” za jego plecami, bo ten facet wyglądał jak statysta z „Dźwięków muzyki”.

Zanim mama zdołała pozbierać się na tyle, by wkroczyć do sali bankietowej, wszyscy zdążyli już zasiąść za stołami i zająć się jedzeniem.

- Vincent - zarządziła - podejdź tu, proszę. Chcę, żebyśmy weszli wszyscy razem. „Wielka szopa, mamusiu” - pomyślał Reese. Pieprzone gówno. No trudno. Reese rozejrzał się w poszukiwaniu Sama. Okazało się, że wraz z Kerry szaleją wokół wieszaków w szatni. Wzrost tego dzieciaka mógł zwieść każdego - a przecież tak naprawdę był jeszcze nieopierzonym dwunastolatkiem. I Reese poczuł wobec niego kolejny, ściskający serce przyływ litości.

Gdy z baru wkroczyli do sali bankietowej, szef orkiestry natychmiast ich zauważył i zaczął grać tę starą piosenkę „Będę cię kochać do końca życia”, która z samego założenia miała sprawić, że goście oderwą się od kielbasek i wpadną w zbiorową histerię; po kilku taktach nawet ksiądz Cleary nie uchronił się od uronienia kilku łez.

No i oczywiście wszyscy od razu wstali z miejsc i zaczęli bić im brawo z takim zapalem i samozaparciem, jakby już nigdy w życiu nie zamierzali skończyć.

Sam robił, co mógł, by wetknąć głowę gdzieś pod ramię mamy; Reese ze swej strony starał się nienachalnie zasłonić Sama przed wzrokiem zgromadzonych gości. Mimo to brawa i entuzjastyczne okrzyki ciągnęły się jeszcze przez jakieś sześć godzin, a orkiestra w tym czasie wygrywała różne sentymentalne wyciskacze łez w rodzaju piosenki „Danny Boy”, wywołując coraz więcej szlochów. Reese miał wrażenie, że się zaraz porzyga. Niewiele brakowało, a i on uderzyłby w płacz.

Na szczęście w końcu Billy, kierownik orkiestry, zdołał wszystkich uciszyć i powiedział jedynie: - Witaj w domu. - Dzięki Bogu nie dodał imienia. Nikt dokładnie nie wiedział, jak się zwracać do Sama. W każdym razie po tych słowach Sam zrobił coś, co wyglądało na machanie ręką, wszyscy jeszcze trochę poklaskali i wreszcie zasiedli do jedzenia. Reese poczuł wielką ulgę, bo choć normalnie nigdy nie jadał dużo, tym razem miał wrażenie, że za chwilę umrze z głodu. Sam zaś zaczął zajadać tak łapczywie, jakby od następnego dnia miano objąć *ravioli* prohibicją.

Gdy na stoły wjechało *tiramisu* i *cannoli*, odsłonięto taneczny parkiet. „Chryste - pomyślał Reese - nie obędzie się bez wielkiej pompy”. Pierwsza panna młoda, ta, która przypominała kuzynkę Reese'a, uniosła lekko suknię i ustawiła się do tańca ze swoim pedziowatym partnerem. W każdą sobotnią noc zaczynali zabawę od przyćmienia świateł i tańca młodej pary do dźwięków „Sunrise, Sunset”. Gdzieś w połowie ich występu na scenę wkraczał dziadek Angelo i pan młody przekazywał mu z szacunkiem tancerkę niby jako jej ojcu. Czasami nawet tata Reese'a występował w tej roli, mimo że nigdy nie był dobrym tancerzem. Teraz też odstawili ten numer, a potem światła znów zapłonęły jaskrawię i obie panny młode uniosły suknie. Ta słodka dziewczyna podniosła ją tylko trochę, natomiast Claudia zadarła ją tak wysoko, że wszyscy mogli wyraźnie obejrzeć podwiązkę na jej udzie. Reese nie miał najmniejszych wątpliwości, co za chwilę nastąpi - zaczną grać tarantelę i natychmiast polowa tłumu przyłączy się do zabawy.

Reese'owi zawsze robiło się słabo, kiedy ktoś inny niż Włosi tańczył tarantelę. To tak, jakby oczekiwać od kogoś nie będącego z pochodzenia Słowianinem, by dobrze zatańczył polkę. Ludziom wydawało się, że wystarczy stanąć w miejscu i wyrzucać nogi w powietrze, jedną za drugą, w rytmie: bumba bumba bumba bum, a tymczasem ten taniec miał określone kroki. Reese znał je oczywiście od wczesnego dzieciństwa, jednak szybciej dałby się spalić na stosie, niż zgodził publicznie je zademonstrować. Tymczasem, ku wielkiemu zdumieniu Reese'a, jego ojciec stanął teraz na parkiecie, kładąc ręce wysoko na biodrach wnętrzem dłoni na zewnątrz - dokładnie tak, jak należy - a nie tak jak to robi większość ludzi, którzy po prostu biorą się pod boki, jak babcia Rosie, kiedy jest naprawdę wściekła. Reese przypomniał sobie nagle, że gdy tylko powstało „Włoskie Wesele”, dziadek Angelo zdegradował jedną przepiękną dziewczynę z roli panny młodej do roli kelnerki tylko dlatego, że, jak to określił, nie potrafiła tańczyć taranteli „jak prawdziwa madonna”.

Dzisiaj jednak panna młoda przypominająca kuzynkę Moirę była w szczytowej formie: jej satynowe pantofelki śmigły jak dwie frygi, a gdy już wszyscy zdawali się tracić oddech, orkiestra jeszcze zwiększyła tempo i wtedy tata pomachał do Sama, zapraszając, by się przyłączył do zabawy. Reese pomyślał, że na miejscu tego dzieciaka spaliłby się z zażenowania i wstydu. Jednak Sam, jak zwykle grzeczny i uprzejmy, wstał, podszedł do taty i zaczął coś do niego mówić. Tata dał sygnał Billowi i orkiestra natychmiast przestała grać.

- Mój syn nie potrafi tańczyć taranteli, ale umie zatańczyć miserlu. - Tata urwał i pochylił się w stronę Sama, który znów coś mu tłumaczył. - Chciałby zatańczyć serty - co po angielsku oznacza „ogon”. Czy znacie taką melodię?

- Ależ oczywiście - z uśmiechem odparł Bill i już po chwili orkiestra grała, bardzo wolno, „Nigdy w niedzielę”. Dziadek Angelo podszedł do Sama i podał mu swoją wielką, białą chustkę do nosa z czerwonym, haftowanym monogramem: AC. Reese przypomniał sobie, że to rekwizyt potrzebny do tego tańca; swego czasu oglądał podobne pląsy w telewizji, kiedy pokazywali jakieś greckie wesele.

Sam z chustką w dłoni stanął na środku i rozglądał się wokół aż - „O Boże, nie - pomyślał Reese - ja chyba śnię” - mama wstała, podeszła do Sama i wyciągnęła do niego dłoń. Sam zaczął pokazywać jej kroki, które trzeba było wykonywać bardzo wolno: prawą stopę unosiło się ponad lewą stopą, odprowadzało w tył, po czym wykonywało się nieznaczny podskok i obrót. Normalnie mamę trudno byłoby nazwać uta-

lentowaną tancerką, ale teraz wyglądała na istotę nie z tego świata; jej rozmarzona twarz zdawała się niemal piękna. Po chwili tata ujął jej rękę, a Sam pokazał im dokładnie, jak należy prawidłowo ustawić ramiona, wyginając je w nieznaczny łuk, i od razu dziadek Angelo stanął obok z babcią Rosie... taka scena każdego mogła przyprawić o mdłości.

O dziwo, mama błyskawicznie opanowała taniec: unosiła stopy i opuszczała je z gracją, ramiona falowały jej rytmicznie, a z ust nie schodził uśmiech. Chwilę później na parkiecie musiało już być z pięćdziesiąt osób w koncentrycznych kręgach, a Sam wciąż tkwił pośrodku, wciąż dyrygował tancerzami, powiewał chustką, której nie wypuszczał z dłoni, rozbawiony, niemal roześmiany, z rudawymi włosami lekko przywierającymi do wilgotnego od potu czoła. Gdy jego oczy zetknęły się ze wzrokiem Reese'a, zamrugał do niego w zapraszającym geście.

„O, Ben” - pomyślał Reese. Jego wzrok powędrował w górę, ponad głowę Sama i zatrzymał się na freskach - na twarzy Bena, anielskiej, mądrej twarzy ułomnego chłopca, któremu dane było ujrzeć już oblicze Boga, i na własnej twarzy, dumnej, atrakcyjniejszej niż w rzeczywistości, przedstawiającej sukinsyna, któremu udało się przejść do historii tylko dzięki temu, że doprowadził jakąś niezłą japońską laskę do samobójstwa.

Reese wyszedł z sali ogarnięty niesmakiem i skierował się do baru, żeby sprawdzić, czy uda mu się naciągnąć Scottiego na kolejny kieliszek szampana.

Beth

Rozdział 28

Beth zapomniała usiąść. Stała jeszcze nawet po tym, jak pielęgniarka i zastępca szeryfa usadzili Cecilę za barierką, tuż obok jej adwokata.

Czuła, że Pat nerwowo ściąga ją w dół za ramię, ale wyrwała tylko z irytacją rękę z jego dłoni i w tym momencie zdała sobie sprawę, że wszyscy - sędzia Sakura, przedstawiciele prasy, policjanci - zasiedli już na swoich miejscach. Sędzia - młody Azjata - patrzył na nią łagodnym wzrokiem, wyrażającym głęboką, niczym niezmaconą obojętność. I wtedy Beth klapnęła głośno na ławkę, krzywiąc twarz w bólu, gdy kością ogonową uderzyła o twarde, drewniany kant, świadoma, że cała sala usłyszała trzask jej pękającego zamka u spódnicy.

Okazało się jednak, że nawet gdy siedzi, może obserwować Cecil i towarzyszącą jej pielęgniarkę o szerokiej, anielskiej twarzy - wystarczy tylko, by lekko wyciągnęła szyję. Beth nigdy nie rozpoznałaby Cecil - jedynie pomarańczowe, więzienne ubranie kazało jej przypuszczać, że to właśnie ona - wszyscy pozostali zgromadzeni na sali ubrali się jak na niedzielną mszę.

Stwierdzenie, że Cecil się zmieniła, nie oddawało istoty rzeczy. Cecil zniknęła gdzieś pod zwałami ciała.

Wciśnięta w bawełniane spodnie i długą bluzę, Cecil - we wspomnieniach Beth wiotka dziewczyna o wdzięku łabędzia - była teraz monstrualnie gruba, obrośnięta miękkimi, rozlewającymi się fałdami tłuszczu, rozpychającymi jej skórę do granic możliwości. Baczne oko wciąż jeszcze mogło dostrzec w okolicach jej podbródka czy w stawach jej nadgarstków drobne, doskonale uformowane kości. Niemniej Cecil wyglądała teraz jak własne odbicie w krzywym zwierciadle jarmarcznej

beczki śmiechu, jak nadęta, pluszowa karykatura Cecil, z komicznym skupieniem wpatrzona w towarzyszącą jej pielęgniarkę.

Beth właściwie spodziewała się, że na widok Cecil ogarnie ją litość, a może wściekłość czy jeszcze jakieś inne uczucie. A tymczasem pożerała ją jedynie nieodparta ciekawość. Pragnęła dotrzeć do wnętrza Cecil, wydobyć z niej, jak z rosyjskiej lalki-matrioszki, kobietę, która porwała jej dziecko, a potem wyłuskać tę utalentowaną, patrycjuszowską, pogardliwą nastolatkę o gorącym temperamencie, by na końcu ujrzeć małą dziewczynkę z sąsiedztwa ze spiczastymi łokciami, nieustannie zabiegającą o względy Ellen.

W tejże chwili podniosła się pani adwokat, reprezentująca Cecil -maleńka jak dziecko Michele Perrault z krótkimi, ciemnymi włosami, a może raczej puchem na głowie, ubrana w rozmaite soczyste kolory niczym nadworny trubadur. Wstał także prokurator. Wyglądali jak para rewolwerowców szykujących się do pojedynku, gotowych w każdej chwili ugodzić przeciwnika śmiertelnym słowem.

Candy zwróciła uwagę Beth, że oskarżycielem jest sam pierwszy zastępca prokuratora okręgowego; oczywiście dlatego, że to sprawa Bena Cappadory, gwarantująca obecność dziennikarzy z całego świata - od Bostonu po Brisbane. Część z nich siedziała niemiłosiernie stłoczona na sali sądowej. Dla tych, którym nie udało się już dostać do środka, przygotowano po drugiej stronie holu dwie sale z monitorami ukazującymi przebieg procesu, a i tak jeszcze tłumy reporterów wpływały schodami na zewnątrz, na chodnik, na trawniki przed gmachem sądu niczym wielki ludzki wodospad, przelewający się w przymglonych promieniach letniego słońca.

- Wysoki Sądzie - rozpoczęła Michele Perrault - wykonuję ten zawód już od bardzo dawna...

Twarz sędziego Sakury rozciągnęła się w uśmiechu.

- Wszyscy jesteśmy świadomi, jak wiele lat trwa pani adwokacka kariera, pani Perrault - przerwał jej słodkim głosem.

Rysy prawniczki złagodniały, rozejrzała się wokół z niemal dziewczęcym, kokieteryjnym wyrazem twarzy, jakby nagle uświadomiła sobie obecność telewizyjnych kamer, dziennikarzy z piórami zastygłymi w geście oczekiwania, sądowych portrecistów, pracowicie pochylonych nad kartonami.

- Wykonuję ten zawód stosunkowo długo - Perrault podjęła na nowo swoją przemowę. - A z moją klientką, panią Karras, spędziłam bardzo wiele dni i godzin.

- I? - spytał sędzia Sakura, notując coś zawzięcie.

- I nie udało mi się wydobyć od niej czegokolwiek, choćby śladu reakcji, który pozwoliłby mi wierzyć, że moja klientka jest w stanie pojąć istotę stawianych jej zarzutów. Wobec tego muszę wyrazić głęboką wątpliwość w zdolność mojej klientki do współpracy w konstruowaniu linii obrony. Do tej pory udawało mi się sprowokować do pewnej interakcji każdego, bez względu na stopień upośledzenia. Jednak moja klientka wydaje się zupełnie nieświadoma faktu, że ktoś w ogóle usiłuje nawiązać z nią kontakt.

- Oczywiście, doceniam żywione przez panią głębokie przeświadczenie w tym względzie - powiedział Sakura. - Jednak chciałbym wiedzieć, pani mecenas, czy dysponuje pani odpowiednimi lekarskimi zaświadczeniami o stanie zdrowia psychicznego pani Karras, uzasadniającymi pani przekonanie.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - odparła natychmiast Perrault. - Czy mogę podejść? - Sędzia pokiwał twierdząco głową i pani adwokat podała mu plik papierów. - Te dokumenty otrzymałam od lekarzy zajmujących się panią Karras w Silvercrest.

- Od czterech lat?

- A także wcześniej, Wysoki Sądzie. Pani Karras była hospitalizowana ośmiokrotnie, na okres od kilku dni do kilku miesięcy, jak również poddawano ją leczeniu farmakologicznemu oraz innym formom terapeutycznym, mającym na celu złagodzenie objawów jej choroby.

- Którą jest?

W tym momencie poderwał się prokurator i oznajmił - kierując się, wedle słów Candy, tą samą potrzebą, jaka popycha psy do znaczenia drzew własnym moczem, a więc wyraźnego zmanifestowania swojej obecności:

- Z całym szacunkiem dla pani mecenas, Wysoki Sądzie, chciałbym zauważyć, że nie posiada ona wykształcenia medycznego, a zatem nie jest osobą upoważnioną do definiowania...

- Wszystko, co powiedziałam, ujęte jest w dokumentach, Wysoki Sądzie - przerwała mu Perrault. - Potocznie chorobę pani Karras określa się mianem depresji katatonicznej.

Perrault zajrzała do swojej kopii zaświadczeń wręczonych sędziemu.

- W przypadku pani Karras mamy do czynienia z długą, udokumentowaną historią zaburzeń nastroju, sięgającą jeszcze okresu adolescencji, oraz obezwładniającej depresji, której objawy pojawiły się przed sześcioma laty, a która cztery lata temu ustaliła się na obecnym poziomie. Stan mojej klientki - Perrault machnęła ręką w stronę nieświadomej niczego Cecil - nie pogorszył się ani nie poprawił od tamtego czasu.

- Oczywiście, będę musiał przeanalizować te dokumenty - oznajmił sędzia Sakura. - Przepraszam, że pani przerwałam, pani mecenas. Ale chciałbym się dowiedzieć, czy lekarz zajmujący się panią Karras jest tu dzisiaj obecny i czy mógłby wyjaśnić nam, w jakim stanie zdrowia znajdowała się jego pacjentka w czasie domniemanego porwania.

- Lekarz zajmujący się moją klientką jest dziś obecny na sali, Wysoki Sądzie - odparła Perrault. - Jednak nie jest to osoba, która prowadziła leczenie pani Karras w krytycznym czasie. Wówczas moja klientka korzystała z porad psychoterapeutki w Minneapolis, gdzie mieszkała, z przerwami, przed swoim ślubem z panem Karrasem, a po swoim rozwodzie z panem... - Perrault rzuciła się na swoje notatki i odczytała z jednego z arkuszy - z Adamem Samuelem Hillem, krytykiem teatralnym, z którym pozostawała w związku małżeńskim przez... tak, w sumie trzy lata. Terapeutka, zajmująca się panią Karras w owym czasie, była już wtedy osobą po sześćdziesiątce i, niestety, zmarła dwa lata temu, Wysoki Sądzie. Moja klientka nie była hospitalizowana w trakcie trwania swojego trzeciego małżeństwa, niemniej były mąż pani Karras...

- Czy jest tu dziś obecny?

- Pan Hill jest niepełnosprawny, cierpi na stwardnienie rozsiane, Wysoki Sądzie. Ale mam tu jego pisemne, złożone pod przysięgą zeznanie opisujące uporczywe problemy emocjonalne, nękające moją klientkę podczas trwania ich małżeństwa. Pan Hill bardzo ubolewa nad faktem, że jego zdrowie uniemożliwia mu podjęcie podróży.

- Czy mamy jeszcze jakichś innych...

- Matka pani Karras, Sara Lockhart, jest dziś obecna na sali. Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chciałabym ją poprosić, by opisała stan emocjonalny swojej córki w okresie, gdy dokonano porwania.

Sakura zwrócił się w stronę prokuratora.

- Czy oskarżenie nie wnosi sprzeciwu?

- Wysoki Sądzie - odezwał się prokurator - ponownie chciałbym zauważyć, że matka Cecilii Lockhart Karras, podobnie jak pani mecenas, nie posiada, o ile mi wiadomo, kwalifikacji predestynujących ją do roli wiarygodnego eksperta medycznego.

- Przecież dobrze pan wie, że ten sąd nie zamierza traktować jej w taki sposób.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Oskarżenie wyraża swoją wdzięczność.

- Nie ma za co. - Sędzia Sakura dał znak mecenas Perrault, by zaważać na świadka Sarę Lockhart.

Gdy starsza, elegancka kobieta podniosła się bez słowa z jednej z tylnych ławek i energicznie przemierzała wielką salę, kierując się w stronę miejsca dla świadków, zastępca szeryfa, którego Candy nazywała Elvisem, chociaż na jego plakietce identyfikacyjnej widniało zupełnie inne imię, zwrócił się w stronę urzędnika sądowego, by przygotować zaprzysiężenie Sary Lockhart w roli świadka. Beth spostrzegła, że do tego celu nie używa się już Biblii. Pomyślała, że widocznie uznano to za staroświecką procedurę.

Beth nie miała problemu z rozpoznaniem pani Lockhart, mimo że nie widziała jej od dwudziestu lat. Wpatrywała się teraz uważnie w twarz tej kobiety, podczas gdy Michele Perrault unosiła się nad tym, jak to Sara gorliwie uczestniczyła w śledztwie, jakim szokiem i przerażeniem napełniła ją świadomość, że jej wnuk jest w istocie dzieckiem uprowadzonym innym rodzicom. Jak pracowicie pomagała, jako prawny opiekun Cecil, w uzyskaniu wszelkich medycznych danych z miejsc, gdzie hospitalizowano jej córkę. Lecz gdy zaczęła mówić o tym, jak bardzo Sara Lockhart współczuje rodzinie Cappadorów, prokurator zdecydował się ostudzić jej zapędy.

- Wszyscy rozumiemy - wtrącił z nutą rozdrażnienia w głosie - co musi w tej chwili przeżywać pani Lockhart.

Po tej interwencji Perrault z miejsca przeszła do przesłuchiwania świadka, zapytując, jak dobrze Sara zna chłopca noszącego nazwisko Sam Karras.

- Bardzo dobrze - odparła starsza kobieta szeptem. - Przecież to mój wnuk.

Po czym spojrzała wprost w oczy Beth, a Beth pomyślała: „Tak właśnie wyglądałaby Cecil pewnego dnia w przyszłości - apetycznie zaokrąglona, bardzo jankeska w typie, z drobnym zacięciem artystycznym, które mogłoby znaleźć ujście w prowadzeniu najbardziej prężnego w okolicy klubu miłośników książki. Tak wyglądałaby Cecil, gdyby los nie naznaczył jej palącym piętnem szaleństwa". Oczy Sary Lockhart wyrażały błagalną prośbę.

- Nie miałam pojęcia, że nie jest dzieckiem Cecylii. To znaczy, jej naturalnym synem.

- Ale nie była pani obecna przy narodzinach dziecka, które później zostało pani przedstawione jako jej wnuk?

- Nie. Ona i ja... Związek Cecylii z jej ojcem i ze mną określiłabym jako bardzo trudny. Gdy była jeszcze małą dziewczynką, uważaliśmy, że jest przewrażliwiona... miewała ataki nerwowe, często zakończone utratą świadomości... wydawało się nam, że tak po prostu objawia się jej artystyczny temperament...

Kiedy Sara Lockhart zaczęła na dobre snuć swoją opowieść - dokładnie tak, jakby to robiła Rosie, błędząc wśród nieistotnych faktów, rozwodząc się nad nic nie znaczącymi szczegółami - Beth zrozumiała z całą wyrazistością, że nie dostąpi aktu oświecenia. Nigdy.

W czasie długiego śledztwa w owe letnie dni Beth zdołała poznać Cecil równie dobrze jak rodzina, która wydała ją na świat i wychowała. To znaczy... właściwie wcale.

Teraz, na wpół uśpiona gorącem, wydzielanym przez setki otaczających ją ciał, Beth beznamiętnie wysłuchiwała skąpych relacji na temat życia Cecil, oglądanego oczami jej matki, oskarżyciela i obrony. Cecil trzykrotnie wychodziła za mąż za ludzi w jakiś sposób związanych z teatrem, jednak żadne z tych małżeństw nie przetrwało w istocie dłużej niż dwa lata. Na jaw wyszła też żałosna prawda, że spośród wszystkich mężów Cecil jej rodzice poznali tylko jednego - George'a.

Beth dowiedziała się, że policja usiłowała odnaleźć przyjaciół Cecil z okresu jej czasowych pobytów w Minneapolis, Nowym Jorku i Kalifornii. Przyjaciół? Nie znaleźli ani jednej osoby, która choćby zjadła z nią wspólny posiłek, i tylko paru jej sąsiadów z Minneapolis twierdziło, że widywali Cecil z małym chłopcem, którego przedstawiała jako swojego siostrzeńca. Ponadto okazało się, że wielka nadzieja policji, pewien dekorator wnętrz, z którym Cecil pozostawała w stałym kontakcie od chwili ukończenia college'u, zmarł rok wcześniej na AIDS, tak zresztą jak i jego partner.

Beth nie potrafiła wskrzesić w sobie żywszych emocji nawet wtedy, gdy pani Lockhart z płaczem zaczęła opisywać stan Cecil po tym, jak Adam Hill - „krytyk teatralny, bardzo poważany w środowisku, dużo starszy od Cecilii” - niespodziewanie zostawił ją dla młodszej kobiety, tancerki.

- To był jeden z bardzo nielicznych momentów, gdy miałam wrażenie, że Cecil rzeczywiście się przede mną otworzyła - wyznała Sara Lockhart. - Serce pękało jej z bólu. Powiedziała, że czuje się zużyta. Adam nie życzył sobie, by się zestarzała, w zasadzie nawet nie chciał, żeby dorosła, a przecież ona wtedy nie miała jeszcze trzydziestu lat. A i tak wszyscy myśleli, że jest dużo młodsza. - Pani Lockhart zaczęła już teraz otwarcie szlochać. - Próbowałam ją pocieszyć, zapewniałam, że dojrzewanie niesie ze sobą wiele korzyści. Ze spotka dobrego człowieka, że urodzi dziecko... co, oczywiście, w jej przypadku okazało się niemożliwe. - Sara Lockhart spojrzała nagle na Beth i Pata, i powiedziała powoli: - Wczoraj wieczorem rozmawiałam o tym wszystkim z Charlesem, ojcem Cecil. Teraz, po wylewie, tylko ja w zasadzie

jestem w stanie dobrze zrozumieć Charlesa, i zdaliśmy sobie sprawę z przyczyny, która popchnęła Cecil do tego czynu. To na pewno z powodu poronienia...

Beth pochyliła się do przodu, czuła, że ramiona przeszywają jej igielki adrenaliny. Siedząca obok niej Candy wyprostowała się gwałtownie i zacisnęła silnie dłoń na oparciu stojącej przed nimi ławki.

- Poronienie? - zdziwił się prokurator, spoglądając w stronę mecenasa Perrault, której szyja przybrała teraz barwę ostrego, głębokiego różu jej apaszki.

- Pierwszy raz o tym słyszę - stwierdziła. - Wysoki Sądzie, ja... Sakura miękkiem ruchem zdjął z nosa okulary w cienkiej, metalowej oprawce i zaczął masować palcami oczy.

- Czy w areszcie poddano panią Karras rutynowym badaniom lekarskim? - zapytał. Zarówno oskarżyciel, jak i obrońca zaczęli wertować leżące przed nimi papiery.

- Najrozmaitszym testom neurologicznym; mamy tu wyniki, które również dostarczyliśmy obronie - nerwowo oznajmił prokurator.

- A co z badaniami podstawowymi? - cierpliwie dopytywał się sędzia.

- Zajęliśmy się przede wszystkim stanem umysłowym i emocjonalnym pacjentki... - odparł cicho prokurator.

- Na który, oczywiście, może mieć istotny wpływ stan jej zdrowia fizycznego - stwierdził sędzia z głębokim westchnieniem. - Pani Lockhart, czy zapomniała pani o poronieniu córki, gdy rozmawiała pani z policją?

- Nie.

- Czemu więc pani Perrault wydaje się tak zaszokowana tą wiadomością?

- Bo nikomu o tym nie powiedziałam.

- A dlaczego? - zapytał sędzia łagodnym głosem.

- Dlatego, że nie byłam tego pewna. Wciąż nie jestem. Być może powinniśmy byli z Charlesem poruszyć ten temat, jednak w końcu zdecydowaliśmy się milczeć.

- Pani wybacz, pani Lockhart, ale nie bardzo pojmuję.

- Ja też nie, Wysoki Sądzie - wtrąciła Perrault, lecz sędzia natychmiast zgasił ją wzrokiem.

- Musicie zrozumieć - odezwała się Sara Lockhart proszącym tonem. - Zanim nasza córka sprowadziła się z Samem do Chicago, widzieliśmy ją zaledwie jakieś trzy razy. Nie przyjechała do domu nawet wtedy, gdy jej ojciec doznał pierwszego wylewu i lekarze orzekli, że

już go nie przeżyje, choć w końcu udało mu się wówczas odzyskać pełnię sił... - Sara Lockhart oddychała ciężko, a Beth złapała się na tym, że gdyby mogła, przesłałaby tej kobiecie trochę swojego własnego opanowania, przeniosłaby je dla niej przez te kilkadziesiąt centymetrów dzielącego je powietrza. - Pomimo moich usilnych starań jeszcze tylko raz udało mi się z nią porozmawiać po tym wieczorze, gdy oznajmiła mi, że Adam od niej odchodzi. -I?

- I wówczas dowiedziałam się, że ją zostawił, bo zaszła w ciążę, która zrobi z niej... starą, grubą kobietę.

- Czy wtedy pojechała pani do niej?

- Nie, ponieważ niemal jednym tchem powiedziała mi, że już nie jest w ciąży, że poroniła! I potem nie widziałam jej aż do czasu, gdy skontaktowała się z nami policja, by poinformować nas, że Cecilia przebywa w szpitalu dla psychicznie chorych Bellevue; czy ktoś z państwa kiedyś tam był? - Twarz pani Lockhart wykrzywił grymas. Mówiła o odległych wydarzeniach, jednak nie dość odległych, by nie wzbudzały już bólu. - Cecilia znajdowała się wówczas mniej więcej w takim samym stanie jak teraz, tyle że zdawała się mnie poznawać, lekko ścisnęła moją dłoń. Pielęgniarki nie zdołały wydobyć od niej niczego. Próbowano znaleźć lekarza, który mógłby jej pomóc, ale ona... ona tylko coraz bardziej zamykała się w sobie. - Drobne dłonie pani Lockhart zwinęły się i powoli zetknęły ze sobą. - Tak więc, ponieważ od Cecylii nie można było uzyskać żadnych wiadomości, personel szpitala zwrócił się do policji i to oni nas odnaleźli, odnaleźli nasz adres, bo mieli odciski palców Cecylii w swojej kartotece. Aresztowano ją kiedyś, gdy była jeszcze młodzieńką dziewczyną, nie za żadne przestępstwo, absolutnie nie, tylko za udział w jakiejś demonstracji.

Beth usłyszała głośne parsknięcie siedzącej obok niej Candy i kątem oka spostrzegła, jak agent Bender z FBI sztywnieje na swoim miejscu.

- Mimo to, gdy rozmawiała pani z policją, a później z wywiadowcami z biura prokuratora okręgowego, nie wspomniała pani o poronieniu...

- Przecież ja nie wiedziałam, czy coś takiego w ogóle miało miejsce! W przypadku Cecylii nigdy nie było wiadomo, czy jej słowa przedstawiają fakty, czy opisują jedynie wytwory jej wyobraźni! - wybuchnęła Sara Lockhart gniewnie. - Wiedziałam tylko z całą pewnością, że moje dziecko pogrąży się w tej mrocznej otchłani i że wraz z mężem

musimy szybko podejmować decyzje, czy wyrazić zgodę na podłączenie jej elektrod do głowy lub zanurzenie w wannie lodowatej wody...

- Pani Lockhart - przerwał jej sędzia łagodnym głosem - czy potrzebuje pani kilku minut przerwy?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo.

Oszołomiona Perrault doszła w końcu do siebie i ponownie podjęła się przesłuchiwanie świadka.

- Tak. No dobrze. A więc, pani Lockhart, powiedziała pani policji, że gdy Cecilia zjawiała się w domu państwa w 1985 roku wraz z... z Samem, uwierzyła pani, że to jej naturalny syn. Jak to możliwe, skoro żyła pani w przeświadczeniu, że jej córka straciła swoje dziecko?

- Proszę zrozumieć! - apelowała Sara Lockhart. - Kochałam moją córkę gorąco, wciąż ją kocham. Czy doprawdy nie może pani pojąć? Gdybym zadała Cecilii choć jedno pytanie, które nie przypadłoby jej do gustu, natychmiast zagroziłaby, że się zabije albo że już na zawsze zerwie z nami wszelkie kontakty... i oboje z mężem nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że nie będą to słowa rzucone na wiatr. - Sara wbiła wzrok w swoje dłonie. - Gdy oznajmiła, że ponownie zeszła się z Adamem i urodziła dziecko, a potem znów się z nim rozstała, uznałam to za prawdopodobną historię. Powiedziała, że sąd przyznał opiekę nad dzieckiem Adamowi, bo ona była zbyt chora, aby zająć się synkiem... cóż, dlaczego miałam jej nie uwierzyć? Kiedy mi o tym opowiadała, czuła się taka zawstydzona.

- Jednak jeśli była zbyt chora, by zaopiekować się dzieckiem...? -zaryzykowała Perrault.

- To teraz już czuła się na tyle dobrze, żeby ponownie się nim zająć! Robiła wrażenie zdrowej osoby i bardzo dobrej matki, a chociaż dziecko było w stosunku do niej nieco nieśmiałe... cóż, uznałam, że to skutek długiej rozłąki, paru lat spędzonych jedynie w towarzystwie ojca.

- A czemu nie skontaktowała się pani z Adamem, by potwierdzić wersję wydarzeń podaną przez córkę?

Sara Lockhart posłała prawnicze spojrzenie pełne najczystszej pogardy.

- Pani Perrault, ja nigdy w życiu nie widziałam tego człowieka. A na dodatek dowiedziałam się, że zostawił moją córkę na pastwę losu, gdy... gdy spodziewała się dziecka, a potem jeszcze odebrał jej synka. Czemuż miałabym kontaktować się z kimś takim?

- Żeby mieć pewność... poznać prawdę... - bezradnie wyrzucała z siebie pani adwokat.

- Cecilia powiedziała, że Adam zapadł na poważną chorobę. Ze cier-

pi na stwardnienie rozsiane. Co, jak się teraz okazuje, było prawdą. Ten człowiek rzeczywiście jest chory. Pani wciąż nie może tego pojąć. Cecilia, jeśli chciała, potrafiła być niezwykle przekonująca. No i... poza tym... ja po prostu... nie odważyłabym się tak postąpić.

- Dlaczego?

- Ponieważ Cecilia zagroziła, że jeżeli kiedykolwiek spróbuję się skontaktować z Adamem, ona już nigdy nie pozwoli mi zobaczyć chłopca. A ja... ja tak bardzo pragnęłam wnuka. Zdrowego, kochającego dziecka, które obdarzyłoby mnie miłością. Chciałam... chciałam uwierzyć Cecylii. A poza tym on był taki duży, wyglądał na cztero-, a nie trzyletnie dziecko. - Sara Lockhart zwróciła wzrok na Beth i Beth poczuła we własnych oczach podejrzany ucisk i pieczenie. - Beth, przysięgam, przysięgam na mój honor, że on zawsze był taki duży. I nie miał rudych włosów. Wszyscy widzieliśmy w gazetach, napisane czarno na białym, że włosy Bena były rude. Dopiero potem, gdy dorósł, nabrały rudawego odcienia, zauważyłam to, bo po ślubie Cecylii z George'em widywałam Sama prawie co dzień.

Sara Lockhart pochyliła się do przodu, zaciskając dłonie na barierce.

- Beth, ona nigdy w życiu nie podniosła na niego ręki. Nigdy nie zraniła jego uczuć. Zanim popadła w chorobę, gdy jeszcze mogła się nim opiekować, była dla Sama dobra i czuła; dużo mu czytała; śpiewała mu wiele piosenek. Bawiła się z nim. Nauczyła go, jak udawać echo w studni w tym fragmencie „Królowny Śnieżki”, gdzie wypowiada się swoje życzenia; Sam znał na pamięć wszystkie słowa...

Beth kiwała jedynie głową, potakiwała milcząco, porażona, niezdolna do innego ruchu. Poczowała, jak Pat wciska gwałtownie swoją twarz gdzieś w okolice jej ramienia; odwróciła się w jego stronę, niemal odruchowo przytuliła jego głowę, i w tym momencie usłyszała - choć nie, w zasadzie nawet nie usłyszała, ale wyczuła jakimś szóstym zmysłem - trzaskające migawki aparatów, pracujące na jutrzejsze wielkie, kolorowe zdjęcia na rozkładówki i pierwsze strony gazet. Oczywiście, Beth doskonale zdawała sobie sprawę, jakim torem biegną teraz myśli Pata: jego najukochańsze dziecko w objęciach jadowitego węża, usta Bena układające się w zaklęcia wypowiedane do niego przez straszliwą wiedźmę. „No i co z tego?” - pomyślała nagle gniewnie Beth. Czy doprawdy wolałby usłyszeć, że Cecil była podłą, oszalałą, niedbałą matką, spuszczającą Samowi lanie i wyzywającą go od głupków, zachowującą się jak Beth w stosunku do Vincenta, a nawet Kerry - i to nie raz? Czy Pat wspiałby się na wyżyny moralnej wyższości, gdyby okazało się, że Cecil nie wycierała Samowi nosa czy zapominała podać mu syrop na

kaszel, gdy był przeziębiony? Czy gdyby Sam nie okazał się tak silnym, zdrowym, zadbanym dzieckiem, ich żal i smutek nabrałby szczególnego uzasadnienia?

A po chwili Beth spostrzegła, że Candy odwróciła się w jej stronę i wpatruje się w jej twarz z niezwykłą uwagą. „Co, Candy? - pomyślała Beth. - O co chodzi?” Rzuciła okiem na zegarek. Sędzia powinien wkrótce zarządzić przerwę.

- A potem doszło do rozwodu Cecylii i George'a - wymamrotała Sara Lockhart.

- Chciała pani powiedzieć Cecylii i Adama? - wtrąciła Perrault.

- Nie, Cecylii i George'a - George'a Karrasa. Oni są formalnie roz-wiedzeni.

- Ach. No tak. Czy powodem rozwodu było dążenie George'a do zawarcia innego związku? - spytała Perrault, znając oczywiście odpowiedź.

- Och, nie, mój Boże, skądże! - zaprzeczyła Sara Lockhart. - George kochał Cecylię całym sercem. Nikt inny nie zniósłby tego... och... - Pani Lockhart wyjaśniła, że jakkolwiek niewielka firma budowlana George'a prosperowała nie najgorzej, to jednak jego polisa ubezpieczeniowa nie wystarczała już na pokrycie rosnących lawinowo kosztów związanych z tak długą hospitalizacją Cecylii. Natomiast finansowanie leczenia ze środków publicznych nie wchodziło w grę, gdyż nie obejmuje ono kobiet, których mężowie zdolni są do wykonywania pracy. - George obawiał się, że przeciągająca się choroba Cecylii zrujnuje go finansowo. Ze będzie zmuszony sprzedać dom i pozostanie bez środków na utrzymanie Sama. - Sara ponownie spojrzała na Beth. - Przepraszam - oznajmiła.

A Beth, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, odpowiedziała na to głośno i wyraźnie:

- Nie ma za co.

Kiedy Sakura zarządził przerwę w obradach sądu, a Pat i Beth podnieśli się z miejsc, by opuścić salę, obiegły ich rzesze reporterów, kucając przed nimi niczym stado elfów. Pat oznajmił im dobrotliwym tonem: - Właściwie nigdy nie znałem Cecylii, ale teraz, mój Boże, wzbudza jedynie moją litość. Nie można darzyć nienawiścią tak żałośnie nieszczęśliwej postaci. (Beth natychmiast wyobraziła sobie jutrzejsze nagłówki prasowe, oznajmiające: „Ojciec Bena przebacza” i zaśmiała się w duchu, gdy przypomniła sobie, że Ellen już od jakiegoś czasu nazywa Pata „cytowanym świętym”.)

Candy, posiadająca ten niezwykły dar, na mocy którego tłumy dziennikarzy rozstępowały się przed nią niczym fale Morza Czerwonego

przed Mojżeszem, wyprowadziła Beth z sali i powiodła korytarzem prowadzącym do pomieszczeń aresztu. Przed jednym z drzwi stał zastępca szeryfa, ssąc z zapalem owocowego cukierka.

- Elvis, kochanie - zagruchała do niego Candy swoim najbardziej uwodzicielskim głosem. - Zrobisz to dla mnie, prawda? - Beth wreszcie wyraźnie zobaczyła napis na jego identyfikatorze: naprawdę miał na imię Elmer. Przesunął się, by pozwolić im wejść do środka.

- W tej chwili zapewne łamiemy jakieś prawo - wyszeptała Candy.

- Ale bardzo chcę się z nią zobaczyć. Ty też, jak sądzę. Jest przy niej mecenas Perrault. Masz ochotę wejść?

Beth kiwnęła głową. Czuła gwałtowne pulsowanie krwi w zagłębieniu pod kolanami, na szyi, w nadgarstkach. W pomieszczeniu wielkości klatki na kurczętą siedziała Cecil w towarzystwie pielęgniarki i swojego obrońcy.

- Cecilio - odezwała się pielęgniarka z szacunkiem w głosie, na który Beth nigdy by się nie zdobyła w odniesieniu do takiej glinianej kukły - jest tutaj pani komendant Bliss. Chciałaby z tobą porozmawiać. Czy nie masz nic przeciwko temu? - Cecil nawet nie mrugnęła okiem. Kiedy zabłąkana, tłusta mucha przysiadła na jej ramieniu, nie drgnął ani jeden nerw na jej skórze. Candy uklękła tuż na wprost zwalistych kolan Cecil.

- Cecil. Posłuchaj, Cecil. Powiedz mi, proszę, gdzie jest grób dziecka? Gdzie pochowałaś dziecko?

Dziecko? Niepokój Beth przerodził się w trzepoczący lęk. Jeszcze jedno dziecko? Zamordowane dziecko?

- Sprawdziłaś to? - zwróciła się Candy w stronę Michele Perrault.

- Czy znalazłaś akt zgonu?

Perrault zachnęła się, wyraźnie wzburzona:

- Akt zgonu? Jak mogłam szukać czegoś, o czym nie miałam... przecież wiecie, że spadło to dziś na mnie jak grom z jasnego nieba. Matka mojej klientki nigdy ani słowem nie wspomniała o ciąży, chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, co ją do tego skłoniło... to znaczy, do utrzymywania tej sprawy w tajemnicy.

Candy powiedziała w zamyśleniu:

- Sądzę, Michele, że nie potrzebowała do tego jasno sprecyzowanego powodu. A przynajmniej takiego powodu, który wydawałby się logiczny tobie czy mnie.

- Ale żeby tak kłamać! - wykrzyknęła Perrault i natychmiast ugryzła się w język, jej oczy wyrażały poczucie winy, jakby nagle zdała sobie sprawę z wymowy własnych słów. - To znaczy, jak mogła zapo-

mnieć o tak niewątpliwie istotnym szczególe? Co prawda Sara Lockhart znajdowała się pod wpływem niezwykle silnego stresu. Więc może nie należy się całkiem temu dziwić.

- Temu w ogóle nie należy się dziwić - odparła Candy tonem zabarwionym lekkim sarkazmem. - Nie wątpię, że ludzie są w stanie zrobić wszystko, by chronić własne dzieci. Spotykam się z tym na każdym kroku i to często w o wiele obrzydliwszej formie. Sara Lockhart po prostu uczepiła się myśli, że w przypadku Cecil wszystko jest możliwe.

- Wiesz - wtrąciła nagle Perrault - poronienie popycha niekiedy kobiety do uprowadzenia cudzego dziecka. Oczywiście w tym przypadku sprawa jest jasna, osoba sprawcy nie podlega dyskusji. Poza tym porwanie nastąpiło jakieś... cztery lata później, niemniej mogłybyśmy pójść tym tropem. Może wtedy zrozumiałybyśmy dobrze motywy, które kierowały działaniem Cecil.

- O, ja myślę, że Sara Lockhart przeczuwała je gdzieś w głębi serca.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ona rzeczywiście podejrzewała, że syn Cecil to uprowadzony Ben? Ze podobna myśl tkwiła gdzieś w jej podświadomości? Nawet jeżeli tak było, nie sądzę, by zdawała sobie z tego sprawę. Ja ani przez moment nie odniosłam wrażenia, że ona stara się celowo zniekształcić fakty.

- Ja też nie.

- Czemu więc nie wspomniała wcześniej o poronieniu?

- Prawdopodobnie wytłumaczyła sobie, że to nie miało istotnego znaczenia, ponieważ wydarzyło się tak dawno temu... - Candy urwała i przycisnęła mocno wskazujący palec do czoła. - Lub, być może... być może miała jakieś dziwne przeczucie w tej sprawie - powiedziała bardzo powoli. - Podobnie, jak ja w tej chwili.

- Jakie przeczucie? - spytała Perrault.

- Oczywiście, wiem, że niektóre osoby poronienie doprowadza do obłąkańczych posunięć - ba, niekiedy wystarcza do tego samo podejrzenie poronienia. A na dodatek w tym wypadku nie mamy do czynienia z normalną kobietą. Jednak coś w tej sprawie... może rzeczywiście nie było żadnego poronienia, a *de facto* dziecko.

- Dziecko? - wtrąciła teraz Beth. - Jakie dziecko? Jej dziecko?

- Czy w takim wypadku Sara Lockhart nie powinna się czuć jeszcze bardziej zobligowana do wyznania prawdy? - denerwowała się Perrault. - Gdyby wiedziała o istnieniu swojego prawdziwego wnuka, żywego bądź martwego? Jeśli oczywiście dobrze cię rozumiem.

- To pewnie nie ma większego sensu - odparła Candy, klękając naprzeciw Cecil i kładąc dłoń na jej nodze. - Ja po prostu... och, już sama

nie wiem. - W tym momencie Cecil gwałtownie spojrzała w dół, a po chwili w górę i znów w dół, i jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Po chwili jej głowa zaczęła podążać za ruchem gałek ocznych, jakby ktoś z furją pociągał za sznurki marionetki.

- Proszę nie wyobrażać sobie, że dotarły do niej jakiegokolwiek słowa - oznajmiła spokojnie pielęgniarka. - To perseweracja. Będzie uparczywie wykonywać ten sam ruch, dopóki ktoś jej nie przeszkodzi. No już, Cecilia, już... - Pielęgniarka pochwyciła podskakujący podbródek Cecil w swoją dłoń. - Tak, dobrze.

- Cecil, pomóż mi znaleźć grób swojego dziecka - wymamrotała ponownie Candy.

W jakiś czas potem Beth zdołała przekonać samą siebie, że po prostu to sobie uroiła. Bo przecież Candy, całkowicie skoncentrowana na twarzy Cecil, stwierdziła, że niczego nie zauważyła. Niemniej w owej chwili Beth nie miała wątpliwości, że słyszy nieznaczny syk i widzi, jak usta Cecil rozciągają się, a zęby układają w takiej pozycji, jak do wyartykułowania szczelinowego dźwięku „s”.

Candy podniosła się z kolan.

- Bethie - spytała - czy nie wybrałaś się ze mną na przejażdżkę?

- Teraz?

-Jutro. A może nawet jeszcze dzisiaj, jeżeli wypadki potoczą się równie szybko, jak przypuszczam. W tej sytuacji Sakura może jedynie poprosić o przeprowadzenie badań psychiatrycznych przez niezależnych ekspertów i zarządzić, by dostarczano do sądu okresowe sprawozdania o stanie jej zdrowia... Ostatecznie, zarzuty stawiane Cecil są bardzo poważne. Ale, nie ma się co czarować, Sakura w zasadzie oddali sprawę. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? - Beth pokiwała głową. - Bo nawet jeżeli w chwili dokonywania przestępstwa Cecil miała świadomość własnych czynów, oczywiste jest, że teraz nie ma pojęcia, co się dzieje wokół. I prawdopodobnie już nigdy nie odzyska poczucia rzeczywistości. No więc co, pojedziesz?

- Jasne - odparła Beth. - A dokąd?

- W istocie gnębią mnie dwie sprawy. Pamiętasz, jak dawno, dawno temu dzwoniłam do Bendera z powodu pewnej kobiety, twierdzącej, że widziała Bena w centrum handlowym w towarzystwie starszej kobiety?

- W Minneapolis.

- Aha - potaknęła Candy, przyciskając palec do czoła. - Chciałabym się zobaczyć z tą kobietą, która do nas dzwoniła. Myślę, że ona też chętnie ze mną porozmawia.

- Sądziłam, że postanowiłaś zająć się sprawą dziecka.

- Tym też - odparła Candy, prostując plecy i nieoczekiwanie obdarzając Beth uśmiechem.

Pat był tylko lekko urażony, gdy Beth oznajmiła mu przed budynkiem sądu, że zamierza jechać z Candy do Minnesoty.

- A co ja zrobię z dziećmi? - utyskiwał.

- Och, Pat, nie marudź - zarządziła Candy. - Zabierz je do tego cudu nad cudami wśród włoskich restauracji - czy to nie tak określił magazyn „Bon Appetit”? Jutro po południu już będziemy z powrotem.

- Jeżeli potrzebne ci towarzystwo, czemu nie zabierzesz własnego męża zamiast mojej żony? - teatralnie wyjęczał Pat, ale już ze śmiechem.

- Chris jest słodki - zgodziła się Candy - czy wyobrażasz sobie jednak dziewięciogodzinną jazdę samochodem z korporacyjnym radcą prawnym? - Candy zerknęła na Beth. - Ja i Beth umilimy sobie podróż wyśpiewywaniem hitów muzyki country, dobra? - Jej głos nagle zabrzmiał nisko i poważnie: - Myślę, że Beth powinna być przy tym obecna.

Wsiadły do prywatnego samochodu Candy - nowej czarnej toyoty, której Beth nie widziała jeszcze - a nie do jej służbowego radiowozu komendanta okręgu. Beth wciąż nie mogła się przyzwyczaić do widoku Candy w jej obecnym służbowym samochodzie. Komendant Bliss. Gwiazda pierwszej wielkości w sprawie Bena Cappadory. Beth westchnęła. Gdybyż barmani z gejowskich klubów Florydy mogli teraz ujrzeć Candy! Candy wlała w siebie puszkę coli i wtórowała płynącym z radia smętnym zawodzeniom o niewiernych mężczyznach i zranionych kobietach, którym los wyznacza spotkanie w czasie, gdy płomień ich miłości zdążył już wygasnąć, zduszony prozaicznymi okolicznościami życia.

- Nic dziwnego, że popadają w alkoholizm - zawyrokowała Beth po dwóch godzinach wysłuchiwanie podobnych historii wyśpiewywanych na dwa głosy.

- Nie podoba ci się? - spytała Candy, trącając lekko Beth łokciem w bok. - Czyżbyś nie była romantyczką?

„Nie - pomyślała Beth. - Tym jednym na pewno nie jestem”.

- A ty? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Tak, myślę, że tak. Uważam, że wszystko, co złe na tym świecie, łącznie z religią i wojnami, oraz wszystko, co dobre, łącznie z Szekspirem i muzyką country, jest pochodną miłości. Właśnie tak myślę.

- Chyba muszę się z tobą zgodzić, szczególnie z tą pierwszą czę-

ścią. Ale uważam też, że do tej pory jeździlibyśmy już samochodami napędzanymi elektrycznością, mielibyśmy lekarstwo na AIDS i Bóg wie co jeszcze, gdyby ludzie nie byli tak pochłonięci problemem miłości jako takiej bądź nie trawili czasu na rozpamiętywanie, czy przypadkiem nie przegapili gdzieś po drodze miłości swojego życia.

- Przynajmniej ciebie to nie dotyczy - stwierdziła Candy. - Ty jej nie przegapiłaś.

„Nie - pomyślała Beth. - Skąd! Problem utraconej, wielkiej miłości nie dotyczy grzecznej, wiernej Elizabeth Kerry Cappadora". I niewiele brakowało, a Beth opowiedziałaby Candy o owym popołudniu w hotelu, podzieliłaby się z nią swoim wspomnieniem, które zdążyła już przez te lata przekształcić w swoją prywatną, romantyczną kapliczkę. Zaglądała do niej niekiedy z czułością i już bez palącego poczucia winy, od kiedy Sam zamieszkał pod ich dachem. Teraz, nawet gdy budziła się podniecona snami o Nicku, dziękowała losowi za trwałą, pewną obecność Pata przy swoim boku.

Beth pomyślała, że Sam pozwolił im wkroczyć do lepszego świata i wierzyła, że dzięki niemu wzniosą się w jeszcze szczęśliwsze rejony.

Jakby czytając w jej myślach, Candy nagle spytała o Sama:

- A jak on się czuje?

- Pat jest przekonany, że w końcu dojdzie do siebie - powiedziała jej Beth. - Jednak on wciąż jest taki... cichy, zamknięty w sobie. W przyszłym tygodniu wybieramy się do Madison, na Czwartego Lipca. Sam znajdzie się tam po raz pierwszy od czasu... no, od tamtego czasu. Mam wrażenie, że myśl o tym budzi w nim niepokój. Pytałam go kilka razy, o co chodzi, ale on w odpowiedzi wzrusza jedynie ramionami. Zaczęłam się już zastanawiać, czy nie poprosić Toma, żeby z nim porozmawiał...

- Wiesz, Sam musi teraz wiele przemyśleć.

- Kerry uważa go za sławną osobistość, zapewne spodziewa się, że wkrótce jego zdjęcie znajdzie się na opakowaniu płatków śniadaniowych. Straszna z niej szczebiotka - wciąż zamęcza go pytaniami, co się czuje, gdy się jest porwanym, a ostatnio poprosiła go nawet, żeby dal Blythe swój autograf. Ale on nigdy się na nią nie złości. Czasami wydaje mi się, że tęskni za rodzeństwem. Wciąż chodzi za Vincentem - krok w krok.

- A jak Reese traktuje Sama?

- Ignoruje go.

Candy wybuchnęła śmiechem:

- To normalne, no nie?

Doprawdy? Beth z rezygnacją postanowiła zaakceptować tę opinię. Niekiedy łapała się na tym, że patrzy na Yincenta jak na tropikalną zara-

zę, bacznie wypatrując jakichkolwiek zmian w jego, zazwyczaj beznamiętnym, wyrazie twarzy, niczym bakteriolog śledzący rozwój zmutowanych szczepów. Co prawda od kilku miesięcy Reese nic nie narozrabiał. I czyż wszystkie nastolatki nie zachowują się markotnie? A ostatnio nawet ta banda z kolczykami w pępkach, z którą Reese zaczął się zadawać jakiś czas temu, zniknęła z pola widzenia, a w zamian częściej pojawiał się Jordan, prawdopodobnie zwabiony nagłą popularnością Cappadorów.

„Być może - zastanawiała się Beth - po prostu szukam dziury w całym".
Walcząc z narastającą sennością, pomyślała, że chciałyby spędzić nieco czasu z Samem, tylko we dwoje. Że chciałyby wyjechać gdzieś razem z nim choć na jeden dzień. Wówczas wyjaśniłaby mu zachowanie Vincenta. I tym podobne rzeczy.

Gdy się obudziła, było już ciemno. W radiu wciąż zawodziła Tammy Wynette. Beth spostrzegła, że Candy zatrzymała samochód tuż przed bramą cmentarza pod wezwaniem Świętego Jana od Krzyża w White Bear Lake, na przedmieściach Minneapolis.

- Dlaczego... po co tu przyjechałyśmy?

- Mam pewne przeczucie - stwierdziła Candy. - Cecil to szalona kobieta, ale, podobnie jak ty - katoliczka. Wiemy, że gdy rozstała się z tym facetem, Hillem, wynajmowała pokój zaledwie kilka kilometrów stąd. Przypuszczam, że wtedy była w ciąży. - Beth, zeszytniała od długiej jazdy, niezgrabnie wygramoliła się z samochodu i podążyła za Candy w stronę stróżówki przy cmentarnej bramie. W oknie płonęło światełko. - No więc, gdyby umarło ci dziecko albo nawet gdybyś sama je zamordowała... ja oczywiście nie twierdzę, że Cecil to zrobiła... czy w takim wypadku nie chciałybyś pochować tego maleństwa w poświęconej ziemi? To chyba dość logiczne, jak sądzisz?

„To, co mówi Candy, tak naprawdę wcale nie jest skierowane do mnie - stwierdziła w duchu Beth. - Ona po prostu robi to, co moja babka Kerry nazywała głośnym myśleniem". I w tym samym momencie Beth zauważyła napis na drzwiach stróżówki: „Otwarte od 9.00".

- No jasne - piekliła się Candy. - A czemu ludzie nie mieliby odwiedzać swoich zmarłych w nocy? To co teraz robimy, Beth? Chcesz znaleźć jakiś pokój i położyć się spać? Czy może wolisz iść na dyskotekę i poderwać paru frajerów? - Candy spojrzała na Beth spod oka. - A może poszłabyś na przedstawienie do Guthriego? Czy wolałabyś zobaczyć się z kobietą, u której Cecil wynajmowała pokój? Może nasza anonimowa informatorka, owa starsza pani przejęta obywatelskim obowiązkiem, знаła skądś wcześniej Cecil? I znała jej dziecko. Wiedziała, że Ben nie jest jej synem. Co? Jak myślisz?

Candy zapaliła samochód.

- Chociaż nie. To nie trzyma się kupy - ciągnęła. - Przecież wtedy, w rozmowie telefonicznej, ta kobieta powiedziała, że dziecko było w towarzystwie leciwej damy w wielkim kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych. To nie mogła być Cecil. A może kobieta, u której Cecil wynajmowała pokój, zajmowała się także dzieckiem? Bo przecież Sara Lockhart nie wchodzi w grę. Jeśli nie kłamała, w owym czasie w ogóle nie wiedziała o istnieniu wnuka.

- Poza tym ona nie jest chuda, tylko pulchna - zauważyła Beth. Candy poszperała w torbie i wyłowiła z niej adresy miejsc pobytu

Cecil w ciągu kilku lat przed i po uprowadzeniu Bena: kompleks mieszkaniowy w Minneapolis, okresowe wizyty u rodziców w Chicago.

- Mam - powiedziała w końcu. - Pokój wynajmowany w kwaterach prywatnych.

Candy jechała powoli ulicą, rozglądając się w poszukiwaniu właściwego numeru.

- Francis Scott Fitzgerald mieszkał tu wraz z Zeldą - oznajmiła nagle.

- Przecież o tym wiem - obruszyła się Beth.

- Chciałam przez to powiedzieć, że ta okolica musi stanowić mekkę dla nieokiełzanych i udręczonych dusz.

- A zupełnie na to nie wygląda.

Apple Orchard Court znajdował się jedynie pół kroku od wychuchanych, przedmiejskich domków, otaczających ten kwartał starych, zadbanej budynków z ciemnego drewna w kolorze dobrze wypieczonego piernika. Choć objechały jedynie trzy ulice, Beth już dwukrotnie zauważyła ogłoszenia, że wynajmuje się tu pokoje ze śniadaniem.

- Mogłybyśmy się zatrzymać w jednym z tych miejsc - zaproponowała. - Prawdopodobnie zapłacimy taniej niż gdzie indziej.

- Nienawidzę miejsc z zamkami na drzwiach - odparła jej na to Candy. - Dla mnie nie majak „Best Western”.

Przejechała jeszcze kawałek i łagodnie skręciła w podjazd prowadzący do białego, piętrowego domku o szkielecie z drewna, z pięknie strzyżonymi krzewami rosnącymi wokół masywnej, frontowej werandy.

- Jesteśmy na miejscu. To właśnie tutaj zamieszkała Cecil po rozstaniu z Mężem Numer Trzy.

Starszy mężczyzna, który otworzył im drzwi, nie miał pojęcia, kim jest Cecilia Lockhart.

- Panie potrzebujecie nie mnie, lecz mojego brata. Ale on dziś gra w remika w kościele. Nie wróci przed dziesiątą. Oni zawsze siedzą tam do późna. Choć nawet nie jestem pewien, czy i on wam coś pomoże, bo tak naprawdę to Rosie prowadziła cały ten cyrk.

- Rosie?! - wykrzyknęła Beth.

- Rosemary. Moja bratowa - wyjaśnił starszek. - Ona zajmowała się pensjonatem. Mieszkało tu wiele młodych kobiet i mężczyzn, a niektórzy z tych mężczyzn wyglądali tak, że nie można się było zdecydować, chłop to czy baba. Wiecie, co mam na myśli.

W tym momencie Candy błysnęła swoją odznaką i błaznujący, starszy pan natychmiast spowaźniał.

- Pani jest z policji - zreflektował się.

- Tak, przyjechałam tu aż z Chicago i doprawdy bardzo mi przykro, że niepokoję państwa o takiej porze, ale muszę jak najszybciej zobaczyć się z Rosie. Z Rosemary. Czy jest teraz w domu?

- Och, och, nie - odparł mężczyzna z przejęciem w głosie. - To prawdziwy kłopot. Bo widzi pani, ona poważnie zapadła na zdrowiu. Dlatego siedzimy tu razem - Herb i ja - na wspólnym gospodarstwie. Moja Lydia zmarła w osiemdziesiątym dziewiątym, a teraz Rosie jest tak poważnie chora...

- Zbyt chora, by ze mną porozmawiać?

- Hm, przebywa w domu opieki. Prairie View.

- Gdzie to jest?

- Po drugiej stronie miasta. Przy nowym centrum handlowym.

- Czy mogłabym skorzystać z pańskiego telefonu? Zadzwoń do niej i umówić się na rozmowę?

- Cóż, oczywiście, że pani by mogła. Problem w tym, że Rosie jest w bardzo złym stanie.

- Umierająca? -Nie.

- No więc?

- Bardzo z nią źle. Zapadła na tę chorobę - na Alzheimera. Nic już nie pamięta, tylko takie tam różne z przeszłości.

- Ja właśnie chciałabym porozmawiać z nią o przeszłości - z nadzieją w głosie oznajmiła Candy.

- No, ale ona mówi tylko o tych naprawdę dawnych czasach. Kiedy jeszcze była małą dziewczynką w Sioux Falls.

Candy kiwnęła energicznie głową i pochwyciła dłoń starszka, by wcisnąć w nią swoją wizytówkę.

- Proszę, żeby pan powiedział bratu, że zatrzymałyśmy się w „Best

Western". Będziemy tam dziś przez cały wieczór - byłabym wdzięczna, gdyby do nas zatelefonował. Przyjedziemy do panów bez względu na porę. To naprawdę bardzo pilna sprawa.

- Coś takiego, coś takiego - powtarzał staruszek, wpatrując się w wizytówkę Candy. - Oczywiście, powtórzę mu.

Jednak w tej samej chwili przed dom zajechał powoli wielki, okazały lincoln, z którego wyskoczył żwawo starszy pan - drobniejsza, mniej przygarbiona wersja stojącego w drzwiach brata. Elegancki, w sportowej marynarce z prążkowanej bawełny, energicznym krokiem ruszył wzdłuż podjazdu. Candy zwróciła się w jego stronę. Tak, mężczyzna potwierdził, że nazywa się Herbert Fox i że jego żona, Rosemary, wynajmowała pokoje wielu młodym ludziom. Candy pokazała mu jedno z błyszczących zdjęć Cecil z okresu jej największej świetności jako aktorki i Herbert Fox pograżył się w uważnym studiowaniu twarzy z fotosu.

- No cóż, wygląda bardzo podobnie do jednej dziewczyny - stwierdził po chwili.
- Dziewczyny, która z pewnego powodu zapadła mi w pamięć. Tyle że, widzi pani, tamta miała rude włosy.

- Czy Cecil była kiedykolwiek ruda? - Candy zwróciła się w stronę Beth.

- Farbowała się na wszelkie możliwe kolory.

- Ta, o której mówię, to taka delikatna kruszyna - ciągnął Herbert Fox. - Dużo chorowała, często nie wstawała z łóżka. Moja żona bardzo ją polubiła. Właściwie trochę jej matkowała. Bo widzi pani, ona - choć zupełnie tego nie zauważyliśmy, gdy się do nas sprowadziła - ona... że tak powiem, była przy nadziei.

- A więc to na pewno osoba, o którą nam chodzi - stwierdziła Candy. - Panie Fox, czy Cecilia urodziła dziecko w czasie, gdy zamieszkiwała w pańskim domu?

- Tak, tak, urodziła... to znaczy, niedokładnie tutaj, nie w tym domu, ale wiem, że moja żona zawiozła ją do lekarza, kiedy przyszedł na nią czas. I wtedy właśnie wydarzyło się coś dziwnego. Ta dziewczyna uparła się, żeby Rosie wróciła do domu i zostawiła ją tam samą. No, a gdy jakiś czas potem Rosie pojechała do szpitala Bractwa Maryjnego, okazało się, że oni tam nigdy nie słyszeli o Cecylii... Hill. Tak. Właśnie tak brzmiało jej nazwisko. Cecilia Hill. Widocznie był to fałszywy alarm i ona wtedy jeszcze nie urodziła. Ale też już więcej się u nas nie pojawiła. Przez jakiś czas Rosie się strasznie zamartwiała z tego powodu. Ona, moja Rosie, już wtedy zaczynała zapadać na tę chorobę - byle drobiazg wyprowadzał ją z równowagi. Godzinami potrafiła rozvodzić się

nad jedną sprawą. Oczywiście, nie mieliśmy wówczas pojęcia, jak bardzo poważna jest jej choroba...

- Panie Fox - Candy stanowczo powróciła do tematu - czy Cecilia-Hill wróciła, by zabrać swoje rzeczy?

-Nie.

- Czy wciąż jeszcze pan je przechowuje?

- Nie, nie. Ona nie zalegała z czynszem, więc po jakimś czasie spakowaliśmy wszystko, co u nas zostawiła. Pokój został wynajęty. A gdzieś rok później - gdy Rosie była już bardzo chora - przyjechała tu do nas uroczą, starszą pani i zabrała rzeczy tej dziewczyny. Pamiętam, że zachowała się niezwykle miło. Nalegała, byśmy przyjęli pełną miesięczną opłatę jedynie za przechowanie tego Wszystkiego.

- A czy nie pytała pana o dziecko Cecylii? O ten fałszywy alarm? Czy nie wspominała panu o wnuku?

- Nie, och nie. To była bardzo dyskretna, uprzejma dama.

- A czy pan opowiedział jej o wydarzeniach tamtej nocy?

- Cóż, to przecież była matka tej dziewczyny, prawda? Matki wiedzą o... o różnych intymnych sprawach swoich córek, czyż nie? Uznałem, że to nie moja sprawa, że nie powinienem się w to mieszać, zaś Rosie, nieszczęsne stworzenie, od dawna już straciła kontakt ze światem, więc nawet gdybym dowiedział się czegoś od tej pani i tak nie mógłbym już opowiedzieć o tym mojej żonie. A wypytywanie ludzi dla własnej ciekawości nigdy się nie opłaca.

- Czy opowiedział pan to wszystko policji, gdy przesłuchiwali pana w sprawie Cecylii?

Starszy pan był teraz autentycznie zaszokowany.

- Policja? - wyszeptał. - Co? Czyżby tę dziewczynę spotkało jakieś nieszczęście?

- Nie. Nie, ona... żyje, wszystko z nią w porządku. A więc jest pan pewien, że nie rozmawiał pan z policją na temat Cecylii Hill? Cecylii Hill lub Cecylii Karras?

- Nigdy przedtem z nikim o niej nie rozmawiałem.

Candy westchnęła. Delikatnie ujęła miękką dłoń staruszka, podziękowała mu i grzecznościowo podała parę faktów dotyczących porwania Bena; ale starszy pan nabrał nagle wyglądu człowieka wydrenowanego z sił i energii.

- Jeżeli nie potrzebuje pani więcej informacji, to chętnie położyłbym się już do łóżka - oznajmił.

- Oczywiście, panie Fox. Bardzo nam pan pomógł. Proszę się dłużej tym nie przejmować. Ta sprawa jest już zakończona.

W samochodzie Candy zwróciła się w stronę Beth. Poświata księżycyca sącząca się przez przednią szybę pogłębiała jeszcze bladość jej, już i tak kredowej, twarzy.

- Zapewne zastanawiasz się teraz, czemu policja nie przesłuchiwała Herberta Foksa, prawda? Ja zastanawiam się dokładnie nad tym samym. - Beth już otworzyła usta, ale w tym samym momencie Candy uciszyła ją gestem dłoni. - Poczekaj chwilę, Bethie. Z drugiej strony jednak, czemu właściwie mieliby to robić? Nie istniał żaden powód, by przypuszczać, że Cecil kiedykolwiek miała dziecko. Nie prowadziliśmy też przecież poszukiwań porywacza, wówczas mieliśmy już Cecil pod kluczem. Dysponowaliśmy świadectwem wystarczająco wielu świadków, by odtworzyć jej kroki od chwili uprowadzenia Bena. To wszystko - Candy machnęła ręką w kierunku starannie utrzymanego żywopłotu przed domem Foksów - wydarzyło się jeszcze przed urodzeniem Bena, na wiele lat przed zjazdem absolwentów. Beth odwróciła się od Candy, która powiedziała do jej pleców: - Możesz to nazwać poważnym niedopatrzaniem. Jestem nawet skłonna się z tobą zgodzić. Ale przecież ludzie nie mogą wiedzieć o istnieniu czegoś, o czym nie mają pojęcia.

- Policja może - upierała się Beth.

- Nie, policja szczególnie nie może. Policjanci przypominają ludzi, którzy tak często wchodzą do lasu, że przestają w końcu zauważać drzewa, przynajmniej do czasu, aż jedno z nich nie zwali się im na głowę.

- A jeżeli - odezwała się Beth, próbując opanować łzy - jeżeli ona już kiedyś coś podobnego zrobiła? Jeżeli próbowała coś takiego zrobić? Jeśli zabiła swoje własne dziecko?

- Beth, czy masz jakiś pomysł na to, jak mogłybyśmy to sprawdzić? Jeżeli tak - bardzo bym chciała o tym usłyszeć. Jutro rano odwiedzimy cmentarze. Pojedziemy do biura koronera i poszukamy aktu zgonu, na wypadek gdyby to jednak nie było tylko późne poronienie.

- Cmentarz - powiedziała Beth gwałtownie. Candy zmierzyła ją spojrzeniem.

- W porządku - stwierdziła Beth.

- Może przyjdzie mi jeszcze do głowy ktoś, z kim mogłybyśmy porozmawiać - głośno zastanawiała się Candy. - Chociaż stwierdzenie, że twoja stara przyjaciółka Cecil słabo sobie radziła z tworzeniem stałych, międzyludzkich więzi, byłoby zdecydowanym niedomówieniem, nie sądzisz?

- Ona nigdy nie była moją starą przyjaciółką - zachnęła się Beth, porażona jednocześnie myślą, że Cecil jednak uwikłała się w jeden trwały związek. W ten jeden szczególny związek.

- Przepraszam - powiedziała na to Candy. - Po prostu jestem zmęczona. Strasznie zmęczona... jakbym miała co najmniej sto lat.

- Ja też - przyznała z westchnieniem Beth.

- I najchętniej wypiłabym teraz kilka drinków.

- I ja też - potulnie zgodziła się Beth.

Gdy dotarły do hotelu, okazało się, że został tam jeszcze tylko jeden wolny pokój - dwuosobowy, narożny, na pierwszym piętrze.

- Czy nie macie już nic na trzecim? - nagabywała Candy młodego recepcjonistę.

- Jak to możliwe, że każdy pokój - ile ich tu macie -dwieście?...

- Weźmiemy to, co jest - z irytacją oznajmiła mu Beth.

- To bardzo przyjemny pokój - obruszył się recepcjonista. - A dziś mamy w mieście zjazd orkiestr szkolnych i stąd...

Przez resztę nocy Beth i Candy - rozłożywszy się tak, jak stały, w ubraniach, na wielkich łóżkach - wysłuchiwały tupotu szesnastoletnich, wymachujących batutami i nogami liderów orkiestr, uganiających się z piskiem po hotelowych korytarzach. O północy Candy zamówiła do pokoju cheeseburgery i dzbanek Bloody Mary, po czym z miejsca wypiła dwie szklaneczki alkoholu, pozostawiając swoją bułkę niemal nie tkniętą. Beth skubnęła trochę jedzenia, ale szybko przestała udawać, że je, i też zabrała się do picia.

- Nienawidzę nie wyjaśnionych spraw - oznajmiła Candy. - A na dodatek świętuję dziś kolejny miesiąc idealnie zaplanowanego seksu w okresie idealnie punktualnej owulacji, zakończony kolejnym, idealnym fiaskiem.

- Przykro mi - wyraziła swoje współczucie Beth.

- Mnie też - odparła Candy, otwierając kartę zawierającą listę filmów na wideo, dostępnych w hotelu za niewielką opłatą. - Większość kobiet przez znaczną część ich życia stara się uniknąć ciąży. Ja nigdy nie używałam żadnych wymyślnych środków antykoncepcyjnych. Poza tym byłam przekonana, że gdy tylko zechcę, natychmiast przemienię się w boginię płodności. Wyobrażałam sobie, że będziemy mieć z Chrisem dwójkę dzieci, zanim dopadnie mnie klimakterium. - Popijając Bloody Mary Candy skoncentrowała się na ofercie filmowej. - Chcesz popatrzeć na Arnolda? A może wolisz zmysłowy japoński film o nieszczęśliwej miłości wśród pańszczyźnianych wieśniaków? Przynajmniej przez najbliższy tydzień mogę bezkarnie wlewać w siebie alkohol. Aż do następnej wizyty u doktora Clomida. O, to coś dla nas. „Uwodzicielki”, co o tym sądzisz, Beth?

- Obawiam się, że beznadziejna ze mnie uwodzicielka - stwierdziła Beth z uśmiechem.

- Tak, ty należysz do kobiet od początku do końca oddanych tylko jednemu mężczyźnie - zgodziła się Candy.

- Skąd - zaprotestowała Beth. - Przeszłam w życiu przez okres miłosnych przygód. - Candy się skrzywiła. - Nie, naprawdę. Jeszcze przed Patem. W college'u.

- Myślałam, że w college'u już byliście razem.

- Nie, nie na początku. Wtedy za wszelką cenę starałam się sypiać z facetami, którzy wyglądali tak, jakby odkryli wielką tajemnicę seksu. I zabrało mi wiele czasu uświadomienie sobie, że oni prawdopodobnie dokładnie tak samo myśleli o mnie. Tymczasem ja zaczęłam doceniać seks dopiero gdzieś po trzydziestce, wyobrażasz to sobie?

- Ach, te wszystkie zmarnowane lata - westchnęła Candy. Beth zdała sobie w tym momencie sprawę, że już obie są bardziej niż lekko wstawione.

- A ty? - spytała Beth wojowniczo. - Twierdzisz, że jesteś wielką romantyczką, a z tego, co opowiadałaś, wynika, że większość czasu w swoim życiu poświęciłaś na udowadnianie facetom, że masz fiuta, i to na dodatek większego niż oni.

- I nie myśl, że tego nie żałuję - odparła Candy. - W moim życiu istniały może dwa poważne związki, nie licząc Chrisa.

- Którego oczywiście w ogóle nie możesz liczyć.

- Och, Beth.

- Przepraszam.

- Oczywiście. Przepraszanie leży w twojej naturze. - Candy uśmiechnęła się. - Dwa poważne związki i cała masa idiotycznych historii, w które wikłasz się, bo wydaje ci się, że tak powinnaś się zabawiać, jeżeli jesteś lesbijką, wolną kobietą z feministycznym zacięciem... co w końcu staje się strasznie nudne.

- Naprawdę? - spytała Beth. - Naprawdę nudne? To znaczy, zawsze się nad tym zastanawiałam, chociaż nigdy cię o to nie spytałam... Wydaje mi się, że z kobietą mogłoby być lepiej, mówię o seksie, bo wiesz, czego druga strona oczekuje...

- Chodzi ci o czułość i wrażliwość na potrzeby partnera, tak?

- Ummm... tak.

- Bethie, przykro mi, że muszę cię zawieść, ale wśród lesbijek jest równie wiele egoistycznych, bezdusznych istot jak wśród heteroseksualnych facetów.

Candy uśmiechała się w swoisty, intymny sposób, co nagle sprawiło, że Beth poczuła się bardzo samotna.

- Wiesz - powiedziała w końcu Candy - z Chrisem nie jest tak

strasznie. Dużo przyjemniej niż sobie wyobrażałam, chociaż byłam zdecydowana zacisnąć zęby i znieść wszystko, nawet gdybym tego serdecznie nienawidziła.

- Ale wciąż... jesteś jeszcze w jakimś innym związku, prawda? To znaczy, przecież nie możesz tak po prostu...

- Beth, ja jestem mężatką - napomniała ją Candy.

- Ja tylko miałam na myśli...

- Że w moim małżeństwie jest więcej wyrachowania niż w innych związkach? Jasne, że tak. A może nie? To znaczy, do jasnej cholery, czyż co najmniej połowa ludzi nie zawiera małżeństwa bez miłości tylko dlatego, że chce poczucia bezpieczeństwa, dzieci czy Bóg wie czego jeszcze? My po prostu nigdy nie robiliśmy z tego tajemnicy, nie próbowaliśmy tworzyć iluzji. Jednak czemu miałabym go zdradzać?

- Cóż, Chris przecież wie, że ty...

- A czy ty zdradzasz Pata? Beth zawahała się.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała. Candy westchnęła.

- Pewnie wyzywam się na tobie, bo czuję się dziś jak zbiesiona suka.

Oczywiście, dokładnie wiem, co masz na myśli. Szczerze powiedziawszy, sędzę, że tak naprawdę Chris nie robiłby z tego jakiegoś wielkiego problemu. Ostatecznie, jak często mi przypomina, jest mężczyzną rozumiejącym świat, szcycącym się swoją tolerancją wobec mojej przeszłości. - Candy uśmiechnęła się szeroko. - Widzisz, problem w tym, że to ja czułabym się zawiedziona sama sobą. Uważam, że zdrada jest taka tandetna i taka niska. - Candy spojrzała twardo na Beth, usiłującą teraz rozpaczliwie wywołać wrażenie, że pochłania ją bez reszty gmeranie w swojej szklance łądygą selera. - Czy nie sądzisz, że mam rację, Beth? Czy możesz sobie wyobrazić jakieś bardziej nędzne, odarte z polotu postępowanie?

„Ona wie - pomyślała Beth. - Zawsze przypuszczałam, że ona wie, ale teraz mam już tego pewność”.

- Trudno powiedzieć - wyjąkała Beth, próbując się opanować. - Nie można wykluczać, że istnieją powody, dla których ludzie - może nie ja, ale... czy czasami nie odnosisz wrażenia, że wielka miłość twojego życia wciąż jeszcze gdzieś na ciebie czeka? - „Lub że może spotkałaś ją kiedyś - pomyślała Beth, nie ośmielając się jednak powiedzieć tego w głos - ale ją porzuciłaś, bo chociaż mężczyzna twojego życia był uroczy i seksowny, obawiałaś się, że nie będzie w stanie dyskutować z tobą o rosyjskiej literaturze?”

Candy znów westchnęła.

- Pewnie masz rację. Jak to nazywają? „Trwającym całe życie dialogiem zmysłów i uczuć”. Mnie jednak nie jest to pisane. Najprawdopodobniej. Chris i ja... to zupełnie inna historia. - Candy uniosła się na łokciu. - Wiesz, Beth, bywały takie chwile, gdy sądziłam, że ty i Pat się rozejdziecie. To, przez co musieliście przejść...

„Osiemdziesiąt procent z nas się rozwodzi - pomyślała Beth. - Osiemdziesiąt procent”. Candy oznajmiła jej jednak:

- Ale w jakiś czas później zrozumiałam, że ty i Pat przetrwacie wszystko. Nie można nie zauważyć, jeżeli ludzi łączy... to, co właśnie łączy was.

Następnego ranka pojechały z powrotem na cmentarz Świętego Jana. Beth czekała w samochodzie, podczas gdy Candy weszła do biura, by przejrzeć akta. Mniej więcej po dwudziestu minutach powróciła ze świstkiem papieru w ręku. Weszła do samochodu i usiadła bez ruchu, wpatrzona w przestrzeń, ściskając mocno kierownicę. Beth miała wrażenie, że zaraz eksploduje.

- No i co? - spytała w końcu.

- Bethie, trafiłyśmy dokładnie w dziesiątkę. Spójrz - mówiąc to Candy podniosła kartkę do oczu. - Hill, Samuel Seth. A-14. Ze wszystkich katolickich cmentarzy na całym świecie Cecil wybrała właśnie ten.

Beth nie spodziewała się, że ogarną ją takie emocje. Chciało jej się płakać. Wraz z Candy odszukały w milczeniu małą, prostą, kamienną płytę, na której, pod imieniem i nazwiskiem, wyryto datę: 6 kwietnia 1983 - 14 kwietnia 1983, a jeszcze poniżej: „Jutro i jutro, i ponownie jutro”¹.

- To niesamowite - powiedziała Candy. Beth nie była zdolna wydobyć z siebie głosu. - A więc zmarł zaledwie po tygodniu.

- Ale dlaczego?

- Powikłania związane z wcześniactwem - odparła Candy i widząc spojrzenie Beth, dodała natychmiast: - Widziałam akt zgonu, Beth. Jest w tutejszych archiwach, wydany przez szpital okręgowy. Nie zapominaj, że nasz stary przyjaciel Herb nie miał pojęcia, że Cecil w ogóle była w ciąży, gdy się do nich sprowadziła.

- O Boże.

¹ Wiliam Szekspir, „Makbet”, akt V scena 5. Tłum. M. Słomczyński. (Przyp. tłum.)

- Jak myślisz, co oznacza ta inskrypcja?

- To z Szekspira - fragment rozważań Makbeta nad nicością i bezsensem życia.

Bardzo słynne słowa.

- Obawiam się, że chodziłam do innej szkoły - westchnęła Candy. - To jednak niezwykle wybór na grób dziecka. Ona już wówczas musiała tracić zmysły, Beth.

- Mnie te słowa nie wydają się dziwne - odparła Beth. - Pewnie dlatego, że ja też zaczynałam tracić zmysły, gdy przeżywałam podobne piekło.

W drodze powrotnej prowadziła Beth, a Candy pograżyła się w niespokojnym śnie. Minęły już Rockford, gdy Beth gwałtownie wyprostowała się i ostro nacisnęła na hamulec.

- Co?! - wykrzyknęła Candy. - Co się stało?

- Ona miała białe włosy - stwierdziła Beth.

- Kto miał białe włosy?

- Cecil. Właśnie to sobie przypominałam. Dzień zjazdu absolwentów - nigdy o nim nie myślę, broniłam się przed myślami o tym dniu przez całe dziewięć lat. Ale teraz sobie przypominałam. Gdy tylko przyjechałam, Ellen powiedziała mi, że Cecil ma białe włosy. Farbowane na platynowy blond. A Herbert Fox twierdził, że ona dużo chorowała. I zawsze była chuda. Zazwyczaj zbierała włosy do góry - pamiętasz? George mówił, że zwykle czesała się w kok. A więc ktoś mógł ją wziąć za małą, drobną staruszkę, mimo że jeszcze była młoda - to znaczy, gdy założyła wielki kapelusz i okulary przeciwsłoneczne.

- Detektywie Cappadora, wykonała pani doskonałą pracę - oznajmiła Candy. - Tak właśnie mogło się zdarzyć. Zapewne tak. Dziękuję ci. Teraz będę mogła pojechać do domu i, zgodnie z zaleceniami doktora Clomida, wreszcie porządnie wypocząć. W ten sposób do piątku na pewno już zajdę w ciążę.

Rozdział 29

Nazajutrz rano Beth obudził dźwięk podniesionych głosów - gniewne tony, dochodzące zza okna jej sypialni. Poprzedniego wieczoru padła na łóżko, ruchem dłoni zbywając natarczywe pytania Pata, nie zadając sobie nawet trudu wyszorowania zębów, ograniczywszy się jedynie do zrzucenia džinsów.

Teraz usiłowała dojść do siebie i odzyskać pełnię świadomości - miała wrażenie, że jej głowa jest jak wielki, ciężki kwiat, gotów w każdej chwili odpaść od łodygi. Po chwili przeżyła szok, gdy uprzytomniła sobie, że gniewniejszy z głosów należy do Sama.

- Już ci mówiłem - wykrzykiwał Sam. - Ja tak zawsze spędzam ten dzień!

- Posłuchaj - w odpowiedzi zabrzmiał spokojny głos Pata. - Takie fajerwerki są nielegalne. A my wypłyniemy łodzią Ricka i Laurie, i obejrzymy prawdziwe sztuczne ognie. Będą rozbłyскиwać nad całym miastem...

- Ja mimo wszystko wolałbym zostać z moim tatą - oznajmił Sam. - Zupełnie nie pamiętam Madison. Poza tym, my też zawsze mamy sztuczne ognie, które mój wujek Pete przywozi z Missouri - one są naprawdę super i tylko dorośli je odpalają, więc są zupełnie bezpieczne...

Beth usiadła na łóżku, oparła się łokciami o parapet, by wyrzec przez okno i zobaczyć, co się dzieje na dole. Vincent też tam urzędował - przerzucał jakieś manatki w bagażniku, natomiast Sam i Pat stali na środku podjazdu, dokładnie naprzeciwko siebie. Beth poczuła skurcz serca, gdy spostrzegła, jak bardzo są do siebie podobni w swoich gestach: obaj przybrali identyczną pozę - oparli zaciśnięte pięści na biodrach i wojowniczo mierzyli się wzrokiem.

Beth sądziła, że najcięższym zadaniem, jakie ją tego dnia czeka, będzie nie tyle przedstawienie Patowi faktów, które odkryły wraz z Can-

dy, co próba ich interpretacji, wyjaśnienie ich istotnego znaczenia. Beth już właściwie zdecydowała, że gołe fakty będą musiały na razie wystarczyć... przynajmniej do czasu, aż sama upora się z zamętem, jaki powstał w jej głowie, gdy uświadomiła sobie, że, chcąc nie chcąc, odczuwa wobec Cecil - wobec jej samotnego, jałowego tygodnia macierzyństwa i następujących po nim jeszcze bardziej samotnych i jałowych lat - empatię, której nie potrafi w sobie zdusić.

Beth wyskoczyła z łóżka i wciągnęła dzinsy. Dzisiaj wołałaby rozdzielać walczące ze sobą rozjuszone brytany niż wdawać się w próbę wyjaśnienia swoich uczuć Patowi. On natychmiast powie, że to wszystko jest wynikiem jej kretyńskich ciągot do doszukiwania się wszędzie emocjonalnych dramatów. Będzie się wściekał i zapewne oświadczy, że jej rozważania są na poziomie problemów objawiających się zazwyczaj w drugiej godzinie niskobudżetowych filmów, kręconych dla potrzeb telewizji. Utarczka na dole stanowiła teraz doskonałą okazję do uniknięcia tematu. I kto wie - może Pat ma rację - może Sam rzeczywiście potrzebuje jedynie czasu. Ostatecznie, i tak nie mają innego wyjścia.

Beth zbiegła po schodach i wypadła przed dom. Sam i Pat wciąż się sprzeczali, a teraz nawet Vincent postanowił wtrącić swoje trzy grosze.

- Sam, to naprawdę niezła zabawa - przekonywał. - Mnóstwo łodzi wypływa na jezioro Mendota, ludzie wznoszą okrzyki, cieszą się i tak dalej. Jest fajnie. Spodoba ci się. A do tego Rick i Laurie mają wielki basen za domem...

- Nigdzie nie jadę - oznajmił Sam.

- Przykro mi - powiedział Pat spokojnym głosem - ale jedziesz. Jedziesz razem z resztą rodziny, bo tak właśnie zaplanowaliśmy ten dzień. Wejdę teraz do domu po pozostałe bagaże, a gdy twoja mama się ubierze i Kerry już będzie gotowa, wsiądziemy wszyscy do samochodu i wyruszymy w drogę.

- Moglibyśmy też pokazać ci nasz stary dom - zasugerował Vincent. Beth poczuła nagły przyływ dumy, który ją samą zaskoczył; Vincent powiedział to takim rozsądnym tonem, w jego słowach pobrzmiwała niemal rodzicielska nuta. - Nie chciałbyś obejrzeć domu, w którym kiedyś wszyscy mieszkaliśmy?

Wciąż naburmuszony Sam odparł:

- A po co miałbym oglądać wasz dom? Przecież ja nie pamiętam czasów tuż po moim urodzeniu.

- Nie jesteś ani trochę ciekawy? - spytał spokojnie Vincent. - Lin-

coin też zapewne nie pamiętał dnia swoich narodzin, a założę się, że z przyjemnością powracał do malej, drewnianej chaty. Sam odpowiedział mu na to bez zastanowienia:

- Was nie interesuje moje życie. Nigdy nie przyszlście obejrzeć mojego pokoju. I na dodatek nie lubicie mojego taty.

- Oczywiście, że lubimy George'a, Sam - wtrąciła Beth. Sam spojrział na nią nagle, dopiero w tym momencie uświadamiając sobie jej obecność. - To nie o to chodzi, że go nie lubimy...

- Ale zupełnie nie obchodzi was, co on sobie myśli.

- To prawda - radośnie potwierdził Vincent.

- Vincent - ostrzegawczo warknęła Beth.

- Nie znosicie go, bo inaczej pozwolilibyście mi spędzić z nim święto Czwartego Lipca tak, jak chcę.

- Posłuchaj - włączył się Pat, oddychając teraz z wyraźnym wysiłkiem. - Jesteś naszym synem, a nie synem George'a. Staramy się, jak możemy, Sam, ale niektóre rzeczy będziemy, do cholery, robić w naszym rodzinnym gronie. Takie są reguły tej gry i one nie podlegają dyskusji.

- Wy po prostu chcecie się mną pochwalić! - wrzasnął Sam i w tej samej chwili, uderzony własnymi słowami, odwrócił się w stronę Beth. - Przepraszam - powiedział. - Ja tak naprawdę nie myślałem.

- Wiem - uspokoiła go Beth. - A teraz idź po swoją rękawicę baseballową czy cokolwiek innego, co zamierzasz ze sobą zabrać, i jedźmy już. - Sam powlókł się w stronę domu, a za nim natychmiast ruszył Beowulf z radosnym poszczekiwaniami.

Beth zwróciła się w stronę Pata, olśniona nagłym pomysłem.

- Wiesz co? Weźmy dwa samochody. Chcę jutro pojechać do Pesh-tigo, zrobić trochę zdjęć. I pomyślałam, że mogłabym zabrać Sama ze sobą. Pojechalibyśmy we dwoje - tylko on i ja. Spędziłabym z nim trochę czasu.

Beth zauważyła, jak ruchy Vincenta ulegają spowolnieniu, ujrzała nagle wpatrzony w siebie jego oczy i pod wpływem tego spojrzenia poczuła, że ma ochotę zniżyć głos do szeptu.

Ale Pat niczego nie zauważył. Wykrzyknął więc:

- Teraz? Dlaczego do diabła właśnie teraz?

- Paddy, nie wściekaj się. Po prostu pomyślałam, że jeżeli już będę w połowie drogi... Tak czy owak planowałam coś podobnego, sędzę, że jeżeli damy mu szansę porozmawiania z każdym z nas z osobna, może uda się nam zmienić nieco obecną sytuację. Przecież nie ma w tym nic złego, prawda? Mam wrażenie, że właśnie teraz nadszedł dobry moment - on się chyba powoli otwiera, nie odnosisz takiego wrażenia?

Pat sztywno podszedł do werandy i dźwignął jeden z bagaży.

- Rób, jak chcesz, Bethie - oznajmił. - Tylko przypadkiem nie spodziewaj się jakichś poważnych wynurzeń - jakiegokolwiek emocjonalnego spotkania matki i dziecka. Spędziłem z nim mnóstwo czasu: tutaj, na boisku do koszykówki, na stadionie i w restauracji, i mówię ci, ten dzieciak nie ma najmniejszej ochoty na zwierzenia. Jest tak opanowany, że aż mu zazdroszczę.

- Wiesz, może on po prostu nie ma odwagi mówić o pewnych rzeczach - zasugerowała Beth. - Dziś rano nie robił wrażenia najbardziej opanowanej istoty na świecie.

Na twarzy Pata pojawił się uśmiech znużenia.

- Rób, co chcesz - powtórzył. Sam wyszedł z domu i stanął na werandzie. Pat zwrócił się w jego stronę. - Zbieraj się, kolego. Jak chcesz, możesz jechać w samochodzie z mamą.

Jednak Sam, w ostatnim wysiłku zachowania twarzy, uparł się, że będzie podróżował z Patem i Vincentem, pomimo że Kerry błagała go, by wsiadł razem z nią do starego volvo Beth i zagrał w samochodowe bingo.

U Ricka i Laurie humor zdecydowanie się Samowi poprawił. Radośnie taplał się w ich basenie, pochłonał nie jednego, ale trzy hamburgery przyrządzone przez Ricka z całym mnóstwem dodatków - według jego własnej receptury. Tuż przed zapadnięciem zmierzchu wszyscy wypłynęli łodzią Ricka z pirsu w Robertson. Rick nieustannie wypominał Laurie, że przez wszystkie lata wyśmiewała go za pływanie tak wielką łajbą po jeziorze rozmiarów znaczka pocztowego.

- Założę się, że teraz cię to cieszy, prawda? Widzisz, bez trudu pomieściliśmy na niej dziewięć osób - powtarzał Rick do znudzenia, aż w końcu Laurie zaczęła rzucać w niego kapokami.

Ciemne wody kołysały ich łagodnie na środku jeziora. Po krótkiej chwili na wschodzie i na północy zaczęły rozbłyskać sztuczne ognie, obmywając twarze dzieci zielonymi, niebieskimi i fioletowymi smugami światła. Beth ukradkiem obserwowała Sama i w pewnej chwili wydawało się jej, że dostrzega w jego oczach łzy. Sam jednak szybko spostrzegł jej wzrok i zmusił się do szerokiego uśmiechu, jakby usiłował jej udowodnić, że mimo wszystko jest dobrze ułożonym chłopcem i ani trochę nie rozpuszczonym. W tej sekundzie Beth miała ochotę przygarnąć go do siebie i jak najmocniej przytulić. „Jutro - pomyślała - jutro i ponownie jutro”.

Nazajutrz wyruszyli dopiero wczesnym popołudniem po późnym, długim śniadaniu, niekończących się pożegnaniach i nerwowym, czte-

rokrotnym przekładaniu toreb i toboiów z bagażnika jednego samochodu do drugiego. Gdy już teoretycznie byli gotowi do drogi, Vincent, korzystając ze swojego nowiutkiego prawa jazdy, wziął bez pytania samochód Pata i udał się z niespodziewaną wizytą do Aleksa Shore. Po tych rozlicznych perypetiach Sam i Beth, rozsiadłszy się w jej volvo, oboje zmęczeni, z zadowoleniem poświęcili pierwszą godzinę podróży na słuchanie Toma Petty'ego, śpiewającego o grzecznych dziewczynach uwielbiających Elvisa. Autostradą numer 51 Beth kierowała się w stronę Fond du Lac, gdzie pojedyncze drzewa zwiastowały początek lesistych terenów, po czym skręciła w drogę numer 41, przechodzącą obok Green Bay, nieopodal cypla jeziora Michigan. Z jakiegoś powodu Beth ogarnęło niezwykle ożywienie, czuła się odrodzona i wolna, więc gdy Sam nagle zaczął wtórować jej podśpiewywaniom w takt muzyki z radia, Beth roześmiała się, pełna uznania dla jego talentu.

- Gdzie nauczyłeś się podstaw harmonii?

- Moja mama umiała śpiewać - odparł Sam radośnie, po czym natychmiast się zreflektował i spojrzał na Beth spod oka. - Przepraszam - powiedział.

- Kochanie - łagodnie odparła Beth - wiem, że ona umiała śpiewać. Miała naprawdę piękny głos. To dobrze, że ty też potrafisz śpiewać.

- Znałaś moją mamę. - To nie było pytanie. - To znaczy, chciałem powiedzieć, że znałaś Cecilie.

- Jasne - potaknęła Beth, czując, jak przyspiesza jej puls. Sam nigdy wcześniej nie prowadził podobnych rozmów. - Wszyscy ją znali. Była śliczna i bardzo utalentowana. A we mnie budziła zazdrość, bo przyjaźniła się z ciocią Ellen - z moją najlepszą przyjaciółką Ellen.

- Dlaczego zazdrość?

- Bo Cecil robiła wrażenie takiej... dojrzałej. Bałam się, że Ellen polubi ją bardziej niż mnie. Ale tak się nie stało.

„Mój Boże - pomyślała Beth - po jaką cholere powiedziałam coś podobnego?”

- Czy była miła?

- Była taka... ludzie do niej lgnęli. Zawsze uważali ją za gwiazdę.

- Ale ja nie.

Beth poczuła kołatanie w żołądku. „Powoli - pomyślała. - Tylko spokojnie”.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że dla ciebie nie była miła? Sam się roześmiał.

Wybuchnął śmiechem!

- Nie. Ja nigdy nie uważałem jej za gwiazdę. Była po prostu moją mamą. Tata mówił mi, że kiedy jeszcze byłem mały i widziałem ją w te-

lewizji, mówiłem tylko: „O, tam jest mamusia”. - Beth próbowała się roześmiać, ale zdołała jedynie wydobyć z siebie parę chrapliwych dźwięków. „Pomóż mi, Boże - pomyślała. - »Mamusia«, o Boże, pomocy”. Sam nagle zrobił się bardzo rozmowny: - Czy moja mama... już wtedy była umyślowo chora? Beth skrzywiła się.

- Nie. Ona tylko... różniła się od nas. - Beth poczuła, jak Sam sztywnieje, próbowała się więc wycofać. - Nie w jakikolwiek niekorzystny sposób. Po prostu zawsze... zachowywała się jak aktorka.

- Czasami wydaje mi się, że zachorowała z powodu tego, co zrobiła.

Niewiele brakowało, a Beth wpadłaby w poślizg - w ostatniej chwili zdołała zapanować nad kierownicą. Czyżby on próbował jej powiedzieć, iż zawsze miał świadomość, że Cecil go uprowadziła?

- Z powodu tego, co zrobiła? Co masz na myśli?

- Że ukradła dziecko. Od kiedy was poznałem, myślę czasami, że ona nie zachorowała psychicznie, dlatego że... że byłem dla niej zbyt kłopotliwy wtedy, gdy jeszcze wychowywała mnie sama. Może zapadła na tę chorobę z powodu tego, co zrobiła dużo wcześniej.

- Sam - powiedziała Beth powoli i dobitnie - ty nigdy nie sprawiałeś żadnych problemów. Byłeś najmniej kłopotliwym dzieckiem na świecie. Zapytaj tatę. Natomiast Sara... twoja babcia Lockhart, twierdzi, że Cecilia chorowała czasami, jeszcze kiedy była małą dziewczynką.

Sam kiwnął głową. „Przecież sama tego chciałaś, prawda? - pomyślała Beth. - Czy powinnam brnąć dalej, ryzykując, że zniszczę tę wątłą, delikatną więź? Z drugiej strony, podobna chwila może się więcej nie powtórzyć. A tak wiele chwil w jego życiu już i tak mnie ominęło”.

- Sam - odezwała się w końcu. - Zastanawia mnie, czy wiedziałeś, że Cecil nie jest twoją... prawdziwą mamą.

- Nie. Zawsze sądziłem, że jest.

- To znaczy, że zacząłeś myśleć o przyczynach jej choroby dopiero tej wiosny, kiedy do nas wróciłeś.

- No właśnie. Czy masz jakieś inne kompakty? Beth zgłupiała.

-Co?

- Jakiegolwiek inne. Bo ta płyta znów gra od początku. Może masz jakichś starych Beatlesów czy coś w tym rodzaju?

- Sam, chciałabym jedynie, żebyś wiedział, że to nie była... - Jednak Sam już grzebał w samochodowym schowku i całą swoją postawą wyrażał jasno: „Koniec dyskusji”. A więc Beth wyszukała mu płytę Animalsów i zaczęła snuć opowieści o Peshtigo, modląc się w duchu, by

Sam jeszcze raz się otworzył, by ponownie dać się nakłonić do zwierzeń.

- Czy wiesz coś o Wielkim Pożarze Chicago? - spytała. Sam posłał jej żalodne spojrzenie.

- Umm... tak.

- A czy wiesz, że jeszcze straszniejszy pożar wybuchł w Peshtigo, małym miasteczku, do którego teraz jedziemy, i to tego samego 1871 roku i w tym samym dniu?

- Nabierasz mnie.

Beth w końcu przytuliła go i zajęła pod Muzeum Pożaru, mieszczące się w starym kościele tuż przy zjeździe z Czterdziestej Pierwszej.

- Możemy je zwiedzić. To całkiem ciekawe. Wewnątrz zgromadzono wszystko, co udało się odnaleźć po pożarze, na przykład narzędzia rolnicze, powyginane od gorąca. Ten pożar nazywają tu „wielkim tornado ognia”. Chcesz wejść do środka?

- Czy to właśnie chcesz fotografować?

- Nie. Chciałabym zrobić trochę zdjęć na małym cmentarzu na końcu drogi, gdzie pochowano większość ludzi, którzy zginęli w pożarze.

- Czemu?

- Bo ja wiem? Lubię cmentarze. - „Jutro - pomyślała. - Jutro i jutro, i ponownie jutro”. - A to... wiesz, to była straszna tragedia. Wszystkie budynki w miasteczku zostały doszczętnie spalone. Wszystkie - bez wyjątku.

- A ludzie... ?

- Zginęły setki osób. Widzisz, Sam, o wiele więcej niż w pożarze Chicago, ale ponieważ to było duże miasto, wszyscy skoncentrowali się tylko na nim.

- Pojedźmy więc na cmentarz.

- Okay.

No dobrze - pomyślała Beth. - Tylko czy aby na pewno przypomnę sobie, jak tam dojechać?" Wsiadli do samochodu i Beth zawróciła. Ostatni raz była w Peshtigo... kiedy?... w 1991? Wówczas robiła zdjęcia dla „Midwest Living”, do serii artykułów poświęconych tradycyjnym obrzędom i miastom-widmom. Jednak ledwo udawało się jej wygrzebać ową sesję zdjęciową z pamięci - jak większość wydarzeń, które nastąpiły w okresie kilku pierwszych lat po porwaniu Sama, ta wyprawa również wydawała się jedynie nierealnym sennym majakiem. Gdy teraz patrzyła na wglądówki z tamtego okresu, nie pamiętała, by swoim obiektywem kiedykolwiek kadrowała podobne ujęcia, by kiedykolwiek

spotkała uwiecznionych na nich ludzi, z którymi kiedyś przecież musiała rozmawiać, spędzić kilka godzin swojego życia.

O wiele wyraziściej pamiętała swoje dawne wizyty w Peshtigo -jeszcze z czasów przed zaginięciem Bena. To miasto od bardzo dawna stanowiło jej fotograficzną mekkę. Pewnego razu, na samym początku ciąży z Kerry, robiła zdjęcia grobów członków jednej rodziny, usytuowanych pod potężnym drzewem, na małym cmentarzu w pobliżu kościoła: Sarah - Najdroższa Żona; Alvey - przeżył rok; Maria - przeżyła dwa lata; Arthur - Mąż i Ojciec. Beth położyła się wówczas na trawie, tuż obok ich szczątków, i pomyślała - jak zwykle, gdy w czasach swojej pracy dla rozmaitych gazet patrzyła na nosze obciążone drobnymi, nakrytymi kocem ciałkami, tak drobnymi, że wydawały się niemal pozbawione kształtu: „Jeżeli całkowicie oddam się temu uczuciu, jeżeli uda mi się przeżyć ich ból, wówczas uchronię moje dzieci przed najgorszą z katastrof. Przez post i cierpienie dostąpię rozgrzeszenia - nie dotknie mnie osobista tragedia. Śmierć wciąż będzie kosić na oślep, ale nie dosięgnie Vincenta, nie dosięgnie Bena”.

Dzisiaj pamięć o tej istocie, która autentycznie oddawała się podobnej wierze, napełniła Beth wstydliwą żalnością. Była wówczas niczym dziesięciolatek wciąż jeszcze przekonany o istnieniu Świętego Mikołaja.

Owe wędrówki wraz z dawną, naiwną Beth sprawiły, że nie zauważyła wjazdu na cmentarz, zaznaczonego skromnym, żelaznym łukiem, i musiała zawrócić na oszałamiająco zielonym polu. W tym momencie przypomniała sobie, że na skutek modernizacji dróg trzeba było przenieść najstarszą część cmentarza na wzgórze, o cały kwartał dalej od jego pierwotnego położenia.

- To tam chciałabym pojechać - powiedziała do Sama, wskazując na pobliskie wzniesienie. - Tam leżą ludzie, którzy zginęli w pożarze.

Wjechała na teren cmentarza wznoszącą się drogą żwirową, zaparkowała i zaczęła pospiesznie rozpakowywać swój sprzęt. Zostało jej już niewiele popołudniowego, późnego światła - miękkiego, o soczystym wysyceniu - a właśnie ów ciepły, pomarańczowy ton chciała wykorzystać w kompozycji z prostokątami i łagodnymi wyokrągleniami nagrobków. Dla wzmocnienia efektu świetlnego wzięła swój niewielki flesz, wyciągnęła futerał z hasselbladem i składany reflektor - tak nowy, że wciąż jeszcze sztywno i dziwacznie układający się w jej dłoni.

- A co ja mam wziąć? - zapytał Sam i Beth nagle zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze zaskakiwała ją jego naturalna uczynność, jego dobre maniery i staranne wychowanie.

Podała Samowi swoją torbę i zaczęli wspinać się wąską, kamienną ścieżką. Beth obserwowała swojego syna, tylko na wpół świadoma rozgrywającego się tuż przed jej oczami dramatycznego spektaklu popołudniowego światła. Spostrzegła natomiast duży nagrobek otoczony mniejszymi grobami, niczym dziećmi oblegającymi biurko nauczyciela.

- Sfotografujmy to - powiedziała Samowi; Sam przyglądał się jej pilnie, gdy kucnęła, kadrując obraz od podstawy największego pomnika.

- Co widzisz? - zapytał ją Sam.

- Chciałabym uchwycić kontur tego dużego nagrobka na tle nieba i pokazać, jak góruje nad otaczającymi go grobami, niemal tak, jakby je ochraniał. Popatrz... - Beth zdjęła aparat z szyi i przystawiła wizjer obiektywu do jego oczu. - Widzisz?

-Aha.

- Chcesz to sfotografować?

- Jeszcze nigdy nie używałem tego rodzaju aparatu.

- To proste - zapewniła go Beth i, pokazując mu wszystkie przyciski, położyła swoją dłoń na jego palcach, przeżywając drobny wstrząs, który wciąż jeszcze odczuwała, ilekroć dotykała jego aksamitnej skóry. -Ja wstanę, a ty zrobisz zdjęcie.

Podniosła się, cofnęła o krok i wpadła na coś twardego; gwałtownie odwróciła się na pięcie, niemal przewracając starszego mężczyznę. Wykrzyknęła z przestachu, ale ku jej uldze, mężczyzna odsunął pasiasty kapelusik na tył swojego spalonego słońcem czoła i wybuchnął śmiechem.

- Wzięła mnie pani za ducha? - spytał. A gdy zauważył Sama tak pochłoniętego strzelaniem migawką, że nawet nie odwrócił się na krzyk Beth, spytał: - Kim jest ten fotograf?

- Moim synem - odparła Beth. - Choć właściwie to ja jestem fotografikiem. Na tym polega moja praca. Ale dzisiaj się tu tylko razem zabawiamy. - W tym momencie Sam wstał i wyciągnął na powitanie dłoń, uprzednio starannie zawiesiwszy aparat na szyi.

- Dzień dobry - powiedział, a starszy pan, ujmując dłoń chłopca, posłał Beth konspiratorski uśmiech, dając jej do zrozumienia, że każdy powinien być dumny z niemal archaicznej grzeczności tego dziecka.

- Nazywam się Will Holt - oznajmił staruszek.

- Ja jestem Beth. Przyjechałam z Chicago. A to Sam. Czy pan tu pracuje?

- Pracuję tutaj i mieszkam tutaj. - Jego chłopską twarz, naznaczoną głęboko żłobioną bruzdą, biegnącą od oczu do samej brody, rozjaśnił

uśmiech. - To znaczy, nie mieszkam tutaj. Przynajmniej jeszcze nie, choć zapewne kiedyś nadejdzie ten dzień. Mieszkam w Peshtigo. Od urodzenia.

- Szukam grobów ludzi, którzy przeżyli pożar. Mężczyzna zaśmiał się ponownie, tym razem głośniejsze.

- Obawiam się, że nie znajdzie pani nikogo takiego, młoda damo.

- Oczywiście, chciałam powiedzieć: ofiar pożaru - zarumieniła się Beth.

Dopiero w tej chwili spostrzegła, że za Holtem stoi niewielki wózek - przypominający kształtem wagonik wypełniony, o ile Beth mogła dobrze dostrzec, masą czerwonych i niebieskich kwiatów oraz stosami małych, amerykańskich chorągiewek. Idąc za jej wzrokiem Holt wyjaśnił:

- Czwartego Lipca. Postanowiłem uprzątnąć groby, zanim spadnie deszcz i wszystko zmarnieje. Zwiędłe kwiaty przygnębiają ludzi. Bożonarodzeniowe wieńce tkwiły tu aż do lutego. Bardzo mi było przykro z tego powodu. Ale zapadłem na gripę i całą zimę czułem się jak słabe kocię.

- Czy mogę sfotografować ten wózek? Holt machnął ręką w stronę wagonika.

- Pewnie, czemu nie. Sam podałem jej aparat.

- Czy to wszystko z grobów żołnierzy? - spytał Holta.

- Nie, nie wszystko, synku - odparł starszy. - Większość zebrałem z grobów zwykłych ludzi. Rodziny pamiętają o swoich zmarłych w czasie świąt. - Po czym zwrócił się w stronę Beth, która już zrobiła zdjęcie, i mówił dalej: - Większość grobów ludzi z pożaru jest tam, na wzgórzu. Niedokładnie na środku, ale nieco z boku, pod osikami. Oczywiście, kiedyś te groby były gdzie indziej; ale fragment cmentarza przeniesiono na to wzgórze kilka lat temu.

- Wiem - odparła Beth. - Ja już tu bywałam.

- Ach, mieszka pani gdzieś w pobliżu?

- W Chicago - powtórzyła Beth. - Ale kiedyś mieszkałam w Madison.

- Madison - westchnął Holt. - Chodziłem do college'u w Madison. Do szkoły agrotechnicznej. A potem byłem agentem szacunku ziemi hrabstwa Langlade przez więcej lat, niż można spałować. - Podeszedł sztywno do swojego wózka i chwycił za dyszelek. - Ale w końcu przeszedłem na emeryturę, no i tak. I teraz zajmuję się tym cmentarzem, gdy przyjdzie mi na to ochota. Marny z tego grosz. Lecz mam dużo

spokoju. Dawniej to jeszcze kopaiem z innymi groby, ale teraz już mają do tego specjalną maszynę.

Holt ruszy! przed siebie, a Sam podążył za nim. Po chwili dogoniła ich Beth. Szli wzdłuż szerokiej, połyskliwej, trawiastej drogi, ciągnącej się aż po skraj cmentarza. W pewnym momencie minęli grób, który swoją oczywistą nowością zupełnie nie pasował do otoczenia. „Ca-ron Anne, Nasza Najmłodsza” - głosił wyryty napis. Pod spodem umieszczono datę: „1985-1988”.

- O, to najmłodsza Willardów. Przedziwna historia, zmarła na infekcję ucha. Wydaje się, że moje wnuki łapią coś takiego każdego tygodnia i żadnego z nich to nie zabiło. Jej matka chciała, by spoczęła tutaj, choć teraz większość ludzi woli obszar w pobliżu kościoła - widok stamtąd ładniejszy. No, ale wszyscy byliśmy tak przygnębieni tą śmiercią, że nie mieliśmy odwagi zaproponować matce czegoś innego. Na dodatek leżą tu całe pokolenia Willardów, tak więc mała jest tutaj wśród swoich.

Ruszyli naprzód.

- O, tu też jest pochowane dziecko - zauważył Sam chwilę później.

- Ano, masz rację, synku - Holt pokiwał głową i zdjął swój kapelusz. - Takie miejsca jak to powinny być zarezerwowane dla starych ludzi jak ja, ale życie nie zawsze się tak układa. Ta dziewczynka tutaj - Grace Culver - była w wieku mojego najstarszego, Billa. Gdy jechali w szkolnym autobusie, jej brat powiedział, że jak przyjadą do domu, zastrzeli ją z broni ich taty. I tak zrobił. To było w 1956... tak, w 56.

- Mój Boże jedyny - wyszeptała Beth.

- Och, przepraszam, przepraszam panią bardzo - powiedział Holt, wskazując na Sama. - Nie zamierzałem go przestraszyć.

- Ja się nie boję - oznajmił Sam bez mrugnięcia okiem. - Kiedyś zostałem porwany.

Holt pytająco spojrzął na Beth. Beth pokiwała głową.

- Tak było - potwierdziła.

- I nie bałeś się? - spytał Holt Sama.

- Nie. Wtedy byłem bardzo mały. A moja mama, ona... W każdym razie, odnalazłem się całkiem niedawno, tuż przed wakacjami.

- Więc nie było cię przez wiele miesięcy?

- Przez wiele lat. Prawie całe moje życie.

Beth poczuła się nieswojo, poprawiła aparat na szyi.

- To było... prawdopodobnie czytał pan o tym... wówczas mieszkaliśmy w Madison. Benjamin Cappadora.

- Och, mój Boże, tak, och tak - wyszeptał Holt. - Wielkie nieba,

tak. - Spojrzał na Sama lustrującym wzrokiem. - A jednak wydaje się, synku, że wyszedłeś z tego cało. - Po czym zwrócił się w stronę Beth: - Pani też, jak widzę. Czy wszystko już w porządku?

- Tak, w miarę - odparła Beth, siłą tłumiąc w sobie nagłe pragnienie oznajmienia temu przyjaznemu duchowi, napotkanemu na niewielkim cmentarzu: „Panie Holt, przez te wszystkie lata powinien się już pan nauczyć, że nie należy wierzyć we wszystko, co ma się przed oczami; nasz syn został porwany i tak naprawdę nigdy nie udało się nam go odzyskać, choć być może przeczytał pan co innego w magazynie »People«. - Chciała go też zapytać: „Panie Holt, wiele pan w życiu doświadczył, a więc nieobca panu natura ludzka. Czy ten grzeczny, ciekawy życia młody człowiek wydaje się panu pogodzony ze światem? Czy wygląda jak syn marnotrawny jednej z najszcześniejszych rodzin w Ameryce? A ja? Czy wyglądam na jego matkę? A może jedynie na aktorkę, bez sensu obsadzoną w tej roli. Widzi pan, tak naprawdę to jego druga matka była aktorką...”

W tej samej chwili Sam spytał Holta, czy groby, przy których się zatrzymali, są grobami ofiar pożaru.

- Wszyscy mają to samo nazwisko - zauważył Sam.

- Widzisz, Sam, to kolejna ponura historia. Carrie Moss i jej czwórka dzieci. Najstarsze miało jedenaście, najmłodsze trzy lata. - Beth spojrzała w dół na zadbane płyty z szarego kamienia, wszystkie dokładnie takie same. Później przeniosła wzrok na Sama. Czy powinna powstrzymać Holta? To takie przygnębiające opowieści. Jednak Sam słuchał jak urzeczony. - Ten gość pracował na kolei. Nigdzie nie umiał zagrzać miejsca, włóczył się to tu, to tam, już taki był z niego typ. Ale urodził się tutaj. Z tego, co mówił, gdy już go złapali w Madison, wynikało, że kochał się w Carrie Moss od dziecka. Pewnego dnia, gdy jej mąż pracował w polu - ot, nawet nie pół kilometra od domu - on zjawił się u nich.

- Ten człowiek... - Głos Sama był niski, zduszony. - Zabił ich wszystkich?

- Tak - odparł Holt beznamiętnie. - Ich dom wciąż jeszcze tu stoi - przy drodze, niedaleko Keller Creek. Ładny. Ale nikt nigdy nie chciał go kupić. A Frank Moss przeprowadził się do Des Moines. Nie, nie, pomyliłem się. Do Dubuque. To wszystko wydarzyło się tuż przed zakończeniem wojny - w 1943. Cóż, nie wszystkie zbrodnie popełniane są w Milwaukee - skąd. I nie wszystkie zdarzają się w Chicago. - Podeszli jeszcze kawałek w górę wąską ścieżką. Na lewo od dróżki stał samotny nagrobek i Beth aż przystanęła z wrażenia. „O, nie” - pomyślała. Miała nadzieję, że Sam nie zauważy.

David Taylor Holt. Żadnej daty, jedynie wygrawerowany kwiat lilii wodnej na płycie z różowego marmuru. Sam przykucnął i dotknął nagrobka.

- Czy to ktoś z pana rodziny? - spytała miękko Beth.

- Uhm - potaknął starszy pan. - Z przykrością muszę stwierdzić, że to mój syn.

- Czy zginął na wojnie? - spytał Sam. - Czy był żołnierzem?

- Sam, przestań - napomniała go Beth.

- Nie, nie, wszystko w porządku - zapewnił Holt. - Cieszę się, że pochowaliśmy go tutaj, a nie w Beloit, gdzie mieszkał. On nie był żołnierzem, synku, chodził do college'u.

- Czy on... czy chorował? - zapytał Sam.

- Nie, nie - odparł Holt. - Choć może w pewnym sensie tak można by to określić. Sądziłyśmy, ja i jego mama, że to taka faza w jego życiu, jaką przechodzi większość chłopców: za dużo alkoholu, gorsze oceny, opuszczanie zajęć. Ale on, myślę, że można to tak określić, cierpiał na depresję. Kochał się w pewnej dziewczynie, a ona - jakby tu rzec... nie odwzajemniała jego uczuć. I pewnej nocy on wrócił do siebie, dużo przedtem wypił, wjechał samochodem do garażu tego domu, gdzie wynajmował pokój. I po prostu nie zgasił silnika, a miał pełen bak benzyny. Kobieta, która wynajmowała mu pokój, biedaczka, omal sama nie zginęła.

- A więc był umysłowo chory - zawyrokował Sam. - To przykre.

- Sam! - Beth nie wiedziała, co powiedzieć.

- Masz rację, Sam. On był umysłowo chory. Tylko myśmy nie zdawali sobie z tego sprawy. - Holt pochylił się i zgarnął z płyty kilka zwiędłych, pozlepianych liści.

- Jego mama, ona myśli, że Donnie po prostu zasnął, że to był wypadek. I muszę przyznać, że mówię jej, iż ja też tak uważam. Ale naprawdę wiem, że to było inaczej. Znalazłem coś w jego rzeczach, chyba fragment wiersza. Taki smutny jak te wszystkie piosenki country. Napisał tam: „Może jestem silny, a może słaby, ale już zbyt długo stąkam po tym świecie - podłym i krwawym”. Stąd wiem, że nie chciał już dłużej czekać na swój koniec. A te słowa napisał jeszcze przed Bożym Narodzeniem, kiedy przyjechał do domu na ferie. Kilka miesięcy przedtem. No cóż, no cóż. Minęło już dziesięć lat.

- Tęskni pan za nim - powiedział Sam.

- Pewnie, że tak - odparł Holt. Otrząsnął się. - Groby, których szukacie, są tam na górze, po lewej - oznajmił. - Przepraszam, ale tu muszę was pożegnać.

- Oczywiście - odparła Beth. Jednak nie chciała, żeby odszedł. Pra-

gnęła go zabrać do jakiegoś przytulnego, pełnego domowych aromatów miejsca, jak na przykład Pepper Pot w centrum miasteczka, i kupić waniliową colę i steki dla niego i Sama. Mogliby razem usiąść i porozmawiać w ciepłym blasku żółtego światła, aż wszyscy poczuliby się nasyceni i pełni siły.

- Wszystkiego najlepszego, Beth - pożegnał ją Holt, wciągając wózek na niewielką ścieżkę. - Sam, opiekuj się mamą.

- Ja też życzę panu wszystkiego najlepszego - powiedział Sam, klękając znów obok nagrobka z różowego marmuru. - Jak myślisz, czemu jest tutaj lilia wodna? - spytał Beth.

- Nie wiem. Może to były jego ulubione kwiaty.

- Ale one strasznie śmierdzą. Za to ten starszy pan jest bardzo miły.

- To prawda - zgodziła się Beth. - Co za smutna historia.

- Taaak - Sam zawahał się przez chwilę. - Smutna dla niego czy dla jego syna?

- Dla obu.

- Jeżeli chodzi o niego - Sam wskazał na różowy kamień, połyskujący w ostatnich promieniach słońca - to nie jestem taki tego pewien. Może dla niego to i lepiej, że tak się stało.

Beth zamarła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że jeżeli był rzeczywiście taki strasznie smutny, to lepiej dla niego, że tak... po prostu zasnął. Myślę, że śmierć to nie jest najgorsza rzecz na świecie.

Beth zachwiała się, usiłowała zaczerpnąć powietrza. Miała ochotę mocno potrząsnąć Samem, może nawet go uderzyć.

- Sam, on umarł. Jego życie na zawsze się skończyło. On nie zasnął. Odebrał życie sobie, zabrał je swoim rodzicom, i to dla przyczyny, z którą bez trudu uporałby się w miarę upływu czasu.

Sam uparcie rozgrzebywał miękką ziemię czubkiem buta.

- A może nie. Może był już na to zbyt smutny.

Beth pomyślała, że za chwilę upadnie. Ziemia pod jej stopami zdawała się ciągnąć ją z całą mocą, przyciągać ku sobie siłą zalegających tu od wieków łez bólu i żałoby. Coraz gorzej, coraz gorzej - ostrzegały ją szczątki zmarłych poprzez szum w liściach osik. Coraz gorzej i gorzej.

Śmierć ze świstem machnęła kosą i rzeczywiście nie dosięgnęła Bena. Ben, jako Sam, przeszedł przez trudy dzieciństwa i mimo to, jako Sam, tryskał radością i szczęściem. Ale teraz już nie był szczęśliwy. Teraz ledwo utrzymywał się na powierzchni i to tylko dzięki ochronnej warstwie swojej, z natury zdrowej, psychiki.

Nie nappełnił go radością powrót do własnej rodziny. Wręcz przeciwnie. Ich zysk stał się jego stratą. Beth otrzymała z powrotem dziecko, które było równie od niej oddalone jak niebo.

A mimo to, mimo to, czyż nie była przypadkiem zbyt niewdzięczna? Czyż nie miała więcej szczęścia niż inni członkowie Compassiona-ty? Ona przynajmniej mogła zobaczyć swoje dziecko; wiedziała, że jego ulubionymi potrawami są gyros i jogurt; że potrafi szybko, choć niedokładnie, czytać i biegle pisać na maszynie; widziała, jak przy grze w baseball w mgnieniu oka przemienia się z wyrośniętego clowna, strojącego zabawne miny do swoich kolegów z drużyny, we wspaniałego, początkującego sportsmena, potrafiącego tak doskonale, prosto uderzyć piłkę, że Patowi aż stawały łzy w oczach ze wzruszenia.

„Wiedziała, gdzie przez ten cały czas był mój syn” - pomyślała, gdy ostatnie promienie słońca zaświeciły i zgasły nad krawędzią wzgórze. - „I nie było to jedno z takich miejsc jak to”.

- Sam - odezwała się po chwili. - Chciałabym cię o coś zapytać.

- O co? - zainteresował się, wstając i otrzepując ręce z ziemi.

- Czy kiedykolwiek chciałeś umrzeć?

- Nie - odparł bez namysłu.

- Więc o co chodzi?

- O nic. Ja tylko powiedziałem, że są gorsze rzeczy niż śmierć.

- Na przykład?

- Na przykład, gdy wszyscy próbują ułożyć ci życie i kiedy musisz mieszkać z ludźmi, którzy cię nienawidzą.

- Czy sądzisz, że... my cię nienawidzimy?

- Ty nie.

- Więc kto?

- Vincent. - Sam podniósł reflektor Beth i odwrócił głowę w stronę zbocza.

Błysnęło tam jakieś światełko i przez moment Beth wydawało się, że to spadająca gwiazda, jednak po chwili uprzytomniła sobie, że to jest migające światło umieszczone na maszcie radiowym, ostrzegające samoloty, że tylko do tej wysokości wolno im się zniżyć, i ani trochę bliżej. - Kiedy jeszcze byłem w domu, rozmawiałem z moim tatą i on powiedział, że powinniśmy zrobić listę, na której zapiszemy wszystkie dobre strony mojego powrotu. I jedną z rzeczy, które tam zapisałem, było posiadanie rodzeństwa. Sądziłem, że to miłe.

-No i?

- No i potem... to znaczy, Kerry jest super, ale on patrzy na mnie... Jezu, przecież ty wiesz, jak on na mnie patrzył

- Sam, nie wydaje mi się, żeby na ciebie patrzył inaczej niż na kogokolwiek z nas. On... on bardzo wiele przeszedł.

- Ale nie z mojej winy! To właśnie próbuję wam cały czas wytłumaczyć! - Beth nie mogła dostrzec jego twarzy, widziała tylko zarys jego przygarbionych ramion. Wyciągnęła ręce i przytuliła go do siebie. Sam nie próbował się opierać; i być może sobie to uroiła, jednak wówczas miała wrażenie, że na krótką chwilę przywarł do niej mocno, całym ciałem.

- Och, Ben... Sam - wyszeptała w jego włosy. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele milionów lat upłynęło od chwili, gdy mogłam cię do siebie przytulać? Jak długo ty nie mogłeś przytulać się do mnie?

Ale Sam jedynie poklepał ją po plecach po przyjacielsku, tak jak mógłby to zrobić Angelo.

- Oni mnie przytulali - oznajmi! uspokajająco. - Bardzo często mnie przytulali.

Beth walczyła ze sobą, by wypowiedzieć słowa, które teraz, siłą rzeczy, powinny zostać wypowiedziane. Gardło paraliżował jej żal, gryzło ją sumienie. Te kilka dźwięków może ostatecznie przypieczętować ich przeszłość.

- Czego ty byś naprawdę chciał, Sam? - spytała w końcu.

- Nie wiem. Nie wiem. Najlepiej, żeby wszystko było tak jak kiedyś. Tyle że to zraniłoby ciebie i Pata. A tej myśli też nie mogę znieść. Ja tylko... ja nie wiem.

Beth wróciła pamięcią do pierwszych chwil Sama w ich domu, do tych wszystkich pytań, którymi ją wówczas zasypywał. Do odpowiedzi, których mu udzielała, ostatnim wysiłkiem woli powstrzymując się od przekształcania każdej z nich w czterdziestominutowy wykład. Czy Beowulf lubił go, gdy był jeszcze mały? Czy widział Kerry zaraz po jej urodzeniu? A może Beth pamięta, czy był uczulony na cynamon? Sam z przekonaniem twierdził, że teraz jest na cynamon uczulony, chociaż George zapewniał, że to nie alergia - że Sam po prostu kiedyś nieźle się pochorował, gdy zjadł naraz całe półkilogramowe opakowanie lepkich bułeczek cynamonowych. Po kilku tygodniach banalnych pytań i banalnych odpowiedzi, Beth zdecydowała się rzucić na głęboką wodę: zawołała Sama na górę pewnego leniwego popołudnia i oznajmiła, że chciałaby mu coś pokazać. Gdy ujrzała błysk podniecenia w jego oczach - omal nie zrezygnowała. Jednak ostatecznie zabrała go do sypialni, gdzie u stóp łóżka rozpięta się wielka, żłobiona cedrowa skrzynia, którą Rob Maltese wykonał własnoręcznie i wręczył im w prezencie ślubnym, a której wierzch Pat wykorzy-

stywał teraz głównie jako składowisko koszul, przeznaczonych do chemicznego czyszczenia. Beth podeszła do skrzyni i jednym zamaszystym gestem strąciła koszule.

Beth przyznawała sama przed sobą, że nie spisała się w roli kronikarza dzieciństwa swojego potomstwa. To kolejna czarna plama na jej matczynym życiorysie. Co prawda „Album Malucha” Vincenta stanowi! najprawdziwsze studium antropologiczne: na marginesach, jeżeli istniało miejsce na takowe, zapisała nie tylko datę pojawienia się każdego zęba, ale także rozwój form wyrażania nastroju, gestykulacji, osiągnięcia intelektualne, które wówczas stanowiły dla niej niezaprzeczalny dowód geniuszu jej najstarszego dziecka. Za to albumy Bena i Kerry były już jedynie zbiorowiskiem zdjęć i okazjonalnych kart pocztowych. Beth nawet nie miała pewności, czy słowa, które zapisała jako „pierwsze”, rzeczywiście do takich należały, bo wpisywała je długo, długo po faktycznych zdarzeniach.

Ale jednej rzeczy nie zaniedbała. Ubranka dzieci, w których zostały przywiezione ze szpitala do domu, i ozdobne stroje do chrztu popakowała starannie w plastikowe torby od Searsa, wkładając do środka również zdjęcia upamiętniające owe szczególne dni. Przechowywała je pieczołowicie, niczym relikwie, w cedrowej skrzyni, chroniącej je przed zgubnym wpływem przemijania i ludzkiego dotyku.

Najpierw wyjęła torbę Vincenta i pozwoliła Samowi przerzucać jej zawartość, co uczynił z zachłanną ciekawością. A potem podała mu pa-kiecik z napisem: „Beniamin Patrick Cappadora”.

- To wszystko jest takie maleńkie - stwierdził Sam ze śmiechem. - Czy naprawdę kiedykolwiek byłem taki mały? Wyglądają jak ubranka dla lalek Kerry. - Niektóre z ówczesnych ubranek Bena Kerry rzeczywiście wykorzystywała teraz dla swoich lalek i niewiele brakowało, a Beth powiedziałyby to na głos.

I wtedy wydarzyło się coś niezwykłego. Ben podniósł koronkową szatkę do chrztu, pracowicie wyhaftowaną przez Rosie, i przyłożył do nosa, wciągając powoli słodką woń.

- Co to za zapach? - zapytał.

- Cedr. Podobno zabezpiecza ubrania przed zniszczeniem i odstrasza mole. Wiele szaf wyklada się tym drewnem wewnątrz. Czy nigdy wcześniej nie spotkałeś się z czymś takim?

- Nie - odparł Sam stanowczo. - Chociaż... może... może moja babcia miała podobną skrzynię. Pewnie przywozła ją z Grecji. I może ja się nią bawiłem, gdy byłem jeszcze mały. - Jednak jego twarz wyrażała zwątpienie. - Przynajmniej tak mi się zdaje.

I w tej samej chwili Beth spostrzegła, że w jego oczach zbierają Izy. Nigdy przedtem nie widziała, żeby Sam płakał, z wyjątkiem tej króciutkiej chwili, gdy całował George'a na pożegnanie w biurze kuratora dla nieletnich. Teraz ukradkowo, z zawstyżeniem tarł oczy, potrząsając głową.

- Co się stało, Sam? - spytała, a w głowie powstała jej nieprawdopodobna myśl: „To jest to. Jakiś drobny trybik wskoczył na swoje miejsce. Coś sobie przypomniał”.

- Jednak po chwili Sam wyciągnął rękę i poklepał Beth lekko po ramieniu.

- Tak mi przykro - powiedział.

- Czemu, kochanie?

- Przykro mi, że akurat ciebie to spotkało. Wiem, że kochałaś tego... że kochałaś mnie tak bardzo, kiedy to wszystko robiłaś. Naprawdę mi przykro.

- Sam, Sam... nie ma żadnego powodu, byś się tym tak przejmował. Sam znów potrząsnął głową - tym razem gwałtowniej.

- Ale wiem też, że uważasz mojego tatę i moją mamę za złych ludzi. A oni naprawdę nie są źli. - Beth z trudem rejestrowała jego słowa, żołądek powoli zamieniał się jej w grudę lodu. - To, że jest mi przykro, nie oznacza wcale, że już nie kocham mojego taty. I kocham też moją mamę. Przecież to nie jej wina, że jest chora.

Beth powoli pokiwała głową, odrętwiała, i machinalnie zaczęła składać koronkowe ubranko starannie, wzdłuż wcześniejszych załamań. Sam rozplakał się już na dobre, zachłystywał się teraz szlochem. Beth miała wielką ochotę przytulić go, pogłaskać jego szerokie plecy ze sterczącymi łopatkami.

- Beth - wykrztusił w końcu z siebie Sam - czy mogę się dziś zobaczyć z moim tatą?

Gdy w jakiś czas później Sam wrócił od George'a, był już spokojniejszy, bardziej pogodny. Pobawił się z Kerry. Poprosił Vincenta, by razem pograli trochę w koszykówkę. Jednak Beth nie mogła zapomnieć błagalnego wyrazu jego twarzy, gdy klęczał obok cedrowej skrzyni; suplikacji w jego głosie, niepewności, w jaki sposób zwrócić się do miłych nieznajomych, by zgodzili się ostatecznie wskazać mu drogę do jego własnego domu.

Próbowała przedstawić Patowi wydarzenia owego popołudnia, chwile spędzone z Samem przy cedrowej skrzyni. Ale on ją zbył.

- Bethie, czy pamiętasz cokolwiek z okresu, gdy byłaś półrocznym niemowlęciem? - zapytał ze śmiechem. - Przestań nad tym rozmyślać. On w końcu dojdzie do siebie.

Ale tym razem Pat będzie musiał jej wysłuchać. Teraz nie ma już innego wyboru.

Gdy zmrok zaczął kłaść się cieniem na niewielki cmentarz w Pesh-tigo, Beth i Sam schowali sprzęt do bagażnika, a Sam spytał, czy może położyć się na tylnym siedzeniu.

- Oczywiście, kochanie - odparła Beth. - Prześpij się.

„Coraz gorzej i gorzej” - pomyślała. Przekręciła wsteczne lusterko, by popatrzeć na śpiącego z tyłu syna. Powołując go do życia - zawarli szczególny pakt. Teraz oczywiście nikt nie zażąda od nich, by zwrócili temu chłopcu życie, za którym tęsknił, po którym płakał, za cenę tego życia, które zostało mu przywrócone. Ale czy przypadkiem ten pakt sprzed lat ich samych do tego nie zobowiązywał?

Musi koniecznie porozmawiać z Patem. Choć nie miała sumienia przeprowadzać z nim tej rozmowy, brakowało jej też na to odwagi. Pat odrzucił jej słowa z całą mocą, przekonany, że wszelkie moralne racje leżą tylko po jego stronie, i co jej wówczas pozostanie?

„Muszę zadzwonić” - pomyślała nagle i nieomal nacisnęła na hamulce, w ostatniej chwili uświadamiając sobie, że obudzi Sama. Nie -jest już bardzo późno, jutro sprawdzi ten numer. Wiedziała, że znajdzie go w książce telefonicznej. Sprawdziła go już kilkakrotnie w ciągu ostatnich paru lat i nawet spostrzegła, że biuro przeniesiono do innej siedziby, że zmieniła się konfiguracja cyfr.

Uczepiona myśli o rozmowie telefonicznej, niczym znużony pasażer poręczy w trzęsącym wagonie metra, Beth przebijała się przez mrok, kierując się na południe, ku domowi.

Rozdział 30

Nazajutrz Beth zdecydowała, że telefon z samego rana mógłby wyglądać na akt desperacji. Fakt, że nosiła się z takim zamiarem od czterech lat, niczego nie zmieniał - przecież poza nią samą nikt zupełnie o tym nie wiedział.

Więc przedtem zajmie się pracą. Przez... godzinę. Tego wymaga przyzwoitość.

Beth wyjęła próbne odbitki drukarskie eseju fotograficznego, który pojawi się za dwa miesiące w magazynie „Life” - zbiór zdjęć ukazujących plecy dzieci odchodzących w dal. „Life” zamierzał przedstawić je na sześciostronicowej rozkładówce, bez żadnego właściwie powodu poza tym, że istniały i że wykonała je Beth. Ta publikacja stanowiła wielki krok naprzód, zawodowo przenosiła ją wprost do pierwszej ligi. Niemniej, Beth musiała szczerze przyznać, że ani jednym z tych zdjęć nie zarobiła na złotą gwiazdkę przy swoim nazwisku w notesie Pana Boga. Nadal odwoływała się w swojej pracy do tych samych chwytów i koncepcji, które opanowała jeszcze jako nowicjuszka. Odkrywanie innych światów, ekspansja w nowych kierunkach wymagałyby istotnych przemyśleń i skupienia, dalszych studiów, gotowości zwiększenia emocjonalnego kapitału. Beth nie potrafiła tego z siebie wykrzesać - więc, jak często myślała, miała dużo szczęścia, że sprawna technika fotografowania stała się jej drugą naturą, zanim jeszcze znalazła się w obszarze zagrożonym zejściem lawiny. Jej „nowe spojrzenie” było jedynie deformacją, zrodzoną z egzystencji w takich rejonach.

Beth miała pełną świadomość, że wykonuje swoją pracę, nie eksploatując szczególnie pokładów wyobraźni; oznaczało to, że prawdziwym powodem, dla którego oferowano jej tak wysokie sumy za wykonane przez nią fotogramy, była magiczna siła jej nazwiska, literki drukowane drobną kursywą pod każdym z publikowanych zdjęć, wyja-

śniające, kim jest ich autorka. Z tego samego powodu „Włoskie Wesele” doczekało się artykułu w „Bon Appetit” właśnie teraz, mimo że wystrój, jak i menu restauracji przyciągały rzesze klientów już od wielu lat. Te same pobudki kierowały też pewnym wydawnictwem literackim, które zaoferowało Patowi i Beth okrągły milion dolarów (Beth wciąż krzywiła się na wspomnienie kwaśnej, zawiedzionej miny Pata po tym, jak kategorycznie sprzeciwiła się przyjęciu tej propozycji) za prawa do publikacji historii ich rodziny. Nazwisko Cappadora zostało wyłowione z zatechłego estuarium łez i przebrzmiałych sensacji nie tylko czyste i pachnące - ale warte fortunę.

Na przykład ta rozkładówka w „Life”. Wydawcy w sposób oczywisty założyli, że podobny temat powstał w umyśle Beth na skutek jej bolesnych zmagania z przeznaczeniem. A tymczasem Beth od bardzo wielu lat fotografowała oddalające się dzieci. Ich plecy zawsze ją pociągały - sądziła, że doskonale ujawniają osobowość. Zanim zaginał Ben, stanowiły dla niej metaforę dorastania. Żadna z fotografii, które wybrała dla „Life”, nie przedstawiała jej dzieci, a większość z nich Beth wykonała przed wielu laty: zdjęcie maluchów niepewnie stąpających w kaczkowatym chodzie, na tle bżów w arboretum Uniwersytetu Wisconsin, czy chłopca z łyżwami zarzuconymi na plecy, samotnie przemierzającego jezioro Wingra pewnego zimowego poranka.

Beth miała też jedno zdjęcie, za które wydawcy zapłaciliby nawet jeszcze pokaźniejszą sumę. Teraz już jednak było za późno na włączenie go do zestawu. Pomijając oczywisty fakt, że Beth postanowiła umyć ręce od wykorzystywania własnej rodziny.

Teraz spojrzała na tę fotografię przypiętą do tablicy wiszącej w ciemni. Przyglądała się jej uważnie - okiem matki i okiem fotografa. Zdjęcie przedstawiało oddalające się plecy trójki jej własnych dzieci. Zrobiła je w domu Ellen, po *barbecue*, kilka tygodni wcześniej. Chłopcy wraz z Kerry szli podjazdem do samochodu. Gdy Beth robiła to zdjęcie, wmawiała sobie, że skusiła ją do tego niezwykła, różana przejrzystość światła; ale tak naprawdę to ujęcie, przedstawiające Vin-centa leciutko trącającego Sama łokciem, ponad połyskującą rudawą złocistością głową Kerry - drobnej dziewczynki podskakującej pomiędzy ich ramionami - urzekało swoją kompozycją. Chłopcy utworzyli rodzaj pomostu ponad swoją małą siostrzyczką. Wiosną, gdy Beth podpisywała kontrakt na rozkładówkę, jeden z wydawców zapytał ją, starając się zachować najdalej posuniętą delikatność, czy któraś z fotografii przedstawia „tego chłopca”. Beth potrafiła go zrozumieć; te fotogramy powinny nie tylko przemawiać siłą obrazu, miały także stanowić

swoistą sensację. I w owym momencie nieomal się złamała. Wystarczyłoby jedno jedyne ujęcie pleców Sama. Więc na wszelki wypadek natychmiast zaprzeczyła - nie, nie ma jego zdjęcia i na pewno go nie będzie. Jednak teraz musiała przyznać, że pokusa, by opublikować tę fotografię, szczególnie portret całej trójki własnych dzieci (o co właściwie chodziło? o pieniądze? o emocjonalny ekshibicjonizm?), wciąż tkwiła w niej bardzo silnie. Nawet jeszcze w tej chwili, choć wiedziała, że już za późno, by włączyć zdjęcie do wydania, że numer już został zatwierdzony do druku.

Czy była dumna z tej fotografii? Czy - o co zawsze poważnie podejrzewała Pata - dumna ze swojego cierpienia? Czy kiedykolwiek zdoła oddzielić jedno od drugiego, odpowiedzieć na podobne pytania? Beth wiedziała z całą pewnością, że praca i pieniądze stanowią źródło satysfakcji. Nie wiedziała jedynie, jak głęboko może sięgać podobna satysfakcja.

Czy praca zdołałaby ją ocalić? Gdyby wszystko inne rozwiało się w jej życiu?

Upłynęło czterdzieści minut. Beth podniosła słuchawkę. Przedsiębiorstwo nosiło nazwę Palladin Reconstructions. Jeszcze jako dziecko Nick niesłychanie szczyił się swoim nazwiskiem, uważał, że w mistyczny sposób łączy go ono z jego legendarnymi, sieneńskimi przodkami. Napis pod numerem telefonu na żółtych stronach głosił: „Historyczne ruiny w zagrożeniu? Zjawimy się, by je dla ciebie uratować”. Beth uznała, że to już gruba przesada. Przypomniała sobie jednak, jak kiedyś Dan, mąż Ellen, powiedział, że nie należy polemizować z czterema milionami dolarów - a tyle właśnie wynosił roczny obrót Nicka dzięki panującej aktualnie modzie na architektoniczny recycling i nostalgię.

Beth usłyszała w słuchawce wolny sygnał i poczuła ściskanie w żołądku.

Ku jej rozczerowaniu - Beth w duchu liczyła, jeżeli nie na sekretarkę, to przynajmniej na automat - on sam odebrał telefon.

- Nick - powiedziała.

- Tak, przy telefonie - odparł.

- Nick, tu Beth. Beth... Kerry.

- O... Bethie! - Głos Nicka nie brzmiał tak, jak sobie zaplanowała: nie przepełniała go niezwykła radość, nie było w nim nuty dziękczynienia. Nick robił wrażenie... zaskoczonego. - Poczekaj. Muszę się pozbyć jednego faceta. - Wrócił po chwilce i tym razem odezwał się już dużo niższym tonem, wyraźnie modulowanym na jej użytek. - Bethie, jak miło cię usłyszeć. Czy coś nie w porządku?

- Nie, skąd - odparła. A po chwili dodała: - Wszystko.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czy Pat zachorował?

- Nie, Pat ma się dobrze. Ja tylko... Nick, ja wiem, że do ciebie nie dzwoniłam po tym, jak my... Ale wydawało mi się... po prostu nie mogłam.

- Bethie, ja wszystko rozumiem. Wydarzenia potoczyły się tak szybko. Nigdy nie miałem okazji powiedzieć ci, jak bardzo się cieszę. Twój synek... wiem, że Trisha dzwoniła do ciebie. Ja zresztą też zamierzałem to zrobić.

- Dziękuję. To rzeczywiście cud. Jesteśmy tacy... to niemal nas przerasta. Ale dzwonię, by ci powiedzieć, że często o tobie myślę. I przyszło mi do głowy, że może moglibyśmy zjeść razem lunch. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że to dość nagła propozycja...

W słuchawce zapadła cisza. „O, nie - pomyślała Beth. - On myśli, że proszę go, by się ze mną przespał. Czy proszę go o to, by się ze mną przespał?” - To znaczy, ja chciałam... - zaczęła nieporadnie, zanim jeszcze on zdążył się odezwać - ...chodzi mi tylko o lunch. Naprawdę. Nic... poza tym.

Po tonie jego głosu poznała, że się uśmiecha.

- Muszę przyznać, że czuję się bardzo rozczerowany - powiedział kurtuazyjnie. Beth westchnęła. - Ale oczywiście lunch jest lepszy niż nic. Nie mogę się już doczekać. To kiedy? Dzisiaj?

Umówili się w jakiejś nieznannej restauracji w okolicach jego biura, niedaleko lotniska, za dwie godziny. Z rozmysłem Beth nie popędziła pod prysznic, by po raz kolejny ogolić nogi; nie próbowała przeczesać włosów. Zdjęła jedynie swoje obdarte jeansowe szorty, włożyła długie spodnie, pociągnęła usta szminką i - w ostatniej chwili - wsadziła w uszy małe, brylantowe kolczyki, należące kiedyś do matki Rosie.

Nick okazał się odrobinę, minimalnie tęższy - jak gdyby dziecko nieporadnie obwiodło jego sylwetkę grubym ołówkiem, tu i ówdzie rozmazując nieco kontur. Człowiek sukcesu. Gdy wziął Beth w ramiona, okazało się, że wciąż pachnie piękniej niż jakakolwiek inna śmiertelna istota; Beth natychmiast poczuła zawrót głowy.

Godzinę zajęło jej wprowadzenie Nicka w problemy, związane z powrotem Sama; Nick - niczym pobłażliwy ojciec - zadawał jej pytania tonem pobrzmiwającym łagodną cierpliwością, wyciągając powoli na powierzchnię całą bolesną esencję.

- A Pat? Co na to wszystko Pat? Jak wam się układa?

- Pat ma się nieźle - odparła Beth poważnym głosem, dziobiąc widelcem liście sałaty, tkwiące pod kopczykiem sałatki z tuńczyka. - Je-

mu się wydaje... że dostąpił błogosławieństwa. Wiesz, najpierw otworzył z ojcem tę restaurację, która dla niego stała się punktem zwrotnym, początkiem nowego życia. A potem, niespodziewanie, dostał jeszcze Sama. Teraz snuje rozmaite plany. Mówi, że będziemy podróżować i tak dalej. Ale ja w to nie wierzę. Pat zaledwie po pięciu godzinach na wycieczce szkolnej z klasą Kerry już popada w lekką histerię i zaczyna wydzwaniać do restauracji, by upewnić się, czy brzegi ravioli są na pewno odpowiednio sklezione... Nick wybuchnął śmiechem.

- Świetnie go rozumiem. Ja zabieram ze sobą telefon nawet na plażę w Virgin Gorda. Inaczej czuję się tak, jakby pozbawiono mnie wzroku czy jakiegoś innego ważnego zmysłu. Człowiek cały rok czeka na wakacje, a potem zupełnie nie umie się nimi cieszyć.

Beth opowiedziała również Nickowi o milionie dolarów i kłótni, jaka wybuchła pomiędzy nią a Patem, gdy nie wyraziła zgody na przyjęcie oferty.

- Wykrzykiwał, że nasze problemy nie znikną tylko dlatego, że odmówię opowiadania o nich innym ludziom. W kółko przypominał mi, co powiedziałam kiedyś, gdy sfotografowałam faceta skaczącego z dachu wieżowca.

- A co powiedziałaś.

- „Tak się w życiu zdarza”.

- Cóż...

- Ale próbowałam wyjaśnić mu, że teraz sytuacja się zmieniła. Ze owszem, tak się w życiu zdarza, ale to właśnie zdarzyło się nam. A my nie zdecydowaliśmy się na skok z dachu wieżowca. Zostaliśmy z niego zepchnięci. - Beth nie zamierzała posunąć się aż tak daleko w swoich zwierzeniach, jednak w końcu powiedziała Nickowi, że, jak podejrzewa, Pat próbował przekonać ją, że wszyscy przecież mogliby skorzystać na tym nieszczęściu - czyż ostatecznie nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? - jakby sądził, że wymierna fortuna zdoła wymazać gorycz dziewięciu lat.

- Czy to doprawdy aż takie oburzające, Beth? To znaczy, ty tego oczywiście nie powiesz, ale ostatecznie coś wam się za to wszystko należy od świata. A Pat - Pat ma rację. Niedługo przyjdzie płacić za naukę dzieci, kiedyś trzeba będzie przejść na emeryturę... Tyle że tak naprawdę nie ma sensu, byście z tego powodu zaczęli ze sobą walczyć. Bo przecież musi się wam powodzić bardzo dobrze, przynajmniej w sensie materialnym. Wciąż czytam w gazetach o waszej restauracji, często widzę publikacje twoich prac. Więc tak długo jak zdrowie Patowi dopisuje...

- Tak, Pat czuje się świetnie. Oczywiście zawsze będzie się czymś zamartwiał... Nick westchnął ciężkim westchnieniem biznesmena.

- Mnie tego nie musisz mówić. Za żadne pieniądze nie można dzisiaj zatrudnić dobrego fachowca.

- Taaak - odparła Beth. Ich rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót; przychodząc tu, ani przez moment nie wyobrażała sobie, że pogrązą się w dyskusji na temat braku kompetentnej siły roboczej. - Ale odnoszę wrażenie - ciągnęła - że Pat jest szczęśliwy, oczywiście na tyle, na ile w ogóle potrafi odczuwać szczęście. „Czy nigdy już nie przestaną rozmawiać o Pacie?” - Nick, widzisz, tak naprawdę... martwię się o Sama i... o pozostałe dzieci w związku z Samem. - Beth opowiedziała Nickowi o wyprawie do Minneapolis, o wydarzeniach w Peshtigo, które potwierdziły jedynie jej wcześniejsze obawy. Mówiąc mu to wszystko, zastanawiała się, czy łatwość, z jaką przyszło jej otworzyć się przed Nickiem, wynikała z ich dawnego związku czy z jego niezwyklej umiejętności słuchania, z jej odczuwanego wobec niego pożądanego lub może z faktu, że był w stanie przedstawić świeży, obiektywny punkt widzenia. Nawet z Candy Beth nie posuwała się do takiej szczerości. Gdy już zaczęła mówić, po prostu nie mogła przestać.

- To znaczy, Sam nigdy nie zachowuje się niegrzecznie. Zawsze robi to, co mu każesz. Ale... on jak gdyby niknie. Jakby co dzień ubywało go odrobinę. - Beth opowiedziała Nickowi o owym długim popołudniu spędzonym z Samem przy cedrowej skrzyni. O tym, że jego oceny w szkole spadły z mocnych piątek do słabych trójek i dwójek. Że opuścił się w sporcie. I o pewnym dniu, gdy zwlókł się z łóżka, gdzie leżał zmorzony poważną infekcją gardła, żeby nie opuścić swojego cotygodniowego, dwugodzinnego spotkania z George'em.

- Kuratorka twierdzi, że Sam znajduje się teraz w przejściowej fazie. Lecz jeżeli rzeczywiście byłaby to faza przejściowa, czy nie powinien już powoli ujawniać się jakiś postęp? - spytała Beth Nicka, pochłoniętego krojeniem na staranne ćwiartki swojej kanapki. Tymczasem Beth tłumaczyła mu, że Sam, choć mieszka w ich domu, nie czuje się jego częścią; utrzymuje swój pokój w nienagannym porządku, jak hotelowy gość; przynosi od George'a szczoteczkę do zębów i szampon niczym uczeń w szkole z internatem. Kiedy spóźnia! się z powrotem do domu, Beth wiedziała, że pojechał rowerem na teren budowy, prowadzonej w danej chwili przez George'a, bądź przesiaduje na ulicy przed swoim dawnym domem. Przywodził jej na myśl zagranicznych studen-

tów, przyjeżdżających w ramach wymiany kulturalnej ze światem, których swego czasu przyjmowała Ellen - inteligentnych, skorych do pomocy, uprzejmych i dramatycznie zagubionych, naśladowujących niezrozumiałe rytuały, zamkniętych w sobie, oddających się długim, samotnym chwilom ciszy w swoich idealnie uporządkowanych pokojach, tęsknie wpatrzonych w konstelacje gwiazd na ciemnym, nocnym niebie.

- Tylko wizyty u George'a utrzymują go jeszcze na powierzchni - stwierdziła, odsuwając od siebie talerz. - Ale nawet Candy uważa, że należy je bezwzględnie ograniczyć. Że dajemy mu sprzeczne sygnały, że nie wie, kogo właściwie powinien uważać teraz za swoich rodziców.

- Może ona ma rację - wtrącił Nick. Beth pomyślała, że chyba to jej się zdawało: czyżby naprawdę Nick dyskretnie zerknął na zegarek? - Więzy krwi są więzami krwi, Bethie. Teraz już nie pozostało ci nic innego, jak tylko przeprowadzić go przez ten ciężki okres.

- Tak właśnie twierdzi Angelo.

- Bo to prawda. A wszystkie inne rzeczy: stopnie w szkole i tak dalej - każdy normalny dzieciak przechodzi przez podobny okres. Ja też przez to przechodziłem. On po prostu potrzebuje czasu, żeby się dostosować.

- Podobnie twierdzi Pat.

- I ma rację - stwierdził Nick. - Dzieci się szybko adaptują. Mają silny instynkt samozachowawczy.

- Oby tak było. Jednak zastanawiam się...

- Czy jesteś szczęśliwa, Bethie? - niespodziewanie zapytał ją Nick, pochylając się w przód, przykrywając swoją krótką, szeroką, idealnie wymanikiowaną dłonią jej rozdygotaną dłoń. „Czy to propozycja?” - pomyślała Beth.

- Odczuwam wielką ulgę - odparła, ważąc teraz każde słowo. - Ale nie wiem, czy mogę to nazwać szczęściem. Nie jestem pewna, czy po tym wszystkim jeszcze kiedykolwiek zdołam być szczęśliwa. Może po prostu oczekuję zbyt wiele. A może... - Beth podniosła na niego wzrok i zacisnęła swoje palce na jego palcach. „A czy to jest propozycja?” - pomyślała. - A może do szczęścia brakuje mi czegoś, co nie ma zupełnie nic wspólnego z moimi dziećmi.

- Tęskniłem za tobą - wyznał nagle Nick. - Myślałem o tobie tak często.

- Och, ja też - odparła Beth. - Ja też. Co najmniej z milion razy.

- Czy chcesz, żebyśmy... gdzieś pojechali?

- Nie wiem.

Nick zawiózł ją na niewielkie pole, gdzie budowano właśnie lądowisko dla szybowców. Wziął ją w ramiona i powoli, leniwie, rozdzielił jej wargi swoim językiem. Beth nie oponowała, gdy uniósł jej bluzkę i objął dłonią jedną z jej piersi. W tej samej chwili poczuła podniecenie trzepoczące w dole brzucha, falę gorąca gwałtownie wzbierającą w jej wnętrzu. Jednak, jak po chwili uświadomiła sobie, z trudem powściągając rozedrgane zmysły, nie przyjechała tutaj, by sprawdzić swoją zdolność wzbudzania męskiej żądz.

A więc po co?

- Nick - zagadnęła, łagodnie wysuwając się z jego uścisku. Pocałowałwszy go w szyję, wyprostowała się w samochodowym fotelu. - Czy robiłeś... coś podobnego? Już przedtem?

- Przedtem? Przed dzisiejszym dniem?

- Nie. Przedtem, zanim zrobiliśmy to razem... cztery lata temu.

- Niezbyt często.

- Ale zanim zrobiliśmy to razem?

- Parę razy. - Beth spojrzała na niego uważnie. Nick zdjął swoją sportową marynarkę i teraz wyglądał ją starannie, delikatnie układał na eleganckiej skórze tylnych foteli, wzdłuż szwów, by przypadkiem się nie pomięła. „Nie rób tego - pomyślała Beth. - Nie unicestwiaj mojego o tobie wyobrażenia, Nick”. - A po chwili napomniała samą siebie w duchu: - „Nie dociekaj niczego. Nie narażaj się na smutek. On cię w tej chwili pożąda. Jest wspaniały, dobry i miły, i łączy cię z nim wspólna, słodka prehistoria”.

Jednak nie potrafiła się już opanować.

- Kiedy to było? - spytała.

- Gdy dzieci jeszcze były małe. Nie pamiętam dokładnie. To nie miało żadnego znaczenia.

- A ze mną?

- Och, oczywiście, Bethie. Z tobą to było zupełnie coś innego. Be-thie, przecież wiesz, co czułem wobec ciebie tamtego dnia. Wówczas myślałem nawet... myślałem, że moglibyśmy... widywać się dużo częściej. Ze może udałoby nam się...

- Widywać się częściej? To znaczy ukradkiem, za plecami innych? Beth me mogła uwierzyć, że chwilę wcześniej owładnęły nią tak

idiotyczne przypuszczenia. Czego właściwie się spodziewała? Że Nick powie jej: „Moglibyśmy razem odnaleźć sens życia”?

- No wiesz, nie ująłbym tego w ten sposób - z uśmiechem odparł Nick. - Widzę, że zanosz się na poważną rozmowę. Musze zapalić.

Beth płonęła z niecierpliwości, gdy Nick wyciągał swoją grawerowaną zapalniczkę i miękką paczkę papierosów.

- Nick - zapytała - czy wyobrażałeś sobie, że po tamtym dniu zostaniemy kochankami?

- Czy uważasz podobne nadzieje z mojej strony za coś bardzo niestosownego?

- I na zawsze mielibyśmy utrzymywać to w tajemnicy?

- Nie wiem. Nie myślałem o tym.

- Nawet później?

- Później już nie było sensu o tym myśleć. - Nick zaciągnął się głęboko dymem, złożył dłonie. - Bethie - odezwał się po chwili - czy wówczas chciałaś odejść od Pata? Czy chcesz tego teraz?

- Nie - odparła. - Chociaż... nie wiem.

- Ponieważ już nigdy po tym do mnie się nie odezwałaś, myślałem, cóż, podobne rzeczy zdarzają się, gdy ludzie są w stresie. Ale gdy zadzwoniłaś do mnie dzisiaj, pomyślałem, że może tobie też czegoś brakuje w życiu.

- A tobie brakuje?

- Jasne - odparł Nick z uśmiechem. - Tak jak wszystkim. - Nick pochylił się i przyciągnął ją do siebie, mówiąc dalej: - Dawno temu mój brat, Rick, powiedział mi, że gdyby wrzucało się ziarenka fasoli do słoika za każdym razem, gdy kocha się w ciągu pierwszego roku małżeństwa, a potem wyciągało po ziarnku za każdym razem, gdy robi się to w kolejnych latach - nigdy nie opróżniłoby się słoika.

- A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

- No wiesz...

- A więc dla ciebie to była tylko sprawa seksu?

- A dla ciebie nie?

- Nie! - wykrzyknęła Beth. - I tak, i nie - dodała.

- A więc to tak jak dla mnie - i tak, i nie.

- Czy od tamtej pory miewałaś inne romanse?

- A co to ma za znaczenie?

- Ile razy?

- Beth, to tylko nieistotne cyfry. Tylko cyfry.

- Nie, nieprawda.

- No więc dobrze. Kilka. Ale nic takiego, co było między nami. Beth, one nic dla mnie nie znaczą. Słuchaj, nie chcę, żebyś uważała mnie za jakiegoś sukinsyna... Beth, to jedynie... Pat na pewno by się ze mną zgodził... chociaż może nie, bo ty jesteś taka... pełna życia. Ale dla mnie znudzenie małżeńskim seksem nie oznacza, że to jest złe małżeństwo.

„Nie - pomyślała Beth w nagłym przyływie lojalności. - Pat nigdy nie powiedziałby czegoś podobnego". Po czym zapytała Nicka:

- A twoje małżeństwo? Czy jest dobre?

- Tak, tak sędzę - odparł. - Myślę, że Trisha jest szczęśliwa, mamy cudowne dzieci. Jesteśmy parą dobrych przyjaciół. Szanujemy się nawzajem. Inni ludzie wiedzą, że mogą na nas polegać. A Trisha ma też swoje własne życie.

„Tak jak wszyscy" - pomyślała Beth. Nick przesunął dłoń erotycznym gestem po jej szyi, naciskając lekko jej napięte mięśnie. - Beth, ale to me zmienia fakt, że cię pożądam. Ze chciałbym spędzać z tobą więcej czasu. Beth, jakaś częśćka mnie zawsze będzie cię kochać. Szczególnie teraz, gdy okazałaś się taka dzielna. Nikt inny nie umiałby przejść przez to wszystko tak jak ty. Moja mama zwykła mawiać: Elizabeth zawsze zdobędzie to, czego chce", a ja się wtedy strasznie na nią wściekałem. Teraz jednak widzę, że miała rację.

Beth wywinęła się z jego ramion i spojrzała w okno. Jakże pragnęła teraz posiąść moc teleportacji - przenieść się wprost z samochodu Nicka do swojej własnej kuchni w jednym mgnieniu oka, bez konieczności uprzejmego zakończenia tej rozmowy, uśmiechów, poczesywania włosów, prowadzenia samochodu. Kątem oka złapała Nicka na tym, jak przekrzywił lusterko, by się w nim przejrzeć, delikatnym ruchem poprawie włosy w miejscu, gdzie nieznacznie naruszyła jego fryzurę. Zrobił to wprawnie, doskonale opracowanym ruchem, jak kobieta dbająca o nienaganny wygląd swojej ondulacji.

Odwróciła się w jego stronę:

- Nick, uprawianie z tobą seksu przyszłoby mi bez najmniejszego trudu. Zawsze. Ale obawiam się, że dla mnie to za mało.

- Beth, ja nie twierdzę, że na tym musiałyby się skończyć.

- A co innego masz mi do zaproponowania?

- A czego ty byś chciała? Czy chciałabyś wyjść za mnie, Beth? Co takiego zmieniło się w ciągu tych dwudziestu lat poza tym, że jestem teraz starszy i dużo bogatszy?

- Ja - odparła Beth, walcząc ze wzbierającymi łzami. - Ja się zmieniłam. Chciałabym...

- Mnie czy czegokolwiek nowego?

- Czegokolwiek... Myślałam... że to mógłbyś być ty.

- Możę tak. Beth, ja nie twierdzę, że wszystko między nami skończone. Tylko ze... dzwonił do mnie nagle po czterech latach. Idziemy na lunch. Pytasz mnie, czy sypiałem w życiu z kimkolwiek innym po-

za moją żoną i tobą, a gdy okazuje się, że tak - nagle jestem jakimś beznadziejnym dupkiem.

- Nie dupkiem. Tylko po prostu...

„Nie Patem - pomyślała. - Nie jesteś Patem”.

Gdy wróciła do domu, stał na podjeździe. Beth uważnie obejrzała twarz w lusterku; nie była ani zbyt blada, ani zbyt zarumieniona. Wyglądała za to odrobinę lepiej niż zazwyczaj. Pat patrzył w górę, w stronę jednej z sypialni.

- Czy sądzisz, że mansardowe okno bardzo zeszpeciłoby tę ścianę?

- zapytał, gdy podeszła do niego od tyłu. - Chciałbym, żeby chłopcy mieli więcej miejsca, ale nie życzyłbym sobie, żeby nasz dom zaczął przypominać przyczepę kempingową.

„Chłopcy”. Pat miłośnie toczył ten wyraz w swoich ustach, z zachwytem smakował go na języku. Beth miała w tym momencie ochotę otulić go czymś miękkim, ukołysać, za wszelką cenę uchronić od cierpienia.

- Chodź na górę - powiedziała w zamian, ku własnemu zaskoczeniu. - Chcę ci coś pokazać. - Pat spojrział na nią ze zdumieniem, ale podążył do środka.

Dom był cichy i chłodny. Weszli do sypialni. Beth przekreśliła klucz w drzwiach i zrzuciła z siebie ubranie, zdumiona własnym bezwstydem

- teraz już nigdy tak nie postępowała. Oparłszy się tyłem o komodę i rozstawiwszy pewnie, szeroko stopy, Beth wspięła się na palce i wyciągnęła pasek ze spodni Pata. Oszołomiony, podniecony Pat nie potrafił w pierwszej chwili odnaleźć właściwych gestów. Pocałował ją, próbował pociągnąć w stronę łóżka. Jak zwykle praktyczny. Jednak Beth jeszcze mocniej zaparła się o komodę, włożyła ręce pod jego koszulę, wędrowała dłońmi po jego ciele, ustawiając go idealnie naprzeciw siebie, pierś w pierś, bez problemu, bo byli niemal tego samego wzrostu. Jeszcze jako młode dzieciaki zawsze się z tego śmiali - Pat mawiał, że w razie czego będą mogli się kochać nawet w telefonicznej budce. Teraz - posłuszny niemym wskazówkom Beth - zdjął spodnie i mocno ugiął kolana. A Beth, jak zwykle, zdumiała się, widząc siłę, zwartą muskulaturę jego nagiego ciała. Bo w ubraniu Pat wyglądał zawsze na zabiedzone widmo.

Pat uniósł twarz w jej stronę i Beth ujrzała jego zmarszczone brwi, zaciśnięte szczęki - brutalność, niecierpliwość mężczyzny gwałtownie pożądanego kobiety, jakiegokolwiek kobiety, niekoniecznie własnej, swojskiej żony. Podobne chwile były zawsze najlepsze w ich życiu

gdy wyzwalali się z więzów pętających ich emocji, znużenia, odpowiedzialności i zazdrości, a nawet miłości, gdy nagość wykraczała poza zwykłą fizyczność, i chłód betonowej podłogi czy wścibskie oczy sąsiadów nie były w stanie powstrzymać Beth od gwałtownego otwarcia swojego ciała na przyjęcie Pata.

- Wciąż jeszcze - Pat mówił teraz cichym szeptem, prawie nie otwierając ust - jesteś wspaniałą kobietą, Bethie. Wyglądasz na dwudziestolatkę. Tak samo jak owego dnia na łące za farmą.

Beth gorączkowo przyciągnęła go do siebie, ponagliła, by w nią wszedł, przyciskając ręce do jego bioder, wessała się ustami w jego szyję.

- Paddy - powiedziała po chwili. - Paddy, zrób to. Po prostu zrób to.

- Ja tylko... właśnie tak... - Pat niezdarnie objął dłońmi jej piersi, zanurzył w nich twarz, wdychał aromat jej ciała.

- Nie, nie - Beth nie chciała, by się odzywał, by ją pieścił. - Po prostu zrób to, Paddy. - Niespodziewanie poczuła zapach Nicka na swoim ramieniu, ogarnęło ją wzburzenie i gwałtownie, ostro uderzyła biodrami o biodra Pata. Oboje poczuli się zaskoczeni tym nagłym, nieoczekiwanym pchnięciem.

- Ja jedynie... jedynie...

Beth ogarnęła bezradna furia. Nie mogła wyrzucić z pamięci obrazu nieziemsko pięknych oczu Nicka. Mimo że oboje z Patem współdziałali teraz w idealnej harmonii, kochali się w zgodnym rytmie wykształconym w ciągu wspólnych, długich lat, Beth miała wrażenie, że miotają się bezładnie - jakby ktoś kazał im wdziać grube rękawice z jednym palcem, a potem wygarniać z wielkiego ogniska cienkim patyczkiem jeden maleńki, rozżarzony węgielek: niemal go dosięgali, ale nie mogli trafić; gdy już go dotknęli, on wyślizgiwał się i toczył w dal, znów któreś z nich prawie go miało, a on ponownie odskakiwał.

Oboje byli mokrzy, złani potem, gdy Beth w końcu pchnęła Pata na łóżko, zacisnęła nogi wokół jego ciała, zdjęta nagłym strachem, że Pat na nią nie poczeka i że tym razem nie będzie to jedynie zwykłe rozminięcie się w fazie, ale coś o wiele głębszego, o nowym, profetycznym znaczeniu.

- Poczekaj na mnie - wyszeptała więc. - Poczekaj...

W tym momencie Pat pociągnął ją za ramiona, usztywnił je swoim mocnym uściskiem tak, że Beth wciąż na nim leżała, jednak teraz już niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Przywierali do siebie całym ciałem, dzieliła ich tylko ta odrobina przestrzeni, której potrzebował Pat, by wykonywać nieznaczące pchnięcia biodrami. I już po chwili, pełna wdzięczności, Beth poczuła, że Pat wreszcie trafił w sam środek rozżarzonego

węgielka dzięki swojej cierpliwej, nieustannej pracy, i powoli jej ciało zaczął ogarniać ogień. Przed oczami stanęła jej twarz Nicka - rozciągała się, oddalała, rozciągała i oddalała aż do chwili, gdy w jej wnętrzu Pat eksplodował i skurczył się, niczym gwałtownie przekłuty balon. W umyśle Beth wciąż tkwił obraz Nicka, jego uroda, klasa i styl - jakżeż słodkie wspomnienie. Pat - nagle ciężki wewnątrz niej, przesiąknięty wilgocią - wydzielał zapach mydła, soli i sosnowego igliwia: był najczystszy mężczyzną, jakiego знаła. Beth nagle zdała sobie sprawę, że już od wielu lat jej zespolenie z Patem doprowadzało ją najwyżej do nieznacznego, powierzchownego żarzenia, wzbudzało jedynie drobną iskrę, która natychmiast gasła. Tym razem wielki płomień ogarnął całe jej ciało. Nigdy nie podejrzewała, że może jeszcze coś podobnego przeżyć wraz z Patem.

- Jesteś... jesteś taki wspaniały, Pat - powiedziała mu. - Nie opuścisz mnie nigdy, prawda?

Głos Pata, gdy się odezwał, był zadziwiająco spokojny, o równym oddechu, jakże różnym od jej chrapliwych, rwanych głosek.

- Nie wiem - odparł. - A czy zamierzasz zrobić coś, co mogłoby mnie do tego skłonić?

Beth dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że ich klimatyzowany pokój osiągnął temperaturę chłodni. Naciągnęła na siebie róg kołdry. Ni stąd, ni zowąd pojawiły się też dźwięki: odgłosy z kuchni, gdzie urzędowała Kerry, krzyki Vincenta, domagającego się, by Kerry zgasła telewizor.

Pat podniósł się bez słowa, wyjął z szafy koszulę i garnitur, który musiał włożyć do pracy, bezmyślnie zaczął przebierać w krawatach. Beth zamknęła oczy. Chwilę później dobiegł ją szum wody płynącej z prysznicą w łazience po drugiej stronie holu. „Teraz nadszedł moment, w którym powinnam wybuchnąć wielkim płaczem - pomyślała. - To by mnie oczyściło, pozwoliło zdecydować, co mam zrobić. Ale ja nigdy nie mogę płakać wtedy, kiedy należy. Lub mdleć wtedy, kiedy należy. Czy spać, kiedy należy”. Beth otworzyła oczy. Niespodziewanie wróciło do niej pewne wspomnienie sprzed lat, z czasów, gdy była jeszcze dziewczynką i wychodziła z kina, mrugając gwałtownie oczami w zamierającym świetle zmierzchu, zagubiona w czasie, ogarnięta bolesnym przeświadczeniem, że coś ją ominęło, że coś utraciła.

Gwałtownym ruchem Beth naciągnęła poduszkę na twarz, pragnąc teraz jedynie, by trzaski, wyciszone okrzyki - wszystkie domowe odgłosy - odpłynęły od niej i zamilkły.

Następnym dźwiękiem, który potem usłyszała, był głos Pata, dochodzący z wielkiej oddali, zduszony krzyk oznajmiający, że Sam zniknął.

Rozdział 31

- Musi być przed domem - otumaniona od snu Beth zapewniła Pata, schodząc chwiejnie na dół, raz po raz potykając się na schodach. - Która godzina? Czy to już rano? Na pewno poszedł na boisko szkolne pograć w koszykówkę. - Rozejrzała się po pustej kuchni. - A gdzie Beowulf? Może zabrał psa na spacer?

Na dźwięk swojego imienia Beowulf posłusznie wylazł spod stołu w jadalni, doskoczył do Beth i ukrył wilgotny nos w jej dłoni.

- Jest piąta rano, Beth - oznajmił Pat. - Chyba nie wyobrażasz sobie, że poszedł grać w koszykówkę o piątej rano?

- Piąta rano?! - Pat tymczasem wciąż był ubrany w swój garnitur, pomięty teraz, przesiąknięty zapachem frytury. - A gdzie ty byłeś?

Pat odwrócił wzrok.

- Poszedłem na drinka.

„Aaaaach” - pomyślała Beth i panika związana z Samem opuściła ją na moment, spłynęła niczym morska woda z pokładu wylaniającej się łodzi podwodnej.

Czy Pat poszedł... do jakiejś kobiety? Ile osób było właściwie razem z nimi w łóżku ubiegłego popołudnia? Troje? Czwooro? Może nie tylko Nick, ale także jakaś piękna Claudia czy Roxanne, którą Pat pieścił w swoich marzeniach? Może jedna z „panien młodych” pracujących we „Włoskim Weselu”, każda z nich, urocza niczym śródziemnomorski kwiat, była aktorką lub modelką?

Po tym, co zaszło między nimi wczoraj?

Beth nie poczuła ukłucia zazdrości, a jedynie ogromną ciekawość. Czy przed wczorajszym popołudniem w ogóle by ją to obeszło? Czy ogarnąłby ją chociaż cień smutku? Teraz zastanawiała się, czy przypadkiem na koniec los nie trzyma dla niej w zanadrzu potężnej, nie pozbawionej swoistej ironii niespodzianki: Beth nigdy nie przestała

kochać Pata, jednak gdy to ostatecznie zrozumiała... było już za późno. O ile za późno? O kilka miesięcy? Czy może zaledwie kilka dni? Pomimo swoich częstych okresów nieobecności duchem, bezruchu, całkowitego niereagowania na cudze potrzeby, pomimo strasznych słów, które przez te lata oboje odważyli się wypowiedzieć, nigdy, przenigdy nie powstała w jej głowie myśl, że to Pat mógłby się od niej odwrócić.

Beth spojrzała uważnie w twarz swojego męża, pociemniała od zarostu, wymięta, zmęczona po nieprzespanej nocy. Jeszcze wczoraj największym przerażeniem napełniała ją myśl, że wspólnie z Patem będą musieli stanąć twarzą w twarz z oczywistą prawdą: zatrzymując Sama, mogą go zniszczyć, oddając - mogą zniszczyć własną rodzinę.

Teraz Beth znów poczuła omdlewający strach, który wcześniej zdołała rozproszyc kilkoma godzinami snu. W tej chwili zdała sobie sprawę, że być może Pat nie będzie razem z nią kroczył tą drogą. Ze z pewnymi prawdami każde z nich będzie musiało oswajać się z osobna.

- Byłem z Joeyem - oświadczył śpiesznie Pat, jakby czytając nagle w jej myślach. - Oraz z jedną „młodą parą”: Roxanne i Dustinem. Poszliśmy do tego modnego lokalu przy Belmont.

- I siedzieliście tam do piątej rano? - spytała Beth.

W domu panowało przenikliwie zimno. Beth sięgnęła do jednej z szaf w holu i wyciągnęła sweter. Czemu jednak mają utrzymywać tutaj arktyczną temperaturę? Zaczęła manipulować przy termostacie.

- Potem poszliśmy do Joeya. Oglądaliśmy telewizję. Kurwa, Beth, od kiedy cię to w ogóle obchodzi? Czy zdajesz sobie sprawę, jak często nie wracam do domu na noc? I co ty sobie właściwie wyobrażasz? Ze rabuję w tym czasie banki? Przecież nie czekałaś na mnie, prawda? I, do cholery, gdzie właściwie podział się Sam?

Mój Boże jedyny. Sam.

- Może ogląda telewizję w piwnicy - zasugerowała Beth. - Nie pytałeś Vincenta?

- Vincent śpi. Jego drzwi są zamknięte na klucz. Pukałem. Kerry też śpi - czy ona przypadkiem nie miała dzisiaj nocować u Blythe?

- Nagle zatęskniła za domem. Ostatnio często jej się to zdarza. Georgia przyprowadziła ją z powrotem. Słyszałam, jak wróciła.

- No, nieważne. I tak przeszukałem już wszystkie możliwe miejsca. Jezu Chryste, Beth. Jezu Chryste, gdzie on może być?

Beth machinalnie sięgnęła do szafki nad ekspresem i wyciągnęła tabletki nasercowe Pata.

- Przestań, Pat - zarządziła, walcząc z plastikowym zamknięciem

fiolki. - Zastanówmy się nad tym spokojnie. Może poszedł biegać? Zabrał się za to od niedawna...

- Beth, nasz dom pokazywali we wszystkich wiadomościach. I te zdjęcia wszędzie... - Pat ciężko oddychał. - Nie trzeba znać dokładnego adresu, żeby tu trafić i natknąć się na dziecko przed domem... dziecko z pierwszych stron gazet...

- Czy chcesz powiedzieć - z niedowierzaniem spytała Beth - że wierzysz, iż ktoś uprowadził Sama? Porwał go?!

- Przecież to możliwe! - wykrzyknął Pat. - Ten cały pieprzony rozgłos! Jakiś zboczeniec, wariat mógl...

W tej samej chwili rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Beth zauważyła, jak z twarzy Pata odpływa wszelki kolor.

- Och, Bethie, nie, o Boże, nie.

Beth rzuciła się przez hol do drzwi. Serce waliło jej jak młotem. Na ganku, w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, stał Sam, a za nim George, popychający go lekko naprzód. Twarz Sama nosiła ślady snu i płaczu. Jego oddech pachniał mlekiem. Odwrócił się w stronę George'a, ale George kiwnął tylko głową, nieznacznie ponaglając go, by wszedł do środka.

- Beth, Pat, tak mi przykro - odezwał się George. - Tak mi przykro, że on znów to zrobił.

Pat zanurzył dłoń we włosach.

- Co zrobił? Co znów zrobił, George?

George, zdezorientowany, spojrzął na Pata, przeniósł wzrok na Beth, a potem obejrzał się przez ramię, wypatrując czegoś ponad skalnym ogródkiem, od którego teraz najsilniej odbijało ostre słońce wczesnego poranka. Przy skrócie na podjazd ktoś stał. Ktoś... Beth osłoniła dłonią oczy. Vincent.

- O co chodzi? - spytała cicho. - O co chodzi?

George wyjaśnił, że pierwszy raz, gdy Sam wydostał się z domu przez okno, wdrapał się po kracie z pnączami do swojego pokoju w domu George'a i położył w swoim dawnym łóżku, zdarzył się w czasie jednej z tych nocy, kiedy Beth poszła wcześniej spać, a Pat pracował w restauracji. George, naturalnie, gdy tylko to odkrył nad ranem, postanowił natychmiast odstawić Sama z powrotem.

- Słuchajcie, ja kocham mojego syna - oświadczył. - Przepraszam, Beth, chciałem powiedzieć, oczywiście, że kocham Sama. Ale zdawałem sobie sprawę, że będziecie odchodzić od zmysłów ze zmartwienia, a może na dodatek pomyślicie, że ja przyzwalam Samowi na podobne zachowanie.

Więc George zrobił jedynie Samowi grzanke, uściskał go i zamierzał odprowadzić z powrotem. Lecz gdy tylko wyszli na ganek, ujrzeni Reese'a - w skórzanej kurtce, z przygarbionymi plecami, siedział na rowerze. W geście powitania wzruszył beznamiętnie ramionami, po czym zapewnił George'a, że odprowadzi zbiega do domu i wyjaśni całe zajście rodzicom.

Podobna historia wkrótce się powtórzyła. A potem jeszcze raz. No i teraz, dzisiaj.

- Vincent nic nam nie powiedział - odezwała się Beth, kierując te słowa przede wszystkim do Sama.

- Wiem - wymamrotał Sam. - Taką mieliśmy umowę. Beth odwróciła się w stronę Pata z absurdalną wymówką:

- Mówiłeś przecież, że drzwi do pokoju Vincenta są zamknięte na klucz.

- Bo są zamknięte - oznajmił nagle Vincent, przepychając się nieznacznie pomiędzy Samem i George'em i zmiernając w stronę schodów. - Można zamknąć i otworzyć każdy zamek, jeżeli się jest mechanicznym geniuszem. Poza tym istnieją różne sposoby opuszczania pokoju. Zapytajcie Sama.

- Posłuchaj, Vincent... - wycedził Pat przez zaciśnięte zęby.

- Opuść sobie, tato. - Vincent ściągnął z głowy baseballówkę i zarzucił na poręcz. - Idę spać. A on przecież wrócił do domu, no nie? Przynajmniej jeszcze tym razem tu wrócił.

Beth, uświadamiając sobie bezsens podobnego gestu o takiej porze, zaoferowała George'owi kawę, a on skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Sam zaciągnął suwak kurtki.

- Idź na górę do swojego pokoju - powiedział Pat tak surowym tonem, że wszystkich, z Samem na czele, zamurowało ze zdumienia.

- A co ja takiego zrobiłem? - po chwili zapytał Sam zapalczywie.

- Uciekłeś! Śmiertelnie przeraziłeś swoją mamę i mnie, to właśnie zrobiłeś! I, jak się okazuje, nie po raz pierwszy dopuściłeś się czegoś podobnego! Mogłeś skrócić kark, wpaść pod samochód, mogło przytrafić ci się jeszcze coś gorszego! - Pat przysunął swoją twarz blisko do twarzy Sama. - Czy już nie dość przypadło w udziale tej rodzinie? Czy wszyscy już nie wycierpieliśmy wystarczająco wiele?

- Uhm - odparł Sam, jednak Beth od razu zauważyła, że on zbiera się w sobie, wojowniczo wypina pierś. Sam był niemal równie wysoki jak Pat i szerszy w ramionach. „Och - pomyślała Beth - on się już teraz nie wycofa. Ma temperament Cappadorów. Cechuje go upór wszystkich Kerrych. Nic go już nie powstrzyma. Wreszcie rzuci to Pa-

towi w twarz". - A po chwili, zawstydzona uczuciem ulgi, które ją nagle ogarnęło, dodała w myślach: „Przynajmniej ja nie będę musiała tego robić”.

- Tak, wystarczająco dużo. Ja już też mam tego wszystkiego dosyć.

- Tego wszystkiego? - spytał Pat cichym głosem.

- Tak, tego... wszystkiego. - W kącikach oczu Sama zebrały się łzy, by po chwili powoli, pięknie spłynąć z jego długich rzęs. - Mam już dość. Chcę wrócić do domu. Do mojego taty. Mogę iść do sądu i zmusić was, żebyście oddali mnie mojemu tacie. Czytałem o tym w szkole.

- Posłuchaj, nie wiem, co czytałeś, ale chyba nie wyobrażasz sobie, że ktokolwiek każe nam oddać nasze dziecko mężowi kobiety, która je uprowadziła, porwała...

- Mój tata nie jest temu winien! - odparł na to Sam. - Tato, przecież chcesz, żebym wrócił do domu, prawda, że chcesz? Powiedz mi!

Cierpienie George'a było teraz przytłaczające, tak namacalne, jakby przerodziło się nagle w odrębny, przesiąknięty potem i znużeniem byt. George przenosił wzrok z Sama na Pata, a potem posłał błagalne spojrzenie Beth, mechanicznie odmierzającej łyżeczki kawy na starannie rozpostarty brązowy, papierowy filtr.

- Co? - odezwał się w końcu Pat. - Co on opowiada? George ciężko opadł na krzesło.

- Pat, on bez przerwy zadaje mi pytanie, czemu nie może mieszkać razem ze mną. A ja mu wciąż odpowiadam... że to, co zrobiła jego mama, co zrobiła Cecilia, było straszne, że naraziła was na niewyobrażalne cierpienie...

- Ale to też nie była jej wina! - wtrącił dyszkantem Sam. - Moja mama jest umyślowo chora, Beth. Jest umyślowo chora. Sama to przyznałaś, gdy pojechaliśmy na północ, do tego małego miasteczka. Przecież wtedy ci wszystko wytłumaczyłem. Ona nie wiedziała, co robi. Autentycznie wierzyła, że ja jestem jej prawdziwym synkiem. Czyż nie?

- Tak - przyznała Beth.

- I bez obrazy, Beth - ciągnął Sam, wyczuwając już, że coś w niej pękło, i usiłując teraz ocenić rozmiar tej szczeliny. - Nie myśl, że ja was nienawidzę czy coś w tym stylu. Bo przecież się starałem! Starałem się przez trzy miesiące! Trzy miesiące!

- Sam, synku, wystarczy - powiedział George, kładąc rękę na jego ramieniu.

- Nie, tato. Posłuchaj. Myśmy o tym rozmawiali. Beth wie. - Beth czuła na sobie przeszywający wzrok Pata. Robiła wszystko, żeby tylko nie patrzeć mu w oczy. - Powiedziałem jej, że nie rozumiem, czemu

muszę mieszkać tutaj, zaledwie dwie przecznice od mojego własnego domu, wśród zupełnie obcych ludzi, z powodu czegoś, co wydarzyło się bardzo dawno temu, do czego ja przecież w ogóle się nie przyczyniłem!

- Sam - powiedział Pat. - Usiądź. - Sam opadł na krzesło, upewniwszy się przedtem, że George znajdzie się między nim a Patem. - Sam, posłuchaj. Wiemy, jakie to dla ciebie trudne. Wiemy, jak bardzo tęsknisz za swoim... tęsknisz za George'em. Ale to nie zmienia faktu, że jesteś naszym dzieckiem. To my powołaliśmy cię do życia. Twoje miejsce jest przy nas, w naszej rodzinie.

- Właśnie w tym rzecz! - Sam już teraz szlochał. - Może i urodziłem się w waszej rodzinie, ale ja... ja nigdy przedtem nie widziałem was na oczy. Nic nie pamiętam, z wyjątkiem... no, po prostu nie pamiętam waszego domu ani nic innego z tamtych lat! Czy nie rozumiesz? - Pat, zamknąwszy oczy, pokręcił głową.

- Ale słuchaj... - ciągnął Sam, cały drżący, siląc się na uśmiech - wszystko może się jeszcze świetnie ułożyć. Ja czytałem... sprawdziłem na fiszce w szkole... nie mówiłem ci o tym, Beth... ale był kiedyś taki chłopak, który „rozwiódł” się ze swoimi prawdziwymi rodzicami, bo nie czuł się z nimi szczęśliwy, i wrócił do swojej rodziny zastępczej, do ludzi, którzy go kiedyś wychowywali... rozumiesz? Był z nimi zżyty, bo mieszkał w ich rodzinie gdzieś... przez pięć lat. A potem nagle jego prawdziwa mama znalazła pracę czy coś takiego i powiedziała: „Zabieram go do siebie”. No więc, z tego, co czytałem, wynika, że nawet nie musiałbym wynajmować prawnika czy kogoś podobnego... prawda, tato? - Sam posłał George'owi pytające spojrzenie. - Mógłbym po prostu... wprowadzić się z powrotem do mojego domu. A czasami... wpadałbym tu i odwiedzał was... tak jak teraz mojego tatę.

- Sam, w przypadku, o którym mówisz, matka zaniedbywała dziecko - stwierdził Pat znużonym głosem. - Nie zapewniała mu dostatecznej opieki, może nawet była dla niego niedobra. My natomiast nie zrobiliśmy nic złego.

- Ale ja też nie zrobiłem nic złego! - wrzasnął Sam. Pat mówił dalej, tym razem jeszcze łagodniej:

- Poza tym, Sam, nie sędzę, by podobne rozwiązanie było możliwe, nawet gdybyśmy wyrazili na to zgodę...

- Byłoby - upierał się rozgorączkowany Sam. - Czytałem o tym. Wystarczyłoby, żebyście mi na to pozwolili. Wszystko odbyłoby się zgodnie z prawem i tak dalej.

- Ale my nie chcemy zrobić czegoś takiego, Sam. My cię kochamy.

Zawsze chcieliśmy cię odzyskać, chcemy, żebyś żył w naszej rodzinie, zawsze będziemy chcieli, byś był jej częścią.

Sam wcisnął twarz w oparte o stół ramiona. Obaj - i Pat, i George

- instynktownie wyciągnęli rękę w jego stronę. Beth pochyliła się nad dzbankiem do kawy. Kerry w milczeniu - co zdarzyło się zapewne po raz pierwszy od wielu lat - podeszła do niej od tyłu i chwyciła za skraj spódnicy.

- Co mu się stało, mamusiu? - spytała. - Co się stało Samowi?

- On jest bardzo smutny, Misiaczku - odparła Beth, głaszcząc jedwabiste, skołtunione włosy swojej córki. - Jest po prostu bardzo smutny.

- Idź na górę, Sam - odezwał się nagle George stanowczym głosem. - Połóż się na chwilę. Zjrzę do ciebie przed wyjściem, dobrze? A jutro wieczorem pogramy w piłkę. Co ty na to? Hmm?

Sam poderwał się od stołu, niemal przewracając George'a.

- Nienawidzę was! - wrzasnął. - Nienawidzę was... i ciebie też nienawidzę, tato! Nienawidzę waszego głupiego, wstrętnego domu i waszego pokreconego syna o imieniu jak z opakowania masła orzechowego! Nie chcę was wszystkich znać! - Przewróciwszy krzesło, Sam wypadł z kuchni i wbiegł po schodach, po dwa stopnie naraz. Beth usłyszała, jak na górze huknął pięścią w ścianę trzy razy, a potem trzasnął drzwiami do swojego pokoju.

- Tak mi przykro - wyszeptał George. - Nieszczęsne stworzenie.

- George, to nie twoja wina - oznajmiła Beth, ruszając w stronę ekspresu, by podać kawę, przygotować serwetki, nalać śmietankę do dzbanuszka, skompletować łyżeczki - oddać się czynnościom, których przed poznaniem George'a nigdy nie robiła.

- Chciałbym postępować wobec Sama jak należy! - wykrzyknął nagle George, uderzając otwartą dłonią o stół. - Chcę, żeby był szczęśliwy. Więc jeżeli to wy macie stworzyć mu rodzinę, na jaką rzeczywiście zasługuje, zróbcie to w końcu, do jasnej cholery! Pat, Beth, muszę wam jednak powiedzieć, że Sam jest teraz najsmutniejszym dzieckiem na świecie. Ten chłopak w całym swoim życiu nie smucił się nawet dwunastu godzin. To wbrew jego naturze. Nawet... nawet kiedy Cecilia... on jedynie litował się nad nią, Pat. Trzymał jej zwiotczalą dłoń w swojej dłoni i powtarzał: „Wszystko w porządku, mamusiu. Wszystko w porządku”.

- A teraz? Mój dobry Boże! Miejmy nadzieję, że to się poprawi...

- A może nie - wysapał Pat chrapliwie.

- A może nie - odparł George. - Ale muszę wam powiedzieć, że mnie to wykańcza. Gdy wchodzę rano do jego pokoju i widzę go tam,

leżącego na swoim łóżku... widzę go tam, z poduszką, którą zrobiła dla niego moja mama, wetkniętą pod nogę... Beth, Pat, ze wszystkich ludzi na świecie wy powinniście najlepiej zrozumieć, co ja wówczas czuję! Beth miała wrażenie, że spojrzenie Pata pali ją żywym ogniem.

- Co on ci powiedział, gdy pojechaliście razem tam, na północ?

- W zasadzie to samo, co powiedział przed chwilą. Tyle że ogłędniej - odparła, spuszczając wzrok. - Chciałam już od jakiegoś czasu porozmawiać z tobą na ten temat...

George zerwał się pośpiesznie, przewracając krzesło i łapiąc je w locie, jeszcze zanim uderzyło o podłogę.

- Słuchajcie, pójdę już - powiedział. - Jeszcze raz przepraszam was za wszystko.

Pat i Beth zamierzali się podnieść, odprowadzić go do drzwi, jednak George zatrzymał ich na miejscu znużonym gestem dłoni.

A więc zostali razem przy stole, rozdzieleni kubkami pełnymi świeżej, szybko stygnącej kawy. „Zrobię śniadanie - pomyślała Beth. - Wstanę i zabiorę się do pracy”.

- Paddy - zwróciła się w stronę męża. - Idź na górę i prześpij się trochę, co? - Pat wzruszył ramionami i ruszył w stronę schodów. Beth wyjęła miskę i zajęła się ubijaniem jajek. „Francuskie tosty” - postanowiła w duchu. Wciąż czuła się zagubiona w kuchni po tych wszystkich latach, kiedy to Pat znosił do domu posiłki dla dzieci z restauracji, a ona żywiła się jogurtem, bagietkami czy odrobiną krakersów z serem. Jednak Sam najwyraźniej oczekiwał posiłków z prawdziwego zdarzenia o regularnych porach - sałatek, przystawek, deserów. George opracował skomplikowany plan, którego przestrzegał z niemal religijnym namaszczeniem; a Sam na dodatek uwielbiał tak dziwaczne rzeczy, jak bułeczki z otrębami czy suszone morele.

Beth pokroiła jabłka, podzieliła na części pomarańcze i zalała wszystko jogurtem. Sałatka owocowa. Danie świadczące o matczynej troskliwości. Beowulf machnął pod stołem swoim grubym, siwiejącym ogonem, rozsiewając wokół sierść, pobłyskującą w promieniach słońca niczym cienkie szklane odpryski.

Chwilę później do kuchni wszedł Vincent, zwabiony zapachem stopionego masła i cynamonu. Tuż po nim nadciągnął Pat. W milczeniu, pojedynczo, cała rodzina zasiadła przy stole i zajęła się śniadaniem. Po jedzeniu Sam zabrał się za zbieranie brudnych naczyń.

- Pomogę ci - zaoferowała Kerry.

- Dzisiaj moja kolej - odparł sucho Sam, starannie układając talerze w zmywarce i zwieńczając wszystko pełną garścią sztuców.

- Chcesz poćwiczyć chwyt? - zapytał go Pat.
- Obiecałem, że dzisiaj skoszę trawnik Silbergom.
- Ale jeszcze nawet nie ma siódmej - zauważył Pat.

- W takim razie może się przedtem prześpię - odparł Sam. Pat odsunął się z krzesłem do tyłu, by obserwować Sama urzędującego przy zlewie. Badawczo, zachłannie wpatrywał się w jego dłonie; Pat je uwielbiał; uwielbiał, gdy zaciskały się na piłce - na jakiegokolwiek piłce. Pat był zawsze spontanicznym graczem - szybkim, pełnym impetu. Sam grał w baseball zupełnie inaczej - inteligentnie, powoli - w każdy ruch wkładał wiele rozważań.

Beth opróżniła ekspres z kawowych fusów. Kerry włączyła telewizor - kanał z kreskówkami. Vincent skrył się w swojej pieczarce. „Teraz posiedzę sobie na werandzie” - pomyślała Beth.

Gdy wyszła na zewnątrz, natknęła się na Pata, podlewającego krzewy różane.

- Przecież mówiłam, że ja to będę robić - powiedziała z nagłą irytacją w głosie; czyżby Angelo nie wkładał w głowę Patowi chyba z milion razy, że wodę należy lać na korzenie, nigdy na liście, bo inaczej zajdą pleśnią? - Sądziłam, że pójdziesz się przespać.

- Nie mogę zasnąć - stwierdził Pat. - A ty?

- W takim razie, Paddy, lepiej porozmawiajmy.

- Jak chcesz.

- On jest nieszczęśliwy. Wydarzenia ostatniej nocy to jedynie wierzchołek góry lodowej.

- Spodziewałem się, że powiesz coś takiego, Beth. Gdy już wszystko niemalże doszło do normy, ty oczywiście musisz szukać dziury w całym. Kuratorka ostrzegała nas, że musimy być przygotowani na podobne zachowania. Mówiła, że ta sprawa wymaga czasu. Pamiętasz? Problemy z odnalezieniem własnej tożsamości. I tym podobne historie.

- W tym rzecz, Pat. Czy ty doprawdy sądzisz, że on ma problemy z odnalezieniem własnej tożsamości? Bo ja nie. On dokładnie wie, kim jest.

Pat odwrócił się do niej plecami i zajął się zagarnianiem liści grabiami, które znalazł oparte o ścianę.

- Do czego ty właściwie zmierzasz? - spytał po chwili. Beth usiadła na trawie.

- Pat, pamiętasz, parę razy zdarzyło się nam czytać o dzieciach, które ich biologiczni rodzice chcieli odebrać przybranych rodzicom po kilku latach? Zawsze wówczas twierdziłeś, że gdybyś był sędzią, wydawałbyś wyrok w najlepiej pojętym interesie dziecka. To ty zawsze

mawiałeś, że odbieranie dzieci ludziom, z którymi są blisko zżyte, jest narażaniem tych dzieci na przeżywanie koszmaru.

- To zupełnie inny przypadek.

- Ale efekt ten sam.

- Nieprawda.

- Paddy, jego ojcem jest George.

Przez ułamek sekundy Beth miała wrażenie, że Pat zamachnie się i uderzy ją grabiami. On jednak odrzucił je na bok, chwycił za waży i trzasnął nim o pień drzewa. Guma zaczęła więc się niczym rozdrażniona kobra, opryskując wszystko wokół drobnymi kroplami wody.

- Posłuchaj, Beth - odezwał się Pat cichym głosem. - Posłuchaj uważnie, bo nie zamierzam więcej na ten temat rozmawiać. Kocham cię, Beth. - Pat podszedł do ogrodowego kranu i zakręcił wodę. - Kocham cię. Myślę, że kochałem cię jeszcze w dzieciństwie. Od dwudziestu lat jesteśmy małżeństwem, a znam cię od urodzenia. I wiesz, co przez te wszystkie lata zdążyłem zaobserwować?

- Co? - zainteresowała się Beth.

- Że pławienie się w poczuciu nieszczęścia uznałaś za swoją życiową misję.

- To nie fair, Pat. Kiedy Ben jeszcze...

- O, nie, Beth. Mówię teraz o czasach, zanim wprowadzono Bena. Ty zawsze tylko szukałaś pretekstu, by obnosić się ze swoim nieszczęściem. Ja nie jestem psychiatrą, Bethie. Niemniej sądzę, że twój problem tkwi w twojej głowie, że to jakieś szczególne spaczenie osobowości. Ale widzisz, Beth, ja nie jestem taki. Gdy tylko widzę szansę, żeby poczuć odrobinę szczęścia, chwytam ją. Nawet zanim jeszcze odzyskaliśmy Bena, postanowiłem, że zrobię wszystko, by czuć się szczęśliwym. Inaczej bym umarł. A potem on do nas wrócił. Mam teraz wymarzone życie. I dziękuję za nie Bogu, dziękuję, że pozwolił mi na spełnienie moich marzeń. Dlatego nic na tym świecie nie zmusi mnie, żebym teraz to życie zmienił, bym zmienił w nim choć jedną, najdrobniejszą cząstkę. Nie po tym wszystkim, przez co musiałem przejść. Nie po tym, czego musiał doświadczyć Vincent.

- Dobrze wiesz, że nie chciałabym zrobić nic, co mogłoby zranić czy skrzywdzić Vincenta.

- Nie jestem tego taki pewien. Choć jestem przekonany, że ty w to wierzysz. Tymczasem co właściwie chodzi ci po głowie, Bethie? Chcesz oddać Sama ludziom, którzy go nam ukradli, podstępnie zabrali od nas, gdy był jeszcze maluchem? Czyś ty zupełnie postradała zmysły? Czy wyobrażasz sobie, co ludzie na to powiedzą?

- Nie obchodzi mnie, co powiedzą na to ludzie. Obchodzi mnie jedynie dobro Sama.

- W takim razie bądź dla niego matką z prawdziwego zdarzenia, Beth. Jeżeli ci na nim zależy, pomóż mu przebrnąć przez to wszystko.

- Przecież właśnie usiłuję to robić.

- O, nie, Beth, ty usiłujesz jedynie wykombinować, jakby znowu nas wszystkich pograć w nieszczęściu. Żebyś przez kolejne dziewięć lat mogła się pławić w żalu i rozpacz. Tak naprawdę to jest twój problem, Beth. I nie ma on nic wspólnego z naszym chłopcem.

- Pat, posłuchaj. Przecież nie proponuję, byśmy zerwali z nim wszelki kontakt. W wielu rodzinach, na przykład w przypadku rozwodu, różni ludzie dzielą prawa rodzicielskie. Mieszkamy zaledwie dwie przecznice od siebie. Sam mógłby mieć przecież dwie rodziny.

- Beth, on już ma rodzinę! Dzięki łasce Boga odzyskał swoją prawdziwą rodzinę. Beth, on jest krwią z mojej krwi i kością z mojej kości - jest moim synem. Więc chyba nie wyobrażasz sobie, że oszalałem na tyle, by zrobić cokolwiek, co mogłoby doprowadzić do tego, bym pozwolił odebrać sobie swoje dziecko po tym piekle, przez które musieliśmy przejść. Beth, ja nie chcę mieć nic wspólnego z czymś takim. Ani z tobą, jeżeli spróbujesz do tego doprowadzić. Ja nie żartuję, Beth.

Beth rozejrzała się wokół, po czym wstała. Ostatnie zdania Pat praktycznie wykrzyczał; Beth była pewna, że Beckerowie usłyszeli każde jego słowo - mieli pootwierane wszystkie okna w domu nie wyposażonym w klimatyzację.

- Paddy, w tej sekundzie nie musimy przecież podejmować żadnych decyzji.

- Ależ tak, Beth. Zrozum, w tym świecie wszystko toczy się według określonych reguł. Restauracja bije w tej chwili wszelkie rekordy popularności, bo ludzie są jak wampiry karmiące się cudzym nieszczęściem i niezdrową sensacją. No i co z tego? Z czasem zapomną o tej sprawie. Ludzie w końcu o wszystkim są w stanie zapomnieć. Moje siostry nienawidzą cię, bo są przekonane, że w pewnym momencie poddałaś się, przestałaś walczyć o Bena. Nawet jeżeli to prawda - z czasem o tym zapomną, przejdą nad tym powoli do porządku dziennego. Czas wszystko leczy, Beth. Sama też uleczy - dlatego jedyne, czego mu teraz potrzeba, to więcej czasu. Ludzie wychodzą obronną ręką z gorszych sytuacji. A nas spotkało wielkie szczęście. Jesteśmy szczęściarzami, czemu nie chcesz tego zrozumieć?

- Pat, nie potrafię. Kocham go, dlatego nie jestem w stanie lekceważyć obecnej sytuacji. Porozmawiajmy z Tomem Kilgorem, dobrze?

- Beth, nic i nikt nie zmieni mojego stanowiska w tej sprawie - stanowczo oznajmił Pat.

- Ale ta decyzja nie zależy jedynie od ciebie! - wrzasnęła Beth. - Nie możesz tak po prostu powiedzieć: „Podoba mi się moje życie. Wreszcie mam to, czego chciałem”. On też ma swoje życie!

- Tak! I jest ono ściśle związane z tą rodziną. To mój syn! „Powiedz mu - pomyślała Beth. - Teraz już za późno, by tchórzliwie

skryć się za pozorami uprzejmości. Powiedz mu wszystko, by przynajmniej nie mógł udawać, że o niczym nie wiedział. Każ mu stanąć twarzą w twarz z oczywistymi faktami, wyłóż je przed nim - jeden po drugim - ułóż, niczym kolejne cegły w nowo powstającym murze tak, by potem nie mógł się zasłaniać argumentem, że nie rozumiał - że doprawdy nie pojmował, że ich chłopczyk, ich Ben, miał rację”.

Jednak można wejść w głębię oceanu. Czasami wystarczy tylko jeden krok. Ben go zrobił i już stamtąd nie potrafił powrócić.

A oni nie mogli za nim podążyć. Nigdy więc nie dowiedzą się, co go tam naprawdę spotkało, jakie moce zdołały go ostatecznie ukształtować. Teraz już mogli tylko oglądać rezultaty.

Ben wyłonił się z oceanicznej głębi niczym Wenus z morskiej piany - w pełni uformowany, przeobrażony, dojrzały. Wynurzył się jako Sam Karras - wspaniały chłopiec, jakiego każdy rodzic pragnąłby wychować. Tyle że Beth i Patowi nie zostało to dane.

Zapachem, który Sam utożsamiał z rodzicielską troską, nie był zapach mydła Beth, ale cygar George'a. W Samie skumulował się zbiór wierzeń i wrażeń, które nie miały nic wspólnego ze światem Cappado-rów: to czerwone, prawosławne jajka wielkanocne trzymał przed laty w swojej małej rączce; jego babcią nie była Rosie, ale Alicia Karras oraz patrycjuszowska Sara Lockhart. Sam sypiał w piżamie, a nie w slipkach i w T-shircie, jak wszyscy pozostali mężczyźni w ich rodzinie.

Beth bardzo chciała opowiedzieć mężowi, jak usilnie starała się dostrzec w Samie oznaki jakiegoś przełomu - choćby najniklejszy cień pozwalający karmić się nadzieją, że w końcu coś się zmieni. Jak obserwowała go wpatrującego się w Angela i zastanawiała się, czy istnieje między nimi jakaś więź? Wątpliwa, niewyraźna, lecz realna? Jak długimi godzinami przesiadywała wraz z Samem nad rodzinnymi albumami, a on wpatrywał się w każdy szczegół z intensywnością dojrzałego człowieka, usiłującego złożyć w całość skomplikowaną łamigłówkę - zawiedzionego, ogarniętego głębokim żalem, że żadnego z drobnych kawałeczków układanki nie jest w stanie dopasować do pozostałych.

Twarz Pata wyrażała zaciętość i agresję. Czy Beth rzeczywiście powinna mu wszystko powiedzieć? Czy nie będą to jedynie słowa rzucone na wiatr? Czy Pat doprawdy nie rozumiał, że każda cząstka pamięci Sama uległa całkowitemu przeobrażeniu, jednak nie pod wpływem cierpienia i straszliwych przeżyć? Czyżby nie pamiętał tego dnia, kiedy kuratorka z okręgowego ośrodka dla nieletnich oznajmiła im, że sytuacja mogłaby być prostsza, mimo że bardziej przerażająca, gdyby Sam wychowywał się wśród seksualnych dewiantów bądź nieokrzesanych włóczęgów? Bo wówczas postrzegaliby swoich naturalnych rodziców jako zbawców, wymarzone postaci z pięknej baśni.

- A tymczasem - oznajmiła kobieta żalnym głosem - obawiam się, że, w jego odczuciu, to wy zabraliście go jego własnemu ojcu. - Pat wpadł w furję po owym oświadczeniu, mimo że kuratorka natychmiast ich gorąco przeprosiła. A potem jeszcze przez jakiś czas chodził zirytowany i rozdrażniony, rozpamiętując jej słowa.

„Przypomnij mi o tym” - pomyślała Beth. I po chwili powiedziała:

- Pat, ja uważam, że ty po prostu postanowiłeś nie dostrzegać wielu rzeczy. Na przykład faktu, że ja nie jestem w tej sprawie twoim wrogiem. Czy myślisz, że nie chciałabym dokładnie tego samego co ty? Że gdyby istniała cudowna pigułka, którą mogłabym połknąć czy podać Samowi, i nagle wszyscy zapomnielibyśmy o przeszłych wydarzeniach, czy myślisz, że bym tego nie zrobiła?

Pat pomyślał chwilę, a potem odpowiedział powoli, jak gdyby starannie usiłował dobrać słowa:

- Nie jestem pewien, czy byś to zrobiła, Beth.

- Jezu Chryste, ty naprawdę potrafisz być okrutny. Czy sądzisz, że ja się w tym lubuję?

- Nie, o coś podobnego bym cię nie oskarżył. Ale myślę, że się tym karmisz, Beth. Bo co innego mogłoby motywować cię do działania, gdyby odebrać ci twoje... twoje święte cierpienie?

-Pat!

- Cóż, Beth, tak to właśnie wygląda. Gdy zaginał Ben, poczułaś, że w końcu dotknęłaś wielkiej tajemnicy. Wreszcie znalazłaś uzasadnienie na swoją odwieczną pozę „kalandrycznej Irlandki”. I teraz znów chcesz do tego doprowadzić. Już utrata tego jednego dziecka raz w życiu ci nie wystarcza. - Pat urwał.

- A więc chcesz powiedzieć, że bez problemu przyjdzie mi go utracić ponownie. Że, w odróżnieniu od ciebie, nie będę cierpieć z tego powodu.

Pat stał w milczeniu, a Beth nagle zadźwięczały w uszach jego słowa. Zdanie wypowiedziane przed chwilą wróciło do niej z taką siłą, jak-

by Pat w tej chwili jeszcze raz je głośno powtórzył: „Już utrata tego jednego dziecka...”

- Tego jednego dziecka? - odezwała się Beth. - Ty uważasz, że utraciłam ich obu, prawda? Sama i Vincenta? Że to wszystko moje dzieło?

- Nie, Chryste, nie. Przepraszam.

- Ale coś takiego miałaś na myśli?

- Nie, Bethie, skąd. Nie. Nie - Pat robił wrażenie szczerze przerażonego.

„Powinnam go teraz znienawidzić - pomyślała Beth - i to prawdopodobnie pomogłoby obojgu nam”. Ale jedynym uczuciem, które zdołała wydobyć z rumowiska emocji, był żal - łagodny, spokojny, swojski. Żal i poczucie winy, zużyte, stepione przez te wszystkie lata, które upłynęły od czasu, gdy Beth po raz pierwszy po nie sięgnęła - jeszcze na długo przed zjazdem absolwentów - w dniu, gdy podstępny wirus w organizmie jej matki rozwinął się w pełnoobjawowy zespół wszelkich możliwych patologii.

No dobrze.

Nie była najlepszą z matek. Ani w swojej rodzicielskiej miłości, ani w gniewie czy własnym obłędzie. Była niecierpliwa. Szaleńczo lojalna, lecz często niewyrozumiała. W wielu sytuacjach działała przytłaczająco.

„Być może - pomyślała Beth i nieomal na głos to wypowiedziała. - Jeszcze przed porwaniem było ich po prostu za dużo na mnie jedną. Nie mogłam dać im z siebie wszystkiego, tak jak to czynią prawdziwie dobre matki, bo musiałam zachować jeszcze coś dla swojej pracy.

A ty, Pat? Zajmowałeś się prowadzeniem restauracji przez całe swoje dorosłe życie. Na Boga jedyne, podjąłeś się pracy wymagającej od ciebie zaangażowania dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Czemu, zamiast tego, nie zabrałeś się za sprzedaż komputerów? Może dlatego, że pomimo ciągłych biadoleń i utyskiwań w rzeczywistości odpowiadał ci właśnie taki styl życia? Czy myślisz, że cię to usprawiedliwia, bo jesteś nie matką, ale ojcem? Bo twój ojciec postępował dokładnie tak samo? Bo gdy już zjawiał się w domu, byłeś, w odróżnieniu ode mnie, zawsze miły, uprzejmy i dobry?”

Beth ugniatała czoło. „Przestań - pomyślała. - Nie poddawaj się podobnej retoryce. Nie traktuj zamierzchłej przeszłości jako preludium do dnia zjazdu absolwentów, a wszystkiego, co wydarzyło się później, jako mechanicznego powracania do tej samej frazy - mama tylko częściowo obecna, potrzeby dzieci tylko częściowo zaspokojone, i w końcu, ostatecznie, czas gorzkiej zapłaty”.

Nie. Beth usiłowała złapać jeden głęboki, uspokajający oddech.

- Rzecz w tym, Pat - powiedziała - że gdyby to się nie zdarzyło, wszystko skończyłoby się dobrze. Dla nas i dla dzieci.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ze moglibyśmy być szczęśliwi. Bo przecież czuliśmy się szczęśliwi. Ty jesteś przekonany, że Ben zaginał dlatego, że byłem niedbałą matką. I rzeczywiście byłem niedbałą matką...

- Ja nie...

- Ależ tak, Pat. Ty tak właśnie zawsze uważałeś. Tyle że przed uprowadzeniem Bena tobie to nie przeszkadzało. Przynajmniej niespecjalnie. I wiesz, nawet gdybym wówczas była jeszcze gorszą matką, dzieci i tak świetnie radziłyby sobie w życiu. Ty chcesz postrzegać wydarzenia w kategoriach: „gdyby to, to tamto”. Bo taki już jesteś, Pat. Jeżeli coś się wali, uważasz, że zawiodła struktura. A to nieprawda. Podobna prawidłowość nie rządzi życiem. Gdy byłeś dzieckiem, Angelo wciąż przeżywał te swoje spektakularne, kabotyńskie załamania, a Rosie wiecznie tkwiła w waszym garmazu. Ty jednak wyrosłeś na normalnego, porządnego człowieka. Być może wszystko było wówczas prostsze. Kościół cieszył się prawdziwym szacunkiem i autorytetem, wszyscy mieszkaliśmy w jednym miejscu przez całe nasze młode lata. Niemniej gdy my dorastaliśmy, nasi rodzice byli pozbawieni... - Beth urwała, szukając odpowiedniego słowa - pozbawieni... świadomości. Świadomości, która pozwala nam zrozumieć, jak ciężko jest dzieciom żyć w świecie, w którym rodzice zmagają się z realiami życia. Moi rodzice uważali, że to normalne. Ze dzieci należy ubrać, nakarmić i spuścić im lanie, gdy nie odrobą pracy domowej. Ale ja już wiedziałam. Wiedziałam, że to z mojej strony straszny egoizm - pragnienie posiadania dzieci i wykonywania swojej własnej pracy. Dlatego próbowałam im to wynagrodzić; chciałam, by nie miały wątpliwości, że bez względu na to, jak bardzo rozczaruję je w rozmaitych drobiazgach, w jednej najważniejszej sprawie nigdy ich nie zawiodę. - Beth podniosła się i chwyciła Pata mocno za ramiona. - Chciałam je mieć. I one o tym wiedzą. Wiedzą, że byłem dla nich tak dobra, jak tylko potrafiłam.

Pat się poruszył, jakby chciał wyzwolić się z jej uchwytu, ale Beth jedynie zacisnęła mocniej dłonie na jego ramionach.

- Oczywiście, jeśli chcesz, możesz twierdzić, że po tym, jak zaginał Ben, doprowadziłam także do utraty Vincenta. Że to moja wina. Możesz tak twierdzić, bo to dla ciebie najprostsze. Ale widzisz, ja wówczas też byłem na tyle dobrą matką, na ile potrafiłam. A że maksimum tego, na co wtedy było mnie stać, plasowało się grubo poniżej rzeczywistych potrzeb, nie wynikało jedynie z mojej rozpacz. Brało się przede wszystkim z wiary, którą ty gorąco podzielałeś, że to wszystko spotkało nas tylko z mojej winy. I dlatego wówczas czułam, że największą krzywdę mogę wyrządzić Vincentowi, usiłując być dla niego matką.

Pat płakał. Ale Beth wiedziała, że nie może poddać się teraz ani wściekłości, ani litości. Nie chciała, nie była w stanie się powstrzymać. Musiała mówić, zanim wszystkie drzwi się przed nimi nie zatrzasną -wszelkie ewentualne możliwości porozumienia.

- I wiesz, co nam teraz jedynie pozostało, Pat? Świadomość. Świadomość faktu, że obaj nasi synowie są obcymi istotami w tym domu i że jeżeli wreszcie zaczniemy brać to pod uwagę, mamy jeszcze szansę coś ocalić. Ty już dostatecznie długo ignorowałeś ten fakt, a ja... można powiedzieć, że ja też go ignorowałam. Co doprowadziło do tego każde z nas - nie ma już w tej chwili żadnego znaczenia.

I wówczas Pat na nią spojrzał: jego oczy nie wyrażały zrozumienia, nie oferowały już pocieszenia, jak przez te wszystkie minione lata. Teraz przypominały oczy jej ojca: była w nich ufność, smutek i słabość.

- O co właściwie ci chodzi, Beth? - spytał. - Czego ty ode mnie oczekujesz?

Jeżeli przedtem Beth mogła mieć jeszcze jakiegokolwiek złudzenia, to teraz już zrozumiała z całą wyrazistością, że tylko sama będzie musiała podjąć odpowiedzialność za losy swojego syna. Nawet jeżeli Pat jej nie znienawidzi - a patrząc na niego, nabierała pewności, że on teraz już nie ośmieli się jej nienawidzić - to i tak nie zdobędzie się na to, by wobec całej rodziny oświadczyć: - Wspólnie przedyskutowaliśmy ten problem. Razem doszliśmy do wniosku, że Sam jest teraz nieszczęśliwy. Razem zdecydowaliśmy, że musimy podjąć określone działania. - W tej sprawie nie będzie żadnego „razem”. Pat zapewne otwarcie nie zachowa się wobec niej nielojalnie, niemniej nikomu nie pozostawi najmniejszych złudzeń, że przyszło mu żyć z wyborem, którego dokonała Beth.

Z wyborem, którego już teraz będzie musiała dokonać.

Reese

Rozdział 32

- A więc to coś w rodzaju wspólnoty praw rodzicielskich? Tydzień tu, tydzień tam? - spyta! Tom, zarzuciwszy jedną nogę na poręcz opasłego krzesła, stojącego naprzeciw jego fotela. Reese zauważył, że od czasu ożenku Tom zdecydowanie się wyluzował. Czyżby to, że teraz regularnie dostaje... Ale nie, dzisiaj nie będzie się nad tym zastanawiał.

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem dokładnie, na czym ten układ ma polegać; ostatecznie to dopiero sprawa paru tygodni. Wiem, że widzieli się z sędzią i tak dalej - odparł Reese. - Pewnie w podobnych przypadkach stosuje się określone przepisy. W każdym razie, on teraz rzadko się u nas pokazuje. - Co było grubym niedomówieniem. W dniu kiedy Sam od nich odchodził, Reese zatopił się w dźwiękach płynących z nowiutkiego, luksusowego odtwarzacza kompaktowego. Po usilnych błaganiach Pat w końcu wyraził zgodę, by Reese wypłacił na ten zakup pieniądze ze swojego konta oszczędnościowego. Gdy plecy Sama oddalały się od ich domu, Reese nawet nie zszedł na dół. Bez trudu mógł wyobrazić sobie scenkę rozgrywającą się na ganku: ojciec, niemal zgięty wpół, prawdopodobnie roniący łzy, mama stojąca z taką miną, jakby co najmniej obserwowała pożar „Hindenburga”. A do tego biedna Kerry, ściskająca dłoń Blythe, zadająca w kółko pytanie: „Kiedy Sam do nas wróci?” Pieprzone gówno. Trzeba być nie lada masochistą, by uczestniczyć w serialu „Z życia Cappadorów”. Reese nie miał wątpliwości, że nowy odtwarzacz ma mu wynagrodzić utratę już i tak raz zaginionego brata - jest czymś w rodzaju lizaka dla dużych dzieci; pieprzone gówno, nie trzeba było aż tak się wysilać. On i tak ma to wszystko gdzieś.

Teraz w domu zrobiło się co najmniej o siedemdziesiąt procent ciszej, co Reese'owi całkiem odpowiadało. Bo jakkolwiek to było, w roli

przeciętnej, amerykańskiej rodziny nie spisali się najlepiej, a mama wyglądała zdecydowanie bardziej na miejscu, gdy znów jej oczy zaczęły sprawiać takie wrażenie, jakby wypatrywały nieznanymi planetami, niż wtedy, gdy usiłowała koncentrować się na tym, co ludzie robią w rzeczywistości.

- ...czujesz w związku z tą sprawą? - pytał Tom.

- Słucham?

- Ziemia do Reese'a. - Tom był takim błaznem. Jego powiedzonka miały co najmniej ze trzydzieści lat; Reese w każdej chwili spodziewał się, że Tom powie na przykład „w dechę”, ale trzeba przyznać, że starał się, jak mógł. - Pytałem, jak się poczułeś, gdy Sam dokonał tego wyboru? Czy... jakoś cię to dotknęło?

- Mnie? - Reese był szczerze zdumiony. - Skąd. Pomyślałem tylko, że, przepraszam za wyrażenie, dał niezłego kopniaka w tyłek moim rodzicom.

- Taaak. Rozumiem - powiedział Tom. - No dobrze. A jak ci mija lato? Wciąż trenujesz, żeby ubiegać się o miejsce w drużynie?

Reese za nic w świecie nie zamierzał opowiedzieć Tomowi o słodkim spotkanku z tym kutasem Teeterem.

- Uhm - odparł. - Ale może jednak tego nie zrobię. Oczywiście, jak ci wiadomo, środowisko tradycyjnej szkoły średniej stawia przede mną wiele akademickich wyzwań, ale słabo stymuluje mnie do działania. - Tom parsknął śmiechem. - A mój tata ubzdurał sobie, że jeżeli nie przyjmą mnie na Uniwersytet Wisconsin, to zapewne umrę młodo czy coś w tym stylu. Więc w przyszłym roku czeka mnie niezłe wkuwanie. Naprawdę niezłe. W takiej sytuacji mogę nie mieć czasu na grę.

Dłonie Toma zetknęły się czubkami palców. Po tych wszystkich wspólnie spędzonych latach Reese wiedział już, co to oznacza - za chwilę Tom wytoczy armaty.

- Dobrze sypiasz?

- Uhm, niezłe. Bez problemu. - Co oczywiście też było cholernym kłamstwem, ale Reese nie widział sensu zagłębiania się w tę kwestię. Znowu prześladowała go ta pieprzona senna zmora z lat dzieciństwa. W ciągu ostatniego tygodnia zdarzyło się to aż dwukrotnie. Dobijało go, że prawdopodobnie już do końca życia będzie znajdował się na granicy świra z powodu jakichś wydarzeń, które teraz nie miały już dla niego żadnego znaczenia i których właściwie prawie nie pamiętał. Reese poczuł nagle ukłucie w sercu, a potem znajomy trzepot. Och, pieprzone gównie, o nie, tylko nie to na dodatek.

- Co się stało, Reese? - Tom błyskawicznie zdjął nogę z krzesła, pochylił się w przód i przybrał pozę poważanego psychiatry-szamana.

- Nic, nic. Chyba zbiera mi się na gripę. To wszystko.

- Jesteś pewien, że to wszystko? Bo widzisz, Reese, ja myślę, że ta cała historia mocno cię przytłoczyła. On wraca. Jakoś to trzeba sobie poukładać w głowie. Potem on odchodzi. I teraz to trzeba sobie poukładać w głowie.

- Ja nic sobie nie muszę układać. Mnie to nie dotyczy.

- A ja myślę, że tak.

- Bo taki już twój fach, Tommaso. Musisz tak myśleć... inaczej zostałbyś bez pracy.

- To fakt. Ale wiem także, że śmierdzące sprawy potrafią przylgnąć do ciebie na długi czas. A co z mamą? Jak wyglądają wasze wzajemne stosunki?

- Och, wspaniale. Od czasu gdy Sam opuścił nasz dom, mama zaczęła właściwie doceniać moje rozliczne talenty. Grywamy razem w tenisa w czwartki, w brydża w piątki...

- Reese, to już się robi nudne.

- Podobnie jak to pytanie - odparował Reese. - Posłuchaj, moja mama odezwała się do mnie gdzieś z dziesięć razy w ciągu ostatnich dziewięciu lat. Z tego osiem w czasie ubiegłych paru miesięcy. To nie jej wina ani nic w tym rodzaju, ona po prostu serdecznie mnie nienawidzi. I tyle.

- Hola! Hola! Wstrzymaj się, przyjacielu. Nie ulega wątpliwości, że twoja mama ma, nazwijmy to, kłopoty z wyrażaniem uczuć, ale nigdy nie odniosłem wrażenia...

- Posłuchaj, chociaż raz przyjrzyj się jej twarzy. Ona patrzy na mnie jak na paskudztwo, które trzeba zeskrobywać z dolnej półki lodówki.

- Myślę, że nie masz racji. Ale stan obiektywny nie jest w tej chwili istotny. Liczą się twoje odczucia.

- Tom, przychodzę tu - od ilu? - od czterech lat? Czy dłużej? Ile razy w tym czasie widziałeś moją mamę?

- Raz czy dwa.

- No więc, Tom, czy nie wydaje ci się, że jeżeli zależałoby ci na własnym dzieciaku, to może jednak pofatygowałbyś się częściej, by się czegoś o nim dowiedzieć? Słuchaj, ja mam to gdzieś. Ostatecznie jeszcze tylko rok przyjdzie mi spędzić na łonie tej rodziny...

- Raczej dwa, Reese. Lekko licząc. A co z twoim tatą i z Kerry? Czy oni stanowią jedynie nieistotne tło w tym obrazku? Czy zupełnie nie obchodzi cię, co oni czują?

- Pewnie, że obchodzi. - Reese podniósł się i stanął naprzeciw swojej ulubionej fotografii: tej z Tomem i jego małą siostrzyczką. - Czy twoja siostra wciąż jeszcze jeździ konno?

- Nie - odparł Tom tonem pełnym żalu. - Teraz, gdy jest już prawie nastolatką, zmieniła upodobania. A do tego wygląda jak... jak jakaś obdarta chórzystka z garażowej kapeli.

- Tom, Tom, Tom... ona jedynie pragnie wyrazić swoją osobowość - Reese pokiwał palcem. Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widzisz, natomiast teraz Kerry zaczęła jeździć na koniach. I pływać. I grać na flecie. I trenować piłkę nożną. Gdy dorośnie, założy jednoosobowy wodewil objazdowy: no wiesz, będzie na przykład stepować na galopującym koniu, przygrywając sobie do tego na flecie. Ona nie robi obecnie nic innego, tylko lata na wszelkie możliwe zajęcia pozalekcyjne.

- Może w ten sposób stara się zwrócić na siebie uwagę?

- Wiesz, ja myślę, że w ten sposób ona próbuje dać nogę z domu. Ja to zresztą doskonale rozumiem. Tata, na przykład, z tego samego powodu teraz już właściwie zamieszkał we „Włoskim Weselu”.

- A więc ty czujesz się opuszczony.

- Tom! Ja mam już szesnaście lat. Nie jestem przedszkolakiem. A ta rodzina... po prostu to nie jest ten model rodziny, gdzie wszyscy razem udają się w piątek do kręgielni. I łaska boska, bo gdyby tak było, chyba bym się porzygał. Ale, oczywiście, mój tata kocha mnie i kocha też Kerry.

- Za to twoja mama serdecznie cię nienawidzi. A to w jej towarzystwie spędzasz najwięcej czasu.

- Możesz to tak ująć.

- A jak ty byś to ujął?

- Że jesteśmy jak dwoje ludzi, którym przyszło zamieszkać na lotnisku, na tym samym lotnisku...

- I gdzie oni się udają? Dokąd odlatują z tego lotniska?

- Ja nie powiedziałem, że oni zamierzają gdzieś lecieć.

- Ale przypuśćmy, że tak - Tom odwołał się do swoich starych, ogranych sztuczek.

- Wówczas moja mama poleciałaby... Jezu, nie wiem... pewnie na Marsa. A mnie w tym czasie wysłałaby... na Syberię. Lub do diabła.

- Dlaczego twoja matka, która już dwukrotnie straciła jedno dziecko, miałaby posyłać cię do diabła?

Reese znowu poczuł trzepotanie w piersiach.

- Nie wiem - odparł beznamiętnym głosem. - Nie znosi tych moich wszystkich ekscesów w szkole. Wiem o tym. To burzy jej spokój.

- Ale powiedziałaś, że posłałaby cię do diabła. Nie jest to miejsce, do którego rodzice mają zazwyczaj ochotę posiać niedostosowanego nastolatka.

- Tom, uważaj sobie, co chcesz - Reese rzucił okiem na czerwone, tłuste cyfry zegara. - Nasz czas dobiegł końca.

- Nawet o tym nie myśl, Reese. Mam następną godzinę wolną. A twój ojciec jest teraz nieźle nadziany.

- Ale to nie z moim ojcem prowadzisz te rozmowy.

- To nieważne. A więc mówiliśmy o tym, że matka wysłałaby cię do diabła.

- To oczywiste. Ona uważa, że to przeze mnie.

- Co przez ciebie?

- Cooo?

- Słyszałeś pytanie.

- To, że ten dzieciak wrócił do George'a, oto za co mnie obwinia. Zawsze w kółko powtarzała mi: „Czy nie mógłbyś się więcej nim zajmować?”, „Czy musisz być dla niego taki surowy?”...

- A byłeś?

- Skąd. Grywałem z nim w kosza. Oczywiście, nie czytałem mu do snu...

- On jest już na to za duży.

- Słuchaj, traktowałem go całkiem przyzwoicie, biorąc pod uwagę fakt, jak niewiele może mnie łączyć z szóstoklasistą!

- Nawet z szóstoklasistą, który przypadkiem jest twoim bratem, nie widzianym od dziewięciu lat? Nie sądzisz, że to wystarczający powód, by poświęcić mu trochę więcej uwagi? A może kosztowałoby cię to zbyt wiele wysiłku?

- Tom - odezwał się Reese proszącym głosem - w tej chwili sędzę jedynie, że mam gorączkę. Pójdę już.

- A ja myślę, że w tej chwili z upodobaniem uzalasz się nad sobą. Twój tata cię ignoruje. Twoja mama cię nienawidzi. I nawet twoja mała siostrzyczka za dużo czasu spędza na zajęciach pozaszkolnych. Niczym Oliver Twist, co, Reese?

- Myśl, co chcesz, Tom. Ja wiem swoje. Ona jest przekonana, że to całe pieprzone gówno to moja wina, a ty nie masz o tym zielonego pojęcia, bo nigdy praktycznie jej nie widzisz...

- „To całe pieprzone gówno”... masz na myśli fakt, że on odszedł do George'a?

- Nie! - Reese próbował się opanować, ścisnął rękami ramiona, żeby powstrzymać się od krzyku.

- A więc co? -Nic.

- Co, Reese? Ja mogę przesiedzieć tu dziś cały dzień.

- To cholerne zaginięcie Bena przed laty. Zadowolony?

- Nie. A poza tym jestem przekonany, że ona tak nie myśli.

- Myśli, myśli.

- Posłuchaj, nikt nie będzie obwiniać siedmiolatka za to, że nie upilnował swojego młodszego brata w zatłoczonym holu hotelowym... a poza tym...

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - spytał Reese żałośnie. - Ciebie przy tym nie było.

- Jej też nie.

- Ale ona wie! Ona wie!

- Co wie?

- Wie, że ja...

To nagle było tak, jakby przeżywał ten powtarzający się sen o uciekaniu na jawie. Niespodziewanie zaczął myśleć o zapachu frytury dochodzącym z hotelowej kuchni, wymieszanym z zapachem pudru i perfum zgromadzonych w hotelowym holu kobiet. I w tym momencie Reese miał wrażenie, że zaraz się porzyga na rozłożony w gabinecie dywanik, pragnął wstać i jednym uderzeniem strącić Tomowi okulary z jego zadowolonej z siebie, różowej, irlandzkiej twarzy. Pieprzony kutas.

- Posłuchaj, Tom - odezwał się Reese z wysiłkiem. - Nie wiem, co właściwie chciałem przez to powiedzieć. Ona po prostu przyprawia mnie o dreszcze.

- A może to ty przyprawiasz ją o dreszcze?

- Wszystko możliwe.

- I może ona ma rację. Może zrobiłeś coś, co kazało temu dzieciakowi odejść. Może on wyczuł, że nie chcesz, aby żył obok ciebie. Bo w innym wypadku nie byłbyś w stanie stawiać wszystkich na baczność, skupiać na sobie uwagi za każdym razem, gdy zdecydujesz się na jeden z tych swoich półkryminalnych wyczynów, co, Reese?

Reese schował twarz w dłoniach.

- Nie pytaj mnie. Bo nie wiem. Nie wiem.

- Myślę, że wiesz - odparł Tom. - Myślę, że dobrze to wiesz. Wiesz, ale boisz się mi o tym powiedzieć, bo to zaprowadziłoby cię w rejony, od których starałeś się trzymać z daleka przez wiele, wiele długich lat, czyż nie, Reese? A wkroczenie tam kosztowałoby cię sporo wysiłku. Ty natomiast zawsze starasz się stąpać najłatwiejszą drogą, prawda?

- Najłatwiejszą drogą? - Reese pomyślał, że jego głos przypomina w tym momencie przenikliwy gwizdek. Zastanawiał się, czy jakiś cierpiący na bulimię dupek bądź mały popieprzony podpalacz, tkwiący w poczekalni Toma, zdołał usłyszeć jego słowa. A, prawda. Następna godzina wolna. To dobrze. Tym razem ściszył swój głos: - Jeżeli sądzisz, że życie w rodzinie Addamsów jest proste, to ty, a nie ja, powinieneś siedzieć na tym miejscu.

- Nigdy nie powiedziałem, że to proste. Powiedziałem jedynie, że niektórzy mają odwagę spojrzeć pewnym prawdom w oczy, inni nie. To wszystko.

- Odwagę? Posłuchaj, jeszcze nikt nigdy nie powiedział, że się czegoś boję. Nazywali mnie już różnie w życiu, ale nigdy śmierzącym tchórzem.

- Ja uważam cię za tchórza.

- Więc idź do diabła.

- Sądziłem, że to ty się tam wybierasz.

- Bardzo błyskotliwy tekst, Tom. Wysoce profesjonalny.

- Reese, oczywiście możesz to wszystko odwlekać - powiedział Tom z westchnieniem. - Tkwić z uporem w miejscu, w którym się znalazłeś, aż do chwili, gdy w końcu napatoczy się ktoś na tyle duży i niedobry, że to wszystko z ciebie wreszcie wytlucze. Zakładając oczywiście, że będziesz miał szczęście. Ja jedynie wolałbym, żebyś z taką determinacją nie starał się pociągnąć za sobą w dół swojej całej rodziny.

- Ja nie robię nic podobnego - oburzył się Reese. - Ja jedynie chcę, by oni w końcu zostawili mnie w spokoju.

- A ja przez cały czas naszej rozmowy odnoszę wrażenie, że tego jednego właśnie ty nie chcesz. I że jednocześnie, gdy tylko ktoś próbuje się do ciebie zbliżyć, natychmiast starasz się wykombinować, jakby tu nasikać mu prosto w twarz.

- Przestań - warknął Reese.

- Bo co? Teraz ze mną wdasz się w bójkę? Nie wystarczy ci już obwinianie własnej matki za wszystkie twoje ekscesy i kłopoty?

- Obwinianie mojej matki? Chryste, przecież cały czas usiłuję ci to wytłumaczyć. To ona! Ona! Ona dobrze wie, co ja zrobiłem, nienawidzi mnie za to i to nie ja ją obwiniam.

- A co takiego zrobiłeś? Co zrobiłeś?

- Co zrobiłem?! Co zrobiłem?! Puściłem jego rękę. A wiesz, co mu powiedziałem? Co powiedziałem swojemu słodkiemu, małemu braciszekowi? „Znikaj”. Powiedziałem mu: „Znikaj!” - Reese pomyślał, że teraz się rozplacze - gdyby się rozplakał, na pewno poczułby ulgę - ale

nie mógł. Wszystko się w nim gotowało. Buzowało. Gdyby Tom mógł zajrzeć do jego wnętrza, zobaczyłby, że czubek jego głowy podskakuje, jak pokrywka czajnika pełnego wściekle wrzącej wody.

- Reese - głos Toma dobiegał z bardzo daleka. - Reese. -Co?

- Czy zawsze o tym wiedziałeś? Czy przypomnialeś sobie właśnie teraz?

- Nie wiem.

- Wiesz.

- Zawsze o tym wiedziałem. I nie wiedziałem. Taka jest prawda. To tak, jakby wszystko było zamknięte w jakimś pudełku. Przypomniałem sobie, gdy on wrócił do domu. Najpierw tylko trochę. Potem więcej. A na końcu wróciły słowa.

-Reese, zastanów się. Pomyśl przez chwilę. Przecież za nic w świecie twoja matka nie mogła się dowiedzieć, co mu wtedy powiedziałaś. A poza tym przecież nie chciałeś, żeby on naprawdę zniknął.

- Ale zniknął. Po prostu zniknął.

- Reese, po pierwsze, mówiąc te słowa, nie miałeś niczego podobnego na myśli, a po drugie, nawet nie wiedziałeś wówczas, co to tak naprawdę znaczy. Byłeś po prostu małym, zmęczonym dzieckiem, które już miało serdecznie dość pilnowania swojego młodszego brata, podczas gdy twoja mama zabawiała się w najlepsze ze znajomymi. Prawdopodobnie byłeś głodny, znużony...

- No i co z tego? Ona i tak mnie nienawidzi.

- Nie wierzę, że ona cię nienawidzi, Reese. Ja myślę, że ona się ciebie boi.

- Boi się... mnie?

- Zapewne boi się, że wiesz bądź odkryjesz coś, co dotyczy jej osoby - tak samo, jak ty boisz się, że ona w końcu dowie się o tych wydarzeniach.

- Coś, co dotyczy jej osoby? A co ona takiego zrobiła?

- Zastanów się nad tym, Reese. Zastanów się, a następnym razem o tym pogadamy. Wreszcie otworzyłeś swoje pudełko. To było bardzo odważne posunięcie, Reese. Teraz będziemy musieli przyjrzeć się uważnie temu, co z tego pudełka wyfrunie, a gdy okaże się to konieczne, zgnieciemy to jak robaka, dobrze?

- Dobrze.

- I pamiętaj, to nie była twoja wina, Reese. To nie była twoja wina. Teraz nie musisz mi wierzyć. Widzisz, ludzie swego czasu też nie wierzyli, że istnieje coś takiego jak atomy, bo ich nie widzieli. A one prze-

cież istnieją. - Reese wzruszył ramionami. - Posłuchaj. Opowiadałem ci kiedyś o moim braciszku. Tym, który zmarł na SIDS. Powiedziałem ci, że to ja go znalazłem. Ale nie opowiedziałem ci całej historii. Moja mama posłała mnie na górę, żebym wyjął go z jego łóżeczka. - Reese podniósł wzrok. Tom wpatrywał się w jeden z obrazków, dokładnie ponad głową Reese'a. - A ja wpadłem we wściekłość. Robiło mi się już niedobrze od zajmowania się małymi dziećmi. Było nas ośmioro i starsze dzieci wciąż musiały opiekować się maluchami. Mnie już to męczyło. I gdy w końcu poszedłem na górę, i dotknąłem ramienia Taylora, poczułem, że jest strasznie zimne. Jak... jak mały ogórek wyciągnięty z zamrażarki. Lodowaty i twardy. I wiesz, co ja zrobiłem? Reese? - Reese pokiwał głową. - Zanim tam poszedłem, czytałem komiks, a moja mama wciąż powtarzała mi: „Idź po niego. Idź po niego” - a ja tymczasem marzyłem jedynie o skończeniu tego komiksu. Więc czytałem dalej. Gdy w końcu wbiegłem na górę, wciąż jeszcze trzymałem gazetę w ręku. No i rozpostarłem ją, i nakryłem go całego tym komiksem. Wtedy nie wiedziałem, a raczej nie dopuszczałem do siebie myśli, że Taylor umarł, że nie żyje. Za to potem nie pozwalałem mojej mamie, żeby mnie dotykała przez... no przez naprawdę kilka ładnych lat. Ona myślała, że to z powodu tego, co mi zrobiła: naraziła mnie na takie straszne przeżycie, kiedy sam byłem jeszcze małym dzieckiem. Sądziła, że przez to nie sypiam w nocy, ponieważ boję się, iż umrę we śnie. I ja rzeczywiście się tego bałem. Ale tak naprawdę problem tkwił w czym innym.

Reese gwałtownie podniósł głowę.

- A w czym?

- Widzisz, ja przez całą szkołę średnią... a chyba jeszcze nawet w college'u... byłem przekonany, że to ja zabiłem Taylora. Że przez to moje grzebanie się, zabawianie komiksem on umarł z głodu czy coś podobnego. Że gdybym poszedł po niego wcześniej, od razu, kiedy mama kazała mi to zrobić, on by żył, przynajmniej odrobinę dłużej. Reese, ja jeszcze byłem o tym przekonany, gdy byłem już dużo starszy od ciebie. A przecież wiesz - widzę, że wiesz - że to wcale nie była moja wina. Wcale.

Reese skinął głową, która teraz wydawała mu się wielka, pulsująca, miał wrażenie, że jest jak balon na patyku szarpany gwałtownym wiatrem. Reese był przekonany, że jeszcze nigdy w życiu nie miał równie straszego bólu głowy. Niewiele brakowało, a poprosiłby Toma o aspirynę czy coś podobnego. Ale zaraz pomyślał, że Tom musiałby mu wypisać na nią receptę albo odstawić inny podobny cyrk. Tak to już za-

wsze ma się sprawa z lekarzami - nigdy nie są w stanie ci pomóc od razu, gdy tego potrzebujesz. Wszystko muszą zawsze robić z wielką pompą.

Powietrze. Reese o niczym innym nie marzył, gdy Tom w końcu go od siebie wypuścił, częstując braterskim uściskiem w ramię na do widzenia. Jezu, spędził dziś w tej pieprzonej końskiej galerii całe dwie godziny! I w końcu otworzył swoje pudełko - tylko po co? Reese wiedział, że Tom to porządny gość, jednak nie całkiem rozumiał, dlaczego mu opowiedział tę historię ze śmiercią brata; ale ostatecznie zapewne nikt inny też nie potrafiłby tego pojąć.

Reese skierował swój rower w kierunku szkoły. Pomyślał, że to już schyłek lata i niedługo się ściemni. Bogu dzięki, że tata nie upierał się, by dziś po niego przyjechać. Będzie więc mógł pójść na boisko, posiedzieć chwilę na trybunach. Spokojnie pooddychać. Może nawet pograć trochę, jeżeli kogoś tam przy okazji spotka. Reese miał wrażenie, że szyja zaczyna mu się gwałtownie kurczyć, wciągając jednocześnie jego głowę głęboko w ramiona.

Wpadł na parking, pedałując z całej siły, i wtedy go zobaczył. Wielkiego białego thunderbirda, rocznik 1968 - idealnie odrestaurowanego. Z tymi idiotycznymi, szpanerskimi tablicami rejestracyjnymi: WLK GRKS. Wszystkie dzieciaki wiedziały, co ten świński gnój sobie wymyślił: „Wielki Guru Kosza”, ale i tak wszystkie - z wyjątkiem lojalnych poborowych drużyny składu A - mówiły zawsze: „Wielki Gruby Kutas”.

Teeter. Ten tłusty sukinsyn. Prawdopodobnie zajmujący się teraz na sali gimnastycznej przekształcaniem jakiegoś dziewiątoklasisty w prawdziwego mężczyznę - by na pewno wiedział, jak trzymać ptaka, kiedy sika. Stary pierdziel, chodząca góra słoniny, wciąż objeżdżający miasto samochodem, jak z piosenek Beach Boysów. „Teeter” - dźwięczało Reese'owi w głowie, gdy zwalniał. Starannie ukrył swój rower w krzakach, po czym włożył ręce do kieszeni. Zmrok przechodził teraz w nocną ciemność.

I o to właśnie Reese'owi chodziło.

Rozdział 33

Strażnik ustawii dla Reese'a krzesło o metalowej konstrukcji i ruchem ręki wskazał, by na nim usiadł.

A potem wyszedł bezszelestnie, jakby się rozpląnął. Reese nie wiedziałby nawet, że ten facet już wyszedł, gdyby nie poczuł minimalnego zawirowania powietrza, wywołanego zamknięciem drzwi. Teraz zostało mu jedynie wpatrywanie się w obrzydliwie zasmarowaną szybę z pleksiglasu, z wyraźnymi odciskami dłoni, śluzowatymi meandrami... Reese nawet nie miał ochoty zastanawiać się czego. Z rozmysłem położył dłonie na kolanach i przycisnął mocno ramiona do boków. Nie chciał, by jakakolwiek część wyposażenia, stanowiąca zapewne pożywkę dla rojów bakterii, dotykała jego ciała, infekowała jego skórę. Wszystko wokół cuchnęło; śmierdziało nie mytymi włosami, zatęchłym tytoniowym dymem i przepoconymi wkładkami do butów. Pomieszczenie było małe, naprawdę maleńkie, rozmiarów najwyżej wąskiej szafy. Reese starał się wstrzymać oddech, nie chciał, by cząsteczki smrodu przenikały do jego nosa; wierzył, że cokolwiek się wdycha - odór psiego gówna czy aromat świeżego, cynamonowego ciasta - ten zapach staje się częścią człowieka. „O Boże - pomyślał Reese. - Chciałbym się poczuć czysty. Wrócić do własnego łóżka. Mieć swoją szczoteczkę do zębów”. Nie miał przy sobie zegarka, a to pomieszczenie pozbawione było okien; niemniej wiedział, że już nadszedł kolejny dzień. Gdy przewozili go tutaj ze szpitala, widział rozwidniające się niebo. A potem godzinami zdejmowali mu odciski palców, zabierali mu jego własne ubranie; w końcu powiedzieli, żeby się przespał - i Reese rzeczywiście zasnął, pomimo hałasu i odgłosów płaczu, ale spał tylko jakieś pół godziny, bo nagle go obudzili i oznajmili, że przyszli jego rodzice. Oni już zjawili się wcześniej w szpitalu, jednak Reese był tak otumaniony zastrzykiem, który dostał, że w żaden sposób nie mógł sobie przypo-

mnieć, czy mama z tatą coś do niego mówili; nie pamiętał nawet, czy go dotykali.

Teraz właściwie nie był w lepszym stanie. Gdyby ktoś go zapytał, ile czasu już się tu znajduje, zupełnie nie wiedziałby, czy upłynęło czterdzieści minut, czy może jakieś czterdzieści godzin. Chociaż z bliżej nie określonego powodu był pewien, że to sobota. Gdy zobaczył mamę, stojącą za drzwiami, mignęło mu niejasne wspomnienie ze szpitalnego oddziału nagłej pomocy. Czerwone dzinsy. Mama wciąż miała na sobie te same jaskrawe, czerwone spodnie.

Sala widzeń z założenia miała być dźwiękoszczelna. Z boku wisiała słuchawka telefoniczna w kolorze budynku waniliowego, którą Reese będzie musiał podnieść, gdy wejdzie tu jego mama, by z nim porozmawiać. Reese widział ją wyraźnie, stała na zewnątrz sali, naprzeciwko Reese'a, po drugiej stronie drzwi z kwadratowym oknem, ujmującym jej twarz, odwróconą teraz do niego profilem, w rodzaj ramy. Mama na niego nie patrzyła - miała zwieszoną głowę, a ciemne, kręcone włosy opadały jej na policzki.

Z kimś rozmawiała. A gdy przesunęła się, by podnieść swoją torbę, ten ktoś wyciągnął w jej stronę ramiona. Candy: nie sposób było nie poznać tych łabędzich rąk, wypielegnowanych dłoni, nawet w tym czymś beznadziejnym, granatowym, blezerowatym, w czym Reese jeszcze nigdy przedtem jej nie widział. Candy objęła teraz mamę Reese'a i głaskała ją po głowie. Reese dałby wszystko, by usłyszeć... Położył głowę na laminacie tkwiącego przed nim blatu, wzdragając się jednocześnie przed kontaktem z jego powierzchnią. Dźwiękoszczelne... no tak. Kolejny triumf technologiczny... a jednak - nie. Nagle Reese usłyszał słowa mamy: - ... lepiej poza domem?

Szczyśliwie Candy mówiła donośniejszym tonem. Dobra, stara Candy, przyzwyczajona do wydawania rozkazów.

Szsz, szsz, a potem: - ...zabrać go nawet dzisiaj, mimo że, z formalnego punktu widzenia musi przejść przez procedurę ustanowienia kuratora sądowego, a tego nie uda się przeprowadzić wcześniej niż w poniedziałek po południu. Ale, Bethie...

Obie stanęły teraz oparte o drzwi, jakby zupełnie nieświadome faktu, że Reese w ogóle tam siedzi, oddzielony od nich jedynie jakimś metrem powietrza i trzema centymetrami przezroczystego plastiku. „Cześć, mammo. Cześć, Candy”. Żadna z nich nie posłała mu nawet jednego spojrzenia. -... nie najlepszy pomysł, by trzymać go tu przez cały weekend. - Reese wyraźnie czuł pot spływający mu po mostku. -On należy do dzieciaków, które szybko zaprzyjaźnią się z tymi, co tu

siedzą, i natychmiast przyswoi sobie mnóstwo różnych sztuczek... -Reese na moment zgubii wątek, gdy Candy odwróciła się do drzwi, ale chwilę później usłyszał: - ...poważnie go przerazi. Posłuchaj, tutaj podejmuje się decyzje w rodzaju: oskarżony przyzna się do gwałtu w zamian za odstąpienie od zarzutu handlu narkotykami. Po jednej stronie masz ojcobójców, po drugiej matkobójców. Bethie, sprawa o zniszczenie cudzego samochodu w stanie upojenia alkoholowego, połączona z zarzutem fizycznego oporu wobec funkcjonariusza... małe piwo, Beth.

Czy to jest małe piwo, czy poważna sprawa? Reese usiłował uspokoić walenie własnego serca, które przeszkadzało mu w wyławianiu sensu rozmowy. Ale jego serce oczywiście się zbuntowało i zaczęło uderzać ze zdwojoną jeszcze siłą.

Pod drzwiami mama wydała z siebie jakieś dźwięki i odrzuciła włosy z twarzy.

- Nie chciałam powiedzieć, że ty - ciągnęła Candy. - Ale to, co Reese robił swego czasu, no wiesz... dziecko z kryminalną przeszłością. Tu nie ma związku. To jego pierwsze antyspołeczne... Beth, przecież dobrze wiesz, o co mi chodzi... Poprawczak w takim przypadku, szczególnie w świetle jego poprzednich przeżyć...

„Jezu najśłodszy - pomyślał Reese. - Czy poprawczak to najlepsze, czy najgorsze, co może mnie spotkać?"

- ...nauczy go, że nie należy mu się pobjażanie od świata tylko dlatego, że przyjdzie mu do głowy narozrabiać? - spytała mama, tym razem głośniej.

- Beth, jemu rzeczywiście nie należy się pobjażanie od świata. Ale zdecydowanie należą mu się przeprosiny - odparła. Candy.

- ...nam wszystkim. A co z Samem? - „Jasne mam, jakżeby inaczej - pomyślał Reese. - Chociaż to ja siedzę w kiciu, ty i tak myślisz przede wszystkim o swoim marnotrawnym synu. Marzącym jedynie o tym, byś znalazła się jak najdalej od niego. Narażającym się - dosłownie - na skok z pierwszego piętra, byle się tylko od ciebie uwolnić. O dzieciaku, który najprawdopodobniej serdecznie cię nienawidzi. O tak, mamusiu, podyskutujmy sobie teraz o Samie alias Benie".

- Ben też - odparła Candy. - To znaczy, Sam też. Ale Reese przecież nie zrobił tego tylko po to, by się popisać...

Reese usłyszał kolejny, przytłumiony głos. Ojciec. O Jezu Chryste. A Candy odparła na to:

- Może i tak, Pat. Do cholery, przecież wiesz, jak jest. Rozumiesz, co są w stanie zrobić cierpiące dzieci, dzieci takie jak Reese. Przecież nie spodziewałaś się chyba, że on przyjdzie do ciebie i oznajmi: „Cóż, tato,

ja tak naprawdę wcale nie chciałem, żeby Sam od nas odszedł, ale jednocześnie nie zmartwiłem się strasznie, gdy to zrobił. I to mnie niepokoi". Podobne zachowanie nie jest w stylu nastolatków i zdecydowanie nie w stylu Reese'a, więc nic dziwnego, że nagle porwał się na coś tak idiotycznego, na tyle dramatycznego, by udało mu się odwrócić uwagę wszystkich zainteresowanych od faktycznego stanu jego emocji...

- ...jego wina? - Tym razem głos matki.

- Och, Beth - głos Candy był już teraz zabarwiony irytacją. - Przecież dobrze wiesz, że on i tak się o wszystko obwinia. I wiesz co, Beth, ja nie chciałabym cię straszyć - zdaję sobie sprawę, że tego uczucia wystarczyłoby ci już co najmniej na dziesięć kolejnych wcieleń - ale czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele wypadków samochodowych, spowodowanych przez nieletnich, to zawołowane próby samobójcze? Czy choć przez moment o tym pomyślałaś? Nie chciałabym ci do tego wszystkiego dorzucać poczucia winy, ale może zastanowilibyśmy się przez chwilę, przez co on właściwie musi cały czas przechodzić...

„Wina? To nie twoja wina, mamusiu. Absolutnie". Reese potarł szyję. Miał wrażenie, że skórę pokrywa mu warstwa lepkiego syropu; że teraz lgnie do niego każda drobina brudu.

A potem, zupełnie nieoczekiwanie, dobiegł go wrzask jego ojca:

- ...zwracała na niego uwagę od czasu do czasu, wówczas wiedziałaby, że, do cholery, interesuje cię, czy zaszył się w swoim pokoju, czy rozpląszczył się na jakimś pieprzonym drzewie!

- Cóż, Pat, nie pomyślę się chyba, jeśli stwierdzę, że wszyscy się wczoraj świetnie bawili we „Włoskim Weselu" w czasie, gdy twój syn robił zwarek w zapłonie samochodu, należącego do jego nauczyciela -odparła na to Beth ostrym, lecz beznamiętnym tonem.

- A może ty chociaż raz spróbowałaś być dla niego matką, Beth

- dobiegł Reese'a głos ojca, cichy, niemniej nie pozostawiający wątpliwości, że ojciec krzyczy. Reese bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak wojowniczo wypina pierś do przodu. Nienawidził tej jego idiotycznej koguciej pozy, której niekiedy towarzyszyło walenie pięścią w drzwi.

- Może byś chociaż raz tego spróbowała?

- Pat - odezwała się na to Candy. - Zamknij się.

Drzwi za plecami Reese'a wydały lekkie tchnienie. Zjawił się bezszelestny strażnik.

- Rodzice przyjdą do ciebie za chwilę - oznajmił. - W tej chwili rozmawiają z komendantem.

Komendant. Reese nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Komendant Bliss. Ta superlaska, policjantka, która odnalazła Bena Cappa-

dorę. Choć tak naprawdę wcale go nie odnalazła. Nie mogła go odnaleźć przez dziewięć lat, mimo że mieszkał zaledwie parę ulic od jej posterunku. No, dobrze, Candy. Ostatecznie akcja zakończyła się powodzeniem. Niech będzie. Reese zatopił twarz w dłoniach. Pieprzyć bakterie. W tym samym momencie drzwi naprzeciwko otwarły się do wewnątrz i stanęła w nich mama, wyglądająca równie nieprzytomnie jak zwykle, beznamietnie obejmująca wzrokiem brudne okno, ohydny telefon i Reese'a w luźnym, zielonym więziennym dresie, jakby wszystko to stanowiło nieistotne elementy tła, po czym usiadła. Reese czuł się okropnie. Było mu niedobrze, w ustach czuł obrzydliwy smak taniej brandy, więc gdy jeszcze zobaczył, że mama pociera wierzchem swoich drobnych silnych dłoni policzki, dokładnie tak, jakby stała w tej chwili w szlafroku w swojej własnej kuchni - zachciało mu się płakać, a zaraz potem rzygać. Odwrócił wzrok.

- Vincent.

- Cześć, mamó.

- Jak się czujesz?

- W porządku.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Mama wciągała powietrze nosem, a potem wydychała je ustami z długim poświstem. Vincent usiłował skoncentrować się na przełykaniu, przełykaniu. „Zapewne - pomyślał - ona teraz urządzi mi prawdziwe piekło. Będzie chciała obedrzeć mnie ze skóry”. Ostatecznie każdy rodzic na tej półkuli miałby na to ochotę. Tym razem to już był gruby numer. Reese uważał, że prawdziwie na to zasłużył. Ale nie. Mama siedziała tylko naprzeciwko niego tak jakoś mamowato. Aż w końcu zdecydowała się odezwać.

- Słuchaj, czy czegoś nie potrzebujesz? To znaczy, czegoś z domu? Bo widzisz, myślę, że będziesz musiał tu zostać jeszcze dzień lub dwa z powodu weekendu...

„I odebrać należną mi lekcję, jak na grzecznego chłopczyka przystało - pomyślał Reese i od razu poczuł się lepiej. - Cóż, mamó, tak, mam parę drobnych potrzeb. Przede wszystkim muszę wydostać się z tego zasranego miejsca, gdzie światło świeci mi w oczy, jakkolwiek bym się obrócił, a facet na sąsiednim łóżku patrzy na mnie jak na Big Maca, i do tego pewien trzynastolatek, urzędujący dwie sale dalej, ryczy bez przerwy, bo chce do swojej babci. Uroczy, mały chłopaczek, który wpakował kochasiowi matki nóż kuchenny w brzuch. Tak, zdecydowanie mam parę potrzeb, mamusiu”.

Jednak odpowiedział na to tylko:

- Nie, dzięki, wszystko w porządku.

- Na pewno? Bo jesteś zielony na twarzy. Czy ci niedobrze, czy źle się czujesz?

Reese musiał odwrócić wzrok. Miał wrażenie, że ona widzi, jak kwaśna brandy nieustannie obmywa mu ściany żołądka. Skąd, do cholery, ten jego durny kumpel, Schaffer, w ogóle wytrzymał podobne świństwo? Czy dorośli doprawdy pijają takie gówno? I co go właściwie podkusiło, by zabierać ze sobą Schaffera? Czemu po prostu nie porzucił tego pieprzonego samochodu w jakimś rowie, a sam nie usiadł w innym rowie, żeby się napić? „Cappadora, ty zawsze wszystko musisz spieprzyć” - pomyślał. Bardzo się w tym momencie starał, żeby nie wybuchnąć płaczem. - „Cóż, teraz już wiem. Już wiem, o czym rodzice rozmawiają z dziećmi wsadzonymi do pudła. O nudnościach”. I nagle wymknęło mu się niechcący:

- Okropnie boli mnie głowa.

- Candy mówiła mi, że jeżeli masz jakiś problem, powinieneś zgłosić go funkcjonariuszom. Oni coś na to poradzą.

- Ale nie mogą podać mi aspiryny. Muszą czekać na jakąś tam pielęgniarkę. A ona zjawi się tu dopiero za kilka godzin.

- Ja mam aspirynę - oznajmiła Beth i sięgnęła do torebki. Reese uśmiechnął się i postukał w szybę z pleksiglasu. - Och, oczywiście, zupełnie zapomniałam. Mój Boże, Vincent. Jak twoja głowa? Czy jeszcze krwawi?

-Nie.

- Och, kochanie... Hm... czy chciałbyś się zobaczyć z tatą?

„Zejście ze sceny, mamó - pomyślał Reese - w tym jesteś doprawdy najlepsza”. I już, już miał pokiwać twierdząco głową, gdy nagle zdał sobie sprawę, zupełnie niespodziewanie, że właściwie nie ma ochoty widzieć się z ojcem, że może już nigdy nie będzie chciał go oglądać, ale w szczególności nie tutaj - bo w tym miejscu nie mógłby znieść widoku jego sinych kół pod oczami, zanurzania palców we włosy i tych gestów, jakby chciał przeniknąć przez szybę i unieść Vincenta do góry. Gdyby teraz miał zobaczyć się z ojcem, toby już nie wytrzymał. A przecież musiał zachować spokój, przede wszystkim zachować spokój. Więc powiedział w końcu:

- Nie teraz, mamó. Muszę się wreszcie wyspać.

A mama, jakby przestraszona, odpowiedziała mu na to tylko: - Dobrze. - I Reese pomyślał, że ona już sobie teraz pójdzie, a tymczasem położyła obie dłonie płasko na laminowanym blacie i podtrzymała słuchawkę ramieniem. Po chwili wyciągnęła rękę i dotknęła plastikowej szyby.

- Vincent. Chciałabym cię o coś zapytać.

To było intrygujące. Taka inicjatywa konwersacyjna ze strony mamy stanowiła ekwiwalent wielkiego festiwalu filmowego. Pomyślał, że nagle ogarnęła ją panika. Ze nadszedł w końcu ten wielki czas. Teraz zapyta go, dlaczego tak postąpił - czy przypadkiem nie zamierzał się zabić i tak dalej. Zapyta, co do cholery próbował jej właściwie zrobić...

-Tak?

- Ben jest tutaj. - Potrząsnęła głową. - Sam jest tutaj.

- Jasna cholera. - „No oczywiście”. - Po co go w ogóle tu przyprowadziliście? - „Żeby zniechęcić go do kryminalnych ekscesów? Pokazać, że występki nie popłaca na chodzącym, żywym przykładzie?”

- Prosił nas o to.

- A jak do diabła w ogóle się o tym dowiedział?

- Tata mu powiedział.

- Dlaczego?

- Bo myślał... Posłuchaj, Vincent. Ten wypadek pokazywali w telewizyjnych wiadomościach. Późno w nocy. Nie powinni byli podawać twojego nazwiska, bo jesteś nieletni, ale z powodu Bena... no wiesz, powiedzieli, że chodzi o brata Bena Cappadory. To było obrzydliwe świństwo z ich strony. I nie muszę ci mówić, że już piętnaście minut później reporterzy okupowali nasz trawnik. Sam, oczywiście, o wszystkim się dowiedział. Zadzwoił. To znaczy zadzwonił George i przekazał Samowi słuchawkę. Sam chciał się upewnić, że nic ci się nie stało...

- Sam - powiedział Reese, teraz już naprawdę wściekły - Sam by się nie przejmował, gdybym nawet spłonął żywcem, mamo. Co to za pieprzone gówno? - Na Reese'a spłynęło nagłe oświecenie: - Poza tym nie sądzę, by można tu wprowadzać dzieci. To znaczy dzieci, których jeszcze tutaj nie wsadzili.

- Candy wyraziła na to zgodę.

- Czy istnieje jakieś terapeutyczne uzasadnienie na wpuszczenie Sama do tego pomieszczenia? Co to ma być? Jakaś zbiorowa, uzdrawiająca sesja?

- Vincent, mnie jest wszystko jedno, czy zobaczysz się z nim, czy nie. - Jej oczy były teraz zupełnie czarne, nie widział w nich ani śladu zieleni. Matka przeszywała go laserowym wzrokiem. - Mnie ani trochę na tym nie zależy. On chce się z tobą zobaczyć. Obiecałam, że cię zapytam o zgodę. Prosił, żebyśmy go tu przywieźli. Więc go przywieźliśmy. To wszystko.

„Ona dobrze wie - pomyślał Reese - że jeżeli powiesz komuś, że tobie na czymś nie zależy, że jest ci wszystko jedno, ten ktoś postąpi

dokładnie tak, jak sobie życzysz. Nie będzie miał wyjścia". Więc tylko przyzwalając machnął w jej stronę ręką.

- W takim razie pójdę po niego. Czeka na dole.
- Jeśli chcesz.
- No dobrze.
- Mamo?
- Tak?
- Czy mógłbym zobaczyć się z Tomem?
- Tomem...
- Tomem Kilgorem... no wiesz, mamo?
- Hmm... nie wiem, Vincent. Powiedzieli nam: „tylko najbliższa rodzina”.
- Ale przecież mogę widzieć się z Samem.

Gdy Reese zobaczył jej spojrzenie w tym momencie, pomyślał: „ona naprawdę mnie nienawidzi. Zawsze wiedziałem, że tak jest, ale teraz widzę wyraźnie, że ona pali do mnie pieprzoną nienawiścią”. Reese próbował ją przeproszać, jakoś się tłumaczyć, ale mama jedynie powiedziała miękko:

- Sam jest twoją najbliższą rodziną.
- Racja. Po prostu się nie zastanowiłem.
- Ale zobaczymy. Zapytam Candy o Toma.
- Nie, nieważne. Nie ma o czym mówić.
- Nie, nie. Zapytam... I może jeszcze pomyślimy o adwokacie, chociaż nie jestem pewna...

- Bo nie wiem, czy on w ogóle o tym wie.

Matka miała kompletnie zdezorientowaną minę, więc Reese przypomniał jej:

- To znaczy, Tom... Beth westchnęła.
- Och, Vincent, on na pewno się już o tym dowiedział. Tak jak wszyscy w obrębie co najmniej czterech stanów. „Boże, miałbym teraz ochotę ją uderzyć - pomyślał Reese. - Chociaż raz”.

Ale jedynie podniósł się i zapukał do drzwi prowadzących do aresztu. Strażnik bez wątplenia stał tuż za nimi, na pewno ziewał teraz głupio z miną pod tytułem: „A co to? Czyżby jakaś utrapiona mucha?” Reese zacisnęła dłoń w pięść i zastukał dużo mocniej.

- O co chodzi? - zapytał strażnik.
- Chciałbym dostać szklanek wody, dobrze?
- Nie ma wody.
- Nie ma wody?

- Tutaj nie mam dostępu do wody. Chcesz kawy?

- Ja nie miałem na myśli butelkowanej wody...

- Tutaj nie mam dostępu do wody. Chcesz kawy?

- Człowieku, ja mam dopiero szesnaście lat. Nie pijam kawy - wyjaśnił Reese proszącym tonem, po czym dodał: - A w każdym razie bardzo rzadko.

- Zobaczą, może będę ci mógł przynieść jakąś oranżadę.

Gdy strażnik zamknął za sobą drzwi, Reese miał wrażenie, że to pomieszczenie go wsysa. Bo było takie małe, takie małe. A jedyną jego dekoracją, jedynym złamaniem powierzchni kremowego tynku i jasnego drewna były brudne smugi na podłodze i na ścianach. Reese nie cierpiał na klaustrofobię; dobrze pamiętał drewnianą wnękę na podeście schodów, w której się chował, śnieżne forty...

W ogóle nie zauważył tego dzieciaka, a Sam tymczasem już zabrał się za telefon. Reese też podniósł słuchawkę.

- Długo już tak tu stoisz? - zapytał.

- Minutkę. - Dzieciak wyglądał na śmiertelnie przerażonego i na... bardzo małego. Jakby się jakoś skurczył. - Czy wszystko z tobą w porządku? - zapytał.

Reese przypomniał sobie nagle jeden ze starych filmów Pata O'Briena, który tata kazał mu oglądać z sobą kiedyś w środku nocy. W tym filmie Jimmy Cagney gra superzbrodniarza, skazanego na krzesło elektryczne, a Pat O'Brien jego przyjaciela z lat dzieciństwa, obecnie księdza, który przychodzi do niego do więzienia błagać go, by idąc na egzekucję zachowywał się jak ostatni tchórz, ażeby dzieciaki z okolicy nie traktowały pospolitego kryminalisty jak jakiegoś pieprzonego bohatera. Na wspomnienie tej historii Reese wybuchnął śmiechem. Śmiał się i śmiał. Zupełnie nie mógł się powstrzymać.

- O co chodzi? - zapytał Sam. - Co cię tak śmieszy?

- Nic... ja tylko... nic. No cóż, Sam, kto by pomyślał, że przyjdzie nam się spotkać w podobnym miejscu.

- Czy wszystko u ciebie w porządku?

Reese automatycznie sięgnął do bandaża na głowie, gdzie założyli mu szwy... czuł pieczenie. Wciąż nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem uszkodził sobie tył głowy, jeżeli to przodem samochodu Teetera trzasnął w słup ulicznej lampy.

- W porządku. Nic mnie nie boli.

- Czy zatrzymają cię tu na długo?

- No cóż, pięć do dziesięciu lat - odparł Vincent, a potem spojrzał

na tego dzieciaka i pomyślał, że to był jednak wyjątkowo zasrany tekst. - Nie, nie... tak naprawdę to nie wiem, Sam. Myślę... no wiesz, znam paru facetów, którzy narozrabiali i potem musieli jechać do takich specjalnych szkół...

- Do poprawczaków. Ale Beth mówi, że to jeszcze nic pewnego.

- Hmm. No wiesz, takie miejsce przypomina farmę, a poza tym jest tam szkoła. Dla młodocianych przestępców. Zobaczymy.

- A co ty właściwie zrobiłeś?

- Wziąłem samochód Teetera. Oczywiście, nie po to, by go ukraść, skąd. Po prostu chciałem sobie nim trochę pojeździć...

- Teetera, tego trenera ze szkoły?

- Aha, tego dupka.

- To dlaczego po prostu nie przyprowadziłeś go z powrotem?

- Chciałem tak zrobić, ale taki jeden typek - Schaffer - i ja wygłupialiśmy się trochę, no więc, gdy potem zobaczyłem gliniarzy, przyspieszyłem...

- Czy byłeś pijany? Bo Beth powiedziała, że tak.

- No wiesz, wypłem coś... tak, Sam. Byłem pijany. Ale zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Nigdy przedtem nie zrobiłem czegoś równie paskudnego...

- Na czym zostałeś przyłapany.

- Na... tak, masz rację. No więc, o co właściwie chodzi ci, Sam?

- O nic.

Reese wyraźnie widział twarze rodziców, kłębiące się przy małym okienku w drzwiach. Ojciec nawet wymachiwał ręką. Reese też mu pomachał. Z tej odległości nie mógł jednak dostrzec, czy tata wygląda na chorego, czy nie. Jednak zauważył, że Pat ma na sobie sensowne ubranie - przynajmniej jedna sztuka garderoby pasowała do drugiej, co oznaczało, że nie mógł się czuć naprawdę fatalnie. Fatalnie. Jeżeli już o tym mowa, to Reese czuł się fatalnie. „Czemu ja mu matkuję? - myślał. - Czemu nikt nie wszedł tutaj razem z Samem? Czy pozwalanie takiemu małemu dzieciakowi na odwiedzanie przestępcy nie jest przypadkiem złamaniem jakiegoś prawa?”

- No więc, co cię tutaj sprowadza? Czy ma to być nowa forma rozrywki na sobotnie przedpołudnie?

- Chciałem się przekonać, że wszystko z tobą w porządku.

- Tak, wszystko ze mną w porządku.

- To dobrze.

Dzieciak rozejrzał się po klitce, w której siedział Reese.

- No więc? Sam? - Reese pomyślał, że im szybciej upora się z tym

dzieciakiem, tym szybciej będzie mógł iść spać. Byle wreszcie skończył się ten dzień.

- To miejsce jest strasznie brzydkie.
- Tak, jest brzydkie.
- Jak szybko jechałeś?
- Nie wiem... gdzieś sto pięćdziesiąt...

Sam zamrugał oczami, po czym utkwiał wzrok w twarzy Reese'a. Uśmiechnął się.

- Sto pięćdziesiąt?

I w tym momencie Reese pomyślał, że powinien jednak teraz spuścić nieco z tonu. Ten Sam miał popieprzone życie nie tylko w taki zwyczajny sposób jak wszystkie inne dzieciaki, ale zdecydowanie bardziej. Przecież ledwo co zamieszkał z powrotem u George'a. Zaledwie parę tygodni zdążył spędzić we własnym domu po wstrząsających przeżyciach w świecie Cappadorów. I teraz to pieprzone gówno na dodatek. A z niego przecież jeszcze jest... taki dzieciak... Och, Ben...

- Posłuchaj, Sam. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę... - Reese ściszył głos. Dźwiękoszczelne, kurwa. - Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak horrendalną głupotą wykazałem się tym razem.

- Nooo... - odezwał się dzieciak. - Uhm, wiem.
- To znaczy naprawdę, naprawdę straszną.
- Więc?
- Więc jestem okropnym dupkiem, Sam.
- Nieprawda.

- Wszystko dokumentnie spieprzyłem. I to wcale nie jest zabawne ani nie czyni ze mnie bohatera - Reese teraz niemalże szeptał, prawie dotykał czołem pleksiglasowej szyby.

- Ja jedynie myślałem...
- Co myślałeś, Sam?
- Że moglibyśmy... zostać przyjaciółmi.
- Przyjaciółmi?! - Reese dziękował Bogu, że nie może w tej chwili osiągnąć

tego dzieciaka. - Posłuchaj, durniu. Jak moglibyśmy zostać przyjaciółmi? Po pierwsze, ja nie zabawiam się już z dwunastolatkami. A po drugie... no wiesz... wracasz, odchodzisz, uciekasz przez okno... ja cię przecież w ogóle nie znam, Sam. Dla mnie jesteś jakimś abstrakcyjnym pojęciem, rozumiesz? A ty nie znasz mnie!

- Ale to nie moja wina! - Dzieciak był już o krok od płaczu. Reese widział wyraźnie, jak Pat usiłuje nakłonić Candy, by wystukała wejściowy kod i wpuściła go do środka. Szybko więc pomachał ojcu ręką, odsyłając go uspokajającym gestem dłoni. - „Spokojnie, tatusiu, nie zdra-

dzam mu wyrafinowanych tajników sztuki kradzieży samochodów. Nie musisz tu wpadać, by go ocalić".

- Wiem, że to nie twoja wina - powiedział dzieciakowi z cierpliwością w głosie, którą, w obecnych okolicznościach, uznał za wprost anielską. - Ale ja mam swoje własne życie, rozumiesz? I w tej chwili wygląda ono mało zabawnie. Więc czego ty ode mnie chcesz?

- Jesteś moim bratem. Nie odwiedzałem was przez tak długi czas, bo nie byłem pewien, czy nie jesteście na mnie wściekli, czy chcecie mnie jeszcze w ogóle widywać. Ale... tęskniłem za wami. Niekiedy nawet zastanawiałem się, czy nie powinienem... no, nieważne. Ale ty jesteś przecież moim bratem.

- Nie jestem twoim bratem! - Reese już nie miał siły walczyć dłużej ze sobą; Izy płynęły mu ciurkiem po lepkiej od brudu twarzy; był po prostu zmęczony, to wszystko, a do tego ten pieprzony dzieciak... - Posłuchaj, a gdybym był twoim bratem, to czego byś ode mnie chciał? Przecież teraz wysłał mnie do jakiegoś pieprzonego zakładu penitencjarnego! Nawet tata uważa, że powinni mnie zamknąć w celi dla wariatów! Teraz już prawdopodobnie nie ma przede mną żadnej przyszłości! Pewnie nawet nie skończę szkoły średniej... - Reese otarł oczy, usiłując się uspokoić. Dookoła siebie czuł ten przedziwny zapach, trochę przypominający zapach wody w basenie - jak w dzieciństwie, gdy płakał i płakał, aż w końcu miał uczucie, że we wnętrzu ma już zupełną pustkę.

- Ja tylko myślałem... ale w porządku... już sobie pójdę.

- Tak, idź - odparł Reese. Po czym twarz mu drgnęła i dodał szybko: - Sam, przepraszam. Wiem, że się teraz parszywie czujesz. To miło z twojej strony, że przyszedłeś mnie tu odwiedzić. Ale widzisz... ja muszę się w tej chwili jakoś sam pozbierać...

- Ja wiem i ja...

- Ty nic nie wiesz. Nie mów, że wiesz, bo nie masz o tym zielonego pojęcia. Nigdy w całym swoim życiu nie zrobiłeś nic złego! Jesteś jeszcze dzieckiem. A do tego naprawdę dobrym dzieckiem. Posłuchaj, kiedy już stąd wyjdę, wpadnę po ciebie i gdzieś razem pójdziemy coś zjeść. Albo pogramy w bilard, dobra?

- Gdzie?

- Co „gdzie”?

- Gdzie pójdziemy? Reese westchnął.

- Nie wiem, chłopie. Ale gdzieś, gdzie będziemy mogli dostać się na piechotę, bo pewnie przed dwutysięcznym dziesiątym nie mam co liczyć na prawo jazdy.

- Czy moglibyśmy iść do „Wesela”?

- Eee, nie. Tam nie. Raczej gdzieś, gdzie dają hamburgery. Teraz dzieciak też westchnął.

- No dobra. Słuchaj, i chciałem ci jeszcze powiedzieć, że ja nie wierzę, jak ktoś mówi, że jesteś pokręcony.

- Cóż, jestem pokręcony. A kto tak mówi?

- Mój tata.

- George. -Aha.

- Więc tak twierdzi. Dosłownie tak?

- Mniej więcej.

- Co to znaczy „mniej więcej”?

- No, że jakoś tak powiedział.

- Daj spokój. Jak powiedział?

- Powiedział... powiedział... -Tak?

- No więc... kiedy jeszcze z wami mieszkałem... mój tata mawiał: „Uważaj na tego chłopaka, Sam. Miej się przed nim na baczności. Z nim jest coś nie w porządku”.

- Coś nie w porządku.

- Tak, aleja... to znaczy, kocham mojego tatę i tak dalej, aleja wiem, że on po prostu nie rozumie... On myślał, że zrobisz mi coś złego.

„I tak by się pewnie stało” - pomyślał Reese. I już podniósł dłoń, by zastukać i przywołać strażnika, gdy nagle dzieciak powiedział:

- Poczekaj chwilę, Reese.

Reese znów westchnął. Miał wrażenie, że to pomieszczenie za chwilę eksploduje.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Reese znużonym gestem dłoni poganiał go teraz. No, gadaj, gadaj.

- Coś sobie przypomniałem. -Tak?

- Przypomniałem sobie coś z czasów, gdy byłem jeszcze mały. Reese zeszywniał. „O Chryste - pomyślał. - Nie, tylko nie dzisiaj.

Nie chcę, żeby to sobie przypomniał właśnie teraz. Chociaż to przecież niemożliwe... niemożliwe... był wtedy za mały, żeby zapamiętać słowa...”

- Kiedy mieszkałem u was w domu, Beth pokazała mi taką jedną skrzynię. Stoi kolo łóżka w sypialni. - „Cedrowa skrzynia - pomyślał Reese. - Wielki kufer nadziei ze złobionym wiekiem”. - Wyjęła wtedy stamtąd ubranka dla małych dzieci i powiedziała, że one kiedyś były moje. Pokazała mi też różne koce i tym podobne. Trochę zdjęć.

- No i? No i?

- Niczego nie pamiętałem.

- Och - Reese czuł już szum w uszach ze zmęczenia. Dopóki ten dzieciak nie pamiętał wydarzeń w hotelowym holu, co go to tak naprawdę obchodziło? „Jak długo jeszcze? - pomyślał Reese. - Jak długo? Czy już nie dosyć tego wszystkiego, mam?”

- Ale przypomniałem sobie zapach.

- Zapach?

- Przypomniałem sobie zapach cedrowej skrzyni. Tak jakbym kiedyś siedział w jej wnętrzu.

Niewiele brakowało, a Reese wypuściłby słuchawkę z dłoni. Wydawało mu się, że mama - stojąca za szybą, gestykująca, podrzucająca ramionami, usiłująca dowiedzieć się na migi, czy Sam nie chce już przypadkiem wyjść - nie istniała w rzeczywistości, a była jedynie projekcją puszczoną z taśmy filmowej. Reese niemal fizycznie czuł, jak on sam, dużo młodszy, biegnie po schodach w górę, w ich dawnym domu w Madison, wpada do małego pokoju, remontowanego właśnie z powodu zbliżających się narodzin Kerry, gdzie trzymali mnóstwo różnych gratów, jak rozgarnia rozmaite pudelka, paczki pieluch, ubrania, szepcząc: - Ben, Ben, gdzie jesteś, Ben? A potem zbiega na dół. Myśli o suszarce. Myśli: „Mama mnie zabije, jeżeli on znowu włoży do suszarki i robi się już siny na twarzy”. Ale w suszarce go nie było. Puls w szyi Vincenta galopował szaleńczo. Mama nie może go usłyszeć. Bo zacznie się wydierać. Chwyci go za włosy.

- ... chowanego - dobiegł go głos dzieciaka.

- Tak, wiem - odparł Reese, chwytając mocniej słuchawkę, nagle Strasznie oślizła w jego wilgotnej dłoni.

- I czy kiedyś przypadkiem nie wszedłem do tej skrzyni? Czy coś podobnego się nie zdarzyło?

- Tak. Puściłeś wieko, a ono opadło.

- Wiedziałem! Wiedziałem! - ucieszył się dzieciak. - Pamiętam, jak leżałem tam w ciemnościach - co prawda wyłobieniami dostawało się trochę światła, więc tak naprawdę nie było tam zupełnie ciemno. Leżałem na jakichś ubraniach czy czymś takim, i nie mogłem sięgnąć do wieka, nawet gdy usiadłem. Najpierw stukalem, ale nikt nie przyszedł, potem pomyślałem, że nie będę mógł oddychać, ale mogłem. Więc po prostu tam leżałem.

- A ja latałem po całym domu i szukałem ciebie. Prosiłem, żebyś przestał się wygłupiać, mówiłem, że to już wcale nie jest śmieszne...

- Ale ja cię nie słyszałem...

- Bo nie mogłem głośno mówić... Inaczej mama by usłyszała...
- Ale w końcu przyszedłeś i otworzyłeś tę skrzynię...
- A ty tam siedziałeś. Zwyczajnie siedziałeś. I nie byłeś ani trochę przestraszony.

A potem po prostu wstałeś i wylazłeś.

- Tak, tak. To właśnie zapamiętałem. -Co?
- Ze się nie bałem. Ze się nie bałem, bo wiedziałem...
- Tak? '
- Wiedziałem, że przyjdiesz i mnie znajdziesz.

Wspomnienia załały nagle Reese'a wielką falą. Biała, usiana piegami twarz Bena, nieoczekiwanie wyzieraająca z cedrowej skrzyni. I uczucie ulgi, wielkiej ulgi, gdy Ben podniósł się i wyszedł. Szarpnął wtedy Bena za ramię, ale nie za mocno, i wyzwał od głupków, a potem zapytał, czemu nie krzyczał, przykazywał, żeby już więcej nie wlaził do tej skrzyni. Ale Ben go nie słuchał, już zeskakiwał po schodach w dół, po jednym stopniu, udając króliczka, podśpiewując: - Króliczek. Króliczek. Króliczek. Hop. Hop. Hop. Vincent, czy ty też tak potrafisz?

Reese za wszelką cenę chciał wymazać to wspomnienie z pamięci, zastąpić je jakimkolwiek innym obrazem, choćby miał to być jedynie blask jaskrawych świateł ambulansu z zeszłej nocy. Zastanawiał się, czy przypadkiem Pat, wtedy gdy miał zawał, nie próbował siłą woli sprowokować własnej śmierci, zacisnąć wszystkiego w swoim wnętrzu tak silnie, by mu serce pękło. Czy celowo nie usiłował skończyć ze sobą, bo już nie był w stanie rozmyślać dłużej o pewnych rzeczach. „Teraz chętnie bym to zrobił - pomyślał Reese, zasłaniając oczy dłonią. -Gdybym teraz umiał spowodować własną śmierć, zrobiłbym to. Tak bardzo chciałbym zniknąć...” Wstyd nie był jedynie abstrakcyjnym wytworem umysłu i emocji. Wstyd miał własny ciężar, określoną objętość. „Teraz - pomyślał Reese - najchętniej bym eksplodował”.

- No więc... Reese?

Reese nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa; pokiwał jedynie głową.

- No więc, ja dlatego tu dziś przyszedłem. Mówię ci na wypadek, gdybyś się nad tym zastanawiał. Żeby ci powiedzieć, że to pamiętam. Żeby się upewnić, że to zdarzyło się naprawdę, że sobie tego nie wymyśliłem ani nie zobaczyłem na zdjęciach. Bo dzięki temu uda mi się wszystko lepiej zrozumieć. Zdecydować, co powinienem zrobić i tak dalej. I może nie będzie to miało żadnego znaczenia, ale chciałem wiedzieć.

- To dobrze - wymamrotał Reese chropowato. - To dobrze.

- I jeszcze jedno. Jak ja cię nazywałem? -Co?
- Kiedy byłem mały.
- Och... hmm... Vincent. Mówiłeś do mnie Vincent. I od początku umiałeś to poprawnie wymówić. Nie tak jak większość dzieci.
- Vincent. No dobra. To do zobaczenia, Reese.
- Do zobaczenia - Reese machnął ręką w kierunku matki; zobaczył, że ona otwiera usta. Zapewne mówiła komuś, żeby wypuścił stąd Sama. I gdy już gałka w drzwiach zaczęła się obracać, Reese zawołał go nagle: - Sam?
- Dzieciak zdążył odłożyć słuchawkę, ale błyskawicznie poderwał ją z powrotem.
- Tak?
- Ty możesz mnie tak nazywać. Możesz nazywać mnie Vincent. Ja nie mam nic przeciwko temu.

Beth

Rozdział 34

Wrzesień 1994

Pewnego wczesnojesiennego dnia Beth usiadła w spokoju i usiłowała przywołać na myśl jakąś dobrze sobie znaną parę, która musiała przejść przez piekło rozwodu. Po półgodzinie bezowocnych starań porzuciła w końcu te wysiłki. Nikt, absolutnie nikt nie przychodził jej do głowy. Niewątpliwie - zważywszy na jej wiek, pokolenie, do którego należała i poziom wykształcenia - było w tym coś niezwykłego.

Jednak naprawdę - jeśli nie brać pod uwagę Candy - a Beth właściwie nie myślała o rozwodzie Candy jako o prawdziwym rozwodzie - nie знаła nikogo, kto mógłby podzielić się z nią bezpośrednimi doświadczeniami w tym względzie. Niespodziewane, aczkolwiek przyjazne rozejście się Candy i Chrisa stanowiło raczej powrót do organicznej natury ich związku po nieudanej próbie przeszczepienia go na inny grunt. Podjęcie decyzji i związane z nią konsekwencje zajęły im jedynie parę tygodni - wszystko odbyło się równie niespodziewanie i nagle, jak ich ślub przed paroma laty. Po przejściu przez oficjalną procedurę sądową Candy i Chris poszli razem na obiad. Zapewne niewiele rozwodów odbywało się w podobnej atmosferze. Więc Beth tak naprawdę mogła z czystym sumieniem stwierdzić, że w życiu nigdy nie obserwowała prawdziwego rozpadu małżeństwa.

Osiemdziesiąt procent z nas się rozwodzi - przypomniała sobie słowa Penny Odin ze spotkania Compassionaty. Osiemdziesiąt procent. Jednak statystyka Penny opierała się na rodzinach, którym przyszło spojrzeć w oczy najgorszej, najstraszniejszej prawdzie. Lub wiecznej niewiadomej. Dla przypadku, który reprezentowali z Patem, nie istniały żadne wcześniejsze dane.

Gdyby ludzie wiedzieli, jak bardzo z dnia na dzień stają się z Patem sobie obcy, bez wątplenia zadaliby pytanie: Czemu teraz? Czemu akurat teraz? Czy rozpad ich związku po tym wszystkim, przez co musieli przejść razem, nie był jakąś podwójnie gorzką niesprawiedliwością losu? Jeżeli już mieli się rozejść, czemu nie zrobili tego przedtem? Przecież nawet odejście Sama nie powinno doprowadzić do tego, do czego nie sprowokowało ich swego czasu palące piekło strachu.

Ale, jak Beth teraz o tym myślała, wówczas byli zbyt obojętni, zbyt odrętwiali, by zastanawiać się nad możliwością rozwodu. Ich związek, małżeństwo w ogóle nie stanowiło problemu w sytuacji, gdy jedynym celem w życiu stała się walka o przeżycie kolejnej godziny w pozycji pionowej.

Beth nie obwiniała Pata. Gdy patrzyła na niego, serce w niej zamierało. Żadne z nich w zasadzie nie podjęło tej decyzji. Tak postanowiło samo życie. I decyzja ta nagle stała się nieodwołalna. Dwa dni po tym, jak Sam „wrócił do domu” (Beth zmusiła całą rodzinę, by właśnie w ten sposób mówić o tym wydarzeniu), Pat zaczął sypiać na dole. Oczywiście, zdarzało mu się już wcześniej spędzać noce na sofie w salonie - w czasie nieznośnych upałów lub gdy pracował szczególnie długo. Jednak były to przypadki incydentalne, często witane przez Beth z prawdziwą ulgą: Pat zawsze sypia! niespokojnie, rzucał się przez sen i Beth wówczas często go poszturchiwała, odpychała, aż on w końcu manifestacyjnie wychodził z sypialni ciężko urażony. Ale tym razem było inaczej: Pat wziął poduszkę i koc ze świeżo opuszczonego łóżka Sama bez cienia żalu czy zawziętości, unikając wszelkiej ostentacji. Rano zwinął pościel, zanim jeszcze dzieci zeszły na dół, by znieść ją tam po cichu ponownie kolejnego wieczoru.

Niemniej Beth nie miała najmniejszych wątpliwości, że nie umknęło to uwagi Vincenta. I nie mogła teraz spojrzeć mu w oczy. Nie miała także odwagi zapytać Pata, o czym rozmyślał nocami rozciągnięty na sofie. Ona sama za wszelką cenę usiłowała wyłączyć swój umysł, gdy leżała na gorze, świadoma bezsenności Pata, jego oddechu - niczym arytmicznego poświstu na tle głębokiej, spokojnej kadencji oddechów dzieci. Czytała powieści Jane Austin. Połykała pigułki trazodonu. Robiła wszystko, byle tylko nie pozwolić swym myślom wydostać się z pościeli, zsunąć po schodach, powlec dwie przecznice dalej, by tkwić tęsknie przed frontem czerwonego domu.

„Zwrot” Sama odbył się w atmosferze powagi i godności; jedynie George ronił łzy.

Najpierw spotkali się z kuratorką z ośrodka okręgowego dla nieletnich, a potem z sędzią sądu rodzinnego w jego gabinecie. Sędzia zadał każdemu z nich, łącznie z Samem siedzącym sztywno na krześle, pytanie, czy ową decyzję wszystkie strony podjęły z własnej, nieprzymuszonej woli. Beth odezwała się pierwsza:

- Z głębokim smutkiem, ale tak, dobrowolnie.

- A pan, panie Cappadora?

Po długiej chwili przyprawiającego o katusze milczenia Pat powiedział jedynie: -Tak.

Nie spojrział na Beth. Ona jednak wyciągnęła rękę i położyła dłoń na wykrochmalonym, sztywnym rękawie jego koszuli. Ramię Pata było nieruchome, martwe niczym marmur; żadnym drgnieniem, choćby najdrobniejszego nerwu, nie odpowiedział na dotyk jej dłoni. Na podobne pytanie George zareagował jedynie kiwnięciem głowy. A zaraz potem sędzia poprosił o chwilę rozmowy z Samuelem Karrasem Cap-padorą na osobności. Gdy po piętnastu minutach wyłonił się ze swojego gabinetu, miał podejrzenie zaczerwienione oczy. Rozłożył ręce -w tej sprawie, jak wyjaśnił, nie zamierza na razie wydać oficjalnego werdyktu, ustanawiającego formalne rodzicielskie prawa. Wciąż jeszcze toczyły się niezależne badania i oceny stanu zdrowia Cecilii; sprawa Sama ma na razie pozostać otwarta na okres, powiedzmy, najbliższych trzech miesięcy.

- Sądzę, że nadrzędnym celem nas wszystkich w tej chwili powinno stać się przywrócenie pewnej normalności życiu tego dziecka w jak najkrótszym czasie - oznajmił sędzia Patowi, Beth i GeorgeWi. - Muszę wyznać, że ta sprawa burzy mój spokój. Rozumiem państwa cierpienie, jestem głęboko wzruszony waszą troską i wielką miłością dla tego chłopca. Wszystkim państwu życzę szczęścia i spokoju ducha.

Sam będzie mógł raz w tygodniu odwiedzać swoich naturalnych rodziców, bez nadzoru, w godzinach i na okres ustalony przez George^ w porozumieniu z Cappadorami.

- Mam nadzieję, że chłopiec zachowa kontakt ze swoim biologicznym rodzeństwem - dodał sędzia. - Dla dobra ich i swojego własnego emocjonalnego rozwoju.

Kerry zareagowała na wieść o nieuchronnym odejściu Sama niekłamanym, głębokim żalem. Pobieгла do swojego pokoju i płakała w pluszową maskotkę wieloryba tak długo, póki całkiem nie przemoczyła miękkiego pluszu.

- Przecież dopiero co go odnaleźliśmy - skarżyła się matce. - Cze-

mu on nas nie lubi? - Pomimo konieczności wysłuchiwania równie żalonych pytań, Beth poczuła ulgę. Vincent zareagował na odejście Sama swoim charakterystycznym lodowatym chłodem, ale Beth nie miała wątpliwości, że omówi to wszystko z Tomem.

Nikt, zupełnie nikt - z wyjątkiem Beth - nie potrafił tego naprawdę zrozumieć. Nawet Candy, która za wszelką cenę starała się zachować strzępy profesjonalnej bezstronności, nie potrafiła ukryć swojego oburzenia. Beth poczuła wdzięczność wobec Angela i Rosie, bo jedynie pograżyli się w smutku, a nie popadli w furję; za to wiedziała, że już nigdy więcej nie spędzi żadnych świąt w domu Moniki bądź Tree. Jej bracia, oszołomieni tym, co nazwali „impulsywnym posunięciem dokładnie w stylu Beth”, postanowili przybrać postawę „pożyjemy, zobaczymy”. Laurie zaniemówiła z wrażenia, natomiast Ellen zapytała: - Jak możesz, Beth? To znaczy, nie pytam cię, jak mogłaś do tego dopuścić. Chcę wiedzieć, jakim cudem możesz się na coś takiego zdobyć?

Szczęśliwie nikt nie miał dość energii, by zawiadomić o wszystkim prasę, tak że Sam zdołał już spędzić pełen tydzień w domu George'a, nim reporterzy zwąchali całą sprawę. Natychmiast wszystkie gazety zapełniły się bombastycznymi wypowiedziami psychologów na temat potrzeby poszukiwania własnej tożsamości w wieku dojrzewania oraz istoty pamięci w procesie konstytuowania rodziny. Pojawiły się także rozmaite historie ilustrujące tezę, że próby „zjednoczenia” po kilku latach dzieci adoptowanych w niemowlęctwie z biologicznymi rodzicami niezwykle rzadko kończą się powodzeniem; że w podobnych przypadkach w zasadzie niemożliwe jest wytworzenie autentycznej, emocjonalnej więzi. Gdzieś tam cytowano także wypowiedzi ich sąsiadów - Beth niemal wybuchała śmiechem, gdy przebiegała je wzrokiem - opisujące Sama jako grzecznego i na pozór szczęśliwego chłopca; przypominały jej komentarze mieszkańców dzielnicy po tym, jak jakiś spokojny, uczynny facet wstał z krzesła pewnego dnia i powystrzelał całą swoją rodzinę.

Ale tak naprawdę, jak ktokolwiek mógłby to pojąć? Nikt poza nią nie widział wyrazu twarzy Sama, gdy klęczał przy cedrowej skrzyni. Nikt nie widział wówczas jego oczu.

Ten obraz Beth usiłowała zachować cały czas w pamięci, gdy poddawała się wszelkim formalnościom związanym z powrotem Sama do George'a. Tylko to pozwalało jej funkcjonować. Ale nie umiała tego nikomu wytłumaczyć; bo jakże można opisać dziecku niewidomemu od urodzenia istotę koloru, na przykład żółcienia? Czy jest to dotyk promieni słońca na skórze? Czy może aksamit płatków żonkila? Beth Mo-

gła teraz jedynie uczeplić się pewności, która ją ogarnęła, gdy ujrzała oczy Sama po tym, jak pokazała mu jego niemowlęce ubranka - że oboje z Patem mieli władzę rodzicielską jedynie nad jego fizycznym ciałem. Gdy to zrozumiała, poczuła nagle to, czego Cecilia, zamknięta w bezpiecznym wnętrzu swojego zrujnowanego umysłu, nigdy nie czuła i już zapewne nie poczuje - że, niczym rzeczywisty porwacz, przetrzymuje dziecko wbrew jego własnej woli.

Czy Sam był teraz szczęśliwy? W czasie dwóch dość chaotycznych spotkań - raz poszli do parku rekreacyjnego, za drugim razem na obiad do Rosie - oboje, i Pat, i Beth, wyczuwali wyraźnie żalosne wysiłki Sama, by sprawić im jak najwięcej przyjemności.

Gdy odstawili go do domu po ostatnim spotkaniu, Pat w drodze powrotnej oznajmił niespodziewanie: - Usiłuje cieszyć się naszym widokiem, jakby próbował okazać nam wdzięczność. W ten sposób dziękuje nam, że pozwoliliśmy mu odejść.

Nic dodać, nic ująć. Wiele lat temu, gdy ten jeden, jedyny raz podjęli próbę poddania się terapii małżeńskiej, entuzjastyczny psycholog poradził im, by po prostu za wszelką cenę zachowywali się tak, jak gdyby naprawdę byli szczęśliwi. - Wówczas wejdzie to państwu w nawyk, podobnie jak wcześniej konflikt - oświadczył. Beth potrafiła to zrozumieć. Przyjęła taką postawę już kilka lat temu. A od czasu choroby Pata przeistoczyła się w aktorkę, za wszelką cenę usiłującą wcielić się w rolę kochającej żony. Jednak tylko w okresie krótkiego pobytu Sama w ich domu pomiędzy Patem a Beth zawiązała się ponownie nić prawdziwej czułości. Wówczas, przed pamiętnym świętem Czwartego Lipca, gdy leżeli obok siebie zmęczeni seksem, Beth, na przekór wszelkim obawom, wierzyła, że jakoś zdołają zachować jedność, choćby wbrew samym sobie. A gdy już nabrała pewności, że właśnie na tym najbardziej zależy jej w życiu - było już najprawdopodobniej za późno.

Mimo to nawet teraz łapała się na złudnych nadziejach, że siła nawyku wspólnego życia pozwoli im jeszcze przerzucić pomost nad przepaścią, która nagle pomiędzy nimi się otworzyła. Jednak po odejściu Sama Pat już się poddał. I wówczas wszelkie łączące ich uczucia zaczęły powoli ulatniać się ze spoiwa ich związku, aż w końcu nie pozostało między nimi nic poza wspólnym zainteresowaniem zajęciami Vincenta czy rozkładem dnia Kerry. Furia Pata w ów poranek po kradzieży samochodu dokonanej przez Vincenta była jedyną emocją, którą okazał Beth od wielu tygodni. Ten jego gniew, mimo że tak gwałtowny, był... pogrzipiający w sterylnej pustce ich obecnego, wspólnego życia.

Teraz Pat skoncentrował się całkowicie na resocjalizacji Vincenta. Woził swojego syna na każdą sesję z Tomem; wraz z Vincentem stawiał się na spotkania z kuratorem sądowym; gdy wieczorem szedł powiedzieć Vincentowi dobranoc, zamykał za sobą drzwi do jego pokoju. I nawet gdy Beth oferowała swą pomoc, gdy proponowała, że ona zawiezie Vincenta do Toma w te wieczory, gdy z powodu sesji Pat spóźniał się na otwarcie „Włoskiego Wesela”, Pat odmawiał.

- Jestem mu to winien, Beth - oznajmił jej w końcu. - Jestem mu to winien, a nawet gdybym nie był, to przecież on teraz jest już moim jedynym synem.

W dniu, gdy jej to oznajmił, Beth wysłała prośbę o katalogi i formularze zgłoszeniowe na studia magisterskie Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Wisconsin. A potem wypełniła je skrupulatnie i opłaciła czesne, niepewna, co właściwie chce tymi działaniami osiągnąć. Czy to oznacza, że naprawdę zamierza zostawić Pata? Wyprowadzić się? A może jedynie usiłuje sprawdzić, czy zostaną jej jeszcze resztki dumy, której będzie się mogła uchwycić, jeśli to on zażąda, by odeszła? I co właściwie pocnie, gdy podejmie na nowo studia? Czy zajmie się później nauczaniem? Zamieszka w Madison i otworzy własne studio?

Kilka dni po wysłaniu wszystkich dokumentów przyłapała Pata rzucającego okiem na ich kopie rozłożone na stoliku w salonie.

- Pomyślałam, że może powinnam spędzić samotnie nieco czasu, powiedzmy, jeden semestr, żebyśmy mogli wszystko spokojnie przemyśleć... - Tymi słowami zatrzymała Pata, który właśnie wszedł do domu po jakiejś kolejnej imprezie z Vincentem i już biegł na górę po marynarke, żeby natychmiast pojechać do pracy.

Sama była zaskoczona, jak bardzo zraniły ją wówczas słowa Pata:

- Jak chcesz. Po prostu rób, jak chcesz, Bethie.

A więc on nie będzie próbował jej zatrzymać. Czemu miała nadzieję, że stanie się inaczej?

Upór, przekleństwo ciążyące nad całą rodziną Kerrych, kazał jej jednak drażnić dalej, powiedzieć więcej, przyprzeć Pata do muru.

- Może mogłabym wynająć niewielki domek... a Kerry i Vincent poszliby do szkół w Edgewood... jeżeli nas na to stać...

Pat teraz zatrzymał się na dobre. Jego wzrok, gdy na nią spojrział, miał taką moc, że Beth zdało się, iż pochwycił ją silnie za ramiona i zmusił, by nie odrywała oczu od jego twarzy

- Moje dzieci - cedził słowa tak wolno, jak gdyby mówił do kobiety słabo władającej angielskim - nigdzie nie pojedą, Bethie. Ich dom jest tutaj.

- Paddy - zaczęła - Kerry jest jeszcze taka mała...

Po tych słowach odniosła wrażenie, że Pat zmiękł - choćby odrobinę.

- Być może... Kerry by to jakoś przeżyła. Ale Beth, ona ma tutaj koleżanki, harcerstwo, swoje drużyny sportowe. Ma Blythe, która jest dla niej niczym siostra, i Georgię, która jest dla niej... - Beth błogosławiła go w duchu, że nie powiedział w końcu „jak matka”. - Ale może by sobie poradziła. O tym jednak porozmawiamy, jak już podejmiesz wiążące decyzje. Vincenta jednak nie zabierzesz z tego domu. Nigdy. On się stąd nie wyprowadzi, dopóki nie pójdzie do college'u, jeśli, o co się modlę do Boga, zdołam wymyślić, jak przepchnąć go przez szkołę średnią i sprawić, by porzucił swoje przekonanie, że jedyne, do czego jest naprawdę zdolny, to dokumentne spiętrzenie własnego życia.

Beth poczuła wówczas do Pata wielki przyływ miłości, rozumiała, jak szaleńczo kocha tę jego głęboką, prawdziwą dobroć. I pomyślała, że odchodząc, w pewnym sensie robi mu przysługę. Nie wiedziała, czy kiedyś była warta takiego człowieka, wiedziała natomiast, że na pewno nie jest go warta teraz.

„I czym w rzeczywistości - rozmyślała tej nocy Beth wsłuchana w dochodzący z dołu odgłos buszowania po szufladach - jest małżeństwo, jeśli nie zbiorem pobożnych życzeń, które, po latach wspólnego życia, nabierają kolorytu faktów?” Zastanawiała się, czy ona i Pat, z wyjątkiem tych paru lat niezwyklej namiętności, jaką przeżywali do siebie w college'u - namiętności, która przecież mogła się zrodzić pomiędzy jakąkolwiek dwójką młodych ludzi - nie traktowali się nawzajem bardziej jak rodzeństwo wychowane w przeświadczeniu, że są dla siebie źródłem poczucia bezpieczeństwa. Teraz, jak przyznawała w duchu, zadowoliliby się nawet takim związkiem.

Pewnej nocy Beth obudziła się drżąc, zlaną potem z powodu snu o Vincencie. Vincencie... który uległ wypadkowi. W jej śnie miał pięć lat, złamany nadgarstek i znajdował się w szpitalu. A Beth przebiegała przez wahadłowe drzwi - nie jedne, ale nie kończący się ich ciąg, wsłuchana w jego płacz, wiedzona jego lamentem.

„Przecież mogłabym jeszcze odzyskać swojego syna” - pomyślała Beth i gwałtownie usiadła na łóżku. Swojego celowo utraconego syna. Nie tego, który zniknął przez przypadek. Gdyby miała dość odwagi, dość czasu, gdyby wiedziała, za jakie pociągnąć sznurki. Gdyby cuda rzeczywiście się zdarzały.

Gdyby cuda rzeczywiście się zdarzały.

Gdyby go teraz nie zostawiła. Gdyby zabrała go ze sobą... ale czy doprawdy mogła to zrobić? Gdyby pozostała... ale jak mogła to zrobić?

I czy dla Vincenta stanowiłoby to jakąkolwiek różnicę?

Beth przypomniała sobie, że jeszcze w college'u rozważała możliwość studiowania pedagogiki specjalnej (Laurie nazwała to jej „fazą Annie Sullivan”). Wówczas Beth przeczytała, że wszystkie dzieci przechodzą przez proces wymazania z pamięci pewnych przeżyć z dzieciństwa. Jest to jeden z najtrudniejszych momentów w życiu rodziców i dzieci, gdy po raz pierwszy stają na rozstajnych drogach: dorośli żywo pamiętają niezwykłą siłę uczucia wiążącą ich z małym dzieckiem; dzieci, które ostatecznie powinny zerwać tę więź - muszą o niej zapomnieć. W wieku sześciu lat Vincent patrzył na nią spod przymrużonych powiek i oznajmiał, że jej nienawidzi. Beth ogarniało wówczas przerażenie. Czy to możliwe, że gdzieś za tym wzrokiem kryło się jej ksiąźtąko, które zaledwie rok wcześniej nie znajdowało ukojenia w żadnych innych ramionach poza jej własnymi? Gdzież było wówczas to dziecko?

I gdzie było teraz?

Och, Vincent, Vincent przemieniony w Reese'a, kolejny odmieniec w domu, w którym objawił się już najsłynniejszy odmieniec w Ameryce. Co tak naprawdę zapamiętał Vincent? Czy pozostał mu choć cień wspomnienia matczynej miłości nie skalanej rodzinną katastrofą? Zapomnienie było równoznaczne z nieistnieniem. Jeżeli Vincent w ogóle powracał myślami do tych dawnych dni, pozostało mu zapewne jedynie mgliste wrażenie pieśczot i uśmiejchów, jakimi obdarzała Bena tuż przed jego uprowadzeniem. Bo tak, to prawda, Ben otrzymywał hojniejszą porcję oznak jej uczucia. Ben był mniej skomplikowany. Lubiła go bardziej. Ale czy kochała? Radość i pieśczoty miały się tak do potęgi uczucia, jak seks w noc poślubną do bólów porodowych - jak chwila przyjemności do nieskończoności świata. Beth nagle wróci! w pamięci obraz samej siebie, idącej podjazdem w stronę domu po całym dniu spędzonym w pewnej redakcji prasowej w Madison, gdzie pracowała, kiedy chłopcy byli jeszcze bardzo mali. Gdy weszła w drzwi, zobaczyła Bena w tanecznych podrygach przy oknie, wciąż jeszcze zapakowanego w pieluchę, i Vincenta przeciskającego się pomiędzy nogami Jill, by skoczyć w objęcia swojej mamy. Przypomniała sobie, co uczyła wówczas: „Coś podobnego. Pomyśleć, że to ja ich stworzyłam! Te piękne, inteligentne ciała! Prawdziwe, komiczne istoty ludzkie”. I jak ogarnęła ją wówczas pewność: „Oddałabym za nich swoje życie. Równie ochoczo za każdego z nich”.

Gdyby Vincent mógł spojrzeć na wszystko jej oczami... ale w tym rzecz. To był obraz utrwalaony jedynie w jej pamięci. I nie istniał żaden sposób, by przeszczepić go do jego serca.

Ogarnięta nagłą paniką, Beth pomyślała: „Zejdę na dół, obudzę Pata i powiem mu, że ta cała sprawa z separacją kompletnie wymknęła nam się spod kontroli; że przybraliśmy jakieś bezsensowne pozy. Ze razem zdołamy wytworzyć więź z Samem i pomożemy w tym Vincen-towi i Kerry. Wszystko się jeszcze może ułożyć”. Beth pójdzie na dół, zmusi Pata, by się przesunął, i przytuli się do niego na sofie, tak jak przytulała się do niego na szpitalnym łóżku. Odrzuciła kołdrę i postawiła bosc stopy na podłodze.

I w tym samym momencie zobaczyła usta Pata wypowiadające słowa: „Ale Vincenta nigdy nie zabierzesz z tego domu”. Naciągnęła więc kołdrę z powrotem na siebie i położyła się na wznak, splatając dłonie na piersiach.

W jakiś czas potem wpadła z wizytą Candy - bardzo dziewczęca, w dżinsach i koszuli wysmarowanej farbą. Pocałowała Pata w przelocie, gdy wychodził do pracy, po czym usiadła na werandzie.

- Daj mi wódki - powiedziała do Beth. - Spędziłam cały dzień na malowaniu mojego ohydneho, kawalerskiego mieszkanka i czuję się, jakbym miała co najmniej sto lat.

Gdy siedziały tak obie na ganku, Beth zastanawiała się, czy to sobie uroiła, czy Candy rzeczywiście raz po raz rzuca okiem w stronę rogu, za którym stał czerwony dom Sama. Po chwili obie oparły nogi o balustradę, wsłuchując się w muzykę świerszczy.

- Jak się miewa mój faworyt, Reese? - spytała w końcu Candy, opróżniwszy do połowy swojego drinka. - Czy przechwala się przed kolegami swoją więzienną przeszłością? Mimo że były to tylko marne dwa dni?

- Wręcz przeciwnie - odparła Beth. - Mam wrażenie, że się tego autentycznie wstydzi.

- To dobrze - stwierdziła Candy. - A jak mu upływa życie pod nadzorem sądowym?

Czując ulgę, że wreszcie zdoła coś konkretnego powiedzieć, Beth odparła:

- Myślę, że coraz lepiej. - I opisała zainteresowanie Vincenta, a przynajmniej pozory zainteresowania obozem koszykarskim dla piątoklasistów, gdzie dwa dni w tygodniu musiał pracować jako pomocnik trenera.

- Czy ostatnio udało mu się skasować jakieś kolejne drzewo?

- Gdyby to zależało od Pata, Vincent nie usiadłby za kierownicą aż do czasu pobierania zasiłku z opieki społecznej dla ogarniętych demencją starszoków - odpowiedziała Beth. - Trzeba przyznać, że ostatnie

wydarzenia podcięły Vincentowi skrzydła. Pracuje z dziećmi, pomaga w „Weselu”, no i, oczywiście, odbywa sesje z Tomem...

- A co na to wszystko Tom?

-Ja... ja z nim nie rozmawiałam. Praktycznie... nigdy tego nie robię.

- A czy Reese spotkał się ponownie z Samem? -Nie.

Przez chwilę huśtały się na krzesłach, po czym Beth dodała:

- Ale największe wrażenie wywarło na nim pozbawienie go odtwarzacza.

- Co? - Candy wyprostowała się na krześle.

- To był mój pomysł. Od czasu dzieciństwa Vincent... zapamiętywał się w muzyce. W jego przypadku to wykraczało zdecydowanie poza zainteresowania innych nastolatków. Pozbawiłam go wszystkiego -oznajmiła Beth. - Kasyety i kompakty zatrzymałam. Schowałam. Ale pozbyłam się odtwarzacza. Oddałam do Saint Vincent de Paul. Powiedziałam mu, że ten odtwarzacz był specjalnym przywilejem, na który teraz nie zasługuje. On musiał wreszcie pojąć, że nie żartujemy, a to ostatecznie było czymś, co kocha najbardziej...

W zapadającym zmierzchu Beth nie zauważyła, jak bardzo zmienił się wyraz twarzy Candy, więc gdy Candy przestała się huśtać na krześle i z hukiem postawiła je na wszystkie cztery nogi, wyciągając jednocześnie palec w stronę twarzy Beth, ta niemal odskoczyła.

- To, co on kocha najbardziej - oznajmiła Candy - siedzi teraz tutaj, naprzeciwko mnie, Beth.

Wściekłość ścisnęła Beth za gardło; z ledwością mogła teraz cokolwiek wypowiedzieć.

- Słabo mi się robi, gdy słyszę coś podobnego - wykrztusiła w końcu. - Podobne słowa dźwięczą nawet w moich snach! Już nie chcę dłużej dowiadywać się, że ten chłopiec wciąż popada w tarapaty tylko dlatego, że jego matka nie raczyła obdarzyć go miłością... Candy, wybacz, ale to wszystko nie jest takie proste. Vincent nigdy... słuchaj, nawet jeszcze przedtem, zanim się to wszystko wydarzyło, Vincent był przekonany, że kocham Bena bardziej niż jego.

- A kochałaś?

- Jezu Chryste! Czy kochałam? Candy, a czy ty kochasz swoje serce bardziej niż swój mózg? Swoją rękę bardziej niż nogę? Ale to wszystko się wydarzyło nagle, skupiło się wokół Bena i już nie miałam żadnej szansy, by przekonać Vincenta...

- Nawet gdybyś się postarała?

- Czego rzeczywiście nie zrobiłam. Tak, *mea culpa, mea maxima culpa*. Ale, jakkolwiek to było, czy on sam nie powinien o tym wiedzieć? Czy każde normalne dziecko nie jest o tym przekonane? Czy musiałam mu to powtarzać każdego dnia?

- A czy on musiał powtarzać to tobie każdego dnia?

- O co właściwie ci chodzi, Candy? Czyżbyś zajęła się teraz analizą freudowską?

- Beth, obserwuję tego dzieciaka, gdy na ciebie patrzy. On tak bardzo chce, żebyś mu wybaczyła...

- Wybaczyła mu?! Wybaczyła?!

- To całe gówno, na jakie cię wciąż naraża. Lub jeszcze coś innego, jakąś nieistotną, idiotyczną historię, o której ty być może nie masz nawet najmniejszego pojęcia. Czemu nie porozmawiasz z Tomem? Czemu? Ja z nim rozmawiałam.

- I on powiedział?

- Powiedział, że Reese jest typem człowieka, którego nazywa się „nosicielem symptomów”. Jego ekscesy to próba przeżywania cierpienia wszystkich mu bliskich osób. A teraz, gdy Sam odszedł, jak sądzisz, co on czuje?

- Nie mam pojęcia - odparła znużonym głosem Beth, a po chwili powiedziała: - Wiesz, myślę, że ja i Pat się rozejdziemy.

Candy wylała resztę swojej wódki w krzaki po czym z trzaskiem odstawiła szklanekę.

- Dobry Boże, Beth, dlaczego? - Beth wzruszyła ramionami. - Czy nie dość ci już tego wszystkiego?

- Candy, on tego chce.

- Czy ci to powiedział?

- Nie musiał. Sama to widzę.

- Nie. Nie. Nigdy w to nie uwierzę. Ty dla Pata...

- Już nie. A właściwie już od dłuższego czasu nie.

- Bethie, musisz koniecznie zrobić coś w tej sprawie. Wy nie możecie sobie teraz pozwolić na kolejną stratę. Daj spokój.

- Candy, ludzie wciąż się rozwodzą. Większość z tych... co stracili dziecko, się rozwodzi. Sprawdź sama. - Beth, usiłując wprowadzić lżejszą nutę do ich rozmowy, dodała szybko: - Nawet ty się rozwiodłaś.

- Nie możesz porównywać związku Chrisa i mnie z... Bethie, wy byliście sobie przeznaczeni, ty i Pat.

- Wiesz co, Candy, tego już też nie jestem w stanie dłużej wysłuchiwać. Czasami nawet ogarnia mnie przeświadczenie, że już urodziłam się z nazwiskiem Pata. Jasna cholera. A może mnie jeszcze wciąż stać

na własne życie? Może potrzeba mi tego, co masz ty - prawdziwej pracy i własnego mieszkania. Pata już to wszystko i tak nie obchodzi.

- Rozmawiałś z nim?

- Tak, wyobraź sobie, że tak. I usłyszałam: „Rób, co chcesz”.

- To tylko urażona duma - stwierdziła Candy. Wstała i oparła się o balustradę. - On jest po prostu wykończony. Takich decyzji nie wolno podejmować tuż po wypadkach, jakie spotkały was tego lata. A co z Reese'em? Co z Kerry?

- Pat zrobi wszystko, by zatrzymać tu dzieci. Będzie walczył. Nie chce, bym je zabrała z powrotem do Madison.

- Do Madison?

- No cóż, Candy, a co mnie tu jeszcze czeka? Coroczne uzupełnienia rozlicznych perypetii rodzinnej sagi Cappadorów w magazynie „Tri-bune”? Coraz bardziej nienawistne gesty ze strony jego siostr? Mój ojciec patrzący na mnie takim wzrokiem, jakbym mu zastrzeliła jego ukochanego psa? Nie. Jasna cholera. Na to się nie zdecyduję. - Beth wstała i przeniosła się na cementowy schodek. - Candy, nawet nie mogę myśleć o opuszczeniu Vincenta i Kerry. Poza tym wiem, że gdy się wyprowadzę, już właściwie nigdy... po prostu stracę wszelki kontakt z Samem.

- Ty też jesteś wykończona, prawda, moja przyjaciółko? - Candy przysiadła obok Beth. - Och, Bethie, Bethie - Candy objęła ją i kołysała lekko w ramionach, a Beth poczuła, że z oczu lecą jej łzy, łzy oczyszczenia, których nie mogła już w żaden sposób powstrzymać, opanować. - No dobrze, dobrze. Posłuchaj. Chciałabym, żebyś zrobiła coś dla mnie. Tylko jedną rzecz. Obiecujesz? - Beth pokiwała głową. - Nie zatraskuj za sobą drzwi. Przymknij je trochę, jeśli musisz, ale nie zamykaj na głucho. Daj mu jeszcze jedną szansę na rozmowę. Ty i Pat żyliście razem przez całe swoje dorosłe życie. Jeżeli odejdziesz, wsłuchaj się uważnie w siebie... szczerze zadecyduj, jak się bez niego czujesz. I nie wmawiaj sobie niczego, Bethie. Bo przecież wiesz, że ty jesteś zdolna wszystko sobie wmówić. Po prostu... spokojnie popatrz, co przyniesie czas.

Beth znów kiwnęła głową.

- Kiedy chcesz wyjechać?

- Nie wiem... może już wkrótce - wymamrotała Beth. - Jeżeli w końcu pojedę. Semestr zaczyna się w styczniu. Zamierzam chodzić na wykłady.

- O mój Boże, mój Boże. Patowi będzie cię strasznie brakować. Poczuj się, jakby odjęli mu ramię. - Wstała i podniosła swoją torbę. - I wiesz co, Bethie? Nie on jeden. Ja też będę za tobą bardzo tęsknić.

-Jesteś pewna, że nie masz ochoty na jeszcze jednego drinka? -Beth nagle poczuła, że nie chce, by Candy już sobie poszła.

- Nie, dzięki. Inaczej musiałabym sobie zaaplikować test na stężenie alkoholu we krwi. Mimo że już na zawsze usunęłam się z puli zdolnych do zapłodnienia.

Beth odparła na to, zastanawiając się jednocześnie, czy przypadkiem teraz nie posuwa się za daleko:

- Wiesz, Candy, strasznie mnie to gniewa. Bardzo chciałam, żebyś urodziła to dziecko.

- Tak... ja też - przyznała Candy. - Naprawdę bardzo tego chciałam. Zal mi też Chrisa, chociaż zapewne będzie mu się przyjemniej starzeć z jakąś kolejną dwudziestopięciolatką u boku niż ze mną. No i może ponieważ już teraz nie utrzymuję się z głodowej pensji, może dowiem się o jakiejś małej dziewczynce, żyjącej gdzieś wysoko w górach Chile, która bardzo chciałaby mieć szaloną mamę, noszącą od czasu do czasu pistolet. No więc, może...

- Myślę, że to cudowny pomysł - stwierdziła Beth. - Potrafiłabyś być wspaniałą matką.

- Ty też, Beth - odparła Candy cicho i zeszła po schodach ganku.

Reese

Rozdział 35

Było już dobrze po jedenastej, gdy Reese'owi zaczęło się wydawać, że słyszy odgłos kozłowania piłki na podjeździe przed domem. Zamarł bez ruchu; właśnie pisał czy raczej usiłował napisać coś w tym idiotycznym dzienniku, który kazał zaprowadzić mu Tom, upierając się jednocześnie, żeby Reese co dzień wieczorem nabazgrał tam chociaż kilka słów.

Tak. Zdecydowanie słyszał ten dźwięk. Na dworze panował szaleńczy upał jak na wrzesień. Klimatyzacja działała pełną parą i cały dom był szczelnie zamknięty - niczym zapiekanka pod celofanem. Jeśliby słuchał muzyki, choćby najciszej, nigdy nie wyłowiłby tego odgłosu. A gdyby tylko mógł, czegoś by słuchał. Mimo to, nawet teraz nie był pewien, czy nie ma przypadkiem jakichś omamów, otworzył więc okno i wychylił głowę, by sprawdzić, czy ten dźwięk nie jest przypadkiem jedynie wytworem jego wyobraźni.

Ale nie. Tam zdecydowanie ktoś był.

Reese nie mógł jednak dostrzec żadnych szczegółów; tata co prawda już miesiąc temu mówił mu, by wymienił żarówkę w reflektorze nad garażem, ale Reese oczywiście tego nie zrobił. Noc była bezksiężycowa, ponura, a przed dom docierała jedynie nikła poświata z latarni ustawionej na końcu ulicy. Reese ponownie usłyszał odbicie piłki, dwukrotne, teraz dużo silniejsze. Żeby zobaczyć wyraźniej, co się dzieje na dole, Reese musiał w końcu zgasić w pokoju światło.

Na podjeździe stał Sam.

- Co ty robisz do cholery? - wysyczał cicho Reese. Okna sypialni rodziców sąsiadowały z jego oknem i mimo że rodzice już teoretycznie odpłynęli w sen, szczególnie mama zapewne nie obudzi się aż do rana, Reese wolał jednak nie ryzykować.

- Nic - odpowiedział Sam.

- Czy twój tata wie, gdzie jesteś? -Aha.

- Akurat - z wyzwaniem w głosie rzucił Reese, opierając się na łokciach.

- Nie pograłbyś trochę?

- Słuchaj, barania głowo, na wypadek, gdybyś nie zauważył, chciałbym ci powiedzieć, że dochodzi północ.

- I takie grzeczne dzieci jak ty muszą już spać?

- Ja, kretynie, miałem na myśli fakt, że już i tak mam na głowie dość kłopotów, więc nie potrzeba mi jeszcze do tego policji na karku, ściągniętej przez panią Pellicano bądź pana Beckera z powodu zakłócania spokoju ciszy nocnej.

- Moglibyśmy pograć cicho - odparł Sam. - Chyba że jesteś... zbyt zmęczony. Albo boisz się, że przegrasz.

- Słowo „strach” nie istnieje w moim słowniku - oznajmił Reese. -I dobrze wiesz, że mogę cię pokonać z zamkniętymi oczami. W czasie wakacji ogrywałem cię regularnie każdego dnia, a niekiedy także w niedziele. Jak sobie przypominam, to nawet musiałeś się stąd wyprowadzić, by ocalić jakoś te resztki honoru, które ci jeszcze wówczas pozostały.

- To dziwne, bo ja to wszystko pamiętam zupełnie inaczej - powiedział Sam, a Reese od razu wyczuł, że dzieciak się uśmiecha. - Poza tym nietrudno opowiadać takie historie, gdy się siedzi wygodnie na pierwszym piętrze.

- Zaczynaj się modlić, mięczaku.

- Już padam na kolana.

Reese zawahał się, czy nie naciągnąć koszulki, ale ostatecznie zdecydował, że jest na to za gorąco. Zbiegł więc szybko po schodach, po trzy stopnie naraz, zastanawiając się przez cały czas, co ten dzieciak, do cholery, robi o północy na ich podjeździe. Reese był pewien, że George nie ma o tym zielonego pojęcia. I pewnie właśnie w tej chwili stawia na nogi połowę pieprzonego FBI albo stacje radiowo-telewizyjne. A może jedno i drugie naraz. Jezu Chryste.

Wybiegł przez drzwi i niemal wpadł na stojącego tam Sama, spalonego słońcem, w krótkich spodenkach z obciętych dżinsów i białej koszulce Reese'a z dużym logo White Soksów.

- To mój T-shirt - zauważył machinalnie Reese.

- Ooooo, doprawdy? - Sam przybrał fałszywie przeproszający ton. - A ja myślałem, że to szmata do wycierania podłogi.

- Skąd go masz?

- Zabrałem... gdy się stąd wyprowadzałem. Przepraszam. Mogę ci oddać.

- Nie, nie, ja już go nie potrzebuję - odparł pospiesznie Reese, myśląc jednocześnie: „Ale za mnie straszny dupek”. - Zatrzymaj go. Albo umówmy się, że będzie twój, jak mnie pokonasz. Co właściwie oznacza, że już teraz możesz go ściągać.

Oczywiście, jeżeli go tylko nie zasmro-dziłeś. - Reese nie mógł oderwać od dzieciaka wzroku. Od czasu gdy go widział ostatni raz, wtedy w więzieniu, upłynęło kilka tygodni. O ile mu było wiadomo, mama z tatą dwukrotnie zabierali gdzieś Sama, ale za każdym razem Reese był zbyt zajęty, by uczestniczyć w tych przyjemnościach. A poza tym, po dwóch dniach spędzonych w areszcie, jego życie ograniczyło się do wielu cudownych dni i nocy przesiedzianych w zaciszu własnego pokoju, przerywanych parę razy wyjściem na rodzinny obiad w mieście - niemalże w kajdankach. Jediną formą zewnętrznego świata, do jakiej miał teraz dostęp na co dzień, był pan Becker podlewający co wieczór swój ogródek.

- Czy jesteś pewien, że twój tata wie, gdzie się teraz znajdujesz? - spytał Reese, ważąc w rękach piłkę.

- Robisz wszystko, żeby tylko odwlec grę - odparł na to Sam. - Typo prostu masz stracha.

- No dobra, a więc „kosz na kosz” - zdecydował Reese. - Do jedenastu.

Reese grał z Samem dostatecznie często, by bez problemu przewidzieć jego ruchy, więc był pewien, że nie da się niczym zaskoczyć. Wiedział już, na przykład, że ten dzieciak nigdy nie patrzy na przeciwnika, gdy gra, że na tym polega jedna z jego sztuczek. Sam miał skośne oczy, zupełnie jak tata, a w czasie gry zwięźlał je w cieniutkie szparki i patrzył gdzieś w dal, ponad prawym ramieniem Reese'a, jakby za jego plecami czaił się jakiś gigantyczny robal, i cały czas przy tym kozłował między nogami, po linii ósemek. W takiej chwili za każdym razem Reese miał się ochotę obejrzeć za siebie. A poza tym Sam bez przerwy gadał: - Człowieku, żałujesz teraz, co? Żałujesz? Z której strony mam cię obejść, z lewej czy z prawej? - a przy tym wiadomo było, że ta paplanina nie jest tak naprawdę skierowana do przeciwnika, że nawet nie ma go specjalnie rozpraszać; jest jak motor zostawiony na jałowym biegu. Sam starał się wywołać wrażenie, że cię w ogóle nie dostrzega. I to, jasna cholera, naprawdę skutkowało.

Sam zgrabnie ominął Reese'a i złożył się do rzutu. A potem ruszył w tył z rozpostartymi ramionami, młócąc bezładnie powietrze, powta-

rzając triumfującym głosem: - O co chodzi? O co chodzi? Chcesz spać? Chcesz spać? - I oczywiście nie sposób było się nie roześmiać.

A gdy już Reese dorwał się wreszcie do piłki, przysiągłby, że Sam urósł co najmniej dziesięć centymetrów w ciągu ostatnich paru miesięcy; ten dzieciak go przytłaczał, klaskał w ręce, ignorował jego rozpaczliwe próby wykonania jakiegoś skutecznego zwodu. Reese w końcu zdołał przebić się lewą stroną pod kosz, ale dzieciak wybił piłkę po rzucie.

- Była w locie opadającym nad koszem - powiedział ostro Reese, chociaż wiedział, że to nieprawda. Piłka nawet się nie zbliżyła do linii wlotu kosza. Ale oczywiście należało zaoponować, powykłócać się trochę dla samej zasady.

- Nie poradzisz sobie bez oszukiwania, nie poradzisz - z rozbawieniem wykrzyknął Sam. - Ale niech ci będzie... i tak przegrasz.

- Ależ weź sobie tę piłkę, chłopczyku - odparł Reese. - Zresztą zamierzałem dać ci fory. Ze względu na późną porę i tak dalej.

Gdy wynik wynosił siedem do pięciu dla Reese'a, obaj już z trudnością łapali ustami powietrze w przesyconym wilgocią mroku nocy. Ich płuca wydawały taki dźwięk, jakby ktoś klaskał dłońmi w za dużych, mokrych rękawicach.

- Macie włączoną klimatyzację? - spytał Sam.

- Na cały regulator - odparł Reese. - Już masz dość?

- Kto powiedział, że mam dość? - Sam rzucił się w prawo, zrobił półobrót, a potem wykonał piękny rzut lobem, po którym piłka wpadła idealnie czysto w siatkę kosza.

- O, cholera! Gdzie się tego nauczyłeś? Rzucałeś lewą ręką.

- Jestem wszechstronnie utalentowany - zaśmiał się Sam, podając piłkę Reese'owi i natychmiast ustawiając się nisko na nogach.

- Koniec na dzisiaj - oznajmił Reese; a po chwili: - Możesz zatrzymać tę koszulkę. Nasikałem na nią w czerwcu, dlatego znalazłeś ją w szufladzie.

- Myślę, że już czas, byś przestał sikać do szuflady - odparł Sam, a tymczasem Reese podbił trzymaną przez niego piłkę od dołu tak, że odbiła się Samowi od podbródka.

- Ale zanim przerwiemy grę, musisz powiedzieć, że jesteś już wykończony - upierał się Sam. - Jesteś wykończony, no nie?

- Słuchaj, dobrze wiesz, że dałem ci fory. Więc skończmy już na dzisiaj. Wpadnij jutro na rewanż.

W tym momencie Sam podniósł ręce i przejechał dłońmi po swoich mokrych włosach, tak że wyglądały teraz jak świeżo skoszona trawa.

A potem wziął głęboki oddech. Nie ruszał się z miejsca. Reese też się zatrzymał, zziębnięty, zlany potem.

- Ja... bo widzisz... - zaczął Sam. - Ja nie wracam.

- O czym ty mówisz?

Sam podrzucił głową ponad prawym ramieniem i wtedy dopiero Reese, przebijając wzrokiem ciemność, zauważył na końcu podjazdu wielką, poobijaną walizę.

- Sam - powiedział powoli - człowieku, co ty wyprawiasz?

- Mój tata o tym wie - śpiesznie wtrącił Sam. - Bo widzisz, myśmy strasznie dużo dyskutowali o wszystkim w zeszłym tygodniu, przez wiele godzin, i w końcu mój tata powiedział, że powinienem zrobić to, co uważam za słuszne, i on nawet wie, dlaczego przyszedłem tu tak późno wieczorem...

- A dlaczego?

Sam spojrział w górę, w ciemne okna sypialni.

- Nie chciałem żadnych wielkich scen - odparł. - No wiesz. Z twoimi... z Beth i z Patem. A pomyśl, co by się działo na dodatek, gdyby jeszcze zwąchała coś prasa... - Reese aż poczuł skurcz w sercu, gdy usłyszał, w jaki sposób ten dzieciak wymawia słowo „prasa”, jakby miał co najmniej ze czterdzieści lat. - Już i tak wszyscy uznali, że nieźle mi odbiło, gdy wróciłem do domu - to znaczy z powrotem - do George'a...

- I on wypuścił cię z domu tak późno w nocy?

- Odprowadził mnie tutaj. Już jakiś czas temu. Ale nie chciałem, żeby czekał - widziałem światło w twoim pokoju.

- No dobra - powiedział Reese, po czym spytał, niemal dławiąc się własnym językiem, gdy wypowiadał te słowa: - A to teraz już... tak... na zawsze?

Sam wbił wzrok we własne stopy, zacisnął usta, a potem spojrział na Reese'a. „Wciąż jeszcze - pomyślał Reese - jest ode mnie parę centymetrów niższy”. Oczy Sama, szeroko rozwarte, wyraźnie odcinały się od ciemności nocy - zdawały się pozbawione wszelkiego koloru, niczym dwa małe, ciemne lusterka. Reese był pewien, że gdyby tylko zechciał, gdyby podszedł dostatecznie blisko, ujrzałby w nich odbicie swojej własnej, bladej twarzy.

- Ja... ja nie wiem - odparł Sam. - Nie wiem. Może. Jeżeli zdołam... mam nadzieję...

Reese uciszył go ruchem dłoni. Sam zamilkł, odwrócił się i podążył podjazdem w stronę swojej walizki. Po chwili Reese ruszył za nim. Nie zamierzał go poganiać, nakłaniać do żadnych zwierzeń, po prostu czuł, że musi wykonać jakiś ruch, zrobić coś, bo inaczej zwariuje.

- Przegrany dźwiga pudło - oznajmił. - Po sprawiedliwości. - Ta waliza ważyła chyba z dziesięć ton. - Co ty, kolekcjonujesz kowadła?

Reese przygiął ramiona, naprężył się, dźwignął walizkę za rączkę prawą dłonią; w tym momencie Sam wyciągnął rękę i zacisnął palce na jego dłoni. Reese'a przebiegł dreszcz; dotyk tego dzieciaka zelektryzował całe jego ramię, jakby Sam nacisnął na jeden z jego nerwowych splotów.

- Zostaw. Poradzę sobie - stwierdził Reese. Jednak Sam nie rozluźnił uścisku.

Dookoła było tak ciemno, jakby nurkowali w pieczarze. Reese musiał bardzo wysilać wzrok, by dostrzec wyraz twarzy Sama w mdłym blasku latarni ulicznej, stojącej aż na rogu - na tym rogu, gdzie trzeba było skrócić, a potem przejść tylko jeszcze jedną ulicę, by zauważyć czerwony dom, jedyny w sąsiedztwie niebieskich, szarych i brązowych budynków. W tej chwili obraz tego domu tkwił niezwykle wyraźnie w pamięci Reese'a, przyćmiewał wszystkie, absolutnie wszystkie inne obrazy. Czerwony dom - dom Sama, który już teraz przestał być jego domem. Być może przestał. Reese mógł zapytać o to raz jeszcze, ale i tak nie uzyskałby innej odpowiedzi.

Bo tak już właśnie jest w życiu. Trzeba poczekać do rana i dopiero wówczas policzyć wszystkich ocalałych. Trzeba iść przed siebie, by w końcu zdecydować, gdzie jest owo szczególne, własne miejsce na ziemi; trzeba nieustannie szukać, a wtedy może ktoś w końcu znajdzie i ciebie. Reese spojrzął w stronę światła, a potem przeniósł wzrok na obszar gęstej ciemności spowijającej jego brata. W zasadzie był teraz w stanie jedynie czuć jego obecność - jego spocone dłonie, siłę jego niezwykle długich palców. Reese postawił walizkę, wstrząsały nim dreszcze. Właśnie nadszedł jeden z tych niezwykłych momentów, kiedy wydawało mu się, że doskonale rozumie, co czuł jego ojciec w chwili zawału, gdy na jego pierś spadł nieoczekiwanie ciężki młot. „Wystarczy tylko, że wejdziemy - pomyślał Reese. - Ale, pieprzone gówno, muszę mu to wyznać. Wcześniej czy później będę musiał mu to powiedzieć. Więc najlepiej zrobię to od razu”.

- To ja - odezwał się nagle. - To ja puściłem wtedy twoją rękę.

- Och, no cóż... - powiedział tylko Sam.

A potem dźwignęli wspólnie walizę, na płasko, rozkładając równomiernie ciężar, jakby nieśli materac, i wtaszczyli ją na ganek.

- Zamknięte? - zapytał Sam.

- Jeszcze nie wymyślili takiego zamka, który oparłby się urokowi Reese'a Cappadory - odparł Reese, wyciągając z tylnej kieszeni swój

wytrych. - Zazwyczaj wchodzę do środka właśnie w ten sposób. - Zaśmiewając się, zatargali walizę do holu. Beowulf ruszył się ze swojego posłania, przeciągnął z wysiłkiem, po czym poczłapał naprzód i wsunął nos w wyciągniętą dłoń Sama. .

- Dobry pies- powiedział Sam. - Dobry staruszek. - I w tej samej chwili zauważył stertę toreb Beth, jej sprzęt i walizkę. - Kto się wybiera na wycieczkę?

-Mama jedzie do Wisconsin... żeby popracować.

Może jedzie. A może nie. Walizki można spakować, można je też rozpakować. Zobaczmy. . . . ,

- Postawimy to twoje pudło tutaj, dobra? Rano wniesiemy je na górę. -

Wepchnęli walizę Sama do salonu i postawili obok pianina.

- Zjadłbym coś - oznajmił Sam.

Kuchnię oświetlała jedynie słaba poświata płynąca z wnętrza otwartej lodówki. Reese rzucił Beowulfowi kawałek sera i pies pożarł go żarłocznie z głośnym mlaskaniem. Sam sięgnął ponad ramieniem Reese a, by z piramidy na dolnej półce wziąć jedną colę, i odskoczył gwakow-nie gdy nagle wszystkie puszki zaczęły wytaczać się z lodówki. W ciszy nocy ich trzask o linoleum zabrzmiał tak, jakby ktos puścił serię z karabinu maszynowego.

- Tezu Chryste - wysyczał Reese. - Ale demolka. - Próbowali złapać lecące puszki, lecz one toczyły się jak gdyby nigdy nic, powoli, gładko, jedna po drugiej. Któraś z nich uderzyła o cokół szafki, zawirowała i otwarła się z hukiem. Napój trysnął jak z gejzeru; Beowulf zaczął szczekać. - Na Boga - wyszeptał Reese - zamknij się!

Puszki mnożyły się w niezwykłym tempie, jak na filmie pokazującym spychanie bali drewna na piły napędzane kaskadą wody.

- To nie twoja wina - zachłysnął się Reese. - To tata super inżynier wszechświata. Pewnej zimy, gdy jeszcze budowali Wesele tata postanowił zachować wszystkie nie wykorzystane kafelki... cały dzień znosił je do garażu i układał na górze, na belkowaniu stropu, dokładnie, starannie... a potem, kiedy zamykał garaż, belki trzasnęły i ten cały pieprzony sufit.

Sam już nie mógł się powstrzymać - parsknął śmiechem, opluwając wszystko naokoło colą, co tylko dodatkowo zdopingowało Reese a, zęby go jeszcze bardziej rozśmieszyć.

- Każdy jeden pieprzony kafel rozbijał się z trzaskiem o podłogę... W tym samym momencie obaj usłyszeli jej kroki.

- Vincent! - zawołała Beth ze szczytu schodów zaspanym głosem jednak wyraźnie podbarwionym paniką. - Co to za hałas? Jesteś w domu?

Reese położył palec na ustach.

- Zapewniam cię, że nie chciałbyś, żeby ona teraz wstała - powiedział do Sama. - Nie teraz. Zaufaj mi. - Sam po cichu sięgnął ręką do lodówki po płaski karton z zimną pizzą w środku, ale Reese powstrzymał go gestem dłoni. - Poczekaj - zarządził.

Beth zawołała ponownie:

- Vincent!

- Wszystko w porządku, mamó! - krzyknął w odpowiedzi. - Coś upuściłem. Wracaj do łóżka. Jestem na dole.

Reese podążył za Samem w stronę stołu kuchennego. Z góry dobiegł go uspokajający dźwięk spuszczonej wody. Wiedział, że Beth oddała się teraz korytarzem. Zasiadli przy stole i Sam delikatnie otworzył karton, krzywiąc się z obrzydzeniem na widok kawałków pizzy poprzyklejanych do wieczka. Reese podniósł się, by przynieść nóż kuchenny, ale zanim podał go Samowi, zatrzymał się na moment, wsłuchując się w skrzyp desek podłogi na górze, miękkie westchnienie materaca, gdy matka kładła się z powrotem do łóżka. A potem pozostała już tylko cisza i ledwo słyszalny świst powietrza wydobywającego się z klimatyzatora - zwykle dźwięki normalnego domu, pogrążonego w nocnym odpoczynku.

- Słabo mi się robi na ten widok - oznajmił Sam, wpatrując się w pizzę. - Ale nie da się ukryć, że umieram z głodu. - Po czym zmiotł dwa kawałki i rozsiadł się zadowolony. - Myślisz, że już zasnęła?

- Najprawdopodobniej tak - odparł Reese. - Poczekamy jeszcze parę minut, a potem pójdziesz na górę i położysz się w moim pokoju. Tylko na dzisiejszą noc. Bo jak zaczniemy wyciągać pościel, prześcieradła i tak dalej, to postawimy cały dom na nogi.

- A gdzie ty będziesz spać?

- Nie wiem - odparł Reese. — Pewnie tu na dole, na kanapie. Razem z Wulfem. Poza tym w ogóle nie czuję się zmęczony.

- To z mojej strony świństwo... wpadam w środku nocy, a potem wykopuję cię z własnego łóżka.

- Nie, nie, w porządku - upierał się Reese. - Obejmę pierwszą wartę, dobra?

Sam się uśmiechnął.

- Dobra.

- Obejdę i sprawdzę dokładnie teren - powiedział Reese, a tymczasem Sam wstał i podszedł do swojej walizy, by wygrzebać z niej po chwili szczoteczkę do zębów. On już na zawsze pozostanie grzecznym chłopcem.

- Zwracaj szczególną uwagę na podejrzane dźwięki - wyszeptał Sam w odpowiedzi.

- Tak jest, sir. Życzę dobrego snu. A ja nie spocznę, dopóki nie zabezpieczę obozu.

- Doskonale, żołnierzu.

Reese usiadł przy kuchennym stole, opierając brodę na rękach. Kłamał, kiedy mówił, że nie jest zmęczony - tak naprawdę był kompletnie wykończony.

Wydawało mu się, że nie spał od wielu tygodni. Ponad głową jego stary materac wyjęczał skargę: Sam się położył. Reese spojrział w wielkie okno, przebił wzrokiem własne odbicie w szybie i wpatrzył się w ciemność zalegającą ogród. Czy mu się zdawało, czy naprawdę dostrzegł jaśniejszą smugę na niebie na krańcu trawnika, tam gdzie ustawili krzesła ogrodowe?

Na skraju ich terenu?

Miał ochotę rzucić się na kanapę. Tym razem wyjątkowo pustą. Nie tak jak przez ostatnie kilka tygodni. Tata spał dzisiaj na górze, we własnym łóżku. Reese nie miał pojęcia, czy w ten sposób ojciec próbuje ją zatrzymać, czy pożegnać. Jakkolwiek było, oznaczało to, że teraz na parterze jest wolna kwatery, a Reese i tak się obudzi, jeżeli tylko ktoś się poruszy. Zawsze się w takich sytuacjach budził. Ale przecież tym razem obiecał, że będzie czuwać. No cóż, to tylko jeszcze parę godzin, ta noc już się kończyła. Jak wszystko na świecie - nie mogła przecież trwać w nieskończoność.

„Dopóki nie zabezpieczę obozu - pomyślał Reese. - Lub do rana. Zależy, co najpierw nastąpi”.